

NORA ROBERTS

pisząca jako

BRACTWO ŚMIERCI

Prószyński i S-ka



POLECAMY W SERII

Dotyk śmierci
Sława i śmierć
Skarby przeszłości
Kwiat Nieśmiertelności
Śmiertelna ekstaza
Czarna ceremonia
Anioł śmierci
Święta ze śmiercią
Rozłączy ich śmierć
Wizje śmierci
O włos od śmierci
Naznaczone śmiercią
Śmierć o tobie pamięta
Zrodzone ze śmierci
Słodka śmierć
Pieśń śmierci
Śmierć o północy
Śmierć z obcej ręki
Śmierć w mroku
Śmierć cię zbawi
Obietnica śmierci
Śmierć cię pokocha
Śmiertelna fantazja
Fałszywa śmierć
Pociąg do śmierci
Zdrada i śmierć
Śmierć w Dallas
Celebryci i śmierć

Psychoza i śmierć

Wyrachowanie i śmierć

Ukryta śmierć

Niewdzięczność i śmierć

Święta i śmierć

Obsesja i śmierć

Pożądanie i śmierć

NORA ROBERTS

J.D.

pisząca jako

ROBB

BRACTWO ŚMIERCI

Przełożyła
Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

*Teraźniejszość jest sumą tego,
co się wydarzyło w przeszłości.*
Thomas Carlyle

*Sprawiedliwość zawsze jest
przejawem przemocy w oczach sprawcy przestępstwa,
Bo każdy we własnym mniemaniu jest niewinny.*
Daniel Defoe

PROLOG

Lojalność wobec zmarłych dziadków kazała mu pojechać – mimo lodowatego deszczu – do SoHo, nie do domu. W domu rozsiadłby się wygodnie, bo szczerze mówiąc, był dziś wyjątkowo zmęczony. Wyciągnąłby się przed kominkiem z dobrą książką i szklaneczką whisky, czekając na powrót żony.

Ale zamiast odpoczywać w domu, jechał teraz taksówką, w której unosił się lekki zapach przejrzałej papryki i czyichś piżmowych perfum. Wiedział, że kiedy dotrze na miejsce, czeka go, jak się obawiał, ostra scysja.

Nie znosił ostrych spięć. Czasami dziwił się, dlaczego niektórzy ludzie sprawiają wrażenie, że się w nich lubują. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że ma prawdziwy dar unikania sprzeczek lub ich uśmierzenia w zarodku.

Lecz przypuszczał, że tym razem dojdzie do nieprzyjemnego starcia z kuzynem Edwardem.

Naprawdę będzie mu bardzo przykro, pomyślał, patrząc na marznący deszcz, uderzający w okna taksówki. Miał wrażenie, że krople dżdżu w zetknięciu z szybami wydają syk jak jadowite węże.

Kiedyś on i Edward byli sobie bliscy jak bracia. Wspólnie przeżywali różne przygody, dzielili się tajemnicami, mieli takie same plany – naturalnie bardzo ambitne. Ale już od dawna każdy z nich kroczył inną drogą i bardzo się od siebie oddalili.

Ledwo znał człowieka, jakim stał się Edward, i w ogóle go nie rozumiał. I z przykrością musiał przyznać, że lubił go jeszcze mniej.

Mieli jednak tych samych dziadków, bo ich ojcowie byli rodzonymi braćmi. Łączyły ich bliskie więzy krwi. Wciąż się łudził, że powołując się na pokrewieństwo, na wszystko, co kiedyś wspólnie przeżyli, uda mu się sprawić, by ich poglądy, teraz skrajnie różne, na tyle się zbliżyły, by możliwy był rozsądny kompromis.

Niestety, człowiek, jakim się stał jego stryjeczny brat, rzadko kiedy gotów był na jakiegokolwiek kompromisy. Nie, Edward miał ustalone poglądy i nie godził się nawet na najmniejsze ustępstwa. W przeciwnym razie nie zwróciłby się do pośrednika handlu nieruchomościami, żeby sprzedać piękną, starą kamienicę, należącą kiedyś do ich dziadków.

Co więcej, on nawet nie wiedziałby o tym pośredniku, o spotkaniu i oględzinach domu, by oszacować jego wartość, gdyby asystentka asystenta Edwarda, czy jakie tam zajmowała stanowisko, niechcący się nie wygadała i nie wspomniała o tym, kiedy próbował się skontaktować z kuzynem, żeby ustalić termin narady rodzinnej.

Niezbyt łatwo wpadał w złość – to oznaczało bezproduktywną stratę energii – ale teraz czuł złość. Był wystarczająco rozsierzony, by zdawać sobie sprawę, że stać go – i robi to

– na urządzenie gwałtownej sceny w obecności pośrednika.

Był współwłaścicielem nieruchomości (jak Edward nazywał ich kamienicę) i bez jego pisemnej zgody sprzedaż była niemożliwa.

A nie da zgody, nie postąpi wbrew wyraźnej woli swojego dziadka.

Siedząc teraz w taksówce, przeniósł się w myślach do gabinetu dziadka, tak przytulnego, z regałami pełnymi książek w skórzanych oprawach, z cudownymi, starymi fotografiami i fascynującymi pamiątkami.

Czuł, jak wąż stała się dłoń dziadka, kiedyś duża i silna. Słyszał drzenie w jego głosie, kiedyś grzmącym jak armata.

„To coś więcej niż kamienica, niż dom. Chociaż ma swoją wymierną wartość. Ale przede wszystkim ma swoje dzieje, zasłużyła sobie na wyjątkowe miejsce w świecie i w waszych sercach. Ufam, że obaj, ty i Edward, to uszanujecie i nie dopuścicie, żeby kamienica trafiła w obce ręce”.

Tak, powiedział sobie w duchu, kiedy taksówka w końcu zatrzymała się przy krawężniku. Przypomni Edwardowi wolę dziadka, odpowiedzialność, jaka na nich ciąży. A w najgorszym razie znajdzie sposób, żeby spłacić kuzyna.

Jeśli dla Edwarda to tylko nieruchomość, warta tyle a tyle, to dostanie swoje pieniądze.

Dał taksówkarzowi wysoki napiwek – celowo, bo pogoda naprawdę była paskudna. Może ta wspaniałomyślność skłoniła kierowcę do opuszczenia szyby i przypomnienia pasażerowi, że zostawił na siedzeniu teczkę.

– Dziękuję! – Zawrócił po nią. – Mam tyle spraw na głowie.

Ściskając mocno teczkę, przeszedł po oblodzonym chodniku, minął małą, żelazną furtkę i ruszył uprzętniętym podjazdem, jako że osobiście płacił chłopakowi z sąsiedztwa, żeby odgarniał śnieg i utrzymywał porządek.

Wbiegł po kilku stopniach, jak to robił, kiedy był małym chłopcem, nastolatkiem, młodzieńcem, i teraz, kiedy stał się starszym panem.

Mógł zapominać o różnych rzeczach, na przykład o teczce, ale pamiętał kod do głównego wejścia. Położył dłoń na czytniku, przeciągnął kartę-klucz.

Otworzył ciężkie frontowe drzwi. I serce mu się ścisnęło, kiedy sobie uświadomił, jak bardzo wszystko się tu zmieniło od śmierci dziadków.

W domu nie unosił się zapach świeżych kwiatów, które babcia osobiście układała w wazonie, stojącym w holu. Nie przyczłapało stare psisko, żeby go powitać w drzwiach. Część mebli trafiła do innych domów zgodnie ze szczegółowym testamentem. Podobnie część dzieł sztuki ozdabiała ściany innych mieszkań.

Cieszyło go to, bo to też była część dziedzictwa.

Chociaż płacił Frankie, córce wieloletniej pomocy domowej dziadków, żeby raz w tygodniu tu sprzątała, czuło się, że w tym domu nikt nie mieszka. Unosił się w nim zapach olejku cytrynowego, dodawanego do środków czystości.

– Wystarczająco długo – mruknął do siebie, stawiając teczkę. – Wystarczająco długo stał pusty.

Usłyszał jakieś głosy i zastanawiał się przez chwilę, czy może to tylko wspomnienia. Potem przypomniał sobie, dlaczego tu przyszedł – Edward i pośrednik handlu nieruchomościami. Przypuszczał, że rozmawiali o metrażu, lokalizacji i wartości rynkowej.

Jemu ten dom kojarzył się z rodzinnymi obiadami przy dużym stole, z plackiem jeżynowym, podkradanym w kuchni, z pewnym słonecznym, sobotnim popołudniem, kiedy z dumą przedstawił dziadkom w salonie kobietę, którą kochał.

Zmusił się do powrotu do chwili obecnej i ruszył tam, skąd dobiegały głosy. Wiedział, że Edward nie należy do ludzi sentymentalnych. Jeśli kolejne przypomnienie obietnicy, złożonej człowiekowi, którego obaj kochali, nie wpłynie na zmianę decyzji kuzyna, to może zwrócenie uwagi na obowiązujące przepisy prawa sprawi, że tamten się opamięta.

Jeśli i to nie odniesie skutku, będzie musiał go spłacić.

Ale nie chciał się skradać jak złodziej, więc zawołał stryjecznego brata po imieniu.

Głosy ucichły, co go rozgniewało. Czy tamci dwaj sądzili, że zdołają się przed nim ukryć? Skierował się w głąb domu, traktując swój gniew jak oręż i stanął na progu pokoju, który wspominał podczas jazdy taksówką. Zobaczył Edwarda, siedzącego przed biurkiem ich dziadka.

Jego kuzyn miał szeroko otwarte oczy – nawet to podbite. Krew ściekała mu cienką strużką z kącika ust. Kiedy zaczął coś mówić, okazało się, że zęby miał zabarwione na czerwono.

Wstrząśnięty i zaniepokojony, w jednej chwili zapomniał o złości i szybko podszedł do kuzyna.

– Edwardzie...

Poczuł ból, ujrzał błysk przed oczami. Nogi się pod nim ugięły i padł jak podcięty. Uderzył ciężko skronią w starą, dębową podłogę. Nim ogarnęły go ciemności, usłyszał krzyk Edwarda.

1

Po długim, nużącym dniu – przedpołudnie spędziła w sądzie, a potem zajmowała się robotą papierkową – porucznik Eva Dallas szykowała się do pójścia do domu.

W tej chwili jedyne, czego pragnęła w życiu, to spokojny wieczór z mężem, kotem i kieliszkiem, a może dwoma, wina. Do tego jakiś film, pomyślała, biorąc płaszcz. O ile Roarke nie przyniósł ze sobą zbyt wiele pracy.

Dziś wieczorem – hura! – nie zaprosiła do domu żadnego ze swoich podwładnych.

Można by wydłużyć tę listę życzeń, doszła do wniosku, wyciągając z rękawa szalik, który jej partnerka wydzierała dla niej na drutach na Gwiazdkę. Na przykład pływanie i seks w basenie. Eve wiedziała, że bez względu na to, ilu interesów Roarke musi dopilnować, zawsze da się namówić na seks w basenie.

Z drugiej kieszeni długiego, skórzanego płaszcza wyjęła śmieszna czapkę z płatkami śniegu. Ponieważ niebo zsyłało na ziemię marznącą mżawkę, wsunęła czapkę na głowę. Kazała swojej partnerce iść do domu; paru detektywów było w terenie, prowadzili na zimnie dochodzenie w sprawie zabójstwa. Jeśli Eve będzie im potrzebna, znajdą ją w domu.

Przypomniała sobie, że ma jeszcze jednego detektywa, dopiero co awansowanego na to stanowisko. Uroczystość oficjalnego mianowania zaplanowano na jutrzejszy ranek.

Ale w tej chwili, w wyjątkowo paskudny, styczniowy wieczór, nie miała nic pilnego na głowie.

Spaghetti z klopsikami, postanowiła. Właśnie na nie miała ochotę. Może wróci do domu przed Roarkiem i przygotuje spaghetti dla nich obojga? Do tego wino, świece. Koło basenu. Nie, poprawiła samą siebie, kierując się do wyjścia. Może w jadalni, jak należy, z ogniem na kominku.

Mogłaby zaprogramować parę sałatek, użyć kilku z miliona eleganckich talerzy.

I kiedy na dworze zaczął lodowaty deszcz, oni...

– Eve!

Odwróciła się i dostrzegła doktor Mirę – policyjną psycholog i świetną profilerkę. Przyjaciółka niemal zeskoczyła z ruchomych schodów i biegiem ruszyła w jej stronę, jasnoniebieski płaszcz rozchylił się, ukazując ciemnoróżowy kostium, który miała pod spodem.

– Jeszcze tu jesteś. Dzięki Bogu!

– Właśnie wychodzę. O co chodzi? Co się stało?

– Nie jestem pewna... Dennis...

Eve odruchowo podniosła rękę i dotknęła czapki z płatkami śniegu, którą Dennis Mira włożył jej na głowę w pewien śnieżny dzień jednego z ostatnich tygodni dwa tysiące

sześćdziesiątego roku.

– Coś mu się stało?

– Chyba nie. – Zwykle opanowana Mira zacisnęła palce, żeby powstrzymać drżenie rąk.
– Nie wyrażał się jasno, był zdenerwowany. Jego kuzyn... Powiedział, że ktoś pobił jego kuzyna, którego teraz nie może znaleźć. Poprosił, żebyś właśnie ty się tym zajęła. Przepraszam, że cię obciążam swoimi sprawami, ale...

– Daj spokój. Jest teraz w domu... W waszym domu? – Już się odwróciła, przywołała windę.

– Nie, w domu swoich dziadków... Zmarłych dziadków... W SoHo.

– Pojedziesz ze mną. – Wepchnęła Mirę do windy, pełnej gliniarzy, którzy właśnie skończyli swoją zmianę. – Dopilnuję, żebyście oboje bezpiecznie wrócili do domu. Kim jest jego kuzyn?

– Ach, to Edward. Edward Mira. Były senator Edward Mira.

– Nie głosowałam na niego.

– Ja też nie. Potrzebna mi chwila, żeby zebrać myśli. I chciałabym mu powiedzieć, że już do niego jedziemy.

Kiedy Mira wyjęła swój telefon, Eve uporządkowała własne myśli.

Niezbyt się interesowała polityką, mimo to niewyraźnie pamiętała senatora Edwarda Mirę. Nigdy by nie pomyślała, że napuszony, bezkompromisowy senator o gęstych, czarnych brwiach, krótko ostrzyżonych, czarnych włosach i przystojnej twarzy o ostrych rysach jest spokrewniony z uroczym, trochę roztargnionym Dennisem Mirą.

No cóż, w rodzinie zdarzają się różni odmieńcy.

A może odnosi się to do polityki?

Nieważne.

Kiedy dotarły na poziom garażu, gdzie zostawiła wóz, Eve wskazała przyjaciółce swoje miejsce parkingowe i skierowała się do niepozornie wyglądającego pojazdu, zaprojektowanego specjalnie dla niej przez męża. Mira pospieszyła za nią, próbując dotrzymać jej kroku, czego nie ułatwiały kozaczki na wysokich obcasach i fakt, że była od Eve niższa.

Eve poruszała się szybko – miała długie nogi i solidne botki. Usiadła za kierownicą – wysoka, szczupła kobieta o lekko potarganych, brązowych włosach, w tej chwili schowanych pod wełnianą czapkę z płatkami śniegu, którą ona, policjantka do szpiku kości, nosiła, ponieważ dostała ją w prezencie od kogoś, w kim była beznadziejnie, ale zupełnie niewinnie zakochana.

– Adres? – spytała, gdy Mira, w eleganckim zimowym płaszczu i modnych kozaczkach, zajęła miejsce obok niej.

Eve wstukała adres do komputera i uruchomiła silnik. Włączyła syrenę i światła, a potem pełnym gazem wyjechała z garażu.

– Och, nie musisz... Dziękuję – powiedziała tamta, kiedy Eve rzuciła jej krótkie spojrzenie. – Dziękuję. Powiedział, że nic mu nie jest, żeby się o niego nie martwić, ale...

– Ale się martwisz.

Wóz Eve wyglądał jak ekonomiczny samochód leciwego wujka, jednak pędził jak rakietka. Eveszybko omijała samochody, których kierowcy nie kwapili się ustąpić drogi

pojazdowi z włączonym kogutem. Wzniosła auto pionowo, żeby przeskoczyć nad innymi, a Mira tylko zamknęła oczy i mocniej złapała się uchwytu.

– Powiedz mi, co wiesz. Dlaczego znajdowali się w domu dziadków? Kto jeszcze tam był?

– Ich babka zmarła jakieś cztery lata temu, a Bradley, dziadek Dennisa, po prostu zgasł. Przeżył ją o rok, zdążył uporządkować swoje sprawy. Chociaż, znając go, można mieć pewność, że większość z nich tego nie wymagała. Zostawił dom Dennisowi i Edwardowi, dwóm najstarszym wnukom. Tamten maksibus...

Eve zacisnęła dłonie na kierownicy, wzbija swój wóz pionowo w górę. I skręciła gwałtownie, jakby ścigała zbrodniarza winnego ludobójstwa.

– Już jest za nami. Mów dalej.

– Dennis i Edward nie zgadzają się w kwestii domu. Dennis chce go zatrzymać w rodzinie, zgodnie z życzeniem Bradleya, a Edward dąży do sprzedaży.

– O ile się orientuję, nie może go sprzedać, póki pan Mira nie wyrazi na to zgody.

– Też tak sędzę. Nie wiem, po co Dennis dziś tam pojechał. Miał bardzo dużo pracy na uniwersytecie, bo zastępuje jednego ze swoich chorych kolegów. Powinnam go była zapytać.

– Nic nie szkodzi. – Eve zaparkowała na drugiego, przemieniając cichą, obsadzoną drzewami ulicę w pole walki, rozbrzmiewające klaksonami. Nie zwracając na nie uwagi, podświetliła napis „Na służbie”. – Zaraz go zapytamy.

Ale Mira już wysiadła z samochodu i w zdradliwych botkach na szpilkach biegła po oblodzonym chodniku. Eve zaklęła, dogoniła ją i złapała za ramię.

– Jak będziesz biegła w tych butach, skończy się tak, że będę cię musiała wieźć na pogotowie. Niczego sobie miejsce. – Kiedy minęły furtkę i znalazły się na uprzątniętym chodniczku, puściła przyjaciółkę. – Dom w tej części miasta prawdopodobnie jest wart z pięć, sześć milionów.

– Też tak sędzę. Dennis z pewnością to wie.

– Tak?

Mira uśmiechnęła się, wbiegając po schodach.

– To ważna informacja. A wie wszystko, co ważne. Nie pamiętam kodu. – Nacisnęła guzik dzwonka, zastukała kołatką.

Kiedy Dennis z potarganymi, siwymi włosami, ubrany w wyciągnięty zielony sweter, otworzył im drzwi, Mira złapała go za rękę.

– Dennisie! Jesteś ranny. Dlaczego mi nie powiedziałeś? – Ujęła męża pod brodę, a następnie odwróciła mu głowę, żeby przyjrzeć się uważnie świeżemu siniakowi na jego skroni. – Kiedy zadzwoniłeś, odwróciłeś głowę tak, że bym nic nie zobaczyła.

– Daj spokój, Charlie. Nic mi nie jest. Nie chciałem cię niepokoić. Wejdźcie do środka, nie stójcie tu na zimnie. Eve, dziękuję, że przyjechałaś. Martwię się o Edwarda. Przeszukałem cały dom, lecz go nie znalazłem.

– Ale był? – spytała Eve.

– O, tak. W gabinecie. Został ranny. Miał podbite oko, krew leciała mu z wargi. Zaprowadzę cię do gabinetu.

Kiedy się odwrócił, z ust Miry wyrwał się okrzyk frustracji i niepokoju.

– Dennisie, krew ci leci z głowy.

Syknął, kiedy dotknęła guza na jego głowie.

– Masz natychmiast iść do salonu i usiąść.

– Charlie, Edward...

– Zostaw Edwarda naszej Eve – powiedziała, ciągnąc męża do przestronnego pomieszczenia, które albo było urządzone w skrajnie minimalistycznym stylu, albo część mebli stąd zabrano. Te, które zostały, sprawiały wrażenie wygodnych i często używanych.

Mira zdjęła płaszcz, odrzuciła go niedbale na bok, a potem sięgnęła do swojej przepastnej torby.

Eve po raz pierwszy mogła się przekonać, dlaczego tyle kobiet nosi ogromne torby, kiedy Mira wyjęła ze swojej apteczki pierwszej pomocy.

– Oczyszczę te rany i poproszę Eve, by nas podrzuciła do najbliższego oddziału pomocy doraźnej, żeby ci zrobili prześwietlenie.

– Ależ, moja droga... – Znow syknął, kiedy Mira dotknęła rany chusteczką nasączoną spirytusem, lecz udało mu się wyciągnąć rękę i poklepać żonę po kolanie. – Niepotrzebne mi prześwietlenie ani żadni lekarze, kiedy mam ciebie. Tylko nabiłem sobie guza. Mój umysł nic a nic nie ucierpiał.

Eve dostrzegła jego uśmiech, łagodny i roztargniony, kiedy Mira wybuchnęła śmiechem, słysząc te słowa.

– Nie widzę podwójnie, nie kręci mi się w głowie ani nie mam mdłości – zapewnił ją. – Może trochę boli mnie głowa.

– Jeśli po tym, jak znajdziemy się w domu i dokładnie cię zbadam...

Tym razem odwrócił się i poruszył brwiami w taki sposób, że Eve z trudem powstrzymała się od pełnego zażenowania śmiechu.

– Dennisie! – Mira westchnęła i ująwszy twarz męża w obie dłonie, pocałowała go tak czule, tak delikatnie, że Eve odwróciła wzrok.

– Może mógłby mi pan powiedzieć, jak trafić do gabinetu, gdzie po raz ostatni widział pan kuzyna.

– Zaprowadzę cię tam.

– Będiesz tu grzecznie siedział, póki nie skończę – oświadczyła Mira. – Trzeba iść prosto, a potem skrócić w lewo, Eve. Dużo drewna, ogromne biurko i fotel, na półkach książki oprawione w skórę.

– Na pewno trafię.

Widziała, skąd zabrano dzieła sztuki i sprzęty – właściwie korytarz był pusty, jeśli nie liczyć stosów kartonów. Ale nie dostrzegła najmniejszego pyłku i wyczuła słaby zapach cytryn, jakby ktoś w powietrzu zmiażdżył kwiaty drzewka cytrynowego.

Znalazła gabinet i obrzuciwszy pokój szybkim spojrzeniem, doszła do wniosku, że nie zabrano stąd nic albo prawie nic.

Panował tu porządek, pokój prezentował się atrakcyjnie dzięki drewnianej boazerii, solidnym meblom i nasyconym kolorom.

Bordo i las, pomyślała, przyglądając się gabinetowi. Rodzinne zdjęcia w czarnych albo srebrnych ramkach, błyszczące tabliczki pamiątkowe od różnych organizacji dobroczynnych.

Na biurku leżała skórzana podkładka w kolorze kawy, stał komplet przyborów piśmiennych, a także zgrabny, mały komputer.

Obok kominka z solidną obudową znajdował się barek – mały, stary i niewątpliwie cenny. Stały na nim dwie kryształowe karafki, do połowy wypełnione bursztynowym płynem, opatrzone srebrnymi tabliczkami z napisami: „Whisky”, „Brandy”.

Przeszła po drewnianej podłodze do miejsca, gdzie się zaczynał dywan. Lekko wypłowiałe wzory świadczyły, że prawdopodobnie jest równie stary i cenny, co barek, kryształowe karafki i kieszonkowy zegarek pod szklanym kloszem.

Nie zauważyła żadnych śladów walki, nic, co by wskazywało, że coś stąd ukradziono. Lecz kiedy ukucnęła i przyjrzała się podłodze w miejscu, gdzie się kończyły frędzle dywanu, dostrzegła kilka kropli krwi.

Wolno obeszła cały pokój, przyglądając się wszystkiemu uważnie, jednak niczego nie dotykała. Ale być może już zaczęła widzieć...

Wyszła z gabinetu, zatrzymała się na progu salonu i zobaczyła, jak Mira fachowo nakłada maść na skroń męża.

– Jeszcze tam nie wchodźcie – powiedziała Eve. – Idę po swój zestaw.

– Och, na dworze jest tak paskudnie. Pozwól, że cię wyręcę.

– Proszę tu zostać – powiedziała szybko, kiedy Dennis zaczął wstawać. – Wrócę za minutkę.

Wyszła na lodowaty deszcz, wyjęła z bagażnika zestaw podręczny. Wracając, przyjrzała się sąsiednim domom. Wyjęła telefon, żeby wysłać krótką wiadomość do Roarke’a.

Coś mnie zatrzymało. Opowiem wszystko po powrocie do domu.

I uznała, że zachowała się zgodnie z regulaminem małżeńskim.

Weszła do domu i odstawiła walizeczkę z zestawem, żeby zdjąć płaszcz, szalik, czapkę.

– No dobrze, zajmijmy się tym, jak należy. Próbował pan się skontaktować z kuzynem?

– O tak. W pierwszej kolejności. Ale nie odebrał. Zadzwoiłem też na ich numer stacjonarny, odebrała żona Edwarda. Nie chciałem jej niepokoić – odrzekł Dennis – więc nie wspomniałem ani słówkiem o tym, co się wydarzyło. Powiedziała, że nie ma go w domu, prawdopodobnie wróci późno. Może nie wiedziała, że umówił się tutaj. Jeśli wiedziała, nie zdradziła mi tego.

– Umówił się tutaj?

– Och, wybacz mi. Nie powiedziałem ci o tym. – Rzucił żonie jeden ze swoich roztargnionych uśmiechów. – Próbowaliśmy się z nim skontaktować wcześniej, zaproponować, czy moglibyśmy... Usiąść i porozmawiać o naszych odmiennych planach, dotyczących domu. Ale odebrała asystentka Edwarda i była wyraźnie czymś zaniepokojona. W przeciwnym razie może nie wspomniałaby, że umówił się tutaj z pośrednikiem w handlu nieruchomościami, żeby wycenić dom przed sprzedażą. To... No więc wpadłem w złość. Nie powinien tego robić za moimi plecami.

Eve skinęła głową, otworzyła swój zestaw, żeby wyjąć puszkę substancji zabezpieczającej. Spryskała dłonie i buty sprayem.

– Wkurzył pana.

– Eve... – zaczęła Mira, ale Dennis poklepał ją po dłoni.

– Najlepsza jest prawda, Charlie. Bardzo się zdenerwowałem. Ponieważ nie odbierał

telefonów ode mnie, po ostatnim wykładzie przyjechałem tutaj. Warunki jazdy są okropne. Należałoby coś z tym zrobić.

– Też tak uważam. Kiedy pan tutaj dotarł, panie Mira?

– Och, nie wiem. Niech pomyślę. Ostatni wykład skończyłem... Koło wpół do piątej. Mój asystent i paru studentów mieli pytania, udzielanie odpowiedzi zajęło trochę czasu. Potem musiałem pozbierać swoje notatki, czyli może była piąta, kiedy opuściłem uniwersytet. No i dojazd tutaj. – Uśmiechnął się do niej łagodnie, ale w jego rozmarzonych, zielonych oczach malował się niepokój. – Nie potrafię dokładnie powiedzieć.

– Nie szkodzi – uspokoiła go Eve, bo próba określenia godziny przybycia tutaj wyraźnie przygnębiła Dennisa. – W domu jest alarm. Czy był włączony?

– Tak. Znam kod, wczytałem kartę-klucz. I zeskanowałem dłoń.

– Jest tu zainstalowana kamera?

– Tak! – Powiedział wyraźnie uradowany. – Naturalnie, że jest. Zarejestrowała moje przybycie... I Edwarda. Nie pomyślałem o tym.

– W takim razie najpierw sprawdźmy zapisy. Wie pan, gdzie jest centralka alarmu?

– Naturalnie. Pokażę ci. Nie pomyślałem o tym – powtórzył, kręcąc głową, i wstał. – Gdybym sam to sprawdził, zobaczyłbym, kiedy Edward przyszedł i wyszedł. Dzięki tobie kamień spadł mi z serca, Eve.

– Panie Mira, napadnięto na pana.

Zatrzymał się i zamrugał powiekami.

– Chyba tak. To wielce niepokojące. Któż mógł to zrobić?

– Przekonajmy się, czy uda nam się to ustalić.

Poprowadził Eve w głąb domu, potem skręcił i pokazał jej dużą, nowocześnie urządzonej kuchnię z kilkoma tradycyjnymi rozwiązaniami, jak w pozostałych pomieszczeniach. Wszystko tu wyglądało... Przyjemnie i pod pewnymi względami przypominało dom państwa Mirów w zamożnej dzielnicy Nowego Jorku.

– W kilku pomieszczeniach domu są monitory – wyjaśnił Dennis, otwierając drzwi w kuchni. – Więc moi dziadkowie lub ich służący mogli zobaczyć, kto przyszedł do domu. Ale tutaj jest główna centralka.

Spojrzał na Eve z roztargnieniem.

– Obawiam się, że niezbyt się znam na takiej skomplikowanej elektronice.

– Ja też nie. – Ale podeszła tam, gdzie według niej powinno się znajdować to, czego szukali. – Lecz mogę powiedzieć, że ktoś zabrał wszystko... Stację dysków, czy jak to się nazywa, i nagrania.

– O mój Boże!

– Tak. Kto jeszcze ma dostęp do domu?

– Oprócz mnie i Edwarda? Sprzątaczką. Jej matka pracowała u moich dziadków dziesiątki lat, a potem pomagała nam przez jakiś czas. Nigdy by...

– Rozumiem, ale chciałabym wiedzieć, jak się nazywa, żeby móc z nią porozmawiać.

– Czy mogę zaparzyć herbatę? – spytała doktor Mira.

– Naturalnie, bardzo proszę. Panie Mira, chciałabym, żeby dokładnie mi pan opowiedział, co się wydarzyło. Przyjechał pan tutaj taksówką?

– Tak. Pod sam dom. Zostawiłem w taksówce teczkę... Straszna ze mnie gapa... Ale

kierowca za mną zawołał, żebym ją zabrał. Byłem zły i zdenerwowany. Wszedłem do domu. Wizyta tutaj z jednej strony jest przyjemna, ale z drugiej – przykra. Ten dom budzi wiele dobrych wspomnień, lecz trudno mi się pogodzić, że już nie jest i nigdy nie będzie tak, jak kiedyś. Odstawiłem teczkę i usłyszałem jakieś głosy.

– Więcej niż jednej osoby? – spytała Eve.

– No więc... Chyba tak. Spodziewałem się zastać mojego kuzyna i pośrednika, z którym się umówił. Założyłem, że to oni rozmawiają. Zawołałem go, bo nie chciałem ich zaskoczyć. Poszedłem w głąb domu, a kiedy zajrzałem do gabinetu, zobaczyłem Edwarda siedzącego przed biurkiem dziadka. Miał podbite oko, z wargi leciała mu krew. Wydawał się wystraszony. Chciałem do niego podejść, żeby mu pomóc, a wtedy ktoś musiał mnie uderzyć od tyłu. Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło, ale przypuszczam, że tak właśnie było.

– Stracił pan przytomność.

– Obrażenia świadczą, że powstały od uderzenia ciężkim przedmiotem w tył głowy. – Mira podała Dennisowi kubek z herbatą. – A te na prawej skroni od uderzenia głową o podłogę, kiedy upadł.

– Nie kwestionuję tego, pani doktor.

– Wiem o tym. – Westchnęła, nachyliła się do Dennisa i delikatnie pocałowała go w skroń. – Wiem o tym.

– Co pan zrobił, panie Mira, kiedy odzyskał pan przytomność?

– Byłem zdezorientowany, początkowo nie wiedziałem, co się stało. Edwarda nie było w gabinecie, a wiem, że chociaż od dawna stosunki między nami nie układają się najlepiej, nigdy nie zostawiłby mnie nieprzytomnego na podłodze. Zawołałem go... Tak sądzę... I zacząłem go szukać. Przez jakiś czas krążyłem po domu, wciąż nieco oszołomiony, nim dotarło do mnie, że Edwarda musiało spotkać coś straszego. Zadzwoiłem do Charlotte, żeby się nie denerwowała i spytałem ją, czy mogłabyś tu przyjechać, by zająć się tą sprawą.

Spojrzał na Eve tymi swoimi łagodnymi oczami, co sprawiło, że miała ochotę pocałować go w skroń tak, jak to zrobiła jego żona. Aż się zawstydziła.

– Teraz wiem, że powinienem zadzwonić pod dziewięćset jedenaście zamiast zawracać ci głowę.

– Wcale nie zawraca mi pan głowy. Czy czuje się pan na siłach, żeby obejrzeć gabinet? Przekonać się, czy coś stamtąd zabrano albo coś jest nie na swoim miejscu?

– Jak najbardziej.

– Lepiej, jak nie będzie pan niczego dotykał. Był tu pan już wcześniej, chodził pan po domu, więc nie ma sensu, żeby pan teraz się zabezpieczył. Ale ograniczmy się do minimum. Stanęła na progu gabinetu.

– Czyli pański kuzyn siedział w fotelu za biurkiem.

– Tak... Och, nie, nie za biurkiem. Fotel stał przed biurkiem. – Dennis zmarszczył czoło.

– Dlaczego? Z całą pewnością siedział w fotelu przed biurkiem. Fotel stał na dywanie.

– Dobrze. – To się zgadzało z tym, co zaobserwowała. – Proszę chwilkę poczekać.

Wyjęła z zestawu to, co jej było potrzebne i przykucnęła, żeby pobrać próbkę krwi z podłogi. Potem dokładnie potarła tamponem fragment dywanu.

Skropiła tampon jakimś płynem z małej buteleczki i pokiwała głową.

– Tutaj też jest krew. Ktoś ją wytarł, ale nie da się całkowicie jej usunąć domowym środkiem czystości.

Nachyliła się, by powąchać dywan.

– Nadal czuje się zapach płynu do czyszczenia. – Włożyła mikrogogle i przyjrzała się uważnie temu miejscu. – I widać ślady krwi. A także wgniecenia, pozostawione przez fotel, przesuwany tam i z powrotem, oraz głębsze ślady w miejscu, gdzie stał obciążony.

– Kiedy siedział w nim Edward.

– Na to wygląda. Jeszcze chwilkę. – Przeszła za biurko i przystąpiła do dokładnych oględzin fotela.

– Przeoczyli coś niecoś. Została tu kropla krwi. – Znów pobrała próbkę, lecz zostawiła dość krwi, żeby technicy też mogli ją zbadać. – Panie Mira, czy pański brat był związany?

– Chyba... – Zamknął oczy. – Chyba nie. Nie sądzę. Przykro mi, nie jestem pewien. Byłem w takim szoku.

– No dobrze. Podbite oko, skaleczona warga. Czyli ktoś na niego napadł, posadził go w fotelu, ale przed biurkiem, bardziej pośrodku pokoju. Na tyle nastraszył pańskiego kuzyna, że ten bał się ruszyć z miejsca. Może paralizatorem, nożem, jakąś bronią. Albo groźbą użycia przemocy fizycznej.

Znów obeszała pokój.

– Głosy. Czyli że rozmawiali. Najprawdopodobniej chcieli z niego coś wyciągnąć. Ale im się nie udało, zanim pan przyszedł. Nawet jeśli mieli paralizator, nie posłużyli się nim wobec pana. Kiedy się kogoś potraktuje paralizatorem, mija kilka sekund, nim ofiara straci przytomność. Można w tym czasie zobaczyć napastnika. Uderzyli pana od tyłu. Nie zabili pana ani nie zabrali ze sobą, więc nie był pan dla nich ważny. Tylko sprawił im pan kłopot. Jednak zadali sobie trud, żeby posprzątać, odstawić fotel z powrotem za biurko. Dlaczego?

– To fascynujące, jak w swojej pracy łączysz wiedzę i talent.

– Słucham?

– To, co robisz – wyjaśnił Dennis – to połączenie wiedzy i talentu. Do perfekcji opanowałaś sztukę obserwacji, chociaż według mnie masz to również we krwi. Przepraszam za tę dygresję. – Uśmiechnął się. – Spytałaś, dlaczego. Chyba to rozumiem. Jeśli znają Edwarda, może znają też mnie. Niektórzy by powiedzieli, że się zamyśliłem, przewróciłem i uderzyłem w głowę. A resztę sobie wyobraziłem.

– Tylko głupcy by tak powiedzieli – odparła Eve, czym wywołała uśmiech na jego twarzy. – Czy brakuje czegoś, co powinno tu być, panie Mira, albo coś jest nie na swoim miejscu?

– Zachowaliśmy ten gabinet niemal w takim stanie, w jakim go zostawił dziadek. Część tego, co tu jest, należy teraz do mnie, moich dzieci, do innych osób. Ale wszyscy się zgodzili, żeby na razie niczego stąd nie brać. I wszystko tu jest. Nie sądzę, żeby cokolwiek zabrano czy też przesunięto na inne miejsce.

– No dobrze. Stanął pan na progu, zobaczył go pan. Na sekundę pan zamarł... To naturalne. Całą uwagę skupił pan na swoim kuzynie, ruszył pan w jego stronę, żeby mu pomóc.

Podeszła do drzwi, przystanęła i zrobiła krok. Rozejrzała się po półkach.

Potem wzięła do ręki idealnie wypolerowaną, kamienną misę, zmarszczyła czoło i odstawiła ją na miejsce. Sprawdziła wagę grawerowanej tabliczki i także ją odstawiła. A potem objęła palcami uniesioną trąbę dużego słonia z niebiesko-zielonego szkła. Jest ciężki, pomyślała, i łatwo go chwycić.

– Mira popatrz!

Przyjaciółka podeszła do niej i tak jak Eve przyjrzała się uważnie słoniowi.

– Tak, tak. Nogi słonia pasują do kształtu rany.

Kiedy Eve pobierała kolejną próbkę, Charlotte zwróciła się do Dennisa.

– Przysięgam, że już nigdy, przenigdy nie będę ci wyrzucała, że jesteś twardogłowy.

– Posprzątali, ale zostało nieco krwi. Napastnik cofnął się, stanął obok drzwi. Ten słoń jest ciężki i poręczny. Wszedł pan, bum, stracił pan przytomność. On, ona, oni... Z pewnością oni, jeden zajął się Edwardem, drugi panem i sprzątnięciem. Czyli jeden z nich wziął środek do dywanów lub coś w tym rodzaju, wyczyścił to miejsce, zabrał stację dysków, dyskietki. Zabrali Edwarda, a pana zostawili. Przejdę się po domu, sprawdzę, czy nie wepchnęli go do jakiejś szafy... Przepraszam – zreflektowała się Eve.

– Nie przepraszaj.

– Wezwę techników, żeby zebrali odciski w całym domu. Mogę się skontaktować z wydziałem osób zaginionych, żeby natychmiast przystąpili do poszukiwań.

– Mogłabyś...

– Zajmiesz się tą sprawą? – Mira ujęła dłoń męża, wiedząc, o co mu chodzi. – Obydwoje będziemy spokojniejsi, jeśli ty zajmiesz się tą sprawą.

– Jasne, że mogę to zrobić. Usiądźcie, a ja zadzwonię, do kogo trzeba.

Eve umieściła słonia w torbie na dowody rzeczowe, skontaktowała się z wydziałem techników kryminalistyki, zleciła kilku mundurowym przepytanie ludzi z sąsiedztwa. Trzeba też sprawdzić tego pośrednika od nieruchomości. Ktoś wszedł do domu, najprawdopodobniej zaproszony przez Edwarda Mirę. I ktoś opuścił ten dom, taszcząc Edwarda albo zmusił go do wyjścia.

Potrzebny im był jakiś środek transportu.

Nie włamanie, pomyślała, ani nie zwykłe porwanie, bo wtedy czemu mieliby go najpierw brutalnie potraktować? Fotel na środku pokoju świadczył według niej, że ofiarę przesłuchiowano.

Ktoś czegoś chciał od Edwarda Miry. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że póki tego nie dostanie, porwany będzie żył.

Wróciła do salonu. Państwo Mira włączyli kominek i siedzieli razem na kanapie, popijając herbatę.

Eve przycupnęła na niskim stoliku naprzeciwko obojga, jakby chciała zmniejszyć dystans między nimi.

– Potrzebne mi pewne informacje. Nazwisko tego pośrednika, jego telefon?

– Nie mam pojęcia. Przykro mi. Asystentka nie powiedziała mi tego, a byłem zbyt zdenerwowany, żeby ją zapytać.

– No dobrze, dowiem się tego w biurze Edwarda. Gdzie się mieści jego biuro?

– Zrezygnował z zasiadania w Kongresie, żeby stworzyć zespół doradców politycznych, na którego czele stanął – powiedziała jej przyjaciółka. – Ma biuro w głównej siedzibie

zespołu, w Chrysler Building.

– Pierwszorzędna lokalizacja.

– Edward przywiązuje wielką wagę do prestiżu – oświadczył Dennis. – Jego organizacja, Instytut Miry, zajmuje dwa piętra. Kupili też mieszkanie we wschodniej części Waszyngtonu, z którego korzysta Edward albo któryś z dyrektorów instytutu podczas pobytów w stolicy.

– Potrzebny mi adres tego mieszkania, jak również adres domowy Edwarda Miry. Kiedy skończę tutaj, zamierzam porozmawiać z jego żoną. Jakie panują między nimi stosunki?

Dennis spojrzał na żonę i westchnął.

– Ja powiem. Mandy jest realistką, lubi życie, jakie prowadzi. Była niezrównana podczas kampanii wyborczej, teraz jest niezrównana, jeśli chodzi o zbieranie funduszy i zasiadanie w różnych komitetach. Fakt, że mąż często ją zdradza, traktuje jako część całości, do tego niezbyt ważną, bo Edward jest dyskretny. Ona również jest dyskretna, korzysta z usług agencji towarzyskiej. Mają dwoje dorosłych dzieci, które wprowadzie na użytek publiczny biorą udział w tej grze pozorów, ale żadne z nich nie darzy specjalnym uczuciem rodziców ani nie pochwała ich wyborów – wyjaśniła doktor Mira.

– Różni są ludzie na tym świecie, Charlie – mruknął jej mąż.

– Wiem o tym. Oceniając sytuację jako psycholog, powiedziałabym, że Mandy nie zrobi nic, żeby zachwiać równowagę, panującą w jej świecie. Nigdy nie skrzywdziłyby męża i na swój sposób go lubi. Jeśli chodzi o Edwarda, jest jej wdzięczny za pomoc w karierze i dumny z pozycji społecznej żony.

– Ma wrogów?

– Och, całe mnóstwo. Przede wszystkim politycznych.

– A osobistych?

– Potrafi być czarujący i jest taki – to nieodłączna część polityki. Uważa również, że głoszone przez niego poglądy na wszelkie kwestie, polityczne i prywatne, są słuszne, co wywołuje pewne tarcia. Ten dom stanowi tego przykład – ciągnęła Mira. – Edward zdecydował, że należy go sprzedać, więc według niego zostanie sprzedany.

– Myli się – powiedział cicho Dennis. – Nie zostanie sprzedany. Ale to nie jest teraz najważniejsze. Ktoś go porwał, a nie ma żadnej wzmianki o okupie. – Spojrzał na Eve. – Nie wspomniałaś o okupie.

– Porozmawiam o tym z jego żoną. Panie Mira, chcę pana zapewnić, że wierzę we wszystko, co mi pan powiedział. I ani przez sekundę nie sądziłam, że mógłby pan skrzywdzić swojego kuzyna. Czy kogokolwiek innego.

– Dziękuję.

– Ale muszę zapytać o to, o co zapytam, w przeciwnym razie źle wykonywałabym swoje obowiązki. A jeśli będę źle wykonywać swoje obowiązki, nie pomogę panu.

– Rozumiem. Musisz mnie zapytać, kiedy ostatni raz widziałem Edwarda, jakie panowały między nami stosunki. Czy, skoro zatrzymanie tego domu w rodzinie jest dla mnie takie ważne, wynająłem kogoś, żeby nastraszyć Edwarda.

Dennis skinął głową i odstawił herbatę.

– Spotkaliśmy się tuż przed świętami. Naprawdę tylko dla pozorów, przykro mi to powiedzieć. Razem z Charlotte byliśmy na przyjęciu koktajlowym w ich domu. Kiedy to

było, Charlie?

– Dwudziestego drugiego grudnia. Zostaliśmy tylko przez godzinę, bo Edward próbował przycisnąć Dennisa do muru w sprawie sprzedaży domu.

– Nie chciałem się kłócić, więc wyszliśmy wcześniej. Zaraz na początku roku przysłał mi e-mail, w którym kolejny raz przedstawił swoje argumenty i plan działania.

– Nie mówiłeś mi o tym, Dennisie.

– I tak cię to złości. – Znów ujął dłoń żony. – A ten e-mail nie zawierał niczego nowego. Nie chcę, żeby przez to powstały rozdźwięki w naszym domu. Odpowiedziałem mu krótko, że się nie zgadzam, bo zamierzam dotrzymać obietnicy, danej naszemu dziadkowi. Kiedy natychmiast mi odpisał, wiedziałem, że się zdenerwował. Zwykle zwlekał z odpowiedzią, jakby był zbyt zajęty, żeby zajmować się takimi sprawami. Ale wtedy odpowiedział natychmiast, napisał, że da mi trochę czasu, bym zaczął myśleć rozsądnie, ostrzegł mnie, że będzie zmuszony podjąć kroki prawne, jeśli uparcie będę trwał przy swoim. I... Twierdził, że niczego nie obiecaliśmy, że ja, jak to mam w zwyczaju, wszystko pokręciłem.

– Niech go diabli!

– Charlie...

– Niech go diabli, tego łobuza bez serca. Mówię poważnie, Dennisie! – Wściekłość sprawiła, że Charlotte Mira aż poczerwieniała na twarzy, w jej oczach błyskały gniewne ogniki. – Jeśli chcesz wiedzieć, kto mu źle życzy, to spójrz na mnie.

– Doktor Mira – powiedziała chłodno Eve – proszę się uspokoić. Chcę, żeby ludzie z wydziału informatyki śledczej zapoznali się z tymi e-mailami. Wtedy ostatni raz się kontaktowaliście?

– Tak. Nie odpowiedziałem na jego e-mail. To, co napisał, było okrutne i mijało się z prawdą. Złożyliśmy obietnicę. – Eve widziała zakłopotanie i żal Dennisa Miry równie wyraźnie, jak wściekłość jego żony. – Zadzwoiłem do niego dopiero dziś, lecz nie odebrał telefonu.

– W porządku. – Nie mogła się powstrzymać i położyła dłoń na jego kolanie. – Nie myli się pan w sprawach, które są ważne. Obiecuję, że znajdę odpowiedzi na wszystkie pytania.

Wstała, zadowolona, że rozległ się dzwonek.

– To moi ludzie. Każę technikom najpierw zająć się gabinetem, a sama przeszukam cały dom. Policjanci wypytają okolicznych mieszkańców, może ktoś coś widział. I każę mundurowym odwieźć was do domu.

Wyjęła swój telefon.

– Czy mogę prosić o wpisanie tutaj wszystkich nazwisk i danych kontaktowych, o które prosiłam?

– Charlie to zrobi. Ja mam problemy ze wszystkimi urządzeniami elektronicznymi.

– Tak jak ja. – Podała swój telefon Mirze. – Wszystko będzie dobrze.

Dennis wstał.

– Jesteś wyjątkowo mądrą kobietą. A do tego bardzo dobrą – dodał ku jej zakłopotaniu i zdumieniu. Potem cmoknął ją w policzek, łaskocząc ją lekko zarostem, którego prawdopodobnie nie zauważył podczas golenia. – Dziękuję.

Eve poszła otworzyć drzwi, czując łaskotanie w sercu.

2

Eve odprowadziła ich do wyjścia, porozmawiała z mundurowymi i technikami, a potem postanowiła sprawdzić dom od piwnic po dach. Już zaczęła wchodzić po schodach, lecz zatrzymała się, usiadła na stopniu.

I zadzwoniła do Roarke'a.

Zacząła od „przepraszam”.

– Nie przepraszaj. – Jego twarz wypełniła wyświetlacz i rety, cóż to była za twarz!

Nigdy nie przestanie jej zdumiewać to, jak czasami bogowie, anioły, poeci, artyści jednoczą się, żeby stworzyć ideał. Ślicznie wykrojone usta, niesamowicie niebieskie oczy, kości policzkowe jak wyrzeźbione, a wszystko to okolone czarnymi, jedwabistymi włosami.

– Dostałaś nową sprawę – ciągnął głosem, w którym pobrzmiwał irlandzki akcent, dopełniający obraz ideału.

– Tak jakby. Na razie nie ma zwłok, czyli nietypowo. Ktoś napadł na Dennisa Mirę.

– Co? – Z jego oczu zniknął uśmiech, przeznaczony wyłącznie dla żony. – Jest ranny? Do którego szpitala trafił? Przyjadę do ciebie.

– Nic mu nie jest. Właśnie kazałam ich zawieźć do domu. Porządnie oberwał w tył głowy, a upadając, uderzył skronią o podłogę. Prawdopodobnie doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu, ale Mira już się nim zajęła.

– Gdzie jesteś?

– W domu dziadka pana Miry. Zmarłego dziadka pana Miry. Dom należy teraz po połowie do pana Miry i jego kuzyna, byłego senatora Edwarda Miry, którego też napadnięto i w tej chwili nie wiadomo, gdzie się znajduje. Muszę przeszukać wszystkie pomieszczenia, żeby się upewnić, że nie został zabity, a zwłok nie ukryto w jakiejś szafie. Potem, w drodze do domu, będę musiała porozmawiać z kilkoma osobami. Nie wiem, jak długo...

– Podaj mi adres.

– Roarke, to w SoHo. Nie ma potrzeby, żebyś jechał tu przez całe miasto w taki wieczór jak dziś.

– Albo dasz mi adres, albo sam go odzyskam. Tak czy owak, przyjadę do ciebie.

Podyktowała mu adres.

Zdażyła sprawdzić ostatnie piętro, gdy pojawił się Roarke. I musiała przyznać, że kiedy go zobaczyła z kubkiem kawy, który jej podał, od razu poprawił jej się humor.

– Zamierzałam przygotować kolację.

Jego cudowne usta rozciągnęły się w uśmiechu, a potem musnęły jej wargi.

– Naprawdę?

– Przysięgam z ręką na sercu. W pracy niezjadłam nic gotowanego, więc wychodząc pomyślałam sobie, że może uda mi się wrócić do domu przed tobą, wyjąć wino, zapalić świece, postawić na stole w jadalni talerze ze spaghetti.

– Nigdy tego nie zapomnę.

– Mira mnie dogoniła, jak wychodziłam. Nieczęsto się ją widzi poważnie zaniepokojoną, a była wyraźnie zdenerwowana. Pan Mira skontaktował się z nią, kiedy odzyskał przytomność – zdzielili go w głowę w gabinecie na dole – i poprosił, żeby przyjechała ze mną.

– To zrozumiałe. Nie jest głupi.

– Opowiem ci wszystko, szukając być może martwego Edwarda, ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie, mój krezusie, skupujący cały świat i jego satelity. Gdybyś miał kupić ten dom, ile byś za niego dał?

– Nie obejrzałem go dokładnie, lecz z tego, co widziałem, wiem, że jest wspaniale zachowany i utrzymany w idealnym stanie. Najprawdopodobniej został zbudowany w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Prawie sześćset metrów kwadratowych. W tej części miasta? Zaproponowałbym dychę. Gdybym go sprzedawał, zażądałbym piętnastu.

– Milionów?

– Tak.

– To masa pieniędzy.

– Podoba ci się ten dom? Dennis chce go sprzedać?

– Nie... Znaczący się, jasne, to ładny dom, ale mamy już nasz. I wystarczy mi jeden. I nie, nie chce go sprzedać, między innymi dlatego wyniknęła cała ta sytuacja.

Eve opowiedziała mu wszystko, przeszukując dom, pewna, że Roarke zapamięta każdy szczegół, nawet jeśli zatrzymywał się czasami, żeby z podziwem przyjrzeć się jakiemuś meblowi, stolarce czy sztukaterii na suficie.

– Mógłbym dostać dwadzieścia, gdybym znalazł odpowiedniego kupca i dobrze to rozegrał – rzucił mimochodem. – Ale wracając do rzeczy, wiesz, że senator jest skrajnym reakcjonistą... Przynajmniej z tego, co o nim wiem.

– Jest skrajnym reakcjonistą, sądząc po tym, co mi o nim powiedziała Mira i czego nie powiedział pan Mira. Mimo to dobrze by było, gdyby się okazało, że żyje.

– Zgadza się.

Wróciła razem z Roarkiem do gabinetu. Unosił się tam teraz zapach odczynników chemicznych i proszku, używanego przez techników do wykrywania śladów linii papilarnych.

– Trochę znałem Bradleya Mirę.

– Mów, co wiesz.

– Słabo go znałem – zastrzegł się Roarke. – Głównie ze słyszenia. Był szanowany i podziwiany. Sprawdziłaś jego życiorys?

– Nie, nie uznałam tego za najpilniejsze.

– Był prokuratorem w Nowym Jorku, zanim ty i ja przyszliśmy na świat. Zdaje się, że pochodził z bogatej rodziny, a sam też przyczynił się do pomnożenia majątku. Później został sędzią, odszedł na emeryturę ponad dziesięć lat temu. Bliżej dwudziestu, jeśli mnie pamięć nie myli. Ostatnie lata życia spędził na dobrych uczynkach, o czym świadczą znajdujące się

tutaj dyplomy. Godny podziwu człowiek, który bezsprzecznie wiódł uczciwe życie.

– Pan Mira go kochał, wyraźnie to widać. Dwadzieścia milionów?

Roarke rozejrzał się wokół tymi swoimi niesamowicie niebieskimi, bystrymi oczami.

– Tak, gdybym znalazł odpowiedniego kupca.

– Czyli warto byłoby poszukać tego odpowiedniego kupca. Muszę porozmawiać z tym pośrednikiem od nieruchomości, a to oznacza, że muszę porozmawiać z osobą, która umówiła z nim Edwarda Mirę. Ale najpierw chcę porozmawiać ze sprzątaczką i żoną senatora. Sprzątaczkę możemy odwiedzić po drodze do pani senatorowej.

– Może ja usiądę za kierownicą, a ty w tym czasie poszukasz informacji o nich.

– Dobry pomysł. Tylko najpierw spytam, czy dały coś rozmowy z sąsiadami.

Sila Robarts mieszkała ze swoim mężem, poślubionym dwadzieścia siedem lat temu, kilka przecznic dalej w piętrowej kamienicy. Prowadziła firmę sprzątającą, „Gospoia na Telefon”, a jej mąż był właścicielem i kierownikiem „Złotej Rączki” – firmy, zatrudniającej specjalistów od wszystkiego.

Mieli dwoje dzieci, pracujących w rodzinnym biznesie, doczekali się trójki wnuków.

– Są właścicielami tego domu. – Kiedy Roarke parkował, Eve wskazała głową kamienicę z białej cegły. – Parter zajmują ich firmy, mieszkają na pierwszym piętrze. – Nacisnęła guzik dzwonka do mieszkania.

– Słucham? – rozległ się zniecierpliwiony kobiecy głos.

– Policja nowojorska, pani Robarts. Musimy z panią porozmawiać.

– A to niby dlaczego? Proszę się wylegitymować.

Eve podsunęła swoją odznakę do obiektywu kamery.

– Co się stało? Czy coś złego spotkało któreś z moich dzieci?

– Nie, proszę pani. Musimy tylko z panią porozmawiać. Dostałam pani nazwisko i adres od Dennisa Miry.

– Od pana Dennisa? Nic mu nie jest? O co... Ach, do diabła. – Kobieta umilkła i wpuściła ich do środka.

Hol dzielił parter na dwie części, z jednej strony było wejście do firmy sprzątającej, a naprzeciwko – do „Złotej Rączki”. W głębi znajdowały się jeszcze jedne drzwi, z napisem „Prywatne”.

Te również się otworzyły.

Weszli po schodach na pierwsze piętro, gdzie zobaczyli dwoje podwójnych drzwi. Jedne z nich się otworzyły.

– Czy na pewno nic się nie stało panu Dennisowi? Kim jesteście?

– Policja nowojorska – powtórzyła Eve i jeszcze raz pokazała odznakę. – Porucznik Dallas.

– Dallas? Dallas? – Pani Robarts miała duże oczy koloru gorzkiej czekolady; włosy niemal w tym samym odcieniu brązu upięła w kok na czubku głowy. Kiedy Eve się przedstawiła, oczy kobiety zrobiły się wielkie jak spodki. – Roarke? Dallas? Widziałam film, znam książkę. Słodki Jezu. Mel! Mel! Chodź no tutaj. Coś strasznego spotkało państwa Mirów.

– Pani Robarts, proszę się uspokoić. Państwo Mirowie mają się dobrze.

– Kieruje pani wydziałem zabójstw – powiedziała Sila, obciążając bluzę z nazwą swojej

firmy. – Myśli pani, że tego nie wiem? – dodała, kiedy z głębi mieszkania dały się słyszeć odgłosy kroków. – Współpracuje pani z panią Charlotte.

– Co im się stało? – Mężczyzna, który wbiegł, poruszał się bardzo szybko jak na tak potężnie zbudowanego człowieka. Ważył ponad sto kilogramów przy wzroście około metra dziewięćdziesięciu. Miał sylwetkę piłkarza. – Czy ulegli jakiemuś wypadkowi?

– Według mnie zostali zamordowani!

– Co? Co? – Atletycznie zbudowany mężczyzna złapał swoją żonę, która wpadła w histerię, i wyglądało na to, że dołączy się do jej lamentów. – O mój Boże. Mój Boże! Jak...

– Cicho! – zawołała głośno Eve, żeby przekrzyczeć histeryzującą parę. – Państwu Mirom nic nie jest, najprawdopodobniej siedzą i jedzą kolację, może przyrządzili sobie po dużym drinku. Proszę się uspokoić, do jasnej cholery, i usiąść!

Z czekoladowych oczu Sili Robarts popłynęły łzy.

– Nic im nie jest? Daje pani słowo?

– Jeśli dzięki temu się opanujecie, własną krwią podpiszę oświadczenie, że mają się dobrze.

– W porządku. Przepraszam. – Otarła policzki. – Przepraszam, Mel.

– Co to za heca, Silo?

– To Dallas i Roarke.

– Dallas i... Kogoś zamordowano.

– Co chwila ktoś pada ofiarą morderstwa – zwróciła im uwagę Eve. – Ale wśród denatów nie ma Charlotte ani Dennisa Mirów.

– Przestraszyłam się i tyle. – Sila pociągnęła nosem. – Bardzo się przestraszyłam. Są dla nas jak rodzina.

– To proszę zrozumieć, że dla mnie też.

– Pan Dennis bardzo pochlebnie się o pani wyraża. Wpadł do domu, kiedy sprzątałam, słuchając pani audiobooku. Książki o Icove'ach. Spytałam, czy panią zna, bo wiem, że pani współpracuje z panią Charlotte. Powiedział, że tak, i że dobrzy z was ludzie. I odważni. Kocham pana Mirę.

– No dobrze. – Eve doskonale ją rozumiała. – Nic mu nie jest.

– Przyniosę ci kieliszek wina – zwrócił się Mel do żony. – Państwa też mogę poczęstować winem – dodał, patrząc na Eve i Roarke'a.

– Dziękuję, ale jestem na służbie.

– Ale ja nie – odparł Roarke – i chętnie napiję się wina.

– Mogę pani zaproponować coś innego, pani Dallas. Kawę, herbatę. Mam też pepsi.

– Pepsi? – Sila zmrużyła wciąż mokre od łez oczy. – Melville'u Robartsie, powiedziałaś, że zrezygnowałaś z picia pepsi.

Potężny mężczyzna zgarbił się jak mały chłopczyk, przyłapany na podkradaniu herbatników.

– Może gdzieś w domu zapodziała się puszka czy dwie.

– Chętnie się napiję pepsi – powiedziała Eve, żeby zamknąć ten temat. – Pracuje pani dla Dennisa Miry, sprząta pani dom jego dziadka.

– Tak, zgadza się. Może usiądziemy, jak pani zaproponowała.

Sila przeszła do pokoju dziennego, wygodnie urządzonego, a tak czystego, że aż wszystko lśniło, i opadła na jaskrawoniebieski fotel o wysokim oparciu.

– Moja mama pracowała w domu sędziego Miry i pani Gwen, niemal odkąd pamiętam. Kiedy dorosłam, czasem jej pomagałam. Pani Gwen zmarła nagle, a sędzia kilka miesięcy później, z tęsknoty za żoną. Mamie wciąż ich brak. Mnie również.

– Mnie też. – Mel wszedł z tacą, na której stały trzy kieliszki czerwonego wina i jedna pepsi z lodem. – Wykonywałem w ich domu różne drobne naprawy, jeśli zaszła taka potrzeba. I właśnie tam poznałem Silę. Mieliśmy wtedy po szesnaście lat. Czy są jakieś kłopoty, pani... Porucznik Dallas?

– Tak, są kłopoty. Panu Mirze nic nie jest – powtórzyła – ale dziś wieczorem ktoś na niego napadł w domu jego dziadka.

– Napadł? W domu? – Sila zmrużyła swoje ciemne oczy. – Senator go zaatakował, prawda? Nie udało mu się przekonać pana Dennisa gładkimi słówkami, więc dopuścił się rękoczynów. Senator Edward Mira to kuzyn pana Dennisa, chociaż trudno się u nich dopatrzeć odrobiny podobieństwa. Różnią się od siebie jak dzień od nocy.

– Dlaczego sądzi pani, że Edward Mira miałby napaść na pana Mirę?

– Ponieważ ten człowiek chce, żeby wszystko było tak, jak jemu odpowiada. Jeśli chce pani znać moje zdanie, zawsze był i nadal jest despotą. Nie mam zbyt wysokiego mniemania o nim ani o jego nadętej żonie. Chociaż ich dzieci są w porządku, to dobrzy ludzie i sami też mają cudowne dzieci. Aresztowała go pani?

– Nie. To nie on zaatakował pana Mirę. Prawdę mówiąc, na senatora też ktoś napadł. I nie wiadomo, gdzie teraz jest pan.

– Nie rozumiem.

– Pan Mira wszedł do domu, kiedy akurat ktoś napadł na senatora. Został uderzony w głowę i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, stwierdził, że Edward Mira zniknął, podobnie jak ci, którzy na niego napadli.

Sila wypła łyk wina i ciężko westchnęła.

– Przykro mi, że powiedziałam o nim to, co powiedziałam. To prawda, ale i tak mi przykro. Czy ktoś próbował ich okraść? W domu jest naprawdę bardzo dobry alarm. Nigdy się nie bałam, jak byłam tam sama, z mamą czy z córką.

– Kiedy sprzątała tam pani ostatni raz?

– Dzisiaj, od wpół do ósmej do wpół do trzeciej. Pracowałam dzisiaj razem z córką, moja mama też przyszła. Już nie ma tyle sił, co kiedyś, ale kocha ten dom. Poszliśmy tam z samego rana, sprzątnęliśmy wszystkie pomieszczenia od piwnic po dach. Robimy generalne porządki raz w miesiącu. Przysięgam, że po skończonej robocie włączyliśmy alarm i zamknęliśmy drzwi na klucz.

– Czy w tym czasie ktoś się tam pojawił?

– Nie, proszę pani.

– Czy zauważyła pani dzisiaj albo wcześniej kogoś, kto nie powinien się kręcić w pobliżu tego domu? Wie pani, o co mi chodzi.

– Tak, wiem, i nie, nie widziałam nikogo takiego. To bardzo miła okolica. Mieszkają tam głównie emeryci, jak sędzia, i przedstawiciele wolnych zawodów. Lekarze, prawnicy. Pan Dennis wpadał raz na kilka tygodni, żeby się przywitać i spędzić trochę czasu w domu.

– A senator?

Zmarszczyła nos.

– Ostatnio częściej, wyraźnie miał w tym jakiś interes.

– Silo.

– Nic nie mogę na to poradzić. Zabrał część mebli... Kazał zabrać – poprawiła się – ale pan Dennis powiedział, że te meble zostały zapisane panu senatorowi, więc wszystko w porządku. Nie powiedziałam panu Dennisowi, że podsłuchałam, jak senator rozmawiał przez telefon w sprawie wyceny tych mebli. Panu Dennisowi byłoby przykro, gdyby się dowiedział, że to, co tak kochali jego dziadkowie, zostanie sprzedane obcym ludziom.

Eve zadała więcej pytań; kopała głębiej, podejrzewając, że to obszar, który leży odłogiem. Kiedy wstali, szykując się do wyjścia, Sila dotknęła jej ramienia.

– Chcę zatelefonować do pana Dennisa, usłyszeć jego głos. Chyba się nie uspokoję, póki tego nie zrobię. Czy mogę zadzwonić?

– Naturalnie. – Eve się zawahała. – Proszę odczekać z tydzień, ale jeśli będzie pani miała możliwość, proszę tam pójść i sprzątnąć gabinet. Technicy zostawiają dużo proszku.

– Zapewniam, że sprzątnę gabinet.

W drodze do mieszkania pani senatorowej Eve siedziała zamyślona. W końcu zwróciła się do Roarke'a:

– Sprzedaż mebli, naleganie na sprzedaż domu. Niektórzy są zwyczajnie zachłanni, ale może mógłbyś się uważnie przyjrzeć jego finansom. Może jest hazardzistą i ma długi albo ktoś go szantażuje z powodu jakiegoś romansu. Może nie tyle chce sprzedać dom, ile musi to zrobić.

– Zawsze przyjmuję z zadowoleniem propozycję, by pogrzebać w cudzych finansach. W tym przypadku pozwolenie to prawdziwa gratka.

– Naprawdę go nie lubisz.

– Nic a nic.

– Czy mógłby zmusić pana Mirę do sprzedaży domu?

Roarke zgrabnie ominął mini, którym zarzuciło na oblodzonej jezdni.

– Nie znam szczegółów, lecz jeśli są współwłaścicielami domu, według mnie oznaczałoby to poważną batalię. Dennis mógłby spłacić Edwarda.

– Jasne, gdyby miał w skarpetce dziesięć milionów.

– Dziesięciu milionów nie trzyma się w skarpetce, tylko – jeśli ma się głowę na karku – wykorzystuje, żeby zarobić więcej milionów. Możemy bez trudu pożyczyć mu tyle, ile potrzebuje. Jak w rodzinie – dodał Roarke, kiedy Eve spojrzała na niego.

Ujęła jego dłoń.

– Słowo daję, że zamierzałam przygotować kolację. Rozwazałam również pływanie i seks w basenie, a może nawet oglądanie filmu.

Rzucił jej czarujący uśmiech.

– Naprawdę planowałaś to wszystko?

– Ze szczegółami. I bardzo mi przykro, że nie udało mi się zrealizować tych planów.

– Jeszcze nic straconego.

Roarke zjechał do krawężnika przed lśniącym, srebrnym budynkiem. Eve uśmiechnęła się

z wyższością, kiedy portier, przypominający niedźwiedzia polarnego w białej liberii ze złotymi galonami, wyszedł pośpiesznie na lodowaty deszcz i obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

– Jesteście właścicielami mieszkania w tym budynku?

– Nie. Ale wejdziemy do środka i przekonamy się, czy chcielibyśmy zostać jego właścicielami.

– Wystarczy zastraszyć portiera – powiedziała Eve, zanim wysiedli. – Nie przekupuj go.

– Żeby nie zepsuć ci zabawy? Za kogo ty mnie masz?

Gdy wyszła z wozu, portier pogardliwie wykrzywił usta.

– Nie możecie tu parkować tym gratem.

– Właśnie to zrobiłam.

– A teraz stąd odjedziecie. Można się tutaj zatrzymywać tylko, żeby ktoś wsiadł bądź wysiadł. Taksówkami, limuzynami i pojazdami, które nie przynoszą wstydu przemysłowi motoryzacyjnemu.

Wyciągnęła swoją odznakę.

– To wóz służbowy policji nowojorskiej i w zupełności mnie zadowala. Zostanie tu, gdzie zaparkowałam.

– Proszę posłuchać, nie mam nic przeciwko facetom... I babkom w niebieskich mundurach, ale nie mogę pozwolić, żeby parkował tu taki gruchot.

– Nie należy osądzać książki po tytule.

– Słucham?

– Po okładce – zwrócił jej uwagę Roarke. – Po okładce, kochanie.

– Co za różnica. Zostanie tutaj... – Eve spojrzała na plaketkę z imieniem portiera. – Eugene. Czy widziałeś dziś wieczorem senatora Mirę?

– Nie, nie widziałem go, a stoję tu od czwartej. Proszę posłuchać, może zaparkuje pani w garażu tuż za rogiem? Zadzwońię do nich i nie będzie pani musiała nic płacić.

– Niektórzy mogliby to uznać za próbę przekupienia funkcjonariusza policji. Ale udam, że tego nie słyszałam. A panią Mirę?

– Jej osobista sekretarka wyszła jakieś dwadzieścia minut temu, więc pani Mira powinna być na górze. A co się stało?

– Na razie jeszcze nic, ale się stanie, jeśli nas nie wpuścisz do mieszkania państwa Mirów, i to natychmiast. Mam za sobą ciężki dzień, kolego, jestem przemoczona i przemarznięta. Jeśli zechcę, mogę przemienić twoje życie w piekło.

– Gliny – mruknął pod nosem i zawrócił do wejścia. Stąpając ciężko, podszedł do komputera w holu.

– Pani Mira albo ktoś z jej ludzi muszą wyrazić zgodę. Mają osobną windę, jeśli spróbuję państwa puścić do ich mieszkania bez ich zgody, uruchomi się alarm. Znam swoje obowiązki. Możesz przemienić moje życie w piekło, siostró, ale nawet nie umywasz się do mojej żony. Jeśli stracę robotę, już się postara, żebyśmy wolał iść do piekła.

– Porucznik siostró. Powiedz, że policja nowojorska chce porozmawiać z panią Mirą.

Mężczyzna dotknął ekranu, a potem włożył słuchawkę do ucha.

– Cześć, Hank, tu Eugene, portier. Mam tu ludzi z policji, którzy chcą porozmawiać z twoją szefową. Aha. Tak, jasne. Rozumiem.

Zwrócił się do Eve.

– Muszę sprawdzić, czy państwo są z policji. Ochroniarz pani Miry poinformuje ją, że chcecie wjechać na górę.

– Proszę sprawdzić moją odznakę.

Kiedy zweryfikował tożsamość Eve, znów połączył się z Hankiem.

– Porucznik Eve Dallas, sprawdziłem. W porządku. Ochrona chce wiedzieć, o czym zamierza pani rozmawiać z panią Mirą.

– Poinformuję o tym panią Mirę, żeby nie naruszyć jej prawa do prywatności.

– Powiedziała, że... Sam słyszałeś. Rozumiem.

Odwrócił się od monitora i wskazał im ostatnią z trzech wind.

– To prywatna winda. Pojadą państwo na górę, tam będzie czekał ochroniarz.

– Świetnie. – Eve razem z Roarkiem skierowała się do windy; zaczekała, aż otworzyły się drzwi.

Rozsunęły się niemal bezszelestnie. Kabina miała złote ściany, po obu stronach były ławeczki, obite szafirową tkaniną, na małym stoliku naprzeciwko drzwi stał wazon z białymi różami.

– Kto tak robi? – Eve nie mogła się nadziwić. – Kto stawia kwiaty w windzie?

Roarke pilnie pracował na swoim podręcznym komputerze.

– Osiem lat temu kupili całe ostatnie piętro, cztery mieszkania z tarasami.

– Całe ostatnie piętro.

– Tak, za dwanaście milionów trzysta tysięcy. Poprosiłaś mnie, żebym sprawdził ich finanse.

– Myślałam, że zajmiesz się tym, jak wrócimy do domu.

– Mam zbyt słabą wolę, żeby tyle czekać. Och, w windzie są kamery i mikrofony, ale pozwoliłem sobie zablokować jedno i drugie, jak tylko do niej wsiedliśmy.

– Nie próżnujesz.

– Bezczyność prowadzi do złego.

– Dlaczego? Kiedy śpisz, nic nie robisz. Czy to znaczy, że powinniśmy stale czuwać i coś robić? A jeśli coś się stanie i nie możemy nic zrobić? Czy póki nie odzyskamy sprawności, może dojść do czegoś złego?

Roarke utkwiał wzrok w złotym suficie kabiny i się zamyślił.

– Podważyłaś sens takiego prostego stwierdzenia, może nieco moralizatorskiego.

– Ja też nie próżnuję. – Zadowolona z siebie Eve wymaszerowała z windy, jak tylko drzwi bezszelestnie się rozsunęły.

W szerokim holu pojawił się wielki, potężnie zbudowany Murzyn, którego zdjęcie powinno trafić na okładkę jakiegoś czasopisma, poświęconego męskiej modzie. Dookoła stało jeszcze więcej białych róż i ławeczek, światło było przyćmione. Podwójne drzwi wyglądały na zamknięte na cztery spusty.

– Pani porucznik, szanowny panie – zwrócił się do nich z lekkim brytyjskim akcentem. – Muszę poprosić o przekazanie mi na przechowanie broni, jak również urządzeń elektronicznych, nim pozwolę państwu spotkać się z panią Mirą.

– Absolutnie wykluczone.

– W takim razie obawiam się, że o ile nie ma pani nakazu, dalej pani nie wejdzie.

– Świetnie. Zakładam, że pani Miry nie obchodzi, że dziś wieczorem napadnięto na jej męża i prawdopodobnie go porwano. Jeśli ma jakieś pytania, może się ze mną skontaktować jutro w komendzie głównej. Zakończyłam służbę na dziś. Chodźmy na spaghetti – powiedziała do Roarke’a i odwróciła się w stronę windy.

– Chwileczkę. Twierdzi pani, że ktoś napadł na pana Mirę?

– Z klopsikami – dodała Eve. – A do tego kieliszek wina.

– Doskonale. Przy kominku? – spytał Roarke. – W taki wieczór aż się prosi o ogień na kominku.

– Porucznik Dallas!

Obejrzała się przez ramię.

– Do mnie pan mówi?

– Czy senator Mira został ranny?

– Słuchaj, Hank, przyszedłam tutaj, żeby porozmawiać z Mandy Mirą w oficjalnej sprawie. Albo się zgodzi mnie przyjąć, albo nie. Przestań marnować mój czas.

– Proszę zaczekać tutaj minutkę.

– Dobrze. Daję ci dokładnie sześćdziesiąt sekund. Licząc od teraz. – Podniosła rękę i ostentacyjnie spojrzała na zegarek, kiedy Hank otworzył drzwi i zniknął za nimi.

Wzięła głęboki oddech.

– Dlaczego ludzie są tacy wredni w stosunku do gliniarzy?

– Nie mam pojęcia, ale teraz naprawdę mam wielką ochotę na spaghetti.

– Doczekasz się. – Obróciła się, kiedy równo po trzydziestu sekundach drzwi znów się otworzyły.

– Proszę wejść. Pani Mira zaraz do państwa zejdzie.

– Świetnie. Zostało jej dwadzieścia pięć sekund.

– Pani porucznik... – zaczął i wyraźnie mu ulżyło, kiedy usłyszał szybki stukot obcasów.

Mandy Mira była wysoką kobietą o posągowej figurze i złotych włosach. Eve nie mogła wyjść z podziwu, że z jednej strony sięgały jej do ucha, a z drugiej – do linii brody.

W jej niebieskich oczach malowały się irytacja i znudzenie.

– Co to za historia? Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby policja składała mi wizyty. I nie podoba mi się, że ucieka się pani do jakiegoś nonsensownego twierdzenia o napaści na mojego męża, żeby wtargnąć do mojego domu.

– Pani Mira, czy w ciągu ostatnich dwóch godzin rozmawiała pani ze swoim mężem?

– To nie pani sprawa.

– Dobrze, przepraszam za najście. – Eve się odwróciła, żeby wyjść.

– Żądam wyjaśnień, o co tu chodzi!

– Chodzi o postępowanie wyjaśniające w sprawie zgłoszonej napaści na Edwarda Mirę, a następnie jego zniknięcia.

– To śmieszne.

– Wobec tego może się pani teraz z nim skontaktować, udowodnić, że to nieprawda, a damy pani spokój, najmocniej przepraszając, że zakłóciliśmy pani wieczór.

– Hank! – Pstryknęła palcami. – Zadzwoń do senatora Miry.

– Próbowałem to zrobić, proszę pani, dzwoniłem pod wszystkie numery. Nie odbiera.

– Daj mi to. – Wyrwała mu telefon z ręki i odeszła kilka kroków w niebieskich pantoflach

na niebosiężnych szpilkach.

– Och, praca u niej to musi być sama przyjemność – zauważyła Eve.

Wsunęła ręce do kieszeni, rozejrzała się po pomieszczeniu.

Doszła do wniosku, iż liczne elementy wystroju w niebieskim kolorze wybrano dlatego, że pasowały do koloru oczu Mandy Miry. I wszystko tu było lśniące i błyszczące.

Cieszyła się, że nie poproszono ich, by usiedli, bo fotele wyglądały na diabelnie niewygodne.

Kolejny bukiet białych róż stał na lśniącym, białym pianinie, białe draperie otaczały przeszkloną ścianę, za którą znajdował się taras. Nim Eve doszła do portretu senatora i jego małżonki, wiszącego nad kominkiem, w którym nie płonął ogień, dał się słyszeć pełen wściekłości głos Mandy.

– Jak to, nie wiesz? Płacę ci za to, żebyś wiedziała. Jeśli chcesz nadal otrzymywać pieniądze, masz natychmiast skontaktować się z senatorem Mirą. Czy wyraziłam się jasno?

Rzuciła telefon Hankowi.

– W tej chwili senator jest nieosiągalny, lecz to nie powinno interesować policji. Domagam się wyjaśnień, dlaczego pani tu przyszła, sugerując, że coś mu się stało?

– Czy wiedziała pani o tym, że dziś pani mąż miał spotkanie z pośrednikiem w handlu nieruchomościami w sprawie domu dziadka?

– Tak.

– Czy zna pani nazwisko i telefon tego pośrednika?

– Nie interesuje mnie ta nieruchomość ani co się z nią stanie.

– Rozumiem, że to znaczy „nie”. Kuzyn pani męża, Dennis Mira...

– Och, na litość boską. – Mandy machnęła ręką, jakby poczuła niemiły zapach. – Jeśli Dennis się z panią skontaktował, to tylko marnuje pani swój i mój czas. To głupiec, dziwnie przywiązany do tej nieruchomości. Powiedziałabym, że zaaranżował to wszystko, żeby utrudnić sprzedaż, ale dla Dennisa byłaby to zbyt skomplikowana rzecz.

Roarke położył dłoń na ramieniu Eve i lekko je ścisnął. Przemówił, nim zdołała się odezwać, mogła więc sobie tylko wyobrazić – ze szczegółami – jak jej pięść dosięga twarzy Mandy Miry.

– Na Dennisa Mirę napadnięto w kilka chwil po tym, jak próbował ruszyć na pomoc pani rannemu mężowi. Jeśli przestanie pani przerywać – ciągnął Roarke głosem wystarczająco lodowatym, żeby zmrozić jaja, które – jak wyobrażała sobie Eve – miała Mandy pod spodniami z białego jedwabiu – pani porucznik może panią zapoznać ze szczegółami.

– A kim pan jest?

– Roarke, w tej chwili konsultant porucznik Dallas.

Zmrużyła swoje zimne oczy.

– Naturalnie. Ależ naturalnie. Wiem, kim jesteście. Oboje. Motłoch. Niewątpliwie przyszłście tutaj za namową Dennisa i Charlotte Mirów. Możecie wrócić do nich i powiedzieć, że nie interesują mnie ich żałosne sztuczki, a mój mąż robi, co zechce z tym beznadziejnym, starym domem i wszystkim, co w nim jest. Jeśli jeszcze raz się tu pojawicie, próbując sprawiać kłopoty, powiem o tym gubernatorowi. I przekonamy się, jak długo Charlotte będzie jeszcze kontynuowała swoją żenującą współpracę z policją. Hank, wyprowadź ich. Natychmiast.

Eve lekko nachyliła się do przodu.

– Może mnie pani pocałować w dupę.

Mandy poczerwieniała na twarzy.

– Jak pani śmie! Może pani być pewna, że skontaktuję się z pani przełożonym i poskarżę się na wasze zachowanie.

– Moim przełożonym jest komendant Jack Whitney. Z komendy głównej. – Eve wyjęła swoją odznakę. – Proszę zapisać nazwisko i numer. Dziś w tym beznadziejnym, starym domu zebrałam z podłogi próbki krwi pani męża. Proszę o tym pamiętać. Proszę zastanowić się nad tym oraz nad tym, że nie może się pani z nim skontaktować. I proszę pamiętać, że Dennis Mira stracił przytomność, upadł na podłogę, tracąc również nieco krwi, ponieważ próbował pomóc senatorowi. I...

– Eve... – mruknął Roarke.

– Nie, do jasnej cholery, jeszcze nie skończyłam. I proszę pomyśleć o tym, że gdy policjantka przyszła do pani domu, żeby poinformować o tym fakcie i uzyskać informacje, gdzie może przebywać pani mąż, pani wykręcała się od odpowiedzi. Jako oficer śledczy z wydziału zabójstw patrzę teraz na panią jak pierwszą podejrzaną. Jeśli cokolwiek ukrywa pani w szafie, zapewniam, że to znajdę.

Wściekłość i niedowierzanie sprawiły, że Mandy Mirze cała krew odpłynęła z twarzy.

– Wyprowadź ich stąd. Nie chcę ich widzieć w swoim domu.

Wymaszerowała, kiedy Eve skierowała się ku wyjściu.

Hank zamknął za nimi drzwi.

– Pani porucznik, proszę pana... Chcę przeprosić za...

– Ty wykonujesz swoje obowiązki, ja – swoje.

– Jest pani pewna, że senator Mira został napadnięty i nie wiadomo, gdzie się znajduje?

– Tak. – Zmiana w głosie Hanka sprawiła, że Eve spojrzała na niego. – Czy wiesz, z kim miał się dzisiaj spotkać w kamienicy?

– Nie, ale spróbuję to ustalić. Wiem, że ponad godzinę temu powinien wrócić do domu. Sam powinienem już iść do domu, lecz pani Mira nalegała, żebym został do powrotu pana senatora.

– Czy nigdy mu się nie zdarzyło, by wrócił później, niż przewidywał?

– Nie powiedziałbym. Jeśli dowiem się czegoś, co mogłoby się okazać przydatne, zadzwonię do pani do komendy. A dla pani informacji, pani Mira skontaktuje się z gubernatorem i pani przełożonym.

– Jeśli o mnie chodzi, może się skontaktować nawet z samym Panem Bogiem.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, Roarke ujął dłoń Eve. Niemal czuł, jak jego żona trzęsie się z wściekłości.

– Jestem Mot – powiedział.

– Co?

– Jestem Mot, czyli dla ciebie zostaje Łoch.

Po chwilowej konsternacji dostrzegł błysk zrozumienia w jej oczach.

– Dlaczego ty masz być Motem? Bo to na początku?

– Bo podoba mi się brzmienie tego słowa. Uważam, że do mnie pasuje. Ty zdecydowanie jesteś Łoch. Mój Łoch.

- Porucznik Łoch.
- Jak sobie życzysz.
- Starasz się mnie uspokoić, żebym nie zdemolowała windy.
- Przy okazji sam też się uspokajam. Nieczęsto mam ochotę uderzyć kobietę, to wbrew mojej naturze. Ale tym razem ledwo się powstrzymałem.
- Kiedy w wyobraźni zadałam pięścią cios Mandy, poleciała jej krew z nosa.
- No cóż, w takim razie musi nam to wystarczyć. A jednak... – Uniósł dłoń Eve do ust. – Wrócimy do domu i poświęcimy wiele godzin, starając się odszukać męża tej niewyobrażalnie źle wychowanej suki.
- Musi być z niego niezły fiut. Bo tylko fiut nie rozwiódłby się z nią. Ale masz rację, spróbujemy go odszukać.

Gdy szli przez hol, Roarke nie puścił jej dłoni.

- Może upozorował porwanie, żeby się od niej uwolnić?
 - Trudno byłoby mu się dziwić, ale to fiut.
- W drodze powrotnej do domu skontaktowała się z Mirą, poinformowała ją, że powiadomiła o wszystkim Mandy Mirę.
- Jak to przyjęła?
 - Twierdzi, że wymyśliliście to wraz z panem Mirą, obraziła mnie, Roarke'a, was oboje. Zamierza się skontaktować z gubernatorem i Whitneyem, żeby złożyć na mnie skargę. Powiedziałam jej, żeby pocałowała mnie w dupę.

- Zajmę się tym.
- Proszę, nie! Nie chcę, żebyś...
- Zajmę się tym, Eve. Nalegam. Spodziewaj się przeprosin.
- Nie chcę jej...
- Nie dyskutuj ze mną na ten temat.

Eve właśnie zamierzała to zrobić, dostrzegła jednak zmęczenie i napięcie na twarzy przyjaciółki.

- No dobrze, niech ci będzie. Jak się czuje pan Mira?
- W porządku. Nie zdradza niepokojących objawów. Dziś w nocy będę go obserwowała, choć naprawdę uważam, że nic mu nie jest. Naturalnie martwi się o Edwarda.
- Powiedz mu, że zajmiemy się tym. Zadzwoń, jak tylko coś ustalę.

Zakończyła połączenie, nim doktor Mira zdążyła jej znów podziękować, i zastanawiała się, jak zabrać się do tej sprawy, kiedy przejechawszy przez bramę, ruszyli w stronę domu.

W kilkunastu oknach zapraszająco paliło się światło, ukazując szacowne, kamienne mury, a także wymyślne wieżyczki.

Uważała za prawdziwy cud powrót do takiego domu po długim dniu pracy.

Wysiedli z samochodu i podeszli do schodów.

- Ile czasu zajęło ci zaprojektowanie domu, całej tej eleganckiej fortecy, przypominającej zamek?
- Och, jako chłopiec latami budowałem go w myślach. Za każdym razem, kiedy kładłem się spać głodny albo posiniaczony, stawał się większy.

Ponieważ miał równie koszmarne dzieciństwo, co ona, zdziwiło ją, że poprzestał na tym.

- Nieco zmodyfikowałem pierwotny projekt – dodał Roarke, znów ujmując jej dłoń,

kiedy byli przy drzwiach. – Zrezygnowałem z wież strażniczych i fosy, uznałem, że katapulty nie znalazłyby żadnego praktycznego zastosowania.

– No nie wiem. Katapulty wyglądałyby bardzo odłotowo.

W holu Eve zobaczyła tego, którego w pierwszej kolejności wystrzeliłaby z katapulty: kamerdynera Roarke'a.

Jak zwykle miał na sobie czarny garnitur – wyglądał niczym żywy trup, straszący w tym domu. Gruby kocur otarł się o chudą nogę Summerseta, a potem podbiegł, żeby owinąć się wokół nóg Eve i Roarke'a, jakby wykonywał jakiś koci balet.

Eve odczekała chwilę, spodziewając się usłyszeć kąśliwą uwagę na temat ich późnego powrotu do domu albo jakąś inną uszczypliwość. Ale Summerset rzucił jedynie:

– Pan Mira?

– Czuje się całkiem dobrze – odparł Roarke, zdejmując płaszcz. – Eve przed chwilą rozmawiała z doktor Mirą.

– Cieszę się, że to słyszę. Jeśli mógłbym coś zrobić, wystarczy, jak mi powiecie.

Oddalił się niemal bezszelestnie. Eve patrzyła za nim, marszcząc czoło.

– Po takim dniu nawet nie dał mi okazji, żebym na niego warknęła?

– Powiedziałaś żonie byłego senatora, żeby pocałowała cię w dupę. – Pomógł jej zdjąć płaszcz. – Musi ci to wystarczyć.

– Tamto powiedziałam na służbie.

Roarke pogłaskał Galahada, a potem zaczął iść po schodach.

– Cóż, powetujesz to sobie jutro.

Ponieważ musiała się tym zadowolić, poszła za Roarkiem, a kot wbiegł za nimi.

– Najpierw kolacja – oświadczył kategorycznym tonem Roarke. – Zjemy ją w sypialni, przed kominkiem, napijemy się wina.

Całkiem jej to odpowiadało. Później umieści na tablicy w swoim gabinecie informacje, którymi dysponuje, spróbuje się dowiedzieć czegoś więcej, zadzwoni do pracownika wydziału osób zaginionych, któremu już wcześniej zleciła poszukiwania. Roarke do końca sprawdzi finanse senatora, co sprawi mu prawdziwą przyjemność. A ona...

– Ja zajmę się kominkiem i winem – powiedział Roarke. – Ty przygotuj makaron.

– Dobrze. Zadzwonię do jego dzieci, może coś wiedzą. Rano skontaktuję się z tym jego trustem mózgow, jeśli nadal nic nie będzie wiadomo.

– Masz na myśli: jeśli nie znajdą się zwłoki. Myślisz jak policjantka od zabójstw, prawda?

– Jestem policjantką od zabójstw. Gdyby to było porwanie, zwyczajne porwanie, już by zażądano okupu. Jeśli ktoś go gdzieś wywiózł, żeby wydusić z niego jakieś informacje, może go później wypuści.

– Ale dlaczego?

Zaprogramowała spaghetti i ziołowe pałeczki chlebowe, bo oboje je lubili.

– No właśnie, dlaczego? Chyba że to jakaś sprawa, w której musi zachować milczenie, bo inaczej pogorszy swoją sytuację. Jeszcze za mało wiem na jego temat, by snuć jakieś przypuszczenia. Instykt mi podpowiada, że znajdziemy jego zwłoki, lecz może to skrzywienie zawodowe.

– Żona go nie kocha.

Kiedyś sama by się nad tym zastanawiała, teraz, wiedząc, co to miłość, była tego pewna.

– Nic a nic. Ale ma instynkt terytorialny, zazdrośnie strzeże swojej pozycji. Nie przypuszczam, żeby ona to ukartowała. Może znajdzie coś, co wpłynie na zmianę mojej opinii. Pan Mira powiedział, że Edward zdradza żonę, której jest to obojętne. Może przestało jej to być obojętne z jakiegoś powodu, pojawiła się groźba rozstania i utraty pozycji.

Postawiła na stole w sypialni talerze z okazałymi porcjami makaronu. Ogień na kominku już płonął, Roarke nalał do kieliszków czerwone wino.

Kot przyglądał się temu z uwagą.

– Summerset dał mu jeść, prawda? – spytała Eve.

– Z całą pewnością.

– Kurde. – Znów podeszła do autokuchacza, zaprogramowała małą porcję łososa. – W przeciwnym razie patrzyłby łakomie na nas, kiedy byśmy jedli – powiedziała, gdy Roarke uniósł brew.

Kiedy Galahad rzucił się na rybę, jakby nie jadł od tygodnia, usiadła i wzięła kieliszek z winem.

– Tak miało być kilka godzin temu. – Pociągnęła długi łyk wina.

– Co się odwlecze, to nie uciecze. Siedzimy przed kominkiem w paskudny, zimowy wieczór i razemjemy kolację.

Nawinęła spaghetti na widelec, spróbowała.

– Niczego sobie. Pośrednik w handlu nieruchomościami. – Nawinęła kolejną porcję makaronu na widelec. – Potrzebny mi ten pośrednik w handlu nieruchomościami. Albo jest w to jakoś zamieszany, albo spotkanie z nim czy z nią zostało odwołane. Bardziej prawdopodobne, że jest w to zamieszany.

Nabiła klopsik na widelec.

– Tu nie chodzi o sprzedaż domu. – Pokręciła głową. – Tu chodzi o senatora Mirę. Może dotyczy to polityki, może to sprawa osobista. Może jest komuś winien sporo pieniędzy. Zwabili go do tego domu – czyli wiedzieli o nim – założywszy, że nikt im tam nie przeszkodzi. Pan Mira pokrzyżował im szyki.

– Więc kiedy Dennis był nieprzytomny, wywieźli gdzieś Edwarda Mirę. Czyli musieli mieć jakiś środek transportu.

– No właśnie. A skoro dysponowali samochodem, to najprawdopodobniej od samego początku zamierzali go gdzieś wywieźć. Ale najpierw chcieli go trochę nastraszyć. Dlatego wygląda mi to na osobiste porachunki. Albo chodzi o pieniądze, co dla wielu ludzi oznacza sprawę osobistą. Jednak...

– Załóżmy, że chodzi o pieniądze. Stara się sprzedać bardzo drogą nieruchomość, by spłacić wszystkie długi z wyjątkiem naprawę szalonych.

– No właśnie. Czyli reasumując, gdyby chodziło o pieniądze, najrozsądniej byłoby usunąć przeszkodę, czyli pana Mirę. A tego nie zrobili. Czyli świadczą to, że chodzi o osobiste porachunki.

– Ktoś, kogo sądził lub skazał – podpowiedział Roarke. – Krewny kogoś, kogo skazał. Ktoś, komu się naraził, kiedy zasiadał w senacie, albo ktoś, komu sprzątnął sprzed nosa fotel senatora. – Roarke wzruszył ramionami. – Tacy ludzie, jak on, mają wielu wrogów.

– Facet, który ugania się za spódniczkami, też. Choćby kobieta, którą rzucił, mąż albo kochanek kobiety, z którą miał romans. Mógł mieć wielu osobistych wrogów.

Roarke skinął głową i nawinał na widelec trochę makaronu.

– Dlaczego nie wykończyli go w gabinecie?

– No właśnie. – Eve, jedząc, rozważała różne ewentualności. – Dlatego początkowo uznałam to za porwanie. Ale minęło wiele godzin, a nikt nie zażądał okupu. Czyli... Chcieli mieć więcej czasu, żeby się z nim zabawić. A to może oznaczać, że chcieli z niego wyciągnąć więcej informacji albo zwyczajnie sprawić mu więcej bólu.

– Dennisa zaatakowano od tyłu.

Skinęła głową i znów pociągnęła łyk wina.

– Zadbali, żeby nie zobaczył, kto na niego napadł. Czyli napastnik zachował zimną krew. Czemu jednak nie zdzielili go jeszcze raz czy dwa, nie wynieśli z gabinetu, nie wykorzystali tego aktu przemocy, żeby nastraszyć Edwarda? Nie zrobili tego, bo nie mieli tego w planie.

– Co świadczy, że działają zgodnie z jakimś planem.

– Sam pomyśl. – Poprawiła się na krześle. – Napastnik wchodzi razem z nim do domu. Według mnie to świadczy, że Edward go nie znał, więc nie czuł się przez niego zagrożony. Albo znał go, ale nie czuł się przez niego zagrożony. Ten wybieg z pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Może to napastnik jest pośrednikiem, co ułatwiło zastawienie pułapki. Ponieważ nie mamy uszkodzowanego, żeby nam wszystko opowiedział, ani zwłok, nie wiemy, czy został potraktowany paralizatorem, zwabiony czy siłą zaciągnięty do gabinetu. I nie wiemy, dlaczego wybrali właśnie to miejsce, czy ma ono jakieś znaczenie. Według pana Miry Edward nie był związany, nie znalazłam niczego, co by świadczyło, że go skrupowali. Co moim zdaniem oznacza, że musiało ich być przynajmniej dwoje. Jedno z nich trzymało pojmanego na muszce, drugie go biło.

– Jeśli był winien komuś pieniądze, co mam nadzieję ustalić, może to była para rekieterów. Ale wtedy cały ten trud ściągnięcia senatora do domu dziadków wydaje się niepotrzebny.

– No właśnie. I potem po co go gdzieś wywozić zamiast zwyczajnie połamać mu nogi? Może jeszcze się pojawi żądanie okupu, ale póki go nie ma, nie wydaje mi się, żeby chodziło tu o pieniądze. Przynajmniej nie tak, jak zazwyczaj.

– Następny w kolejce jest seks.

– Tak. Seks doprowadza ludzi do szaleństwa. Stają się podli, mściwi, agresywni.

– Trzymam cię za słowo – powiedział, a Eve aż się zakrztusiła winem.

– Co za zboczeniec.

– Mam do tego prawo. Ale chodzi ci o szalone pomysły bez obopólnej zgody i niesprawiające jednej stronie przyjemności. Zgadzam się z tobą. Lecz... – Przełamał pałeczkę chlebową i podał Eve połówkę. – Jeśli chcieli zatłuc go na śmierć z powodu romansu z kimś albo udaremnionego romansu z kimś, to dlaczego go wywieźli?

– Z powodu pana Miry.

Roarke skinął głową.

– Nie spodziewali się go, może trochę spanikowali. Ale nie na tyle, żeby szybciej skończyć z senatorem. Wywieźli go gdzie indziej.

– To mi się podoba. Kurde, co teraz zrobimy? Spływajmy stąd... I zabierzmy go z sobą – powiedziała, wymachując w powietrzu pałeczką chlebową. Ugryzła ją. – Założę się, że w ciągu dwudziestu czterech godzin znajdziemy zwłoki Edwarda Miry.

– Uważam, że nawet dla nas taki zakład byłby w bardzo złym stylu.

– Tak. – Jedząc zastanawiała się, kto wpadł na pomysł klopsików mięsnych i czy został za to godziwie wynagrodzony. – Tak czy owak potraktuję to jako morderstwo, a wydział osób zaginionych niech działa po swojemu, próbując go odnaleźć. Ale jeśli znajdą się zwłoki, zajmę się tym. Panu Mirze będzie ciężko, mimo że nie można powiedzieć, by między nim a jego kuzynem panowały przyjazne stosunki.

– Rodziny się nie wybiera.

– Masz rację i według mnie z kuzynami różnie bywa. Chociaż kiedy się słyszy, jak McNab albo Peabody rozmawiają o swoich kuzynach, nie mówiąc już o twoich wszystkich irlandzkich krewnych, wyczuwa się silną więź i dużo... Sympatii. Jednak w przypadku tego kuzyna i jego okropnej żony nie tylko czuje się antypatię i całkowite lekceważenie więzi, lecz widać zwyczajną...

– Pogardę – dokończył Roarke, a Eve wcelowała w niego widelec, okazując w ten sposób, że w pełni się z nim zgadza.

– No właśnie. A każdy, kto z pogardą odnosi się do kogoś takiego, jak pan Mira, musi być dupkiem.

– Czyli spodziewasz się, że w ciągu dwudziestu czterech godzin znajdziesz zwłoki dupka. Eve skinęła głową i zjadła trochę makaronu.

– Tak. Co nie znaczy, że nie zrobimy tego, co jest naszym obowiązkiem. Należałoby to dopisać do hasła, które wisi w sali ogólnej mojego wydziału. No wiesz „Nieważne, jakiej jesteś rasy, jakie masz poglądy i tak dalej, służymy i chronimy, ponieważ możesz zginąć”. I powinniśmy dodać, no wiesz...

Zrobiła palcami znak w powietrzu, co rozśmieszyło Roarke'a, bo z taką łatwością ją rozumiał.

– Gwiazdkę.

– No właśnie. I dopisać: „Nawet, jeśli jesteś dupkiem”.

– Może odpowiedniejszy byłby czas przeszły, skoro pracujesz w wydziale zabójstw. „Nawet, jeśli byłeś dupkiem”.

– Hmm. Masz rację. No, lepiej wezmę się do pracy. A ty zajmij się jego finansami.

– Z największą przyjemnością.

Wyszli razem.

– Wyślę raport do Peabody, każę jej tu przyjechać, żeby szybciej zebrać informacje. I powiadomię o wszystkim doktor Mirę. Dozna kolejnego szoku. Niezbyt często widuje się ją wytrąconą z równowagi, ale widok ранnego pana Miry naprawdę nią wstrząsnął.

– Miłość czyni z nas wrażliwych ludzi.

– Uspokoił ją. Ma swoje sposoby. Wiem, że był zdenerwowany, porządnie oberwał, więc musiało go boleć, ale ją uspokoił.

– I miłość sprawia, że jesteśmy silni. To niesamowite.

– Nie wiem, czy na świecie jest wiele osób dobrych od urodzenia. Jakby mieli dobroć zakodowaną w DNA. Ale według mnie pan Mira urodził się dobrym człowiekiem. Więc

naprawdę miałam ochotę znokautować tę sukę Mandy.

– Wyobraziłaś sobie, że zadałaś taki cios, aż poleciała jej krew. – Roarke poklepał ją po ramieniu. – Niech ci to wystarczy.

– Będzie musiało.

Rozdzielili się; Eve poszła do swojego gabinetu, a Roarke – do swojego, sąsiadującego z jej. Kot postanowił towarzyszyć Eve. Skierował się prosto do jej amerykańki, wskoczył na nią, kilka razy pokręcił się w kółko i padł, jakby przebiegł maraton.

Najpierw podeszła do swojego biurka, usiadła i sprawdziła nowe wiadomości. Okazało się, że technicy wzięli sobie do serca jej polecenie, by ostro zabrali się do pracy.

Krew na fotelu należała do Edwarda Miry, a ta na podłodze – do Dennisa. Odciski palców w gabinecie, holu, na drzwiach, należały do obu braci Mirów, a także sprzętaczek: Sili Robarts, jej matki Frankie Trent oraz Dary Robarts – córki Sili.

Czyli sprawcy się zabezpieczyli, wyciągnęła wniosek Eve. Działali zgodnie z planem.

Zacząła pisać raport, dołączyła do niego pierwsze wyniki pracy techników. Potem uznała, że najlepiej będzie przesłać kopię do komendanta i nieco poprawiła raport. Pomyślała, że bez względu na konsekwencje, nie żałuje swoich słów „pocałuj mnie w dupę”.

Po założeniu książki sprawy, gdzie trafiły jej raporty oraz notatki, rozmieściła na tablicy to, co wiedziała, i stwierdziła, że na razie jest tego niewiele. Zacząła chodzić tam i z powrotem przed tablicą, przyglądając się zdjęciu Edwarda Miry. Ale i tak miała przewagę na samym początku gry, nim znajdą się zwłoki.

Skierowała się do biurka, zamierzając poszukać więcej informacji o wszystkich osobach, związanych z tą sprawą, kiedy wszedł Roarke.

– Tak szybko? – spytała.

– Na początek mogę ci powiedzieć, że senatorowi bardzo by się przydał spory zastrzyk gotówki.

– Hazard?

– Nie, przynajmniej nie tylko. Styl życia. A Instytut Miry jeszcze nie jest samowystarczalny. Senator wpompował w niego dużo pieniędzy i nadal musi go finansować. Ogólnie rzecz biorąc, oboje, Mandy i Edward, dużo wydają. Na ochronę, rozrywki, podróże. Mają luksusowy apartament w Nowym Jorku, dom w East Hampton, mieszkanie w East Washington. Są członkami kilku bardzo ekskluzywnych klubów. Instytut wynajmuje apartament w moim hotelu „Palace”, wypłaca duże honoraria i ma bardzo wysokie koszty ogólne.

Podszedł do jej biurka, by poczęstować się kawą.

– W ciągu ostatnich dwóch–trzech lat Edward Mira dokonał kilku nieprzemysłanych inwestycji, co dodatkowo uszczupliło jego dochody. Kilka razy podreperował domowy budżet, sprzedając antyki i starocie.

– Z domu dziadka.

– Zgadza się. Ale jeśli nie postaraliby się o poważny zastrzyk gotówki, musieliby zacząć ograniczać wydatki albo sprzedać jedną z nieruchomości. Uwzględniłem jego dwa ukryte konta bankowe i jedno jej.

– Już znalazłeś trzy zakamuflowane rachunki bankowe? – Kiedy bez słowa popatrzył na nią znad kubka, Eve pokręciła głową. – No oczywiście. Jakieś nielegalne dochody?

– A przynajmniej wielce wątpliwe i nieetyczne w przypadku kogoś, kto się zajmuje polityką. Sprzedaż domu z całą pewnością dałaby mu chwilę wytchnienia.

– Ale nie znalazłeś nic, co by świadczyło, że jest winien pieniądze komuś, kto mógłby nasłać na niego rekieterów?

– Pokopię głębiej, lecz z tego, co już wiem, wyłania się dość jasny obraz. Oboje są przyzwyczajeni do pewnego stylu życia – oraz pozycji społecznej – i nie lubią ograniczać wydatków, żeby poprawić swoją sytuację finansową. Na przykład ona wydaje od dziesięciu do dwunastu tysięcy miesięcznie na wizyty w salonach piękności i spa. Do tego jeszcze dwa razy do roku operacje plastyczne, które kosztują dwa razy tyle, co wizyty w salonach piękności. Pod tym względem pan senator nie pozostaje daleko w tyle za małżonką.

– Jezu, czyli rocznie wydają na to ćwierć miliona!

– Zgadza się. Ale to nic w porównaniu z pieniędzmi, które zainwestował i nadal inwestuje w Instytut. Na początek włożył w niego własne dwadzieścia milionów i chociaż rocznie Instytut daje mu milion, całą tę kwotę i jeszcze trochę pochłaniają bieżące wydatki. Zapewniam cię, że w ciągu ostatnich osiemnastu, dwudziestu czterech miesięcy finanse stały się dla Edwarda Miry poważnym problemem.

– No dobrze, więc musi coś sprzedać. Czyli wiemy, jaki miał motyw. Trzeba ustalić, kto zyskałby na tej sprzedaży w razie jego śmierci. Najprawdopodobniej żona i dzieci.

Eve znów zaczęła chodzić wzdłuż tablicy.

– Żona nie chce zrezygnować z dotychczasowego stylu życia. Czy z tego powodu kazałaby go zabić? – Przystanęła i przyjrzała się zdjęciu. – Wcale by mnie to nie zdziwiło. Stać ją na coś takiego. Prawdopodobnie wykupił polisę na wypadek swojej śmierci. Gdyby walnął w kalendarz, byłaby nie tylko pogrążoną w żalu wdową, ale również niezłe zabezpieczoną.

Wsunęła ręce do kieszeni i zaczęła się bujać na piętach. Pokręciła głową.

– Ale metoda zupełnie do tego nie pasuje. Nawet jeśli kogoś wynajęła. Masz tu okrągłą sumkę, daj wycisk mojemu mężowi, zabij go i zrób to w tamtym domu. Bo może uznała, że w takiej sytuacji Dennis zgodziłby się na sprzedaż wspólnej własności.

– Prosiłaby go o to pogrążona w żalu żona kuzyna, którego tam zamordowano. Sprzedaż domu pomoże nam wszystkim przeboleć stratę. Tak. – Roarke podał jej kubek z resztką kawy. – Potrafię to sobie wyobrazić. Chociaż bardzo to zawiłe.

– Zbyt zawiłe. Poza tym, jeśli zamordowali go wynajęci zabójcy, po co mieliby gdzieś wywieźć zwłoki po tym, jak załatwili senatora?

– Czyli jednak porachunki osobiste.

– Według mnie tak. Nie jest nikomu nic winien i nie zauważyłeś, by płacił komuś, kto go szantażował albo groził szantażem?

– Nie, nie znalazłem nic takiego.

– Czyli chodzi o pieniądze dla niego, a nie dla kogoś, kto go trzyma w garści. Seks. Roarke objął ją w pasie.

– Z największą przyjemnością.

– Nie chodzi o nas, asie. Pieniądze, polityka, kobiety – głównie tym się zajmował. Pieniądze nie pasują. Polityka... Już nie jest senatorem, ale jest ten trust mózgow.

Sprawdzą to, lecz jeśli finansuje działalność Instytutu, co by dzięki temu zyskał w świecie polityki? Czyli zostaje nam seks. Ten apartament w twoim hotelu to idealne gniazdko miłości.

– Staramy się zapewniać naszym gościom jak największą dyskrecję.

– Ha. Założę się, że mógłbyś pociągnąć za sznurki i podać nazwiska gołąbeczek, które senator-kogut sobie przygruchał. To nie najlepiej brzmi – powiedziała, marszcząc czoło. – Niewystarczająco barwna metafora.

– Jesteś zbyt surowa wobec siebie. Naturalnie, że mogę pociągnąć za sznurki. I jeśli się zabawiał w swoim apartamencie, zdobędę dla ciebie nazwiska, a przynajmniej zdjęcia. Daj mi kilka minut.

Eve dołała sobie kawy i usiadła do komputera, żeby poszukać informacji.

Nie zdziwiła się, kiedy Roarke skończył przed nią.

– Pięć kobiet w ciągu ostatniego roku. Wysyłam ci ich nazwiska. Ze wszystkimi spotykał się raz w tygodniu, na ogół przez sześć do ośmiu tygodni. Mam ochotę na brandy.

– Pięć w ciągu roku. A dobiega siedemdziesiątki.

– Zawdzięczamy to postępowi w dziedzinie nauk medycznych. Wznieśmy za to toast. – Otworzył barek w ścianie, wyjął z niego karafkę. – Przekazałem ci ich listę w kolejności chronologicznej. Mogę też dodać, że senator średnio raz w tygodniu wykorzystuje apartament w celach prywatnych. Na ogół spędza tam noc, natomiast aktualne wybranki rzadko zostają do rana.

Wydrukowała ich zdjęcia i umieściła na tablicy.

– Wszystkie z wyjątkiem dwóch to mężatki. Ostatnia ma dwadzieścia pięć lat. Czyli, na rany Chrystusa, jest od niej o ponad czterdzieści lat starszy. To nie w porządku.

Kiedy Roarke bez słowa zakręcił brandy w kieliszku i wypił łyk, zmrużyła oczy.

– Mógłby być jej dziadkiem.

– Nie lubię go... Teraz jeszcze bardziej niż poprzednio... Ale nic nie mogę poradzić na to, że podziwiam jego... Kondycję.

– Myślisz kutasem.

– No cóż... – Spojrzał na swoje krocze. – Też ma coś do powiedzenia.

Mrucząc coś pod nosem, Eve wstała i podeszła do tablicy.

– Trzeba przyznać, że wszystkie są atrakcyjne. I o tyle lat młodsze od niego. Ta Lauren Canford, najstarsza z jego kochanek, ma czterdzieści dwa lata. Mężatka, dwoje dzieci, lobbystka. Czyli działa w polityce. A najmłodsza, Charity Downing, lat dwadzieścia pięć, panna, malarka, pracuje w Eclectii... To galeria sztuki w SoHo. Asha Coppola, powtórnie zamężna, jest zatrudniona w organizacji non profit, ma trzydzieści jeden lat. Allyson Byson, zamężna po raz trzeci... Czy to przejaw optymizmu czy choroby umysłowej? Mniejsza z tym. Zamężna po raz trzeci, trzydzieści cztery lata, niepracująca. I Carlee MacKensie, lat dwadzieścia osiem, pisarka, freelancer. Przyjrzę się im i ich małżonkom.

– Przyniosłem trochę pracy do domu, więc jeśli nie potrzebujesz mojej pomocy...

– Naturalnie, zajmij się swoimi sprawami. I dziękuję.

Pozwolił jej pracować do północy. Tak, jak przypuszczał, zastał Eve przysypiającą przy komputerze.

– Jak na jeden wieczór wystarczająco dużo zrobiłaś.

Nie oponowała, wiedziała, że musi się z tym przespać. I jeśli się myli, może Edward Mira wróci do domu przed świtem.

Ale się nie myliła.

– Wiedziałeś, że i pan Dennis Mira, i jego kuzyn studiowali w Yale? Senator zaczął rok wcześniej. Właściwie powinien mieć dwa lata przewagi, ale pan Mira wcześniej skończył szkołę średnią. I ukończył Yale z magnum coś tam.

– Magna cum laude.

– No właśnie. I był członkiem Phi Beta. Miał trzecią lokatę na swoim roku. A senator ukończył studia jako siedemdziesiąty któryś. Pan Mira ma wiele tytułów naukowych, których skróty widnieją na jego wizytówce. Połowy z nich nie potrafię rozszyfrować. Na ostatnim roku studiów wybrano go na starostę i wygłosił mowę na uroczystości wręczenia dyplomów. Senator był więcej niż dobry, lecz pod względem osiągnięć naukowych nie dorasta swemu kuzynowi do pięt.

– Wyobrażam sobie, że przyszedłemu senatorowi niezbyt się to podobało.

– Zgadza się z tobą. Tak czy owak, zaczynały się pierwsze niepokoje przed wojnami miejskimi, pan Mira został dowódcą patrolu porządkowego w kampusie. Kampus znajduje się dość daleko od miasta, było więc w nim stosunkowo bezpiecznie, ale mieli kłopoty, i demonstracje, i regularne groźby ataków bombowych.

W sypialni usiadła, żeby zdjąć buty.

– Senator ukończył prawo i zatrudnił się w kancelarii adwokackiej w Sunnyside, daleko od miejsca konfliktu. Pan Mira wrócił do Nowego Jorku i zdobył tytuł magistra na Columbii. Zrobił tam też doktorat, czyli oboje są doktorami. Przez rok mieszkał razem z Charlotte Mirą.

Eve pokręciła głową, rozbierając się.

– Wiesz, że nigdy bym nie pomyślała, że razem mieszkali? I dziwnie się czułam, zbierając te informacje. Jak podglądaczka. Obydwoje zaczęli kariery zawodowe i mieszkali w mieście, gdzie toczyły się wojny. Wzięli ślub w domu dziadka. Nie powinnam tracić czasu na takie historie, ale...

– To takie miłe.

– No właśnie. I to dodatkowy powód, dlaczego ten dom jest dla niego taki ważny. – Włożyła koszulę nocną, a potem wsunęła się pod kołdrę. – Senator i Mandy wzięli ślub w „Palace”, zanim zostałeś jego właścicielem. Weselisko było huczne.

Kiedy Rorke położył się obok niej, odwróciła się do niego.

– Ty też mogłeś urządzić huczne weselisko. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo nie spodobałoby ci się to. – Objął ją i przyciągnął do siebie. – A jeśli chodzi o mnie, chciałem rozpocząć nasze wspólne życie w miejscu, które jest najważniejsze. W domu. Chciałem, żeby z nim kojarzyły się te wspomnienia... Jak obraz, który kazałaś dla mnie namalować. My dwoje w altanie, w dniu naszego ślubu.

Westchnęła.

– Może tam to zrobimy.

– Gdzie?

Ale już usnęła i mu nie odpowiedziała.

3

Była pogrążona w półśnie, miała dziwne senne majaki, które się pojawiały, splatały ze sobą, a potem znikwały jak smugi dymu.

Ale mimo tych snów, raczej osobliwych niż budzących niepokój, czuła się bezpieczna, było jej błogo i ciepło.

Więc kiedy Roarke się odsunął, zmieniła pozycję, pragnąc dalej czuć się bezpieczna i żeby było jej błogo i ciepło.

Musnął ustami jej czoło, próbując się od niej uwolnić.

– Aha – mruknęła.

– Śpij – szepnął i chciał odsunąć jej rękę, ale Eve mocniej go złapała.

– Za wcześnie. Jest jeszcze ciemno. Zostań.

– Mam holokonferencję za...

Było jej to obojętne, odwróciła głowę i w ciemnościach odnalazła jego usta.

Nie tyle go pożądała, ile pragnęła bliskości, poczucia zespolenia, nim świat się zbudzi i ich zaanektuje.

Pragnęła jego, tylko jego, w dużym łóżku pod oknem sufitowym, nim nastanie świt.

Więc pociągnęła go za sobą tam, gdzie było przytulnie i dobrze.

Usłyszał jej westchnienie, poczuł pocałunek, który przypominał drżący most między nocą a dniem, i napełnił go miłością niczym czyste złoto. Położyła się na nim tak, że ich serca, ich usta, ich ciała znalazły się tuż obok siebie.

Jej smukła figura niezmiennie go zachwycała: gładka skóra, silne mięśnie. Wsunął dłonie pod cienką koszulę, w której spała, przesunął palcami po ciele Eve i pomyślał, że byłby najszczęśliwszy i niczego by mu nie brakowało, gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie.

Usiadła na łóżku, zdjęła koszulę i przyłgnęła do niego.

Poczuł zadowolenie, początkowo głębokie i intensywne, które po chwili przemieniło się w delikatne niczym puls uderzenia – dowód, że żyjemy. W ciemnościach przesuwały się cienie, tajemnicze, milczące, przez nich wyczarowane. Poruszała się wolno, rytmicznie, kompletnie zawładnęła jego sercem i ciałem.

Przywarł do niej, zanurzył dłonie w jej włosach, dotknął ustami jej ust, a jego serce zalała miłość. Poddali się doznaniom, wywołanym tym płomieniem miłości.

Połączeni razem się poruszali.

Znów westchnęła, wciąż go obejmując, przyciskając policzek do jego policzka.

– No dobrze – powiedziała, wzdychając. – No dobrze.

Kiedy położył się obok niej, była bezwładna jak roztopiony wosk i jak on ciepła. Roarke przesunął dłonią po jej włosach, po policzku, wywołując uśmiech na twarzy Eve.

– Chyba uda nam się to zrobić.

– Czy właśnie tego nie zrobiliśmy?

Nadal się uśmiechając, wbiła mu palec w brzuch.

– Nie to miałam na myśli, chociaż naprawdę było to bardzo miłe. Chyba moje myśli wciąż krążą wokół państwa Mirów. Nie byłeś z nimi na miejscu przestępstwa. To było... Chyba to wynik tego, jak na siebie patrzą, jak się dotykają. Parę razy musiałam odwrócić wzrok, bo miałam wrażenie, że jestem tam intruzem. Są małżeństwem od kilkudziesięciu lat, ale kiedy się ich widzi w takich momentach, jak wczoraj wieczorem... Człowiek rozumie dlaczego.

Zamknęła oczy.

– Chcę tego. Nigdy nie myślałam, że tego zapragnę, ale chcę tego. Chcę być z tobą przez całe dziesięciolecia i chcę, żebyś zawsze patrzył na mnie tak, jak on patrzy na nią.

– Jesteś miłością mojego życia. I zawsze nią pozostaniesz.

– Powiesz mi to za trzydzieści lat?

– Obiecuję. A teraz, miłości mojego życia, śpij dalej.

Zmarszczyła czoło, kiedy wstał.

– Przecież jest środek nocy.

– Dochodzi wpół do szóstej.

– Według niektórych to środek nocy.

– W Europie jest środek dnia, zaraz mam holokonferencję.

Kiedy brał prysznic, drzemała, ale stwierdziła, że jej umysł już się obudził. Prawie nie słyszała, jak Roarke wyszedł z łazienki i ubrał się – poruszał się jak duch.

Prawdopodobnie dlatego kiedyś był takim niezrównanym złodziejem.

Kiedy została sama, poleżała jeszcze kilka minut, nim uznała, że już nie uśnie.

– Światło na dwadzieścia pięć procent!

Kiedy rozproszyły się ciemności, niemal podskoczyła. Kot leżał rozwalony w nogach łóżka i świdrował ją wzrokiem.

– Chryste, jesteś prawie tak okropny jak Roarke, obaj skradacie się bezszelestnie.

Przypuszczała, że seks bladym świtem zirytował kocura, ale ją wspaniale nastroił do działania. Zaprogramowała kawę i wypila, a potem poszła do łazienki.

Ponieważ dorwała się przed Roarkiem do autokucharza, wybrała śniadanie dla nich obojga – według niej nie było nic lepszego od gofrów w zimny, styczniowy poranek – i zostawiła je pod przykrywkami, by nie wystygły, kiedy poszła się ubrać.

Z kawą i swoim palmtopem usiadła do roboty.

– Cóż za śliczny widok w paskudny, zimowy dzień.

Uniosła wzrok i doszła do wniosku, że Roarke też ślicznie wygląda w garniturze władcy świata interesów.

– Już sfinalizowałeś zakup Europy?

– Na razie jeszcze nic dziś nie kupiłem, tylko rozmawiałem z ludźmi z działu badań i rozwoju. Robią znaczne postępy.

Usiadł, nalał sobie kawy z dzbanka, stojącego na stole, unióśł pokrywki z talerzy.

– O, gofry!

– Na śniadanie zawsze powinny być gofry. Punktualnie o ósmej umówiłam się z Peabody w Instytucie Miry. Chcę się zorientować, czym się zajmują. Powinniśmy też zdążyć

porozmawiać z kilkoma jego przyjaciółkami, nim udamy się do komendy. Dziś o dziesiątej zero zero Trueheart odbiera odznakę.

– Żałuję, że nie mogę tego obejrzeć, szczególnie, że będziesz w mundurze.

Przyglądał się, jak Eve nakłada na swoje gofry grubą warstwę masła i obficie polewa je syropem.

Patrzyli na nią obaj z Galahadem, który zaczął się wolniutko skradać na brzuchu, póki Roarke nie uniósł brwi. Kot przewrócił się na wznak i zaczął przebierać łapami w powietrzu.

– Zdejmę mundur, jak tylko uroczystość się zakończy.

– Naprawdę bardzo żałuję, że tego nie zobaczę.

– Cha, cha. Porozmawiamy z pozostałymi przyjaciółkami senatora, a potem z jego dziećmi. Może będą miały coś więcej do powiedzenia niż żona.

– Domyślałam się, że już sprawdziłaś, ale się nie znalazł. Żywy ani martwy.

– Do tej pory nie. Później jeszcze raz skontaktuję się z wydziałem osób zaginionych, każe Peabody obdzwonić szpitale. Roześlę zdjęcie wszystkim funkcjonariuszom, żeby go szukali.

Zjadła więcej gofrów i pomyślała, że gdyby ludzie każdy dzień zaczynali od seksu i gofrów, może nie byłoby tak skłonni do zabijania się nawzajem.

Chociaż kto to wie.

– Poinformuję mnie, jak znajdą zwłoki – dodała. – Na razie na wszelki wypadek zwróciłam się do jednostek policji w innych miejscach zamieszkania senatora. Spodziewam się też, że dziś rano potwierdzą słońa.

– To zwrot, który nieczęsto się słyszy.

– Ciężki przedmiot, którym uderzono pana Mirę, to wymyślna figurka przedstawiająca słońa. Przyśniło mi się, że ożyła i zaczęła demolować kamienicę. Jest tylko tej wielkości... – Przystała jeść i pokazała rękami wielkość posążka. – Ale zawsze to słoń.

– Czasami zazdroszczę ci tych niesamowitych snów.

– Chyba go potraktowałam paralizatorem, nim wyszedł z domu i zaczął demolować okolicę, ale niezbyt dobrze pamiętam, bo zlał się z innym.

– Słoń zlał się z innym słońem?

– Nie, sen... Coś w rodzaju słońa. Przesłuchiwałam go. No wiesz: Panie Słońiu, jest pan oskarżony o próbę zabójstwa, ale jeśli okaże pan pomoc policji, mogę się postarać o przekwalifikowanie czynu na zwykłą napaść.

Jej mąż zaczął się tak głośno śmiać, że Galahad spróbował ponownie zbliżyć się do gofrów. Roarke tylko machnął ręką, by odpędzić kota.

– Czy to dziwne, że cię ubóstwiam? „Panie Słońiu!”.

– Teraz wydaje się to zabawne, ale we śnie mówiłam zupełnie poważnie. Wydaje mi się, że ów przeklęty słoń to jedyna konkretna rzecz, jaką mam. I znajdował się pod ręką.

– Posłużono się nim, żeby zadać cios komuś, kto jest dla ciebie bardzo ważny.

– Chyba tak. Zamierzam wstąpić do nich w ciągu dnia w zależności od rozwoju sytuacji.

– Wzięła sporą jeżynę z małej miseczki stojącej na stole. Nagle zmarszczyła czoło. – Czy powinnam coś im zanieść? Na przykład, nie wiem, kwiaty albo coś w tym rodzaju?

– Nie sądzę, że to konieczne, ale kwiaty albo jakiś drobiazg zawsze są mile widziane.

– No dobrze, zobaczymy, jak się potoczą sprawy. – Skończyła jeść gofra. – Przed wyjściem z domu sprawdzę kilka rzeczy, potem zadzwonię do doktor Miry.

– Poinformuj mnie, kiedy senator się znajdzie, dobrze?

– Jasne.

– Dziś jestem umówiony z Nadine – wspomniał Roarke, kiedy Eve wstała, żeby przypiąć broń, a potem narzuciła na nią marynarkę. – Waha się między magazynem, idealnie nadającym się do przerobienia na mieszkanie, a trzy poziomowym apartamentem w Upper West Side.

– Trzy poziomowy apartament... To coś w rodzaju penthouse'a w eleganckim wieżowcu, z wszelkimi zabezpieczeniami i wszystkimi wygodami?

– Zgadza się.

– Doradź jej, żeby wybrała to trzy poziomowe mieszkanie. Może sądzić, że magazyn jest odłotowy, już planuje, jak go wyremontować, ale remont doprowadzi ją do szaleństwa. Zresztą kiedy znajdzie na to czas? Ma swój program na Kanale Siedemdziesiątym Piątym, zajmuje się książką i tak dalej... – Spojrzała na niego. – Oba należą do ciebie?

– Tak. Zrezygnowała z kilku innych nieruchomości, a potem poprosiła, żebym zaproponował jej dwie, które należą do mnie. I spytała, czy dziś pokażę jej obie. Prześladują ją koszmary i chce się jak najszybciej wyprowadzić z dotychczasowego mieszkania.

– Powiedziałam jej, żeby nikomu nie otwierała drzwi – mruknęła Eve. – Tylko trzy poziomowy apartament. – Zawróciła, nachyliła się i go pocałowała. – Na razie.

Objął ją, żeby jeszcze raz ją pocałować.

– Dbaj o moją policjantkę.

– Nie mam innego wyjścia, bo masz mi coś do powiedzenia za jakieś trzydzieści lat od dziś. Apartament trzy poziomowy – powtórzyła, kierując się do drzwi. – Powiedz Nadine, żeby przestała wydziwiać i kupiła to mieszkanie.

Była pewna, że wyjechała z domu, mając duży zapas czasu, ale przez całą drogę zmagala się z korkami ulicznymi. W końcu dotarła do wieżowca Chryslera, zastanawiając się, dlaczego więcej ludzi nie pracuje w domu, by zostawić ulice tym, którzy naprawdę ich potrzebują. Znalazła miejsce do zaparkowania, pokonała dwa квартаły na piechotę.

Roarke miał rację, że rano jest nieprzyjemny. Niebo miało kolor jasnoblękitny, powietrze było ostre. Eve wsunęła ręce do kieszeni płaszcza, żeby ogrzać dłonie, i wymacała rękawiczki.

Zupełnie nowe, ocieplane. Pomyślała, że szybko je zgubi, ale teraz bardzo się z nich ucieszyła.

Już chciała zadzwonić do Peabody, by spytać ją, kiedy dotrze na miejsce, kiedy dostrzegła swoją partnerkę na przejściu dla pieszych.

Różowy płaszcz Delii wyróżniał się w morzu czarnych, szarych i granatowych okryć. Jeśli dodać do tego kolorową czapkę, okrywającą krótkie, ciemne włosy, długi szalik – dziś niebieski – wypatrzyłaby Peabody z odległości sześciu przecznic.

Zaczekała, aż dziewczyna dołączy do tłumu, przechodzącego przez jezdnię.

– Jak się czuje pan Mira? – zaraz na wstępie zapytała Peabody. – Sprawdziłaś dziś rano?

– Jeszcze nie. Nie chciałam ich obudzić, na wypadek, gdyby jeszcze spali.
– No tak, ale jeśli doznał wstrząśnienia mózgu...
– Mira zawiezie go do szpitala, jeśli okaże się to konieczne. Kiedy wczoraj wyprawiałam ich do domu, wyglądał zupełnie dobrze.
– To okropne, że ktoś sprawił mu ból.
– Mogli na tym nie poprzestać. Cieszymy się, że tylko tak się skończyło.
Odwróciła się w stronę wejścia do okazałego budynku w stylu art deco.
– Nigdy nie skojarzyłam, że pan Mira jest spokrewniony z senatorem Mirą. No bo czy mogliby się bardziej różnić?

Eve zmarszczyła czoło, wchodząc do budynku.

– Znasz Edwarda Mirę?
– Tak. Znaczący się nie osobiście. Jako polityka. Jestem zwolenniczką Wolnego Wieku – przypomniała jej Peabody. – I nie zgadzam się prawie ze wszystkim, co głosi, ale...

Peabody urwała i zadarła głowę jak turystka.

– Nigdy tu nie byłam. To niesamowita konstrukcja!
– Przestań się gapić – warknęła Eve i szturchnęła ją w bok. – Zachowuj się jak policjantka.

Budynek niewątpliwie robił wrażenie holem o wysokości trzech kondygnacji, złotoczerwonymi, marmurowymi ścianami, złotą, błyszczącą posadzką, okazałymi kolumnami.

Ale policjanci na służbie nie gapią się z rozdziawionymi ustami.

Eve zostawiła Peabody, która ciągnęła się za nią – prawdopodobnie wciąż się rozglądając na wszystkie strony – i podeszła do jednego z monitorów z informacjami.

Witamy. Proszę podać cel wizyty.

– Instytut Miry.

Obraz budynku, będącego symbolem Nowego Jorku, zastąpiło logo Instytutu.

Instytut Miry zajmuje pomieszczenia na trzydziestym i trzydziestym pierwszym piętrze. Główna recepcja mieści się na trzydziestym. Proszę podać wydział, który zamierzają państwo odwiedzić, a wyświetlę informacje, jak tam dotrzeć.

– Może być główna recepcja.

Proszę zgłosić się do strażnika w celu poddania się kontroli i uzyskania przepustki. Życzymy miłej wizyty i miłego dnia.

Gdy tylko Eve się odwróciła, podeszło do niej dwóch umundurowanych strażników.

– Proszę trzymać ręce tak, żebyśmy je widzieli. Musi pani z nami pójść.

Już je skontrolowali, pomyślała, i ich broń zaalarmowała ochronę.

– Jesteśmy z nowojorskiej policji. Zaraz sięgnę po odznakę. Zrozumieliście?

Wolno wyjęła odznakę, na wypadek, gdyby jeden z nich okazał się nerwowy i nacisnął spust paralizatora.

Mężczyzna, któremu pokazała odznakę, wziął ją i sprawdził podręcznym skanerem.

– Dziękuję, pani porucznik – powiedział, oddając jej odznakę. – Musimy również obejrzeć pani odznakę – zwrócił się do Peabody.

Kiedy mu ją podała, skinął głową, a jego towarzysz po chwili odsunął się, mówiąc coś do mikrofonu w klapie marynarki.

– Mogą panie wejść. Proszę wjechać windą na trzydzieste piętro. Uprzedzę ich o wizycie pań. W przeciwnym razie zatrzymaliby panie, jak tylko wysiadłyby panie z windy. Na trzydziestym piętrze mają swoich strażników.

– Dziękujemy.

Przeszły przez hol i dołączyły do małej, rozgadanej grupki osób, wsiadających do windy. Eve poczuła kawę, którą ktoś niósł w kubku na wynos, tak słodką, że niemal rozboleły ją zęby, i czyjeś perfumy o zbyt kwiatowym zapachu. Dwie kobiety szczebiotały niczym skowronki o tym, że podczas przerwy obiadowej spróbują coś kupić na wyprzedaży w centrum, a jakiś gość w futrzanej czapie rozmawiał przez telefon o spotkaniu personelu, zwołanym na dziewiątą.

Eve doszła do wniosku, że gdyby musiała zawsze pracować w biurze, wyskoczyłaby przez najbliższe okno, by tego uniknąć.

Szczebiotki wysiadły na dwudziestym piętrze. Amator słodkiej kawy na dwudziestym trzecim. Kobieta w botkach na wysokich obcasach, używająca kwiatowych perfum, wysiadła na dwudziestym siódmym piętrze, szeleszcząc czarnym płaszczem.

One wysiadły na trzydziestym piętrze razem z gadułą.

Recepcja mieściła się za kontuarem w kształcie litery S, za którym na ścianie znajdowało się logo, sięgające od podłogi do sufitu, i nazwa instytutu, wypisana czarnymi, drukowanymi literami bez żadnych ozdobników. W poczekalni było szerokie okno z przyćmionymi szybami. Stały czarne, żelowe kanapy, a także trzy złote fotele z kontrolkami w szerokich oparciach – do zarządzania muzyką, napojami i łącznością telefoniczną. Naturalnej wielkości portret senatora Edwarda Miry umieszczono na ścianie w głębi.

Za kontuarem siedziała jakaś kobieta. Miała na sobie czarny kostium z cienkimi, srebrnymi lamówkami. Pracowała na sporym komputerze, ale rzuciła im na powitanie krótki uśmiech.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Ochrona poinformowała mnie o wizycie pań. Czym mogę służyć?

– Musimy porozmawiać z kimś, kto tym zarządza.

– Czym?

Eve wskazała olbrzymie logo.

– Tym.

– Niestety, senator Mira jest nieobecny. Jeśli powiedzą mi panie, o co konkretnie chodzi, mogę panie skierować do odpowiedniej osoby.

– Zastępca pana Miry.

Po twarzy, przybranej w maskę uprzejmości, przemknął leciutki grymas irytacji.

– Może pani MacDonald albo pan Book będą mogli paniom pomóc. Proszę usiąść, sprawdzę, czy są wolni.

– Z pewnością będą mogli. – Eve nie przeszła do poczekalni, tylko została przy kontuarze.

– Jedną chwileczkę.

Recepcjonistka dotknęła jakiegoś przycisku w poręczy fotela. Fotel ruszył wzdłuż wygiętego kontuaru i zatrzymał się na jego drugim końcu. Kobieta włączyła douszną słuchawkę.

– Zdaje się, że nikt tu nie wie o zaginięciu założyciela Instytutu.

Eve spojrzała na portret.

– Detektyw z wydziału osób zaginionych wszczął procedurę poszukiwań. Przypuszczam, że jeszcze tu nie dotarł.

– Ale czy jego żona nie...

– Nie było cię przy rozmowie z nią – zdążyła jej powiedzieć Eve, kiedy recepcjonistka do nich podjechała.

– Pani MacDonald przyjmie panie. Proszę wjechać windą piętro wyżej, a tam ktoś zaprowadzi panie do jej gabinetu.

Eve wsiadła do windy, nacisnęła guzik. I pokręciła głową, kiedy Peabody wyciągnęła swój palmtop.

– Wczoraj wieczorem zebrałam informacje o kierownictwie. Tressa MacDonald, lat czterdzieści trzy. Dwukrotnie rozwiedziona, ma jednego syna, ukończyła prawo na Harvardzie, studiowała również nauki polityczne. Kiedyś była sekretarką sędziego Miry, a gdy zasiadał w Kongresie, pracowała jako kierowniczką jego biura.

– Dużo o niej zapamiętałaś.

– Według mnie sypiała z senatorem, dlatego zasługuje, żeby bliżej się nią zainteresować.

Hol na trzydziestym piętrze był elegancki, natomiast ten kondygnację wyżej okazał się wprost okazały.

Tak, pomyślała Eve, to królestwo szych, te grube, czerwone dywany na białych, marmurowych posadzkach. Za czerwonym kontuarem recepcji uwijały się trzy osoby, wzdłuż ściany z oknami stały dorodne drzewa w donicach. Kanapy i fotele, obite ciemnoszarą skórą, ustawiono tak, żeby dało się swobodnie rozmawiać, zajmąwszy na nich miejsce. Na ogromnym ekranie można było oglądać sześć kanałów informacyjnych, nadających całą dobę.

Już niebawem, pomyślała Eve, wszystkie te stacje uwzględnią w swoich doniesieniach informacje o byłym senatorze Mirze – żywym lub martwym.

Kiedy zbliżyły się do kontuaru, przez podwójne drzwi z matowego szkła wszedł napakowany gość o karku grubym jak u dzika.

Wyglądał jak dresiarz w garniturze za dziesięć tysięcy dolarów.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Jestem Aiden Bannion, sekretarz pani MacDonald. Zaprowadzę panie do jej gabinetu.

Eve nigdy nie widziała kogoś, kto mniej przypominałby sekretarza, ale podążyła za nim. Za drzwiami była wielka sala ze stanowiskami pracy, oddzielonymi nie tyle ściankami, ile siłą woli.

Poczuła zapach kawy i czyjegoś śniadania. W powietrzu rozbrzmiewał gwar rozmów, dzwonki telefonów, stukot klawiatur.

Gdyby nie wymyślne posadzki i kolory, modne ubrania i buty, niewiele by się to różniło od sali ogólnej jej wydziału.

Mijali szczelnie zamknięte drzwi do gabinetów, aż dotarli do narożnego pomieszczenia z podwójnymi drzwiami, świadczącymi o tym, że urzęduje tu ktoś ważny.

Mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody.

– Dziękuję, Aidenie. Dwie sekundy. – Kobieta za biurkiem stuknęła w słuchawkę douszną. – Już jestem. Jeśli zajmiesz się tym ze swojej strony, ja zajmę się tym z mojej strony. Do końca dnia. Świetnie. Porozmawiamy później. Na razie.

Rozłączyła się i wstała; niska, szczupła kobieta w szarym kostiumie z białą wstawką z przodu. Ognistorude, kręcone włosy sięgały jej do ramion.

Wyszła zza biurka i obrzuciła Eve spojrzeniem ciemnozielonych oczu.

– Tressa MacDonald. – Wyciągnęła rękę; krótko, mocno uściśniła dłoń Eve, a potem Peabody. – Ktoś ranny albo gorzej. Wiem, kim panie są – wyjaśniła głosem mocnym i stanowczym jak jej uścisk dłoni. – Wiem, co o pani mówią. Jest pani szefową wydziału zabójstw. Jeśli ktoś nie żyje, proszę mi powiedzieć bez owijania w bawełnę.

– W tej chwili nic mi nie wiadomo o żadnym zabójstwie czy czyjejs śmierci.

Tressa odetchnęła z ulgą.

– Cieszę się. Proszę usiąść. Czy napiją się panie kawy? Asystent Aideny parzy niesamowitą latte.

– Chętnie się napiję – powiedziała szybko Peabody, nim Eve zdążyła podziękować w imieniu ich obu.

– Czyli dwie latte. A dla pani, pani porucznik?

– Zwykła, czarna kawa.

– Dziękuję, Aidenie. – Tressa wskazała kanapy i fotele. Sama zajęła miejsce na kanapie w kolorze swoich oczu, Eve i Peabody usiadły w ciemnoniebieskich fotelach. – A więc co to za sprawa?

– Wczoraj około godziny piątej po południu napadnięto na senatora Edwarda Mirę...

– Słucham? – Tressa usiadła prosto. – Gdzie teraz jest? Czy doznał poważnych obrażeń?

– Nie mogę tego powiedzieć, ponieważ zaginął.

– Jak to „zaginął”? Nie... – Urwała, pokręciła głową. – Przepraszam. Jedną chwileczkę.

– Odwróciła wzrok, wzięła głęboki oddech, potem drugi. – Proszę mi powiedzieć to, co panie wiedzą.

– Czy wiedziała pani, że senator Mira był wczoraj umówiony z pośrednikiem w handlu nieruchomościami w sprawie sprzedaży nieruchomości, której jest właścicielem wspólnie ze swoim kuzynem Dennisem Mirą?

– Nie. – Potarła dwoma palcami czoło nad nosem. – Nie, nie wiedziałam o tym.

– Czy zna pani nazwisko pośrednika w handlu nieruchomościami, z którym współpracował?

– Do niedawna współpracował z Silasem Greenbaumem z „Nieruchomości Greenbaum”.

– Do niedawna?

– Tak. – Uniosła wzrok, kiedy wszedł Aiden z kawą i cieniutkimi herbatnikami na tacy. – Wiesz, z usług jakiej agencji nieruchomości teraz korzystał senator?

– Nie, nie wiem, odkąd zerwał współpracę z Greenbaumem.

– Spytaj Liddy, dobrze? Sprawdź, z kim się umówił na wczoraj w sprawie nieruchomości przy Spring Street.

– Dobrze.

– I proszę, zamknij drzwi, Aidenie. Uważa pani, że ten, z którym się umówił, napadł na niego?

– Napadnięto na niego w domu. Jego stryjeczny brat Dennis Mira wszedł do domu i skierował się do gabinetu, skąd dobiegały głosy. Zobaczył, że ktoś pobił Edwarda Mirę. Chciał udzielić pomocy kuzynowi i sam został zaatakowany od tyłu.

– Dennis? – Uniosła dłoń do białej wstawki, widocznej nad kłapami żakietu. – Czy nic mu nie jest?

– Zna pani pana Dennisa Mirę?

– Tak, bardzo dobrze. Chyba pani nie sądzi, że miał coś wspólnego z... Naturalnie, że nie. – Złapała się za głowę. – Pracuje pani z jego żoną, zna go pani. A z tego, co wiem o pani, o obu paniach, wynika, że nie są panie idiotkami, więc rozumieją panie, że Dennis nikogo by nie skrzywdził. Przepraszam, że wciąż pani przerywam. Muszę wstać.

Podniosła się i zaczęła chodzić po gabinecie.

– Łatwiej mi będzie tego słuchać na stojąco.

Eve skinęła głową, ponieważ na ogół sama też wolała stać.

– Kiedy Dennis Mira odzyskał przytomność, okazało się, że senator zniknął. O ile się nie pojawił po naszym przybyciu tutaj, od tamtej pory nikt go nie widział.

– Porwanie? Bez żądania okupu? Z pewnością rozmawiała pani z Mandy. Gdyby zażądano okupu, zwrócono by się do niej albo do nas.

– Owszem, rozmawiałam z nią. Nie potrafiła udzielić żadnych informacji.

– Mają dom w Hamptons i mieszkanie w East Washington. Ale sprawdziła pani.

– Tak.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi i wszedł Aiden.

– Senator nie podał Liddy nazwiska, powiedział jedynie, że umówił się na mieście na wpół do piątej z nowym pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Wyszedł tuż po czwartej. Vinnie zawiózł go do domu przy Spring Street. Senator powiedział, żeby na niego nie czekał, że sam wróci. Liddy nie ma żadnych informacji o tym nowym pośredniku.

– Dziękuję, Aidenie. Proszę powiedz Wyattowi, żeby przerwał to, czym się teraz zajmuje, i natychmiast tu przyszedł.

– Tak jest.

Kiedy wyszedł, Tressa opuściła ramiona, usiadła i wzięła swoją latte.

– Chce pani wiedzieć, gdzie byłam wczoraj o wpół do piątej?

– Powiedzmy między czwartą a szóstą po południu.

– Do za kwadrans piąta miałam tutaj spotkania. Wyatt, Aiden i jeszcze kilka osób może to potwierdzić. Na piątą byłam umówiona na drinka z Marcellą Candine w Bistro na Lex. Zostałyśmy tam do szóstej z minutami. Stamtąd pojechałam taksówką do mojej mamy. Wczoraj były urodziny mojej siostry i urządziliśmy przyjęcie rodzinne.

Wyatt Book nie zapukał, tylko po prostu wmaszerował. Był imponującym mężczyzną dwadzieścia lat starszym od Tressy, z bujnymi włosami czarnymi jak atrament. Oczy

i garnitur też miał czarne. Spojrzał krótko na Tressę, a potem utkwiał wzrok w Eve.

– O co chodzi?

– Edward zniknął.

– „Zniknął”? Nie bądź śmieszna.

– Czy widział go pan albo rozmawiał z nim pan od wczorajszego popołudnia? – spytała Eve.

– Nie, ale to wcale nie znaczy, że zniknął. I z całą pewnością nie będzie zadowolony z tego, że policja go nęka albo rozsiewa o nim jakieś plotki.

Eve zaczęła się podnosić z fotela, gdy Tressa zwróciła się do mężczyzny.

– Wyatt, usiądź i przez minutę nic nie mów. Ktoś napadł na Edwarda w domu jego dziadka, a potem senator zniknął.

– „Napadł”? Bzdura. Gdzie był Winnie?

– Edward go odprawił. Pojechał tam, żeby się z kimś spotkać, ponoć z nowym pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Na Dennisa Mirę też napadnięto.

– Ha. – Lekki niepokój ustąpił miejsca lekkiemu rozbawieniu. – Przypuszczalnie w końcu obaj się pobili.

– Kto tu teraz plecie bzdury?

– Na litość boską. – Na jego twarzy pojawiła się irytacja. Wyjął komórkę. – Wyślę „dziewięćset jedenaście” na prywatny numer Edwarda, co też mu się nie spodoba. Ale zakończy tę farsę. – Zmarszczył czoło. – Nie mogę się połączyć nawet z pocztą głosową.

– Co świadczy o tym, że ten, kto go przetrzymuje, jest na tyle cwany, by zniszczyć telefon senatora – wtrąciła Eve. – Kto jest nowym pośrednikiem w handlu nieruchomościami?

– Nie mam pojęcia, ale to chwilowy kaprys. Przeprosi się z Silasem, kiedy obaj ochłoną.

– Posprzeczali się?

– Edward zwolnił go parę tygodni temu, ponieważ Silas odmówił wystawienia nieruchomości na sprzedaż.

– Silas nie mógł tego zrobić – wtrąciła się Tressa – ponieważ Edward nie jest jedynym właścicielem domu.

– Wiem o tym. Czy senator Mira ma jakichś wrogów?

Wyatt prychnął drwiąco i opadł na kanapę.

– Czyja to kawa?

– Może się pan napić – powiedziała mu Eve. – Nie tknęłam jej.

– Był prawnikiem, potem sędzią, a na koniec senatorem. – Wyatt duszkiem wypił kawę. – Robił sobie wrogów każdego ranka, jak tylko się obudził.

– Grożono mu – oświadczyła bez ogródek Tressa. – Odkąd go znam. Te poważne groźby sprawdzano. Ale odkąd już nie zasiada w senacie, uspokoiło się.

– Czy przychodzi państwu na myśl ktoś szczególnie? – Eve odczekała chwilę. – Jakaś kobieta, z którą był związany? Ktoś z Instytutu, z kim zerwał współpracę? Albo małżonek, któremu nie podobała się rola rogakca?

– Nie interesuję się życiem osobistym Edwarda – odparła chłodno Tressa, a Wyatt nachylił się ku Eve.

– Nie możemy dopuścić, żeby do mediów przeciekły jakiekolwiek informacje o romansach albo flirtach.

– Panie Book, nie interesują mnie plotki. Chcę odszukać senatora Mirę. Interesuję się jego życiem prywatnym tylko i wyłącznie z powodów służbowych.

– Ostrzegam panią...

– Proszę uważać na słowa, kiedy wykonuję swoje obowiązki. Z kim się teraz spotyka?

– Jest malarką. – Tressa zmusiła swego towarzysza do milczenia, posyłając mu groźne spojrzenie. – Znalezienie Edwarda jest ważniejsze od zachowania dyskrecji. Jest młoda. Nie wiem, jak się nazywa. Naprawdę staram się trzymać od tego z daleka. Aiden może to ustalić.

– Nie ma potrzeby. Już o niej wiem. I, co za niespodzianka, nie poinformowałam o tym mediów. – Eve wstała. – Detektyw Hanson kieruje dochodzeniem w sprawie zaginięcia senatora Miry. Jeśli państwo będą mieli jakieś nowe informacje, możecie je przekazać jemu albo mnie.

– A czy teraz możemy jakoś pomóc?

– Ustalcie nazwisko nowego pośrednika w handlu nieruchomościami – zaproponowała Eve. – Dziękuję za poświęcony nam czas.

4

Wyszły.

– Nie chcesz zajrzeć do jego terminarza, do kalendarza? – spytała Peabody.

– Aż roi się tu od prawników. Bez nakazu nic nie zdziałyśmy. Kiedy się okaże, że to jednak morderstwo, zdobędę nakaz. Przekaż Hansonowi nazwisko kierowcy i byłego pośrednika w handlu nieruchomościami. My porozmawiamy z kobietami z listy, jego synem i córką. – Eve spojrzała na zegarek. – Ale nie teraz. Zajęło nam to więcej czasu, niż przypuszczałam.

– Wracamy do komendy? Na uroczystość awansowania Truehearta?

– Wracamy do komendy.

– Hura!

– Opanuj się. Wrażenia, obserwacje, wnioski – powiedziała Eve, kiedy zjeżdżały windą.

– Wszyscy tutaj przywiązują wagę do prestiżu, a przykład zwykle idzie z góry. Myślałam, że siedziby politycznych trustów mózgow, działaczy i tym podobne są niepozorne, nawet trochę niechlujne. Ani tych dwoje, ani Aiden nie obudzili mojej czujności, przynajmniej na razie. Ta MacDonald wydawała się szczerze zaniepokojona, Book nie za bardzo.

– Dlaczego według ciebie?

– Sądzę, że Book nie przejmuje się tak bardzo senatorem, przynajmniej prywatnie. Co? Ty uważasz inaczej?

– Nie, przynajmniej częściowo może tak jest. Sądzę, że Book uważa, iż senator gdzieś wyjechał z młodą malarką albo jakąś inną przyjaciółką. Bardziej w to wierzy niż w porwanie.

Kiedy szły przez hol, zarówno przez sentyment, jak i żeby nie zmarznąć, Eve włożyła czapkę z płatkami śniegu.

– MacDonald ma rację. Kiedy Edward Mira był sędzią, a potem senatorem, prawdopodobnie miał wielu wrogów. Nie uznawał kompromisów ani jako sędzia, ani jako senator, i starał się być w centrum uwagi. Nadal bierze udział w politycznych debatach telewizyjnych i głośno krytykuje wszystko, z czym się nie zgadza. Przede wszystkim sprzeciwia się nadmiernym wydatkom z budżetu, szczególnie na cele socjalne. Podczas swej ostatniej kadencji ostro krytykował zasiłki na dzieci, wyliczał, jakie oszczędności przyniosłaby zmiana przepisów, mówił o tym, jak dumna jest jego żona z tego, że siedziała w domu i zajmowała się dziećmi, gdy były małe, i nigdy nie wzięła za to ani grosza z państwowych pieniędzy.

– Czy ktoś zwrócił mu uwagę, że jego żona miała forsy jak lodu, a do tego, załóżę się, że korzystała z pomocy armii służących?

– Owszem. A ponieważ ustawa o płatnych urlopach rodzicielskich cieszy się dużą

popularnością, liczba zwolenników Miry spadła. Eksperci sądzą, że zrezygnował z ubiegania się o reelekcję, bo i tak by nie wygrał.

– Eksperci.

Peabody wzruszyła ramionami i owinęła się szalikiem po sam nos.

– Czasami oglądam telewizję, kiedy zajmuję się robotkami ręcznymi. McNabowi to obojętne, bo jeśli zapraszają do programu kogoś takiego jak nasz senator czy panią kongresman Vidali... Słyszałaś o niej?

– Nie i nie chcę słyszeć.

– Jest okropną kłamczuchą i hipokrytką. Nienawidzę, kiedy ludzie tego pokroju twierdzą, że to Bóg chce, by robili to, co robią, jakby zawarli z Nim jakieś przymierze, o którym reszta ludzi nic nie wie. To naprawdę mnie wkurza. Dlatego potem uprawiamy seks.

Eve poczuła, jak niemal drgnęła jej powieka, ale się opanowała.

– Ty i Vidali?

Peabody zachichotała.

– O tak, wprost rzucamy się na siebie. Ale mówiąc poważnie, najczęściej mam ochotę jej przywalić. Myślę sobie: rany, ale mam ochotę walnąć cię w tę twoją załganą facjatę. Zamiast tego rzucam się na MacNaba. Dobrze to na nas działa.

Eve pomyślała o szaliku, którym owinęła szyję, i ciekawa była, ile razy Peabody, dziergając go, rzuciła się na MacNaba. Postanowiła, że już nigdy nie będzie się nad tym zastanawiała. Nigdy przenigdy.

Wsiadła do samochodu, wykorzystała niewielką lukę w sznurze pojazdów, żeby włączyć się do ruchu, i udała, że nie słyszy klaksonów za sobą.

– Po uroczystości zostaniemy dziesięć minut, a potem przeberzemy się w cywilne ubrania. Najpierw chcę porozmawiać z tą malarką.

– Ma dwadzieścia kilka lat, prawda? To ohydne, ale nie dyskryminuję nikogo z uwagi na wiek.

– Co mówią eksperci?

– Niewiele się na ten temat wypowiadają przed kamerami. Może zgodnie z jakąś niepisaną umową albo czymś w tym rodzaju. Lecz jeśli zajrzeć do blogów politycznych i na strony internetowe, aż się tam roi od wpisów na temat jego romansów. Nie tylko jego zresztą, ale ponieważ interesujemy się nim, więc... Nie czytałam jeszcze nic na temat malarki.

– Może bardziej się tym zainteresujesz? Znaczący się, jego romansami. Może piszą coś o kimś, kogo nie ma na mojej liście, albo o burzliwych rozstaniach. Jeśli coś znajdziesz, poinformuj o tym mnie i Hansona.

– Z największą przyjemnością. Prawdę mówiąc... – Peabody wyciągnęła swój palmtop.
– Od razu się tym zajmę.

Eve pokonała resztę trasy w milczeniu, jedynie od czasu do czasu przerywanym przez gniewne mamrotanie swojej partnerki.

Kiedy weszła do sali wydziału zabójstw, rozejrzała się szybko. Akurat z szatni wyłoniła się Carmichael w pełnym umundurowaniu. Trueheart i jego nauczyciel, teraz partner, albo jeszcze się szykowali, albo już udali się na uroczystość. Santiago i Jenkinson siedzieli za swoimi biurkami, jeden rozmawiał przez telefon, drugi pracował na komputerze.

Santiago miał na głowie kowbojski kapelusz, który musiał nosić po przegranym zakładzie z Carmichael. A Jenkinsonowi udało się wyszperać jeszcze jeden, kłujący w oczy krawat. Tym razem w zielono-żółte paski.

Eve, nic nie mówiąc, zakreśliła kółko palcem w powietrzu, żeby kończyli, a potem pomaszerowała do gabinetu, żeby napić się kawy i zrobić notatki.

Weszła do szatni po Peabody i zastała swoją partnerkę w spodniach od munduru, staniku, podkoszulce i łzach.

– Co to ma znaczyć? Natychmiast przestań.

– Spodnie są za luźne.

– Chryste, to mocniej ściągnij je paskiem.

Gdy Peabody usłyszała pełne zniecierpliwienia polecenie Eve, napłynęły jej do oczu świeże łzy.

– Są luźne w pasie, a nawet trochę wiszą z tyłu. Schudłam. Naprawdę schudłam! Wiem, jak leżał na mnie mundur, kiedy ostatni raz go wkładałam. A teraz jest trochę luźniejszy.

– Dobrze, świetnie, hura! A teraz sprężaj się.

– Naprawdę się starałam, szczególnie przez kilka ostatnich tygodni. Trzy razy w tygodniu chodziłam na siłownię. Przestałam się ważyć – mówiła, kiedy Eve wyjęła swój mundur. – Bo waga ani drgnęła, a to cholernie deprymujące. Ty nie wiesz, jak to jest.

Chociaż rozbieranie się w obecności kogokolwiek poza Roarkiem krępowało Eve, zaczęła się rozbierać.

– Może nie. Ale byłam chuda. Nie szczupła, tylko chuda. I słaba. Musiałam ćwiczyć, żeby wyrobić sobie mięśnie, nabrać tężyzny. Więc wiem, jak to jest patrzeć w lustro i niezupęnie cieszyć się z tego, co się w nim widzi.

– Nigdy o tym nie pomyślałam.

– Odchudzasz się, żeby być sprawna i silna, a nie, żeby osiągnąć jakąś wagę. Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, o tym wie.

– Wiem o tym. Nadal zależy mi na osiągnięciu pewnej wagi, ale wiem o tym. Pracuję również nad umiejętnością walki wręcz.

– Dobrze. – Eve włożyła spodnie od munduru i uznała, że leżą tak, jak zwykle.

– Ale... Czy moja pupa wygląda na mniejszą?

– Jezu, Peabody!

– Proszę, bądź dobrą przyjaciółką. Jest mniejsza?

Eve włożyła marynarkę od munduru, zmrużyła oczy i uważnie przyjrzała się wymienionej części ciała Peabody.

– Prawie jej nie widzę.

Delia się roześmiała i wykonała krótki taniec.

– Dziękuję. Musisz przypiąć odznaczenia.

– Tak, tak.

– Chcesz, żebym ci pomogła? Sporo ważą.

– Ugryź mnie. I następnym razem przebiorę się w swoim gabinecie.

Uśmiechając się, Peabody zapięła marynarkę.

– Jestem dziś dumna z tego, że noszę mundur. Znaczy się, zawsze jestem z tego dumna, ale dziś szczególnie.

– Bo spodnie są luźne.
– Też, ale głównie z uwagi na Truehearta. Jestem dumna, że włożyłam mundur dla Truehearta.

Eve wyjęła pudełko z odznaczeniami i pomyślała: Tak, dla Truehearta.

Odszukała Baxtera, który zamienił swój zwykle elegancki garnitur na mundur i siedział już w pierwszym rzędzie.

– Ledwo zdążyłaś, pani porucznik.

– Jeszcze jest dużo czasu. Musisz zamienić się ze mną miejscami, stanąć obok Truehearta. Baxter wstał.

– Dziękuję za tę propozycję, naprawdę. Ale zasłużył sobie na swoją panią porucznik. Ja będę siedział tutaj, w pierwszym rzędzie... I się rozkoszowałem. A tam jest jego mama i dziewczyna. Powinnaś zamienić z nią kilka słów. Z nimi obiema.

– Zrobię to później.

Przeszła przez morze niebieskich mundurów i dostrzegła komendanta Whitneya, który stał z boku, rozmawiając z komisarzem Tibble'em.

Ruszyła w stronę Truehearta, wyglądającego młodo, trochę blado, ale świeżo jak pączek róży, lecz Whitney dał jej znak, żeby do niego podeszła.

– Panie komendancie, panie komisarzu Tibble. To dobry dzień.

– Racja. – Whitney spojrzał po obecnych. Barczysty mężczyzna obok wysokiego Tibble'a.

– Dobrze, że mógł pan przyjść, szefie. To dużo znaczy dla awansowanych funkcjonariuszy i funkcjonariuszek.

– Dla mnie też. Ale zanim do tego przejdziemy, chciałbym się dowiedzieć, jak się ma sprawa senatora Miry.

– Właśnie wróciliśmy z detektyw Peabody z jego instytutu, gdzie przeprowadziłyśmy rozmowy. Wszystko wskazuje na to, że nikt tam nie wiedział o jego zaginięciu. Nie podał swojej sekretarce nazwiska osoby, z którą się umówił w domu w SoHo, a po przyjeździe na miejsce odprawił kierowcę. Skontaktowałam się z detektywem Hansonem z wydziału osób zaginionych, powinien już być w instytucie i prowadzić czynności dochodzeniowe. Ja i Peabody przesłuchamy pewne kobiety, z którymi przyjaźnił się senator w ciągu ostatniego roku. Wiem, że regularnie zapraszał je do apartamentu, wynajmowanego przez instytut w hotelu „Palace”.

Tibble zacisnął usta i pokręcił głową.

– Dziennikarze rzucą się na to jak lwy na antylopę. Nie nasza sprawa. Na razie nie zażądano okupu?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie muszę wam mówić, że wszystko ma być prowadzone zgodnie z procedurami. Tak czy owak wkrótce wiadomość trafi do mediów. Nie zostawię na nim suchej nitki, ale przy okazji zainteresują się naszym wydziałem i dochodzeniem.

– Rozumiem.

– Ale teraz zajmiemy się naszymi funkcjonariuszami. Słyszałem wiele dobrego o pani młodym podwładnym, pani porucznik.

– Moim młodym podwładnym?

Tibble uśmiechnął się, a zmarszczki wokół jego oczu zrobiły się wyraźniejsze.

– O Truehearcie. Dobra robota.

– Szkolił go detektyw Baxter. To on dobrze się spisał.

– Nie zapomnę mu tego powiedzieć. A teraz wybaczcie mi.

Kiedy Tibble odszedł, Whitney odwrócił się do Eve. Jego ciemna, szeroka twarz była poważna.

– To niemądre i nieprofesjonalne powiedzieć żonie byłego senatora, żeby pocałowała nas w dupę.

– Zgadzam się, panie komendancie. Przepraszam za wszelkie kłopoty, na jakie naraziłam pana i nasz wydział.

– Moja żona powiedziała jej, żeby sobie to wsadziła.

– Słucham?

Chociaż jego ton się nie zmienił, w oczach komendanta pojawiły się isierki rozbawienia.

– Anna zasiadała z Mandy Mirą w paru komitetach organizacji dobroczynnych. Moja żona na ogół traktuje z zimną pogardą tych, którzy ją zdenerwują.

– Wiem o tym – powiedziała Eve, nim ugryzła się w język, lecz Whitney tylko zachichotał.

– Jednak Mandy Mira przegięła i Anna powiedziała jej, żeby sobie wsadziła. Już nigdy nie będzie współpracowała z żoną senatora w żadnej organizacji. Nie kryła zachwyty, podsłuchując moją rozmowę z Mandy Mirą wczoraj wieczorem, i z radością zdała relację naszej doktor Mirze, kiedy Charlotte skontaktowała się ze mną w tej sprawie. Oficjalnie nie mogę pochwalić pani zachowania.

– Rozumiem, panie komendancie.

– Uznajcie, że udzieliłem wam nagany. – Zrobił służbistą minę. – A teraz uhonorujmy kilku dobrych gliniarzy i wracajmy do obowiązków.

Eve stała na podium razem z innymi wyższymi oficerami i tymi, którzy mieli być awansowani. Stała w postawie „spocznij” podczas przemówień – na szczęście krótkich – Tibble’a i Whitneya. Przesunawszy okiem po sali, stwierdziła, że obecni byli wszyscy pracownicy jej wydziału. I chociaż zastanawiała się, kto, u diabła, tropi zabójców, była dumna, że wszyscy – detektywi, mundurowi – znaleźli czas, by się tu stawić dla Truehearta.

Wypatrzyła Feeneya, McNaba, doktor Mirę, która tak jak Trueheart była trochę blada, i ku swojemu zaskoczeniu, Morrisa. Funkcjonariusze i funkcjonariuszki, których nazwiska wywołano, podchodzili do Whitneya, żeby się zaprezentować, usłyszeć kilka słów od komendanta, zapozować do zdjęcia.

Rozpoznawała członków rodziny awansowanych, bo oczy im błyszczały podczas oklasków.

– Troy Trueheart, detektyw trzeciego stopnia.

Rozległy się głośne brawa. Eve udało się zachować poważną minę, mimo że podwładni z wydziału zabójstw zaczęli gwizdać i tupać. Przyglądała się Trueheartowi, jak przeszedłszy wzdłuż podwyższenia, teraz lekko zarumieniony, a nie blady, odbierał swoją

odznakę.

– Porucznik Dallas dostrzegła w was potencjał – cicho powiedział do niego Whitney. – Detektyw Baxter rozwinął go. Ale tę odznakę zawdzięczacie temu, jacy jesteście. Moje gratulacje, detektywie.

– Dziękuję, panie komendancie. Nie zawiodę pana ani ich.

Uniósł odznakę w górę do zdjęcia i według Eve postąpił jak należy, bo patrzył prosto na Baxtera, nim przeniósł wzrok na swoją matkę i dziewczynę.

Potem się odwrócił, żeby zająć miejsce w głębi sceny i posłał Eve tak promienny uśmiech, jakby jednocześnie było Boże Narodzenie, Czwarty Lipca i Nowy Rok.

Na koniec awansowani funkcjonariusze zeszli ze sceny przy głośnych oklaskach i Eve pomyślała sobie, czy to wspomnienie pomoże im znosić codzienne obrzucanie błotem, kiedy wykonują swoje obowiązki.

Ona też opuściła podwyższenie; zamierzała poświęcić pięć, dziesięć minut na rozmowy z tymi, z którymi musiała porozmawiać, a potem się wymknąć, przebrać i ruszyć w teren.

Ale Trueheart na nią czekał.

– Pani porucznik.

– Niech jej się przyjrzę. – Wyciągnęła rękę i poruszyła palcami, więc podał jej swoją odznakę. – Ładna. Dbajcie o to, żeby zawsze tak lśniła, detektywie Trueheart. – Oddała mu odznakę.

– Tak jest, pani porucznik. Chciałem pani podziękować. Gdyby nie pani, nie byłoby mnie tu dziś, nie miałbym tej odznaki.

– Sobie zawdzięczacie to, że tu jesteście, i temu, czego was nauczył Baxter.

– Pani porucznik, nie chciałbym pierwszego dnia po awansowaniu na detektywa kwestionować słowa swojej przełożonej, ale wciąż bym szlifował bruk, gdyby nie dała mi pani szansy. I gdyby nie przydzieliła mnie pani Baxterowi. Dostrzegając, że się do tego nadają. Cóż, dlatego jest pani szefem.

– Macie trochę racji. Moje gratulacje, detektywie. – Wyciągnęła rękę.

Ujął jej dłoń i głośno przełknął ślinę.

– Wiem, że naprawdę pani tego nie lubi, ale... – Objął ją mocno i uściskał z całych sił.

– Już starczy. – Klepnęła go po plecach, rozumiejąc wyjątkowość chwili, a drugą ręką go odepchnęła, mając na względzie powagę swojego stanowiska.

– Chciałem to zrobić tutaj, nie tam, w obecności tylu osób. Gdzie naprawdę by się to pani nie spodobało.

– Dobre rozumowanie. Idźcie porozmawiać z matką.

– Tak jest!

Kiedy wychodziła, Trueheart obejmował swoją matkę i dziewczynę... Jak jej na imię? Spoglądał na nie rozpromieniony, większość pracowników wydziału otaczała go wianuszkami.

Odeszła, żeby chwilę porozmawiać z doktor Mirą.

– Jak się czuje pan Mira?

– Nalegał, żebym przyszła. Jest z nim nasza córka, więc... Naprawdę nic mu nie jest. Nawet zamierzał iść dziś na uniwersytet, ale kategorycznie się sprzeciwiłam. Potrzebuje jeszcze jednego dnia wypoczynku.

– Jesteś niewypana.
– To prawda. Wiele ważnych dla mnie osób codziennie naraża swoje życie. To nieuniknione, kiedy się pracuje w policji. Niektóre z nich zginęły, inne odniosły obrażenia. Człowiek jakoś z tym żyje, jakoś daje sobie radę. Ale Dennis... Prowadzi spokojne życie, nie byłam przygotowana na to, że spotka go coś takiego.

Umilkła, by nabrać tchu.

– No cóż. Rozmawiałam z gubernatorem.

– Poważnie?

– Nie tylko Mandy ma znajomości – odparła Mira, jej głos był chłodny. – Rozumie sytuację i okoliczności, a ponieważ wie o jej... Ograniczę się do zapewnienia, że nic ci nie grozi z jego strony.

– Cieszę się.

– Rozmawiałam też z Mandy.

– Nie próżnowałaś.

– Nie cierpimy się nawzajem, ale wiem, jak z nią postępować. Edward nie skontaktował się z nią, podobnie jak ci, którzy go przetrzymują. Jest bardziej zła niż zaniepokojona. Gdyby nie Dennis, poradziłabym ci, żebyś zrezygnowała z tej sprawy, ale...

– Słuchaj, nadal będę się tym zajmować, jednak Hanson ma teraz większe możliwości uzyskania nakazów, więc będzie mógł pokopać głębiej ode mnie. Lecz zajmuję się tą sprawą i będę z tobą w kontakcie. Muszę powiedzieć kilka słów matce Truehearta, a potem razem z Peabody pojedziemy porozmawiać z obecną przyjaciółką senatora.

Mira położyła dłoń na ramieniu Eve.

– Nie podziękujecie mi za to, nawet jeśli informacje, które uzyskasz, pomogą uratować mu życie.

– Na szczęście nie robię tego dla podziękowań.

Podeszła do matki Truehearta. Musiała się pogodzić z tym, że znów zostanie uściskana, teraz czule.

– Dziękuję, pani porucznik. Troy marzył o tym od dziecka, pani pomogła mu zrealizować jego marzenie. Wczoraj wieczorem spytałam go, o czym marzy teraz, kiedy został detektywem. Powiedział, że chce być tak dobrym gliniarzem, jak pani.

– Pani Trueheart...

– Proszę mi mówić Pauline. Cieszę się, że pani wysoko stawia poprzeczkę. Nie chcę, żeby spoczął na laurach. Chcę panią zapewnić, że będzie czuł dumę codziennie, kiedy będzie brał tę odznakę, a ja będę dumna z niego.

Eve chciała się stąd wyrwać, by wrócić do pracy, ale ze zdumieniem usłyszała, jak sama mówi:

– Jest inteligentny, spostrzegawczy, pracuje bardzo sumiennie. Pomaga mu też aparycja. Jest przystojny, ale wzbudza sympatię – dodała. – I niektórzy błędnie biorą to za naiwność, uważają, że łatwo będzie go nabrać. A to nieprawda. I postępuje bardzo etycznie, z czego powinna być pani dumna, bo przypuszczam, że to pani wpoila mu takie zasady.

– Dziękuję pani za te słowa, naprawdę bardzo dziękuję. – Głos jej się załamał, do oczu napłynęły łzy. – Przepraszam. To wyjątkowy dzień. – Uścisnęła dłoń Eve i pospiesznie odeszła.

- Naprawdę powiedziałaś to, co należy. – Obok Eve stanęła Peabody.
- Znów się rozplakała.
- Jak to zwykle mamy.
- Wyośmy się stąd i bierzmy do roboty.
- Będzie tort.
- Twoje spodnie są luźne, Peabody.
- Cholera. – Biegając za Eve, Delia obejrzała się na stół z poczęstunkiem. – Ponieważ spodnie są luźne, mogłabym zjeść kawałek tortu.
- Ponieważ twoje spodnie są luźne, łatwiej ci będzie je zdjąć, żebyśmy mogły się udać w teren.
- Podobno jest z kremem maślanym. – Peabody, wzdychając ciężko, wsiadła do windy.

Już w cywilnym ubraniu, Eve weszła na kilka chwil do swojego gabinetu, żeby zadzwonić do Hansona. Senator Mira ani jego przypuszczalny porywacz nadal z nikim się nie skontaktowali. Hanson razem ze swoim partnerem zamierzali przesłuchać Vinniego, kierowcę, i już rozmawiali z Silosem Greenbaumem. Ustalono, że spróbują się jak najwięcej dowiedzieć w Instytucie Miry, gdy Eve z Peabody będą rozmawiały z kobietami ze swojej listy.

Kiedy wyszła z gabinetu, Jenkinson, w krawacie we wściekłe zielono-żółte paski już siedział za biurkiem. Podobnie jak Santiago. Po sali kręciło się też kilku mundurowych.

- Czy ktoś tu dziś pracuje?
 - Zaraz się bierzemy do roboty, Dallas. – Znając jej spostrzegawczość, Jenkinson pośpiesznie strzepnął z koszuli okruchy tortu. – To było dobre.
 - Tak, to było dobre. Wiesz, co jeszcze jest dobre? Łapanie zabójców.
 - Lubię to nawet bardziej od kremu maślanego – powiedział Santiago, a Peabody obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.
 - Jesteś zwyczajnie podły.
 - W takim razie złap jakichś zabójców – poradziła mu Eve. – Peabody, ze mną.
 - Zajmujesz się czymś nowym, Dallas?
- Obejrzała się na Jenkinsona, kierując się ku wyjściu.
- Poinformuje cię, kiedy sama będę wiedziała. Nawet nie myśl o tym, żeby się uzalać nad sobą z powodu kremu maślanego – ostrzegła Eve Peabody, a ta jedynie zrobiła nadąsaną minę, wsiadając do windy.
 - Spotkamy się z przyjaciółką senatora w galerii sztuki, gdzie pracuje. A po drodze jeszcze raz obejrzymy miejsce przestępstwa. Jeszcze tam nie byłaś.
 - Doktor Mira powiedziała, że pan Mira czuje się dobrze, lecz wyglądała na zestresowaną. Prawie nigdy nie jest zestresowana.
 - Poradzi sobie.

Eve uznała, że mają wyjątkowe szczęście, bo winda zatrzymała się tylko pięć razy, zjeżdżając, i ledwie kilkanaście osób wsiadło do kabiny i z niej wysiadło.

- Spotkamy się ze wszystkimi znanymi nam przyjaciółkami senatora – powiedziała, zajmąwszy miejsce w aucie. – Przypuśćmy, że nadal spotyka się z malarką, której coraz częściej zdarza się powiedzieć: „Och, senatorze dziadku...”.

- Fúj.
- No więc wciąż powtarza: „Gdybyś się rozwiódł, moglibyśmy cały czas być razem”. Na co on odpowiada: „Spokojnie, moja flamo...”.
- Fúj, fúj!
- „Nie mogę się rozwieść: pozory, finanse, i te pe, i te de”. Co powiesz na lody?
- Od twojej opowieści naprawdę aż mi się przewraca w żołądku, więc nie mam ochoty nawet na krem maślany. Nie, dziękuję.
- Proszę bardzo. Albo miała wcześniej chłopaka, w swoim wieku, ale biednego. Może nadal się z nim spotyka i pomyśleli sobie, że wyciągną z senatora okrągłą sumkę, jak mu dadzą łupnia i trochę go nastraszą. Może na początek podbili mu oko. A tu pojawia się pan Mira i spanikowani zmieniają plan.
- Podoba mi się to.
- Albo poprzednia przyjaciółka rozżłościła się, rozmyślając nad tym, jak to zrezygnowała z niej dla tej młodej dziwki. Teraz jej za to zapłaci. Też wymaga to pomocy drugiej osoby.
- Żeby udać pośrednika w handlu nieruchomościami i dostać się do domu.
- A potem: Niespodzianka, ty napalony łobuzie, trochę ci zdefasonujemy buźkę. – Eve zatrzymała się na światłach. – Nie do końca podobają mi się wszystkie te scenariusze, ale traktuję je jako punkt wyjścia.
- Jadąc, rozważała wszystkie słabe punkty swoich teorii, a potem spróbowała czegoś nowego.
- Alibi tej MacDonald jest nie do podważenia. Hanson to sprawdzi, ale nie będzie mógł nic zakwestionować. Więc może dlatego, że kiedyś była jego przyjaciółką, albo z jakiegoś innego powodu wynajęła kogoś, żeby się z nim rozprawił. Sprawdzimy jej finanse, tylko że to nie dzieło zawodowego zabójcy. Chociaż, z drugiej strony, prawnicy znają różnych podejrzanych typków, szczególnie prawnik-polityk.
- Podjeżdżając do kamienicy z piaskowca, Eve rozglądała się po okolicznych budynkach.
- Spokojna, zamożna, elegancka okolica. Rozmowy z sąsiadami nic nie przyniosły, ale większość ludzi była w pracy albo czymś zajęta. Kto wygląda przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy lub w najbliższym sąsiedztwie w taki paskudny dzień? Naprawdę trzeba mieć szczęście, żeby wyprowadzić z domu poturbowanego człowieka i wsadzić go do samochodu tak, żeby nikt tego nie widział.
- Mieli szczęście, bo akurat był paskudny dzień, a nie pogodny.
- Tak, nie można tego zaplanować.
- Eve wysiadła i przez minutę przyglądała się kamienicy, jej lokalizacji.
- Jest naprawdę śliczna – zauważyła Peabody. – Stara, ale dostojna. Rozumiem, dlaczego pan Mira chce ją zatrzymać.
- Ważniejsze jest to, co w środku... Nie mam na myśli mebli. Z tym domem wiąże się wiele wspomnień, emocji. No i obiecał, a to istotne. Gdyby Edward Mira chociaż trochę go znał, wiedziałby, że jego kuzyn nie złamie danego słowa.
- Zaczekaj! A może uciekł się do takiej sztuczki, żeby pana Mirę do tego nakłonić? – Zastanawiając się nad tym, Peabody poluzowała szalik. Właśnie weszły przez furtkę i ruszyły do drzwi. – Wszystko to zainscenizował, a potem jego wspólnicy skontaktują się z panem Mirą, który tak się niepokoi o senatora.

– „Zgódź się na sprzedaż domu, inaczej twój kuzyn zginie”? Dlaczego ktoś miałby to kupić?

– Powiedziałaś, że Edward Mira potrzebuje pieniędzy, tak? Więc rzekomy porywacz stwierdzi, że senator jest mu winien masę pieniędzy. Niech więc sprzeda dom, żeby mógł zwrócić dług. W przeciwnym razie straci życie.

Eve zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tą koncepcją.

– Właściwie to nie gorszy punkt wyjścia od... Ktoś zerwał plombę.

Podniosła rękę, żeby zatrzymać Peabody i przyjrzała się uważnie policyjnej plombie, którą osobiście nałożyła.

– Ktoś ją zerwał i wszedł do środka. Włączam nagrywanie.

Bez słowa obie wyjęły broń.

Eve podeszła do drzwi, spojrzała na swoją partnerkę, skinęła głową.

Wpadły do środka.

Eve się wyprostowała i trzymając broń w pogotowiu, spojrzała w górę.

Edward Mira wisiał na kryształowym żyrandolu. Miał twarz czarną od siniaków, poderżnięte gardło, na szyi widać było zaschniętą krew. I był nagi, nie licząc wygenerowanego komputerowo napisu na kartce, przyklepionej do jego tułowia:

SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ

– O, cholera.

– To chyba nie było zainscenizowane.

– Jeśli było, z pewnością coś poszło nie tak. Rozejrzyjmy się po domu, Paebody, i wezwijmy, kogo trzeba.

5

Obeszły cały dom, wszystko rejestrując. Kiedy Peabody dzwoniła po techników, Eve znalazła mechanizm do opuszczania żyrandola. Tylko ona wiedziała, że coś takiego istnieje, bo widziała to w holu własnego domu.

– Dzięki temu można umyć żyrandol bez konieczności targania drabiny – wyjaśniła swojej partnerce.

– Sprytne. Rety, nieźle go urządzili przed powieszeniem.

– Śmiem twierdzić, że żył, kiedy go wieszali. Zadrapania na szyi to jego dzieło. Naskórek i krew pod paznokciami prawdopodobnie należą do niego. Lekarz sądowy to ustali, podobnie jak przyczynę śmierci.

Peabody przyniosła z auta ich zestaw podręczny, a potem obie spryskały sprejem zabezpieczającym dłonie i buty. Eve uważnie przyjrzała się zwłokom.

– Zmasakrowali mu twarz, bili go po genitaliach, rozebrali do naga. To świadczy, że mamy do czynienia z porachunkami osobistymi i zabójstwem na tle seksualnym. Ktoś naprawdę bardzo się na niego wkurzył.

– Z całą pewnością nie wygląda na to, jakby próbowano od niego wyciągnąć pieniądze. Może to sprawka jednej z kobiet, z którymi się zabawiał, ale, jak powiedziałaś, prawdopodobnie miała jakiegoś pomocnika, bo sama nie dałaby rady go wciągnąć.

Eve wyjęła narzędzia i mierniki. Najpierw potwierdziła tożsamość ofiary, korzystając z Identapad.

– Ofiara to Edward James Mira, lat sześćdziesiąt osiem. Poważne stłuczenia twarzy i rany szarpane. Wygląda na to, że ma złamane kości policzkowe i wybitych kilka zębów. – Włożyła mikrogogle. – Peabody, ustal czas zgonu. Nie wydaje mi się, że to ślady pięści – powiedziała, przyglądając się z bliska obrażeniom. – Może posłużono się pałką, tak samo, jak w przypadku genitaliów, ale widzę tutaj kilka... Coś jakby śladów ukłuć w okolicy krocza.

– Śmierć nastąpiła o trzeciej trzydziści sześć.

– Czyli poświecili mu nieco czasu. Siniaki na przegubach rąk. – Stężenie pośmiertne jeszcze nie ustąpiło, więc na przegubach własnych rąk pokazała, jak to się odbyło, składając dłonie i je unosząc. – Wygląda na to, że go związano i powieszono. Widzisz to? Związano mu ręce i podciągnięto do góry. Brak śladów siniaków na kostkach u nóg. Kilkakrotnie skopano mu jaja. Widzisz te płytkie zagłębienia? Założę się, że powstały od pantofli z tymi beznadziejnie spiczastymi noskami.

– Czyli, że zabiła go kobieta.

– Widziałam wielu facetów w tych beznadziejnych butach, ale masz rację, według mnie to dzieło kobiety. I podłoże seksualne. Tak ci skopię jaja, że ci odpadną, ty skurwielu.

I dokonano penetracji odbytnicy.

Peabody się wyprostowała.

– Co?

– Nie oglądałaś go z tyłu. Ma rozerwany odbyt. Wsadzono mu coś do odbytnicy. Zabójstwo o wyraźnym podłożu seksualnym. Porachunki osobiste. Wszystko starannie zaplanowane. Przywieziono go z powrotem tutaj, bo prawdopodobnie od samego początku zamierzano tutaj odebrać mu życie.

– Ale pojawił się pan Mira.

– Sprawcy musieli mieć jakieś lokum, do którego mogli go wywieźć, i środek transportu. Może od początku zaplanowali sobie, że go stąd zabiorą, a potem przywiozą go tu i powieszą.

Przysiadła na piętach.

– Założę się, że nim go powiesili, zczekali, aż odzyska przytomność, żeby w pełni był świadom tego, co się dzieje, wszystko wiedział i czuł. Potem uruchomili to urządzenie, pozwolili, żeby się szamotał, kiedy go podciągali, obserwowali, jak się dusił, jak rozorywał sobie szyję paznokciami. Jeśli to tak osobista sprawa, chcieli, żeby był w pełni świadom swojej śmierci i pragnęli to widzieć.

– Ale czy jakaś kobieta zemściłaby się tak bestialsko z powodu zakończenia romansu? Sądzisz, że któraś z kochanek mogła aż tak się wkurzyć, że została porzucona?

– Jasne. Oczywiście świadczy to, że ta kobieta była szalona, ale nie brak szaleńców na tym świecie. Lecz znaczy to również, że jej pomocnik jest równie pokrecony.

Eve się wyprostowała i na chwilę zamknęła oczy, żeby lepiej wszystko sobie wyobrazić.

– No dobrze. Wczoraj zwabili tutaj ofiarę pod pretekstem rozmowy o sprzedaży domu, którego senator nie mógł sprzedać bez zgody pana Miry, a ten nie zamierzał takiej zgody wyrazić. Edward Mira wpuścił ich do środka. Może owa nieźle szurnięta ekspryjaciółka nie dała po sobie poznać, co do niego czuje, i umówiła go z tym pośrednikiem w handlu nieruchomościami. A może pojawiła się zupełnie niespodziewanie. Tak czy owak, sprawcy zabrali go do gabinetu.

Obeszła zwłoki, zrobiła kilka kroków w głąb domu.

– Nie związali go. Przynajmniej pan Mira tak uważa, lekarz sądowy będzie musiał to potwierdzić. Czyli zagrozili mu bronią. Jedno z nich trzymało go na muszce, a drugie biło. Przyszedł pan Mira, zawołał swojego kuzyna, skierował się do gabinetu. Nie posłużyli się bronią przeciwko niemu, uważali, żeby ich nie zobaczył, póki nie nadarzyła się okazja zdzielenia go w głowę.

Eve chodziła tam i z powrotem, myśląc na głos. Wiedziała, że mogło to się wydarzyć trochę inaczej. Obraz się zmieniał w zależności od tego, jaki wariant wybrała.

Niezadowolona z siebie, zaczęła to sobie wyobrażać jeszcze raz.

– Powtarzam od początku, uwzględniając godzinę przybycia ofiary i pana Miry. Między jednym a drugim minęło sporo czasu.

– Powiedziałaś, że już się zabrali do ofiary. A pan Mira zobaczył, że ktoś pobił jego kuzyna.

– Tak, ale... Najpierw pochodzili po domu. Podbite oko, przecięta warga, skoro zamierzali ostatecznie się z nim porachować? Dopiero zaczęli. Czyli najpierw obeszl

dom, nie kazali mu pójść prosto do gabinetu. Obejrżeli dom, w którym zamierzali zabić swoją ofiarę.

Peabody poszła w głąb domu, zajrzała do pokoiów, zatrzymała się w gabinecie. I też to sobie wyobraziła.

– Czyli jeśli znał jedno z nich, a musiał, skoro to osobiste porachunki, nie bał się tej osoby.

– No właśnie. Nie czuł się zagrożony. Przejdźmy do chwili, kiedy pan Dennis Mira leży nieprzytomny na podłodze w gabinecie. Kompletny świrus wykończyłby go natychmiast, a zatem mamy do czynienia z kimś niezupełnie szajbniętym. Sprawcy postanowili wywieźć senatora, zabrać go gdzieś, gdzie dalej mogliby się nad nim znęcać. Jeden z nich okazał się na tyle przezorny, że zabrał twardego dyska.

Peabody wróciła.

– Niezupełnie szajbnięty, a na dodatek taki, który nie spanikował.

– Zgadza się. Mają plan działania i go się trzymają.

– Jak go wywieźli? Pogoda im sprzyjała, mogli liczyć, że nikt się nie zorientuje, że to porwanie – ciągnęła Peabody. – Ale jak zmusili senatora, żeby z nimi poszedł?

– Może potraktowali go paralizatorem. Lekko, tylko tak, żeby był nieco oszołomiony. Albo podano mu jakiś środek. Morris to ustali. Wepchnęli go do samochodu. Kiedy dotarli na miejsce, musieli wyciągnąć go z auta i zaprowadzić tam, gdzie zamierzali go torturować. Musimy ustalić, czy potraktowali go paralizatorem, dali jakiś środek uspokajający, czy tylko zastraszyli, aby skłonić ofiarę do wyjścia z domu i zajęcia miejsca w samochodzie. Morris znajdzie odpowiedzi na część z tych pytań.

Rozejrzała się wkoło.

– Nie sądzę, że chodziło o ten dom. Dom posłużył im jako przynęta, wykorzystali go, żeby ściągnąć senatora tam, gdzie mogli się z nim rozprawić. Powiesili go tutaj, bo chcieli, żebyśmy go znaleźli, ale zamierzali również coś udowodnić.

– „Sprawiedliwości stało się zadość” – przeczytała Peabody. – Może chodzi o kogoś, kogo skazał bądź uniewinnił. A kobieta, no wiesz, uwiodła go, żeby się do niego zbliżyć, żeby stać się kimś, kogo nie będzie się obawiał.

– Być może, trzeba to sprawdzić. Jeśli chodzi o kogoś, kogo skazał bądź uniewinnił, sprawa dotyczyła gwałtu. Świadczy o tym ich zachowanie.

– Ta penetracja odbytnicy?

– Ktoś robi coś takiego drugiemu człowiekowi i nazywa to sprawiedliwością? Tu chodziło o zemstę, a zemsta z elementami zachowań seksualnych z całą pewnością ma związek z seksem. Czyli gwałt odegrał dużą rolę. Przynajmniej według mnie w tej chwili wszystko na to wskazuje.

Obejrzała się, słysząc pukanie do drzwi.

– Przypuszczalnie technicy albo ekipa z kostnicy. Idź, wpuść ich. I niech mundurowi zaczną przepytывать okolicznych mieszkańców. Może ktoś widział samochód w pobliżu domu, zauważył ostatniej nocy światło w oknie. I jeszcze raz trzeba popytać, czy ludzie czegoś nie widzieli wczoraj między szesnastą a osiemną. Na wszelki wypadek.

Znów spojrzała na Edwarda Mirę. Bardzo wątpiła, czy lubiłaby go, gdyby żył. Ale ponieważ nie żył, należał do niej.

Wyjęła telefon i przeszła do gabinetu, gdyż pojawiła się ekipa techników. Wzięła głęboki oddech i zadzwoniła do doktor Miry.

– Witaj. – Mirze wystarczyło jedno spojrzenie. – Edward nie żyje – powiedziała, nie dopuszczając Eve do głosu.

– Przykro mi.

– Daruj sobie. Powiedz mi, gdzie jesteś i co się stało.

– Jestem w domu przy Spring, z tego powodu też mi przykro. Nie mogę oficjalnie podać przyczyny śmierci. Morris...

– Eve!

A co tam, pomyślała.

– Został dotkliwie pobity, ma obrażenia twarzy i genitaliów. I dokonano penetracji odbytnicy.

– O mój Boże!

– Ślady na przegubach rąk świadczą według mnie, że związane mu ręce nad głową. Przypuszczam, że żył, kiedy go powiesili na żyrandolu w holu wejściowym. Na szyi ma zawieszoną kartkę z komputerowo wygenerowanym napisem: „Sprawiedliwości stało się zadość”.

– Rozumiem. – Mira zamknęła oczy i potarła palcami czoło. – To bardzo osobiste, o podłożu seksualnym...

– Doktor Mira, nie proszę o profil sprawcy. Jeszcze nie. Nie wiem, co chcesz powiedzieć mężowi.

Jej przyjaciółka otworzyła oczy.

– Powtórzę mu to, co usłyszałam od ciebie. To oczywiste.

– W porządku. Będę musiała jeszcze raz z nim porozmawiać. Przykro mi.

– Daj spokój – powiedziała ostrym tonem Mira. Podniosła rękę. – Daj spokój – powtórzyła spokojniej. – I ja, i Dennis chcemy, żebyś zrobiła wszystko, co trzeba, by znaleźć sprawcę. Czy ma się stawić w komendzie?

– Nie, przyjadę do was. Muszę poinformować najbliższego krewnego ofiary, a potem wstąpię do was w drodze do komendy. Oficjalnie nie będę się mogła z tobą konsultować podczas tego śledztwa.

– To zrozumiałe z uwagi na konflikt interesów. Jeszcze nie myślę zupełnie jasno.

– Ale nieoficjalnie poproszę o twoją pomoc w sporządzeniu profilu sprawcy. Później – dodała. – Teraz jedź do domu. Na pewno chcesz z nim być, kiedy go będę przesłuchiwała. Skontaktuję się z Whitneyem, pojadę do mieszkania denata, porozmawiam z jego żoną. Wystarczy ci czasu, żeby pojechać do domu i powiedzieć wszystko panu Mirze, nim do was dotrę.

– Masz rację. Wyjdę za kilka minut.

– Jeszcze jedno. Zamierzam o tym powiedzieć Nadine Furst.

– Och! – westchnęła Mira.

– Media szybko to zwęszą. Chcę jej powiedzieć, żeby mogła pierwsza o wszystkim poinformować ludzi. Będziecie musieli sprawdzać, kto do was dzwoni, bo kiedy sprawa wyjdzie na jaw, dziennikarze będą próbowali porozmawiać z tobą i panem Mirą. Musisz przygotować oświadczenie.

– Wiem, co robić. Zajmę się tym. Ty skup się na śledztwie.

– Będę u was za półtorej godziny.

Odwróciwszy się, Eve zobaczyła na progu Peabody.

– Technicy już działają, mundurowi przystąpili do wypytywania okolicznych mieszkańców. Samochód z kostnicy już tu jedzie. Poprosiłam, żeby sekcję zwłok przeprowadził Morris.

– Bardzo dobrze. Technicy przeszukają cały dom, ale to, co istotne, znajdą w drzwiach wejściowych. Na razie nie mamy tu nic do roboty. Jedźmy poinformować żonę ofiary.

– Najbardziej tego nie lubię.

– Nikt z nas tego nie lubi. Przypuszczalnie tym razem nie spodoba ci się to bardziej niż zwykle.

Przed opuszczeniem miejsca zbrodni zadzwoniła do Whitneya.

– Tibble miał rację, jeśli chodzi o media, zwłaszcza gdy uwzględnić seksualne podłoże zabójstwa.

– Tak jest, panie komendancie. Zamierzam się skontaktować z Nadine Furst. Wolę, żeby tę informację ogłosił ktoś, kogo znam i komu ufam, ktoś, kto zna państwa Mirów. Bez względu na to, co potem będą wymyślały media, pierwsza informacja będzie obiektywna.

– Zrób tak. Ja porozmawiam z Tibble'em i z naszym rzecznikiem prasowym. I pamiętaj, Dallas, żeby wszystko robić zgodnie z procedurami.

– Chodźmy stąd – powiedziała Eve do Peabody, kiedy Whitney się rozłączył. – Zadzwonię do Nadine po drodze.

Jak tylko usiadła za kierownicą, skorzystała z telefonu w aucie, żeby złapać Nadine.

Dziennikarka jak zwykle prezentująca się tak, by w razie potrzeby móc wystąpić przed kamerami, powitała ją radosnym uśmiechem.

– Dallas, akurat jestem z twoim cudownym mężem być może w swoim nowym, trzypoziomowym apartamencie. Żałuję jedynie, że Roarke nie jest w pakiecie z mieszkaniem. Wtedy nie wahałabym się ani chwili.

– Sama sobie kogoś znajdź. Dzwonię do ciebie służbowo.

Zielone oczy Nadine spoważniały, spojrzała na Eve przenikliwie.

– Co masz?

– Niespełna godzinę temu razem z Peabody znalazłyśmy zwłoki byłego senatora Edwarda Miry w dawnym domu dziadków senatora.

– Kurde, cholera, niech to diabli. Wezmę magnetofon.

– Posłuchaj. Ofiara została bestialsko pobita, a następnie powieszona. A przedtem dokonano penetracji odbyticy.

– Chryste, to będzie wielka sensacja!

– Wczoraj koło godziny siedemnastej dwadzieścia pięć, zgodnie z rejestrem taksówki Rapid Cab, z której usług skorzystał kuzyn senatora, Dennis Mira... Nie, lepiej profesor Mira, bo przecież jest profesorem... Wszedł do domu, po czym został napadnięty i uderzony tak, że stracił przytomność. Ale przedtem zobaczył senatora pobitego i chciał mu pomóc. Profesor Mira skontaktował się z policją nowojorską. Od tamtej pory policja próbowała ustalić miejsce pobytu Edwarda Miry, przypuszczając, że jest gdzieś przetrzymywany wbrew swojej woli. Tymczasem przywieziono go z powrotem do domu

dziadków i pozbawiono życia. Główny lekarz sądowy właśnie próbuje ustalić czas i przyczynę zgonu. Kierująca śledztwem w tej chwili nie ma nic więcej do powiedzenia na ten temat, ale policja zamierza wydać oświadczenie, kiedy będą znane dalsze szczegóły.

– Boże, jak już mnie o czymś informujesz, to naprawdę sensacja.

– Właśnie jadę do najbliższej krewnej senatora, żeby ją powiadomić o jego śmierci. Nie wolno ci nic ujawnić, póki nie dostaniesz zielonego światła od Peabody.

– Rozumiem. Jak się czuje Dennis? Wszystko z nim w porządku?

Eve wzięła głęboki oddech. Nie zawierała łatwo przyjaźni, ale jak już się z kimś zaprzyjaźniła, to na dobre i złe.

– Są dwa powody, dlaczego ciebie pierwszą o tym poinformowałam. Wiem, że zaczekasz, aż otrzymasz zielone światło, i zapytałaś o pana Mirę. Czuję się dobrze. Trochę oberwał w głowę, ale nic mu nie jest.

– Teraz muszę cię zapytać, czy już kogoś podejrzewasz.

– Nie, śledztwo dopiero się zaczęło. A ponieważ jesteś z Roarkiem, powiedz mu, że pozwałam, by przekazał ci informacje, dotyczące kamienicy dziadka ofiary. I tak przecieknie to do prasy, a wolę, żebyś ty to wykorzystała. Natomiast nie chcę, żeby ktokolwiek pomyślał, że pan Mira jest podejrzany, a nawet jakoś powiązany z tą sprawą. Jest świadkiem, ofiarą napadu. I tyle.

– Powinnaś lepiej mnie znać.

– Znam cię, dlatego skontaktowałam się z tobą, zanim poinformowałam o śmierci senatora jego najbliższą krewną. Dostaniesz od Peabody zielone światło, jak tylko to zrobimy. Muszę kończyć.

– Ja też nie mam już czasu na pogaduszki.

Rozłączyły się i Eve z ponurą miną spojrzała na jadące wokół pojazdy.

– Jak zamierzasz postąpić z panem Mirą?

Eve zrobiła jeszcze bardziej ponurą minę.

– Jak to, „postąpić”?

– Słuchaj, po pierwsze, wiem, że on nie ma z tym nic wspólnego. Mówię o tym, że mamy postępować ściśle według procedur. Był ostatnią osobą, która widziała ofiarę przed śmiercią, panowały między nimi napięte stosunki, a jednym z powodów tego był dom, w którym powieszono ofiarę. Wiem, jak byśmy postępowały, gdybyśmy nie знаły i nie kochały pana Miry. Ale...

– Postąpimy tak, jak trzeba, Peabody.

– Nie chcę czegoś popsuć.

– Nie popsujesz.

Eve zaparkowała przed lśniącym wieżowcem, przygotowana na kłopoty. Dziś inny portier był przebrany za misia polarnego i natychmiast do niej podbiegł. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu i machnęła odznaką.

– Jesteśmy z policji, przyjechałyśmy tu służbowo. To pojazd, należący do policji, i tu zostanie. Jeśli zaczniesz pyskować, moja partnerka aresztuje cię za utrudnianie pracy policji, utrudnianie śledztwa i postara się, żeby cię odstawiono do komendy.

Jego ciemnobrązowa twarz ostro kontrastowała z śnieżnobiałą liberią. Przybrał obojętną minę.

– Nie powiedziałem ani słówka.
– I bardzo mądrze z twojej strony. Musimy wejść do mieszkania Edwarda i Mandy Mirów.

Portier się skrzywił.

– To nie takie proste. Proszę posłuchać, muszę przestrzegać przepisów. Wy wykonujecie swoje obowiązki, tak? Ja wykonuję swoje. Muszę uzyskać zgodę osobistego ochroniarza państwa Mirów.

– Więc na co czekasz?

Ruszył w stronę wejścia i okazał się na tyle dobrze wychowany – a może wyszkolony? – że przytrzymał im drzwi, kiedy wchodziły.

– Proszę zaczekać chwilkę.

Podszedł do tego samego komputera, z którego jego kolega korzystał poprzedniego wieczoru, wstukał kod.

– Hank, tu Jonah, portier. Są tutaj dwie policjantki, które...

Eve odepchnęła Jonaha.

– Hank, tu porucznik Dallas. Radzę ci, żebyś bez zbędnych ceregieli pozwolił wjechać na górę mnie i mojej partnerce.

– Tym razem ryzykuję, że wyrzuci mnie z roboty. Umieściła panią na liście niepożądanych gości.

– Musi ze mną porozmawiać. Jeśli nie wpuści mnie do mieszkania, usłyszysz to, co jej chcę powiedzieć, w wiadomościach. Powtórz jej to.

– Do diabła, to i tak okropna praca. Proszę wjechać na górę. Jonah, wpuść panie.

– Zrozumiałem.

– Sama trafię – powiedziała mu Eve i podeszła do windy, z której poprzednio skorzystała.

– Odlotowa – powiedziała Peabody, kiedy wsiadły.

– Są tu zainstalowane kamery i mikrofony – wyjaśniła Eve.

– Naprawdę? – Nucąc coś sobie, Peabody rozejrzała się po kabinie, powąchała róże. – Często korzystasz z nowego dojo?

– Udaje mi się dwa razy w tygodniu. Uczę się być niedźwiedziem, kogutem, żurawiem, tygrysem, smokiem. Prawdziwa menażeria. Ale nim skończę, okazuje się, że to bardzo fajne.

– Chyba chciałabym być smokiem – stwierdziła Peabody, kiedy drzwi się rozsunęły.

Hank spojrzał na nie ze zboląłą miną.

– Jak tylko wróci senator, każe mu mnie obsztorcować. Macie trzy minuty, potem znów skontaktuje się z gubernatorem.

– Sądzę, że nie zrobi ani jednego, ani drugiego. Wpuść nas, Hank.

Pokręcił głową, ale otworzył drzwi.

Stała za nimi Mandy, ze skrzyżowanymi ramionami i zadartą brodą.

– To nękanie przez policję. Dokładnie za trzy minuty i dziesięć sekund zadzwonię do gubernatora i do naszych prawników – oświadczyła, patrząc na nie z pogardą.

– Pani Mira, z przykrością informuję panią, że pani mąż nie żyje. Ubolewamy z powodu pani straty.

Policzki jej poczerwieniały.

– Co to za brednie? Jak śmie pani tu przychodzić i mówić mi coś takiego!

– Jego zwłoki znaleziono powieszono na żyrandolu w holu domu przy Spring Street. Stwierdziliśmy ślady użycia siły fizycznej. Ciało przewieziono do zbadania przez głównego lekarza sądowego, który określi przyczynę śmierci.

Rumieńce Mandy zniknęły, jej twarz zrobiła się zupełnie blada. Ale głos kobiety się nie zmienił.

– Kłamie pani! – wykrzyknęła z furją.

– Kieruję śledztwem w sprawie śmierci pani męża i do moich obowiązków należy poinformowanie pani o powyższym. Rozumiemy, że jest pani w tej chwili ciężko, ale mamy kilka pytań. Odpowiedzi mogą nam pomóc znaleźć osobę bądź osoby, które zamordowały pani męża.

– Wynoście się, wynoście się z mojego domu. Kłamie pani! Kłamie pani, żeby mnie zdenerwować!

– Wie pani, że to nieprawda.

Kiedy się zachwiała, Hank podbiegł, ujął ją pod ramię.

– Pani Mira, proszę usiąść. Proszę usiąść, a ja przyniosę pani wody.

– Kłamie pani... – Ale tym razem jej głos drżał.

Eve podeszła do niej; senatorowa nie płakała, ale była biała jak ściana. Jej zszokowana mina nie wyglądała na udawaną.

– Moja partnerka i ja weszliśmy do domu przy Spring Street godzinę temu i znalazłyśmy tam zwłoki pani męża. Pani Mira, zajmuję się śledztwami w sprawie zabójstw i nie robię sobie żartów ze śmierci. Może mi pani powiedzieć, czy zna pani kogoś, kto życzył senatorowi śmierci?

– Nikt by tego nie zrobił. Nikt by się nie ośmielił.

– Ktoś to zrobił, pani Mira. Ktoś się ośmielił. Znęcali się nad nim. Słyszysz mnie pani? Zadali mu ból, nim go zabili. Kto chciał mu sprawić ból?

– Nie wiem. Proszę wyjść.

Peabody przemówiła kojąco, pełnym współczucia głosem:

– Pani Mira, czy jest ktoś, z kim możemy się skontaktować w pani imieniu? Z kimś z rodziny, z przyjaciół?

– Nie chcę waszej pomocy. Wynoście się. Wynoście się albo każę was wyrzucić!

Wbiegł Hank ze szklanką wody. Wyrwała mu ją i cisnęła przez pokój.

– Wynoście się wszyscy!

– Może pani do mnie zadzwonić do komendy, jeśli będzie pani miała jakieś pytania albo będzie pani chciała złożyć oświadczenie. – Eve odwróciła się i podeszła do drzwi. Obejrawszy się, zobaczyła, że Mandy wciąż siedzi z mocno splecionymi dłońmi. Jej oczy pozostały suche.

– Wychodzisz? – spytała Eve Hanka, kiedy wyszedł z nimi i zamknął za sobą drzwi.

– Na razie zostanę, na wszelki wypadek. Nie wiem, co powiedzieć. Czy mogę zadzwonić do jej syna, córki?

– Proszę bardzo. I koniecznie proszę im podać moje nazwisko. – Razem z Peabody wsiadła do windy. – Powodzenia, Hank.

– Budzi strach – powiedziała Peabody mimo kamer i mikrofonów. – Wiem, że ludzie rozmaicie reagują na wiadomość o śmierci swoich bliskich, ale ona budzi strach.

– Jest, jaka jest, a my zrobiliśmy to, co miałyśmy zrobić.

Jadąc do domu Charlotte i Dennisa Mirów, Eve czuła, że pęka jej głowa, czuła tępe, ale stałe pulsowanie. Znów zrobi to, co musi, ale teraz nikt nie nazwie jej kłamczuchą ani nie rzuci w nią szklanką. Może dlatego tym razem będzie to trudniejsze.

Znalazła miejsce do zaparkowania tylko jedną przecnicę od ładnej miejskiej rezydencji państwa Mirów. Kiedy wysiadły i zaczęły iść, wsunęła ręce do kieszeni i znalazła rękawiczki, o których zapomniała.

Przynajmniej jeszcze ich nie zgubiła.

– Daj Nadine zielone światło. – Poruszając ramionami, zaczęła wchodzić po kilku stopniach, prowadzących do drzwi frontowych.

Nacisnęła guzik dzwonka i skupiła się na obowiązujących procedurach. Kobieta, która im otworzyła, miała włosy takiego samego koloru jak doktor Mira, ale była chuda jak pan Mira. Gillian, przypomniała sobie Eve, córka, mieszkająca w... Tak, w Nowym Orleanie.

– Porucznik Dallas. Witam. Cześć, Peabody.

– Cześć, Gillian. Nie wiedziałam, że jesteś w Nowym Jorku.

– Przyjechałam wczoraj wieczorem. Miałam złe przeczucia i zadzwoniłam do matki. No i jestem.

– Miło cię widzieć, nawet w tych okolicznościach.

Gillian uśmiechnęła się do Peabody i cofnęła, by mogły wejść.

– Ciebie również. Mama i tata są w salonie. Jest mu ciężko, więc nie męczcie go.

– Rozważałyśmy, czy nie zaciągnąć go w kajdankach do komendy, mamy tam pałki i gumowe węże – odparła Eve.

Gillian tylko spojrzała na nią zimno oczami swojej matki.

– Wezmę wasze płaszcze.

Kiedy się rozebrały, zaprowadziła je do salonu.

Państwo Mira siedzieli na kanapie, w kominku płonął ogień. Prawie tak samo, jak w domu, w którym popełniono przestępstwo. Eve pomyślała, że pan Mira wygląda na zmęczonego, i poczuła wyrzuty sumienia, wiedząc, że jeszcze przysporzy mu trosk.

– Gliniarze w domu – powiedziała lekkim tonem Gillian, nim przeszła przez pokój, żeby przysiąc na poręczu kanapy obok ojca.

Wspólny front.

– Panie Mira przykro nam – odezwała się Eve – z powodu poniesionej przez pana straty.

– Dziękuję. Edward i ja... Nasze stosunki nie były takie, jak kiedyś, ale wciąż pamiętam chłopca, jakim był. Jakimi obaj byliśmy. Czy bardzo cierpiał?

Spojrzał na nią tymi swoimi dobrymi, zielonymi oczami. Chciała go okłamać, zrobić dla niego chociaż tyle. Ale nie mogła.

– Tak.

– Dziwne. Nawet pomimo tego, czym się zajmuje Charlotte w pracy, nawet wiedząc, co ludzie zdolni są sobie nawzajem zrobić i co robią, nikt nigdy nie przypuszcza, że może to spotkać jego bliskich. Chociaż bardzo się różniliśmy, Edward należał do mojej rodziny. Rozmawiałaś z Mandy?

- Właśnie od niej jedziemy.
- Nie odbiera telefonów – wyjaśniła Mira. – Dennis martwi się o nią.
- Jest... – Jak to ująć, zastanowiła się Eve.
- Ich osobisty ochroniarz miał zadzwonić do jej dzieci – wtrąciła Peabody.
- To dobrze. – Dennis Mira poklepał Gillian po kolanie. – Dzieci to prawdziwa pociecha. Wiem, że to trudna osoba. Jesteś zbyt dobrze wychowana, żeby to powiedzieć.
- Wcale nie jestem dobrze wychowana – zaprzeczyła Eve, czym wywołała u niego lekki uśmiech.
- Założę się, że jesteście bez obiadu.
- Ta nagła zmiana tematu ją zaskoczyła.
- Właściwie nie jesteśmy...
- Musicie jeść. Zrobię wam kanapki.
- Panie Mira, przepraszam, ale musimy zadać panu kilka pytań. Muszę pana przesłuchać i nagrać naszą rozmowę. Muszę panu odczytać prawa, jakie panu przysługują.
- Chyba nie uważacie ojca za podejrzanego. – Gillian uniosła rękę z kanapy, jakby chciała wyjąć strzałę z kołczanu.
- Gillian, wyjaśniłam ci to. – Mira przesunęła dłonią po nodze męża i wstała. – Takie są procedury i nic na to nie poradzimy.
- Gwiżdżę na procedury.
- Ale ja muszę działać zgodnie z nimi – oświadczyła Eve i przeniosła wzrok na Dennisa.
- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.
- To oczywiste. Ale musicie również jeść. Porozmawiamy w kuchni, kiedy będę robił kanapki.
- Tato, przypominam, że ugotowałam zupę.
- No właśnie. – Wstał. Był w swoim zielonym, powyciąganym swetrze, miał zmierzwiłone włosy. – Gilly robi pyszną zupę. Ziemniaczano-porowa, prawda?
- Z kurczakiem i ryżem.
- No jasne. Ziemniaczano-porowa była poprzednim razem. Zupa daje ukojenie – zwrócił się do Eve. – Wszystkim się ono przyda.
- Eve nie mogła odmówić, po prostu nie potrafiła zachowywać się formalnie. Więc skończyło się na tym, że usiadła w dużej kuchni, w której pachniało zupą, naprzeciwko pana Miry, w kąciku śniadaniowym, gdzie przez okna wpadały blade promienie zimowego słońca.
- Najpierw obie coś zjedzcie – powiedział, kiedy Gillian postawiła przed nimi talerze z zupą. – Charlie mi powiedziała, że właśnie awansował ten miły, młody policjant.
- Trueheart. Otrzymał dziś odznakę detektywa.
- I bardzo dobrze. To miły, młody człowiek. I inteligentny, prawda?
- Tak. Jest dobrym gliną. – Zaczęła jeść, ponieważ stał przed nią pełny talerz. – Smaczna zupa.
- To prawda. – Peabody spojrzała na Gillian. – To zasługa szaławii. Moja babcia zawsze dodaje do zupy szałwię.
- Lubisz gotować?
- Głównie piekę, kiedy mam czas. Odpoczywam przy tym.

Eve pozwoliła, żeby wokół niej toczyła się rozmowa o błahostkach. Powinna im przerwać. Nie powinna siedzieć w przytulnej kuchni, jedząc zupę, i przysłuchiwać się temu, co mówią. Powinna...

Dennis poklepał ją po dłoni.

– Nie denerwuj się. Nie denerwuj się, że musisz wykonać swoje obowiązki. Chcę ci pomóc znaleźć tego, kto zabił Edwarda, zadając mu ból.

– Panie Mira, pan nie jest podejrzanym. Nikt nie uważa, że ma pan z tym coś wspólnego. Ale musimy przez to przejść. Niektóre pytania będą nieprzyjemne. Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Pytaj, ale najpierw dokończ zupę. – Zwrócił się do Peabody. – A jak tam twój młody przyjaciel? Bardzo go lubię. Jest taki barwny.

– To prawda. Jest cudowny.

Skończywszy jeść, dostrzegła pełne wdzięczności spojrzenie doktor Miry. Więc może należało to zrobić, żeby dać panu Mirze czas na uspokojenie się.

– Przygotuję gorącą czekoladę – oznajmił Dennis. – Lubisz moją gorącą czekoladę – zwrócił się do Eve.

– Kto by jej nie lubił? Ale...

– Dla ciebie i dla... Delio, lubisz gorącą czekoladę?

– Mam do niej słabość. Teraz wiem, dlaczego wcześniej nie zjadłam ani kawałka tortu.

– Jest lepsza od tortu. – Puścił do niej oko, a Eve ścisnęło się serce. – Razem z Delią usiądźcie koło szafek, a ja przygotuję gorącą czekoladę. Dzięki temu będę miał zajęte ręce podczas przesłuchania. A ty, Charlie, razem z Gillian, zostańcie przy stole. I, Gilly, zachowuj się jak należy.

– Spróbuję.

Zachichotał, wstając.

Zrobią tak, jak on tego chce, postanowiła Eve, i wstała, żeby usiąść na wysokim stołku obok szafek kuchennych, kiedy Dennis szukał czegoś na półkach.

– Robi ją pan od zera? – Peabody zaświeciły się oczy, kiedy znalazł dużą tabliczkę czekolady, pojemnik cukru. – To niezwykła gratka oglądać, jak ktoś przyrządza gorącą czekoladę od zera.

Eve spojrzała na Peabody, żeby jej przypomnieć, że nie przyszły tu dla przyjemności.

Kiedy Dennis postawił garnek na kuchni, Eve musiała samej sobie o tym przypomnieć.

– Włączam nagrywanie.

6

Eve wymieniła nazwiska obecnych, podała numer sprawy. Odczytała prawa, przysługujące przesłuchiwanemu.

– Czy rozumie pan przysługujące mu prawa, profesorze Mira?

Rzucił jej uśmiech, usłyszawszy, że użyła jego tytułu naukowego, postawił rondel na drugim, wypełnionym wodą – dlaczego to zrobił? – i zaczął wrzucać do niego połamaną na cząstki czekoladę.

– Zrozumiałem, dziękuję.

– Edward Mira był pana kuzynem.

– Tak, moim stryjecznym bratem.

Wziął małą, metalową miskę i włożył ją do zamrażarki.

Eve zastanawiała się, czy powinna mu zwrócić uwagę na tę pomyłkę, ale postanowiła nie przerywać przesłuchania.

– Czy może pan opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj, po przybyciu przez pana do domu przy Spring Street numer dwa tysiące trzysta czternaście?

Zrelacjonował wszystko ze szczegółami: o pogodzie, o jeździe taksówką. Eve żałowała, że go nie uprzedziła, by nie rozwodził się zbyt nad tym, że był zły na swojego kuzyna, bo rozmowa jest nagrywana. Kiedy powiedział, że usłyszał czyjeś głosy, przerwała mu.

– Czy może pan powiedzieć, głosy ilu osób pan usłyszał?

– Och. – Zmarszczył czoło i zrobił zakłopotaną minę. – Nie jestem pewien, ale przynajmniej dwóch, bo była to jakby rozmowa... Powinienem powiedzieć, że odniosłem wrażenie, iż słyszę rozmowę. Nie rozumiałem poszczególnych słów i obawiam się, że byłem zdenerwowany. A kiedy zawołałem Edwarda, głosy umilkły. Tego jestem pewien. Zawołałem go, bo nie chciałem nikogo zaskoczyć swoim pojawieniem się.

– Głosy przynajmniej dwóch osób. Nie rozróżniał pan poszczególnych słów, ale czy może pan powiedzieć, czy to były głosy, należące do kobiety bądź mężczyzny?

– Doskonałe pytanie. – I takie, które wyraźnie go nieco zaskoczyło. – Założyłem, że jeden należy do Edwarda, ale nie słuchałem zbyt uważnie. Często mi się to zdarza. Stosuję małą sztuczkę, której nauczyła mnie Charlie. Pomaga mi przypomnieć sobie różne rzeczy. Zdaje się, że zbyt często błędę gdzieś myślami.

Zamknął oczy i wziął kilka oddechów.

– Wchodzę do domu. Jest tu ciepło po przenikliwym wietrze na dworze. Czuję olejek cytrynowy, więc wiem, że Sila dziś albo wczoraj sprzątała. Ogarnia mnie smutek, ponieważ przypominam sobie, jak tu było, kiedy żyli moi dziadkowie. Część mebli zabrano, bo w testamencie zapisano je różnym osobom. Na stoliku w holu zawsze stały świeże kwiaty. Smutno mi, że już nikt ich nie stawia, smutno mi, że panuje tu taki półmrok.

Jest brzydki, pochmurny dzień, chciałbym, żeby było więcej światła. Słyszę głosy. Jestem poirytowany, smutny i słyszę głosy, dobiegające gdzieś z głębi domu. Wydaje mi się, że z gabinetu, ale nie jestem pewien. Głosy są... Gniewne albo podniecone. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale tak, tamci mówią podniesionymi głosami. Mój kuzyn, jak mi się wydaje, i jeszcze ktoś. Kobieta. Chyba kobieta.

Znów otworzył oczy.

– Według mnie była z nim kobieta. Czy to może pomóc?

– Tak. Co pan potem zrobił?

– Ruszyłem w głąb domu. Starłem się nie zachowywać obcesowo, ale zamierzałem oświadczyć pośrednikowi w handlu nieruchomościami, że niepotrzebnie tu przyszedł, bo nie zamierzam sprzedać kamienicy. Wiedziałem, że pokłócimy się z Edwardem, ale byłem zdecydowany jasno i dobitnie to oznajmić. Wszedłem do gabinetu i zobaczyłem mojego kuzyna. Byłem... Zbity z tropu, można powiedzieć. Nastawiłem się na kłótnię, przygotowałem się do niej, a on siedział w fotelu, ale przed biurkiem, nie za nim, miał zakrwawioną twarz... Krew leciała mu z wargi. Oko... Ach... – Znów zamknął powieki, poruszył rękami w powietrzu. – Prawe oko miał podbite i podpuchnięte. Wyglądał na przerażonego. Chciałem do niego podbiec, pomóc mu i wtedy...

Dotknął ręką tyłu głowy.

– Poczuję uderzenie. Następne, co wyraźnie pamiętam, to jak się ocknąłem z bolącą głową na podłodze w gabinecie. Edward zniknął, fotel znów stał za biurkiem. Mogłem sobie pomyśleć, że wyobraziłem sobie to wszystko, ale krew leciała mi z głowy i leżałem na podłodze.

– Co pan wtedy zrobił?

– Zacząłem szukać Edwarda, wołałem. Początkowo byłem trochę oszołomiony i dezorientowany. Poszedłem do kuchni i na górę. Kiedy go nie znalazłem, wiedziałem, że coś się musiało stać. Zadzwoiłem do Charlie. Do Charlotte. Do doktor Miry. Powiedziałem jej, że coś się wydarzyło, spytałem, czy może przyjechać razem z panią do domu mojego dziadka. Jeszcze trochę przeszukałem dom, nim się pojawiliście.

– Dlaczego nie zadzwonił pan pod dziewięćset jedenaście? Pańskiego kuzyna pobito i uprowadzono, pana zaatakowano. A zamiast na policję, zadzwonił pan do żony.

– Wtedy nawet o tym nie pomyślałem. Moja Charlotte pracuje w policji. Pracuje z panią. Chyba powinienem zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, jak pani mówi, ale chciałem, żeby przyjechała właśnie pani. Coś złego spotkało mojego kuzyna.

– Profesorze Mira, prowadzę śledztwa w sprawach o zabójstwo. Czy sądził pan, że pańskiego kuzyna zamordowano?

– Nie. Ani przez chwilę tak nie pomyślałem... Nadal niezupełnie mogę... Ale najważniejsze, że jest pani policjantką, prawda? Do tego najlepszą policjantką, jaką znam. Wiedziałem, że ustali pani, co się stało z Edwardem.

– Zadzwoił więc pan do swojej żony – powiedziała z lekkim naciskiem – i poprosił ją, żeby przyjechała z funkcjonariuszką policji, z którą... Jest pan w przyjaznych stosunkach.

– Tak, to prawda. – Odmierzył mleko, dodał je do czekolady. I zmiażdżył jakieś ziarenka w małym, marmurowym moździerzku małym, marmurowym tłuczkiem. – Ale przecież moja żona jest znanym i szanowanym profilerem, a pani jest znanym i szanowanym porucznikiem

policji. Byłbym głupcem, gdybym zadowolił się kimś gorszym, skoro mogłem się zwrócić do tak wybitnych fachowców.

Dodał rozkruszone przyprawy, cukier i dokładnie wymieszał zawartość rondelka.

Jego odpowiedzi są dobre, pomyślała Eve. Bardzo dobre, proste i logiczne. Ale jeszcze nie skończyła przesłuchania.

– Profesorze Mira, czy kłócił się pan ze swoim kuzynem?

– O, tak. – Powiedział to tak po prostu, nie próbując żadnych sztuczek. – Od lat się kłóciliśmy... Znaczą się, sprzecaliśmy... I to nieraz. Z upływem czasu nasze poglądy na świat zaczęły się różnić i mało mieliśmy ze sobą wspólnego. Inaczej niż wtedy, kiedy byliśmy mali.

– Sprzecali się panowie o nieruchomość przy Spring Street, którą obaj odziedziczyliście w równych częściach.

– Tak. – Żadnego wahania, żadnej wrogości. – Obiecaliśmy naszemu dziadkowi, że dom pozostanie w rodzinie. Według Edwarda ta obietnica przestała obowiązywać. Według mnie nie.

– Czy wczoraj pokłóciliście się w domu dziadka?

– Nie. Nawet nie mieliśmy okazji porozmawiać. Wypowiedziałem jego imię, ale potem ktoś mnie uderzył. Więc nie mieliśmy okazji porozmawiać. Chyba byśmy się pokłócili, gdyby...

Wprawdzie nie przestał mieszać czekolady, lecz spojrzał na rondel tak, jakby zapomniał, dlaczego tu stoi.

– Po śmierci senatora komu przypadnie należąca do niego część nieruchomości?

– Słucham? Ach, tak. O ile nie zmienił testamentu – nie wiem, czy to zrobił – odziedziczą ją w równych częściach jego dzieci.

Wyjął miseczkę z zamrażalnika i coś jakby trzepaczkę. Wlał do miseczki... Mleko, śmietankę... Coś z małego pojemniczka, dodał trochę cukru. Włożył trzepaczkę do jakiegoś małego, ręcznego urządzenia.

I zaczął ubijać to, co było w miseczce.

– Jakie stosunki panują między panem a dziećmi kuzyna?

– To wspaniali młodzi ludzie. Bardzo się lubimy. Muszę się z nimi spotkać. Mam nadzieję, że są teraz ze swoją matką, ale odwiedzimy ich. Stracili ojca, będą potrzebowali obecności bliskich im osób.

– Czy będą bardziej skłonni zatrzymać nieruchomość w rodzinie, profesorze Mira?

– Tak, z całą pewnością.

Zobaczyła, że ubił śmietankę. Są tacy, którzy ubijają śmietankę, żeby otrzymać bitą śmietanę? Kto by pomyślał?

Odstawił miseczkę i posłużył się innym przyrządem kuchennym, żeby z pozostałej czekolady zrobić wiórki.

– Eve... Znaczą się, pani porucznik Dallas... Edward, żeby nie wiem, jak bardzo tego chciał, nie mógł sprzedać domu naszego dziadka. Nie mógł nic zrobić, bo ja nie złamałbym swojej obietnicy. Nadal byśmy się o to spierali, lecz, jak już powiedziałem, od czasów studiów oddaliliśmy się od siebie. Razem studiowaliśmy w Yale, był rok wyżej ode mnie. Gdyby żył, prawdopodobnie i tak nie zbliżylibyśmy się do siebie, ale nigdy mu źle nie

zyczyłem. A on nigdy by mnie nie zmusił siłą do sprzedaży domu.

– Czasami ludzie nie pozostają dłużni wobec tych, którzy ich tyranizują.

– To prawda. Sam radziłem swoim dzieciom, żeby nie dawały sobie w kaszę dmuchać. I ja postępowałem tak samo z Edwardem przez ponad czterdzieści lat.

Odwrócił się, by wyjąć z szafki kubki.

– Niektórzy myślą łagodne usposobienie ze słabością. Pani też?

– Nie.

– Potrafię być bardzo uparty, kiedy sprawa dotyczy czegoś ważnego. Mogą to potwierdzić moi bliscy.

Gillian prychnęła, co sprawiło, że panu Mirze drgnęły w uśmiechu kąciki ust.

– Obietnica, złożona człowiekowi, którego głęboko kochałem, to ważna rzecz, nawet święta rzecz. Nie musiałem robić krzywdy Edwardowi, żeby dotrzymać słowa. Wystarczyło trwać przy swoim. Nie jestem człowiekiem gwałtownym.

Rozlał gorącą czekoladę do kubków.

– I chociaż nie lubiłem Edwarda, nie lubiłem człowieka, jakim się stał, kochałem go.

– Profesorze Mira, czy może mi pan powiedzieć, co pan robił wczoraj od godziny jedenastej wieczorem do wpół do czwartej dziś rano?

– Byłem tutaj... To znaczy, nie w kuchni, tylko w domu. Charlie, moja żona, nalegała, żebym wcześniej poszedł spać. Właściwie to jestem nocnym markiem. Ale miała rację, byłem bardzo zmęczony. Chyba przed dziesiątą położyłem się do łóżka. Sądziła, że nie wiem, że co parę godzin do mnie zaglądała.

Uśmiechnął się czule, spoglądając w stronę kącika śniadaniowego.

– I nasza córka Gillian zajrzała dwa razy, żeby się upewnić, czy nie zapadłem w śpiączkę... Dokładnie to powiedziała swojej matce koło północy. Nie spałem zbyt dobrze. Odpocząłem – dodał pospiesznie, znów zerkając w kierunku kącika śniadaniowego. Nakładał bitą śmietanę na swoją gorącą czekoladę. – Ale martwiłem się o Edwarda i nie spałem dobrze.

– Rozumiem. No dobrze, to wszystko. Dziękuję za poświęcony nam czas i okazaną pomoc. Wyłączyć nagrywanie.

Dennis posypał bitą śmietanę wiórkami czekolady, postawił kubki przed Peabody i Dallas.

– Wstań – powiedział do Eve.

Wstała i objęła się rękami.

– Musi cię ktoś przytulić. – Otoczył ją ramionami, aż w środku cała się roztopiła. – No dobrze. Nie było tak źle, prawda?

– To było straszne.

– Ale mamy to już za sobą.

– Jestem taka...

– Nic nie mów. Usiądź i wypij czekoladę.

– Mnie też proszę przytulić.

Dennis spojrzał promiennie na Peabody i spełnił jej prośbę.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedział do niej. – Gilly, Charlie, chodźcie tu. Zrobiłem tyle, że starczy dla wszystkich.

Doktor Mira podeszła do niego i ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Kocham cię, Dennisie.

– To dobrze. W przeciwnym razie co bym teraz zrobił?

– Usiądź. Ja dokończę za ciebie.

Nakładając bitą śmietaną na czekoladę, Mira spojrzała na Eve.

– Zrobiłaś to, co należało. Było ci trudno, a mnie trudno było tego słuchać. Ale zrobiłaś to, co należało.

– Przepraszam, ale czy mogłabyś potwierdzić... Że był w domu w tym czasie.

– Jak najbardziej. Rzeczywiście zaglądałam do niego co dwie godziny, a Gilly weszła do jego sypialni tuż przed północą, a potem koło trzeciej. Myślałyśmy, że śpi.

– Znów zaczęłabyś zrzędzić, gdybyś wiedziała, że nie śpię.

– Ma rację. Czy sądzisz, że to była kobieta?

– Musiały być przynajmniej dwie osoby, jedna z nich to kobieta. Jestem tego pewna, a słowa pana Miry to potwierdziły.

– Nigdy nie był podejrzanym – wtrąciła Gillian.

– Nie. Brak motywu, brak okazji. Musiałam mieć to wszystko nagrane. Media będą nad tym gorąco rozprawiać. Mając to nagranie, możemy powiedzieć, że pan Mira bezsprzecznie jest jedynie świadkiem.

– Chciałabym coś powiedzieć. – Peabody, zamknawszy oczy, wypila kolejny łyk czekolady ze swojego kubka. – Panie Mira, to najwspanialsza gorąca czekolada, jaką piłam. Jest pan geniuszem, ale nie wiem, jak będę mogła teraz pić to świństwo, które oferują w komendzie.

– Dopij czekoladę, partnerko. Musimy wracać do pracy.

Trochę to trwało – Peabody chciała się delektować czekoladą – ale nawet po dokładce Eve poczuła się lżej, kiedy Gillian odprowadziła je do drzwi i podała płaszcze.

– Chcę przeprosić za to, że miałam ochotę pani przywalić, chociaż widziałam, że trudno było pani prowadzić to przesłuchanie.

– Ja cały czas mam ochotę komuś przywalić. A pan Mira jest twoim ojcem.

– Kocham mojego męża między innymi za to, że zgadza się ze mną, kiedy mówię, że mój ojciec jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam. Trochę się pani w nim podkochuje.

– Chyba więcej niż trochę.

– I nie pozwoli go skrzywdzić.

– Obiecuję, że nie.

– W takim razie w porządku. Udzielam wam obu błogosławieństwa i życzę bezpiecznej podróży wszędzie, dokąd was poprowadzi droga.

Kiedy wracały do samochodu, Eve wsunęła ręce do kieszeni i znów wymacała rękawiczki. Włożyła je.

– Wyznacz jakąś sensowną trasę do jego przyjaciółek.

– Już to zrobiłam. Możesz skreślić Allyson Byson, przynajmniej na razie. Od tygodnia bawi na Saint Lucia z mężem i grupką przyjaciół. Każdej zimy spędzają tam sześć tygodni.

– Bardzo zgrabne alibi. Ale i tak ją sprawdzimy.

– Powinnyśmy zacząć od Carlee MacKensie, spotykał się z nią bezpośrednio przed tym,

nim zaczął kręcić z Downing. Niezależna dziennikarka.

Wsiadły do auta, a Peabody wstukała adresy do samochodowego komputera.

– Potem pojedziemy do Ashy Coppoli, następnie do Lauren Canford, a na koniec złożymy wizytę Charity Downing.

– Przed końcem dnia chcę też porozmawiać z dziećmi zamordowanego. – Eve zastanawiała się, jaką obrać taktykę, zmagając się z ruchem samochodowym. – Teraz zapytamy te kobiety, jak i kiedy się poznali, jak długo się spotykali, kto zerwał znajomość i tym podobne rzeczy. Na razie tylko ustalamy fakty.

– Jak sobie z tym wszystkim radził? – zastanowiła się Peabody. – Znamy nazwiska pięciu, a to tylko te, z którymi się spotykał w ciągu ostatniego roku. Czyli musi ich być o wiele więcej. Co robił, żeby ich nie pomylić?

– Według mnie traktował je wszystkie tak samo. Jak zdobycz. Zachowywał się niczym drapieżnik. Widział ofiarę, zakradał się, chwycił ją, zabawiał się z nią przez jakiś czas. Potem, kiedy się znudził albo przestała go zadowalać, zostawiał ją i szukał sobie następnej.

Dostrzegła miejsce parkingowe na drugim poziomie, dodała gazu i udało jej się tam wjechać.

– Może udałoby nam się stanąć trochę bliżej.

– Może tak, a może nie.

– Luźne spodnie, luźne spodnie – podśpiewywała sobie Peabody, kiedy schodziły żelaznymi schodami na poziom ulicy.

– Będą znacznie luźniejsze, jak ci skopię tyłek na wszystkie strony.

– Wykorzystuję siłę pozytywnego myślenia. Ale żeby oszczędzić bólu swojemu tyłkowi... Co kupujecie Belli na urodziny?

– Nie wiem. – Eve wpadła w panikę. – Skąd, do diabła, mam wiedzieć, co kupić rocznemu dziecku? Czy ktokolwiek to wie? Dziecko ci nie powie, nikt nie pamięta, o czym marzył, kiedy sam miał rok, więc to loteria.

– Przyjęcie urodzinowe jest za dwa tygodnie.

– Zamknij się, Peabody.

– Dobrze, ale jak się zamknę, nie będę ci mogła powiedzieć, o czym naprawdę marzy Bella, a mnie i McNaba nie stać na kupno tego.

– Czyli czego?

Peabody zacisnęła usta i zrobiła zadowoloną z siebie minę.

– Przysięgam, że tak cię kopnę, że przelecisz przez trzy przecznice i wylądujesz na samym środku Piątej Alei.

– Domek dla lalek. Jest jeszcze za mała, żeby się nim bawić, ale kilka dni temu podrzucili ją nam na parę godzin, a wcześniej poprosiłam rodziców, żeby mi przysłali mój domek dla lalek. Jest mały, zrobił go dla mnie mój tata, ale Bella oszalała na jego widok. Cały czas się w niego wpatrywała i była zachwycona.

– Jeśli lalki nie są żywe, po co im dom? – spytała Eve.

– To wszystko jest na niby.

– Naprawdę? A może kiedy śpimy albo nie ma nas w pobliżu, urządzają przyjęcia, piją browar, coś jedzą, oglądają telewizję?

– Naprawdę od tego twojego gadania aż ciarki mnie przechodzą po plecach.
– I bardzo dobrze. Co je powstrzyma przed urządzaniem tam orgii? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

– Do tej pory nie.

– Ani się obejrzymy, a będą karabiny i samochody dla lalek.

– Już są.

– Sama widzisz.

Powiedziawszy to, Eve skierowała się do solidnego budynku, w którym mieszkała Carlee MacKensie. Zdecydowała się posłużyć swoim kluczem uniwersalnym – lepiej nie dawać tej kobiecie czasu, żeby się przygotowała – i weszła do malutkiego holu.

– Chce mi się siusiu. Tak mnie przestraszyłaś, że zachciało mi się siusiu. Nie każ mi wchodzić na czwarte piętro.

– Poważnie?

– Poważnie. – Żeby zakończyć dyskusję, Peabody nacisnęła guzik windy. – Wciąż mam przed oczami pijane lalki, zabawiające się w domku dla lalek. Lalki-geje, lalki-hetero, lalki-amatorki seksu grupowego. Będzie mnie to prześladowało jak nocny koszmar.

– Prawdopodobnie robią też erotyczne gadżety dla lalek.

– O Boże, błagam przestań. – Peabody niemal wskoczyła do windy, jak tylko drzwi się rozsunęły. – Luźne spodnie, luźne spodnie. Nie skop mi tyłka, bo tylko próbuję przestać myśleć o tym, że chce mi się siusiu. I o lalkach, uprawiających seks. Widzę Gracie Magill z wibratorem.

– Kogo?

– Moją ukochaną lalkę z dzieciństwa. Luźne spodnie, luźne spodnie.

– Nadałaś swojej lalce imię i nazwisko? – Eve nacisnęła guzik dzwonka do mieszkania Carlee MacKensie. – Po co lalce nazwisko?

– Żeby miała dowód tożsamości i mogła kupować browar i wibratory.

– Myślałam, że je kradną, kiedy nocą wychodzą przez okna, by gdzieś się włamać.

– Teraz jesteś złośliwa.

– Mogę to ciągnąć przez cały dzień.

– Słucham? – rozległ się głos w domofonie.

Peabody szepnęła cichutko: „Dzięki Ci, Jezu”.

– Policja nowojorska – oznajmiła Eve i pokazała swoją odznakę. – Chciałybyśmy z panią porozmawiać, pani MacKensie.

– O czym?

– O Edwardzie Mirze.

Po chwili rozległ się szcęk otwieranych zamków i drzwi się lekko uchyliły. Eve dojrzała przez szparę jasnorude włosy, niestarannie zebrane w węzeł na czubku głowy, oraz niebieskie oczy, spoglądające podejrzliwie.

– Dlaczego?

– Czy chce pani rozmawiać o tym, co was łączy, na korytarzu, pani MacKensie?

Eve zobaczyła, jak kobieta zaciska usta i rzuca szybkie spojrzenie najpierw w lewo, potem w prawo.

– Nic nas nie łączy – odparła, jednak otworzyła drzwi.

Była ubrana w workowate spodnie od dresu, bluzę z kapturem i grube skarpetki. Cera miała tak jasną, że niemal przezroczystą, i twarz usianą piegami.

– Ale łączyło – stwierdziła Eve i weszła do środka.

– Od kilku tygodni nie widziałam Edwarda ani z nim nie rozmawiałam. Od listopada.

– Najmocniej przepraszam – przerwała jej Peabody. – Czy mogę skorzystać z łazienki? Carlee zagryzła dolną wargę, lecz skinęła głową.

– Tak. Chyba tak. Jest... – Wskazała ręką, ale Peabody już pobiegła.

– Dziękuję!

– Może chce pani usiąść?

– Mogę stać, jeśli to pani nie przeszkadza – powiedziała Eve.

– Lepiej usiądźmy.

W pokoju stała kanapa i dwa fotele naprzeciwko telewizora, tyłem do okna, pod którym było biurko i komputer.

Carlee zajęła miejsce w fotelu. Usiadła, złączyła nogi, dłonie splotła na kolanach.

– Nie rozumiem, dlaczego chce pani ze mną rozmawiać o Edwardzie.

– Bo nie żyje, pani MacKensie.

Kobieta wytrzeszczyła oczy. Kompletnie ją zamurowało.

– Co? Jak to? Kiedy?

– Został zamordowany ostatniej nocy.

– Za... Zamordowany?

– Powiedziała pani, że nie widziała się pani z nim od listopada.

– Zgadza się. Czy mówi pani o senatorze Mirze?

– Tak. Jak go pani poznała?

– Podczas... Podczas pozyskiwania funduszy na partię polityczną. Miałam legitymację prasową, ponieważ zbierałam materiały do artykułu, i... – Urwała, kiedy wróciła Peabody.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze raz Peabody i usiadła obok Eve.

– Nie ma za co. Zwykle wszystko obserwuję, unikając zadawania pytań. Byłam tam chyba jedyną dziennikarką, która nie zadawała pytań, więc podszedł do mnie, kiedy siedziałam i robiłam notatki. Przyniósł mi kieliszek wina. Powiedział, że skoro ja nie mam żadnych pytań do niego, on ma kilka do mnie. Byłam trochę podenerwowana, ale okazał się taki uroczy.

– Kiedy zaczęliście uprawiać seks?

Carlee zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Wiem, że to było niewłaściwe. Był żonaty... Wiedziałam, że jest żonaty. Powiedział, że zawarł z żoną niepisaną umowę, ale to wcale nie upoważnia do takiego zachowania.

– Nie przyszłyśmy tutaj, żeby panią osądzać, pani MacKensie – odezwała się Peabody. – Zbieramy informacje.

– Wiem, że to było niewłaściwe – powtórzyła. – Zaprosił mnie na drinka. Pomyślałam, że mogłabym napisać dłuższy artykuł, a może nawet całą serię. Więc zgodziłam się iść z nim na drinka. Potem kazał swojemu kierowcy odwieźć mnie do domu. Nikt nigdy tak się wobec mnie nie zachował. Okazywał tyle troski. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale sprawił, że czułam się ładna i seksowna.

Utkwiła wzrok w dłoniach.

– Więc kiedy nazajutrz zadzwonił do mnie i zaproponował wspólną kolację, zgodziłam się. Wiedziałam, jak to się skończy. Był żonaty, znacznie ode mnie starszy, ale wiedziałam, ku czemu zmierza. Mimo to zgodziłam się na tę kolację w hotelu „Palace”. Wynajmuje tam apartament. Prześliczny, jak na filmie. Kolacja już czekała. I butelka szampana. Przespałam się z Edwardem. Spotykaliśmy się tylko przez pięć tygodni, potem przysłał mi kwiaty – białe róże – i liścik. Napisał w nim, że wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

– Musiało to panią wkurzyć.

– Trochę. Ale bardziej mnie zaboląła forma zerwania. Mógł mi to powiedzieć osobiście. Nie jestem głupia, wiedziałam, że to nie będzie trwało wiecznie. Ale mógł mi to powiedzieć prosto w oczy. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do niego, jednak w końcu nie zadzwoniłam. On też już nigdy się ze mną nie kontaktował.

Wzięła głęboki oddech.

– Zupełnie jakby to się nigdy nie wydarzyło.

– Kochała go pani? – spytała współczująco Peabody.

– Och, nie. – Niebieskie oczy Carlee MacKensie zrobiły się okrągłe. Malowała się w nich szczerłość. – Nie, ale tych kilka tygodni było bardzo ekscytujących. Wiedziałam, że źle robię, mimo to czułam się trochę... – Urwała. – Czy jestem podejrzana? Sądzi pani, że zabiłam Edwarda?

– A zabiła go pani? – spytała chłodno Eve.

– O mój Boże! – Zaczęła dygotać na całym ciele, ramiona jej opadły, mocno zacisnęła dłonie. – Nie. Nie, nie zabiłam go. Nikogo nie zabiłam. Powiedziała pani „ostatniej nocy”?

– Tak – potwierdziła Eve.

– Byłam w domu, pracowałam. – Drżącą ręką wskazała komputer. – Nigdzie nie wychodziłam.

– Czy widziała się pani z kimś albo z kimś rozmawiała?

– Nie. Nie. Pisałam artykuł i utknęłam w martwym punkcie. Zjadłam resztki chińskiego dania i wcześniej położyłam się spać. Chyba koło dziesiątej, bo mój umysł przestał pracować. Czy potrzebny mi adwokat?

– Sama musi pani zdecydować. Czy kiedykolwiek była pani w jego domu przy Spring Street?

– Przy Spring Street? Nie wiedziałam, że ma tam dom. Zawsze spotykaliśmy się w hotelu. Pani...

– Porucznik.

– Pani porucznik, prowadzę spokojne życie z wyboru, bo odpowiada to mojej naturze. To było kilka niezwykłych tygodni i... I... – Znów się zarumieniła. – I seksu.

– Które zakończył, przysyłając kwiaty i liścik.

– Ludzie nie zabijają nikogo z powodu zakończenia romansu.

Eve uniosła brwi.

– Zdziwiłaby się pani.

Pożegnały roztrzęsioną Carlee MacKensie i zjechały windą.

– Wrażenia?

– Według mnie nie jest przyzwyczajona do tego, by ktoś zwracał na nią uwagę – powiedziała Peabody. – Cierpi na lekką nerwicę natręctw. W łazience było tak czysto, jak

w sali operacyjnej. Wszystkie rzeczy mają swoje miejsce i są z sobą zharmonizowane. Tak samo w sypialni, do której zajrzałam. Łóżko starannie zasłane, żadnych pozostawionych ubrań ani butów. Należy do osób, które przypuszczają, że zostaną porzucone, więc nie są zaskoczone, kiedy tak się dzieje. Nie wyczułam w niej nic podejrzanego.

– Nie ma alibi.

– Gdybym zamierzała zabić byłego senatora Stanów Zjednoczonych, postarałabym się o mocne alibi.

– Brak jakiegokolwiek alibi to też niezła strategia – odparowała Eve. – Powiedziałam jej, że senator został zamordowany, a ona nie zapytała, w jaki sposób. Czy można pisać artykuły o czymkolwiek, nie zadając pytań?

– Sprawiała wrażenie naprawdę zdenerwowanej i zażenowanej.

– Tak. Być może. Na razie nie skreślimy jej z listy. Porozmawiajmy z kolejną.

Okazało się, że The Brighton Group to sprawna organizacja, działająca bez zadęcia. Jej biuro mieściło się nad tętniącymi życiem delikatesami w przysadzistym budynku, wzniesionym po wojnach miejskich. Personel w zwyczajnych ubraniach pracował razem, a panujący wokół zgiełk nikogo nie drażnił. Kilka szklanych tafli oddzielało miejsca pracy przełożonych.

Były tu prywatne zdjęcia, rośliny w doniczkach, segregatory, stosy papierzyk na biurkach. W powietrzu unosił się landrynkowo słodki zapach – co Eve zrozumiała, kiedy, jak tylko weszły, zaproponowano im tort urodzinowy.

– Asha jest tam. – Osoba, trzymająca tort, wskazała jeden z boksów o ściankach ze szkła.
– Podczas przerwy obiadowej wszyscy razem świętowaliśmy urodziny Sandy, a teraz wracamy do pracy.

– Za tort dziękujemy, ale to miłe, że chcieliście nas poczęstować.

– Jeśli zmienicie zdanie, dajcie znać. Możecie iść do Ashy, zawsze pracuje przy otwartych drzwiach.

– Tort – mruknęła Delia, idąc za Eve. – Dlaczego musi to być tort?

– Weź się w garść, Peabody.

Eve przyjrzała się uważnie Ashy przez szklaną ściankę. Kobieta miała na sobie czerwony jak maki sweter, który pasował do jej karmelowej cery. Eleganckie, czarne spodnie wsunęła w sięgające kolan kozaki na szerokim słupku, włosy – czarne loki o czerwonych końcówkach – związała z tyłu. Miała duże oczy i wydatne kości policzkowe.

Odwróciła się od minilodówki, z której wyjęła butelkę wody, i uśmiechnęła się uprzejmie, kiedy Eve stanęła w drzwiach.

– Witam. Czym mogę służyć?

– Policja nowojorska. – Eve pokazała jej odznakę. – Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Chciałybyśmy zająć pani kilka minut.

– Proszę bardzo. Chodzi o Edwarda. – Spoważniała. – Właśnie przeczytałam w Internecie. Proszę usiąść. Czy napiją się panie kawy? Jest wstrętna, ale...

Urwała i pokręciła głową. Nie usiadła za biurkiem, tylko usadowiła się w jednym z foteli dla gości.

– Został zamordowany. Taką podano informację. Musiałam odczekać chwilkę.

Spojrzała na nieotwartą butelkę wody, którą trzymała w ręku.

– Musiałam odczekać chwilkę, nim zapoznałam się ze szczegółami. Czy powiedzą mi panie, co się stało?

– Śledztwo trwa. Miała pani romans z Edwardem Mirą.

– Tak. Krótko, ostatniej wiosny. To była głupota z mojej strony. Jestem mężatką... Ale

z pewnością już panie o tym wiedzą. Przeżywaliśmy okres kłopotów małżeńskich i wdałam się w romans. – Znów zamilkła, przycisnęła palcami powieki. – Poznałam senatora w związku z tym, czym się zajmuję, i... Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

– Kto to zakończył?

– Ja, kiedy odzyskałam rozsądek. Prowadzić podwójne życie? To straszne, bo gdy mija początkowe zauroczenie – a zawsze tak jest – pozostaje poczucie winy i stres. To było ponad moje siły.

– Pani zakończyła ten związek? Jak zareagował na to senator?

– Był... Jakby to powiedzieć... Trochę zły. Rozdrażniony. To człowiek wpływowy, władczy – między innymi to mnie w nim pociągało – i śmiem twierdzić, że był przyzwyczajony do tego, że on kończył znajomość, kiedy mu to odpowiadało. Ale nie rozstaliśmy się w gniewie.

Odetchnęła głośno.

– Chcę powiedzieć, że prywatnie go lubiłam, choć nie podzielam jego poglądów politycznych. Ale te zażarte dyskusje też mnie pociągały. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje, że odszedł w taki sposób. Zamordowany. Podano, że został powieszony. Czy to prawda?

– Tak.

– O Boże. – Asha mocno zacisnęła powieki. – Nie rozumiem, jak ktoś mógł... Nie rozumiem.

– Czy kiedy pani zakończyła waszą znajomość, był wystarczająco poirytowany, by wywierać na panią presję, grozić pani?

– Och, nie. – Kiedy znów otworzyła oczy, były lśniące od łez. – Pani porucznik, muszę ze smutkiem stwierdzić, że żadne z nas nie przywiązywało specjalnej wagi do tego romansu. Ja chciałam się odegrać na moim mężu, a Edward po prostu skorzystał z okazji. Sprawiał ból Jackowi i niemal zniszczyłałam nasze małżeństwo, bo czułam złość i uważałam, że jestem niedoceniana.

– Powiedziała pani mężowi o romansie?

– Nie mogłam żyć w kłamstwie. Jak moglibyśmy zacząć wszystko od nowa, gdybym próbowała coś takiego zataić? Bardzo się cieszę, że Jack zgodził się na terapię małżeńską, a nie zwyczajnie odszedł, trzaskając drzwiami. Zapomniałam... Ponieważ to moje drugie małżeństwo, powinnam o tym pamiętać... Ale zapomniałam, że nad związkiem trzeba stale pracować, że zdarzają się lepsze i gorsze okresy. Już nigdy o tym nie zapomnę.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie pani była wczoraj po południu, między czwartą a szóstą?

– Tutaj.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Było nas przynajmniej sześć osób, nie wyszłam ostatnia. Może pani spytać kogokolwiek. Czy to wtedy go zamordowano?

– Chciałabym też wiedzieć, gdzie pani była dziś w nocy i nad ranem. Powiedzmy, od północy do czwartej.

– Chwileczkę. – Napila się wody i zamrugła powiekami, żeby opanować łzy. – No więc... Koło siódmej poszłam na kolację z Jackiem i grupką przyjaciół, potem wybraliśmy się do kina, a po filmie jeszcze poszliśmy czegoś się napić. Wróciliśmy z Jackiem do domu

chyba koło wpół do pierwszej. Byłam zmęczona... Jack jest niezwykle towarzyski, ale takie imprezy, które późno się kończą, bardzo mnie męczą. Położyłam się spać.

– Czy wcześniej zaplanowali państwo, że tak spędzą ten wieczór?

– Kolacja była zaplanowana, reszta nie. Jak powiedziałam, Jack jest człowiekiem ogromnie towarzyskim. Myślałam, że po kolacji wrócimy do domu i przebiorę się w piżamę. Ale małżeństwo wymaga ciągłej pracy – powtórzyła, uśmiechając się lekko. – Pewnie wszyscy tak paniom mówią, ale nie zabiłam go. Dlaczego miałabym to zrobić? Był pomyłką, lecz to ja się pomyliłam.

Peabody zapisała nazwiska i telefony, żeby potwierdzić alibi kobiety. Pożegnały się z Ashą Coppoli, która nadal siedziała w fotelu dla gości.

– Odniosłam wrażenie, że zadbała o alibi dla siebie i męża – powiedziała Peabody, nim Eve zapytała.

– Tak. Sprawdzimy to i sprawdzimy jej męża, ale wszystko, co usłyszałam, według mnie brzmiało wiarygodnie. Jeśli nie zmienimy zdania po sprawdzeniu męża, sądzę, że gdyby chciał się zemścić, już dawno temu zabiłby senatora albo próbowałby to zrobić.

Wsiadły do samochodu.

– Kto następny?

– Lauren Canford.

– Po drodze sprawdź męża Ashy Coppoli.

Kiedy Eve klęła, nie mogąc znaleźć miejsca do zaparkowania w zatłoczonym śródmieściu, i w końcu zrezygnowana zdecydowała się skorzystać z podziemnego garażu, liczącego sobie horrendalne ceny, Peabody przekazywała jej informacje.

– Adwokat, specjalista od prawa rodzinnego, w każdy piątek udziela się społecznie w poradni prawnej. To jego pierwsze małżeństwo, brak przeszłości kryminalnej.

– Zostawię ich na liście. – Eve ruszyła w stronę brudnej windy. – Ale na razie są na ostatnim miejscu. Na którym piętrze urzęduje ta Canford?

– Na osiemnastym.

Eve bardzo krótko się zastanawiała, a potem posłużyła się swoim kluczem uniwersalnym, żeby wejść do holu.

– Ho, ho!

– Szkoda czasu na użeranie się z ochroną.

Wysiadły na osiemnastym piętrze, gdzie było bardziej elegancko, i skierowały się do biura Lauren Canford.

Żadnych zwyczajnych ubrań, zauważyła Eve, i żadnego sympatycznego gwaru w małej, lśniącej recepcji.

Podeszła do dwudziestokilkuletniego mężczyzny, noszącego jaskrawoniebieski krawat, starannie zawiązany pod naprawdę długą szyją.

– Lauren Canford.

Nawet nie uniósł wzroku, nie przestając pracować na komputerze.

– Pani godność?

Eve położyła odznakę na kontuarze. Spojrzył na nią krótko.

– Potrzebne mi pani nazwisko.

– Jest na odznace. Ja i moja partnerka musimy porozmawiać z Lauren Canford.

– Pani Canford ma spotkania przez cały dzień.

– Chłopcze...

Wreszcie na nią spojrzął; na jego twarzy malowało się znużenie i niezadowolenie.

– Jedno z tych spotkań będzie ze mną, chyba że chcesz poinformować panią Canford, że to spotkanie może się też odbyć w komendzie policji pod koniec dnia pracy. Zarezerwuję w tym celu jedną z naszych sal przesłuchań.

– Nie wierzę, że może pani...

– Studiujesz prawo, prawda? Chcesz spróbować, czy mam takie uprawnienia, młody? – Nachyliła się blisko do niego. – Proszę bardzo.

Niezadowolenie zastąpiła nadąsana mina, kiedy włączył douszną słuchawkę i odkręcił się tyłem do Eve. Powiedział coś cicho, ale wyłowiła słowa: „policja”, „groźba”, „suka”.

Bardzo ją to ucieszyło.

– Przez te drzwi i do końca korytarza. Pani Canford może pani poświęcić dziesięć minut.

– Słuszna decyzja.

– I nie jestem chłopcem ani młodym! – zawołał za nią. – Tylko Mylo.

– Postaram się zapamiętać.

Większość drzwi do gabinetów była zamknięta. Ale zobaczyła jakiegoś mężczyznę bez marynarki, z poluzowanym krawatem, rozmawiającego przez telefon.

– Barry, powinieneś zachować rozsądek.

Sądząc po jego minie, nie uważał Barry’ego za rozsądnego.

Drzwi do gabinetu Lauren Canford były otwarte. Eve przystanąła na progu i przyjrzała się całkiem atrakcyjnej kobiecie z równo obciętymi, kruczoczarnymi włosami, ubranej w elegancki czarny kostium.

Obok jej biurka stał mężczyzna w garniturze w prążki i krawacie w tureckie wzory.

– Proszę się wylegitymować – polecił przybyłym.

– Kim pan jest?

– Curtis Flack, szef firmy. Jestem również prawnikiem i będę reprezentował interesy tu obecnej pani Canford. Proszę się wylegitymować.

Eve wyjęła swoją odznakę.

– Porucznik Dallas.

– Detektyw Peabody.

– Natura wizyty pań?

– Oboje państwo znają naturę naszej wizyty, więc skończmy z tą szopką. Skoro postanowiła pani skorzystać z prawa do adwokata, muszę przyjąć, że go pani potrzebuje. Nagramy naszą rozmowę, ale najpierw odczytam przysługujące pani prawa.

Kiedy formalnościom stało się zadość, Eve powiedziała:

– Miała pani romans z Edwardem Mirą.

– Pani Canford przygotowała stosowne oświadczenie w tej sprawie.

– Naprawdę? – Eve uśmiechnęła się bardzo uprzejmie. – Wszystko gotowe?

– Lubię być przygotowana – po raz pierwszy odezwała się przesłuchiwana. – Poprosiłam Curtisa, żeby do mnie przyszedł, i napisaliśmy oświadczenie, jak tylko usłyszałam w wiadomościach, co się stało.

Odkręciła się nieznacznie, żeby odczytać je z monitora.

– Senator Mira i ja znaliśmy się na poluzawodowym od dziesięciu lat. Latem dwa tysiące sześćdziesiątego roku przez około pięć, sześciu tygodni mieliśmy romans. Potem oboje postanowiliśmy go zakończyć. Wspólnie zdecydowaliśmy o jego rozpoczęciu i zakończeniu. Kontynuowaliśmy współpracę na polu zawodowym i nie zerwaliśmy kontaktów, ponieważ mamy wspólne poglądy polityczne i poglądy na życie. Z wielkim żalem przyjąłam wiadomość o jego śmierci i mam nadzieję, że odpowiednie służby szybko ustalą sprawcę.

Lauren skrzyżowała ręce.

– Czy jeszcze coś?

– Tak, kilka rzeczy. Zarówno senator Mira, jak i pani jesteście w związkach małżeńskich.

– Zgadza się.

– Jak pani małżonek zareagował na tę sytuację?

– Mój mąż i ja, podobnie jak senator i jego żona, dajemy sobie pełną swobodę w tych sprawach.

– Pani mąż zgadza się, żeby go pani zdradzała?

Nim prawnik zdołał coś powiedzieć, Lauren podniosła rękę.

– W porządku, Curtisie. Mój mąż i ja rozumiemy, że romans to tylko romans. Zaspokojenie potrzeb seksualnych. Jeśli będzie pani chciała porozmawiać z moim mężem, to też w obecności jego adwokata.

– Przyjmuję do wiadomości. Czyli pani i senator pewnego razu zeszliście z siebie i powiedzieliście: było fajnie, ale skończmy to.

– Jeśli nadal będzie się pani zachowywała prostacko – wtrącił Flack – przerwę to spotkanie.

– No dobrze. Pewnej nocy Ed i pani postanowiliście zakończyć wasze igraszki w pościeli.

Lauren Canford przechyliła głowę.

– Właściwie tak. Obydwoje wiedzieliśmy, że gdybyśmy chcieli ponownie nawiązać romans, nic nie stoi na przeszkodzie.

– No i nawiązaliście państwo?

– Nie i teraz już nigdy nie będzie to możliwe. Jeśli to wszystko...

– Muszę wiedzieć, co pani robiła wczoraj między czwartą a szóstą po południu.

– Byłam tutaj do piątej. Moja sekretarka może to oczywiście potwierdzić, jak również mój kierowca. Potem spotkałam się na drinka w „Taj” z członkinią Kongresu, panią Lowell. Wolałabym, żeby sprawdziła to pani, raczej kontaktując się z pracownikami baru, niż niepokoić panią Lowell. Stamtąd kierowca zawiózł mnie do domu. Przypuszczam, że byłam tam kwadrans po szóstej. Jeśli to potrzebne, domowy droid zarejestrował godzinę przyjścia.

– A ostatniej nocy między północą a czwartą?

– Razem z mężem byliśmy na kolacji u Martina i Seliny Wendellów, w ich domu. Zaczęła się o wpół do dziewiątej. Wyszliśmy chyba koło pierwszej i wróciliśmy do domu. Domowy droid również może to potwierdzić. I do rana nie opuszczaliśmy mieszkania.

– Rozumiem. Dziękuję za poświęcony nam czas.

– Jeśli będzie pani miała dalsze pytania do pani Canford i jej męża, proszę skontaktować

się ze mną.

– Nie ma sprawy. Wyłączyć nagrywanie.

Peabody wytrzymała do chwili, gdy wsiadły do windy, i dopiero wtedy zaczęła mówić.

– Jest pełna nienawiści. To właściwe określenie: pełna nienawiści. I już wszystkich poinformowała, co mają mówić. Jest zdolna do popełnienia morderstwa. O, tak. A potem poszłaby do manikiurzystki.

– Masz rację, dlatego spadła na sam koniec listy.

Peabody wprost nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Daj spokój!

– Gdyby udało nam się podważyć jej alibi na popołudnie i gdyby była w tamtym domu, pan Mira już by nie żył. Nie należy do osób, które nie załatwiają sprawy do końca.

– Och, ale... Kurde! – Rozdrażniona Peabody sztywnym krokiem wysiadła z windy. – Może nie zrobiła tego osobiście, tylko wysłała swoich ludzi. Założę się, że ma ludzi na każde skinienie. Ale potem... Wielkie przyjęcie. Mogła nam podać złe godziny. Mogła to zrobić.

– Mogła, ale nie zrobiła. Powiem ci, dlaczego według mnie to nie ona. – Eve usiadła za kierownicą i na chwilę oparła głowę na zagłówku. – Ma to gdzieś. Może, jak pokopujemy głębiej, okaże się, że to on ją rzucił, a ona wcale tego nie chciała. Czyli mamy motyw, tylko że cała reszta się nie zgadza. Nie zrobiłaby tego z czyjąś pomocą, a było przynajmniej dwóch sprawców. Nie miała współnika, bo współnik to ryzyko.

– Ej, jestem twoją partnerką.

– Chodzi o świat przestępczy, Peabody. – Eve uruchomiła silnik i wyjechała z garażu. – Jeśli jest więcej niż jeden sprawca, zawsze istnieje ryzyko wpadki. Poza tym wierzę jej. Nie odniosłam wrażenia, że kłamie. Postanowili zdradzić swoich współmałżonków, więc to zrobili, a potem doszli do wniosku, że im się znudziło, i zakończyli romans. A wiesz, dlaczego im się znudziło, Peabody? Bo są cholernie do siebie podobni. Wykorzystują innych, chcą mieć nad wszystkim kontrolę i to, co powiedziałaś.

– Są bezduszni?

– No właśnie.

– Przynajmniej w jednym punkcie miałam rację.

– Sprawdźmy jej alibi, ale z pewnością się potwierdzi. Dlaczego tacy ludzie, jak oni, biorą ślub? Z wyrachowania, na pokaz, dla eleganckich przyjęć i awansu w pracy. Więc to pic na wodę. Coppolo miała rację, w małżeństwie trzeba się starać.

– Ona też zdradziła męża.

– Tak, ale przyznała się do tego. I nie usprawiedliwiała swojej zdrady.

– Mąż jej wybaczył... Albo nadal nad tym pracują. Ty potrafiłabyś?

– Potrafiłabym co?

– Wybaczyć coś takiego. Wiem, że nigdy do tego nie dojdzie, ale teoretycznie powiedzmy, że na jedną szaloną noc zapomnieliśmy się z Roarkiem i uprawialiśmy seks, doprowadzając się do wielokrotnych orgazmów, a potem się opamiętaliśmy i błagaliśmy cię o wybaczenie. Przyznaliśmy się do błędu. Potrafiłabyś nam wybaczyć?

Eve przez jakiś czas jechała w milczeniu.

– No więc byłoby mi trudno. Wiązałoby się to z dużym wysiłkiem, ale małżeństwo

wymaga starań. Podobnie jak posiadanie partnera. Chyba potrafiłabym. Wymagałoby to czasu i wysiłku, ale chyba wybaczyłabym wam. Po tym, jak bym was ugotowała w wielkich kotłach, żeby było łatwiej bardzo wolno i ostrożnie zedrzeć z was skórę, tańcząc przy wtórze waszych wrzasków. Potem kazałabym wam się przyglądać, jak oblekam w waszą skórę parę droidów, których rozniosłabym na strzępy i pochowałam razem z waszymi obdartymi ze skóry zwłokami w nieoznaczonych mogiłach. I wtedy – zakończyła Eve, kiwając głową – chyba potrafiłabym wam wybaczyć.

– Dobrze wiedzieć. Dobrze znać warunki. Mam tylko jedno zastrzeżenie: nie udałoby ci się oblec w naszą skórę droidów, bo nie umiesz szyć.

– Nauczyłabym się. Dla tak ważnej sprawy nauczyłabym się. Głupie parkowanie, głupie parkowanie. Chwileczkę!

Peabody wstrzymała oddech, gdyż Eve wzniosła pionowo wóz, przyspieszyła, skręciła i zajęła dopiero co zwolnione miejsce przy krawężniku.

– Udało się.

– Chyba znów zachciało mi się siusiu.

– Nie ma mowy. Przesłuchamy młodą dziwkę, a potem wracamy do komendy. Chcę uaktualnić informacje na tablicy, zastanowić się i napić dobrej kawy.

– Skąd wiedziałaś, że ten samochód odjedzie?

– Miałam przecucie.

Przeszły jeden kwartał w SoHo w tłumie ludzi obładowanych zakupami albo chroniących się przed zimnem w restauracjach.

W oknie wystawowym galerii prezentowano rzeźbę postaci kobiecej, wygiętej do tyłu tak, że niemal tworzyła literę U. Mina kobiety wyrażała albo bezdenny żal, albo najwyższą ekstazę.

Tak czy owak, Eve uznała, że rzeźba wywołuje niepokój i o wiele bardziej wolała obraz, przedstawiający miejski pejzaż żywo przypominający to, co działo się wokół nich.

Ściany i posadzka galerii były w kolorze kremowym, więc wchodzący odnosił wrażenie, że znalazł się w eleganckim puzderku.

Uwagę Dallas zwrócił obraz, na którym szereg dużych, niebieskich kropek połączono nierówną czerwoną linią.

Zapytała samą siebie: po co?

Panującą wokół ciszę, pełną uszanowania, zakłócił głośny stukot szpilek.

Eve przeczytała na identyfikatorze, że kobieta, która przed nią stoi, to Charity Downing. Była młoda, więcej niż ładna, z kaskadą blond włosów, ciemnoniebieskimi oczami, pełnymi ustami.

Miała na sobie wąską, krótką sukienkę niemal w takim samym odcieniu błękitu, jak kropki na obrazie.

– Dzień dobry. Jestem Charity. Czym mogę... O Boże, wiem, kim panie są. Rozpoznałam panie. – Szybko obejrzała się przez ramię i podeszła do nich żwawym krokiem. Zniżyła głos. – Chodzi o Edwarda. Słyszałam. Proszę, nie chcę, żeby mój szef i współpracownicy się dowiedzieli. Mogę sobie zrobić przerwę. Czy możemy się spotkać po drugiej stronie ulicy? W kawiarni naprzeciwko? Nie mogę tutaj o tym rozmawiać.

– Nie będzie pani próbowała uciec, prawda, Charity?

– Dokąd miałabym uciec... I po co? Po prostu nie chcę, żeby tutaj wiedziano, że byłam... Związana z Edwardem w taki sposób. Kawiarnia jest naprzeciwno. Muszę tylko poprosić Marilee, żeby mnie zastąpiła, i włożyć płaszcz.

– Dobrze. Tylko proszę się pospieszyć.

– Chyba nie sądzisz, że ucieknie? – spytała Peabody, kiedy wyszły z galerii.

– Nie. Czy zabiła go czy nie, wiedziała, że policja wcześniej czy później będzie chciała z nią porozmawiać.

Eve ruszyła na drugą stronę, lawirując między jadącymi samochodami, co nie jest trudne, jeśli ktoś jest szybki i czujny, i weszła do kawiarni.

Zapach, który się unosił, nie był najgorszy – rety, ale była rozpuszczona – więc zajęła miejsce przy stoliku z widokiem na galerię sztuki.

Peabody przyglądała się automatowi do kawy.

– Może wypiję jeszcze jedną latte. Dziś dwa razy ominął mnie tort. Nie, lepsza będzie herbata. Widzę, że mają jaśminową. Herbata jaśminowa jest bardzo dobra. Masz ochotę jej się napić?

– Za nic w świecie. Ani w tym życiu, ani w następnym. Idzie tu.

Charity nie lawirowała między jadącymi samochodami, tylko pobiegła w swoich szpilkach do skrzyżowania i zaczęła na zielone światło. Eve przyglądała jej się, jak wchodziła do baru zaróżowiona z zimna i od biegu. Wypatrzyła je od razu.

– Dziękuję. Naprawdę dziękuję – wymamrotała szybko jednym tchem. – Wciąż próbuję się oswoić z tym, co się stało. Edward nie żyje. Zamordowany. Chyba... Chyba napiję się herbaty, jeśli mogę. Muszę się uspokoić. Usłyszałam o tym godzinę temu.

– Zamawiam jaśminową – powiedziała Peabody.

– Jest bardzo dobra. Ja też się napiję.

– Dla mnie kawa – powiedziała Eve. – Miała pani romans z senatorem Mirą.

– Tak. Zaczęliśmy się spotykać dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Wiem, że był żonaty. Wiem, że źle postąpiłam, chociaż zapewniał mnie, że jego żonie jest to obojętne. Dlaczego jej to obojętne? Nie mam pojęcia. – Charity przycisnęła powieki palcami.

– Jak się poznaliście?

– W galerii. Urządzono mi małą wystawę... Byłam niezwykle przejęta. Przyszedł z... Nie z żoną, była za młoda na żonę. Nie wiem, z kim. Powiedział, że podobają mu się moje obrazy. Kupił jeden. Nie kryłam zachwyty. Jakiś tydzień później zadzwonił i zaprosił mnie na drinka. Myślałam, że chodzi mu o moje obrazy, jednak on...

– Poderwał panią – podpowiedziała jej Peabody.

– Zrobił to z klasą, ale owszem. Początkowo naprawdę poczułam się zaskoczona. Ma tyle lat, że mógłby być moim dziadkiem, ale to interesujący mężczyzna i miał dar przekonywania. Skończyło się na tym, że znów umówiliśmy się na drinka, potem zaprosił mnie na kolację. Zgodziłam się. Wiedziałam, co robię, wiedziałam, że to niewłaściwe. Znalazłam się w eleganckim apartamencie hotelowym, był szampan i...

Urwała, kiedy automat zaczął wydawać zamówione przez nie napoje.

– Wiedziałam, co robię – powtórzyła. – Wiedziałam, że Edward chce się zabawić z młodą kobietą. Nie jestem głupia. Ale wiedziałam również, że może mi pomóc. Namówił swoich bogatych przyjaciół i współpracowników do odwiedzenia galerii, chwalił moje

obrazy. Sprzedałam jeszcze parę. Wykorzystaliśmy siebie nawzajem i tyle. Pozwoliłam, żeby uprawiał ze mną seks, a w zamian za to Edward pomagał mi w karierze artystycznej.

Przysunęła sobie filiżankę z herbatą, napiła się.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, kim się stałam. Nie jestem z tego dumna. Ale zrobiłabym to znów.

– Czy były między wami jakieś konflikty? – spytała Eve.

– Nie. Na ogół spotykaliśmy się raz w tygodniu, zawsze w hotelu. Czasami chciał, żebym została na noc, czasami nie. On decydował. Ale nie narzekałam.

– Źle panią traktował?

– Słucham? Och, nie, nie.

Charity, opanowana, niemal zimna, wytrzymała spojrzenie Eve.

– Proszę posłuchać, pani porucznik, wiedziałam, że bierze wspomagacze, żeby móc to robić. I jak na mężczyznę w jego wieku miał całkiem dobrą kondycję. Ale nie pociągał mnie. Za pierwszym razem powodowała mną ciekawość. A potem... Cóż, było, jak było. Nie powiedziałam mu tego. Udawałam, że mi dobrze.

– Nie ma pani chłopaka? – spytała Peabody. – Nie ma pani nikogo?

– Nie, więc uznałam, że nikogo nie krzywdzę. Naprawdę było oczywiste, że często to robi, więc jeśli chodzi o jego żonę, nie miałam wyrzutów sumienia. Nie znam jej, mogłam udawać, że to się nie liczy. Nie chcę, żeby ktoś z galerii się o tym dowiedział, i tyle. Pragnę uniknąć plotek i znaczących spojrzeń. Nie obchodzi mnie, że na nie zasłużyłam, po prostu chcę tego uniknąć.

– Zdaje się, że znacznie bardziej przejmują się pani plotkami niż tym, że go zamordowano. Ten człowiek nie żyje.

Charity Downing arogancko zadarła brodę.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Boję się. Boję się, że stracę pracę. Boję się, że ktoś wie o tym, co robiłam... co robiliśmy – i dlatego go zabił.

– Czuje się pani zagrożona? Czuje się pani obserwowana?

– Nie. Ale pracownicy hotelu musieli o wszystkim wiedzieć. Nie mam pojęcia, czemu któryś z nich miałby się tym przejmować, ale... Do diabła. – Znów się napiła. – Nie chodzi o to, nie chodzi o mnie. Ja naprawdę się nie liczę. Tylko sama siebie straszę.

– Zna pani kogoś, kto by mu źle życzył?

– Właściwie nie, ale czasem o tym wspominał. Jak to człowiek na jego stanowisku robi sobie wrogów. A człowiek wpływowy ma wpływowych wrogów. Rozprawiał o swoich poglądach politycznych... Właściwie go nie słuchałam, tylko udawałam.

– Umie pani dobrze udawać.

Tym razem trochę się zaczerwieniła.

– Chyba tak. Miałam romans ze starszym mężczyzną, bo mógł mi pomóc w karierze. Udawałam, że dobrze mi z nim w łóżku, chociaż na ogół myślałam wtedy: mam nadzieję, że nie poprosi mnie, żebym została na noc, i będę mogła wrócić do domu. Słuchałam, co mówił, i nie wyrażałam głośno swojego sprzeciwu. Chce pani powiedzieć, że się prostytuowałam? Nie mogę temu zaprzeczyć. Ale w ciągu ostatnich sześciu tygodni sprzedałam sześć obrazów. Wiem, że pięć z nich dzięki Edwardowi. Byłam mu za to wdzięczna. – Otarła łzę. – I przykro mi, że nie żyje.

- Gdzie pani była wczoraj między czwartą a szóstą?
- Nie... Nie wiem dokładnie. Miałam wolny dzień. Spotkałam się na obiedzie z przyjaciółką, potem zrobiłyśmy sobie manikiur, trochę pochodziłyśmy po sklepach. Wstąpiłyśmy gdzieś na drinka. Postanowiłyśmy wrócić do mnie, miałam w domu pizzę. Rozstałyśmy się... Nie wiem, o dziewiątej, może o wpół do dziesiątej. Jestem podejrzana? O mój Boże.
- Proszę nam podać nazwisko przyjaciółki i telefon do niej.
- O Boże. Boże. Lydia. Lydia Su. Pisze się es, u. Tylko ona wie o Edwardzie. – Ukryła twarz w dłoniach, po chwili opuściła ręce i podyktowała numer telefonu. – Nie zabiłabym go. Pomagał mi. Odniosłam wrażenie, że trochę zaczynam go nudzić, więc wystarczyłoby, jak bym zaczekała, aż mi powie, że z nami koniec. Może dalej by mi pomagał, gdybym nie robiła kłopotów. Po co miałabym go zabić, skoro mi pomagał?
- A co robiła pani między północą a czwartą?
- Byłam w łóżku! Położyłam się spać. Po wyjściu Lydii trochę rysowałam, ale piłyśmy wino i nie mogłam się skupić. Położyłam się koło jedenastej, oglądałam telewizję, póki nie zasnęłam. To się nie może dziać naprawdę!
- Proszę się uspokoić, Charity – powiedziała jej Peabody. – Musimy o to pytać, musimy sprawdzić wszystkie informacje, które nam pani podała. Na tym polega nasza praca. Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Edwardem Mirą albo go widziała?
- O Boże, przedwczoraj. Dzwonił do mnie co tydzień. Dzwonił, zapraszał na kolację. Tak to działało. Mieliśmy się spotkać dziś wieczorem. Potem usłyszałam w wiadomościach... Na ogół widywaliśmy się raz w tygodniu. Byłam z nim w czwartek wieczorem. Co mam teraz zrobić? Co mam zrobić?
- Wrócić do pracy – powiedziała jej Eve.

- Oto, co myślę. Chcesz wiedzieć, co myślę, prawda? – odezwała się Peabody, gdy wyszły z kawiarni.
- Peabody, żyję, żeby słuchać, co myślisz na temat różnych spraw. Delia zmrużyła oczy i wsiadła do samochodu.
- Jesteś złośliwa.
- Jestem zmęczona rozmowami z krętaczkami, które się nad sobą użalają. Wolę już przesłuchiwać zabójców.
- No pewnie, ale musimy robić to, co do nas należy. No więc rzeczywiście użalala się nad sobą, ale dla niej zabicie Edwarda Miry nie miałyby sensu. Nie można mieć złotych jajek, jeśli zabije się kurę, która je znosi.
- Po co jej złote jajka? Po co komukolwiek złote jajka?
- To takie powiedzenie.
- Głupie powiedzenie, bo złote jajka prawdopodobnie są zakażone i po ich zjedzeniu człowiek umiera. Lecz mamy tylko jej słowo o złotych jajkach.
- Tak, ale łatwo to sprawdzić.
- Co zrobimy. Tak samo, jak sprawdzimy wszystko i wszystkich z naszej dzisiejszej listy. A co powiesz na to? Stary, napalony kogut ma dość, czyli koniec złotych jajek. Jeszcze nie jest gotowa, żeby z nich zrezygnować, więc mu grozi. „Jeśli przestaniesz mi znosić jajka,

powiem wszystkim, że wsadzałeś swojego starego kutasa do mojej młodej cipki”. Klótnia, szantaż, zabójstwo.

– Kiedy tak to ujęłaś...

– Muszę to uwzględnić. Muszę się napić dobrej kawy i pomyśleć, bo jestem pewna, że jedynie ta suka z cwanyim prawnikiem tego nie zrobiła. A to mnie wkurza.

– Miło by było, gdyby się okazało, że to ona.

– I miło by było, gdyby kura srała złotymi jajkami. Ale niestety tak nie jest.

8

W wydziale zabójstw pełno było gliniarzy, panował harmider, w powietrzu unosił się zapach czyjejś zapiekanki z dodatkową porcją cebuli. Reineke i Jenkinson pochyłali się nad biurkiem tego drugiego, Carmichael rozmawiała przez telefon, Santiago z chmurną miną wpatrywał się w monitor komputera, a Baxter wyszedł z pokoju socjalnego z wielkim kubasem kawy.

Trueheart – będzie się musiała przyzwyczaić, że już nie nosi munduru – pilnie pracował na komputerze.

– Czy ostatnio w mieście nie ma żadnych zabójców? – zapytała Eve.

– Cześć, pani porucznik. – Reineke odwrócił się w jej stronę. – Trzymamy jednego w sali przesłuchań. Czekamy, aż trochę skruszeje. Dupek pokroił swojego szefa na rampie załadunkowej. Powiedział funkcjonariuszowi, który go aresztował, że facet upadł na jego nóż. Trzy razy.

– Cóż za ulga. Już się bałam, że wszyscy będziemy musieli sobie poszukać nowej pracy. Peabody, zbierz informacje o mężu okropnej suki, sprawdź jej alibi.

Santiago odebrał telefon, uniósł palec w górę.

– Tak, tak. Rozumiem. Już jedziemy. Jest nowa sprawa – zawołał do Carmichael. – Facet wyskoczył z okna na czternastym piętrze bloku przy Sixth, wylądował na zaparkowanym mini. I dzięki temu na szczęście mamy co robić.

– Zasłużcie na swoje pensje – powiedziała Eve i ruszyła do swojego gabinetu. Baxter dogonił ją tuż przed drzwiami jej klitki.

– Nie prowadzimy żadnego śledztwa – zaczął – więc wyciągnąłem jakąś starą sprawę i dałem Trueheartowi, żeby się z nią zapoznał.

Eve skinęła głową, ponieważ robiła to samo, kiedy odznaka Peabody była jeszcze nowiutka i błyszcząca.

– Dobry sposób, żeby zdobył większe doświadczenie, a przy okazji może uda mu się zamknąć śledztwo.

– Pilnie studiuje materiały. Teraz będę go musiał przeszkolić w kwestii garderoby.

Eve spojrzała na Truehearta, który miał na sobie ciemnoszarą marynarkę i krawat w stonowanym odcieniu błękitu.

– Wygląda w porządku.

Schludnie i poważnie, pomyślała. Jakby szedł do kościoła.

Hmmm.

Baxter tylko pokręcił głową.

– Popracuję nad tym. Jeśli uda nam się pchnąć do przodu to stare śledztwo, dam ci znać.

Po wejściu do gabinetu Eve najpierw zaparzyła kawę, potem uaktualniła tablicę i książkę

sprawy, następnie sporządziła notatki. Przesłała nieoficjalnie ich kopię Mirze.

Wprowadziwszy dane, sprawdziła, jakie jest prawdopodobieństwo, że któraś z przesłuchiowanych dziś kobiet jest zabójczynią. Jak przypuszczała, komputer najwyższe prawdopodobieństwo dał tym bez alibi.

– To pójście na łatwiznę – mruknęła. Nalała sobie drugą kawę, usiadła, położyła nogi na biurku i zaczęła analizować różne możliwości.

Allyson Byson – wyjechała w tropiki. Teoretycznie mogła kogoś wynająć, żeby zajął się Edwardem Mirą, ale Eve to nie pasowało. Zabójstwo było brutalne, z pobudek osobistych.

Zapisała sobie, żeby sprawdzić, kiedy tamta wyjechała, czy miała możliwość powrotu do Nowego Jorku, żeby dokonać morderstwa.

Ale w przypadku Byson komputer zgadzał się z Eve. Niezwykle małe prawdopodobieństwo.

Carlee MacKensie. Roztrzęsiona, podatna na wpływy, nieszkodliwa, raczej słaba. Brak alibi, więc komputerowi się spodobała. I w tym przypadku Eve gotowa była się z nim zgodzić.

– Coś mi tutaj nie pasuje, Carlee. Coś się nie zgadza. Za bardzo wybałuszałaś oczy. Nie sądzę, żebyś wszystko nam powiedziała. Nie do końca wierzę w prawdziwość twoich słów.

Lauren Canford. Skończona suka, co do tego nie ma dwóch zdań. Eve potrafiła sobie wyobrazić, jak tamta traci panowanie nad sobą. I jak starannie i chytrze planuje zabójstwo.

Ale... Eve nie czuła u tej kobiety emocji. Nie czuła więzi z ofiarą ani złości do niej, co sugerowały tortury i zabójstwo.

Canford raczej należy do tych, którzy obmawiają. Takich, co to zachodzą wrogów od tyłu, niszczą im opinię, rozsiewają plotki.

Asha Coppola. Sprawiała wrażenie uczciwej, jeśli pominąć zdradę męża. Ale właściwie jest uczciwa. Narozrabiała, przyznała się, pragnie to naprawić. Do Eve to przemawiało.

No i Charity Downing. Coś tu nie pasuje, znów pomyślała Eve. Coś zabajerowała. Coś...

– Jest w tobie coś podejrzanego – powiedziała na głos, przyglądając się znad kubka zdjęciu kobiety na tablicy. – Takie wywarłaś na mnie wrażenie, Charity. Jesteś przebiegła. Twoje alibi na pewno się potwierdzi i wtedy bliżej się zainteresuję twoją przyjaciółką, z którą spędziłaś wolny dzień.

Lydia Su. Przyjaciele kłamią, chcąc kryć swoich przyjaciół. Sprawdzimy wszystko dokładnie, bo gdzieś tu kryje się kłamstwo. Wśród prawdziwych faktów ukryłaś kłamstwo.

Odstawiła kubek, a potem inaczej rozmieściła informacje na tablicy.

Charity Downing.

Carlee MacKensie.

Asha Coppola (może jej mąż wcale nie był taki skłonny jej wybaczyć?).

Lauren Canford.

Zadzwoń do Allyson Byson, ale przypuszczała, że jej nazwisko znajdzie się na samym końcu listy.

Malarka, niezależna dziennikarka, szefowa organizacji non profit, lobbystka, bywalczyni salonów.

– Nie miałaś żadnych preferencji, prawda, Edwardzie? Bardziej liczyła się uroda

i gotowość. I wiek. Średni wiek tych kobiet... Kurde, matematyka. Nie wiem... Trzydzieści parę. A mówimy tylko o tych tutaj. Z pewnością było ich więcej. Co, jeśli...

– Przepraszam, Dallas. – Peabody zastukała we framugę drzwi. – Przyszli Edward Mira junior i Gwendolyn Mira Sykes. Chcą porozmawiać z tobą... Z nami.

– Zaoszczędzili nam jazdy do siebie. Zaprowadź ich do sali przesłuchań. Wszystko odbędzie się jak najbardziej oficjalnie.

– Zdaje się, że sala B jest wolna. Pójdziemy na dół.

Eve skinęła głową, spojrzała na swoją tablicę. Ale już skupiła uwagę na czymś innym, więc wstała zza biurka. Przekona się, co mają do powiedzenia dzieci zamordowanego, które prawdopodobnie najwięcej skorzystają na jego śmierci.

Wychodząc z gabinetu, zobaczyła, że Baxter przysunął swoje krzesło do biurka Truehearta. Nie wiedziała, czy rozmawiają o niezamkniętym śledztwie, czy o kroju garniturów i gatunkach tkanin.

Nie chciała teraz tego wiedzieć.

Skierowała się w stronę sal przesłuchań, zobaczyła Peabody, wychodzącą z sali B.

– Idę po wodę gazowaną dla niej, colę dla niego.

Eve sięgnęła do kieszeni po kredyty.

– Weź dla mnie pepsi i coś dla siebie. Zachowamy się oficjalnie, ale uprzejmie.

– Są wstrząśnięci, Dallas. Starają się tego nie okazywać, widać jednak, że nie jest im łatwo. I są bardzo ze sobą zżyci.

– Rozumiem.

Weszła do sali przesłuchań i chociaż już widziała ich oboje na zdjęciach, znów ją uderzyło, że Edward junior ma zielone, rozmarzone oczy Dennisa Miry.

Miał ciemne włosy, wystarczająco długie, żeby móc je związać w kucyk, jak to zwykle robił Roarke, kiedy pilnie nad czymś pracował. I ładną twarz – Eve dostrzegła podobieństwo syna do ojca. Ale młodszy Edward nosił podniszczone buty, dzinsy i koszulę w czerwono-czarną kratę.

Jego siostra odziedziczyła urodę po matce – posągową i przykuwającą uwagę mimo zaczerwienionych oczu. Miała na sobie ciemny kostium, ciemne rajstopy i krótkie jaskrawoczerwone botki na niebotycznych obcasach.

Siedzieli za porysowanym stolikiem, trzymając się za ręce.

Kiedy Eve zamknęła drzwi, Edward junior uściśnął dłoń siostry i wstał.

– Panie Mira, pani Sykes, jestem porucznik Dallas. Przykro mi z powodu poniesionej przez państwa straty.

– Jestem Ned. Ned i Gwen. – W jego głosie słychać było napięcie. – Dziękuję, że tak szybko znalazła pani czas na rozmowę z nami. Dennis powiedział, że ciężko pani pracuje, żeby znaleźć... Żeby znaleźć zabójców naszego ojca. Nie chcemy pani przeszkadzać.

– Nie przeszkadzają państwo. Zamierzałam państwa odwiedzić przed końcem dnia.

– Byliśmy z naszą matką. – Gwen odchrząknęła. – Ich ochroniarz zadzwonił do Neda, a brat poinformował mnie. Najpierw chcemy przeprosić za sposób, w jaki matka z panią rozmawiała.

– To nie wasza wina i to drobiazg.

– Wcale nie – odparł Ned, uśmiechając się ponuro. – Z nami też tak czasem rozmawia.

Ale bez względu na swoje zachowanie, jest zdruzgotana. Wiemy, jaką opinią się pani cieszy, pani porucznik, pracuje pani z Charlotte, więc...

Pomasował ramię siostry.

– Już pani wie, że małżeństwo naszych rodziców nie było konwencjonalne.

– A jakie?

Nim zdołał odpowiedzieć, weszła Peabody z napojami.

– Mam nadzieję, że mogą być w puszkach.

– Jak najbardziej, dziękujemy. – Ned znów spojrzał na Eve. – Zależało im na sobie, jednak ich związek bardziej przypominał partnerstwo. Polityczne, towarzyskie.

– Nie musisz owijać w bawełnę, Ned, oboje miewali romanse – przerwała mu Gwen. – Spłodzili nas, dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, a potem każde z nich robiło to, na co miało ochotę. Wiedzieliśmy o tym, rozumieliśmy, że o tym się nie mówi. Póki zachowywaliśmy pozory szczęśliwej rodziny, wszystko było w porządku.

– Ty zepsułaś ten obraz – powiedział Ned, czym nieco rozśmieszył siostrę.

– Ty byłeś pierwszy. – Do jej oczu napłynęły łzy. – O Boże, Ned.

– Już dobrze. Już dobrze. – Przysunął krzesło bliżej do krzesła Gwen, objął ją ramieniem.

– Ja pierwszy to zepsułem. Nie chciałem iść do Yale. Nie chciałem studiować prawa, zajmować się polityką. I zrobiłem wszystko, żeby tak się nie stało. Dostawałem słabe stopnie, rzuciłem szkołę, gdy tylko było to możliwe. Wyprowadziłem się z domu po ukończeniu osiemnastu lat, ale...

– Wtedy nie puściliby mnie. Jestem dwa lata młodsza, więc musiał wytrzymać dłużej. Nie poszłam do Yale, tylko na Harvard. I studiowałam prawo, bo chciałam tego. Ale potem zostałam obrońcą praw dzieci.

– Rozczarowaliśmy naszych rodziców – dokończył Ned. – Nigdy nie zgadzaliśmy się z nimi, szczególnie z naszym ojcem. Dogadałem się z dwoma kolegami, których nie aprobowali nasi rodzice, i założyliśmy własną firmę. Produkujemy, reperujemy, odnawiamy, przerabiamy meble. Pracuję fizycznie, czego ojciec nigdy mi nie wybaczył. Zajmuję się tym od dwudziestu dwóch lat, lecz nadal nazywa to młodzieńczym buntem.

– Chyba nie... Czy chodzi o Three Guys Furniture?

Ned Mira uśmiechnął się szeroko do Peabody.

– Owszem, to nasza firma.

– Kocham wasze wyroby. Mój ojciec robi meble, brat też, więc się na tym znam. Uwielbiam wasze meble. Przepraszam – zwróciła się do Dallas – ale powinnaś wiedzieć, że ich firma cieszy się naprawdę niezwykłą renomą.

– Dziękuję. Gwen też cieszy się dobrą opinią w swoim środowisku, lecz...

– Nie postąpiliśmy zgodnie z ich planem – powiedziała jego siostra. – Nie utrzymaliśmy wizerunku, jaki chcieli nam narzucić. Nie poślubiliśmy tych, których by dla nas wybrali. Nie miało znaczenia, że oboje jesteśmy szczęśliwi, że poślubiliśmy cudowne osoby, które kochamy, że mamy wspaniałe dzieciaki. Nie takie życie dla nas zaplanowali.

– Moi rodzice nigdy by się nie przyznali, że nie utrzymujemy ze sobą stosunków – powiedział Ned – bo to też nie pasowałoby do obrazu. Ale prawie wcale ze sobą nie rozmawiamy, spotykamy się tylko z okazji świąt, kiedy musimy.

– A jak już rozmawiacie ze sobą albo się spotykacie? – spytała Eve.

– W dziewięciu przypadkach na dziesięć kończy się to kłótnią. Charlie powiedziała, żeby być z panią brutalnie szczerzy. No więc jesteśmy brutalnie szczerzy. Nie lubiłem naszego ojca.

– Och, Ned.

– Jaki to ma sens, Gwen? Nie lubiłem go ani nie szanowałem. Ale był moim ojcem. A matka sprawia same problemy. Jest jak wrzód na tyłku.

– Boże, to prawda. – Gwen westchnęła i położyła głowę na ramieniu brata. – Ale to nasza matka i teraz jest zrozpaczona. Ojca zamordowano i bez względu na to, jak napięte stosunki były między nami, nie zasłużył sobie na to, by mu odebrano życie, by mu sprawiono ból. Powiemy pani wszystko, co musi pani wiedzieć, odpowiemy na każde pytanie, żeby pomóc pani odszukać tego, kto to zrobił.

– I wydamy oświadczenie dla prasy, by pokazać jednolity front rodziny. Zachowamy pozory dla niego i dla naszej matki.

– W takim razie miejmy to już za sobą – Eve zaczęła przesłuchanie. – Gdzie byliście wczoraj między czwartą a szóstą po południu oraz między północą a czwartą nad ranem?

– Od czwartej do szóstej pracowałem w sklepie. No, do wpół do szóstej – zaczął Ned. – Potem rozmawiałem o interesach z Grantem, swoim wspólnikiem, nim zamknęliśmy. Byłem w domu o szóstej albo kilka minut po. Koło siódmej zjedliśmy kolację. Ja, żona i dzieci. O północy już spałem jak zabity.

– Prawie do piątej byłem w sądzie – powiedziała Gwen. – Brzydka sprawa o kuratelę. Trewald przeciwko Fester, przewodniczył sędzia Harris. Potem musiałam wstąpić do biura, ale o szóstej byłem już w domu. A tam jedno wielkie zamieszanie. Mam trzynastoletnią córkę, ciężko przechodzącą okres dojrzewania. Akurat szykowała się do dziesiątej rundy ze swoim jedenastoletnim bratem, którego życiowym celem jest jej irytowanie. Koło północy razem z mężem wypiliśmy po drugiej lampce wina, już w łóżku, dygocząc, jakbyśmy przeżyli trzęsienie ziemi i zastanawiając się, gdzie się podziała nasza słodka, kochana, szczęśliwa córeczka.

– Przetrwacie to – pocieszył ją brat.

– Tylko dzięki winu o północy.

– Pan Mira... Dennis Mira... Powiedział, że odziedziczyacie należącą do waszego ojca część domu przy Spring Street. Z tego, co wiem, nieruchomością warta jest miliony.

– Z całą pewnością. – Ned skinął głową. – Jeśli ją dostaniemy, w końcu sprawy się trochę uproszczą. Niepotrzebne nam pieniądze, pani porucznik. I Gwen, i ja mamy dobrą sytuację finansową, a dla Dennisa ten dom bardzo wiele znaczy.

– Odłóżmy to na bok. Czy znacie jakieś kobiety, z którymi romansował wasz ojciec?

– Staraliśmy się trzymać od tego z daleka – odrzekła Gwen. – Kilka lat temu spotkałam się w sądzie z Leanore Bastwick. Podczas przerwy poszła za mną do toalety i oświadczyła, że sypia z moim ojcem. Zrobiła to, żeby mnie rozkojarzyć.

– Widzę to, jakbym przy tym była – stwierdziła Eve.

– Kiedy kilka tygodni temu usłyszałam, co ją spotkało, byłam wstrząśnięta. Ale będę brutalnie szczerą – nie cierpiałam z tego powodu na bezsenność.

– Uspokój się, dziewczyno. – Ned ścisnął jej dłoń. – Jedna z nich próbowała mnie poderwać.

– Co?! – Gwen wybałuszyła oczy. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Spokojnie, to było dwadzieścia lat temu. Nawet nie pamiętam, jak się nazywała. Przyszła do małego sklepiku, który wtedy mieliśmy, i próbowała mnie napastować. Powiedziała, że jest ciekawa, czy pod każdym względem przypominam swojego ojca. Złapała mnie za krocze... Głupio mi było rozmawiać o tym z własną siostrą. Zobaczyła to Zoe, moja żona. Wtedy nie była moją żoną, nawet jeszcze ze sobą nie chodziliśmy. Jest i była projektantką wewnątrz. Pracowaliśmy razem przy jakichś projektach. Ale zobaczyła wszystko i kiedy ja próbowałem nie krzyczeć jak dziewczyna, podeszła, przepędziła tę bezczelną babę i oświadczyła jej, że jeśli jeszcze raz ją tu spotka, zadzwoni na policję.

– Kocham Zoe – powiedziała Gwen.

– Ja też. Minał ponad miesiąc od tej sytuacji, nim się zebrałem na odwagę i zaproponowałem jej randkę. Ale wszystko dobrze się skończyło. Przykro mi, że nie mogę pani pomóc.

– Zaskoczę was. Dowiedziałam się, że przez większą część waszego życia wasi rodzice mieli tego rodzaju układ, ale każde z was wyraźnie pamięta tylko ten jeden raz, kiedy kobieta, związana z waszym ojcem, głośno się do tego przyznała. Co świadczy, że z zasady były dyskretne i nie szukały kłopotów po zakończeniu romansu. Czyli z tego, co wiecie, żadna z kobiet, z którą romansował, nie sprawiała kłopotów, nie groziła mu?

– Zniszczyłby je. Nie dosłownie – szybko dodał Ned – tylko w przenośni. Gdyby choćby mimochodem wspomniały, że będą mu robić kłopoty, powiedziałby, w jaki sposób zrujnuje im życie osobiste i zawodowe. Był moim ojcem, chcę, żeby znaleziono i ukarano jego zabójcę. Ale był mściwy, bezwzględny i nigdy nie zapominał tego, co uznał za zdradę.

– Czy nie wystarczy tego? Możemy już zakończyć tę rozmowę? Okropnie się czuję, mówiąc o nim w taki sposób. – W oczach Gwen znów zakręciły się łzy. – Chcemy pomóc, ale może na razie tyle wystarczy?

– Jasne. I pomogliście mi.

– W takim razie chciałabym wrócić do domu. Do swojej rodziny.

– Zawiozę cię. – Ned wstał.

– Nie musisz.

– A może Zoe przywiezie dzieciaki i wszyscy razem posiedzimy trochę u ciebie?

Gwen zamknęła oczy.

– Byłoby wspaniale. Tak, jak powinno być. Przyjechała moja ciotka, siostra naszej matki – powiedziała. – To jej matka teraz naprawdę potrzebuje. A reszta z nas będzie się trzymała razem.

Właśnie tak, pomyślała Eve, kiedy wyszli. Będą się trzymali razem.

– Musiało być ciężko dorastać w takich warunkach. Ciągłe się podporządkowywać, nigdy nie widzieć prawdziwej miłości i lojalności między rodzicami – zauważyła Peabody.

– Dali sobie radę – powiedziała Eve. – Żyją po swojemu.

Ona zrobiła to samo.

Wróciła do gabinetu i uzupełniła notatki. Zawahała się, ale przesłała kopię do doktor Miry. Może być trudno czytać to, co powiedzieli Ned i Gwen, ale przypuszczała, że Charlotte już to wszystko wie.

Uświadomiła sobie, że też chce już być w domu. Tam mogła się skupić na pracy.

Wzięła to, co jej będzie potrzebne, złapała płaszcz i... Popełniła błąd, odbierając telefon.

Rzecznik prasowy poinformował ją, że zaraz musi wydać oświadczenie w sprawie śledztwa, dotyczącego zabójstwa senatora Miry.

Zrezygnowana – wiedziała, że tego nie uniknie – udała się do sali ogólnej wydziału i podeszła do biurka Peabody.

– Muszę przygotować oświadczenie dla prasy, ale zrobię to sama. Potrzebne mi informacje o współmałżonkach kochanek senatora i potwierdzenie ich alibi. Możesz zostać tutaj albo iść do domu, pod warunkiem, że wieczorem otrzymam od ciebie wszystkie dane.

– Zostanę tutaj i wrócę do domu z McNabem.

– Poinformuj Mirę, ale nie drogą oficjalną. Jasne?

– Jasne.

Nienawidziła tej części swojej pracy, ale musiała to zrobić. I była wdzięczna, że rzecznik na samym wstępie poinformował, że na odczytanie oświadczenia i pytania będzie dziesięć minut.

W drodze do domu pobrzmiewały w jej głowie pytania:

„Czy to prawda, że senatora Mirę znaleziono nagiego?”

„Dlaczego wcześniej nie poinformowano ludzi o jego porwaniu?”

„Czy doktor Charlotte Mira bierze udział w tym śledztwie?”

„Czy profesor Dennis Mira jest podejrzany?”

„Jak długo torturowano senatora Mirę, zanim umarł?”

Chryste, pomyślała, Chryste, dlaczego ludzie mają prawo wiedzieć takie rzeczy? I właśnie tak odpowiedziała na pytania, a potem wyszła z sali.

Do domu, powiedziała sobie. Może poćwiczy albo popływa, zanim znów usiądzie do pracy. Zrobi coś, żeby zapomnieć o okropnościach tego dnia.

Ćwiczenia i pływanie, postanowiła, przejeżdżając przez bramę. Po trzydzięści minut. Po godzinie wysiłku fizycznego będzie mogła od nowa wziąć się do roboty.

Sam widok domu sprawił, że się uspokoiła. Nie wiedziała, dlaczego rozmowa z Gwen i Netem tak ją wytrąciła z równowagi.

Nie byli bici, nie znęcano się nad nimi. Dorastali w dobrze sytuowanej rodzinie, zupełnie inaczej, niż ona. Ale słuchając ich, czuła, jak wracają koszarne wspomnienia z jej własnego dzieciństwa. Poczucie strachu, bezradności.

Musiała się tego pozbyć.

Wszystko sobie obmyśliła, parkując. Zacznie od wymiany złościwości z Summersetem. To powinno jej pomóc uporać się ze wspomnieniami.

Ale kamerdynera nie było w holu, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. Powinien czaić się tutaj z szyderczym uśmiechem, rzucić jakąś kąśliwą uwagę.

– Wcześniej – mruknęła pod nosem, wchodząc po schodach. – Wróciłam do domu wcześniej. Specjalnie, żeby cię przyłapać, jak wyłazisz z tej swojej trumny. Byłaby niezła zabawa. Ale przepadło.

Ruszyła do sypialni, lecz zmieniła zdanie i poszła do swojego gabinetu. Zostawi tam wszystko, uaktualni tablicę. A potem pozwoli, żeby jej umysł podświadomie o tym myślał, kiedy ona sama przebiegnie kilka kilometrów, przepłynie kilka okrążeń basenu.

Była kilka kroków od drzwi do swojego gabinetu, kiedy usłyszała, jak w środku ktoś sobie coś nuci. Jakaś kobieta.

Co, u diabła? Jeden z domowych droidów, które rzadko, o ile w ogóle, widywała? Czy mogą nucić sobie wesoło podczas pracy?

Stała na progu gabinetu.

Nie droid, tylko jakiś rudzielec z tabletem kręcił się po jej własnym gabinecie, podśpiewując sobie jakąś skoczną melodię.

I gdzie jest tablica?

Kim, u diabła, jest kobieta w sięgających pachwin kozakach na wysokich obcasach... Która przysiadła swoim chudym tyłkiem na JEJ biurku?

Eve rozchyliła płaszcz, położyła rękę na broni.

– Kim, u diabła, pani jest?

Rudowłosa kobieta pisnęła i zeskoczyła z biurka. Przycisnęła rękę do piersi, wybałuszając oczy na Eve.

– O Boże! Ale mnie pani przestraszyła.

– Tak? – Nie zdejmując ręki z broni, Eve weszła do pokoju. – A pani naprawdę chce się przestraszyć? To się pani przestarszy, jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie poda mi pani swojego nazwiska i nie powie, jak się pani tutaj dostała.

– Jestem Charmaine. A pani musi być porucznik Dallas. Bardzo się cieszę, że wreszcie się spotkałyśmy. Właśnie kończyłam pomiary.

– Jakie pomiary?

– Do... Naprawdę się zdenerwowałam. Nieźle mnie pani przestraszyła. Właściwie nie wolno mi powiedzieć. Roarke tylko...

Akurat w tej chwili wyszedł ze swojego gabinetu.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Gdybyś mogła... Eve.

Zauważył jej postawę, rękę na broni, spojrzenie. I westchnął.

– Wcześniej wróciłaś do domu.

– Tak, i co z tego? Kto to jest i co robi w moim gabinecie?

– Charmaine Delacroix, porucznik Dallas. Charmaine jest dekoratorką wnętrz, z którą współpracowałam przy kilku projektach. Między innymi przy dojo.

– Cudownie minimalistyczne – powiedziała Charmaine – ale wcale nie spartańskie.

Roarke stanął tak, żeby znaleźć się między nią a Eve.

– Masz już wszystko, co ci potrzebne?

– Tak. Już się nie mogę doczekać, kiedy zacznę pracować. W przyszłym tygodniu przedstawię kilka propozycji. Cieszę się, że panią poznałam – zwróciła się do Eve. – Sama trafię do wyjścia.

Eve dała jej pięć sekund na wyniesienie się z pokoju, a potem natarła na Roarke'a.

– Pozwoliłeś, żeby ktoś myszkował po moim gabinecie!

– Zaprosiłem dekoratorkę wnętrz, żeby się zorientowała, zrobiła pomiary. Byłbym tu z nią przez cały czas, chociaż w pełni można jej zaufać, ale musiałem odebrać telefon.

– Dlaczego jakaś projektantka ma robić pomiary w moim gabinecie? To mój gabinet, czyż nie? I gdzie moja tablica, do jasnej cholery?

– Zabrałem ją, bo chyba nie chciałaś, żeby ją zobaczył ktoś postronny. I gdybyś nie

pojawiła się w domu tak niespodziewanie, wróciłyby na swoje miejsce.

Wściekłość niemal ją rozsadzała.

– Czyli wszystko byłoby w porządku, gdybym o niczym nie wiedziała? Mogę wejść do twojego gabinetu, wynieść coś z niego, wpuścić do niego kogoś, o ile ty się o tym nie dowiesz?

– Owszem, gdybyś miała powód, jak ja.

– Jaki możesz mieć powód, żeby zabierać moją tablicę i wpuszczać jakąś podśpiewującą sobie kobietę do mojego pokoju?

– Podśpiewującą sobie?

– Nuciła coś, na rany Chrystusa!

– Przypuszczam, że była w dobrym nastroju. A powodem jest sprawienie ci niespodzianki i przedstawienie kilku pomysłów na wprowadzenie zmian w twoim gabinecie.

Na nowo ogarnęła ją fala wściekłości.

– Po co mi pomysły na jakieś zmiany? Nie potrzebuję żadnych zmian. Ty też nie zgłaszałeś żadnych sprzeciwów, kiedy to wszystko przeniosłeś z mojego starego mieszkania, żebym się tu wprowadziła. A teraz co, już nie jest dobrze? Niewystarczająco wymyślnie?

Jego niebieskie oczy zrobiły się zimne jak lód.

– Jeśli zamierzasz rozmyślnie zachowywać się jak kretyńska, chcesz się kłócić o coś tak błahaego, to porozmawiamy, kiedy przestaniesz być kretynką.

– Ja jestem kretynką? Ty zacząłeś rządzić się w moim pokoju, a ja jestem kretynką?

– Ludzie się zmieniają, Eve. Zmieniają poglądy, postawy, wygląd i często wystrój swoich pokoi. Pomyślałem sobie, że po takim czasie może jesteś gotowa na wprowadzenie tu zmian, żeby odzwierciedlały to, co jest teraz, a nie to, co było kiedyś. Najwyraźniej się myliłem. Ale nie dlatego jesteś kretynką. Jesteś kretynką, bo tak żałośnie brakuje ci pewności siebie, że zachowujesz się, jakbyś przyłapała nas nagich, jak się rżniemy na twoim bezcennym biurku.

– Mam dużo pracy.

Zacisnęła zęby, kiedy Roarke skierował się do swojego gabinetu.

– Gdybym was na tym przyłapała, lepiej uwierz, że posłużyłabym się bronią. I zabiła was oboje.

– Przypuszczam, że to coś – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

9

Och, nienawidziła, kiedy tak się zachowywał. Nienawidziła, kiedy nastawiała się na porządną awanturę, a on z lodowatą miną uciekał przed konfrontacją.

Doskonale wiedząc, że ona tego nienawidzi.

Miała ochotę wpaść do niego i się pokłócić, ale... Chyba by mu się to spodobało, prawda? Chodziła tam i powrotem po swoim gabinecie. Swoim gabinecie! Bardzo by mu się spodobało, gdyby wparowała do niego wściekła, a on siedziałby tam sobie z tą zimną miną Roarke'a, budzącą strach.

Wiedziała, jak skruszyć ten jego lodowaty chłód, o tak. Wiedziała, który nacisnąć guzik, żeby go rozpalić. Ale prawdopodobnie to też by mu się spodobało. Ubóstwiał pokazywać jej, że on zachowuje się rozsądnie, podczas gdy ona awanturuje się bez powodu.

Nie da mu tej satysfakcji.

Pieprzyć to. Przyszła do domu, żeby przez godzinę odświeżyć umysł, i zrobi to.

Wymaszerowała ze swojego gabinetu, z gniewną miną weszła do sypialni, gdzie gruby kocur leżał rozwalony na samym środku łóżka.

– Nawet się nie waż – warknęła, kiedy otworzył oczy, każde innego koloru, i wlepił w nią wzrok. – Czy jemu by się to podobało, gdybym kogoś tu sprowadziła? – Zdjęła płaszcz i rzuciła go na łóżko. – Gdybym ni stąd, ni zowąd postanowiła, że zmienię wszystko w sypialni. Tak, mam ochotę coś zmienić, więc wyrzucę to wszystko i wstawię coś nowego. Jak by ci się to spodobało?

Odpięła broń, wyjęła telefon, komunikator, odznakę, rzuciła wszystko na toaletkę wraz z innymi drobiazgami, które miała w kieszeni.

Galahad znał się co nieco na humorach swojej pani, toteż leżał bez ruchu, kiedy Eve rozebrała się i włożyła strój gimnastyczny.

– Ty możesz być następny – ostrzegła kota, wsiadając do windy. – Może coś mu strzeli do głowy, przefarbuje cię na różowo i ubierze w smoking.

Naburmuszona zjechała do siłowni. Zdecydowanie to niedobry moment na holosese z mistrzem Wu. Zastanawiała się, czy nie pobić się z jednym z droidów-sparing partnerów, ale uznała, że Roarke'owi by się to spodobało, więc wybrała bieżnię. Zaprogramowała trudny bieg po mieście, z licznymi przeszkodami.

Bieg plażą by ją zrelaksował, ale jeszcze nie była na to gotowa, więc przemierzała wielkomiejskie ulice, dopadała drobnych złodziejasków, wspinała się, zeskakiwała, pokonywała barierki, aż poczuła w nogach dobrych osiem kilometrów.

Potem przesiadła się na atlas, podnosiła sztangę, aż ją zaczęły boleć mięśnie, zakończyła kilkoma ćwiczeniami na mięśnie brzucha, nim uznała, że ma dość.

Spocona, zasapana, skierowała się do tropikalnego raj, gdzie był basen. Rozebrała się

i wskoczyła do chłodnej, niebieskiej wody.

Po zrobieniu pięciu okrążeń jej ciało błagało o chwilę wytchnienia. I powróciły natrętnie myśli.

Jej pokój. Tylko jej. Jaki Roarke miał w tym interes, żeby zmuszać ją do zmian w swoim gabinecie, sprowadzać jakiegoś wyfiokowanego rudzielca, bo jej gabinet nie jest wystarczająco... Wymyślny.

Nic nie jest nie tak z jej gabinetem, pomyślała, leżąc na wodzie. Wystarczająco dobrze wypełniał swoje zadanie. Może był mały i obskurny w porównaniu z resztą tego okazałego domu, ale był jej, do jasnej cholery.

Dobrze jej się w nim pracowało, a Roarke nigdy do tej pory na niego nie narzekał. Przecież sam go tak urządził, kompletnie ją zaskakując, bo stworzył replikę jej mieszkania, łącznie ze zniszczonym biurkiem.

Cholera. Cholera. Tym gestem zupełnie podbił jej serce, a teraz chce coś zmieniać.

Ponieważ ona nie jest już lokatorką starego mieszkania ze zniszczonym biurkiem, pomyślała.

Z sykiem wypuściła powietrze z płuc, mruknęła: „Do diabła” i zanurkowała.

Kiedy wróciła na górę, miała większą kontrolę nad sobą. Wprawdzie w środku jeszcze się w niej gotowało, ale odzyskała panowanie nad swoimi emocjami. Przebrała się w bawełniane spodnie, bluzę i tenisówki, usiadła, pogłaskała kota.

– Nie przefarbowałby cię na różowo ani nie ubrałby w smoking. Lubi cię takim, jaki jesteś. Czasami się zastanawiam, czy lubi mnie, ale ty możesz być spokojny.

Galahad trącił ją łebkiem w ramię, więc znów zaczęła go głaskać. Po paru minutach doszła do wniosku, że o wiele łatwiej żyć z kotem niż z ludźmi.

Poszedł za nią do jej pokoju. Drzwi do Roarke'a były zamknięte.

Skrzywiła usta.

– Może sobie tam siedzieć, ile chce. Proszę bardzo. Ja mam pracę. Czy coś ci się tutaj nie podoba? – zwróciła się do kota.

Galahad spojrział na nią, a potem przebiegł przez pokój i wskoczył na amerykańkę.

– No widzisz? Mamy wszystko, czego potrzebujemy. Z wyjątkiem mojej cholernej tablicy.

Znalazła ją w schowku i przytargała z powrotem.

Uaktualniła dane, zrobiła sobie kawę, a potem przyglądała się uważnie tablicy. Chodziła wokół niej, dokonała kilku zmian, a potem wróciła do swojego biurka – które całkiem jej odpowiadało – i przejrzała notatki.

Niemal nie uniosła wzroku, kiedy wszedł Roarke. Skierował się do barku w ścianie, wybrał butelkę wina.

Odkorkował ją.

– Napijesz się? – zapytał.

– Nie i nie zamierzam cię przeproszać.

– Cóż za zbieg okoliczności. Ja też nie.

– To nie ja zaprosiłam jakąś rudowłosą cizję, która wsadzała wszędzie nos, podśpiewując sobie w tych botkach.

Uniósł brew.

- Masz coś przeciwko nim?
- Nie lubię botków na piętnastocentymetrowych obcasach grubości mojego małego palca, lecz nie o to chodzi. I możesz sobie robić tę swoją lodowatą minę, ale nie podoba mi się, jak wracam do domu po ciężkim dniu i dowiaduję się, że postanowiłeś zmienić miejsce, w którym pracuję, nie wspominając mi o tym ani słówkiem. Nie pytając, co o tym sądzę.
- Mylisz się.
- Akurat.
- Mylisz się – powtórzył. – Że bez konsultacji z tobą zmieniłbym choć jeden centymetr kwadratowy. Nie naradziwszy się z tobą albo nie sprawdziwszy, co o tym myślisz, czego chcesz. To nieprawda, Eve, i nie zasłużyłem sobie na taki zarzut.
- Sprowadziłeś ją tu, nie informując mnie o tym.
- Spojrzał na swój kieliszek, napił się wina.
- Zaprosiłem ją tutaj, żeby wszystko obejrzała i oceniła świeżym okiem, mając w pamięci kilka pomysłów, które jej podsunąłem.
- Ty podsunąłeś jej?
- Tak. Ponieważ doskonale wiem, gdzie i jak pracujesz.
- Pracuję tutaj, kiedy jestem w domu. I to ty urządziłeś tu wszystko tak, jak teraz. Do jasnej cholery. – Wstała zza biurka i wyciągnęła brylant w kształcie łezki, który nosiła na łańcuszku pod bluzą.
- Kiedy dałeś mi ten wielki brylant i powiedziałeś, że mnie kochasz, pomyślałam, że zwariowałeś.
- Pamiętam. – Pociągnął łyk wina, patrząc na nią znad kieliszka. – Bardzo wyraźnie.
- Ale kiedy mi pokazałeś to, co dla mnie zrobiłeś tutaj, w swoim domu, jak urządziłeś ten pokój dla mnie tak samo, jak wyglądał w moim mieszkaniu, bo zrozumiałeś, że potrzebuję czegoś swojego, co znam, zaczęłam wierzyć, że mnie kochasz. Teraz się okazuje, że już ci to nie wystarcza.
- Masz rację, nie wystarcza mi – powiedział, i zabolęło ją to do głębi. – Nie jest wystarczająco dobre dla ciebie, osoby, jaką jesteś, i tego, co robisz codziennie. Ale to nie wszystko. Kiedy wyprowadziłaś się ze swojego mieszkania i przeniosłaś tutaj, potrzebowałaś czegoś, co znałaś, co ci dawało poczucie bezpieczeństwa. Byłaś mi potrzebna, więc dałem ci to, czego potrzebowałaś, żebyś tu zamieszkała, żebyś dobrze się tu czuła. Pomyślałem, że trzy lata wystarczą, by z tym wszystkim skończyć, naprawdę zostawić tamto za sobą i zrobić dla siebie coś nowego. Nie w moim domu, tylko w naszym.
- Spojrzał na nią chłodno, ale wydało jej się, że dostrzega coś w tym jego zimnym spojrzeniu. Było mu przykro.
- Trudno mi... Godzić się z tym, że wciąż musisz się trzymać tego, co było kiedyś. Zanim się poznaliśmy.
- To nie to. – Nie, nie przełknij tego. – To nie fair. Mylisz się. Nie trzymam się tego, co było. Przynajmniej nie kurczowo – poprawiła się. – Nie czuję się niepewnie.
- No właśnie.
- Kurde, kurde, kurde.
- Po prostu przyzwyczaiałam się do tego gabinetu. Jest w sam raz. Jak mam zapraszać gliniarzy, pracować tutaj, jeśli go jakoś odłotowo urządzisz? To miejsce do pracy, gdzie

prorowadzę śledztwa, zamykam sprawę, a nie na pokaz.

Dostrzegła na jego twarzy frustrację, co było według niej lepsze niż rozczarowanie i zawód.

– Unowocześnienie miejsca, gdzie można pracować wydajniej, to nie szpanowanie. Jezu Chryste, jak na kobietę tak bezczelną i pewną swoich umiejętności zawodowych, zbyt się przejmujesz tym, żeby w innych dziedzinach nikt cię nie posądził o bycie zarozumiałą.

– Chcesz porozmawiać o tym, kto tu jest bezczelny?

– Nie, chcę porozmawiać o twoim biurku.

– O... Słucham?

– Czy jesteś przywiązana do tego biurka?

– Czy... – Eve, zbita z tropu, złapała się za głowę i spojrzała na biurko, marszcząc czoło.
– Nie widzę w nim nic złego.

– A ja wprost nie potrafię zliczyć, ile jest w nim złych rzeczy. Ale jeśli jesteś do niego przywiązana, zostanie tutaj. Po prostu. Jeśli nie jesteś do niego przywiązana, możesz rozważyć jedno z dostępnych rozwiązań, na przykład centrum dowodzenia, o jakim myślałem.

– Nie... Centrum dowodzenia?

– W kształcie litery U, z wbudowanymi monitorami dotykowymi i kontrolkami, z główną stacją roboczą pośrodku, drugim komputerem z boku, z miejscem na dyski i holokontrolki po drugiej stronie. Zamierzam wymienić na nowszy sprzęt w swoim gabinecie i pracowni z niezarejestrowanymi komputerami. Niemal codziennie pojawia się coś nowego. Opłaca się nie zostawać w tyle.

– Niezbyt sobie radzę z nowinkami technicznymi, więc...

– Wziąłem to pod uwagę.

Spojrzał na nią. Już nie tak lodowato, zauważyła. Też był wkurzony. Może także trochę dotknięty, a z całą pewnością sfrustrowany. Ale przede wszystkim wkurzony.

– Wolisz tradycyjną tablicę, więc niech pozostanie. Ale będziesz mogła wyświetlać ją na monitorze. Monitory tutaj, jak i gdzie indziej, zostaną wymienione na nowsze. Nie rozmawiamy o firankach w oknie ani o dywanach.

– Tak, ale...

– Bardzo często właśnie tutaj jemy kolację. – Znów zmierzył Eve zimnym spojrzeniem. – Więc najwyższa pora, żeby robić to w przyjemniejszym otoczeniu. Na przykład tam urządzić kącik jadalny ze stołem, krzesłami. Stół można byłoby rozłożyć, kiedy ściągnie tu połowa twojego wydziału. I tak doszliśmy do dodatkowych komputerów i miejsca dla gości.

– Dla gości?

Zatoczył koło dłonią, w której trzymał kieliszek.

– Możesz mówić, że nie lubisz przyjmować gości w gabinecie, ale pozostaje faktem, że często przyjmujesz tu ludzi. A przynajmniej gliniarzy.

– Jak będzie im za wygodnie, nigdy stąd nie wyjdą. – Eve pomasaowała kark, ponieważ, do diabła, zaczęła to sobie wyobrażać. A przede wszystkim spodobał jej się pomysł tego centrum dowodzenia. – Po prostu... e... przyzwyczaiłam się do tego miejsca i tyle. Wchodzę, a tu jakiś rudzielec w botkach coś sobie nuci. I ty mówisz: oto, jak tu będzie.

– Powtarzam jeszcze raz: nic by się nie zmieniło, niczego bym nie tknął bez twojej zgody. Eve, do jasnej cholery, to nie tylko twój gabinet, to także twój dom.

– I dlatego się wkurzyłam! – Rozdrażniona złapała się za włosy. – To też mój dom, a poczułam się, jakbyś postanowił coś w nim zrobić, nic mi nie mówiąc.

Roarke zatrzymał się i dolał sobie wina.

– Masz rację. Przyznaję. I szkoda, że tego nie powiedziałaś. Nie zamierzałem nic zmieniać, tylko przygotowywałem grunt pod zmiany, które chciałem zaproponować, dając ci wybór. Możesz się zgodzić albo nie. Chciałabyś pracować z Charmaine?

– Straciłeś rozum?

– Nie. Dlatego zaprosiłem ją tutaj i przedstawiłbym ci kilka wariantów, które według mnie mogłyby ci się spodobać. Gdyby nie przypadły ci do gustu, mogłaby przedstawić nowe rozwiązania albo i nie. Gdyby ci się któreś spodobały, ale chciałabyś coś w nich zmienić, zmienilibyśmy. Tak, jak było z dojo. Podejrzewam, że gdybym ci zakomunikował, że chcę zaprojektować dojo specjalnie dla ciebie, wykrzyknęłabyś „Kto, u diabła, ma dojo w domu?” – Powiedział to z amerykańskim akcentem, czym ją rozśmieszył.

– Wcale tak nie mówię.

– Ale podobnie. I powinnaś wiedzieć, że Charmaine zajmie się też naszą sypialnią.

– Co? Co? Dlaczego? Jest ładna. Jest...

– Została zaprojektowana dla mnie, jeszcze zanim cię poznałem. Prawdę mówiąc, dużo wcześniej, niż cię poznałem. Teraz zostanie zaprojektowana dla nas obojga.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Będziesz musiała wszystko zaakceptować, nim wprowadzimy jakiegokolwiek zmiany. Więc jeśli niespodziewanie pojawisz się w domu i zastaniesz rudzielca, nucącego sobie w sypialni, będziesz wiedziała, dlaczego tam jest i nie zareagujesz tak, jakbym zamierzał przelecieć Charmaine na naszym łóżku.

Do głębi oburzona Eve dźgnęła go palcem.

– Wcale tak nie zareagowałam. Gdybym tak zareagowała, to droid zostałby obleczonej w twoją skórę. Spytaj Peabody, bo nie dalej jak dziś wszystko jej wytłumaczyłam.

– A czemuż to?

– Ponieważ większość dnia spędziłam z kobietami, które zdradzały mężów. A teraz chcę się napić wina – oświadczyła, biorąc kieliszek Roarke'a. – Dlatego byłam w takim nastroju i postanowiłam wcześniej wrócić do domu, żeby się zrelaksować, nim znów wezmę się do pracy. A nawet Summerseta nie było tam, gdzie powinien być, żeby mogła mu dogryźć i w ten sposób zacząć się wyładowywać.

– Wróciłem do domu jeszcze wcześniej od ciebie i powiedziałem, żeby poszedł spotkać się z przyjaciółmi.

– Trupy nie spotykają się z przyjaciółmi, tylko z innymi trupami.

Roarke uniósł brwi i przechylił głowę.

– Lepiej się poczułaś?

– Właściwie nie.

Poszedł po drugi kieliszek dla siebie.

– Chciałem zrobić coś dla ciebie, dla swojej policjantki. Powtórzę jeszcze raz, że ten gabinet nie jest dla ciebie wystarczająco dobry. I nie spieraj się ze mną – dodał, nim

zdążyła coś powiedzieć. – Nie znam lepszej policjantki od ciebie. Ale jesteś również moją policjantką, więc zasługujesz na coś więcej niż to tutaj.

Wzruszył ją, bo wiedziała, że mówił szczerze, że właśnie tak uważał.

– Próbujesz mnie uwieść centrami dowodzenia.

– Tak. A drugi powód, którym się kieruję, jest czysto egoistyczny: muszę cię skłonić do rezygnacji z tego. Chcę wiedzieć, czy się na to zdobędziesz.

– Z tego? – Pokazała ręką wokół. – To nie o to chodzi. Naprawdę. Moje dawne mieszkanie należy teraz do Mavis, Leonarda i ich dziecka. Urządzili je po swojemu, nie zostało w nim nic mojego. Nie potrzebuję tego biurka ani tam, ani tu. Przysięgam, że nie jestem do niczego przywiązana. Przyznaję, że się do niego przyzwyczaiłam, jest wystarczająco duże. Ale ważniejsze jest to, że dostałam je od ciebie. Już wtedy mnie znałeś i mi je dałeś. Dlatego nie chcę się z nim rozstać.

Napiła się wina, mruknęła „Kretyn”.

Roarke podszedł do niej i przesunął palcem po płytkim dołeczku w jej brodzie.

– Zrobiłem to, bo oboje tego potrzebowaliśmy, kretynko. I spróbujmy to zrobić dla nas obojga. I jeśli chcesz, żeby wszystko zostało po staremu, to zostanie.

– Jeśli się zgodzę, powiem: „dobrze, spróbujmy”, rudzielec nie będzie nic wydziwiał?

– Nic a nic. Masz moje słowo.

– No dobrze. Ale cię nie przeproszę.

– Ja ciebie też nie.

– I niech tak zostanie.

Nachylił się, by pocałować ją prosto w usta.

– Rozniosłaś droida w drobny mak?

– Miałam wielką ochotę, jednak nie zrobiłam tego, bo wiedziałam, że o to zapytasz. Nie chciałam ci dać tej satysfakcji. – Uśmiechnęła się z wyższością, a potem westchnęła. – Ale żałuję. To był okropny dzień.

– Miałaś rację, że znajdą się zwłoki senatora.

– Tak, punkt dla mnie. Nieźle się z nim zabawiali. Nie ujawniliśmy wszystkich szczegółów, ale już zaczęły się przecieki. Musiałam zakończyć ten dzień konferencją prasową. A jutro muszę zacząć następny od wizyty w kostnicy. Nie pojechałam tam dziś. Właściwie nie ma pośpiechu.

Podeszła do tablicy, okrążyła ją.

– Zbadali krew na obecność toksyn. Nie dali mu nic, chcieli, żeby wszystko czuł. Pobili mu twarz, genitalia. Skatowali go. Stwierdziłyśmy, że dokonali penetracji odbytnicy jakimś przedmiotem. Poczekam na ustalenia Morrisa, ale według mnie żył i był przytomny, kiedy założyli mu pętlę na szyję, przyczepili ją do żyrandola w holu wejściowym i posłużyli się mechanizmem, podnoszącym żyrandol. Rozumiesz? Opuścili żyrandol, żeby go na nim powiesić, a potem podnieśli w górę. Założę się, że wolno, wolniutko, centymetr po centymetrze. Dławił się, walczył. Zostawili mu wolne ręce, podrapał sobie szyję do krwi. Umierał w cierpieniach. Uważali, że zasłużył sobie na śmierć w męczarniach.

Rzeczywiście, kiepski dzień, pomyślał Roarke. I chociaż postanowił do tego nie wracać, uznał, że to jeszcze jedno potwierdzenie, iż ma rację. Powinna wracać do domu do takiego gabinetu, na jaki zasługuje.

– Oni?

– Musiało ich być przynajmniej dwoje. W tym jedna kobieta.

Musiała to z siebie wyrzucić, pomyślał Roarke, przysiadając na biurku.

– Skąd wiesz?

– Seks analny. Nic nie świadczy o tym, żeby lubił „to” robić z chłopcami lub mężczyznami. Poza tym pan Mira słyszał kobiecy głos. Dowiedziałam się tego, kiedy go przesłuchiwałam w kuchni jego własnego domu. Gdy robił dla mnie gorącą czekoladę.

Oczy zapiekły ją od łez, niemal się rozplakała.

– Kurde, kurde.

– No, no, co znowu? – Szybko odstawił swoje wino i do niej podszedł. Wyjął kieliszek z jej ręki, a Eve go objęła.

– Musiałam go przesłuchać, zadawać mu te wszystkie pytania. Spisał się na medal i w pełni mnie rozumiał. Wszyscy rozumieli, że muszę to zrobić, ale, mój Boże, widać było, że cierpi. Rozpaczał po nic niewartym skurczysynu, próbując mnie pocieszać, bo wiedział...

– Było to dla ciebie trudne, ale w ten sposób go chroniłaś.

– Chciałam przywalić dziennikarzowi, który mnie spytał, czy pan Mira jest podejrzany, czy profesor Dennis Mira jest podejrzany. Ale nie mogłam. Muszę go chronić, Roarke, a nic niewart skurczysyn jest ofiarą i muszę znaleźć jego zabójcę bez względu na to, co o nim sędzę.

– Rzeczywiście miałaś okropny dzień.

– To jeszcze nie wszystko. – Wygrała wojnę ze łzami i odsunęła się od Roarke’a.

– Powiem ci, co zrobimy. Zjemy wcześniej kolację i wszystko mi opowiesz. A potem nad tym popracujemy. Dla mnie Dennis też jest ważny. Bardzo ważny.

– Wiem. Obawiam się, że nie dam rady nic przełknąć.

– To znaczy, że jemy pizzę. Pod warunkiem, że zgodzisz się też na warzywa.

– No dobrze. Niech będzie.

Kiedy jedli, rozglądała się po pokoju. Patrzyła na replikę swojego starego stołu, przy którym spożywała posiłki... Czasami. Częściej jadła, siedząc przy biurku.

Prawdopodobnie nie zaszkodzi, jak wymienią go na lepszy stół, pomyślała, grzebiąc widelcem w warzywach. Ale...

– Opowiedz mi wszystko – odezwał się Roarke.

Więc mu powiedziała. Poczynając od porannej wizyty w Instytucie Miry, uroczystości awansowania Truehearta, przez znalezienie zwłok, do poinformowania najbliższego krewnego ofiary. A potem jeszcze o wizycie w domu państwa Mirów. I o przesłuchaniach kobiet, które były kochankami senatora; o tym, jakie wywarły na niej wrażenie.

– Dużo zrobiłaś jak na jeden dzień.

– To jeszcze nie koniec. I niewątpliwie będzie więcej kobiet. Baraszkowanie z kobietami było chyba jego hobby. A dla nich? Jedne czują się winne, inne to bagatelizują, jedno robiły to z wyrachowania, inne dla przyjemności.

Wszystkie miały jakiś powód, żeby zdradzić, ale nie kupiła żadnego z nich.

– Uważasz, że kłamią?

– Nie... Przynajmniej nie do końca. A te dwie, które są na samej górze listy? – Wskazała

tablicę. – Czegoś tu brak, coś jest niezupełnie tak. Ale chodzi mi o to, że nie przekonali mnie do swoich poglądów na zdradę. Albo się jest wiernym, albo nie. Nie idzie się do łóżka z żonatą mężczyzną, ponieważ jest niewiernym mężem.

– Widzisz to w czarno-białych barwach.

– Masz rację.

– Na szczęście dla mnie zgadzam się z tobą. Ale jest wiele osób, które widzą to raczej w szarych kolorach, zależnie od okoliczności.

– W takim razie po co brać ślub? Albo się jest wiernym, albo nie – powtórzyła. – Muszę uważniej się przyjrzeć tej MacKensie. Sprawia wrażenie osoby, która dużo czasu spędza w domu, jest raczej obserwatorką niż aktywną uczestniczką. I jest... Jak to się mówi? Brzydką gąską?

– Kaczątkiem.

– No tak. Nie powiem, żeby zamordowany lubił kobiety określonego typu, ale wszystkie pozostałe na liście są ładne i o tym wiedzą. Czy ona stanowi wyjątek czy też udaje? Trzeba jej się bliżej przyjrzeć. To samo dotyczy Downing. Nie chodzi o urodę, ale coś mi w niej nie pasuje. Dla osobistych korzyści pozwoliła bogatemu, wpływowemu, staremu facetowi, żeby ją rznął, rozumiem to. Ale po co kłamała. MacKensie za bardzo udawała szarą myszkę i była zbyt roztrzęsiona, a Downing za dobrze przygotowana.

– Lepiej przygotowana od tej, która przyjęła cię już w obecności prawnika?

– Tak, ta z prawnikiem to suka bez serca. Downing zaś miała przebiegłe spojrzenie. Brzydkie kaczętko i szczywany lis jednocześnie.

Wzięła kawałek pizzy. Rzadko kiedy nie miała ochoty na pizzę, ale zjadła, żeby uniknąć kuksańca od Roarke'a.

– Najmniej podejrzewasz tę, do której czujesz największą antypatię.

– W tej chwili tak. Ale zaczęłam się zastanawiać nad jednym. Co, jeśli nie tylko spały z zamordowanym? Wszystkie wiedziały, że jest z niego pies na kobiety, a i tak z nim sypiały. A jeśli znały się nawzajem? Nie tylko wiedziały, że istnieją inne, ale znały się osobiście?

– Klub kochanek senatora Miry?

– Uważam, że jeśli ktoś zadaje się z wieloma kobietami, jest większa szansa na to, że ich drogi się przetną. Zastanawiam się, czyje drogi się skrzyżowały i co się wtedy stało. – Wzruszyła ramionami. – Nie miałam dużo czasu, żeby się zająć tym wątkiem śledztwa, bo pojawili się syn i córka ofiary. I to była druga najtrudniejsza rozmowa tego dnia.

Zjadła małą porcję warzyw, zauważył Roarke, a prawie nie tknęła pizzy, co było nietypowe.

Czyli wciąż nie dawało jej spokoju coś, co wiązało się z drugą najtrudniejszą rozmową tego dnia.

– Dlaczego?

– Są bardzo ze sobą blisko. On ma oczy pana Miry. To nie ma związku ze sprawą – dodała.

– Ale nie dla ciebie.

– Dla śledztwa. Są ze sobą blisko – powtórzyła. – A kiedy się ich słucha, obserwuje, jest jasne, że zawsze byli ze sobą blisko i właściwie mieli tylko siebie. Rodzice potrzebowali

ich przede wszystkim, a może wyłącznie po to, żeby mogli przedstawić światu obraz szczęśliwej rodziny. Tradycyjnej, bogatej, ponieważ taki obraz pomagał w karierze zamordowanego. W awansie z adwokata na sędziego, z sędziego na senatora. I prawdopodobnie miał chrapkę na więcej, lecz wolał się wycofać niż przegrać w wyborach.

– Rozumiem – powiedział Roarke.

– Jest również jasne, że to dostrzegali, że od najmłodszych lat wiedzieli, czego się od nich oczekuje. Wiedzieli, że małżeństwo ich rodziców i sama rodzina istnieją tylko na pokaz. Oczekiwano od nich, że się zachowają tak, jak to zaplanowali sobie rodzice: będą studiowali w Yale, oczywiście prawo, wezmą ślub z najbardziej obiecującymi kandydatami na małżonków. Od samego początku byli tylko pionkami. Wiedzieli, że ich rodzice się zdradzają, oszukują, są hipokrytami.

Odłożyła kawałek pizzy.

– To nie to samo, wiem o tym.

– Ale niewiele się różni. – Ponieważ ją rozumiał, położył rękę na jej dłoni. – Znęcanie się fizyczne to coś bardzo namacalnego. Dziecko bite i gwałcone, jak ty, od razu można rozpoznać, jeśli ktoś chce to zobaczyć. Znęcanie się psychiczne pozostawia ślady i szramy, ale niewidoczne. Ty, tak jak oni, od najmłodszych lat wiedziałaś, że służyłaś rodzicom w konkretnym celu. Nie ma znaczenia, że dzieci senatora kroczyły jasną, prostą drogą, a ty ciemną i krętą. Mieliście ograniczoną swobodę i byliście lekceważeni przez tych, którzy powinni się o was troszczyć i was chronić.

– Ty też do nas należysz.

– Tak, zgadza się. Tamci dwoje mieli siebie i to im pomogło przetrwać. My znaleźliśmy siebie i to zmieniło losy nas obojga. Nic dziwnego, najdroższa Eve, że się z nimi utożsamiasz, współczując im i sobie.

– Nie utrudnia mi to pracy. Byłoby tak, gdybym na to pozwoliła. Dlatego postanowiłam przyjąć do domu, odsunąć to na bok, zacząć od początku.

– I natknęłaś się na rudzielca w botkach. Pojawiłaś się nie w porę. Mogę za to przeprosić, bo dodatkowo zepsuło ci to i tak okropny dzień.

– Nie wiedziałaś o tym, więc... Gwen i Ned nie mają z tym nic wspólnego. – Znów spojrzała na tablicę, na zdjęcia. – Nie tylko dlatego, że on ma oczy pana Miry. Albo że ich rozumiem. Żyją po swojemu, nie poszli ścieżką, jaką im wyznaczyli rodzice, tylko własną. I są szczęśliwi. Sprawdzę ich, żeby nikt mi niczego nie zarzucił, ale to nie jest sprawa rodzinna. Najważniejszą rolę odegrał w tym zabójstwie seks.

– Nie doceniłaś tego, co przygotowałem na kolację, ale i tak pomogę ci w sprawdzaniu ich.

– Możemy zostawić pizzę na później. – Pełna wdzięczności Eve ujęła jego dłoń i krótko uścisnęła. – Kiedy trochę popracuję, może zgłodnieję.

– No dobrze. Pozwól, że zajmę się dziećmi senatora. Przeczucie ci mówi, że nie mają z tym nic wspólnego, więc nie będziesz traciła czasu, by ich sprawdzać.

– Albo wczuwać się w ich położenie.

– No właśnie.

– Dobrze, w takim razie zacznę od początku swojej listy.

Spojrzała na tablicę i na zdjęcie Carlee MacKensie.

10

Usiadła za biurkiem i najpierw sprawdziła pocztę. Przyszła wiadomość od Peabody, że alibi wszystkich osób się potwierdziło. Po krótkim namyśle Eve postanowiła zebrać informacje o przyjaciółce Downing, a MacKensie zostawić na później.

Lydia Su.

Okazało się, że to doktor Lydia Su. Biofizyk, zatrudniona w Lotem Institute of Science and Technology w Nowym Jorku. Trzydzieści trzy lata, panna. Azjatka – pół Koreanka, pół Chinka. Jedna siostra, młodsza o cztery lata, lingwistka, mieszkająca w Londynie. Rodzice pobrali się trzydzieści pięć lat temu – ładny staż małżeński, uznała Eve. Ojciec neurochirurg, matka też naukowiec. Nanotechnik.

Czyli, pomyślała, bardzo ambitna, bardzo inteligentna, dobrze wykształcona rodzina.

W przypadku Lydii Su, jak dowiedziała się Eve, wykształcenie zdobyte w Yale.

Ciekawe. Czy to nie ciekawe?

Ale z drugiej strony wielu mądrych, bogatych, ambitnych ludzi studiowało w Yale.

Jednak...

Idąc tym tropem, Eve sprawdziła, gdzie studiowała sztukę Charity Downing. Okazało się, że na Uniwersytecie Nowojorskim, nie w Yale.

Ponieważ nie dawało jej to spokoju, zobaczyła, gdzie studiowały pozostałe osoby, których nazwiska widniały na jej liście.

Żadna z nich nie kształciła się w Yale.

Ale pokopała jeszcze głębiej.

Według Eve nie było czegoś takiego, jak zbieg okoliczności. Wstała od biurka i weszła do gabinetu Roarke'a.

– Uważam, że nie mylą cię przeczucia, jeśli chodzi o dzieci ofiary... – zaczął. Uniósł wzrok i dostrzegł jej minę. – Masz coś.

– Yale.

– Szacowna, prestiżowa uczelnia.

– Studiował tam zamordowany.

– Tak, przypominam sobie. Było to prawie pół wieku temu.

– To szmat czasu, ale wpadłam na trop powiązań z Yale dwóch kobiet z mojej listy. Przyjaciółka Charity Downing, ta, która zapewniła jej alibi, robiła tam studia licencjackie. Jest biofizykiem, cokolwiek to znaczy. Azjatka z inteligenckiej rodziny, która odniosła sukces.

– Muszę zauważyć, że sporo osób z inteligenckich, odnoszących sukcesy rodzin studiowało w Yale w ciągu ostatniego półwiecza.

– Zgoda. Druga to Carlee MacKensie. Otrzymała stypendium, studiowała przez semestr

i odpadła.

– Co też całkiem często się zdarza, ale... – Roarke rozsiadł się wygodnie. – To ciekawe, prawda, że przy takiej wielkiej liczbie uniwersytetów w tak małej grupce osób trzy studiowały właśnie w Yale.

– Tacy geniusze od liczb jak ty z pewnością potrafią wyliczyć prawdopodobieństwo, na razie jednak poprzestańmy na tym, że to ciekawe. Pokopałam trochę głębiej.

Przysiadła na jego biurku.

– Całe to gadanie o przechowywaniu indeksów na wieki to wcale nie pic na wodę. Była wybitną studentką. – Eve uniosła rękę nad głowę. – Nim skończyła dwadzieścia lat, opublikowała dwa krótkie opowiadania w czasopiśmie literackich. A jej wyniki nauki po dwóch miesiącach w Yale? – Opuściła rękę. – Spadły na łeb na szyję. I owszem, to też się zdarza. Przez pięć lat studiowała on-line, udało jej się skończyć inną uczelnię, zarabiała na życie pisaniem na zlecenie. Ale koniec z publikowaniem w prestiżowych czasopiśmie literackich.

Roarke się zamyślił. Wziął z biurka butelkę z wodą i zaczął gestykulować, mówiąc:

– Adwokat diabła musi przypomnieć, że to też zdarza się aż nadto często – błyskotliwy debiut, a potem nic. I studiowała w Yale krótko, a do tego czterdzieści lat później niż twój zamordowany.

– Być może, ale nie wierzę w zbiegi okoliczności. A jedna z kobiet z mojej listy ma przyjaciółkę, która też studiowała w Yale; właśnie ta przyjaciółka zapewniła jej alibi. I jakim cudem malarka, pracująca w galerii w SoHo, nawiązała przyjaźń z panią doktor, zatrudnioną w ważnym ośrodku badawczo-rozwojowym w centrum miasta? Gdzie tu wspólna płaszczyzna?

Roarke zaproponował jej wodę; Eve pokręciła głową, więc sam się napił.

– Ktoś mógłby zadać takie same pytania, dotyczące ciebie i Mavis.

– Była oszustką. Aresztowałam ją. Policjantka, przestępca, jest tu wspólna płaszczyzna. – Mówiąc, podniosła dwa palce, złączyła je. A potem wskazała jego. – Tak jak w przypadku mnie i ciebie, asie.

– Czuję się w obowiązku przypomnieć ci, że nigdy mnie nie aresztowałaś... Ani żaden inny gliniarz.

– To, że się jest sprytnym, nie przekreśla wspólnej płaszczyzny. Czy to mało? – Odwróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. – Przyznaję, że mało, ale zawsze coś. Dodaj fakt, że zamordowany zaliczał kolejne przyjaciółki, tak, jak Feeney pochłania migdały w cukrze, no i ewentualność skrzyżowania się dróg. Pokaż zdjęcie Su pracownikom swojego hotelu. Może też była jego kochanką. I wtedy to już nie będzie takie nieistotne.

– Mogę to zrobić.

– Na razie jeszcze nie dostrzegam motywu. Te kobiety dobrowolnie zgodziły się na seks z senatorem Mirą. Nie przyłożył im paralizatora do szyi. Każda z nich potwierdziła, że zgoda była obopólna. Założę się, że inne, które znajdę, powiedzą to samo. Żadna z nich nie darzyła go szczerym uczuciem, więc raczej nie wchodzi w grę zawód miłosny. I jeśli któreś z nich pracowały jako kobiety do towarzystwa, co na pewno wyjdzie na jaw, jak się tym bliżej zajmę, motyw zazdrości też nie pasuje. Sprawiedliwości stało się zadość –

mruknęła. – Za co? Za jakie przestępstwo, jaki grzech, jaką krzywdę? To będzie motyw. Czyli muszę zebrać więcej informacji o ofierze.

– Kobiety z twojej listy jeszcze się nie urodziły, kiedy Edward Mira studiował w Yale.

– Tak, tak, pamiętam o tym. Ale czy ważne szychy z prestiżowej uczelni nie odwiedzają później swoich szkół? Przyjeżdżają z okazji jakichś uroczystości, by dawać wykłady, na ważne wydarzenia. Może uda mi się coś takiego znaleźć, kiedy studiowały tam albo Su, albo MacKensie. I pętla zaczęłaby się zaciskać. Dziękuję – powiedziała i wstała.

– Nic nie zrobiłem.

– Byłeś rzecznikiem szatana.

– Adwokatem diabła.

– Na jedno wychodzi.

Wróciła do siebie, ustaliła dokładnie, kiedy Lydia Su i Carlee MacKensie studiowały w Yale, a potem próbowała odszukać w archiwalnych artykułach informacje o zjazdach absolwentów i bytności Edwarda Miry na uniwersytecie.

Kiedy przez godzinę nic nie udało jej się znaleźć, doszła do wniosku, że musi się skontaktować z ludźmi, którzy prowadzą tego rodzaju archiwum.

Nalała sobie kawy, wzięła kawałek zimnej pizzy, którą teraz chętnie zjadła, a potem usiadła, by poszukać jakichś powiązań między kobietami ze swojej listy.

Salony fryzjerskie, banki, siłownie, kluby, komitety, lekarze, kościoły, hobby.

Nic takiego nie znalazła, ale okazało się, że Carlee MacKensie leczyła się u doktor Natalie Paulson od dwa tysiące pięćdziesiątego ósmego roku do pierwszych miesięcy dwa tysiące sześćdziesiątego. Doktor Su rozpoczęła terapię w dwa tysiące pięćdziesiątym piątym roku i przestała chodzić do doktor Kim Ping cztery lata później. A Charity Downing leczyła się u niejkiej Felicii Fairburn przez sześć tygodni w dwa tysiące pięćdziesiątym dziewiątym roku. Fairburn ogłaszała się jako terapeutka ciała, umysłu i duszy.

Rzecznik szatana powiedziałby, i miałby rację, że masa ludzi chodzi do psychiatrów.

Ale zainteresuje się tym.

Yale. Psychiatrzy. Edward Mira. Trzy wątki, przewijające się przez życie tych samych osób.

Ale brak było innych powiązań.

Żadna z tych kobiet nigdy nie popełniła brutalnego przestępstwa. Nie było żadnego śladu uzależnień, które prowadziłyby do przymusowego leczenia albo sporej wyrwy w finansach. A przynajmniej brakowało informacji, by obecnie były uzależnione. Ludzie szukają pomocy u psychiatrów, kiedy chcą przestać pić, albo ćpać, albo uprawiać hazard. Lub kiedy mają problemy w łóżku (za dużo czy też za mało seksu). Kurde, ludzie chodzą do psychiatrów, żeby pomogli im podjąć decyzję, co mają zjeść na śniadanie, ale mimo wszystko...

Co, jeśli?

Zaczęła szperać, kopać, pociągać za sznurki, pojawiały się nowe ewentualne tropy, niektóre z nich okazywały się ślepymi uliczkami.

Eve usiadła wygodniej, i zaczęła bębnić palcami w nogę.

Czy to nie ciekawe, że Carlee MacKensie wróciła do domu po tym, jak wyrzucono ją z Yale, a niespełna sześć miesięcy później zamieszkała w jakiejś norze z niejką Marlee Davis, która miała bardzo bogatą i barwną przeszłość kryminalną, od narkotyków przez

uprawianie płatnego seksu bez zezwolenia i drobne kradzieże po napaści.

Dlaczego sympatyczna, inteligentna dziewczyna z New Rochelle zaprzyjaźniła się z jakąś drobną przestępczynią z Alphabet City (obecnie odsiadującą wyrok pięciu lat więzienia w The Tombs za kolejną napaść)?

Podążywszy tym tropem, Eve znalazła pewien schemat w życiu Carlee. Spisała swoją teorię oraz pytania i przesłała do Miry, z kopią do Peabody.

A potem zajęła się bliżej Lydią Su.

Nim przeszła do Charity Downing, zjadła drugi kawałek zimnej pizzy i nabrała wielkiej ochoty na pepsi.

Uniosła wzrok, kiedy wszedł Roarke.

– Widzę, że znalazłaś coś, co przywróciło ci apetyt na jedzenie i uśmiech satysfakcji.

– Carlee MacKensie. Inteligentna, utalentowana – pokop trochę, a znajdziesz o niej radosne wzmianki od jej najwcześniejszych lat. Wygrywała różne konkursy literackie, czasami otrzymywała nagrody pieniężne. Będąc uczennicą liceum, pisała blog, udzielała bezpłatnych korepetycji, działała jako ochotniczka w Teens for Literacy. Między innymi dzięki temu dostała się do Yale, otrzymała stypendium. Pochodzi z solidnej rodziny z klasy średniej, mieszkającej w ładnym domku na przedmieściach. I spójrz na to. Komputer, wyświetl zdjęcie 1-C na ekranie.

Potwierdzam.

Pojawiło się zdjęcie ładnej blondynki w śmiałej, czerwonej sukience, z przystojnym młodzieńcem w czarnym garniturze i czerwonym krawacie.

– Śliczna para.

– Tak, była ładna. To jej zdjęcie z balu maturalnego. Chłopak, zgodnie z tym, co napisała jej matka, a co wyczytałam w archiwum We Connect...

– Chwileczkę. – Uniósł palec w górę. – Udało ci się dostać do archiwum już nieistniejącego portalu społecznościowego?

– Umiem robić różne rzeczy. Jak muszę.

– Chyba usiądę, bo nie mogę wyjść z podziwu.

– Ugryź mnie.

– Najdroższa, noszę się z zamiarem zrobienia tego przy najbliższej nadarzającej się okazji.

– Pokopałam i znalazłam informacje dumnej matki o swoim dziecku. I takie zdjęcia, świadczące o tym, że była ładną dziewczyną, miała przystojnego chłopaka, równie zdolnego co ona. Poszedł na Harvard. A siedem miesięcy po tym, jak zrobiono to zdjęcie, wyrzucono ją z Yale i znów zamieszkała z rodzicami.

– No dobrze. Jest ładna i nie wykorzystała swoich możliwości.

– Więcej. Dwa miesiące po powrocie do domu wyniosła się do nędznej nory przy Avenue A, gdzie zamieszkała z jakąś zdziwą, która już wtedy miała bogatą kartotekę. Posiadanie narkotyków i handel nimi. Uprawianie nierządu bez licencji. Gdzie się poznały? Gdzie tu wspólna płaszczyzna?

– Młoda, ładna panienka ćpała.

– Założę się o twój zgrabny, irlandzki tyłek, że tak. Nie znalazłam nic na ten temat, ale osiemnastoletnia dziewczyna nie opuszcza New Rochelle i dumnej mamy dla jakiejś zdziwy

z Alphabet City. Chyba, że coś ją łączy z tą zdziłą. Kilka miesięcy później wróciła do domu.

– I prawdopodobnie dlatego nadal żyje i nie trafiła za kratki.

– Zdzira odsiaduje trzeci rok z pięciu lat więzienia za napad. MacKensie mieszkała z rodzicami przez dwa lata i w tym czasie dwa razy trafiła na trzy miesiące do „Wewnętrzny Spokoju”. Musiałam pokopać, i to głęboko, bo reklamują się jako centrum rozwoju osobistego, a nie ośrodek resocjalizacji. Zgadnij, kto też przez jakiś czas przebywał w „Wewnętrznym Spokoju”?

– Sądząc po twojej minie, albo Su, albo Downing.

– Su. Nie w tym samym czasie, co jest irytujące, ale obie studiowały w Yale, obie przebywały w tym ośrodku. Lydia Su wzięła urlop dziekański trzy lata temu i wyjechała, żeby popracować nad swoim rozwojem osobistym. Wcześniej brała udział w programie badawczym, zajmującym się bezsennością. I cóż za zbieg okoliczności! Charity Downing też brała w nim udział, chociaż nie w tym samym czasie.

– Zbyt wiele zbiegów okoliczności nawet dla adwokata diabła. – Ponieważ tylko to było pod ręką, Roarke napił się pepsi. – Zrobiła się ciepła.

– Ale i tak orzeźwia. Oto, jak to widzę.

Wstała i chodząc tam i z powrotem wzdłuż tablicy, zaczęła mówić.

– Te trzy kobiety już wcześniej zetknęły się z zamordowanym. I uprawiały z nim seks. W przypadku MacKensie ta znajomość na tyle wprowadziła chaos w jej życie albo okazała się tak intensywna, że dziewczyna zawałiła studia. Jest spore prawdopodobieństwo, iż każda z nich w pewnym okresie swego życia szukała pomocy, by pokonać, nazwijmy to „efekty uboczne” tej znajomości. I dzięki temu się spotkały.

Eve splotła palce.

– Dwie z tych trzech znów nawiązały romans z ofiarą. Przypuszczam, że nie miałeś czasu, żeby sprawdzić z ochroną hotelową, czy w apartamencie bywała doktor Su.

– Może cię zaskoczę, ale zrobiłem to. I mogę cię zapewnić, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy nie zarejestrowały jej żadne hotelowe kamery.

– Wcale mnie to nie dziwi. Jestem prawie pewna, że to lesbijka. – Kiedy uniósł brwi, wzruszyła ramionami. – Nie dlatego, że nie ma jej na zapisach z kamer. Tylko ponieważ mam kilka jej zdjęć. Wielka uroczystość przyznania nagrody naukowej – towarzyszy jej kobieta. Obiad w Białym Domu – znów kobieta. No i jeszcze wywiad, którego udzieliła ważnemu pismu naukowemu, przyznała się wtedy, że jest lesbijką.

Znów zaczęła chodzić wzdłuż tablicy.

– Te trzy kobiety się znały, znały Edwarda Mirę i przecucie mi mówi, że się porozumiały i go zabiły. Uwzględniając rodzaj tortur, powiedziałabym, że to poważna odpłata. Odpłata za molestowanie seksualne, napaść na tle seksualnym albo gwałt, ponieważ trzy kobiety nie zmówiłyby się, by torturować i zabić żonatego faceta tylko dlatego, że miały z nim romans.

Roarke się odwrócił i przyjrzał się zdjęciom Edwarda Miry. Przystojny mąż stanu. I ofiara morderstwa.

– Uważasz, że były senator Stanów Zjednoczonych był seryjnym gwałcicielem?

– Tak. – Eve wzięła głęboki oddech. – Tak, właśnie tak uważam. Na to mi wygląda. Udowodnienie tego to zupełnie inna para butów.

– Kaloszy, ale mniejsza z tym. Eve, próbując to udowodnić, zapuścisz się na bardzo niebezpieczne wody.

– Umiem dobrze pływać.

– Owszem – zgodził się. – Ale sprawi ci to też cierpienie.

– Nie mogę pozwolić, żeby sprawy osobiste przeszkadzały mi w pracy. Wiesz o tym.

– Tak. – Odstawił puszkę po pepsi i podszedł do Eve.

– Kocham cię.

Odwróciła się.

– Ja ciebie też.

Ujął jej twarz w dłonie, spojrzał jej prosto w oczy.

– Kocham cię.

Serce mocniej jej zabiło, więc też ujęła twarz Roarke'a w obie dłonie.

– Ja też cię kocham i słysząc to, co mi powiedziałaś, wiem, że razem przez to przejdziemy.

– Tak.

– Nawet jeśli skończy się na tym, że będziesz mi wlewał do gardła środek uspokajający.

– Właśnie to ci mówię. – Mocno przycisnął usta do jej czoła.

– Zrobisz to, co należy zrobić, i ja też. Mogę się mylić. Może się okazać, że podążam zupełnie złym tropem, ale tak to widzę.

– Z tego, co mi powiedziałaś, też tak to widzę. Będzie ich więcej. Jeśli masz rację i wymógł seks na tych trzech, będzie takich więcej.

– Tak, będzie ich więcej. Studentki Yale albo kobiety, które jakoś poznał, kiedy studiowały. Między okresem, kiedy MacKensie studiowała w Yale, a Downing na Uniwersytecie Nowojorskim, są trzy lata różnicy. Pięć między pobytami MacKensie i Su w Yale. Więc będą inne. Ale nie widzę tych innych – przynajmniej na razie – na swojej liście. Jego córka...

– Nie sądzę. – Roarke pomyślał, że przynajmniej jeśli o to chodzi, może ją uspokoić. – Nie sądzę, żebyś musiała się tym zajmować. Sprawdziłem ją i jej brata, nie dostrzegłem żadnych oznak czegoś takiego.

– Awansowałam na porucznik policji nowojorskiej i nikt nie widział żadnych oznak.

Przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach Eve.

– Naprawdę wierzysz w to, że Mira nic nie widziała, nie zorientowała się?

Musiła pochodzić, więc wsunęła ręce do kieszeni i zaczęła krążyć po gabinecie.

– Masz rację. Prawdopodobnie wszystko wiedziała, zanim dojrzałam do tego, by z nią o tym porozmawiać. Jednak...

– Nie znałaś jej, kiedy to się działo. Nie miałaś nikogo. Gwendolyn Sykes miała brata, Mirów. Wszystko, co o nich znalazłem, świadczy, że ich dzieciństwo było trudne, pozbawione miłości rodzicielskiej, ale mogli się zwrócić do Charlotte i Dennisa Mirów, kiedy tylko tego potrzebowali. I teraz wiodą szczęśliwe życie. Mira dostrzegłaby oznaki, że dzieje się coś złego, Eve.

– Masz rację. Masz rację. – Chociaż wcześniej czy później będzie musiała otwarcie o to spytać. – To zawsze coś. Państwu Mirom i bez tego będzie ciężko.

– Jesteśmy z nimi. Damy im wszystko, czego tylko będą potrzebowali. Teraz już późno,

a ty musisz jutro ponownie je przesłuchać, mając to wszystko na uwadze. I uwzględniając to, jak się może rozwinąć śledztwo, oboje powinniśmy się przespać, kiedy mamy okazję.

– Ty i tak prawie wcale nie sypiasz. – Eve nie przestawała krążyć po gabinecie. – Nie chcę, żebyś się o mnie martwił, zanim jest powód, żeby się martwić. Poradzę sobie z tym, co było, Roarke, tak samo jak poradzę sobie z... – Przystanęła obok biurka, przesunęła po nim dłoń. – Z tym, co było.

Już się z tym uporała, przypomniała sama sobie. I nie potrzebuje repliki tego, co kiedyś miała. Nie, kiedy cieszy się tym, co ma teraz.

Rzuciła Roarke'owi podejrzliwe spojrzenie.

– Naprawdę chcesz się pozbyć tego biurka?

– Ty o tym zadecydujesz.

Pokręciła głową, machnęła ręką.

– Chcę poznać twoje zdanie. Chcesz się go pozbyć?

– Ze względów estetycznych i biorąc pod uwagę wydajność pracy... Chryste, tak. To żalosna namiastka biurka.

– Aha. Musisz czuć do mnie wielką słabość, skoro pozwoliłeś, żeby tu stało przez prawie trzy lata, raziło twoje poczucie estetyki i stanowiło wyzwanie dla twojego zamiłowania do wydajnej pracy. Jego dni prawdopodobnie są policzone, więc... Więc powinniśmy je hucznie pożegnać, uprawiając na nim seks.

Usiadła na biurku i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– Chodź no tutaj, kolego, i przeleć mnie na tej żalostnej namiastce biurka.

Roarke się roześmiał.

– Nigdy nie wiem, jaką dziwną ścieżką podążą twoje myśli. Ale nigdy nie jestem rozczarowany.

Tu nie chodziło o to okropne biurko, pomyślał, chociaż może częściowo tak – ale o udowodnienie im obojgu, że może stawić czoło wszelkiej brzydocie, z którą się zetknie. Będzie znosiła koszmary senne, lęki, okropne wspomnienia, żeby robić to, co przysięgła, że będzie robić.

Więc podszedł do niej i chociaż patrzyła na niego wyzywająco, znów ujął jej twarz. Myśląc o koszmarach nocnych, lękach i wspomnieniach, delikatnie pocałował Eve prosto w usta.

Żeby się nią napawać.

W odpowiedzi złapała go za włosy, przyciągnęła do siebie.

– Aha. To ma być seks na biurku. A to znaczy, że może trochę boleć. – Mówiąc to, ugryzła go.

Potem go odepchnęła, celowo brutalnie, żeby móc zdjąć bluzę.

– Pokaż, na co cię stać.

– Na co mnie stać?

– Tak. I więcej.

– A kiedy powiesz, że już nie możesz więcej, pamiętaj, że sama o to prosiłaś.

– Och, spokojna głowa. Przekonajmy się, czy ty dasz radę, kiedy...

Wsunął dłoń między nogi Eve, wepchnął palce do środka, aż dech jej zaparło. Nim zdołała znów nabrać powietrza, wolną ręką złapał ją za kark i przytrzymał, kiedy zaczęła ją

namiętnie całować.

Gryzł ją, nie dając jej złapać tchu. Jego brutalność tylko ją podnieciła. Eve oplótła go nogami, przycisnęła go do siebie z całych sił, i poruszała się rytmicznie, czując w sobie jego palce, co doprowadzało ją do szaleństwa.

– We mnie. Powinieneś być we mnie.

– Jeszcze nie. Sama tego chciałaś – przypomniał jej i złapał jej sutek dwoma palcami. Lekkie uszczypnięcia i gwałtowne ruchy rozpały ją.

Zacisnęła nogi wokół niego tak, że kiedy osiągnęła orgazm, poczuł się jak w imadle, ale nie przestawał jej pieścić.

Nawet kiedy jęczała z rozkoszy, nadal ją pieścił.

Własny oddech palił jej płuca, kiedy całymi garściami czerpała rozkosz. Złapała poły jego marynarki trzęsącymi się z pożądania dłońmi.

– Zdejmij to, zdejmij to.

Rozerwała mu koszulę, aż guziki prysnęły na wszystkie strony. W końcu poczuła pod dłońmi jego nagą skórę. Był gorący, muskularny, należał tylko do niej. Objęła go ramionami, wpiła się palcami w jego ciało, drapiąc go paznokciami.

– Teraz. Już. Teraz.

Ale powiedział „Jeszcze nie”.

Coś spadło na podłogę, kiedy pchnął Eve na biurko. Wymachując rękami strąciła dyskietki.

I zaczął się upajać jej piersiami, ściągając jej jednocześnie bawełniane figi. Starła się sięgnąć do paska jego spodni, rozpiąć go, żeby poczuć jego nabrzmiąły penis.

Drżała, kiedy przesuwał językiem po jej ciele.

Cały świat przestał dla nich istnieć, zawładnęło nimi pragnienie równie gwałtowne, jak wtedy, kiedy dopiero co się poznali, głód, który pojawiał się z nową intensywnością, gdy tylko go zaspokoili.

Złapała jego biodra. Powiedziała jego imię, tylko imię, zobaczyła jego oczy, szalone i niebieskie.

W końcu, w końcu w nią wniknął. Brutalnie i szybko, aż oboje stracili resztki kontroli nad sobą. Zawładnęło nimi szaleństwo i pożądanie, a cały świat przestał się liczyć.

Eve dziwiła się, że serce nie wyskoczyło jej z piersi. Jego szalone uderzenia rozbrzmiewały w jej uszach jak wstrząsy wtórne – bo ten seks przypominał trzęsienie ziemi.

Potem leżeli przez chwilę jak ledwo przytomne ofiary kataklizmu. Eve pomyślała przelotnie o biurku.

Chyba nie jest takie najgorsze, skoro utrzymało ich ciężar.

– Może leżę na aktach śledztwa w sprawie morderstwa. To nie w porządku. To brak szacunku.

– Nie leżysz na nich. – Wtulił twarz w jej piersi. – Spadły na podłogę. Pozbieramy je. Jezu Chryste, nie mogę złapać tchu.

– Jak go złapiesz, sprawdź, czy mojego nie ma z twoim.

Udało mu się podnieść głowę i spojrzeć na Eve tymi szalonymi oczami, teraz trochę nieprzytomnymi. A jej udało się podnieść rękę i odgarnąć włosy z jego twarzy.

– Czyli... To wszystko, na co cię stać?

Pozostanie tajemnicą, jak – biorąc pod uwagę ich obecny stan i pozycję – udało mu się uszczypnąć Eve w pośladek na tyle mocno, że aż krzyknęła.

– Tylko zapytałam. Chyba widziałam Panią Bóg. Uśmiechała się.

– Cóż, stworzyła nas takimi, żebyśmy pasowali do siebie, prawda?

– Tak.

– I pasujemy. – Pocałował ją między piersiami, ale skrzywił się lekko, kiedy wstawał. – Chyba trochę bolało.

Roześmiała się i syknęła, siadając.

– Chyba tak. Zrzuciliśmy na podłogę nie tylko akta spraw – zauważyła. – Jeszcze dzbanek z kawą. Ale był prawie pusty. Czy mógłbyś nosić mniej ubrań? Porwałam ci koszulę, a przynajmniej odpadły od niej guziki. Kosztowała chyba więcej niż to przeklęte biurko.

– Gdybym wiedział, że dziś wieczorem mamy w planie seks na biurku, włożyłbym na siebie mniej ubrań.

– Jeśli zgodzę się na to centrum dowodzenia, nie wykluczam, że regularnie może się przemieniać w centrum dowodzenia seksem. Więc ubieraj się odpowiednio.

Roarke, śmiejąc się, podniósł swoją szaroniebieską koszulę, obejrzał ją dokładnie.

– Cóż, chyba już się nie nadaje do noszenia. Ale zapłaciliśmy niewielką cenę za to, co nasze.

Eve wzięła ją od niego i włożyła. Wciągnęła jego zapach.

– Nie mogę naga zbierać akt spraw. Musimy wszystko podnieść z podłogi.

– A ja mogę – powiedział i pomógł jej je pozbierać, zabrał porozrzucone ubrania. – Rano wszystko poukładasz.

– Chyba tak. Może powinniśmy potraktować to biurko jak eksponat wystawowy. Opatrzeć go odpowiednią tabliczką.

– „Dallas i Roarke kochali się na nim”?

– Nie, chociaż można by w jakimś mało widocznym miejscu umieścić napis takiej treści. Ale myślałam o czymś w rodzaju: „Dobrze nam służyło”.

– Odnosisz się do tego mebla z osobliwym sentymentem.

– Teraz tak. Muszę włożyć spodnie.

– Po co? Idziemy prosto do łóżka.

– Ale gdzieś po drodze może się czaić Summerset.

– Zapewniam cię, że o tej porze jest w swoim pokoju.

– Może leży w swojej trumnie, może nie, ale nie przejdę do sypialni, mając na sobie tylko twoją porwaną koszulę.

– Pojedziemy windą – zaproponował Roarke, rozwiązując problem. Wezwał windę. – Czyli o co prosiłaś? O wszystko, na co mnie stać i więcej?

– I to dostałam.

– Jeszcze nie. Na razie tylko tyle, na ile mnie stać. – Wziął od niej naręczce ubrań i rzucił na podłogę. – Teraz pora na więcej.

– Chyba nie...

Przyparł ją do ściany kabiny i posiadł. Szybko i ostro.

Kiedy skończył, bardzo z siebie zadowolony, Eve zaczęła się osuwać na podłogę,

zupełnie bezwładna.

Przytrzymał ją, nacisnął guzik. A kiedy drzwi windy się rozsunęły, zaniósł ją do łóżka.

– Znasz to powiedzenie. – Objął Eve. – Uważaj, o co prosisz.

– Nie uważałam – wymamrotała i natychmiast zapadła w mocny, błogi sen kogoś kompletnie wyczerpanego i do cna wykorzystanego.

Nagle usiadła gwałtownie na łóżku.

– Jezu Chryste, ubrania! Zostały w windzie.

– Zajmiemy się nimi rano.

– Ale on je zobaczy! Wszystkie te skotłowane rzeczy, pachnące seksem. Przynieś je!

– Winda wciąż jest na tym piętrze, jeśli tak cię to niepokoi.

Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do windy i złapała ubrania, gdy tylko drzwi się otworzyły. I niemal drżąc z ulgi, rzuciła je na krzesło.

Potem dowlokła się do łóżka, westchnęła, a po chwili już spała.

Widocznie, uznał Roarke, uważała to za dopuszczalne, iż przesiąknięte zapachem seksu ubrania zostaną zabrane z krzesła w sypialni.

Jak niezgłębiony jest jej umysł, pomyślał i usnął.

Sen złapał ją w swoje ostre szpony. Nawet wiedząc, że śni, nie mogła się od nich uwolnić, trzymały ją mocno.

Znalazła się w gabinecie w domu przy Spring Street.

Edward Mira siedział w fotelu przed biurkiem w jednym ze swoich senatorskich garniturów, lśniące, czarne włosy miał szesane do tyłu z kamiennej twarzy.

– Nie żyję – powiedział.

– Wiem o tym.

– Ale uważasz moich zabójców za ofiary.

– Przypuszczam, że to zrobiłeś. Senatorze Mira, czy pan je zgwałcił?

Wychylił się i uderzył pięścią w biurko.

– Nie żyję. Twoim obowiązkiem jest reprezentować mnie! A zamierzasz zniszczyć mi opinię, zaprzepaścić moją spuściznę? W taki sposób bronisz zmarłych?

– Zrobię, co do mnie należy. Postaram się odszukać i aresztować osobę bądź osoby, które pana zabiły. Nawet, jeśli robiąc to, zszargam pańską opinię.

– Postarasz się? – Uśmiechnął się do niej szyderczo. – Postarasz się przedstawić mnie jako potwora, żeby ci, którzy odebrali mi życie, mogli być głaskani i tuleni.

– Postaram się ustalić prawdę, cokolwiek to znaczy.

– Prawdę? – Znów uderzył w biurko, ale tym razem młotkiem, który trzymał w ręce. – Znam prawdę. Wiem, kim jesteś, co zrobiłaś. Jesteś taka sama, jak one.

Znów uderzył w biurko i nagle znaleźli się w pokoju w Dallas, za którego oknem mrugał czerwony neon.

– Nie. Nie. – Cofnęła się, czując, jak wpada w panikę, oślizgła jak wąż. – Zamknęłam ten rozdział. Już tu nie wracam. To już dla mnie nie istnieje.

– Nigdy tego nie wymażesz. – Senator, w czarnej todze, siedział na podwyższeniu dla sędziów. – Morderczyni!

Znów rozległo się stuknięcie młotka i ujrzała siebie, przerażoną dziewczynkę, jaką wtedy

była, szarpiając się z Richardem Troyem, błagającą go, żeby ją puścił. Szamotała się z gwałcącym ją ojcem.

Usłyszała swój głośny krzyk, poczuła ból, usłyszała trzask kości, kiedy złamał jej rękę.

Przepełniły ją przerażenie i nadzieja, kiedy zacisnęła małe palce na nożyku.

– Winna! – zagrzmiał sędzia, gdy zdesperowana dziewczynka wbiła nóż w ciało swojego dręczyciela. – Winna, winna, winna!

Zadawała jeden cios po drugim. Z jej gardła wydobywały się nieludzkie dźwięki, krew, ciepła krew tryskała na jej dłonie.

– Masz krew na rękach. Jesteś winna. Zabójczyni. Tak jak one.

– Zabić sukę! – Richard Troy gapił się na nią szklanymi oczami, z ust leciała mu krew. – Dać jej to, na co zasłużyła.

Jeszcze raz rozległo się stuknięcie młotka i znalazła się na miejscu zbrodni. Miała pętlę na szyi, szarpała stryczek wymazanymi krwią rękami, ale lina tylko mocniej się zaciskała, kiedy dźwignia mechanizmu z cichym zgrzytem podnosiła żyrandol coraz wyżej.

– Teraz – powiedział senator – sprawiedliwości stało się zadość...

– Obudź się! Eve, obudź się, do jasnej cholery, i oddychaj!

W końcu dotarły do niej słowa Roarke'a; poczuła, jak nią gwałtownie potrząsał. Wciągnęła powietrze w płuca, wciąż czując pętlę na szyi.

– To tylko sen. Sen. Słyszysz mnie? Obudź się!

– Nic mi nie jest. Nic mi nie jest.

– Nieprawda, ale nic ci nie będzie. Spójrz na mnie.

Wciąż dygotała, lecz zmusiła się, żeby popatrzeć mu w oczy. Złość, tak, dostrzegła w nich złość i desperację, którą aż nadto dobrze rozumiała.

– Nic mi nie jest. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, bo mnie to wkurza. – Złapał narzutę, leżącą w nogach łóżka, owinął w nią Eve, masował jej plecy i ramiona, a kot trącał ją łebkiem w biodro. – Jesteś zziębnięta.

Po chwili objął ją i przytulił.

– Przysięgam, że na chwilę przestałaś oddychać. Naprawdę. Weźmiesz środek uspokajający.

– Nie...

– Nie spieraj się, weźmiesz lekarstwo. I ja też.

Nic nie powiedziała, kiedy wstał, ale usiadła i dygocząc pod kaszmirową narzutą, zaczęła głaskać kota. Próbowali ją obudzić, pomyślała, jej mąż i kot, lecz zbyt mocno spała.

Roarke najpierw rozpałił ogień w kominku, żeby w pokoju zrobiło się widniej i cieplej, a potem podszedł do autokucharza.

– Musisz wziąć środek uspokajający – powiedział bardziej opanowanym głosem. – Nie miałaś tak silnego koszmaru już jakiś czas.

– Środek uspokajający dla wszystkich. – Starła się, żeby jej głos brzmiał normalnie. – Może i dla kota.

– Ma swój własny środek uspokajający. – Roarke podszedł do łóżka, trzymając dwie szklanki. Wręczył jej jedną i pogłaskał wiernego Galahada. – Teraz nic mu nie jest, ale

śmiem twierdzić, że był prawie tak poruszony, jak ja. Wypij to.

Wypiła trochę i westchnęła.

– Czekoladowy.

– Znam swoją policjantkę.

Eve poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Wtuliła twarz w ramię Roarke'a.

– Nie mogłam się obudzić. Wiedziałam, że to sen, ale nie mogłam się obudzić.

– Teraz jesteś już bezpieczna. – Pocałował ją w czubek głowy. – Wypij do końca. Wypij do końca i opowiedz mi swój sen.

Zrobiła, o co ją poprosił, i kiedy skończyła, a on odstawił na bok puste szklanki, przytulił ją mocno.

– Wiem, że to nieprawda, to, co powiedział... Co powiedziała moja podświadomość. Ale...

– Nie ma tu żadnego ale. Byłaś niewinnym dzieckiem, broniącym własnego życia przed potworem. A to dorosłe kobiety, które zabiły z wyrachowaniem.

Tak, tak, tak mówiła logika. Miał rację. Ale...

– Motyw jest oczywisty. Jeśli mam rację, zszargam jego opinię.

– Jeśli masz rację, jego dobra opinia to kłamstwo. A tobie chodzi o prawdę, czyż nie?

– Tak. Jeśli mam rację... Jesteś po ich stronie.

Pocałował ją w oba policzki, a potem przyciągnął do siebie, żeby mogła się w niego wtulić, poczuć bijące od niego ciepło.

– Na niektóre sprawy patrzemy inaczej, ale jak lubisz mi przypominać, to ty nosisz odznakę. Zrobisz, co do ciebie należy, moja pani porucznik. A ja ci pomogę, jak tylko zdołam, ustalić prawdę. I na tym kończy się nasza rola, prawda?

– Prawda.

Kot ułożył się tuż obok jej karku, więc z obu stron była bezpieczna. Znów zaszczypały ją oczy od łez, więc zacisnęła powieki. A kiedy środek uspokajający zaczął działać, usnęła.

Roarke leżał, tuląc ją, nasłuchując jej oddechu.

11

Zabrzącał pager Eve. Natrętny sygnał ją obudził. Było jeszcze ciemno.

– Niech to jasna cholera! – mruknął Roarke i polecił, żeby światło rozbłysło na dziesięć procent, kiedy Eve gramoliła się z łóżka.

– Baxter – syknęła, patrząc na wyświetlacz. – Wyłączyć wideo – poleciła. – Dallas. I lepiej, żeby to było coś bardzo ważnego.

– Przepraszam, pani porucznik. Akurat byliśmy z Trueheartem w komendzie i mamy kolejnego trupa.

– Nie sądziłam ani przez chwilę, że zadzwoniłeś do mnie o wpół do piątej rano, żeby rozmawiać o rozgrywkach halowego futbolu amerykańskiego.

– Nie, ale jak sobie radzą Metros?

– Baxter, chcesz przez kolejnych sześć miesięcy mieć przechlapane w pracy?

– Nie mogę powiedzieć, że tak. Mamy jednego trupa – powtórzył – ale jestem prawie pewien, że należy do ciebie.

– Dlaczego? Kim jest denat?

– Jonas Bartell Wymann.

– A niby dlaczego jest mój, skoro nawet nie wiem, któż to taki?

– Sześćdziesiąt osiem lat, jakieś dziesięć lat temu był przewodniczącym Rady Doradców Ekonomicznych, kiedyś również głównym ekonomistą w Departamencie Pracy. Odziedziczył majątek, który jeszcze pomnożył. Studiował w Yale, pani porucznik. Na tym samym roku, co senator Mira.

– Kurde. Znacie przyczynę śmierci?

– Poprosiliśmy, żeby zajął się nim Morris, ale denat został skatowany – ma liczne obrażenia twarzy i genitaliów. Dokonano penetracji odbytu jakimś przedmiotem i powieszono faceta nagiego jak pierwszą ofiarę. A na szyi ma wygenerowany komputerowo napis.

– „Sprawiedliwości stało się zadość”?

– Tak.

– Daj mi adres.

– Właściwie był waszym sąsiadem – powiedział Baxter i podał adres, zaledwie dwie przecznice od jej domu.

– Już tam jadę. Oszczędź mi czasu, zawiadom Peabody. Miejsce zbrodni zabezpieczone?

– Jasne. Zaczekamy tu na was.

Rozłączyła się, a Roarke – który już wstał – podał jej kawę.

– Dzięki. Cholera. Wezmę prysznic i jadę tam.

– Weźmiemy prysznic. Jadę z tobą. Nie położę się spać – powiedział, nim Eve zdążyła

się sprzeciwić. – Znałem go.

Wypiła kawę i skierowała się do łazienki.

– Dobrze?

– Nie, trochę. Nie przyjaźniliśmy się, ale mogę powiedzieć, że był świetnym ekonomistą.

– Roarke nie westchnął, a jedynie lekko się skrzywił, kiedy Eve nastawiła temperaturę wody na trzydzieści dziewięć stopni.

Ostatecznie sam tego chciał.

– Z całą pewnością znali się z senatorem Mirą. Czyli mamy teraz dwóch. I o ile dobrze kombinuję, są kolesiami z Yale, przypuszczalnie gwałcicielami. Ale... – Odgarnęła z oczu mokre włosy. – Ten wątek śledztwa może się teraz okazać ślepym zaułkiem i może mamy do czynienia z dwójką psychopatów, torturujących i mordujących szczy.

Przeszła spod prysznicza do suszarki. W głowie miała mnóstwo kłębiących się gorączkowo myśli, kiedy stała owiewana gorącym powietrzem.

Postanowiła odsunąć swe teorie na bok. Lepiej działać na chłodno, nie próbując łączyć obu tych spraw. Obejrzy, zbada, zbierze informacje.

Ubrali się. Kiedy Eve usiadła, żeby włożyć buty, Roarke podał jej na małym talerzyku pasztecik z jajkiem.

– Zjedz. Denat nie ucieknie. Zresztą będziemy tam za kilka minut.

Żeby nie tracić czasu na sprzeczkę, ugryzła pasztecik, a potem spojrzała na Roarke'a spode łba.

– Jest nie tylko z jajkiem.

– Naprawdę? – Z miną niewiniątka spróbował swój. – Chyba masz rację.

Ale i tak go zjadła, a potem napiła się kawy.

– Potrzebne mi rzeczy z gabinetu.

Żeby nie tracić czasu, pojechali na górę windą i zeszli po schodach. Roarke już zdalnie sprowadził jej wóz, stał więc pośród ciemnej zimnej nocy, ogrzewanie też już było włączone.

Pozwoliła Roarke'owi prowadzić, a sama sprawdziła informacje o nowej ofierze.

– Dwukrotnie żonaty, dwukrotnie rozwiedziony, obecnie samotny. Troje dzieci, pięcioro wnuków. Ma dużo literek przy nazwisku. Ukończył Yale z wyróżnieniem, potem trochę tam pracował, a także w Columbii i Oksfordzie. Miał gościnne wykłady w Yale i Columbii. Napisał parę książek ekonomicznych, dużo artykułów. Pracował dla rządu jako doradca przez dwie kadencje wtedy, kiedy senator Mira zasiadał w Kongresie. Z całą pewnością musieli się spotykać.

Nim skończyła czytać informacje o zabitym, Roarke zatrzymał się przed trójkondygnacyjną miejską rezydencją. Parkowały tam dwa radiowozy i odlotowy samochód Baxtera.

Dwóch mundurowych w ciężkich, zimowych kurtkach stało na chodniku, ściskając w rękach kubki. Eve pokazała im odznakę.

– Pani porucznik – odezwał się jeden z nich. – Detektywi są w środku. Powiedzieli, żebyśmy się przygotowali do wypytywania okolicznych mieszkańców, chyba że pani zarządzi inaczej.

– Na razie wstrzymajcie się z tym, póki się nie rozeznam w sytuacji. Kto dotarł tu

pierwszy?

– My. Akurat patrolowaliśmy te okolice, dyspozytor kazał nam tu przyjechać o trzeciej czterdzieści dwie. Byliśmy na miejscu po dwóch minutach. Policję zawiadomił wnuk ofiary.

– Czy wnuk tu mieszka?

– Nie, ale zna hasło do drzwi wejściowych. Powiedział, że od czasu do czasu tu nocuje.

– Rozumiem. Zaczekajcie.

Gliniarz musiał na nich czekać koło drzwi, bo otworzył, jak tylko zaczęli wchodzić po stopniach.

– Pani porucznik – powiedział i się odsunął.

Zostawili Wymanna powieszzonego. Oczy wyszły mu na wierzch, twarz miał spuchniętą i posiniaczoną. Kołysał się lekko na linie, przyczepionej do kilku różnobarwnych, powyginanych rurek konstrukcji, służącej jako oświetlenie holu. Na szyi, tułowiu i nogach widać było cienkie strużki zaschniętej krwi.

Baxter stał tak jak Eve, z zadartą głową.

– Jest twój.

– Tak.

– Ja z moim kompanem, świeżo upieczonym detektywem, chcemy, żebyś nas włączyła do tego śledztwa.

– Zgoda. Gdzie wnuk?

– Jonas Wymann Baker siedzi w kuchni razem z mundurowym i domowym droidem. Jest roztrzęsiony.

– Rozmawialiście z nim?

– Nie. Funkcjonariusze, którzy pierwsi tu przybyli, wy pytali go o podstawowe rzeczy. Wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, że nieboszczyk jest twój, więc tylko zabezpieczyliśmy miejsce przestępstwa, zaprowadziliśmy świadka do kuchni i zadzwoniliśmy do ciebie.

– Peabody już jest w drodze, pani porucznik – poinformował ją Trueheart.

– No dobrze, zabezpiecz się – powiedziała Roarke’owi – i zdejmijmy go ze stryczka. Gdzie jest to coś do opuszczania tych rurek?

Roarke znalazł mechanizm i kiedy skinęła głową, opuścił konstrukcję i powieszono na niej zwłoki.

– Detektywie Trueheart, sprawdźcie tożsamość ofiary.

Przyklękła razem z nim, wyjęła mierniki, żeby ustalić godzinę zgonu, kiedy Baxter i Roarke o czymś gawędzili.

– Śmierć nastąpiła o trzeciej jedenaście. Pod dziewięćset jedenaście zadzwoniono jakieś trzydzieści minut później. Mało brakowało, a wnuk by się natknął na sprawców. Obrażenia twarzy, wygląda na to, że ma złamaną szczękę, na przegubach rąk ślady otarć, obrażenia genitaliów, ślady penetracji odbytnicy. Wszystkie obrażenia identyczne jak u senatora Miry. Zabezpiecz mu ręce torebkami – poleciła. – Linę i kartkę z napisem umieść w torbach na dowody do zbadania w laboratorium.

– Tożsamość potwierdzona. Niejaki Jonas Bartell Wymann, zameldowany pod tym adresem.

Eve włożyła mikrogogle i podeszła bliżej.

– Zdzielili go też w nos. Z pewnością pałką. Alarm w domu?

– Brakuje twardego dysku i dyskietek – odezwał się Baxter. – Nie zauważyłem śladów włamania. Z tego, co mundurowym powiedział świadek, przez cały wieczór nie mógł się dodzwonić do dziadka.

– Porozmawiajmy z nim. – Rzuciła spojrzenie Baxterowi i się wyprostowała. – Chodź ze mną, Trueheart. Baxter, wezwij techników i ekipę z kostnicy. Przekonajmy się, co nam powie Morris. I niech przyjedzie ktoś z komputerowców, obejrzy sprzęt elektroniczny.

– Hm – chrząknął Trueheart, kiedy za nią ruszył.

– Mówcie, detektywie.

– Razem z Baxterem obeszlśmy dom. Nie widzieliśmy żadnych śladów walki, nic nie świadczy, że ktoś spał w którymś z łóżek. Są dwa domowe droidy, pani porucznik, ale ponieważ zorientowaliśmy się, że to pani śledztwo, nie przełączyliśmy ich z trybu snu.

– Zajmiemy się nimi. Wielki dom – zauważyła.

– Tak, pani porucznik. Aha... – Odchrząknął. – W garderobie przy głównej sypialni jest coś, co wygląda na seks-droida.

– Naprawdę? Skąd wiecie, że to seks-droid?

Trueheart zaczerwienił się jak panienka.

– No więc Baxter wspomniał, że widział ten model wcześniej, i że stworzono go właśnie w tym celu.

– Aha – mruknęła i weszła do srebrno-czarnej kuchni tak błyszczącej, że aż zabolą ją oczy.

Jakiś mężczyzna siedział przy szklanym, kwadratowym stoliku na srebrnym podwyższeniu. Twarz ukrył w dłoniach, stała przed nim filiżanka.

Kiedy Eve weszła, uniósł wzrok. Miał urodziwą twarz, jak poeta, teraz bladą na skutek szoku i smutku. Stwierdziła, że jest młody, oceniła, że ledwo osiągnął pełnoletność.

– Czy pani tym kieruje? – Głos miał jak dzwon – głęboki, czysty, dźwięczny.

– Porucznik Dallas. Tak, ja kieruję tym śledztwem. A to detektyw Trueheart. Przykro mi z powodu poniesionej przez pana straty, panie Baker.

– Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Ktoś zabił dziadka. Nie rozumiem.

Eve spojrzała na funkcjonariuszkę w mundurze, odprawiła ją, a potem usiadła naprzeciwko Bakera. Rzuciła spojrzenie Trueheartowi i młody detektyw też usiadł.

– To trudne. Może na początek wyjaśni nam pan, dlaczego pan tu jest. Nie mieszka pan u dziadka.

– Nie, już tu nie mieszkam. Mieszkałem przez jakiś czas, kiedy zaczynałem w Nowym Jorku. Teraz czasami tu nocuję. Na ogół dziadek jest sam, więc czasami u niego nocuję.

– O której godzinie dotarł pan tu dziś wieczorem?

– Było późno... A raczej bardzo wcześnie. Wpół do czwartej albo coś koło tego.

– Czy zwykle przychodzi pan tu nad ranem?

– Nie. Nie. Nie przyszedł na premierę, a zawsze... Pomyślałem, że może zapomniał albo był zajęty. Nawet byłem trochę zły, bo pierwszy raz... – Urwał i przycisnął palce do oczu, złotobrazowych, z czerwonymi obwódkami.

– *Whatever Works.*

Baker opuścił ręce, słysząc słowa, wypowiedziane przez Truehearta.

– Było dość głośno o tym przedstawieniu – ciągnął Trueheart. – Właśnie sobie skojarzyłem, Jonas W. Baker, gra pan główną rolę. Zamierzałem wybrać się na ten spektakl z moją dziewczyną. Wczoraj wieczorem była premiera?

– Tak. Premiera komedii muzycznej – zwrócił się do Eve. – Gram głównego bohatera. Po raz pierwszy dostałem główną rolę. Moja matka jest w Australii, a ojciec... Cóż, nawet gdyby był w kraju, prawdopodobnie nie przyszedłby. Ale moi dziadkowie zawsze przychodzili.

– Dziadkowie? – powtórzyła za nim Eve.

– Tak, kilka lat temu się rozwiedli, jednak na moich sztukach pojawiają się razem. Lecz wczoraj babcia utknęła w Chicago, odwołano jej lot z powodu śnieżycy. Chciałem powiedzieć, że zawsze, kiedy gram, są obecni na premierze. Za każdym razem siedzą pośrodku pierwszego rzędu. Dziadek poparł mnie, kiedy chciałem studiować aktorstwo, a nie prawo, medycynę, nauki polityczne czy co tam moi rodzice uznali za stosowne. Poparł mnie, pomagał mi i pozwolił, żebym tutaj mieszkał, kiedy zaczynałem karierę.

Podniósł stojącą przed nim filiżankę, ale zaraz odstawił ją i odsunął od siebie.

– Zawsze był na premierze, więc kiedy się nie pojawił, pomyślałem, że się spóźni. Nie mogłem sobie zaprzętać tym głowy, musiałem się skupić na grze. Chyba odnieśliśmy sukces.

– Musiał pan być zły, że go nie było w teatrze. To dla pana ważny wieczór – stwierdził Trueheart.

– Najważniejszy jak do tej pory.

– Domyślałam się, że nie miał pan czasu, żeby do niego zadzwonić.

– Prawdę mówiąc, dzwoniłem. Zostawiłem parę wiadomości w poczcie głosowej. Ostatnia, podczas antraktu, była dość opryskliwa. Boże! A kiedy przedstawienie się zakończyło – kurtyna sześć razy szła w górę, dostaliśmy owację na stojąco... Co zrobiłem? Obraziłem się na niego.

– Chciał pan dzielić z nim te chwile – powiedział Trueheart.

– Mam dziewczynę, była ze mną. Ale... Na obecności dziadka najbardziej mi zależało. Chciałem, by zobaczył, że cała ta wiara we mnie i wsparcie nie poszły na marne.

– Chciał pan, żeby dziadek był z pana dumny.

– Bardziej niż czegokolwiek. Więc kiedy się nie pojawił, nie zadzwonił i nawet nie przysłał wiadomości, pomyślałem sobie: no cóż, trudno. I poszedłem na przyjęcie po premierze. Wypiłem morze szampana, pławiłem się w blasku sławy, szczególnie jak zaczęły się pojawiać pierwsze recenzje. Megagwiazda – to niby ja – w megaprzeboju. Zawładnąłem sceną. Tak, pławiłem się w blasku sławy. Wszyscy byliśmy podekscytowani, nie chcieliśmy się rozstać. Mieliśmy pójść gdzieś coś zjeść, ale nie mogłem tak tego zostawić, nie mogłem nie sprawdzić, dlaczego dziadek nie przyszedł. Więc powiedziałem znajomym, że do nich dołączę, ale najpierw muszę coś załatwić.

Wziął głęboki oddech.

– Wiem, że dochodziła trzecia. Ale nie dawało mi to spokoju. Był tam mój nauczyciel śpiewu, moja była dziewczyna, moja obecna dziewczyna, aktorzy, z którymi występowałam w teatrach off-Broadway, przyjaciele ze szkoły Julliarda, byli wszyscy. Tylko

najważniejsza osoba nie przyszła. I nie dawało mi to spokoju, ponieważ nie wiedziałem, dlaczego dziadek się nie pojawił. W końcu doszedłem do wniosku, że coś się musiało stać. Może się pochorował albo miał wypadek. Więc przyszedłem tutaj, spodziewając się, że zastanę go chorego w łóżku, albo leżącego na podłodze, bo zasnął – chociaż jest zdrowy i naprawdę sprawny. Otworzyłem drzwi i... Boże. Boże, Boże, Boże...

Eve dała mu minutkę. Objął się mocno ramionami i zaczął się kołysać, łzy płynęły mu po twarzy.

– Panie Baker...

– Jonas. Proszę do mnie mówić po imieniu. Dostałem imię po nim.

– Jonasie, czy alarm był włączony?

– Czy był włączony? Ach, tak. Tak, musiałem wczytać kartę, wstukać szyfr. Wszedłem i go zobaczyłem. Pomyślałem sobie, że to się nie dzieje naprawdę. To się nie może dziać naprawdę. Zawołałem go, naprawdę zawołałem, jakby to mogło coś zmienić.

Zabrakło mu tchu, głos mu się załamał.

– W porządku, Jonasie. – Głos Truehearta był delikatny jak pieszczota matki. – Nie ma pośpiechu.

– Po prostu... Nie wiedziałem, co robić. Wydawało mi się, że stałem tak całą wieczność, nic nie robiąc. Powtarzałem sobie, że to się nie dzieje naprawdę i tylko stałem. Potem, nie wiem, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że mam w dłoni telefon. Nie pamiętam, kiedy go wyjąłem z kieszeni. Nie pamiętam tego. Zadzwoiłem pod dziewięćset jedenaście, a dyspozytor powiedział mi, żebym zachował spokój, oddychał, że zaraz nadejdzie pomoc. I wkrótce przyjechała policja. Miałem wrażenie, że oglądam film w zwolnionym tempie, ale muszę przyznać, że szybko się pojawili. Jak to możliwe? Nie wiem, co teraz dla niego zrobić. On zawsze wiedział, co dla mnie zrobić.

– Zrobił pan to, co należało – zapewnił go Trueheart. – Zrobił pan to, co dla niego najlepsze. Wezwał pan pomoc.

– Oni... Ktoś odebrał mu życie. I godność. Dlaczego?

– Naszym obowiązkiem jest ustalenie tego. – Trueheart mówił spokojnie, Eve – rzeczowo:

– Kiedy pan ostatni raz z nim rozmawiał?

– Wczoraj. Wczesnym popołudniem. Zadzwoiłem, żeby mu przypomnieć, że bilet dla niego jest w kasie. Czułem, że był czymś zdenerwowany. Zginął jego stary przyjaciel Edward Mira. Zamordowano go. Dziadek nie znał szczegółów, ale...

Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Jezu. Najpierw senator Mira, teraz mój dziadek. Czy to to samo? Czy zrobiła to ta sama osoba?

– Znał pan senatora Mirę?

– Jasne. Znali się z dziadkiem od lat... Od czasów studenckich. Ich przyjaźń przetrwała. Pani...

– Porucznik. Porucznik Dallas.

– Pani porucznik, czy to to samo? Czy ten sam człowiek zabił ich obu?

– Sprawdzamy wszystkie wątki. – Eve zawahała się na moment. Nie był w to zamieszany, pomyślała. A jeśli nawet był, już wiedział. – Jest wystarczająco dużo analogii, by uznać, że

ci sami sprawcy dokonali obu zabójstw.

– Ale to... Szaleństwo.

– Niemniej jednak. Kiedy rozmawiał pan z dziadkiem, czy powiedział, co sądzi na temat zabójstwa senatora?

– Nie znał szczegółów. Ja w ogóle nie oglądałem telewizji. Przygotowywałem się do premiery, więc o niczym nie słyszałem. Powiedział mi, że wygląda na to, że ktoś porwał senatora Mirę i go zabił. Był wstrząśnięty. Jak wspominałem, znali się od lat. Nigdy o tym nie pomyślałem, przynajmniej nie wtedy, kiedy nie zjawił się na premierze. Nie pomyślałem też, że jest pogrążony w żalu. Gdybym nie skupił się wyłącznie na sobie, domyśliłbym się tego. Zostawiłem go samego. Mało brakowało, a nie przyszedłbym tu dziś rano. Nie wiem, co byłoby gorsze.

– Jest, jak jest. Ale dzięki temu, że pan tu przyszedł, możemy szybciej zacząć zbierać informacje. Czy zna pan kogoś, kto żywił urazę do pańskiego dziadka? Albo do niego i senatora Miry?

– Właściwie to nie. – Jonas usiadł prosto. Przesunął dłońmi po twarzy, więc już nie był taki blady. – Obaj byli politykami, a politycy mają wielu wrogów. Do diabła, kto nie ma wrogów? Nie wszystkim podobały się opinie dziadka w kwestiach ekonomicznych, ale nie zabija się nikogo z takiego powodu. Powiedziałbym, że nie wszystkim podobały się również poglądy senatora Miry, nie byłem jego zwolennikiem, ale, Jezu...

– Nie lubił go pan.

– Nie darzyłem go jakąś szczególną antypatią. Po prostu uważałem go za zarozumiałego drania. – Wzruszył ramionami. – Był kolegą mojego dziadka ze studiów, więc traktowałem go ulgowo. Muszę powiadomić matkę. Jezu. I babcie. Muszę powiadomić moją babcie.

Znów ukrył twarz w dłoniach.

– I brata. Moja przyrodnia siostra jest z mamą w Australii, a Gavin studiuje prawo.

– Na Yale.

Jonas uśmiechnął się lekko.

– Tak, rodzinna tradycja. Ja się wyłamam. Uczyłem się w szkole Julliarda i nigdy tego nie żałowałem. Muszę ich powiadomić. I mojego wujka, brata matki. Co mam im powiedzieć?

– Jeśli pan chce, mogę ich powiadomić w pana imieniu.

– Pewnie, że wolałbym, ale sam muszę to zrobić. To ja muszę im powiedzieć. Nie powinni usłyszeć o tym od obcej osoby. Nie zobaczą go w takim stanie, prawda? Nie chcę, żeby oglądali go w takim stanie.

– Nie, lekarz sądowy się nim zajmie, zwróci mu godność. Może pan wraz ze swoimi bliskimi skontaktować się z doktorem Morrisem z kostnicy i spytać, kiedy będziecie mogli zobaczyć dziadka, kiedy możecie zacząć przygotowania do pogrzebu.

– Dobrze. Dobrze. – Utkwił w niej wzrok. – Chcę im powiedzieć, chcę usłyszeć, że znajdzie pani tych, którzy go zabili, ustali pani, dlaczego to zrobili, i wsadzi ich pani do więzienia. Czy mogę?

– Mogę zapewnić, że moim głównym obowiązkiem jest odszukanie sprawców i ustalenie, dlaczego to zrobili. A bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki.

– To dobra odpowiedź.

– Muszę panu zadać jeszcze kilka pytań, a potem będzie pan mógł zadzwonić do swoich krewnych.

Zakończywszy rozmowę z Jonasem, Eve zwróciła się cicho do Truehearta:

– Dobrze zrobiliście, uspokajając go. Nie każdy to umie.

– Wiedziałem, kim jest. Nie pamiętałem, że wczoraj była premiera, ale o przedstawieniu dużo się mówiło i widziałem go na kilku plakatach. Prawdopodobnie jest dobrym aktorem, ale...

– Jest na samym końcu listy podejrzanych. Jeśli to przed nami odegrał, zasłużył sobie na Oscara.

– Występujący na Broadwayu dostają nagrodę Tony'ego.

– Wszystko jedno – odrzekła Eve, czym rozśmieszyła Truehearta.

Zastała Peabody z Baxterem. Ekipa z kostnicy właśnie zabierała worek ze zwłokami, technicy już kręcili się po domu.

– Nie jest w to zamieszany – powiedziała od razu. – Ale go sprawdzimy. Trueheart, przepytaj osoby, których nazwiska nam podał, te, z którymi był do trzeciej nad ranem. I tych, z którymi był, kiedy porwano senatora i kiedy go zamordowano. Chcę skreślić Bakera z listy.

– Przyjechałam z McNabem – powiedziała jej Peabody. – Razem z Roarkiem zajęli się sprzętem elektronicznym. Roarke już obejrzał drzwi wejściowe. Żadnych śladów włamania. Zgodnie z opinią eksperta, ten, kto go tu przyniósł, posłużył się kartą, szyfrem.

– Mogli posłużyć się kartą Wymanna bez względu na to, czy załatwili go tutaj, czy gdzie indziej.

– Przeszliśmy się po mieszkaniu. – Baxter jeszcze raz się rozejrzał. – Nie ma nic, co by świadczyło, że ofiarę związano i katowano tutaj.

– Może posprzątali. – Sama też się przeszła po domu, trzymając ręce w kieszeniach. – Bardziej prawdopodobne, że zabrali go tam, gdzie poprzednio senatora. Mają jakieś miejsce, specjalnie przygotowane w tym celu. Dowiemy się, kiedy zabrali Wymanna i dokąd. Powód będzie taki sam, jak w przypadku senatora.

– To znaczy? – zapytał Baxter.

– Seks. Chodzi o seks. Mamy do czynienia z zabójczyniami. Wśród sprawców jest przynajmniej jedna kobieta. Yale to kolejna analogia. Obie ofiary studiowały tam w tym samym czasie. Obaj potem jeździli na specjalne uroczystości, z odczytami i wykładami. Obaj byli politykami, to kolejny punkt styczny.

– Seks i polityka – powiedział Baxter. – Najbardziej naturalna para.

– A zbieg okoliczności to bzdura.

– Święte słowa.

– Dwie moje podejrzane i jedna z przyjaciółek podejrzanej, zapewniająca jej alibi, też są powiązane z Yale albo ze sobą nawzajem.

Baxter zrobił groźną minę.

– Zbieg okoliczności to bzdura.

– O tak. Dwóch bogatych facetów, odnoszących sukcesy. – Eve chodziła, myśląc na głos.

– Obaj są absolwentami Yale, obaj zajmowali się polityką, wprawdzie na innych polach,

ale zawsze, obaj spragnieni byli władzy. Pierwszy zamordowany miał co miesiąc nową kochankę. Mniej więcej.

– Chciałbym móc to powiedzieć, kiedy będę w jego wieku.

Usłyszawszy te słowa, spojrzała na Baxtera kamiennym wzrokiem.

– Ustalimy, czy ta ofiara miała podobne ambicje.

– W jego sypialni jest bardzo seksowny seks-droid.

– Już mi powiedziano.

Kiedy Roarke schodził ze schodów, uniosła wzrok.

– Seksowny seks-droid powiedział nam, że ostatnio korzystano z jego usług trzydzieści dwie godziny temu – oświadczył Roarke. – McNab zabiera sprzęt elektroniczny, ale po pobieżnym sprawdzeniu nie znaleźliśmy nic w jego komputerze ani w telefonach, co by miało z tym jakiś związek. Zapasowy aparat komórkowy znaleźliśmy w gabinecie w szufladzie biurka. Nie korzystał z niego, więc według mnie na nic nam się nie przyda.

– A tego, z którego korzystał, nie ma tutaj. Więc jeśli jest tam coś, co ma związek z morderstwem, mają to sprawcy. Baxter, razem z Trueheartem zajmiecie się jego kontaktami zawodowymi. Porozmawiajcie z ludźmi, sprawdźcie ich alibi. Znajdźcie mi też jego kochanki, jeśli je miał.

– Z największą przyjemnością.

– Prześlę wam nazwiska i zdjęcia kobiet, z którymi spotykał się senator. Przekonamy się, czy w biurze drugiej ofiary ktoś coś o nich słyszał. Peabody, powiedz McNabowi, że chcę mieć każdy bajt informacji ze wszystkich urządzeń elektronicznych, znajdujących się tutaj i w biurze pierwszej ofiary. Wszystko, co się zazębia, jest szczególnie ważne. To zemsta. Co takiego zrobili – razem – żeby sobie na nią zasłużyć? Przekaż mu to teraz. Jedziemy do kostnicy.

– Kostnica przed śniadaniem. Za czy przeciw? – Peabody zaczęła wchodzić po schodach.

– Poinformuję cię.

– Kontakty osobiste – powtórzyła Eve. – Sprawdzanie alibi.

– Pani porucznik, jest piąta rano – przypomniał jej Baxter.

– My jesteśmy na nogach. Dlaczego potencjalni podejrzani o zabójstwo nie mieliby także się obudzić? Do roboty.

– Będziemy powszechnie lubiani, Trueheart.

– Jakież rozkazy dla mnie, pani porucznik? – spytał Roarke, kiedy skierowali się do wyjścia.

– Powinieneś wrócić do domu, by kupić kolejny kawałek Układu Słonecznego.

– Czyli dzień jak co dzień. – Przyglądał się technikowi w białym kombinezonie, wkładającemu stryczek do torby na dowody. – Dla nas obojga. – Ujął ją pod ramię i odprowadził na bok. – Wierzysz, że ci dwaj faceci razem brali udział w jakichś brzydkich zabawach? Że byli gwałcicielami?

– Jeszcze nie wiem. Ale zbadam ten wątek. Wnuk powiedział, że odebrali mu życie i godność. Rzeczywiście. Jest jakiś powód, dla którego go tak upokorzyli, torturowali i zabili. Według mnie to odpłata. Kogo upokorzyli ci dwaj mężczyźni?

– I jakie popełnili przestępstwo albo jakiego się dopuścili grzechu, że to, co im zrobiono, ktoś mógł uznać za sprawiedliwość?

– Tak. Dobrzy przyjaciele, starzy przyjaciele. Czy mieli wspólne tajemnice? Tak, kryje się za tym coś brzydkiego. I według mnie ma to związek z seksem. Mogę cię podrzucić do domu.

– Sam mogę wrócić do domu, ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Uważaj na siebie – dodał. – Nie tylko na moją policjantkę, ale na tę małą dziewczynkę, która nadal w tobie tkwi.

– Nie martw się o mnie.

Ujął jej twarz w obie dłonie i mocno pocałował, nim Eve zdążyła go powstrzymać.

– Nie bądź dupkiem. Będę dzwonił – powiedział i skierował się do drzwi.

Eve odetchnęła głęboko, odwróciła się i zobaczyła, jak stojąca niedaleko technik uśmiecha się spod osłony na twarz.

– Z czego się śmiejesz?

– Wyobrażam sobie, jak facet o takim wyglądzie całuje mnie w usta. Aż błogo się robi na sercu. – Włożyła do torebki próbkę krwi z podłogi. – Człowiek korzysta z każdej okazji.

Być może, pomyślała Eve. W kostnicy nie będzie zbyt dużo okazji na błogi uśmiech.

– Peabody, do mnie, do jasnej cholery! Trzymaj ręce z daleka od kościstego tyłka McNaba albo na piechotę podrażujesz do kostnicy.

Już otwierała drzwi wejściowe, kiedy Peabody zbiegła po schodach.

– Skąd wiedziałaś, gdzie trzymam ręce?

– Jestem doświadczonym detektywem. – Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że technik znów się uśmiecha. – Kolejny powód do radości?

– Czyż to nie cudowne?

12

Peabody biegła za Eve, owijając wokół szyi szalik – dziś niebieski w zielone zygzaki.

– Jeśli obie ofiary się znały, a motywem jest seks, może niektóre kobiety z naszej listy były kochankami ich obu.

Eve zajęła miejsce za kierownicą.

– Zaczynasz myśleć.

– Potrafię myśleć, nawet trzymając ręce na kościstym tyłku McNaba. I naprawdę było to tylko przyjacielskie klepienie. – Wydała pełne zadowolenia westchnienie, siadając w fotelu dla pasażera. – Ach. Włączone ogrzewanie siedzeń. Teraz mój nie tak kościsty tyłek jest szczęśliwy.

– Niniejszym wydaję zakaz rozmów o twoim tyłku i McNaba. – Eve spojrzała w boczne lusterko i błyskawicznie zmieniła pas. – Roarke zapyta ochronę w hotelu, czy Wymann korzystał z apartamentu, a jeśli tak, to kogo tam przyjmował. Gdyby się okazało, że mieli wspólne przyjaciółki, to będzie zupełnie inna rozmowa.

– Z drugiej strony, po co trzymać w garderobie koło sypialni seks-droida, a McNab powiedział, że był zaprogramowany na wszelkie możliwe rodzaje seksu, skoro się regularnie posuwa żywe kobitki?

– Odpowiedź na to brzmi: penis.

– O tak, jak mogłam zapomnieć? – Peabody nie wspomniała o swoim tyłku, ale rozsiadła się wygodniej w ciepłym fotelu. – A nie uważasz, że trzeba trochę zwolnić tempo, kiedy wspomniany penis służy komuś od ponad siedemdziesięciu lat? I właśnie sobie wyobraziłam penis z takim stażem. Nie jest to najprzyjemniejszy widok.

– Dziękuję za podzielenie się ze mną tymi spostrzeżeniami. Przed końcem dnia, kiedy technicy zrobią, co do nich należy, jeszcze raz przejdę się po domu ofiary. I mogę się założyć o roczną pensję, że wiesz, co tam znajdę? Tabletki na potencję i inne... Wspomagacze penisa.

– Wspomagacze penisa. Dobrze. Nie założę się, bo znaleźliśmy tabletki na potencję w domu pierwszej ofiary, a właściwie w domu jej dziadka. No dobrze, kolejne pytanie.

Ponieważ ruch samochodowy przypominał piekło na Ziemi, a reklamy świetlne namawiały do skorzystania z „Promocji na stroje rejsowe!” (Co to, u diabła, „stroje rejsowe?”), Eve pogodziła się z ciekawością Peabody.

– Czy to ich ostatnia ofiara?

– Prawdopodobnie nie, ale kolejna.

– Dlaczego starsi mężczyźni zawsze polują na młode dziewczyny? Faceci po pięćdziesiątce szukają dwudziestokilkuletnich partnerek, sześćdziesięciolatki tak samo. Po przekroczeniu siedemdziesiątki też chętnie baraszkowaliby z dwudziestolatkami, jeśli

znaleźliby chętnie. Zadowolają się trzydziestolatkami, może nawet czterdziestolatkami, jeśli nie zbajerują młodszej.

– Taka sama odpowiedź: penis.

– Jak to, taka sama odpowiedź?

Eve, skręcając, przyglądała się beztroskim turystom, stojącym koło budki z jedzeniem. Ich torebki i portfele wprost krzyczały: „Ukradnij mnie!” do ulicznego złodziejaska, zdążającego w tę stronę.

Nie mogła uratować wszystkich, więc się nie zatrzymała.

– Penis musi przekonać sam siebie, że wciąż ma dwadzieścia lat i ciągle jest obiektem pożądania cipek w tym samym wieku. Penis nie przyjmuje do wiadomości, że jego właścicielem jest stary facet.

– Czyli penis oszukuje sam siebie.

– Dobrze, jeśli to wiesz, jak masz dwadzieścia kilka lat. Podejrzewam, że wiele kobiet odkrywa tę prawdę dopiero w starszym wieku. A teraz odłóż penisy do tej samej przegródki, co tyłki, i skończ ten temat.

Peabody przez chwilę się nie odzywała.

– Wiesz, co się stanie, kiedy penis i dwa tyłki znajdą się w jednej przegródce, prawda?

Wbrew samej sobie Eve się roześmiała.

– Jezu, Peabody, przestań o tym myśleć.

– To nie takie łatwe, skoro uważamy, że są to zabójstwa na tle seksualnym.

– No dobrze, masz rację. Nikt nie robi krwawej miazgi z męskich genitaliów i nie wsadza facetowi czegoś do tyłka, jeśli motywem nie jest seks. Wymann dwukrotnie się rozwodził – drugi raz ponad sześć lat temu. Porozmawiamy z jego byłymi żonami, sprawdzimy, czy mają jakiś związek z pierwszą ofiarą. Ale nie przypuszczam, by była czy były żony Wymanna tak długo odkładały zemstę. Zacznij kopać, ustal, czy Wymann był z kimś związany.

– Strony plotkarskie, zaraz do was zajrzę! – Peabody wyjęła swój palmtop.

Eve bębniła palcami w kierownicę, a reklama świetlna namawiała: „Kup bikini w stycznui w Slimderize! Bezpłatne porady!”.

Może bikini zalicza się do strojów rejsowych.

– Możliwy scenariusz – powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na reklamy. – Senator i Wymann prowadzą mały seksklub. Wstępują do niego kobiety, wiedząc o innych albo nie. Jeśli nie, moja teoria jest do niczego. Jeśli mam rację, coś poszło nie tak. I kobiety zakładają własny klub. Klub morderczyń.

– Jeśli wstąpiły do klubu, wiedząc o innych, musiało to być coś naprawdę obrzydliwego.

– Gwałt jest czymś obrzydliwym. Według mnie zamordowanie ze szczególnym okrucieństwem dwóch mężczyzn na to wskazuje. W przeciwnym wypadku parę razy kopnęłyby go w jaja i tyle. Ale reszta...

– To mi wygląda na klub gwałcicieli, nie seksklub. Kobiety z naszej listy nie zostały zgwałcone.

– A przynajmniej nie powiedziały nam tego. Tylko czemu miałyby powiedzieć, czemu miałyby nam podać na tacy motyw? Musimy podążyć tym tropem, bo mamy do czynienia z więcej niż jednym sprawcą. Torturowanie i zamordowanie kogoś razem świadczy

o istnieniu więzi, wspólnego celu i w tym wypadku w jednakowym stopniu odczuwanej wściekłości.

– Wiemy, że senator wpuścił zabójców do domu. Czyli nie czuł się zagrożony. Mężczyzna, traktujący kobiety przedmiotowo, nie czuje się przez nie zagrożony.

– Wciąż nie wiemy, kim był ten pośrednik w handlu nieruchomościami.

A to, pomyślała Eve, jest bardzo istotne i należy to ustalić.

– Kiedy się dowiemy, kto to taki, znajdziemy zabójców, ale... Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie było żadnego pośrednika, że to wszystko zostało ukartowane. Musimy ustalić, kiedy i skąd zabrano Wymanna. Wcześniej czy później dowiemy się, gdzie przetrzymywano jego i senatora.

– Jesteś bardzo pewna siebie.

– Cholernie trudno utrzymać coś w tajemnicy. Cholernie trudno podtrzymywać więzi, które doprowadziły do zabójstwa. Ktoś w końcu się wygada.

Kiedy dotarła do kostnicy, marzyła o kawie, a wiedziała, że nie przełknie lury sprzedawanej w automacie na końcu białego tunelu.

Dochodzi szósta, pomyślała, i uświadomiła sobie, że Morris mógł jeszcze nie przyjść do pracy. Wtedy ponownie przyjrzy się zwłokom obu ofiar i zwróci się do innego lekarza sądowego, żeby przeprowadził sekcję zwłok.

Zatrzymała się przed automatami sprzedającymi napoje i spojrzała na nie chmurnie. Nie tylko oferują lurę, lecz na dodatek są złośliwe. Jak zwykle.

Zawiązały jakiś spisek, pomyślała z goryczą.

– Kup dla mnie pepsi i dla siebie to, co chcesz. – Sięgnęła do kieszeni po kredyty, podała je Peabody.

– Teraz już nigdy nie będę mogła się napić gorącej czekolady z automatu. Po tym, jak napiłam się gorącej czekolady pana Miry. Nawet to, co masz w samochodowym autokucharzu, nie umywa się do niej. Kawa jest tu równie obrzydliwa, co w komendzie. Herbata... Być może.

– Czy chcesz się zapoznać z całym menu, a może zażyczysz sobie degustacji? – Aż nadto uprzejmy ton Eve sprawił, że Peabody zaryzykowała i zerknęła na nią ukradkiem. – Czy też wrzucisz te przekłete kredyty i kupisz pepsi, nim skopię ci tyłek?

– Mój tyłek wciąż jest w przegródce. – Zadowolona z siebie, Peabody wybrała pepsi i dietetyczny napój wiśniowy.

Automat wypluł zamówienie, po czym zaczął monotonnym głosem podawać wartości odżywcze – zero. – Eve odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Otworzyła puszkę, ramieniem pchnęła drzwi do prosektorium.

Nie powinna się zdziwić, widząc Morrisa w ochronnym kitlu, zarzuconym na szary garnitur. Włożył do niego krawat w kolorze lawendy, a włosy splótł w jeden gruby warkocz.

Włączył cichą muzykę, coś... Jazzowego, pomyślała.

Uniósł wzrok. Wprawdzie trzymał w ręku skalpel, ale jeszcze nie naciął zwłok Wymanna.

– Wcześniej jesteście – zauważył.

– Raczej bardzo późno, jeśli uwzględnić to, że wczoraj nie udało nam się tu dotrzeć i porozmawiać o senatorze Mirze.

Morris odłożył skalpel i wskazał drugi stalowy stół.

– Kazałem wyjąć naszego wcześniejszego gościa z lodówki, bo spodziewałem się, że druga ofiara z całą pewnością sprawi, iż pojawicie się tutaj z samego rana.

Włączył światło.

– Bez sekcji zwłok drugiej ofiary, opierając się jedynie na ich oględzinach, można stwierdzić, że odnieśli podobne obrażenia: twarz i genitalia, otarcia na nadgarstkach, penetracja odbytnicy jakimś przedmiotem. W przypadku senatora przedmiot ten miał jakieś pięć centymetrów obwodu i zaokrąglone zakończenie. Został też podgrzany, bo spowodował poważne oparzenia wokół odbytu i w odbytnicy.

Peabody zbladła i się odwróciła.

– Przysłowiowy gorący pogrzebacz – dodał Morris, współczująco klepiąc ją po ramieniu. – Przedmiot wkładano wielokrotnie, używając znacznej siły. Ból musiał być nie do zniesienia. Tylko na podstawie oględzin przypuszczam, że tym samym przedmiotem posłużono się w przypadku Wymanna.

– To coś więcej niż furia – oświadczyła Eve. – Może mamy do czynienia z sadydami, kimś w rodzaju Elli-Loo Parsens i Darryla Roya Jamesa.

– Nie podoba mi się myśl, że więcej takich jak oni chodzi po świecie – powiedziała Peabody, wciąż odwrócona plecami.

– Zawsze jest ich więcej. Ale...

Nie, pomyślała Eve, to nie jest dzieło kogoś podobnego do pary pokręconych kochanków, których niedawno aresztowały. To coś innego.

– Obecna dwójka to nie przypadkowe ofiary. Sprawcy obrali ich sobie na cel, a motyw seksu, sadyzm i pozostawiony napis, wszystko to wyraźnie świadczy, że chodzi o zemstę.

– Zgadza się – powiedział Morris. – To zemsta. I potwierdzam twoje spostrzeżenia, dotyczące ran tłuczonych. Zadano je pałką o gładkiej powierzchni. Nie ma śladów użycia pięści.

– Można sobie złamać paznokieć, uszkodzić manikiur. To kobieta. Kobiety – poprawiła się Eve.

– Brak ran obronnych.

Bo ofiarom nie dano okazji, by mogły się bronić, doszła do wniosku Eve.

– Ślady od paralizatora?

– Jeden, ledwo widoczny, nawet kiedy się patrzy przez mikrogogle. W pachwinie.

– W pachwinie?

– Zaczynam to widzieć. Lekkie potraktowanie paralizatorem, jedynie by unieszkodliwić ofiarę... I sprawić ból, gdyż to wrażliwe miejsce. Jakby człowieka użądlił rój os. Ale nie na tyle silny strumień, żeby pozbawić ofiarę przytomności. Co potwierdzałoby, że sprawcami są kobiety.

Eve, chodząc tam i z powrotem, przedstawiała swoją teorię.

– Dwie kobiety z łatwością mogły go posadzić w fotelu. Jedna go biła, druga trzymała w pogotowiu paralizator. Ale wtedy wszedł pan Mira i musiały improwizować.

– Jak się czuje Dennis?

– Dobrze. Radzi sobie. Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Otarcia na nadgarstkach, świeże ślady nadwerężenia pierścienia rotatorów, czyli

mięśni kości ramiennej, świadczą o tym, że ofiarę związano z rękami w górze tak, że cały ciężar ciała spoczywał na nich. Potem zaś rozwiązano godzinę, maksymalnie dwie przed śmiercią.

– Wymann żył, kiedy go powieszono.

– Tak, i miał wolne ręce, więc próbował uwolnić się od stryczka. Pod paznokciami znalazłem fragmenty jego własnego naskórka oraz włókna, pochodzące ze sznura.

Morris wskazał na szyję ofiary.

– Nie zawisł nagle, jak w przypadku szubienicy z zapadnią czy wtedy, gdy odsunie się krzesło, na którym stoi osoba ze stryczkiem na szyi. Wówczas następuje skręcenie karku i natychmiast przychodzi śmierć. A ten człowiek się dusił. Ciężar ciała powodował zaciskanie się pętli, która go dławiła. Konał wolno i w męczarniach.

– Czyli to nie egzekucja, kiedy szybko i sprawnie odbiera się życie skazańcowi. Chciały, żeby wiedział, czuł, cierpiał. Torturowały go do samego końca.

– Tak. Śmierć w męczarniach. Poza tym mogę ci powiedzieć, że nie stwierdziłem innych obrażeń. Regularnie poddawał się zabiegom chirurgii estetycznej na twarz i ciało – można to nazwać liftingiem – i cieszył się doskonałym zdrowiem. Ostatni posiłek, spożyty około czternastu godzin przed śmiercią, składał się z zupy z homara i zielonej sałaty, popitych Pouilly-Fuissé. Ponieważ w jamie ustnej zostały ślady wymiocin, mogę tylko w przybliżeniu określić, jak dużo zjadł.

– Co takiego zrobił... Co takiego zrobili, żeby zasłużyć sobie na taką zemstę? Podejrzewam gwałt, ale aż taka brutalność? To zbyt wiele, nawet gdyby chodziło o gwałt.

– Może ofiarami były dzieci. – Peabody już trochę ochłonęła i nawet pociągnęła łyk napoju gazowanego. – Może gwałcili dzieci.

– Pedofilia... Tak, to mogłoby wywołać aż taką wściekłość. Ale nie ma najmniejszych dowodów, że byli pedofilami, a przynajmniej pierwszy z nich regularnie współżył z dorosłymi kobietami. Ale pokopimy głębiej. Bo każdy, kto twierdzi, że robiąc coś takiego, wymierzył sprawiedliwość, musiał uważać, że przestępstwo, jakiego się dopuścili, było przerażające.

– Jeśli tak było – odparł Morris – obaj zamordowani dobrze się z tym ukrywali. Byli osobami publicznymi, dziennikarze brali pod mikroskop każdy ich czyn. Ukrycie czegoś takiego wymaga sporo sprytu i wysiłku, szczególnie jeśli dotyczy to więcej niż jednej ofiary. Tajemnice rzadko kiedy nie wychodzą na jaw.

– Zgadza się. Teraz, gdy już wiemy, że szukamy jakichś okropnych sekretów, powinno nam być łatwiej je znaleźć. Wyniki sekcji zwłok drugiego denata powinny być takie same – powiedziała Eve, patrząc na Wymanna. – Obrażenia, przyczyna śmierci. Ale jeśli będą jakieś niespodzianki, poinformuj mnie.

– Naturalnie. Ale coś mi się przypomniało. Wtedy to zlekceważyłem, ale może to ma znaczenie. Senator miał mały tatuaż.

– Nie on jeden.

– Jestem wśród nich. Tatuaż jest ledwo widoczny z powodu siniaków. Kazał go sobie zrobić w pachwinie.

– Ma tam tatuaż? – zdziwiła się Eve, a Peabody krzyknęła: „Ach!”

– Tuż na lewo od korzenia, że tak powiem. Od penisa. – Podał Eve mikrogogle, sam też

je włożył.

– Sprawdź, czy ten drugi też ma – poprosiła Morrisa, wkładając okulary. Nachyliła się, zaczęła szukać. – Tak, tak, rzeczywiście. Ledwo widoczny. Wygląda na celtycki, prawda? Przypomina jeden z tych celtyckich znaków. Ale Mira nie był Irlandczykiem ani Szkotem, prawda?

– Może to jakiś arabski symbol. Albo Indian amerykańskich. Ale... Tak, u drugiej ofiary jest to samo. Taki sam tatuaż w tym samym miejscu.

– Możesz mi powiedzieć, kiedy zrobili te tatuże? Jak dawno temu?

– Zajmę się tym. Wytnę fragment skóry, sam go zbadam, prześlę do laboratorium.

– Co to znaczy, u diabła? Peabody, zrób zdjęcie. Sprawdź w Internecie, czy to coś znaczy.

– Ty stoisz bliżej i nawet masz okulary.

Eve tylko wzniosła oczy ku niebu, wyjęła swoją komórkę. Pstryknęła trzy zdjęcia.

– Trzeba je będzie powiększyć, poprawić jakość.

– Mogę to zrobić – odezwała się Peabody, ale Eve już dzwoniła do swojego osobistego rzeczoznawcy.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział Roarke.

– Mam do ciebie krótkie pytanie, może znasz odpowiedź. Co to symbolizuje albo oznacza? Zaczekaj chwilę.

Trochę to trwało, ale udało jej się przesłać mu zdjęcie.

– Widzisz tatuaż? Wyblakł, skóra jest sina w tym miejscu, ale...

– Tak, widzę. I tak się składa, że wiem, co oznacza, bo razem ze swoimi kumplami prawie kazaliśmy sobie zrobić takie tatuże pewnego pamiętnego wieczoru, kiedy się upiliśmy. To celtycki symbol braterstwa.

– Braterstwa? To by pasowało. A dlaczego jednak nie kazaliście sobie tego wytatuować, skoro byliście na tyle pijani, żeby wpaść na taki pomysł?

W jego oczach pojawiło się rozbawienie.

– Nie byliśmy na tyle pijani, żeby zapomnieć, że znaki szczególne nie są czymś pożądanym dla niektórych z nas w związku z prowadzoną przez nas działalnością. Mam za chwilę spotkanie. Jeszcze coś?

– Nie, dziękuję. Kup ten Układ Słoneczny. – Wyłączyła się i wróciła myślami do obu zamordowanych.

Kiedy już jechały do komendy, Eve zwróciła się do Peabody.

– Zadzwoń do Harvo do laboratorium. Sprawdź, czy coś ustaliła, jeśli chodzi o ten sznur. Małe szanse, ale warto spróbować. I co nam może powiedzieć o innych włosach i włóknach, dostarczonych jej przez techników.

Gdy Peabody telefonowała do królowej od włosów i włókien, Eve spróbowała się skontaktować z doktor Mirą.

– Eve.

– Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie.

– Nic nie szkodzi, już wstaliśmy. Pomyślałam sobie, że przyjdę wcześniej do pracy.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Kiedy tylko zechcesz i jak długo będzie trzeba. Mogę do ciebie przyjść.
– To mi oszczędzi nieco czasu. Muszę cię poinformować, że zamordowano Jonasa B. Wymanna.

- Znaliśmy go. Był bliskim przyjacielem Edwarda.
- Zginął w taki sam sposób.
- O Boże. Jesteś w komendzie?
- Właśnie tam jadę.
- Za dziesięć minut wychodzę z domu.
- Możesz mi dać pana Mirę?
- Tak, jedną chwileczkę.

Eve usłyszała jakieś szuranie, ściszone głosy. Potem na wyświetlaczu pojawiła się łagodna twarz Dennisa Miry.

– To bardzo przygnębiające – powiedział. – Jonas Wymann był wybitnym ekonomistą.
– Tak, słyszałam o tym. Panie Mira, czy wie pan, kiedy pana kuzyn zrobił sobie tatuaż?
– Edward? – W jego roztargnionych, zielonych oczach pojawiła się konsternacja. – Edward miał tatuaż? To do niego niepodobne, prawda?

– Nie wiedział pan o tym?
– Nie. Mogę cię zapewnić, że nie miał żadnego tatuażu, kiedy rozpoczął studia. Ostatni weekend spędziliśmy razem na plaży, o północy pływaliliśmy nago. Zauważyłbym tatuaż, bez względu na to, gdzie mógłby go mieć. Zdarza mi się zapominać o tym czy o owym, ale to z całą pewnością bym zapamiętał.

– Dobrze, bardzo mi pan pomógł. Jeszcze jedno. Chodzi o wasze nazwisko. Czy ma jakieś celtyckie korzenie?

– Celtyckie? Nie. Moja mama miała odrobinę celtyckiej krwi, jeśli to istotne.
– Dziękuję, to mi wystarczy. – Przypuszczała, że systematycznie stosował leczniczą różdżkę na ranę na skroni, bo była już ledwo widoczna. – Dobrze się pan czuje?
– Doskonale. A ty?

– Dobrze. Całkiem dobrze. Proszę przekazać doktor Mirze, że będę na nią czekała. Dziękuję.

– Uważaj na siebie. Ktoś bardzo, ale to bardzo rozgniewany nie chce, żebyś wpadła na jego trop.

– To prawda. Będę w kontakcie.
– To najśłodszy człowiek na całym świecie – powiedziała Peabody.
– I ma wnikliwy umysł. Powiedział „rozniewany”. Nie chory, pokrecony, niebezpieczny, gwałtowny. Rozgniewany – powtórzyła Eve i wolno skinęła głową. – Profesor ma rację, sprawcę napędza gniew. No i co masz?

– Sznur najzwyklejszy ze zwykłych, jak przypuszczałaś. I żadnych włosów poza włosami ofiary. Żadnych włókien.

– Musiały go wnieść z powrotem do domu. Zawinęły go w plastikową płachtę. – Znowu skinęła głową, wyobrażając to sobie. – Przynajmniej dwie osoby. Po tym, co mu zrobili, był zbyt słaby, żeby stawiać opór. Może nawet stracił przytomność. Zaczekały do północy, zatargały go do domu, odwinęły z folii, powiesiły.

Wjechała do garażu pod komendą i zaparkowała na swoim miejscu. Siedziała przez

chwilę, myśląc głośno.

– To wymaga sporo zachodu. Łatwiej porzucić gdzieś zwłoki, ale im to nie wystarczało. Przywiezienie rannego, prawdopodobnie nieprzytomnego mężczyzny z powrotem do domu w eleganckiej dzielnicy, nawet w środku nocy, świadczy, że miejsce popełnienia morderstwa było równie istotne, co samo morderstwo. Dom. Gdzie jest bezpiecznie. Bezpieczny, drogi dom. To musi mieć jakieś znaczenie.

– Może sprawca albo sprawcy dobrze się czują w bezpiecznych, drogich domach. Gdy pójdziemy tropem seksu, może właśnie tam się spotykali. Jeśli sprawa związana jest z gwałtem...

– Z całą pewnością.

– No dobrze, może to tam dopuszczano się gwałtów.

– Możliwe. Kto wie. Zadzwoń do sprzątaczk, kiedy będę rozmawiała z Mirą – poleciła Eve, gdy wysiadły z samochodu, i ruszyły do windy. – Ktoś, kto sprząta dom, pierze pościel i robi tym podobne rzeczy, ma dość dobre wyobrażenie o tym, co się tam wyprawia.

Nagle ujrzała przed oczami Summerseta i siłą woli zmusiła się, żeby o nim nie myśleć.

– Chodzi mi o wszystko, co jest związane z seksem, w domu przy Spring Street. I niech McNab sprawdzi pod tym samym kątem dom i seks-droida Wymanna.

– Wiem, że w przypadku gwałtu bardziej chodzi o przemoc, władzę, kontrolę niż o sam seks... – zaczęła Peabody.

– Chodzi o to wszystko. O wszystko. Gdyby seks nie był ważny, nie dochodziłoby do gwałtów.

– Obaj zamordowani prowadzili intensywne życie seksualne. Obaj mieli władzę. Bogaci, atrakcyjni starsi mężczyźni, których stać było na zapłacenie wysokiej klasy licencjonowanej prostytutce, gdyby chcieli. Po co mieliby zmuszać kogoś do seksu?

Eve pomyślała o Richardzie Troyu – to nieuniknione. Wielokrotnie gwałcił własną córkę, bo był myśliwym, brutalem, przyświecał mu jakiś cel. Ale gdyby to wszystko odsunąć na bok?

– Bo mogli. Jak tylko pojawią się Baxter i Trueheart, mają się u mnie zameldować. Dwaj faceci, którzy znają się od pół wieku i są przyjaciółmi, potem zostają w taki sam sposób zamordowani – to nie przypadek. Przynajmniej jedna z kobiet z listy senatora okaże się kochanką Wymanna. Przekonajmy się, która.

Poszła prosto do swojego gabinetu, wykorzystała wolną chwilę na uaktualnienie tablicy i książki śledztwa. Musi porozmawiać z obydwoma byłymi żonami Wymanna, jego córką, współpracownikami, znajomymi.

Coś ich łączyło; niemal to widziała. I w końcu to odkryje. Ustali, od czego się to wszystko zaczęło.

Musiała spróbować przekonać kogoś w ośrodku „Wewnętrzny Spokój”, żeby zgodził się z nią porozmawiać o Lydii Su i Carlee MacKensie. Zdobyć jakieś informacje o tych badaniach nad bezsennością.

Usłyszała głośny stukot obcasów i wstała zza biurka, żeby Mira mogła usiąść w jedynym wygodnym fotelu w gabinecie.

Profilerka weszła pospiesznie. Szyję miała niedbale owiniętą białym szalikiem w jakieś

srebrne wzorki. Na nogach szare botki na srebrnych szpilkach. Pod jasnoniebieskim płaszczem widać było kostium w mocniejszym odcieniu błękitu.

Eve spodziewała się, że doktor Mira będzie zdenerwowana. Ale okazało się, że jej przyjaciółka jest zła.

– Chętnie napiję się kawy – powiedziała, rzucając płaszcz i szalik na fotel dla gości.

– Proszę bardzo.

– Od razu mogę ci powiedzieć, że Jonas zawsze odnosił się do mnie grzecznie i uprzejmie, kiedy się spotykaliśmy. W przeszłości częściej się widywaliśmy, bo przyjaźniłam się z jego pierwszą żoną. Nadal jesteśmy przyjaciółkami.

– Naprawdę?

– Vanessa jest chirurgiem dziecięcym, to bardzo interesująca kobieta. Od czasu do czasu umawiamy się na obiad, kiedy akurat obie mamy wolną chwilę. Nie zdarza się to zbyt często, bo mieszka w Chicago. Chociaż nie przyjaźnimy się na tyle blisko, żeby się sobie zwierzać, nie jest tajemnicą, że rozwiodła się z Jonaszem, bo ją zdradzał.

– Musiała być wściekła.

– Wyobrażam sobie, ale nigdy ze mną nie rozmawiała na ten temat. – Charlotte Mira wzięła kawę, którą podała jej Eve, i napiła się, nie siadając. – Rozwód był kulturalny, Vanessa zaczęła życie od nowa, zrobiła karierę zawodową, wychowała córkę. Jakieś dwanaście lat temu – czyli po dość długiej przerwie – ponownie wyszła za mąż i sprawia wrażenie bardzo szczęśliwej. Ubóstwia swoje wnuki, lubi też dzieci i wnuki drugiego męża.

– Jednym z jej wnuków jest Jonas Baker.

– Tak.

– To on znalazł Wymanna.

– Och. – Doktor Mira usiadła w fotelu Eve. – Przykro mi to słyszeć. To wspaniały młody człowiek, bardzo utalentowany. Bez względu na urazę, jaką Vanessa mogła czuć do Jonasa, oboje kochali i wspierali tego chłopaka. Ich córka i zięć inaczej zapatrywali się na jego ambitne plany.

– Tak, zorientowałam się.

– Powiem ci prywatnie i jako psycholog, że Vanessę za mało obchodził Jonas, żeby go miała zabić. Zaczęła nowe życie i to ponad dwadzieścia lat temu.

– Ma alibi przynajmniej na kilka godzin, podczas których przetrzymywano Wymanna. Musiała znać senatora.

– Naturalnie. – Doktor Mira trochę się uspokoiła. Założyła nogę na nogę. – Wszyscy byliśmy młodzi, dopiero po ślubie, więc często się spotykaliśmy na gruncie towarzyskim. Vanessa, podobnie jak ja, serdecznie nie znosi Mandy. Ale nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz wspomniała o niej albo o Edwardzie podczas naszych spotkań. Nie należeli do kręgu jej znajomych przynajmniej od ponad dwudziestu lat.

– Co wiesz o drugiej żonie Wymanna?

– Niezbyt wiele. Była znacznie młodsza, krążyły plotki, że była jedną z jego kochanek. W przeciwieństwie do pierwszego rozwodu, o ich rozstaniu było głośno. Chodzą słuchy, że Jonas musiał jej słono zapłacić za zgodę na rozwód. Nie wiem, gdzie jest, czy ponownie wyszła za mąż, ale bez trudu mogę się tego dowiedzieć.

– Ja też. Nie zaprzętaj sobie tym głowy. Czy powiedziałybyś, że i on, i senator mieli wspólne skłonności do przygodnego seksu, do romansów, szczególnie z młodymi kobietami?

– Jak najbardziej.

Eve wkroczyła na grząski grunt.

– Senator Mira ma córkę.

– Tak, Gwen. Jest... – Nagle to do niej dotarło i aż drgnęła. – Och, nie. Mogę cię zapewnić prywatnie i jako lekarz. Edward nigdy nie tknąłby Gwen i nie pozwoliłby na to Jonasowi, gdyby tamtemu przyszła na to ochota. Wiedziałabym, Eve. Gwen zwróciła się do mnie, gdybym przeoczyła sygnały.

– A jeśli chodzi o dzieci?

– Też nie. Obaj chcieli zdobywać kobiety, bo w ten sposób potwierdzali swoją jurność. Dzieci tego nie dają. Szukali młodych, atrakcyjnych kochanek. Rozumiem twoje pytanie, biorąc pod uwagę brutalność zabójstw, ale tu nie chodzi o dzieci.

– No dobrze. Musiałam zapytać, żeby móc to skreślić.

– Nie może być zbiegiem okoliczności, że obaj lubili młode kobiety i obaj zginęli w taki sam sposób. Zostawiono jakąś wiadomość?

– Tak. Identycznej treści.

Mira napiła się kawy, zebrała myśli.

– Więc chociaż zabójcy uważają to za sprawiedliwość, to zemsta. A sposób, w jaki obaj zginęli, świadczy o zemście za czyny o podłożu seksualnym. To spółka zawiązana w tym celu, działająca szybko i bezwzględnie. Zabójczynie wiąże ze sobą podjęty zamiar. Możliwe, że są kochankami, ale zabójstwa nie tylko są brutalne, są również starannie zaplanowane. To nie pikeryzm. I nie sądzę, że mamy do czynienia z sadystkami.

– Nie, chodzi im o przekaz, a nie o zaspokojenie jakichś potrzeb. Są skupione na celu. Drugie morderstwo jest niemal identyczne z pierwszym.

– Zorganizowane, inteligentne. Cierpliwe. Przygotowanie tego wszystkiego wymaga czasu. I opanowane – dodała Mira. – Wyeliminowały Dennisa z równania, ale go nie zabiły. Nie stanowił celu, a zabicie przypadkowego człowieka nie ma nic wspólnego z wymierzaniem sprawiedliwości. Co to za historia z tym tatuażem?

– Obaj mężczyźni mają wytatuowany w pachwinie celtycki znak. Dość oczywisty symbol. Oznacza braterstwo.

– Braterstwo – mruknęła Mira. – Seks. Jurność. Symbol ich więzi i ich... Upodobań.

– Gdzieś po drodze musieli przekroczyć granicę. Między uwodzeniem czy seksem, który obu stronom przynosił jakieś korzyści, a gwałtem.

– Zakładasz tak z uwagi na charakter tortur.

– Charakter tortur wprost woła głośno: Ty zrobiłeś to mnie, a teraz ja zrobię to tobie. Może robili to razem, może traktowali to jak jakieś zboczone współzawodnictwo – ciągnęła Eve, nie dopuszczając Miry do głosu. – Ale przekroczyli linię. Odsuń na bok osobiste uczucia do obu ofiar. Powiedz mi na podstawie tego, co o nich wiesz, czy gdybyś sporządziła ich profil, uważałybyś, że byliby zdolni nie tylko gwałcić kobiety, ale również stworzyć coś w rodzaju klubu gwałcicieli?

Mira rozsiadła się w fotelu i potarła skronie.

– Niełatwo jest odsunąć na bok osobiste uczucia, żeby wydać profesjonalną opinię, kiedy zna się kogoś tak długo.

– Jeśli nie możesz...

– To niełatwe – przerwała jej tamta – ale... – Wzięła głęboki oddech i spojrzała Eve prosto w oczy. – Według mnie Edward był socjopatą. Bardzo inteligentnym, odnoszącym sukcesy socjopatą. Uważał, że nie obowiązują go żadne zasady, jeśli chodzi o... O cokolwiek. A już z całą pewnością, jeśli chodzi o relacje z kobietami. Dlatego poślubił taką, która nie wymagała, by stosował się do tych zasad. Kiedyś... Jak to określić w sposób najbardziej oględny... Złożył mi niestosowną propozycję.

– Co? Nie wspomniałaś o tym wcześniej.

– To było kilkadziesiąt lat temu, wkrótce po moich zaręczynach z Dennisem. Nigdy mu o tym nie powiedziałam, bo by go zabolalo. Zresztą jaki miałyby to sens? Ale już wtedy wiedziałam, że Edward zrobił to, bo należałam do Dennisa.

Mira przyjrzała się swojej kawie, napiła się, westchnęła.

– Wspomnienia Dennisa o Edwardzie są podkolorowane wspólnym dzieciństwem, ale kiedy opowiada historie z tamtych czasów, widać, że tamten już wtedy był łobuzem.

– „Propozycja” to bardzo neutralne słowo. Czy zachował się z godnością?

– Byliśmy w domu jego dziadków... Prawie tego nie pamiętam. Skorzystałam z łazienki a kiedy wyszłam, Edward stał pod drzwiami. Wepchnął mnie z powrotem do środka, powiedział, że powinniśmy się lepiej poznać. Przycisnął mnie do ściany, ale wsadziłam mu kolano w krocze. Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze raz mnie tknie, złamię mu obie ręce.

Odstawiła filiżankę z kawą, splotła dłonie przed sobą.

– Przestraszyłam się.

– Użył wobec ciebie siły?

– Początkowo tak. Przypuszczam, iż był pewien, że mu nie odmówię. Wycofał się, roześmiał i oświadczył, że tylko wystawił mnie na próbę. Nigdy więcej mnie nie tknął, ale...

– Wyrzuc to z siebie – powiedziała Eve. – Nie pomagasz mi, ukrywając coś.

– Masz rację, powiem ci wszystko.

Charlotte Mira znów wzięła kawę, ale tylko utkwiała w niej wzrok.

– Długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że raczej zachowuję się racjonalnie, nie reaguję odruchowo. Eve, takie kobiety jak ty i ja, kobiety, które kiedyś były ofiarami przemocy seksualnej, mają jakiś szósty zmysł, wyczuwając myśliwych. Nam pomaga on w pracy, dla innych jest to instynkt samozachowawczy. Ci mężczyźni polowali na kobiety, rozpoznałam to u nich. Założyłam, że ograniczali się do kobiet, które były chętne, a potem je porzucali. Ale masz rację, według mnie mogła się między nimi wytworzyć jakaś więź, mogli zawrzeć umowę i przestali się ograniczać do kobiet, które wyraziły zgodę na seks.

Mira znów odstawiła na bok kawę. Przycisnęła palce do powiek.

– I ponieważ tak założyłam, ponieważ nie przeanalizowałam tego wystarczająco głęboko, bardzo możliwe, że kobiety, które padły ich ofiarą, teraz też przekroczyły granicę i zaczęły zabijać.

– Bzdura. – Poirytowana Eve szturchnęła przyjaciółkę palcem w ramię. – A plecenie

bzdur też mi nie pomoże. O ile mi nie powiesz, że nagle stwierdziłaś, iż potrafisz zajrzeć w umysły innych ludzi albo przewidywać przyszłość lub zobaczyć, co wydarzyło się kiedyś, fakt, że jesteś zdolną psycholog, nie oznacza, że wiesz wszystko o wszystkich. Może mamy do czynienia z dwiema ofiarami, które przekroczyły granicę, ale to był ich wolny wybór.

– To zupełnie pozbawione współczucia, lecz dziwnie pocieszające. – Uspokojona doktor Mira ujęła dłoń Eve. – Rozum mi podpowiada, że masz rację. Trudniej się z tym pogodzić całej reszcie mnie.

– Spróbuję ci to ułatwić. Ci dwaj zamordowani... – Eve wskazała tablicę i zdjęcia z miejsc zbrodni. – Czy mieli więcej „braci” lub innych przyjaciół z takimi samymi skłonnościami, żeby posłużyć się twoim określeniem?

– Nie... O Boże.

– No właśnie. – Eve zahaczyła palce o kieszenie i przyjrzała się uważnie tablicy. – Może jeszcze nie skończyły wymierzać sprawiedliwości.

Kiedy jej przyjaciółka zastanawiała się nad tym, Eve dorzuciła nowe fakty.

– Te trzy kobiety... – Stuknęła palcem w zdjęcia MacKensie, Downing i Su. – Uważnie im się przyglądam. Doktor Su zapewnia alibi Charity Downing, studiowała w Yale, przebywała w jednym z tych ośrodków, pomagających poprawić jakość życia, „Wewnętrzny Spokój”. Podobnie jak Carlee MacKensie. Nie w tym samym czasie, ale obie tam trafiły. A Su i Downing brały udział – też osobno, nie razem – w badaniach nad bezsennością.

– Tyle je łączy... Wprawdzie nie przebywały w jednym czasie w ośrodku „Wewnętrzny Spokój” i w różnych terminach brały udział w badaniach nad bezsennością, ale...

– No właśnie. Ale.

– Nie znam tego ośrodka.

– Może udałoby ci się czegoś o nim dowiedzieć. – Dzięki temu przyjaciółka nie tylko będzie mogła się zająć czymś konkretnym, lecz również zaoszczędzi Eve trochę czasu. – Ci, którzy nim kierują, chętniej porozmawiają z tobą niż z policją. Podobnie jeśli chodzi o te badania nad bezsennością. Mogę ci podać wszystkie niezbędne informacje.

– Dobrze. Zobaczę, co uda mi się ustalić. – Mira energicznie skinęła głową, wstała, wzięła swój płaszcz i szalik. Przez chwilę przyglądała się tablicy. – Te trzy – mruknęła. – Co takiego zrobili Edward i Jonas, że skłoniło te kobiety – jeśli masz rację – do tak brutalnych działań?

Dallas sprawdziła drugą żonę Wymanna i skreśliła ją z listy podejrzanych. Kobieta ponownie wyszła za mąż, też za starszego i bogatego mężczyznę. Obecnie leżała i pachniała w willi na południu Francji.

Gdy Eve pokopała trochę głębiej, okazało się, że żona numer dwa ma alibi: była współgospodynią zimowej gali w Cannes w czasie, kiedy porwano senatora Mirę. Strony, poświęcone modzie i celebrytom, zawierały mnóstwo opisów i zdjęć – oraz krytycznych komentarzy o strojach.

Od czytania tego wszystkiego Eve rozboleł mózg.

Czyli żony nie mordują, pomyślała, przechyliwszy głowę, żeby przyjrzeć się swojej tablicy. Zaczęły nowe życie. W przeciwieństwie do innych.

Wróciła do Charity Downing. Ta zaś doprowadziła ją do Lydii Su, studentki Yale i podobnie jak MacKensie, pacjentki ośrodka „Wewnętrzny Spokój”. Pora porozmawiać z kobietą, zapewniającą alibi Downing.

Lecz było jeszcze coś, co mogła zrobić, nie wstając zza biurka. Zadzwoiła do córki Edwarda Miry.

Gwen Sykes była blada i wymizierowana, ale już nie spała.

- Porucznik Dallas.
- Przepraszam, że tak wcześnie niepokoję.
- Nic nie szkodzi. Mało tutaj śpimy. Czy znalazła pani zabójcę mojego ojca?
- Pracuję nad tym. Jeśli spytam panią, kim są jego najbliżsi przyjaciele – na razie pośród jego rówieśników – kto pierwszy przychodzi pani na myśl?
- No cóż, Jonas Wymann. Przyjaźnią się od czasów Yale.
- Rozumiem. Jeszcze ktoś?
- Hm, Frederick Betz. On, mój ojciec, pan Wymann... I Marshall Easterday studiowali razem w Yale. Mieszkali w jednym akademiku. No i jeszcze senator Fordham. Zaprzyjaźnili się, kiedy mój ojciec został senatorem. Czy jakoś pani pomogłam?
- Tak. Pani Sykes, wkrótce pojawią się doniesienia o tym, że dziś nad ranem Jonas Wymann został zamordowany w taki sam sposób, jak pani ojciec.
- Co? – Spojrzała skonsternowana. – Co? Nie... Dlaczego? Dlaczego to się dzieje?
- Nad tym też pracuję. Czy zna pani kogoś, kto chciałby zaszkodzić pani ojcu i Wymannowi? Co ich łączyło?
- Nic z tego nie rozumiem. Przykro mi, ale nie rozumiem. Pan Wymann podjadał Nedowi i mnie czekoladki, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz nie żyje, ktoś go zamordował. Jak mojego ojca?
- Przykro mi. Jeśli pani albo pani bratu przypomni się, co ich łączyło lub kto mógł mieć

urazę do nich obu, proszę o telefon.

– Muszę zadzwonić do Neda. Nie chcę, żeby się tego dowiedział z telewizji. Inni, o których pani pytała... Sądzi pani, że im też ktoś może coś takiego zrobić?

– Musimy wziąć to pod uwagę. Porozmawiam z nimi. Jeśli jeszcze kogoś sobie pani przypomni, proszę do mnie dzwonić o każdej porze.

– Dobrze. Spytam Neda. Dziękuję za wiadomość. Muszę... Muszę się rozłączyć.

Eve ustaliła adresy Betza i Easterdaya, już wstawiała od biurka, kiedy zadzwonił telefon. Mogła nie odebrać, ale na wyświetlaczu zobaczyła twarz Baxtera.

– Dallas. Co macie?

– Wielki szok wśród ludzi, z którymi pracował i których wyrwaliśmy ze snu, a także garść nazwisk, które udało nam się od nich wyciągnąć. Kobiet, z którymi się umawiał w ciągu ostatniego roku. Jak na starszego faceta nieźle sobie poczynił. Na razie rozmawialiśmy z dwiema z nich. Też są wstrząśnięte. Mają raczej wątpliwe alibi na czas, kiedy zamordowano Wymanna, bo wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, utrzymują, że byli w domu, spali. Potwierdziły to żony albo partnerki, ale w moich oczach to nadal wątpliwe alibi.

– Ustal, czy któraś z kochanek Wymanna studiowała w Yale albo ma jakieś związki z tą uczelnią. I czy któraś z nich przebywała w ośrodku „Wewnętrzny Spokój”.

– Zrobi się. Żadne z nazwisk, jakie uzyskaliśmy, nie widnieje na liście senatora. Wygląda na to, że nie wchodzili sobie w paradę.

Człowiek, który miał zakusy na majątek swojego kuzyna, z pewnością mógł poderwać kochankę przyjaciela, pomyślała Eve.

– Zobaczmy. Informuj, jak znajdziesz kogoś, kogo coś łączy z Yale, a także wszelkich agentów w handlu nieruchomościami, wszystkich, którzy szukali wewnętrznego spokoju.

– Zrozumiałem. Jeszcze jedno. Obudziliśmy jego sekretarkę. Kiedy udało nam się ją uspokoić, okazało się, że rozmawiała z nim przez telefon koło trzeciej po południu. Był załamany śmiercią przyjaciela, dlatego został w domu. Potwierdziła, że zamierzał obejrzeć występ wnuka wczoraj wieczorem. I jeszcze coś. Miał zapisane w kalendarzu spotkanie o czwartej. Spytała go, czy chce, żeby je odwołała, ale powiedział, że nie.

– Jakie spotkanie?

– Z pisarką. Píše jego biografię, a przynajmniej ma taki zamiar. Spotkanie było umówione na czwartą w jego domu.

– Powiedz mi, że znasz jej nazwisko.

– Mówię ci, że znam jej nazwisko. Cecily Anson, lat pięćdziesiąt osiem, żonata, jedna córka. Mieszka w SoHo. Sprawdzę coś... Nie studiowała w Yale, tylko poszła do Brown. Jej współmałżonką jest Anne C. Vine, lat pięćdziesiąt dziewięć, po MIT, programistka. I... Córka, Lillith, lat dwadzieścia sześć, absolwentka Carnegie Mellon, architekt, zatrudniona w pracowni architektonicznej Bistrup i Grogan, mieszczącej się w centrum.

– Właśnie wychodzę, wstąpię do nich po drodze. Sekretarka pierwszej ofiary nie znała nazwiska osoby, z którą się umówił Mira. Wydaje mi się podejrzane, że w przypadku drugiej ofiary wszystko wiemy.

– Czasami los się do nas uśmiecha.

– Ale na ogół nie. Wracajcie do pracy. – Eve rozłączyła się, wzięła płaszcz. Weszła do

sali ogólnej wydziału, powiedziała „Peabody” i nie zatrzymując się, poszła dalej.

Delia, trochę zasapana, dogoniła ją przy windzie.

– Jest przełom w sprawie?

– Być może. Sekretarka Wymanna rozmawiała z nim o trzeciej, czyli że był jeszcze w domu, nikt mu nie groził. A o czwartej miał umówione spotkanie z biografką, Cecily Anson. W swoim domu.

– O, znamy nazwisko.

– Nazwisko, adres, podstawowe dane. Ma prawie sześćdziesiąt lat, czyli jest za stara jak na gust ofiary, a ponieważ jest żonata, orientacja seksualna prawdopodobnie eliminuje ją z grona jego kochanek. Ma dorosłą córkę, która mogła być jego kochanką, i mieszkanie w SoHo. Wstąpimy tam, zanim pojedziemy na rozmowę z Lydią Su.

Peabody włożyła czapkę – landrynkowozieloną, z niebieskim otokiem.

– Nie wydaje mi się, żeby dały nam taki wyraźny trop.

– Masz rację. Ale osoba, która spotkała się z nim o czwartej, prawdopodobnie go porwała, torturowała i zabiła. Zadzwoń do Morrisa. Spytaj, czy może z grubsza określić, kiedy Wymann odniósł obrażenia. I niech mundurowi popytają sąsiadów, czy czegoś nie zauważyli właśnie o tej porze. Może na coś trafimy.

W ciągu dwóch minut windę wypełnili gliniarze i cywile o smutnych spojrzeniach. Wsiadły też dwa podejrzane typki, według Eve gliniarze pracujący pod przykrywką.

Ale zacisnęła zęby, mówiąc sobie w duchu, że głupia winda jest szybsza od schodów ruchomych.

– Uzyskałam od Gwen Sykes więcej nazwisk bliskich przyjaciół Edwarda Miry. Porozmawiamy z nimi osobiście albo przez telefon.

– Myślisz, że spróbują zabić kolejną osobę?

– Lepiej nie ryzykować. Dwaj z nich to kumple z Yale, gdzie razem z zamordowanymi mieszkali w jednym akademiku. Może się to okazać ciekawe. Trzeci zaprzyjaźnił się z Edwardem Mirą, kiedy obaj pracowali w Waszyngtonie. To senator Fordham.

Kiedy winda zatrzymała się w garażu, przepchnęły się do wyjścia, Eve wciągnęła powietrze. W samochodzie wstukała adres Anson i Vine, przeanalizowała możliwości, a wyjeżdżając z komendy, zadzwoniła do Whitneya.

– Panie komendancie – powiedziała. – Mam nowe informacje w sprawie Jonasa Wymanna. Razem z Peabody jedziemy na rozmowę z osobą, która być może jest związana z tą sprawą. Wcześniej rozmawiałam z córką senatora Miry, podała mi nazwiska trzech bliskich przyjaciół ojca. Jest wśród nich senator Fordham. Zanim się z nim spotkamy, uważam, że jego ochroniarze powinni zostać poinformowani o możliwym zagrożeniu.

– Zgadza się. Zajmę się tym.

– Panie komendancie, być może będę musiała przesłuchać Fordhama, a biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogę zbyt owijać w bawełnę.

– Rozumiem. Ale zalecam pewną oględność. Albo ja, albo szef policji Tibble umówimy spotkanie, o ile okaże się to konieczne. Będziemy w kontakcie.

– Tak jest, panie komendancie.

– Jezu. – Peabody zachichotała. – Naprawdę sądzisz, że urzędujący senator jest członkiem jakiegoś seksklubu? Jeśli taki istnieje. Chciałam powiedzieć... Co ja plotę? –

Delia pokręciła głową. – Seks i polityka, prawda?

– Według mnie seks nie ma nic wspólnego z polityką. Chodzi o bractwo. O władzę. Sprawdź osoby, których nazwiska dostałam. Frederick Betz i Marshall Easterday. Obaj absolwenci Yale, studiowali w tym samym czasie, co zamordowani. Cała czwórka za czasów studenckich mieszkała razem. Sprawdź, czy Fordham studiował w Yale.

Kiedy Peabody pracowała, Eve zmagala się z ruchem ulicznym. Wypatrzyła wolne miejsce przy krawężniku i zaparkowała.

– Betz – powiedziała Peabody. – Od Betz Chemicals, produkują wszystko, od chemii gospodarczej po paliwo rakietowe. Jest wnukiem założycieli firmy. I jej obecnym prezesem. Trzecia żona, młodsza od jego najmłodszej córki, ma dwadzieścia dziewięć lat. Są małżeństwem od trzech lat. Facet ma czworo dzieci, wśród nich trzyletnie, które mu urodziła obecna żona. Dlaczego facet pod siedemdziesiątkę chce płodzić dzieci?

– Czy muszę się powtarzać? – odparła Eve. – Penis.

– No dobrze, penis nie zna wstydu. Marshall Easterday. Prawnik, też trzecie pokolenie prawników w rodzinie. Z kancelarii Easterday, Easterday i Louis. Druga żona, z którą jest od... Piętnastu lat. Żona ma pięćdziesiąt dwa lata. Dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa. Córka pracuje w tej samej kancelarii, co ojciec. Syn jest neurochirurgiem w Filadelfii.

– No dobrze, porozmawiamy sobie z nimi dziś przed południem.

– A Fordham studiował w Old Miss... Nie w Yale.

Eve wysiadła z samochodu, przyjrzała się uważnie pięciokondygnacyjnemu budynkowi. Stary dom z okresu po wojnach miejskich, przysadzisty, czworokątny, został odnowiony i pobielony. Podwójne, szerokie drzwi wejściowe wyglądały na stare, nobliwe, ale przyjrawszy im się bliżej, Eve dostrzegła, że są ze wzmocnionej stali, dla niepoznaki pomalowane na biało.

Zabezpieczenia były pierwszorzędne.

– Anson mieszka na parterze. – Eve po chwili namysłu nacisnęła guzik dzwonka do mieszkania na parterze.

Po minucie w domofonie rozległ się zaspany głos kobiety.

– Jest o wiele za wcześnie na sprzedawanie czegokolwiek.

Eve pokazała swoją odznakę.

– Policja nowojorska – powiedziała.

– Mike? Chodzi o Mike'a? O Boże!

Nim Eve zdążyła coś powiedzieć, rozległ się brzęczyk przy drzwiach. Kiedy je otworzyła, z mieszkania na końcu eleganckiego holu wybiegła bosa kobieta w piżamie w pingwiny.

Była w zaawansowanej ciąży, ale poruszała się zdumiewająco szybko.

– Coś złego spotkało Mike'a? – Mocno złapała Eve za ramiona; w jej dużych, brązowych oczach malował się strach. – Proszę mi szybko powiedzieć.

– Nie jesteśmy tu w związku z Mikiem. Niech się pani uspokoje.

– Na pewno? To nie Mike. – Przycisnęła dłoń do sterczącego brzucha i lekko się zachwiała.

Peabody chwyciła ją za ramię.

– Może pani usiądzie, dobrze?

- Nie jesteście psychologami? Nie informujecie krewnych o śmierci?
- Nic z tych rzeczy. – Delia, przemawiając kojącym głosem, ostrożnie zaprowadziła kobietę do mieszkania.
- Przepraszam. To chyba przez te hormony. Teraz cała się składam z hormonów. Chodzi o to, że Mike, mój narzeczony, jest w pracy, więc myślałam... Ufff! Tak, usiądźmy.
- Pani nie jest Cecily Anson – powiedziała Eve, kiedy Peabody, podtrzymując kobietę, przeszła z nią przez drzwi do salonu, równie eleganckiego co hol.
- Nie, Cecily to moja matka. O Boże, czy coś się stało mamie?
- Nie – odparła stanowczo Eve, nim hormony znów zdołały dojść do głosu. – O ile nam wiadomo, wszystko u niej w porządku. Lillith?
- Tak. – Lillith usiadła w dużym, czerwonym fotelu, stojącym pośrodku pomieszczenia pełnego ostrych kolorów. Przesunęła dłońią po masie kręconych, brązowych włosów. – Prawie wszyscy mówią do mnie Lil. Przepraszam za ten atak hysterii. Powinnam być rozsądniejsza. Ostatecznie noszę dziecko gliniarza. – Uśmiechnęła się – miała olśniewający uśmiech – i wróciły jej kolory. – Mike Bennet, detektyw Bennet z komendy głównej. Może go panie znają.
- Ja go znam. – Uznając, że kryzys minął, Peabody usiadła. – Porządny gość.
- To prawda.
- Który to tydzień?
- Trzydziesty pierwszy, czyli jeszcze sporo do rozwiązania. – Lillith położyła ręce na wydatnym brzuchu. – Nie wiem, jak to będzie.
- Eve też nie wiedziała. Czy brzuch Lillith mógł się jeszcze powiększyć? Czy to w ogóle możliwe?
- Czy pani matka jest w domu? – spytała.
- Nie. Mama jest w Adelaide w Australii. Razem z Mikiem mieszkamy na pierwszym piętrze, ale ponieważ akurat trwa tam remont w związku z... – Poklepała się po brzuchu. – Przenieśliśmy się tutaj na czas ich nieobecności. Mike teraz pracuje na noc. Niedługo powinien wrócić do domu. Przepraszam, może napiją się panie czegoś?
- Nie, dziękujemy. Od jak dawna pani Anson nie ma w kraju?
- Od ponad trzech tygodni. Wrócą w przyszłym tygodniu, więc zdążą trochę koło mnie poskakać, nim dziecko przyjdzie na świat. O co chodzi? Powinnam od razu o to zapytać.
- Czy wie pani, czy pani Anson pracuje nad biografią Jonasa Wymanna, tego ekonomisty, albo ma taki zamiar?
- Lillith zmarszczyła czoło, bezwiednie głaszcząc swój brzuch.
- Chyba nie. W tej chwili pisze biografię Marcusa Novacka. Dlatego są w Australii. Budował w buszu szkoły i ośrodki zdrowia. Mama czasami pisze dwie książki jednocześnie albo przynajmniej zbiera do drugiej materiały, ale nigdy nie słyszałam, żeby wymieniła to nazwisko.
- Miesięczny pobyt w Australii wymagał przygotowania, jak przypuszczam. – Peabody mówiła spokojnym głosem i uśmiechała się uspokajająco. – Pewnie już od jakiegoś czasu to planowały.
- Od ostatniego lata, chociaż musieliśmy z Mikiem namawiać je na ten wyjazd. Musiałam przysiąc, że nie zacznę rodzić przed ich powrotem. Już się uspokoiłam. I jak powiedziałam,

jestem zaręczona z gliniarzem. Co ten Wymann ma wspólnego z moją matką?

Eve uznała, że ich rozmówczynie rzeczywiście wygląda na uspokojoną.

– Pana Wymanna zamordowano. W kalendarzu miał zapisane spotkanie z pani matką wczoraj o czwartej po południu.

Lillith tylko pokręciła głową.

– To wykluczone. Mama nie popełnia takich błędów i naprawdę nigdy nie słyszałam, żeby wymieniła jego nazwisko. Chętnie opowiada o swoich planach pisarskich. Teraz rozumiem, dlaczego panie tu przyszły. Byłaby podejrzana, ale jest na drugim końcu świata. Możecie do niej zadzwonić. Podam paniom jej numer.

– Byłabym wdzięczna. Ale nie jest podejrzana. Wierzę pani – powiedziała Eve. – Lecz jej nazwisko widniało w terminarzu zamordowanego, czyli ktoś się nią posłużył, żeby do niego dotrzeć. Powiedziała pani, że matka opowiada o swoich przyszłych książkach. Założę się, że mówiła o swoim wyjeździe.

– Każdemu, kto tylko chciał słuchać. Mamy kochają podróże. I rozumiem panią. Ktoś, kto wiedział, że nie będzie jej w kraju, czyli nie będzie z nią kontaktu, posłużył się jej nazwiskiem. Boże. Ale się zdenerwuje.

Kiedy otworzyły się drzwi, z trudem podniosła się z fotela. Sposób, w jaki powiedziała „Mike”, zdradził Eve, że ziarno strachu, zasiane przez wczesnoporanną wizytę, zdążyło się zakorzenić.

– Cześć, mała, co... – Niemal stanął na baczność, zobaczywszy Eve.

– Pani porucznik.

– Witam, detektywie. To nic takiego. Szukamy pani Anson w związku z prowadzonym śledztwem.

– Cece? – Objął Lillith, patrząc na Eve.

– Podejrzewamy, że ktoś się posłużył jej nazwiskiem, mógł się pod nią podszyć, żeby dotrzeć do Jonasa Wymanna.

– Wymann. Słyszałem o nim. Cześć, Peabody.

– Cześć, Mike.

– Usiądź, Lil.

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Pogładziła go po policzku, trochę zarośniętym po nocnej służbie. – Cieszę się, że widzę twoją twarz. Na początek dnia poproszę o filiżankę tej okropnej kawy. Może zaparzę dla wszystkich?

– Świetnie.

– Zrobię kawę, a w tym czasie pani porucznik wszystko ci powie. Nawet nie zapytałam pani o nazwisko – przypomniała sobie Lillith.

Mike ściągnął ciemną czapkę, ukazując gęstą czuprynę jasnych włosów.

– Rety, Lil, przecież to Dallas!

– To... Och! – Lilly złapała się za brzuch i wybuchnęła śmiechem. – Hormony kompletnie padły mi na mózg. Ależ naturalnie. Dallas i Peabody. Trzy razy obejrzelśmy film, Mike za nim przepada. No cóż, na razie przestanę się martwić o mamuśki. Jeśli Mike uważa, że panie są najlepsze, to tak jest. Zaparzę kawę. Pomoże paniom – dodała, nim wyszła. – Naprawdę dobry z niego gliniarz.

– Musiała to powiedzieć. Ale pomogę, jak tylko będę mógł. – Zdjął kurtkę. Był drobnej

budowy, lecz miał przenikliwy wzrok policjanta. – Edward Mira, Jonas Wymann. Ktoś wziął sobie na cel niezłe szczy. Nie wiem, jak CeCe czy w ogóle któraś z mamusiek może być z nimi powiązana. Są uczciwe do szpiku kości.

– Lillith powiedziała, że od jakiegoś czasu planowały ten wyjazd.

– Tak. – Przysiadł na poręczy fotela, z którego wstała Lillith. – Musieliśmy niemal siłą wypchnąć je za drzwi z powodu dziecka, ale CeCe naprawdę miała ochotę pojechać, wczuć się w atmosferę miejsca, porozmawiać z ludźmi, którzy znali gościa, o którym pisze. Więc poszliśmy na kompromis. Zamierzały wyjechać na sześć tygodni, ale skróciły pobyt do czterech. Rozmawiamy z nimi codziennie. Czasami dwa razy dziennie.

– Czy same dokonywały wszystkich rezerwacji czy skorzystały z jakiejś agencji?

– Annie wszystkim się zajęła. CeCe i Annie, czyli mamuśki.

– Czy możemy otrzymać listę osób, które wiedziały o ich wyjeździe?

Mike wydał policzki.

– Chyba łatwiej byłoby sporządzić listę tych, którzy nie wiedzieli. – Zerwał się, kiedy wróciła Lillith i wziął od niej tacę.

– Czy należą do jakichś klubów, jakichś grup? – spytała Peabody. – Mam na myśli jakieś grupy kobiece.

Eve zauważyła, że Mike zorientował się, o co jej chodzi. Szukały zabójczyń.

– Boże, jasne, że tak. – Wyraźnie rozbawiona, Lillith usiadła, a Mike podał wszystkim kawę. – Zapamiętałam, jaką kawę panie lubią, jeśli pod tym względem pokazali na filmie prawdę. No więc przede wszystkim „Kobieca Siła”. To grupa działaczek-lesbijek. Są jej założycielkami. Chodzą do klubu książkowego, do którego należą głównie kobiety, pomagają w dwóch schroniskach dla maltretowanych kobiet, dla ofiar gwałtów. C-Mom w ramach terapii uczy je pisać, żeby mogły wyrzucić z siebie, co je gnębi, a A-Mom w tym samym celu uczy je malować. Maluje kiepskie akwarele. Nie są okropne, tylko kiepskie. Ale malowanie sprawia jej przyjemność. A w ogóle, to widzę, że wszyscy troje zastanawiacie się, co można powiedzieć w mojej obecności. Mogę wyjść do drugiego pokoju, ale cholernie mnie to wkurzy – dodała na koniec.

– W porządku. – Mike pogłaskał ją po ramieniu. – Przypuszczacie, że ktoś, kogo znały, wykorzystał CeCe jako przynętę?

– To całkiem możliwe. Chciałabym otrzymać nazwiska jak największej liczby ich znajomych.

– Nie zdradzą nazwisk kobiet, które poznały w schroniskach albo podczas sesji terapeutycznych – oświadczyła Lillith. – Nie spodziewajcie się tego.

– Mam już kilka nazwisk na liście podejrzanych – wyjaśniła Eve. – Ktoś wykorzystał pani matkę, żeby dotrzeć do tego mężczyzny na tyle blisko, by móc go zabić. Ma na swoim sumieniu już dwie ofiary. Obawiam się, że na nich nie poprzestanie.

– Pani porucznik, proszę to zostawić mnie. – Mike nie przestawał głaskać Lillith po ramieniu. – Porozmawiam z nimi, wszystko wyjaśnię. Wątpię, by znały imiona i nazwiska kobiet ze schroniska czy uczestniczek sesji.

– Może to ktoś z personelu – podpowiedziała Eve. – Może chodzi o inne wolontariuszki albo kogoś z pracowników.

– W środowe wieczory prowadzą zajęcia zatytułowane „Pozytywne Siły”, w społecznym

ośrodkiem pomocy przy Canal – powiedział im Mike. – Ośrodkiem kieruje weterynarz Suzanne Lipski. Ma dwadzieścia pięć lat, jest bezkompromisowa i bystra. Ale czysta. Sprawdziłem ją.

– Jak mogłeś, Mike!

– Kiedy związałem się z tobą, stały się też moimi mamuškami. To oczywiste, że ją sprawdziłem. Suzanne chroni kobiety, pani porucznik, ale nie będzie chroniła zabójczynie. Zna mnie, więc może uda mi się coś od niej wyciągnąć, jeśli coś wie. Albo przynajmniej przygotuję wam grunt.

– Im więcej nazwisk, tym lepiej. I im szybciej je poznamy, tym lepiej – powiedziała Eve wstając. – Dziękuję za czas, pomoc, kawę. Jak może pani wytrzymać, pijąc tylko jedną filiżankę kawy dziennie?

Lillith pociągnęła łyżeczek kawy.

– Sama codziennie zadaję sobie to pytanie po wypiciu tej filiżanki. Ale jakoś wytrzymuję.

– Ładna z nich para – powiedziała Peabody, kiedy wracały do samochodu. – Wyglądają na uczciwych. A ponieważ Mike ma dojścia, może uda mu się zdobyć kilka nazwisk.

– Może. Warto dać mu szansę. Najwyraźniej ktoś, związany z Anson, wiedział dużo wcześniej o jej wyjeździe z kraju. Mógł więc uciec się do takiego podstępu i nie przejmował się, że policja podąży tym tropem.

W samochodzie Peabody odwinęła trochę szalik.

– Te grupy wsparcia działają jak ksiądz w konfesjonale, zachowują całkowitą dyskrecję. Osoba, która posłużyła się nazwiskiem Cecily Anson, liczyła na to. Na ogół przedstawiają się jedynie imionami, czasami pseudonimami.

– Ale każdy ma twarz – powiedziała Eve i włączyła się do ruchu. – Pokażemy zdjęcia, zobaczymy reakcję. Może nie powiedzą otwarcie, ale jakoś zareagują.

I tego samego spodziewała się od Lydii Su.

Musiła się zadowolić małym, lichym parkingiem i pokonać dwa kwartały na wietrze, który akurat szalał w miejskich kanionach. Peabody znów się opatulila, a Eve wcisnęła na głowę czapkę z płatkami śniegu.

I przypomniała sobie Dennisa Mirę.

– Musimy zapytać pana Mirę o tych trzech mężczyzn, których nazwiska dostałam od córki senatora. Najpierw ich poinformujemy, porozmawiamy z nimi, ale chciałabym poznać jego zdanie.

– Zwykle jego spostrzeżenia okazują się bardzo trafne.

– Owszem. Ale doktor Mira mi powiedziała, że jeśli chodzi o kuzyna, jej mąż ma klapki na oczach. Ona uważa Edwarda Mirę za socjopatę. Powiedziała, że zawsze zastraszał innych i był niewyżyty seksualnie.

– Ostre słowa. Lecz jeśli podążamy właściwym tropem, pasuje.

– To jest właściwy trop. – Eve zatrzymała się przed budynkiem, w którym mieszkała Lydia Su. Smukły drapacz chmur, prawdopodobnie w rodzaju tych, w jakich Nadine szukała mieszkania dla siebie.

Zauważyła, że nie ma portiera. Komputer bez protestów zeskanował jej odznakę.

Zweryfikowano tożsamość porucznik Eve Dallas. Proszę przedstawić cel wizyty i z kim chce się pani spotkać.

– Skoro zeskanowałaś odznakę, to oczywiste, że przychodzę służbowo. Chcemy porozmawiać z Lydią Su, mieszkanie numer dwa tysiące dwieście cztery.

Dziękuję za informację. Powiadomiłem mieszkankę lokalu. Może pani wejść do środka i zaczekać.

Eve weszła do przestronnego, biało-srebrnego holu, gdzie stało kilka jaskrawoniebieskich foteli i donice z okazałymi drzewkami. Znajdował się też tutaj plan budynku.

Dowiedziała się z niego, że mają tu sklep spożywczy, butiki dla mężczyzn i kobiet, a na antresoli jest bank (tylko dla mieszkańców budynku i ich gości). Była też siłownia, dwa bary i trzy restauracje. Biura administracji ulokowano na trzeciej kondygnacji.

Zdażyła się zapoznać z planem budynku, sprawdziła, gdzie się znajduje mieszkanie numer 2204 – w narożu, z oknami na południe i wschód – nim komputer pozwolił im wsiąść do windy.

Goście do lokalu na dwudziestym drugim piętrze – rozległ się komunikat w windzie. – Życzymy miłej wizyty.

– Dlaczego nie mogą się zwyczajnie zamknąć? – zastanawiała się Eve. – Komu potrzebne są życzenia miłej wizyty, złożone przez komputer? Su dość szybko pozwoliła na wpuszczenie nas – dodała i rozejrzawszy się po srebrnej kabinie, zauważyła kamery. – Może spodziewała się tej wizyty po naszej wczorajszej rozmowie z Downing, by potwierdzić jej alibi.

– Szybko się z tym uwinie. Okaze lekkie zdziwienie, zapewni nam pełną pomoc.

– Założę się, że gdybyśmy sprawdzili jej telefon, okazałoby się, że już poinformowała Downing, że tu jesteśmy.

Wysiadły na dwudziestym drugim piętrze. Przeszły szerokim korytarzem, wyłożonym srebrnym dywanem, dotarły do czarnych, błyszczących drzwi z numerem 2204. Dallas jedną ręką nacisnęła guzik dzwonka, w drugiej trzymała odznakę.

Gdy tylko Lydia Su otworzyła im drzwi, Eve pomyślała: jesteś w to zamieszana.

Trwało to tylko ułamek sekundy i zniknęło. W przenikliwych, brązowych oczach Lydii pojawiła się irytacja, ale zaraz zastąpił ją grzeczny i trochę zdziwiony uśmiech.

– Dzień dobry. Czy to w związku z zabójstwem senatora Miry? Rozmawiałam wczoraj z panią detektyw.

– Rozmawiała pani z detektyw Peabody – wyjaśniła Eve, wskazując swoją partnerkę. – Przyszłyśmy zadać jeszcze kilka pytań.

– Ach, tak. Cóż, proszę wejść. Jestem trochę zaspana. Obudziły mnie panie. Wczoraj pracowałam do późna.

– Przepraszamy za to najście. Nie zabierzemy pani dużo czasu.

– Napiją się panie kawy albo herbaty?

– Nie, dziękujemy.

– Proszę usiąść. – Zaprowadziła je do przestronnego salonu, gdzie stały dwa powyginane fotele, a także długa, niska kanapa, której środkowa poducha przypominała pawia

z rozpostartym ogonem. Jakieś tropikalne kwiaty stały w przezroczystym, czworokątnym wazonie, wokół niego leżały błyszczące, czarne kamienie. W oknach wisiały przejrzyste zasłony.

Lydia mierzyła niespełna metr sześćdziesiąt, miała małe stopy. Podeszła do kanapy. Była w kremowej piżamie, na którą zarzuciła długi, czarny sweter, na nogach miała kapcie.

Być może spała, bo późno położyła się spać, pomyślała Eve, ale zdążyła związać proste włosy w koński ogon.

Usiadła wdzięcznie jak tancerka.

– Czym mogę paniom służyć?

– Przedwczoraj spędziła pani dużo czasu z Charity Downing.

– Zgadza się. Zjadłyśmy obiad, trochę pochodziłyśmy po sklepach, zrobiliśmy sobie manikiur. Potem wstąpiłyśmy na drinka, a później postanowiłyśmy zjeść kolację u Charity, obejrzeć coś w telewizji. Wysłałam od niej chyba koło dziewiątej. To był bardzo miły dzień, spędzony z przyjaciółką.

– Na to wygląda. Jak się poznałyście i zaprzyjaźniłyście?

– Słucham?

– Nie wydaje mi się, byście miały ze sobą wiele wspólnego.

Eve wzruszyła ramionami, rozglądając się po salonie. Zatrzymała wzrok na wymyślnej sztabie z brązu w drzwiach. Wymyślna czy nie, w takim mieszkaniu sztaba świadczyła o przesadnej dbałości o bezpieczeństwo.

– Malarka, walcząca o uznanie – ciągnęła – i absolwentka Yale, naukowiec z tytułem doktora. Od jak dawna się przyjaźnicie, a musicie być bliskimi przyjaciółkami, bo Charity nam powiedziała, że tylko pani się zwierzyła, co ją łączyło z senatorem Edwardem Mirą.

– Odkryłyśmy, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Ceniemy sztukę, podoba nam się – na ogół – ta sama muzyka, lubimy oglądać filmy w domu, w ciszy i spokoju. Lubimy swoje towarzystwo. Myślę, że okazałam jej wsparcie i nie starałam się jej oceniać, jeśli chodzi o jej decyzję spotykania się z Edwardem Mirą. Tak, jak się tego spodziewamy po przyjaciółce.

– Zgadza się. A jak się poznałyście?

– Pewnego razu wstąpiłam do galerii, w której pracuje Charity, i po prostu przypadłyśmy sobie do gustu, jak to czasami bywa.

– Szczęśliwy przypadek. Myślałam, że razem brały panie udział w badaniach nad bezsennością.

– Słucham?

– Obie zgłosiłyście się do tych badań.

– No więc... Tak. Ale... Nie byłyśmy w tej samej grupie i wtedy jeszcze się nie znałyśmy.

– Cóż za zbieg okoliczności. Czyli szukała pani jakichś dzieł sztuki?

W oczach Lydii znów pojawił się ten błysk gniewu.

– Tak – powiedziała chłodno. – Właściwie tylko oglądałam, a Charity zna się na malarstwie. Skończyło się na tym, że podczas przerwy poszłyśmy na kawę, no a potem zostałyśmy przyjaciółkami. Czy to takie niezwykle?

– Jak powiedziałam, szczęśliwy traf, tak jak z tą bezsennością. Kupiła pani coś?

– Tak. Tamten obraz. – Wskazała duże studium trzech krzewów, kwitnących na ciemnoróżowo, a w głębi kobietę, odwróconą tyłem, z pochyloną głową.

– Miała szczęście. Czyli wyszła pani od Charity koło dziewiątej. A potem?

– Wróciłam do domu, trochę poczytałam i położyłam się spać.

– A ostatniej nocy?

– Ostatniej nocy? Czemu pani pyta?

– Zamordowano Jonasa Wymanna, bliskiego przyjaciela Edwarda Miry. Czy znów wybrała się pani gdzieś razem z Charity?

– Nie. Byłam w pracy prawie do dziesiątej, potem przyszłam do domu i spędziłam jeszcze trzy godziny nad projektem. Przynajmniej trzy godziny. Położyłam się spać koło drugiej.

– Czy Charity wspomniała pani o Wymannie?

– Nie. Nie przypominam sobie tego nazwiska. Nie sądzę, żeby znała jakichś przyjaciół Edwarda Miry, w przeciwnym razie na pewno by mi powiedziała.

– Nawet, gdyby z nimi też sypiała?

Lydia napięła mięśnie twarzy i zacisnęła – na moment – palce rąk, trzymany na kolanach.

– Ponieważ nie oceniałabym jej, sądzę, żeby mi powiedziała. I jeśli uważają panie Charity za dziwkę, bo okazała się na tyle głupia, żeby sypiać z wpływowym żonatym mężczyzną, który, zdaje się, polował na głupie dziewczyny, to zbyt surowo by ją panie oceniły. Jego śmierć niewątpliwie jest czymś trudnym dla jego przyjaciół i bliskich, ale według mnie Charity i podobne do niej kobiety były jego ofiarami.

– To dość ostry osąd, nie uważasz, Peabody?

– Skłaniam się ku temu.

– Ale wszyscy mamy własną skalę ocen, prawda? A Carlee MacKensie? – spytała Eve tak niespodziewanie, że zobaczyła to, na co czekała: szok, który trwał trochę dłużej niż moment.

– Słucham?

– To dość proste pytanie. Carlee MacKensie. Ale mogę odświeżyć pani pamięć. Obie spędziłyście trochę czasu w ośrodku „Wewnętrzny Spokój”.

W jej oczach pojawił się gniew, ale głos pozostał chłodny i opanowany.

– Mój pobyt w ośrodku „Wewnętrzny Spokój” to moja osobista sprawa.

– Kiedy mamy do czynienia z zabójstwem, nie ma osobistych spraw. Czy poznała tam pani Carlee MacKensie?

– Ponieważ w ośrodku „Wewnętrzny Spokój” obowiązuje pełna dyskrecja, posługujemy się tam tylko imionami. Nie przypominam sobie nikogo o imieniu Carlee.

– Mam jej zdjęcie – odezwała się uprzejmie Peabody i podała Lydii.

Ta rzuciła na nie okiem, a potem odwróciła wzrok.

– Nie przypominam sobie, bym ją znała.

– Wie pani, że to nie koniec zbiegów okoliczności? – Eve nie spuszczała wzroku z twarzy kobiety. – Carlee MacKensie też studiowała w Yale. Tak jak pani. Jak senator Mira, jak Jonas Wymann. Studia na jednej uczelni, bezsenność i ośrodek „Wewnętrzny Spokój”. Tak, to sporo... Jak to się mówi, Peabody?

– Może szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Hmm. Nie to miałam na myśli, ale może być. Szczęśliwy zbieg okoliczności.

Lydia odchyliła się do tyłu i znów położyła złożone dłonie na kolanach.

– Przypuszczam, że z uwagi na charakter waszej pracy muszą panie być podejrzliwe.

Jakie to przykre.

– Przykre? Nie. To daje mi rano kopa. – Eve uśmiechnęła się, rozmyślnie drapieźnie. – Bardziej przykro jest tym, którzy sądzą, że unikną kary za zabójstwo.

– Mogę tylko powiedzieć, że spędziłam dzień z Charity, jak już opisałam. Czy jeszcze jakoś mogę paniom pomóc?

– Nie, to nam wystarczy. – Eve wstała. – Dziękujemy za poświęcony nam czas.

Przystanęła koło drzwi.

– Och, może pani poinformować swoją dobrą przyjaciółkę, że ją też jeszcze raz odwiedzimy. Podejrzliwość daje mi kopa nie tylko rano, lecz przez cały dzień.

Wyszły i skierowały się do windy. Eve spojrzała na długi, elegancki korytarz.

– Kłamie jak z nut.

– Muszę ci przyznać rację. Ale zalażaś jej za skórę i to nieraz. Mało brakowało, a by się wygadała, kiedy wspomniałaś o MacKensie. Rozpoznała ją na zdjęciu, a nie spodziewała się, że o nią zapytamy.

– Nie ulega wątpliwości. Ciekawe, że powiedziała, że Edward Mira polował na Charity i kobiety do niej podobne. I to ma być obiektywizm. Akurat – powiedziała, kiedy wsiadały do windy. – Zachowała się jak sędzia, ława przysięgłych i kat. I była bardzo z siebie dumna. Zaczniemy ją rozpracowywać.

To, że doktor Su kłamie – i można było założyć, że Downing oraz MacKensie również – jeszcze wcale nie świadczyło, że są zabójczyniami.

Ale Eve z pewnością to udowodni.

W tym celu musiała porozmawiać z innymi mężczyznami, którzy być może należeli do owego bractwa.

Najbliżej znajdowała się miejska rezydencja Easterdaya. Dwa trójkondygnacyjne szeregowe domki przy Park Avenue przerobiono na jeden okazały dom.

Drzwi otworzyła im kobieta w prostym, czarnym kostiumie. Miała szeroką, pospolitą twarz.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody z policji nowojorskiej. Chciałybyśmy porozmawiać z panem Easterdayem.

– Pan Easterday nie przyjmuje dziś gości.

– Nie przyszłyśmy tu z wizytą towarzyską. Proszę mu powiedzieć, że jesteśmy z policji.

– Proszę poczekać w holu... Jest bardzo zimno. Spytaam pana Easterdaya, czy panie przyjmie.

Białe marmurowe posadzki i ciemne drewno sprawiały, że w ocenie Eve przestronny hol wyglądał ostentacyjnie dostojnie. Spojrzała na wielopiętrowy żyrandol pod sufitem i pomyślała, że właśnie na nim zabójczynie powiesiłyby Easterdaya, gdyby miały szansę.

Poniewczasie przypomniała sobie o czapce, ściągnęła ją, wcisnęła do kieszeni, przecesała palcami włosy.

Po chwili jakaś kobieta zaczęła schodzić po szerokich schodach.

Miała na sobie czarny kostium, lecz w przeciwieństwie do tej pierwszej, nie było w niej nic pospolitego. Kostium leżał idealnie na jej smukłej figurze, podkreślając krągłości, i delikatnie połyskiwał w świetle kryształowego żyrandola.

Ciemnoblond włosy szesała z twarzy i zwinęła w kok nad długą szyją. Żona pana Easterdaya mogła być po pięćdziesiątce, pomyślała Eve, ale wiedziała, jak cofać zegar.

– Pani porucznik, pani detektyw, jestem Petra Easterday. – Wyciągnęła szczupłą dłoń z błyszczącym brylantem na palcu najpierw do Eve, potem do Peabody. – Mój mąż jest niedysponowany. Dziś rano dowiedział się o śmierci swojego bliskiego przyjaciela.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. To już drugi jego bliski przyjaciel, który poniósł śmierć w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Tak, i Marshall jest zwyczajnie zdruzgotany. Prawdę mówiąc, dopiero co byłam na górze i próbowałam go przekonać, żeby wziął środek uspokajający i się położył.

Z niepokojem wypisanym na twarzy spojrzała w kierunku schodów.

– Postaram się paniom pomóc, ale mój mąż w tej chwili absolutnie nie może z nikim się

spotkać.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy rozległ się odgłos kroków. Petra westchnęła.

– Och, Marshallu, powinieneś wypoczywać.

– Kochanie, policja tylko wykonuje swoje obowiązki.

Wcale nie wyglądał na zdruzgotanego, pomyślała Eve, choć z całą pewnością był przygnębiony. Cienie pod oczami i bruzdy wokół ust świadczyły, że mocno przeżywa śmierć przyjaciela.

Chociaż był wysoki, garbił się, jakby na swoich barkach dźwigał zbyt wielki ciężar.

Też ubrany był na czarno, miał na ramieniu czarną opaskę. Niebieski krawat w stonowanym odcieniu zawiązał na podwójny windsorski węzeł.

– Petra, moja droga, chętnie napiłbym się kawy.

Kiedy jedynie uniosła brew, uśmiechnął się lekko.

– W takim razie herbaty, gdybyś była taka dobra.

– Zajmę się tym. Mam nadzieję, że obie panie uszanują to, że mój mąż jest pogrążony w żałobie – powiedziała Petra, nim ich opuściła.

– Jest bardzo opiekuńcza. Porucznik Dallas, prawda? I detektyw...

– Peabody.

– Tak, naturalnie. Proszę wejść, usiąść.

Salon urządzony był równie oficjalnie, jak hol, atmosferę łagodził jedynie ogień, płonący w białym, marmurowym kominku. W wazonie stały róże czerwone jak krew, duża kanapa miała obicie w kwiatowy deseń, więc siedzący na niej czuł się, jakby odpoczywał w ogrodzie.

Easterday zajął miejsce w fotelu-uszaku, westchnął.

– Wydaje mi się... To wszystko wydaje mi się czymś niemożliwym. Jeszcze się nie oswoiłem ze śmiercią Edwarda, a teraz Jonas. Czy pani już kogoś podejrzewa?

– Nie możemy rozmawiać o szczegółach śledztwa. Przykro mi z powodu śmierci dwóch pańskich przyjaciół – powiedziała Eve – i rozumiem, że jest to dla pana trudny okres.

– Od ponad dwudziestu lat nie zajmuję się prawem karnym – zostawiłem to swojej córce – ale znam procedury. Czy ma pani do mnie pytania w związku ze śledztwem?

– Tak. W ciągu dwóch dni stracił pan dwóch przyjaciół, panie Easterday. Ktoś ich zamordował. Dwóch mężczyzn, których znał pan od czasów studenckich, czyli od około pięćdziesięciu lat, z którymi utrzymywał pan bliskie kontakty. Na tyle bliskie, że trafił pan na listę.

Easterday zrobił wielkie oczy.

– Podejrzanych?

– Nie, proszę pana. Kolejnych ofiar.

Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku holu.

– Coś takiego zdenerwuje moją żonę.

– Bardziej się zdenerwuje, jeśli ponownie się tu pojawię, by ją powiadomić, że został pan zamordowany.

Wstał z fotela.

– To śmieszne. Nikt nie ma powodu, żeby mnie zabić.

– Ale miał powód, żeby zabić pańskich przyjaciół?

Znów usiadł i rozłożył ręce.

– Przyjaźniłem się z Edwardem dłużej niż przez połowę swojego życia. Jako jego przyjaciel mogę powiedzieć, że bywał człowiekiem trudnym, nawet szorstkim. Niewątpliwie miał przeciwników politycznych jako senator i później, stojąc na czele instytutu.

Wiedział, na co się zanoszą, pomyślała Eve. Wiedział, że powstanie lista, na której się znajdzie. Żał zalem, ale się przygotował.

– A Jonas Wymann?

– Też zajmował się polityką. Z całą pewnością już to pani wie. Jonas był zdolny, ale jego poglądy nie zawsze cieszyły się popularnością. Przez wiele lat był człowiekiem bardzo wpływowym.

– Są jeszcze inne powiązania między nimi... – zaczęła Eve.

Petra weszła do pokoju tuż przed służącą, która pchała przed sobą duży wózek-barek.

– Dziękuję, Marian. Resztą zajmę się sama.

Służąca nie ukloniła się, lecz Eve wyczuła, że miała taki zamiar.

– Dam sobie radę, Petro.

– Nie wyjdę stąd. – Ton jej głosu był uprzejmy, jednak zabrzmiała w nim nieugięta nuta. – Śmietanki? Cukru? – zwróciła się do Eve.

– Nie, dziękuję.

– Pani detektyw?

– Odrobina śmietanki, dwie kostki cukru. Dziękuję.

– Nie warto się spierać, Marshallu – ciągnęła, nalewając herbatę. – Nie wyjdę stąd. Mówiła pani coś o powiązaniach, pani porucznik.

– Obie ofiary łączyło ze sobą i z panem, panie Easterday, coś więcej niż polityka.

Petra gwałtownie nabrała powietrza, podając Eve herbatę, o którą ta wcale nie prosiła.

– Sądzi pani, że Marshall... Że ten, kto zabił Edwarda i Jonasa, może spróbować zrobić coś Marshallowi?

– Posłuchaj, Petro...

– Nie uspokajaj mnie, Marshallu. Kiedy minął szok spowodowany wiadomością o śmierci Jonasa, właśnie taka myśl przyszła mi do głowy i aż coś ścisnęło mnie w gardle. Odpędziłam tę myśl, ale... – Spojrzała na Eve, w jej oczach malowało się śmiertelne przerażenie. – Jest pani tego samego zdania?

– Musimy to brać pod uwagę i przedsięwziąć pewne kroki, żeby zapewnić pani mężowi bezpieczeństwo.

– Tak. Oczywiście. Musimy to potraktować poważnie. Bardzo poważnie.

– Moja droga, Edward i Jonas mieli wspólne poglądy polityczne, których ja nie podzielałem.

Petra tylko pokręciła głową.

– Przyjaźniliście się od kilkudziesięciu lat. Regularnie się spotykaliście na gruncie towarzyskim, razem graliście w golfa i pokera, razem podróżowaliście. Razem mieszkaliście dawno temu, w... O Boże! Fred i Ethan!

– Czyli Frederick Betz – powiedziała Eve. – A Ethan to kto?

– Ethan MacNamee – wyjaśnił Easterday. – Też mieszkał razem z nami w Yale. Edward

nie utrzymywał z nim zbyt bliskich kontaktów. Ethan większość czasu spędza w Glasgow, spotykam się z nim raz na kilka miesięcy.

– A kiedy jesteście razem, ma się wrażenie, że od tamtych czasów wcale nie upłynęło aż tyle lat – powiedziała Petra. – Jesteście jak bracia.

– Bractwo – powiedziała Eve, obserwując twarz Easterdaya.

Zachował kamienną twarz, lecz na ułamek sekundy odwrócił wzrok.

– Tak. Można powiedzieć, że jesteśmy jak bracia. Straciłem dwóch.

– Trzech – wtrąciła cicho Petra i ujęła dłoń swojego męża. – Sześciu was mieszkało w jednym domu w Yale. Ten trzeci to William Stevenson, Billy. Zginął tragicznie tuż przed naszym ślubem, moim i Marshalla.

– Co się stało?

– Cierpiał na depresję. – Marshall potarł skronie. – Zainwestował spore pieniądze w nowe przedsięwzięcie, które poniosło klęskę, akurat znajdował się w trakcie rozwodu z drugą żoną. Bardzo trudnego rozwodu. Jego ojciec był – i nadal jest – człowiekiem surowym, potępił go. To była okropna seria ciosów.

– Popełnił samobójstwo?

– Tak, bez oficjalnej zgody, nie poddawszy się obowiązującej terapii. Wyjechał do domu rodzinnego w Connecticut, zamknął się w swoim dawnym pokoju i powiesił.

– Powiesił się?

– Nie można tego wiązać z obecnymi morderstwami. To niewątpliwie było samobójstwo, do tego popełnione ponad piętnaście lat temu. I chociaż wszyscy się przyjaźniliśmy, Edward i Jonas byli z sobą najbliżej. Mieli więcej wspólnych zainteresowań. No i te poglądy polityczne i ekonomiczne.

– Co jeszcze ich łączyło? – spytała Eve. – Edward Mira miał liczne kochanki.

Easterday uderzył się pięścią w udo.

– Nie zamierzam tu siedzieć i ich oczerniać, kiedy obaj leżą w kostnicy.

Wybuch wściekłości był prawdziwy, lecz zaił się pod nim strach.

– Mam tu nazwiska kobiet, z którymi Edward Mira się spotykał w ciągu ostatniego roku. Jedna z nich może być odpowiedzialna za to, co mu zrobiono. Muszę wiedzieć, czy Jonas Wymann też umawiał się z tymi kobietami albo czy miał podobne skłonności do romansów co senator Mira.

– Marshallu. – Zanim otworzył usta, nim mógł wyładować złość, którą Eve widziała w jego oczach, Petra ujęła jego dłoń. – Nie żyją. Z tego powodu powinienes powiedzieć wszystko, co wiesz. Jesteś im to winny. Proszę cię.

– Edward nie krył się z tym, że lubi się spotykać z kobietami, chociaż był żonaty. I Mandy o tym wiedziała. – Easterday cedził kolejne słowa. – Ich małżeństwo to ich prywatna sprawa. Jonas był bardziej powściągliwy, ale... Z całą pewnością jego romanse stanowiły przyczynę, że oba małżeństwa zakończyły się rozwodem. Nic mi jednak nie wiadomo, by ich kochankami były te same kobiety.

– A pan, panie Easterday? Czy pan też zdradza swoją żonę?

– Koniec rozmowy.

– Nie! – Petra teraz złapała go za ramię. – Nasz związek z Marshalllem w równym stopniu opiera się na zaufaniu, co na miłości i szacunku. Wiem, że zdradzał swoją pierwszą żonę.

Mój pierwszy mąż też miał kochanki. Przez ponad rok nie chciałam wyjść za Marshalla, bo mu nie ufałam. Poznaliśmy się wkrótce po tym, jak oboje się rozwiedliśmy.

– Odkąd związałam się z tobą, nie wdałam się w żaden romans.

– Wiem. – Dotknęła dłonią jego policzka. – Żyłam pod jednym dachem z mężczyzną, który mnie zdradzał – zwróciła się do Eve. – Znam sztuczki, do jakich się uciekają. Wszystkie, bez wyjątku. Przysięgam sobie, że już nigdy nie związę się z kimś takim. Dotrzymuję danego słowa, pani porucznik. Moje małżeństwo z Marshalllem jest wzorowe, zbudowane na zaufaniu, wierności i szacunku.

– Będzie pani wiedziała, gdzie i czego szukać – powiedział Marshall do Eve. – Może pani sprawdzić moje finanse, podróże, może pani porozmawiać ze wszystkimi z mojej firmy. Odkąd poznałem Petrę, nie wdałam się w żaden romans.

– A Betz?

– Pani porucznik, doceniam pani troskę o moje bezpieczeństwo, szanuję pani pracę, lecz nie zamierzam plotkować o swoich przyjaciółach. Proszę osobiście z nim porozmawiać.

– Mam taki zamiar. Czy przyjaźni się pan z senatorem Fordhamem?

– Właściwie nie. To przyjaciel Edwarda. Naturalnie spotykamy się na gruncie towarzyskim, ale uważam go jedynie za znajomego.

– Czyli że nie jest bratem.

– Nie – odpowiedział kategorycznie Easterman. Drgnęła mu ręka, w której trzymał filiżankę z herbatą. Odstawił filiżankę. – Wystarczy. Nie rozumiem, jak nasza rozmowa może pani pomóc. Zmusza mnie pani, żebym był niełojalny wobec moich zmarłych przyjaciół. Chcę teraz odpocząć.

– Tak, powinieneś odpocząć – zgodziła się z nim żona. – Odprowadzę panie do wyjścia i zaraz przyjdę do ciebie na górę.

Według Eve, kiedy mężczyzna opuszczał pokój, na jego barkach spoczywał jeszcze większy ciężar.

– Mamy pierwszorzędny alarm – powiedziała Petra. – Przypilnuję, żeby cały czas był włączony. Marshall nigdzie beze mnie nie wyjdzie. Mogę zatrudnić prywatnego ochroniarza dla niego, póki śledztwo nie zostanie ukończone, jeśli według pani należy to zrobić.

– Myślę, że to nie zaszkodzi. Nie powinien sam jeździć na żadne spotkania – odrzekła Eve, wstając. – W taki sposób zwabiono obie ofiary.

– Nie jest do nich podobny... Nie pod tym względem. Kochał swoich przyjaciół, ale nie jest taki, jak oni. A ja nie jestem taka, jak Mandy Mira, pani porucznik. Proszę mi wierzyć.

– Wierzę pani. – Eve wytrzymała jej spojrzenie. – Wierzę pani. Dziękuję za poświęcony nam czas i za pomoc.

Gdy wyszły na ulicę, wzięła głęboki oddech.

– Wrażenia, Peabody?

– Wie o czymś, wie o czymś, lecz nie zwierzył się z tego żonie. Nie chce, żeby się dowiedziała. I robi w portki ze strachu. Ale zorientowałaby się, gdyby ją zdradzał, i jego zapewnienie, że jest jej wierny, zabrzmiało szczerze.

– Nie użył tego słowa – zwróciła jej uwagę Eve. – Powiedział, że nie wdał się w żaden romans, nie spotykał się z innymi kobietami. Według mnie to pewna różnica.

- Nie dosłyszałam tego.
- Nie uganiał się za innymi kobietami jak jego przyjaciele. Zorientowałyby się, gdyby to robił. I rzuciłaby go. Ale bara-bara w hotelu, drinki, może kolacja, rozmowa? To co innego niż obranie sobie na cel jakiejś kobiety, zgwałcenie jej, a potem szukanie kolejnej ofiary.
- Jezu.
- Tak. I dużo wie. Do tego się boi. Boi się, jest wściekły i przyjął pozycję obronną. Należy do bractwa, Peabody, jest lojalny wobec przyjaciół, próbuje ukryć przed żoną, że jako członkowi tego bractwa jemu i pozostałym grozi śmierć. Przekonajmy się, czy uda nam się wycisnąć coś więcej z Betza.

Dom Fredericka Betza w Upper East Side kiedyś był małym, ekskluzywnym hotelikiem dla absurdalnie bogatych gości. Dlatego w okresie wojen miejskich stał się celem ataków. Nie zrównano go z ziemią, lecz pozbawiono marmurów, kamienia, stolarki, złocień, kryształów i srebrzeń.

Przez prawie dwadzieścia lat stał pusty – przygnębiona, pokryta graffiti ruina, nim Betz, człowiek niezwykle przedsiębiorczy, kupił go za bezcen akurat na samym początku mody na rewitalizację.

Wydał dokładnie dziesięć razy więcej, niż zapłacił za mury, by przemienić dom w swój prywatny pałac. Wydając miliony, Betz jeszcze raz udowodnił, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że dobrego smaku nie można kupić za żadne pieniądze.

Nad łukowato zakończonymi drzwiami frontowymi, pomalowanymi czerwoną, błyszczącą farbą, tłusciutkie cherubinki w czymś, co przypominało mikrostringi, figlowały ze skośnookimi centaurami i skrzydlatymi końmi. Trzygłowy pies szczyrzył zęby; smoki o groźnym spojrzeniu pluły ogniem.

Niektóre amorki miały łuki oraz strzały i wyglądały, jakby były gotowe ich użyć.

Eve nie mogła się zdecydować, czy w zamiarze twórcy miało to być żartobliwe czy obsceniczne.

– Jest zwyczajnie odrażające – oświadczyła Peabody.

– Tak, to najlepsze określenie. Odrażające.

Eve spojrzała na czytnik dłoni i zauważyła, że przymocowano go do ściany budynku lśnącymi, złotymi palcami. Doszła do wniosku, że są ludzie i ludziska.

Nacisnęła guzik dzwonka, ukrytego w gąszczu złotych winorośli.

Dzień dobry – rozległ się komputerowo wygenerowany głos z silnym, brytyjskim akcentem.

– Państwo Betz w tej chwili nie przyjmują gości. Proszę zostawić swoje nazwisko, to ktoś z personelu się skontaktuje.

– Zeskanuj to – poleciła Eve i wyciągnęła swoją odznakę. – Porucznik Dallas z nowojorskiej policji. Muszę natychmiast porozmawiać z panem Betzem.

Jedną chwileczkę.

Czerwony promień zeskanował odznakę.

Potwierdzono tożsamość porucznik Dallas. Niestety, pana Betza nie ma w domu. Jeśli chce się pani skontaktować z jego osobistym sekretarzem albo z asystentką...

– W takim razie z panią Betz – przerwała mu Eve.

Niestety, pani Betz nie ma w domu. Jeśli chce...

– Daruj sobie. Kto jest w domu? Porozmawiam obojętnie z kim, byleby nie z maszyną.

Jedną chwileczkę.

– Zadzwoń do jego biura – powiedziała Eve do Peabody. – Spróbuj z kimś porozmawiać. Chcę wiedzieć, gdzie, do diabła, jest Betz.

– Jedną chwileczkę – powiedziała Peabody, nie mogąc się oprzeć pokusie, i odszedłszy kilka kroków wyjęła telefon.

Nim Eve zdecydowała, czy ma warknąć czy prychnąć, usłyszała szcęk odblokowywanych zamków.

– Pani porucznik, pani detektyw, proszę wejść.

– Sila! Pracuje pani tutaj?

– Tak, proszę pani. – Właścicielka firmy sprzątającej skinęła głową, cofnęła się, żeby je wpuścić do środka. – Od sześciu miesięcy. Pani Betz zrezygnowała z usług poprzedniej firmy sprzątającej, dostała namiary do nas od senatora Miry. Czy coś się stało?

– Jeszcze nie wiem. Muszę odszukać Fredericka Betza.

– O rety, nie mam pojęcia, gdzie może być. Wiem, że pani Betz powiedziała, że wybiera się do ich domu w Bimini, chyba tak się to nazywa, z dzieckiem, nianią i pomocnicą niani.

– Niania ma pomocnicę?

Sila uśmiechnęła się znacząco.

– Och, jak najbardziej. I zdaje mi się, że pani Betz zabrała również swoją osobistą sekretarkę. Może pan Betz miał zamiar do nich dojechać – nie powiedziała tego. Ale zaczęliśmy sprzątać od góry i w głównej sypialni jest bałagan jak zwykle. Ale nie mogę powiedzieć, czy zauważyłam, że nie ma jakichś jego rzeczy, jakby się spakował na wyjazd.

– Kto tu jest oprócz pani?

– Och, moja mama i Dara, moja córka. We trzy musimy tu sprzątnąć przez dwa dni. Jest tu tyle zakamarków i ozdóbek. Chociaż mają droida, który sprząta codziennie. My przychodzimy dwa razy w miesiącu, sprzątamy wtedy cały dom od piwnic po dach.

– Silo, mam do pani prośbę. Proszę na razie przerwać sprzątanie.

– Nie... Dobrze. – Wyjęła z kieszeni telefon i napisała krótką wiadomość. – Może mi pani powiedzieć, dlaczego?

– Zamordowano kolejną osobę, przyjaciela senatora. Odwiedzam innych jego przyjaciół.

– O mój Boże! Co mamy robić? Przez ponad godzinę sprzątałyśmy sypialnie.

– W porządku. Nie dotykajcie niczego innego. Dobrze by było, gdybyśmy mogły porozmawiać z domowym droidem.

– Jest w pakamerze koło kuchni, ale nie wiem, jak się go uruchamia. Pani Betz powiedziała, że pan Betz wyłączy droida na czas ich nieobecności i zdalnie go zaprogramuje, żeby uruchomił się przed ich powrotem, odświeżył dom.

– Jeśli nie uda nam się go uruchomić, ściągniemy kogoś z wydziału przestępstw

komputerowych. Peabody?

– Przełączają mnie do jego sekretarki. Inni nie wiedzą albo nie chcą powiedzieć, gdzie jest ich szef.

– Dobrze. Może nas pani zaprowadzić do droida, Silo?

– Naturalnie.

Zabrała je w głąb domu, przeszły przez hol ze stawem z karpiami koi i ogromnym, złotym żyrandolem z setką...

– Zawijasów – powtórzyła Eve, czym rozśmieszyła Silę.

– Oraz koszmarów i badziewia. Przysięgam, że musieli zużyć ze dwie tony złotej farby oraz pół hektara jedwabiu i aksamitu. Jeśli gdzieś można dać frędzel, dają ich sześć.

Pokręciła głową, kiedy mijały dzieła sztuki – znowu figlujące amorki, mnóstwo kobiet w białych, przejrzystych, zwiewnych szatach, mężczyźni z mieczami albo łukami – a wszystko to w ozdobnych, złoconych ramach.

– Kiedy obejrzałam ten dom, zażądałam dwa razy więcej pieniędzy, niż zwykle biorę. Pani Betz nawet nie mrugnęła okiem, więc obie jesteśmy zadowolone. Porucznik Dallas, każde z nich ma swoją własną łazienkę. Nic nadzwyczajnego, ale on ma w swojej barek. Prawdziwy barek, ze stołkami! A ona wstawiła do swojej długą sofę, obitą różowym jedwabiem, i chłodziarkę na wino. W łazience! Chciałam powiedzieć, że nie znam nikogo, kto by podejmował gości w łazience, bez względu na to, jaka jest wytworna.

Przeszły pod łukowymi przejściami, prowadzącymi do pomieszczeń zastawionych meblami, na których leżało tyle poduszek (z setkami frędzli), że nie było miejsca, żeby usiąść.

Eve nie wiedziała, czego się spodziewać w kuchni, ale krwista czerwień była tu dominującym kolorem.

Kilometry szafek z czerwonymi frontami, czerwony sprzęt – dwie ogromne lodówki, piekarniki, kuchnia. Blaty były białe, a podłoga – czarna jak noc.

– Okropne, prawda? Sprzątam wiele domów i wiem, że każdy człowiek ma własny gust. Ale to tutaj? Moja mama mówi, że wszystkiego tu nadmiar.

Sila okrążyła centralną wyspę, a następnie podbiegła do drzwi – naturalnie czerwonych – po lewej stronie, z płaskorzeźbami, przedstawiającymi ludzkie postacie w różnym stopniu roznegliżowane, obżerające się owocami, leżącymi w misach, rosnącymi na drzewach albo krzewach, bądź podawanymi przez inne osoby.

– Tutaj trzymają droidy. Domowego droida i jego pomocników – powiedziała Sila, wskazując ręką. – Droida odkurzającego, szorującego i tak dalej. Ale to jest, można powiedzieć, główny droid.

Eve podeszła do droida w ciemnym garniturze. Wysoki, szczupły, dystyngowany, według niej trochę przypominał Summerseta. Miał ciemne włosy, przyprószone siwizną, cienkie usta, wydatne kości policzkowe.

Obejrzała się i zobaczyła, jak Peabody kiwa głową i unosi palec, nie przerywając rozmowy telefonicznej. Eve zbliżyła się do automatu i zaczęła szukać włącznika.

Ucieszyła się, kiedy znalazła go z lewej strony pod włosami.

Droid cicho zaszumiał, poruszył jasnoniebieskimi oczami, zamrugał powiekami.

– Dzień dobry – powiedział z takim samym silnym akcentem brytyjskim, jak głos

w domofonie. – Nazywam się Stevens. Obawiam się, że bez zgody pana albo pani Betz nie będę mógł dziś w niczym pomóc.

Eve wyjęła swoją odznakę.

– Zeskanuj to i zweryfikuj. Jestem z policji. Potrzebna mi informacja. Albo mi jej udzielisz, albo zabiorę cię do komendy, gdzie informatycy ją z ciebie wyciągną.

– Jedną chwileczkę.

– Oczywiście.

– Tożsamość potwierdzona. Porucznik Eve Dallas. Czy to coś pilnego?

– Mam nadzieję, że nie.

– Dallas!

Dała droidowi znak, żeby zaczekał i odwróciła się do Peabody.

– Jego sekretarka mówi, że spodziewają się go dziś rano. Później zamierza dołączyć do swojej żony. Nie pojechał razem z nią. Ona wyjechała wczoraj rano, on wybiera się jutro albo pojutrze.

Eve znów odwróciła się do droida.

– Kiedy pan Betz wyszedł z domu?

– Nie mogę dokładnie odpowiedzieć. Pani Betz wyłączyła mnie wczoraj rano o dziesiątej trzydzieści osiem, przed swoim wyjazdem. Pan Betz już wcześniej opuścił dom. Udał się do swojego biura koło dziewiątej piętnaście.

– Kiedy wrócił?

– Nie mogę udzielić dokładnej odpowiedzi, bo wyłączono mnie wczoraj o dziesiątej trzydzieści osiem rano.

– Czy Betz zwykle cię uruchamiał, kiedy wracał do domu?

– Na ogół tak.

– Jak pan Betz jeździ do biura?

– Dzwoni po kierowcę do Royal Limo and Transportation Service. Najczęściej wozi go Georgie. Niestety nie znam jego nazwiska.

– Peabody.

– Już działałam.

– Wiesz, czy pan Betz miał umówione jakieś spotkania wczoraj tutaj, w domu?

– W moim kalendarzu brak informacji na ten temat.

Może nie był umówiony, pomyślała Eve, i wzięły go z zaskoczenia.

Ale go dorwały.

– Będą mi potrzebne informacje, jak można się skontaktować z panią Betz, i gdzie jest centralka alarmu w domu. Najpierw centralka alarmu.

– Dallas, na dziś rano nie zamówił kierowcy.

– Domyśliłam się tego.

Droid poprowadził je przez drugie drzwi. Jedno spojrzenie powiedziało Eve wszystko.

– Brak twardego dysku i dyskietek. Betz zniknął. Dorwały go.

Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Silę. Sprzątaczką stała, przyciskając ręce do brzucha i trzymając się za łokcie.

– O mój Boże, pani porucznik. O mój Boże. Sądzi pani, że... Jeszcze nie wchodziliśmy do wszystkich pomieszczeń w domu. Czy sądzi pani, że...

– Jeszcze nie. Poproś swoją mamę i... Darę, prawda? Poproś je, żeby zeszły na dół, do pokoju od frontu. Będziecie mi musiały dokładnie powiedzieć, czego dotyczyłyście dziś rano. Peabody...

– Już dzwonię do komputerowców. Chcesz, żeby przyjechali tu Baxter i Trueheart?

– Niech jadą porozmawiać z jego sekretarką. Razem z kimś z wydziału przestępstw komputerowych. Prawdopodobnie będzie nam potrzebny nakaz, ale przypuszczam, że mamy podstawy, by o niego wystąpić. Niech ktoś pilnuje domu Easterdaya, a także innych. Prawdopodobnie w tej chwili nic mu nie grozi, jednak lepiej dmuchać na zimne.

Na uratowanie Betza może już być za późno, pomyślała, czyli trzech w ciągu trzech dni. Lecz za nic nie dopuści, żeby jeszcze ktoś dołączył do tej trójki.

Eve zebrała sprzątaczkę i najpierw wysłuchała „emerytowanej” Frankie.

– Zaczęłyśmy od górnego piętra, gdzie są sypialnie, od głównej sypialni z dwiema łazienkami. Na pierwszy ogień poszły łazienki i dwa pokoje dzienne. Sila powiedziała, że mogę się wziąć do pokoju dzieciennego. Właśnie miałam się tam udać, kiedy zeszła na dół, żeby pani wpuścić, a potem kazała nam pani przerwać porządki.

– Rozumiem. Coś panią uderzyło?

– Nie, ale kiedy kazała nam pani przerwać sprzątanie, pomyślałam sobie: aha, coś się kroi, więc zajrzałam do apartamentu gościnnego, tego złotego. To ten duży, w drugim końcu domu niż sypialnia państwa. I zobaczyłam, że jest przygotowany.

– Na co przygotowany?

Frankie lekko skrzywiła usta.

– Na to, co nazywamy *rendezvous*. Butelka francuskiego szampana w srebrnym wiaderku, teraz pełnym wody, bo lód się rozpuścił. Dwa smukłe kieliszki do szampana, kilka truskawek w czekoladzie. Białej i ciemnej, chociaż biała to nie prawdziwa czekolada, prawda?

– Nieważne – Eve usłyszała swój głos.

– Róża na jednej poduszce na łóżku, a ponieważ jestem wścibska, zajrzałam do szuflady nocnej szafki i zobaczyłam tam zabawki dla dorosłych. Przypuszczam, że pan spodziewał się wizyty jakiejś kobiety. Zresztą nie pierwszy raz.

– Nie pierwszy raz?

– Sprzątałam ten pokój dwa razy, odkąd robimy porządki w tym domu. Korzystano z tego pokoju dwa razy, w obu przypadkach wtedy, kiedy wiedziałyśmy, że pani wyjechała na dzień czy dwa. Ktoś spał w łóżku, a ściele łóżka już od tylu lat, że wiem, kiedy ktoś się na nim kochał. No i wiaderko, pusta butelka, kieliszki i tak dalej. Korzystano również z łazienki. Tym razem nikt nie spał w pokoju ani nie korzystał z łazienki, ale wszystko było przygotowane.

– Mamo. – Sila pokręciła głową. – Przesadzasz.

– Senatora Mirę spotkało coś strasznego, a potem tego drugiego mężczyznę też. Wiem, bo kiedy czekałyśmy na górze, poprosiłam Darę, żeby sprawdziła w swoim smartfonie, czy popełniono kolejne morderstwo. I okazało się, że tak. Straszna rzecz, chociaż nic a nic nie lubiłam senatora Miry. Ale nikt nie ma prawa nikogo zabijać, szczególnie w tak okrutny sposób, tylko dlatego, że ten ktoś jest kutasem.

Dara zachichotała, ale szybko zasłoniła sobie usta dłonią.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Pani Trent, naprawdę bardzo nam pani pomogła. Czy zauważyła pani

jeszcze coś?

Frankie wciągnęła powietrze nosem, zmarszczyła czoło.

– Cóż, nie wiem, czy okaże się to pomocne, ale wydaje mi się, że po powrocie do domu zdjął garnitur. Rzucił go na fotel w sypialni, a pod fotelem stały eleganckie buty. Nikt w tym domu nie odkłada niczego na swoje miejsce. Nie mogę powiedzieć, w co się przebrał, ale wydaje mi się, że wrócił do domu, wziął prysznic i włożył świeże ubranie. A potem zaczął przygotowywać ten apartament gościnny. Chyba uważa, że to się nie liczy, jak nie baraszkuje z nimi w łóżku, które dzieli z żoną. Daro, możesz zasłonić sobie usta dłonią, bo zamierzam powiedzieć, że mężczyzna, który zdradza żonę, to kutas. Chociaż mam nadzieję, że go nie zabili z tego powodu.

Ponieważ Eve była takiego samego zdania, nie oponowała.

Zadała jeszcze kilka pytań, żeby się przekonać, czy kobiety jeszcze czegoś sobie nie przypomniały. I pozwoliła im iść do domu.

Peabody dołączyła do Eve w holu.

– Udało mi się złapać żonę Betza – odezwała się Peabody. – Staralam się mówić oględnie, a ona była zbyt pochłonięta porannym masażem, żeby czegokolwiek się domyślić. Poza tym jest głupia jak but z lewej nogi, co według mnie jest niesprawiedliwe dla buta. Mówi, że „Freddy” dojedzie do nich jutro albo może pojutrze. Musiała najpierw trochę pobyć sama. Sama, to znaczy w domu pełnym służby: z osobistą sekretarką, dwiema nianiami i masażystą. Ma na imię Sven.

– Jak zamordują jej męża, będzie miała dużo okazji, żeby pobyć sama. Frankie Trent powiedziała, że podczas nieobecności żony Betz wykorzystywał sypialnię gościnną na górze na bara-bara. Teraz pokój też był do tego przygotowany. Nikt z niego nie korzystał, ale jest gotowy.

Skinęła głową i zaczęła wchodzić po schodach.

– Frankie powiedziała, że robił to dwa razy w ciągu sześciu miesięcy, odkąd tu pracują, bo sprzątała ten pokój. Przypuszczalnie też mówił żonie, że musi trochę pobyć sam.

– Jezu, dlaczego nie poszedł do hotelu?

– Sądzę, że według niego dom zapewnia większą dyskrecję. A poza tym z lenistwa. Przychodzi kobieta, upija ją winem, potem posuwa, a kiedy jest po wszystkim, ona wraca do siebie. A on idzie do swojej sypialni, kładzie się w swoim łóżku.

– Jak można mieszkać wśród tych wszystkich czerwieni? – Peabody spojrzała na czerwony dywan. – I tych złotych galonów? Och, i przypadkiem znalazłam się chyba w pokoju stołowym. Wszystkie ściany i sufit w lustrach. Jak można jeść, oglądając siebie w lustrze? Nie wiem, jak...

– Jezu Chryste!

Słyszac okrzyk Eve – prawie piskliwy – Peabody wyciągnęła broń.

– Co? Gdzie?

– Tam. Chryste, są wszędzie.

Delia odwróciła się wolno, z wahaniem, niemal widząc przed sobą pokój pełen ogromnych, włochatych pajaków. Włochatych pajaków z czerwonymi ślepiami.

I zobaczyła pokój pełen lalek.

Lalki-bobasy, lalki-wampy, uśmiechnięte lalki, płaczące lalki. Lalki na palcach w tutu

i lalki w powijakach. Lalki z diademami we włosach, lalki w futrach, lalki w strojach ludowych z każdego zakątka świata.

Jedne małe jak jej dłoń. Inne wielkości zdrowego, raczkującego malucha.

Lubiła lalki – bawiła się nimi w dzieciństwie i nigdy nie rozumiała fobii Eve na tym tle. Ale widok setek lalek sprawił, że Peabody cofnęła się o krok.

– Chyba... Chyba lepiej zamknąć drzwi do tego pokoju.

– Zamknąć i przekręcić klucz w zamku. Zabarykadować je. Tamta... – Eve ostrożnie pokazała palcem. – Tamta na koniu chyba do mnie mrugnęła.

Peabody spojrzała nieufnie na uśmiechniętą lalkę w stroju kowbojskim i różowym kapeluszu.

– Wcale nie. Chcesz mi napędzić stracha.

– Widzisz to, co ja, i twierdzisz, że próbuję ci napędzić stracha? Kto wpadł na taki pomysł? Trzeba mieć naprawdę chory, pokręcony umysł, żeby zrobić sobie pokój pełen lalek o martwych oczach.

– Wolę się nad tym nie zastanawiać. – Peabody, wstrzymując oddech, wolniutko wyciągnęła rękę i głośno zatrzasnęła drzwi pokoju.

– Jeśli jest ich aż tyle – powiedziała Eve – bez trudu mogą wyjść z pokoju, jak tylko zechcą.

– Przestań. Przestań, proszę. – Jej partnerka szybko ruszyła korytarzem i schowała broń dopiero, kiedy od pokoju z lalkami dzieliły ją dwa metry. – Ani słowa więcej na ich temat. Ani słowa. Seks i morderstwo. Skupmy się na seksie i morderstwie.

Eve weszła do apartamentu gościnnego, obejrzała się jeszcze – na wszelki wypadek – i wzięła się do pracy.

– Frankie miała rację, Betz spodziewał się wizyty kobiety. Szampan, dwa kieliszki, truskawki, róża na łóżku.

Wyciągnęła szufladę szafki nocnej.

– Najróżniejsze wibratory, olejki o różnych smakach. Prezerwatywy też o różnych smakach. Ozdobione klejnotami klamerki na sutki.

– Aj.

– Są tacy, których to podnieca. Aksamitne kajdanki. I trochę erotyki, trochę stay up oraz innych chemicznych wspomagaczy. Niektóre są zabronione przez prawo. Ale zabójczynie nie weszły na górę. Zabrały go z parteru. Mogę się założyć, że zrobiły to szybko i sprawnie. Przytknęły mu paralizator do pachwiny. Tutaj go nie pobiły. Uczą się na własnych błędach. Ogłuszyły go, wyprowadziły z domu, wsadziły do swojego środka transportu. Wpuścił je do środka. Może umówił się z dwiema, może pomyślał, że mu się poszczęściło. Może wzięły go z zaskoczenia, ale je wpuścił, a one gdzieś go wywiozły.

– Jeśli zabrały go wczoraj wieczorem, Wymann jeszcze żył.

– Tak, dwa w cenie jednego. – Eve przypominała sobie duży, jarmarczny żyrandol w holu wejściowym. – Będą chciały go powiesić dziś w nocy.

– Trzymając się swojego schematu postępowania, przywiozą go tu z powrotem.

– I kiedy to zrobią, o ile zrobią, dopadniemy je. Na razie ani słówkiem nie wspomnimy o Betzu. Żadnych rozmów na jego temat, nie powiadomimy dziennikarzy, żadnych stanów podwyższonej gotowości. A teraz zobaczymy, czy uda nam się ustalić nazwisko kobiety,

z którą się umówił na wczorajszy wieczór.

Skierowały się do głównej sypialni, szerokim łukiem omijając pokój z lalkami. Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę... Prawdopodobnie to ktoś z wydziału przestępstw komputerowych.

Peabody zastygła w bezruchu.

– Chcesz mnie tu zostawić samą? Z nimi?

– Jesteś uzbrojona, one prawdopodobnie nie. Sprawdź jego szafkę nocną, garderobę i łazienkę. Jeśli coś ukrywał przed żoną, to najprawdopodobniej właśnie tam.

Na dole spojrzała na ekran wideodomofonu i zobaczyła McNaba. Długie, jasne włosy, związał w koński ogon. Na głowie miał wełnianą czapkę z nausznikami. Ku swemu zdumieniu dostrzegła też swojego byłego partnera, szefa wydziału przestępstw komputerowych. Kapitan Fenney miał sterczące, rude włosy, był z gołą głową, ręce trzymał w kieszeniach magicznego płaszcza, który Eve mu podarowała.

Odblokowała zamki, otworzyła drzwi.

– Nie przypuszczałam, że zaszczyci mnie swoją obecnością sam szef wydziału.

– Od czasu do czasu muszę wyskoczyć w teren, dziecino. A ktoś, kto w ciągu trzech dni znalazł trzy trupy, zasługuje na taki zaszczyt. Co to za drzwi, u diabła?

– Megaszalone – powiedział McNab – i wyjątkowo cudaczne.

– To dopiero wstęp do świata cudactw. Na górze jest pokój, na którego widok McNab dostanie gęsiej skórki.

– Sadomaso? – spytał Feeney.

– Lalki. Tłum lalek.

Feeney gwizdnął przez zęby.

– Chore kutasy. – Nie wyjąwszy ręk z kieszeni, uniósł wzrok i spojrział na złoty żyrandol.

– Tutaj będą chciały go powiesić. Tuż nad tymi dziwnymi, tłustymi rybami. Dobry alarm. Do poprzednich dwóch domów też się nie włamano?

– Nie, podobnie jak tutaj. Możesz to sprawdzić, ale według mnie tak to się odbyło.

Kiedy im przedstawiła swoją wersję wydarzeń, McNab sprawdził zabezpieczenia przy drzwiach frontowych.

– Tatuaż w pachwinie i kochanki. – Feeney wzruszył ramionami. – To nie tyle seksklub, ile klub gwałcicieli. Ale jak ktoś załatwia kogoś tak, jak załatwiono tamtych dwóch, to świadczy, że jest naprawdę nieźle wkurzony.

– Zaczynają od przytknięcia paralizatora do jaj, Feeney, a potem gwałcą, używając cieszącego się niesłabnącą popularnością gorącego pogrzebacza. To świadczy, że są bardziej niż nieźle wkurzone.

– Nie będę się spierał. Zabójstwa są wyraźnie na tle seksualnym i nie odnoszę wrażenia, żeby któraś z tych kobiet miała jakieś opory. Ja z moim chłopakiem zajmujemy się elektroniką. Jak się ma klub, jest gdzieś zapisany jakiś harmonogram dyżurów albo regulamin.

– Nikt nie wszedł przez te drzwi bez posłużenia się szyfrem – stwierdził McNab. – Sprawdzę inne drzwi i okna. Peabody jest na górze?

– Tak. Żadnego obściskiwania się! Jak powiedziałam, spodziewał się gościa i to nie pierwszy raz. Musimy odrzucić włamanie. Sam ją czy je wpuścił do środka. Czyli znał

przynajmniej jedną z nich, tę, z którą zamierzał baraszkować, ale nie czuł się przez nią zagrożony. Wiedział o Edwardzie Mirze, ale nie przejął się tym.

– Teraz, jak go dorwały, już nie jest taki chojrak. Ma gabinet w domu? – spytał Feeney. – Zacznę od niego.

– Na drugim piętrze, według informacji sprzątaczek. Jeszcze tam nie zaglądałam. Sprawdzę, co u Peabody, i znajdę cię. Chcę rzucić okiem na jego pokoje.

Zastała swoją partnerkę w garderobie Betza.

– Więcej seks-zabawek w obu nocnych szafkach. Jej i jego – powiedziała Peabody. – Pomyślałam sobie, że to, co trzyma w pokoju gościnnym, przeznaczone było dla innych kobiet.

– Cóż za delikatność z jego strony.

– Ma komputer w garderobie, ubrania są podzielone na różne kategorie. Jeszcze nie skończyłam, ale nie widzę nic, co by świadczyło, że spakował się na wyjazd. Zapisał w komputerze, że wziął bokserki z czarnego jedwabiu, spodnie z szarego diagonalu, granatowy kaszmirowy golf, szare mokasyny i granatowe kaszmirowe skarpetki. Z informacji w komputerze wynika, że wyjął wszystko z garderoby wczoraj, o szóstej szesnastce wieczorem. Jest tu też sejf na biżuterię. Zamknięty.

– Poprosimy McNaba albo Feeneya, żeby rzucili okiem.

– Jest tutaj Feeney?

– McNab ogląda drzwi i okna, Feeney poszedł do gabinetu Betza. Ty zostań tu, ja przejdę do jego gabinetu albo innego pomieszczenia, które mógł uważać tylko za swoje.

– Rozumiem. – Peabody się cofnęła, uderzyła zaciśniętymi w pięści rękami w biodra, zrobiła obrót. – Cały czas sobie myślę, że powinien mieć jakąś skrytkę. Jeśli zamieszany jest w coś złego, nie zostawiłby nic na ten temat w swoim miejscu pracy, prawda? Mam na myśli to, że mniej prawdopodobne, żeby zostawił owo coś tam, gdzie ktoś wścibski mógłby się na to natknąć. A tutaj? Chciałby to ukryć przed żoną. Wcześniej była jego kochanką, prawda?

– Zgadza się.

– Czyli jak zdradzał ze mną, to teraz zdradza mnie, tak sobie myśli jego obecna żona. Przypuszczam, że od czasu do czasu zagląda do jego rzeczy, żeby go sprawdzić. A nawet jeśli tego nie robi, może doszedł do wniosku, że mogłaby. A gdzie by szukała?

– W jego pokojach – zgodziła się z nią Eve i zmarszczywszy czoło, przyjrzała się garderobie wielkości sypialni. – Podwójna ściana, zamaskowana szuflada, skrytka w podłodze.

– Jeśli jest tutaj, jeszcze jej nie znalazłam, ale będę to miała na uwadze.

– Dobrze rozumowanie.

– Nie zamierzam sprawdzać tamtego pokoju z lalkami. – Peabody zatoczyła ręką w powietrzu, zrobiwszy zaciętą minę. – Są granice.

– Nie wygląda mi na faceta, który się bawi lalkami. To jej pokój.

– Czyli możemy go sobie odpuścić.

– Będę na drugim piętrze. Gdybyśmy potrzebowali więcej rąk do pomocy, ściągnę Baxtera i Truehearta.

– Może mogłabyś zadzwonić do Roarke'a... Jeśli jest wolny. O ile znajduje się tu jakaś

skrytka, na pewno ją znajdzie.

– Będę to miała w pamięci.

Jeśli jest tu podwójna ściana, zamaskowana szuflada, sejf, skrytka, pomyślała Eve, wchodząc na drugie piętro, Roarke znajdzie ją szybciej niż jakikolwiek gliniarz.

Ale nie mogła do niego zadzwonić, poprosić go, żeby wyszedł z jakiegoś ważnego spotkania, by sprawdzić to, co jej partnerce podpowiada intuicja. Dobrze podpowiada, pomyślała Eve, ale to wciąż tylko przeczucie.

Lecz tak jak Peabody, będzie sprawdzała dom, mając to na uwadze.

Gabinet Betza okazał się równie bogato zdobiony, jak inne pomieszczenia w domu. Biurko zostało zrobione na zamówienie, bo w ciemnym, solidnym drewnie wyrzeźbiono figlujące amorki. Błat był z płyty czarnego marmuru z licznymi srebrnymi żyłkami i cętkami. Złoty, skórzany fotel przypominał tron. To połączenie przyprawiło ją o ból zębów.

Jeśli dekoratorka, zatrudniona przez Roarke'a, zaproponuje coś, co choćby odrobinę będzie przypominało to, co miała przed sobą, pomyślała Eve, rudzielec zasłuży sobie na to, by zostać wykopany przez okno. Będzie o tym pamiętała.

Feeney siedział na tronie pomarszczony i wymięty, czyli wyglądał jak zwykle.

– To koszarne biurko ma dwie szuflady, zamykane na klucz. Obie są teraz otwarte.

– Naprawdę?

– Wygląda na to, że ktoś w nich szperał, szukał czegoś.

Podeszła do niego po czerwonym dywanie tak miękkim i grubym, że zdziwiła się, iż nie wciągnął jej butów. Obie dolne szuflady zaopatrzone były w zamki szyfrowe. Feeney je otworzył.

– Papierowe akta?

– W jednej dotyczące domu i spraw osobistych, w drugiej służbowych. Finanse, ubezpieczenie, naprawy i tym podobne dokumenty. Wiele osób nie ma zaufania do wersji cyfrowych, woli trzymać wydruki. Ty też do nich należysz.

– Tak. – Pobieżnie przejrzała akta. – Albo jest bałaganiarzem, albo ktoś to przeglądał, przynajmniej powierzchownie. Czego szukał?

– Trudno powiedzieć, ale szukano czegoś również w komputerze. O dziewiętnastej dwanaście sprawdzono całą zawartość dysku.

– Zmienił ubranie, szykując się na randkę, mniej więcej godzinę wcześniej, jak zapisał komputer w garderobie. Pojawiła się kobieta, z którą się umówił, ale z przyjaciółką, bo działają we dwójkę, może we trójkę. Ogłuszają go, raczej nie obchodzą się z nim zbyt łagodnie. W domu Wymanna nie znaleziono niczego takiego, ale pójdę tam ponownie i jeszcze raz sprawdzę. Czego tutaj szukały?

Przeszła się po gabinecie pełnym ostrych kolorów, wymyślnych wzorów.

– W domu przy Spring Street nie miały czego szukać, a mieszkanie senatora było dla nich niedostępne.

– Torturowały go.

Eve odwróciła się i skinęła głową.

– Tak, i może coś im powiedział o Betzu. Betz ma to i owo. Może, jak powiedziałeś, chodziło o harmonogram, regulamin, coś na temat tego ich bractwa. Ale co za różnica,

skoro i tak zamierzają go zabić? Nie szukają dowodów. Już go osądziły i skazały.

Zajrzała za obraz, przedstawiający dziwne psy o wydłużonych tułowach, i konie, stojące na zadnich nogach.

Nie znalazłszy niczego, znów spojrzała na Feeneya, zajętego sprawdzaniem połączeń telefonicznych.

– Zdradziłbyś swoją żonę?

– Nie, jeślibym chciał żyć dłużej niż do wtorku.

– Wyobraź sobie, że ją zdradzasz. I skończyło się tym, że poślubiłeś jedną z kobiet, z którą zdradzałeś pierwszą żonę. Ale nadal zdradzasz – nie umiesz inaczej żyć. Czy trzymałbyś coś, co miałoby związek z kochankami, albo, co więcej, coś, co wzbudziłoby u kobiety mordercze instynkty, tam, gdzie aktualna żona mogłaby to znaleźć?

– Ja? Miałbym drugi rachunek bankowy, o którym by nic nie wiedziała, a może jeszcze sejf w banku. I gdybym był bogaty, postarałbym się o jakąś metę, o której nie miałyby pojęcia. Jeśli wcześniej miałem jakieś miejsce, gdzie zdradzałem z nią, zlikwidowałbym je, sprzedał, kiedy zacząłbym zdradzać drugą żonę z innymi. Zmieniłbym wszystko, co robiłem, zdradzając z nią.

– Jakaś meta. Jakaś meta – mruknęła Eve. – Edward Mira miał apartament hotelowy. Żona wiedziała, że ją zdradza, więc nie musiał się z tym kryć. Wymann nie ma żony. Wciąż czekam na informację, czy też korzystał z apartamentu przyjaciela. Poproszę, żeby Roarke sprawdził także Betza. Jakieś miejsce schadzek. Do domu możesz zapraszać kobiety tylko wtedy, kiedy żony nie ma w mieście, a naprawdę lubisz skoki w bok.

– Musiałyby mieć klucz, kartę, szyfry, cokolwiek. I nie trzymałyby tego w szufladzie biurka, nawet zamykanej na klucz, gdzie żona mogłaby to znaleźć.

Eve otworzyła drzwi, zajrzała do czerwono-srebrnej łazienki, odwróciła się i popatrzyła uważnie na barek, stojący w kącie gabinetu.

– Chyba wiem, gdzie żona nigdy nie zaglądała.

Wyszła, zbiegła po schodach i otworzyła drzwi do głównej sypialni.

Zastała Peabody i McNaba obok ogromnego, czerwonego (jakżeby inaczej?) łóżka, na którym piętrzyły się poduszki. Patrzyli na siebie łakomym wzrokiem, ale na szczęście dla nich nie trzymali się za tyłki.

– Sądzę, że nikt się nie włamał przez okno na pierwszym piętrze.

– Nikt się nie włamał żadnym oknem ani drzwiami – powiedział McNab. – Na głównej kondygnacji jest jeszcze dwoje drzwi, lecz od dwudziestu sześciu godzin nikt ich nie otwierał. Okien nie otwierano od tygodni. Pomyślałem, że sprawdzę komputery i telefony, które tu są.

– Naprawdę tak sobie pomyślałeś?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Bezwzględnie. I że pobędę z Peabody, gdy będę się tym zajmował.

Eve nic nie powiedziała, przeszła przez sypialnię, zajrzała do łazienki żony.

Jak przypuszczała, cała była w różach i falbankach.

Sprzątaczkę już zrobiły tu porządek, więc świeże różowe ręczniki i białe ręczniki z różowymi lamówkami piętrzyły się na pomalowanej na różowo ławeczce albo wisały na wieszaku. Różowe i białe powierzchnie lśniły, w powietrzu unosił się lekki zapach

cytrusów. Na długim blacie stały słoiczki z różnymi różnościami, a na obu jego końcach umieszczono różowe umywalki. Srebrne krany były w kształcie syren, ten sam motyw powtarzał się w kabinie prysznicowej z potrójnymi szklanymi ściankami.

Poza kanapą w różowo-białe pasy była tu również toaletka z szufladami pełnymi kremów, mleczek i innych kosmetyków, a także szafa ze szlafrokami i kapciami, mały autokucharz i lodówka, wbudowana w ścianę.

Sedes zajmował osobne pomieszczenie, ozdobione syrenami, z telewizorem na ścianie.

Eve wróciła do sypialni.

– Byłaś tam?

– Tak. Każda kobieta gotowa byłaby zabić, żeby mieć łazienkę tej wielkości tylko dla siebie. Ale żona Betza udowodniła, jak można zniszczyć nawet takie cudowne pomieszczenie.

– Jej połowa. Jej łazienka, jej garderoba, jej salonik, jej połowa łóżka, jej toaletka, ta z tymi różowymi flakonikami. Zgadza się?

– Tak. I jego połowa. – Peabody pokazała palcem. – Mają małe dziecko, ale tutaj nie widać żadnych dziecięcych drobiazgów. Nie ma nawet misia, który przypadkiem by się zaplątał. Trochę to smutne.

– Kiedy zatrudniasz nianię i pomocnicę niani, nie spędzasz dużo czasu z dzieckiem, a to przestrzeń wyłącznie dla dorosłych. Z wyraźną linią podziału. Zresztą, jesteś panią tego domu.

– Jestem królową swojego zamku – zgodziła się z nią Peabody, a McNab puścił do niej oko.

– Skupmy się na tym domu, Peabody. Masz liczną służbę i trzy kondygnacje, które możesz urządzać do woli. Do jakiego pomieszczenia nigdy nie zaglądasz?

– Do pokoju z lalkami. Zgoda, ja bym tam nigdy nie zaglądała. Ona widocznie lubi lalki. Cóż, na podstawie krótkiej rozmowy, którą z nią przeprowadziłam, wykreśliłabym pralnię. To teren dla służby. I przypuszczalnie nieczęsto zagląda do kuchni.

– Zapytam inaczej. Do jakiego pomieszczenia chodzi on, ale nie ona?

– Nie... Do jego łazienki! – Peabody uniosła w górę palce wskazujące obu rąk. – Jej łazienka jest różowa i błyszcząca, a jego – bardzo męska. Która kobieta lubi wchodzić do łazienki po facecie?

– My jakoś sobie radzimy – wtrącił McNab.

– Bezwzględnie. – Ale kiedy się odwrócił, Peabody wzniosła oczy ku górze, patrząc na Eve. – Zastanawiasz się nad potencjalnymi skrytkami.

– Sprawdźmy to.

Jeśli jej łazienka była pełna różu i falbanek, jego stanowiła studium męskości. Podłogi i ściany wyłożono czarnymi płytkami w czerwone zygzaki. Barek, wyglądający tu tak osobliwie – czerwony, z wyrzeźbionymi amorkami – stał przy jednej ze ścian, na której wisiał portret apetycznie zaokrąglonej kobiety, jedzącej dużą, fioletową śliwkę. W czarnym blacie była duża, kwadratowa, czerwona umywalka z kranem w kształcie głowy wilka, który pluł wodą.

Na półkach stały butelki i pojemniki na kremy, mleczka i balsamy dla mężczyzn, wszystkie w czerwonych albo czarnych opakowaniach.

Reszta watahy wilków znajdowała się w kabinie prysznicowej.

W kabinie suszarki była tapicerowana ławeczka, na wypadek gdyby po prysznicu ktoś poczuł się zmęczony i musiał odpocząć przez dwie minuty, bo na ogół tyle wystarczało, żeby się wysuszyć.

Miał też swoją toaletkę, przypominającą biurko, Delia od niej zaczęła.

– Może tu jest wszystko jeszcze brzydsze niż w jej łazience, ale jeśli nawet, to niewiele – powiedziała. – Ej, on ma tyle samo kosmetyków do ciała i twarzy, co ona. Prawie. Szczególnie dużo specyfików brązujących i do włosów. Ta szafka jest szkaradna, Dallas, ale dobrze zaprojektowana. Nie widzę tu nic, co by nie pasowało, żadnej tajemnej skrytki.

– A barek? – Eve okrążyła mebel. – Masz dobre oko, jeśli chodzi o skrytki.

Właśnie dzięki temu kiedyś zwróciła uwagę na Peabody. Jej obecna partnerka była wtedy zwykłą funkcjonariuszką w mundurze i wypatrzyła skrytkę w mieszkaniu zabójcy.

– Cóż. Też bardzo dobra robota, a efekt okropny.

Peabody obróciła się na stołku przed toaletką i przyjrzała się uważnie barkowi.

– Wszystkie te płaskorzeźby... Są takie same, jak w całym domu, ale można w nich idealnie ukryć jakiś mechanizm. A stolarz, który jest aż tak dobry, żeby zrobić coś takiego, z pewnością potrafi naprawdę doskonale to zamaskować. Mój tata zrobił kilka niesamowitych skrytek.

Przechyliła głowę, a Eve przesunęła dłonią po amorkach.

– Może pomogłyby mikrogogle... Jeśli jest tam czego szukać.

– Przyniesie je z zestawów.

Eve przykucnęła, starając się nie myśleć, jakie to dziwne uczucie dotykać palcami tłustych, nagich pośladków amorków.

Z pewnością mechanizmu nie ukryto z przodu barku, doszła do wniosku. Ktoś niechcący mógłby zwolnić blokadę. O ile taka jest.

Wyprostowała się, weszła za barek.

Na półkach stały kieliszki, shakery i alkohol, jedna szafka miała rzeźbione drzwiczki. Otworzyła ją. Mieściła urządzenie do lodu i chłodziarkę na wino.

Zamknęła drzwiczki, a potem je otworzyła. I znów zamknęła.

– Mam gogle – obwieściła Peabody.

– Po co komu drzwiczki, za którymi jest urządzenie do lodu i chłodziarka na wino? Za każdym razem, kiedy potrzebny ci lód, musisz otworzyć drzwiczki. Reszta jest na otwartych półkach, pod ręką.

– Może dla ozdoby. Albo nie chciał, żeby było widać mechanizm.

– Być może. Jak głębokie są te szafki? Nie tak głębokie, jak barek, prawda?

Teraz Peabody przykucnęła obok niej.

– Tata razem z Zekiem zrobili kilka ładnych barków... Na zamówienie, w pełni wyposażonych. Jeden tej wielkości... Wydaje mi się, że urządzenie do lodu nie jest aż tak głębokie.

Eve znów zamknęła drzwiczki, a potem wyciągnęła rękę po gogle. Włożyła je i zaczęła badać centymetr kwadratowy po centymetrze.

– Tu. – Jej partnerka położyła palce na pupie amorka. Bez trudu dała się obrócić.

– Dlaczego to się obraca, a niczego nie otwiera?

– Szyfr albo część mechanizmu – mruknęła Delia. – To jak układanka. Widziałam podobne. Musimy ustalić, które obrócić i w jakiej kolejności. Bardzo sprytnie pomyślane. Dobra robota.

– Przyniosę młotek.

– Nie! – wykrzyknęła Delia, wyraźnie zbulwersowana. – Dojdę do tego. Daj mi trochę czasu. Nie można zniszczyć czegoś takiego.

– Przecież to szkaradzieństwo.

– Ale mimo wszystko to dzieło sztuki rzemieślniczej. Tutaj! Tu jest drugi. Założę się, że są trzy. Komplet trzech gałek.

Eve wolałaby posłużyć się młotkiem, ale ponieważ nie miała go pod ręką, pozwoliła Peabody stukać w amorki, obracać je i przyciskać.

– Ej, Dallas? – McNab stanął na progu łazienki. – Mam nagranie wiadomości, zostawionej przez Marshalla Easterdaya. Nieodsłuchanej. Dziś o ósmej pięćdziesiąt dwie.

– Zaraz po naszej rozmowie z nim – powiedziała Eve. – Mniej więcej wtedy, kiedy wrócił na górę, żeby „odpocząć”.

– Nie sprawia wrażenia człowieka odpoczywającego. Mówi, że muszą pilnie porozmawiać, że próbował się dodzwonić na komórkę Betza i do biura. Facet aż poci się ze strachu, pani porucznik.

– I słusznie. – Eve zamierzała się wyprostować, żeby odsłuchać wiadomość, gdy rozległo się kliknięcie a Peabody zawołała: „Hura!”. Kiedy otworzyła drzwiczki, półki, na których znajdowało się urządzenie do lodu i chłodziarka na wino, wolno się rozsunęły.

– Super – powiedział McNab i przykucnął obok nich.

Ponieważ był tuż obok, Eve poczuła jego zapach i przyszły jej na myśl wiśniowe lizaki.

W ukrytej przegródce stała mała, srebrna szkatułka. Eve ją wyjęła, wyprostowała się, postawiła szkatułkę na blacie barku.

– Jest stara – powiedziała Peabody. – To antyk. Na pewno jest zamknięta na klucz, Dallas, ale nie możesz jej po prostu rozbić.

– McNab, bądź tak dobry i przynieś mój zestaw podręczny.

– Jasne. – Wstał, odwrócił się i uśmiechnął szeroko. – Ej, panie kapitanie, moja dziewczyna znalazła skrytkę w barku w łazience. W środku jest stara szkatułka.

– Co to za jakiś chory gabinet osobliwości? – spytał Feeney, rozglądając się dookoła. Zaintrygowany, nacisnął jakiś przycisk. Czarne płytki przemieniły się w lustra. – O, nie! – powiedział i szybko ponownie nacisnął przycisk. – Na komputerze w gabinecie znalazłem mejl od Marshalla Easterdaya.

– Wysłany dziś rano? – spytała Eve.

– Tak. Z kopią do niejakiego Ethana MacNamee. Oznaczony jako pilny. „Moi bracia” – zacytował. – „Mieście się na baczności. Natychmiast się ze mną skontaktujcie. Poszukajcie bezpiecznego miejsca. Wróćcie do domu”.

– „Wróćcie do domu” – mruknęła Eve.

– Mam zestaw. – McNab postawił walizeczkę obok szkatułki. – Możemy to przeskanować i spróbować otworzyć w komendzie.

– Daj mi chwilkę.

Eve wyjęła z zestawu małe, skórzane etui (prezent od męża), otworzyła je, wybrała

wytrych.

– Ale super – zachwycił się McNab.

– Przekonamy się. – Przystąpiła do pracy i tak, jak ją tego nauczył Roarke, zaczęła nasłuchiwać, kierując się w równym stopniu przecuciem, co dotykiem.

– Cofnijcie się. – Rozdrażniona, poruszyła ramionami. – Muszę mieć więcej miejsca. Nie stójcie tak nade mną.

Może Roarke otworzyłyby szkatułkę w mgnieniu oka, ale Eve poczuła ogromną satysfakcję, kiedy zajęło jej to tylko trzy minuty.

– Nowa umiejętność – pochwaliła ją Peabody.

– Ćwiczyłam. – Otworzyła wieczko, spojrzała na dwa duże, staromodne klucze i dwie współczesne karty-klucze, spoczywające na ciemnoniebieskim aksamicie. – Mała skrytka z kluczami do większej kryjówki. Ze starymi drzwiami – doszła do wniosku. – Są na tyle duże, że mogą otwierać tylko drzwi... Według mnie. A to do nowych drzwi.

Posługując się pincetą, wyjęła jedną z kart, obejrzała ją z obu stron.

– Żadnego napisu, żadnego nazwiska, żadnego kodu. Kod prawdopodobnie jest zapisany na karcie, prawda? Możesz go odczytać, Feeney?

– Musiałbym oddać swoje belki, gdyby się okazało, że nie mogę.

McNab wyjął skaner z jednej z licznych kieszeni swoich jaskrawopomarańczowych spodni i podał go kapitanowi.

– Przyjrzyjmy się temu.

Feeney zeskanował kartę. Zmarszczył czoło.

– Jest zabezpieczona zaporą, ale możemy ją obejść. Sądząc po kodzie i zabezpieczeniu, karta jest prawdopodobnie do skrytki bankowej albo jakiegoś pilnie strzeżonego pomieszczenia. Facet jest chemikiem, prawda? Czyli może do jakiegoś tajnego laboratorium. Sprawdźmy drugą.

Też ją zeskanował.

– Zabezpieczona, ale nie tak dobrze. To nie jest ochrona najwyższej klasy.

Zrobił coś ze skanerem McNaba. Kiedy aparat zaczął piszczeć, wziął gogle od Eve i je włożył. Znów zeskanował pierwszą kartę.

– Szyfr. I... Ledwo mogę odcyfrować. LNB. FKB. Ach... 842.

– FKB, czyli Franklin Kyle Betz. LNB... To nie nazwa jego firmy. Może banku?

Feeney skinął głową.

– Bardziej prawdopodobne. Zbyt prosty szyfr jak na takie zabezpieczenie, żeby chodziło o szczególnie chroniony obiekt. Czyli według mnie to skrytka bankowa. Stawiam na Liberty National Bank. Mają oddziały wszędzie.

– A te cyfry to numer skrytki. – Eve skinęła głową. – Będzie nam potrzebny jeszcze jeden nakaz. Peabody, zadzwoń do Reo. Musimy mieć upoważnienie, żeby móc sprawdzić, czy Betz miał skrytkę w oddziałach, do których się zwrócimy. I upoważnienie do otwarcia rzeczony skrytki, kiedy ją zlokalizujemy. A ta druga karta? – spytała Feeneya.

– Słabiej zabezpieczona. Może po jej zbadaniu uda nam się ustalić, o który oddział banku chodzi. Przenośnym skanerem nic tu nie zdziałamy. Ale oszczędzimy ci pół miliona telefonów.

– Dobrze – zgodziła się Eve.

– A ta... – Zeskanował ją. – Znów jego inicjały i cyfry: 5206.
– Tylko tyle? Nie nazwa innego banku?
– Nie wygląda mi to na bank. Może skrytka pocztowa albo szafka? Albo adres. Ludzie gubią karty, zastrzegają je, wyrabiają sobie nowe. Nie chcą kodować na nich danych, które zaprowadziłyby kogoś pod właściwy adres i umożliwiły posłużenie się kartą przed jej zastrzeżeniem. Zabierzemy je do komendy, zobaczymy, co jeszcze uda nam się z nich odczytać.

Feeney zajrzał do szkatułki, w której leżały klucze. Przyjrzał im się uważnie swoimi oczami jak u basseta, a potem podrapał się po brodzie.

– To zupełnie inna para kaloszy. W laboratorium może potrafiliby ci powiedzieć, jaki zamek otwierają, ile ma lat. Ale ustalenie miejsca należy do ciebie.

– Wiem. I mam już kilka pomysłów.

Zadzwoiła do Baxtera i Truehearta, żeby przyjechali. Czekać na nich, dalej przeszukiwała dom. Ale instynkt jej podpowiadał, że już znaleźli żyłę złota.

Sama wpuściła detektywów do środka.

– Powiedzcie mi, co ustaliliście.

– Niewiele. W biurze Wymanna wszyscy są wstrząśnięci, kilka osób uroniło łzę. Dostaliśmy nakaz, Callender i jeszcze jeden komputerowiec zabrali sprzęt elektroniczny ofiary. Sekretarka sądzi, że autorka biografii po prostu podeszła do Wymanna, może na jakimś przyjęciu. Sam się z nią później umówił, kazał sekretarce, żeby zapisała to w jego kalendarzu. Ona nigdy nie rozmawiała z tą kobietą ani jej nie widziała. Wygląda na to, że podjął decyzję pod wpływem chwili.

– Czy wyczuliście, że Wymann mógł podrywać pracownice w firmie?

– Nie. Ale Trueheart oczarował sekretarkę swoją młodą, szczerą twarzą detektywa i udało mu się wyciągnąć z niej nazwiska kilku kobiet. Nie widnieją na twojej liście. Rozmawialiśmy z nimi, wydaje się, że mają mocne alibi.

Rozejrzał się wkoło.

– Czy to staw z karpami koi? Kto ma staw z karpami koi w holu wejściowym? Chociaż z drugiej strony, kto każe wyrzeźbić na drzwiach wejściowych orgię tłustych bobasów?

– Nie widziałeś jeszcze nawet połowy. Oto, co ustaliliśmy.

Przedstawiła im stan sprawy.

– Muszę zobaczyć tę łazienkę.

– Jeszcze zdążysz. Trzeba obserwować dom na wypadek, gdyby zabójczynie postanowiły wrócić tu z Betzem, by go powiesić nad stawem z karpami koi. Muszę jechać w teren, sprawdzić parę tropów. Najprawdopodobniej pojawią się tu z nim dopiero po zmierzchu, ale zostańcie tutaj. Załatwię wsparcie, gdyby się okazało, że jednak przyjechały przed moim powrotem.

Uniosła palec w górę, kiedy zadzwonił jej komunikator.

– Dallas – przedstawiła się i odeszła kilka kroków dalej.

Kiedy skończyła rozmawiać, zawołała:

– Peabody!

– Nie rozumiem, jak można trzymać ryby w domu. – Baxter patrzył na karpie koi. – To nienormalne.

– Każdego lata wygrywałem złotą rybkę nawiejskim festynie. Za rzucanie obręczą do celu – pochwalił się Trueheart. – Nigdy nie udało im się doczekać zimy.

– Sam widzisz, że to nienormalne.

– Chcesz zobaczyć coś nienormalnego? Na pierwszym piętrze jest pokój pełen lalek.

– Cóż, czy nie mają małej córeczki... – zaczął Trueheart.

– Gdyby jakieś dziecko weszło do tego pokoju, krzyki słychać byłoby aż w Queens i na całe życie nabawiłoby się traumy. Mam na myśli setki lalek. Gapiących się przed siebie. Gapiących się na drzwi. Czekających na ciebie.

– Jezus, Dallas – mruknął Baxter i aż się wzdrygnął.

– Są na górze. Wychodzimy – powiedziała, kiedy jej partnerka zeszła po schodach. – Detektyw Bennet przetaił nam szlak do pracownicy socjalnej.

– Mike Bennet? Miły gość – powiedział Baxter.

– Nie wychodź z domu. Możesz nakarmić rybki. Od wczoraj nikogo tu nie było. Jeszcze zaczną się nawzajem pożerać.

– Gapiące się lalki, rybki-kanibale. Co to za dom, do diabła?

– Nie ruszajcie się stąd. Bądźcie czujni. Nie chcemy mieć do kolekcji wisielca nad rybkami-kanibalami.

– Podać Mike’owi jakieś nazwiska? – spytała Peabody, owijając się długim szalikiem, kiedy skierowały się do samochodu.

– Nie i obawiam się, że tego nie zrobi. Ale może nam powiedzieć „tak” albo „nie”, kiedy pokażemy jej zdjęcia.

– Hmm, sprytne.

– O ile się zorientowałam, polubiła go, bo to sympatyczny chłopak. I naprawdę szanuje przyszłe teściowe. Opowiemy, jak te osoby wykorzystały Anson, żeby porwać Betza; jeśli ich nie powstrzymamy, zabiją go. Wtedy może będzie skłonna skinąć głową, jak pokażemy jej właściwe zdjęcie.

Znalazłszy się w samochodzie, Delia natychmiast włączyła ogrzewanie fotela.

– Prokurator Reo powiedziała, że załatwi dla nas nakaz, jak tylko uda nam się ustalić adresy. Ale nie zdradziłaś mi swoich pomysłów, dotyczących tych starych kluczy.

– Stare klucze, stare drzwi. Ci faceci znają się od dawna. Mieszkali w jednym domu na terenie kampusu. Może ten dom do nich nadal należy. Albo mają jakiś inny. Miejsce, gdzie zbierali się jako bracia.

– Jeśli Betz zadał sobie aż tyle trudu, by ukryć klucze, to znaczy, że jeżdżą tam jako bracia i robią rzeczy, o których nie chce, żeby jego żona się dowiedziała.

– Gdyby senator miał klucze, nie ukrywałby ich. Uzyskamy kolejny nakaz, żeby przeszukać jego mieszkanie, bo można z całą pewnością założyć, że w przeciwnym razie jego żona nam na to nie pozwoli. Jeśli Wymann miał klucze, nie szukaliśmy tam, gdzie należy. Musimy namierzyć tego Ethana MacNamee, umówić się z nim na przesłuchanie telefoniczne albo holograficzne.

– A senator Fordham?

– Nie jest jednym z nich, ale powiadomimy ochroniarzy, żeby lepiej go pilnowali, na wypadek, gdyby się okazało, że później do nich dołączył. I musimy zapoznać się z aktami, dotyczącymi samobójstwa Williama Stevensona.

Odebrała telefon, bo zobaczyła na wyświetlaczu Roarke'a.

– Cześć.

– Pomyślałem sobie, że czekasz na tę wiadomość. Ochrona sprawdziła odczyty kamer. Wymann nigdy się nie zameldował w hotelu, w ciągu ostatniego roku nie zarejestrowały go żadne urzędnicy.

– Rozumiem. A Frederick Betz?

Roarke spojrzał na nią wymownie.

– Może skontaktowałabyś się z Lloydem Kowalskim z hotelu „Palace” i sama go zapytała, o kogo chcesz. Twój pośrednik jest dziś trochę zajęty.

– Jasne, dzięki. Dla twojej wiadomości, nie zadzwoniłam do ciebie, kiedy szukaliśmy skrytki i znaleźliśmy zamkniętą na klucz szkatułkę. Peabody znalazła tajną skrytkę, a ja otworzyła wytrychem zamek w szkatułce.

– Jestem bardzo dumny z was obu. Nie zapomnij znów o obiedzie. Gdybyś mnie potrzebowała, po trzeciej będę miał więcej czasu.

– Dobrze. Może potrzebny mi będzie śmigłowiec z pilotem.

– To znacznie przyjemniejsze niż rozmowa z Kowalskim. Daj mi znać. Na razie – dodał i się rozłączył.

– Śmigłowiec? Pilot?

– Dom w kampusie, o ile nadal tam stoi. Chciałabym na niego rzucić okiem, skoro o nim wiemy. Może te klucze pasują do drzwi, może nie. Ale tak czy owak, chciałabym go zobaczyć. Kiedy go zlokalizujemy.

– Mogę spróbować to ustalić. Jeśli żaden z nich nie był bądź nadal nie jest jego właścicielem, może to trochę potrwać. Może pan Mira coś wie na ten temat.

Eve westchnęła głęboko i znów zaczęła polować na miejsce do parkowania.

– Tak. Może coś wie. Spytamy go, nim zaczniemy kopać.

Suzanne Lipski miała mały ciasny gabinet w rozsypującym się budynku, w którym mieścił się ośrodek pomocy dla ofiar gwałtu. Eve sądziła, że ośrodek starał się najlepiej jak mógł, dysponując skromnym budżetem, zapewnić wsparcie, informacje, pomoc lekarską i psychologiczną zgwałconym kobietom. Na ścianach pomieszczenia mniejszego niż sala jej wydziału w komendzie wisiały plakaty, podnoszące na duchu i kojące nerwy. Spokojna woda, zamglone lasy, słoneczne plaże. I tablica z numerami alarmowymi, informacjami o pomocy psychologa, o grupach wsparcia.

Eve przystanęła, przyjrzała się ulotce reklamującej ośrodek „Wewnętrzny Spokój” – ładne łąki w lecie i idealnie błękitne niebo.

– Bingo – mruknęła.

Suzanne Lipski siedziała za poobijanym, zawalonym papierzyskami metalowym biurkiem na skrzypiącym, obrotowym fotelu. W pomieszczeniu nie było okna, ale na starej szafce na akta pod jakąś specjalną lampą stała doniczka z bujnie rosnącą rośliną.

Kierowniczka ośrodka była chudą jak szczapa kobietą koło sześćdziesiątki, miała siwe kręcone włosy i pociągłą twarz, brązową jak orzech nerkowca. Jej ciemne oczy powiedziały Eve, że widziała już wszystko i spodziewała się znów to zobaczyć, nim przejdzie na emeryturę.

– Dziękujemy, że zgodziła się pani z nami spotkać – odezwała się Eve.

– Mike jest bardzo przekonujący. Wykonują panie swoje obowiązki, nie mam o to do pań pretensji. Prawdę mówiąc, szczerze dziękuję za waszą pomoc. Ale ja muszę robić to, co do mnie należy. Kobiety, które tu przychodzą, należą do grup wsparcia, którymi kieruję, mieszkają w schroniskach, które im polecam. Są dla mnie najważniejsze. Odpowiadam za nie. Zostały zgwałcone, pobite, wykorzystane, pozbawione poczucia bezpieczeństwa. I aż nadto często prawo i społeczeństwo ponownie je wszystkiego pozbawia.

Eve nie zamierzała oponować, bo w większości przypadków była to prawda.

– Kobiety, których szukam, biły i maltretowały dwóch mężczyzn, a następnie ich zamordowały. Według mnie przetrzymują teraz trzeciego i dziś w nocy go uśmiercą. Cokolwiek je spotkało, nie usprawiedliwia to ich postępowania.

– Nie wie pani, co mogło je spotkać.

Eve położyła na biurku zdjęcia dwóch ofiar.

– To nie jest wymierzenie sprawiedliwości.

Suzanne Lipski westchnęła i wyprostowała się na krześle.

– Ci mężczyźni mają władzę, są wpływowi i bogaci. Czy zainteresowała się pani, co oni takiego zrobili, że w tych kobietach zrodziła się taka wściekłość?

– Zainteresowałam się. I jeśli zgwałcili swoje zabójczynie, zrobiłabym wszystko, co jest zgodne z prawem, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Co jest zgodne z prawem. – Lipski wymierzyła w nią długi, kościsty palec. – Wierzę w prawo, pani porucznik, pani detektyw. Nie mogłabym tu siedzieć, gdybym nie wierzyła. Ale zdarza się aż nadto często, że – według mnie – prawo jest bezduszne, bezlitosne i ślepe. Mimo to jednak, gdybym wiedziała, kto to zrobił, próbowałabym go przekonać, żeby przestał i oddał się w ręce policji.

– Proszę posłuchać, co pani powiem... Proszę na mnie spojrzeć – powiedziała Eve. – Proszę na mnie popatrzeć i posłuchać, co mówię. Jeśli pani wie albo się domyśla, kto to zrobił, proszę się z nimi nie kontaktować ani nie rozmawiać. To, co robią, robią z takim zimnym wyrachowaniem, że zwróciłyby się przeciwko pani. Według mnie wyznaczyły sobie jeszcze trzy ofiary i nic ich nie powstrzyma. Nie powstrzyma ich pani, próbując przemówić im do rozsądku, okazując współczucie.

Kobieta zacisnęła usta i spojrzała na Eve.

– A co z tymi, których sobie obrały na cel? Jeśli pani je powstrzyma, jeśli zamknie je pani za to, co zrobiły, co się stanie z tymi, których obrały sobie na cel?

– Jeśli zgwałcili kobiety, które wsadzę do więzienia, jeśli je wykorzystali i skrzywdzili, staną przed sądem. I nic im nie pomoże to, że mają władzę, wpływy i pieniądze.

Eve położyła dłonie na zniszczonym biurku i nachyliła się ku Suzanne Lipski.

– Ale te kobiety zabijają znów i znów. Teraz, kiedy rozsmakowały się w zemście, co je powstrzyma przed mordowaniem kolejnych mężczyzn? Jeden zgwałcił, inny pobił dziewczynę, ten mógł zgwałcić. Czy to pani tutaj propaguje? Jeśli zostałaś zgwałcona, dopadnij gwałciciela i go zabij?

– Nie, nie propaguję tutaj niczego takiego. Ale wierzę w istnienie przemocy.

– To tak samo jak ja.

Na chudej, poważnej twarzy kobiety po raz pierwszy pojawił się słaby uśmiech.

– Pomimo tego, co robimy, pani i ja, codziennie widząc przemoc, mając z nią do czynienia i doświadczając jej, same ją stosujemy, żeby chronić i bronić.

– Tu nie chodzi o ochronę. Tu nie chodzi o obronę.

– Jeśli ci mężczyźni zgwałcili kobiety, które ich zabiły, już nigdy więcej żadnej nie zgwałcą.

– Czy potępiamy ludzi za przestępstwa, których jeszcze nie popełnili? Nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać z panią o tym, jak gwałt wpływa na ciało, umysł i duszę. Jestem tutaj w związku z zabójstwami. Charity Downing, Lydia Su, Carlee MacKensie, Allyson Byson, Asha Coppola, Lauren Canford. Czy zna pani którąś z tych kobiet?

Lipski uniosła brodę i skrzyżowała ramiona na kościstej klatce piersiowej.

– Nie mogę ujawnić żadnych poufnych informacji o kobietach, które zgłosiły się do naszego ośrodka, i nie zrobię tego.

– Grupy wsparcia. Cecily Anson i Anne Vine jako ochotniczki pracowały z niektórymi grupami, z którymi ma pani do czynienia. Nazwisko pani Anson wykorzystano, żeby zwabić tego mężczyznę. – Eve wskazała palcem zdjęcie Wymanna, zrobione na miejscu zbrodni. – Ktoś skorzystał z tego, że poświęcała swój czas, okazała współczucie i hojność skrzywdzonym. Posłużył się jej nazwiskiem, by dokonać aktu zemsty.

– Jestem oburzona. – Lipski zacisnęła cienkie usta, w jej oczach pojawił się szczerzy gniew. – Rozmawiam teraz z panią, ponieważ wykorzystanie Cecily i Anne mnie wkurzyło. Obie są najwspanialszymi osobami, jakie znam. Ale nawet jeśli któraś z tych kobiet brała udział w zajęciach z nimi, nie musiała podawać swojego nazwiska, gdyż zwracamy się do siebie po imieniu. W naszej pracy anonimowość jest podstawą, pani porucznik. Poza tym zwyczajnie nie znam wszystkich kobiet z grup wsparcia. Doba ma za mało godzin, żebyśmy mogła uczestniczyć we wszystkich spotkaniach.

Eve spojrzała na Peabody.

– Może rozpozna pani twarze... – zaczęła Delia, wyjmując zdjęcia. – Hm... Należę do ruchu Wolny Wiek.

Suzanne Lipski uniosła brwi, uśmiechnęła się szerzej.

– Osoba wyznająca poglądy Wolnego Wieku policjantką? To rzadkość.

– Chyba kroczę po cienkiej linii. Ale dzięki temu, jak zostałam wychowana, i dzięki swojej pracy wiem jedno. Zemsta z zimną krwią nie leczy rany, pani Lipski, tylko jeszcze bardziej ją jątrzy. Kobiety, które to robią, nie znajdą spokoju. Nie wymażą bólu, jakiego doznały, odbierając komuś życie. Jeśli ich nie powstrzymamy, nigdy nie zapomną o tym, co je spotkało, więc...

Pokazała zdjęcie Lauren Canford, a potem Ashy Coppoli.

Eve dostrzegła coś jakby ulgę na twarzy Lipski. Ta ulga pozostała, kiedy Peabody pokazała zdjęcie Allyson Byson.

– Nie wydaje mi się, żebym widziała wcześniej którąś z tych kobiet.

– Mam zdjęcia jeszcze kilku.

Peabody pokazała zdjęcie Lydii Su.

Eve uznała, że Suzanne Lipski prawdopodobnie jest dobrą pokerzystką. Ale niewystarczająco dobrą, żeby całkowicie ukryć fakt, iż widziała już tę kobietę. Obserwowała terapeutkę. Dostrzegła coś bardzo podobnego, kiedy pokazano jej zdjęcie

Charity Downing.

Chciała coś powiedzieć, ale zobaczyła, że wyraz twarzy Lipski się zmienił, kiedy Peabody pokazała zdjęcie Carlee MacKensie. W oczach kierowniczkii ośrodka pojawiło się lekkie zaskoczenie i głęboki smutek.

– Rozpoznała pani trzy ostatnie kobiety – stwierdziła Eve.

– Nie mogę z panią o tym rozmawiać. – Ale kiedy to mówiła, jej ciemne oczy nie kłamały. – Nawet jeśli uzyska pani nakaz.

– Nie zamierzam starać się o nakaz. Mogłabym zagrozić, że panią aresztuję za utrudnianie śledztwa. Mogłabym zagrozić, że oskarżę panią o współudział, jeśli skontaktuje się pani z którąś z tych kobiet. Ale nie mam takiego zamiaru. Lecz powtarzam jeszcze raz: jeśli się pani z nimi porozumie, natychmiast zabiją mężczyznę, którego przetrzymują, i prawdopodobnie uciekną. Będzie pani żyła ze świadomością, że przez panią zginął człowiek. Zamierzam je powstrzymać, nie dopuścić, żeby zabiły kolejną osobę, wysłuchać ich historii.

– Nie akceptuję morderstwa. – Suzanne Lipski utkwiała wzrok w zdjęciach zamordowanych. – Nie akceptuję tego rodzaju odpłaty. Tego, kto popełnia przestępstwo, czeka ciężka, długa kara. Przyznaję, że ofiary padły ofiarą swoich własnych czynów. Ale również prawa.

– Prawo może być bezwzględne. Ja też. Może być ślepe. Lecz nie jestem ślepa. Zamierzam ich wysłuchać. I pani, i ja wiemy, że moja partnerka z ruchu Wolnego Wieku ma rację. To, co robią, tylko bardziej jątrzy rany, aż zostanie im tylko rana. Proszę mi pozwolić zrobić to, co do mnie należy.

– Ma pani moje słowo, że nie skontaktuję się z nimi, bo wiem, co jest słuszne. To, co zrobiły, nie jest słuszne. Lecz jeśli aresztuje pani którąś z nich, proszę, żeby mnie pani powiadomiła. Chcę być z nimi. Zrobić dla nich wszystko, co mogę.

– Ma pani moje słowo.

Kiedy szybkim krokiem szły przez korytarz, a potem w dół po schodach, Eve wyjęła telefon.

– Baxter, mam potwierdzone trzy nazwiska: Downing, MacKensie, Su. Wypatrujcie któreś z nich lub wszystkich.

– Całej trójki.

– Na to wygląda. Jedziemy teraz do MacKensie, żeby ją zgarnąć. Mieszka najbliżej. Dam ci znać, kiedy będziemy miały wszystkie trzy. Nigdzie się nie ruszaj.

– Rozesłać listy gończe? – spytała Peabody, biegnąc, żeby dotrzymać kroku Eve.

– Jeszcze nie. Musimy je ująć, zacząć wywierać na nie presję. Jedna się złamie. Wyślij po dwóch mundurowych do mieszkania i miejsca pracy Su. Na wszelki wypadek. Powinno nam się udać dotrzeć do MacKensie, a potem do Downing, nim się zorientują, że po nie przyszliśmy.

Eve jechała jak szalona, a Peabody zawiadomiła mundurowych i kazała im wyłączyć syreny jedną przecnicę przed domem MacKensie. Eve nie szukała wolnego miejsca, tylko zaparkowała na drugiego, włączając napis „Na służbie”.

Kiedy biegły w stronę budynku, goniła je głęboka uraza innych kierowców, łamiących

przepisy o zakazie używania klaksonów.

– Mundurowi są już w drodze. Nawet jeśli Lipski złamie obietnicę, a nie sądzę – dodała Peabody – nie zdąży ostrzec wszystkich trzech przed wkroczeniem policji.

– Nie to mnie martwi. – Eve posłużyła się swoim kluczem uniwersalnym i ruszyła ku schodom.

– Luźne spodnie – usłyszała głos Peabody. – Luźne spodnie.

– Przestań myśleć o swoim tyłku.

Na piętrze, na którym mieszkała MacKensie, Eve zwolniła kroku. Nacisnęła guzik dzwonka, odczekała chwilę, a potem uderzyła pięścią w drzwi.

– Tego się obawiałam. – Odwróciła się i nacisnęła guzik dzwonka do mieszkania naprzeciwno.

– Powiedziałam, że spotkamy się na dole... – Kobieta, która otworzyła im drzwi, urwała.

– Kim panie są?

– Policja nowojorska. – Eve pokazała jej odznakę. – Gdzie jest Carlee MacKensie, mieszkająca naprzeciwno?

– Skąd mam wiedzieć? – Kobieta zmarszczyła czoło. Na głowie miała dużą, czarną, puchatą czapkę. – Proszę posłuchać, już jestem spóźniona. Właśnie wychodziłam. – Żeby to podkreślić, skończyła zapinać płaszcz. – Zresztą myślę, że wyjechała na jakiś czas.

– Dokąd?

– Skąd mam wiedzieć? Dziś rano wyszłam o tej samej porze, co ona. Razem jechałyśmy windą. Miała walizkę, więc zapytałam... No wie pani, jak to sąsiadka... Czy gdzieś wyjeżdża. I jak dobrze byłoby wyrwać się z miasta, uciec przed tym przeklętym zimnem. Powiedziała „tak”. I tyle. Muszę już iść. Miałam do końca dnia pracować w domu, ale wezwano nas do biura. Naprawdę muszę iść.

– Jedną chwilkę. – Eve przesunęła się, blokując kobiecie drogę. – Co to była za walizka?

– Jezu, skąd mam wiedzieć? Zwykła walizka na kółkach. Wybierała się na zimowe wakacje, odpicowała się na podróż.

– Jak się odpicowała?

– Umalowała się i uczesała... A zauważyłam, że prawie nigdy tego nie robi. Miała na nogach ładne botki. I spryskała się perfumami. Nawet powiedziałam, że podoba mi się ten zapach. Jeśli sądzicie, że coś zrobiła, to jesteście w błędzie. Prawie nigdy nie opuszcza swojego mieszkania, nigdy nie widziałam, żeby kogokolwiek przyjmowała u siebie. To samotnica. Jest cicha, może zamknięta w sobie, może nieśmiała. Zresztą nie wtykam nosa w nie swoje sprawy.

– O której godzinie dziś rano?

– Jezu! – Kobieta znacząco spojrzała na zegarek. – Koło ósmej trzydzieści, bo akurat szłam do pracy.

– Razem panie jechały windą, czyli razem wyszły panie z budynku. Czy wsiadła do taksówki?

– Kurde, jakbym zwracała na to uwagę. Nie, nie, kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie. Zatrzymał się jakiś samochód i wsiadła do niego.

– Samochód?

– Furgonetka. Otworzyły się boczne drzwi, włożyła walizkę i wsiadła. Zauważyłam to,

bo było zimno i pomyślałam, że też bym chciała, żeby ktoś po mnie przyjechał. Nie musiałabym drałować na stację metra, żeby się stawić na tej przeklętej porannej odprawie.

– Proszę opisać furgonetkę.

– Na li... – Zadzwoił jej telefon, zaczęła grzebać w torbie. – Georgie, ani słowa. Stoję w drzwiach mieszkania, zatrzymała mnie policja i wypytuje o panią Milczek, mieszkającą naprzeciwko. Nie wiem, o co chodzi. Czekać na mnie.

Wrzuciła komórkę z powrotem do torby.

– Teraz i ja, i Georgie się spóźnimy.

– Furgonetka – powtórzyła z naciskiem Eve.

– Skąd mam wiedzieć? Może była biała. Może. Z całą pewnością nie czarna. Wyglądała na nową. Musiałam zasuwać do tego przeklętego metra. Nie robiłam notatek.

– Widziała pani kierowcę, innych pasażerów?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Nie wiem. Być może. Szyby były chyba przyciemnione, ale może kogoś widziałam. Kobietę za kierownicą, kiedy drzwi się otworzyły. Drobniutka. Pomyślałam sobie, że jest za mała, żeby prowadzić taką dużą furę. Ciemne włosy, ściągnięte w kucyk, okulary przeciwsłoneczne. Tylko tyle widziałam. Proszę albo mnie aresztować, albo pozwolić mi odejść.

– Proszę mnie nie kusić. Zdjęcia, Peabody. Czy widziała pani którąś z tych kobiet? Im więcej będzie pani psioczyła, tym dłużej będzie to trwało.

– Jak to jest, że kiedy człowiek potrzebuje gliniarza, to ich nie ma, a kiedy go nie chce, to wyrastają tuż przed człowiekiem? – Ale spojrzała na zdjęcia. – Nie, nie, nie, nie... Chwileczkę. – Położyła na wierzchu zdjęcie Charity Downing. – Może. Tak. Może. Chyba ją widziałam ze dwa tygodnie temu. Wychodziłam z budynku, a ona akurat wchodziła do środka. Nie patrzyła, gdzie idzie, i dość mocno trąciła mnie ramieniem. Już chciałam na nią nakrzyczeć, ale zatrzymała się i przeprosiła. Wyglądała, jakby płakała i znów miała się rozplakać. Było koło dziesiątej... Umówiłam się z przyjaciółmi i byłam spóźniona. Koło dziesiątej wieczorem – sprecyzowała. – Pomyślałam sobie: kłopoty z chłopakiem, bo sama też to przeżyłam. Tak czy owak, jestem prawie pewna, że to była ona. Widziałam ją tylko ten jeden raz. W przeciwieństwie do pani Milczek prowadzę bardzo aktywne życie.

– Dlaczego tak ją pani przezwiała?

– Bo taka jest. Jeśli przypadkiem spotkamy się w holu czy gdziekolwiek – a nie zdarza się to często – i zagadam do niej jak sąsiadka, tylko coś mamrocze pod nosem. Nie patrzy człowiekowi w oczy, chodzi ze spuszczoną głową. Przypuszczam, że kogoś zabiła siekierą. Mam rację?

Blisko, pomyślała Eve.

– Jak jeszcze coś sobie pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić. Jeśli zobaczy pani panią MacKensie, też proszę do mnie zadzwonić... I nie zagadywać jej. Peabody, daj pani...

– Lacey. Deena Lacey.

– Daj pani Lacey wizytówkę. Dziękujemy za pomoc.

– Pokażę tę wizytówkę szefowi, kiedy powie, że wyleje mnie i Georgie z roboty, bo się spóźniłyśmy. Proszę się spodziewać telefonu od niego.

– Może dzwonić.

Eve zaczekała, aż Deena Lacey zamknęła drzwi do swojego mieszkania i szybko skierowała się do windy, po drodze wyjmując telefon.

– Już zjeżdżam na dół, Georgie! Nie uwierzysz w to, co ci powiem!

– Dowiedz się, co u mundurowych. – Eve też wyjęła telefon. – Reo – powiedziała bez żadnych wstępów – potrzebny mi nakaz.

Chodziła tam i z powrotem, przekazując szczegóły zastępczyni prokuratora, chodziła tam i z powrotem, kiedy Cher Reo starała się o nakaz, by można było wejść do mieszkania MacKensie i je przeszukać.

– Downing nie otwiera drzwi do mieszkania, nie ma jej w galerii... Wczoraj też nie przysłała do pracy. Mundurowi rozmawiają z sąsiadami – zameldowała Peabody. – Su nie stawiała się w pracy, nie otwiera drzwi do mieszkania ani nie odbiera telefonów. Wygląda na to, że uciekły.

Eve pokręciła głową.

– Zwracam ci uwagę, że MacKensie spakowała się i wsiadła do czekającej pod domem furgonetki, prowadzonej przez kobietę, mniej więcej godzinę po tym, jak wysłałyśmy mundurowych po Su. Ale zdążyła się odpicować. Nie uciekają. Jeszcze nie, bo przetrzymują Betza i chcą jeszcze dopaść Easterdaya. Zapadły się pod ziemię.

– Sądziś, że je spłoszyłyśmy?

– Sądzę, że wszystko to sobie zaplanowały, krok po kroku, ale od samego początku miały pecha, bo pan Mira im przeszkodził, kiedy się rozprawiły z jego kuzynem.

Chodziła tam i z powrotem, jakby w ten sposób mogła przyspieszyć wydanie nakazu.

– Potem policja zainteresowała się nimi znacznie szybciej, niż się tego spodziewały. Lydia Su miała tylko potwierdzić alibi Charity Downing, ale zaczęłyśmy ją wypytywać nie tylko o związki z Downing, lecz również z MacKensie. A te kobiety nie są głupie.

– I spanikowały.

– Spanikowały? Nie sądę. MacKensie się odpicowała, jak nam powiedziała jej sąsiadka. Makijaż, fryzura, perfumy. Człowiek ogarnięty paniką nie ma czasu na takie rzeczy. To mi przypomina plan B. Zrobiło się zbyt gorąco, zapadamy się pod ziemię. Odpicowała się, czyli może to ona ma zwabić Easterdaya.

– Musiałyby być szalone, gdyby teraz próbowały go dopaść.

– Już rozjątrzyły ranę, Peabody. I mają jakąś kryjówkę, o której nie wiemy, miejsce, gdzie wszystko planują, dokąd mogą zabierać tych mężczyzn i ich torturować, odpłacać im się. Zacznij szukać nieruchomości na wszelkie możliwe warianty ich nazwisk, na ich nazwiska panińskie.

Wyciągnęła telefon.

– Tak, Reo?

– Wysłałam nakaz – poinformowała ją zastępczyni prokuratora.

– Potrzebne mi jeszcze dwa. Na przeszukanie mieszkań Lydii Su, es, u, i Charity Downing. – Podała ich adresy.

– Dallas!

– Są współniczkami, Reo. Zabiły dwóch mężczyzn, trzeciego przetrzymują. Jeśli ich nie znaję, w najlepszym razie zostało mu kilka godzin życia.

– Postaram się.

– Postaraj się najlepiej, jak umiesz. Otrzymałam nakaz. Zadzwoń później.

Eve sprawdziła treść nakazu – nie mogą teraz popełnić najmniejszego błędu, pomyślała, a potem skinęła głową do Peabody.

– Możemy wejść do jej mieszkania.

Włączyła rekorder, wyjęła swój klucz uniwersalny. Wyciągnęła broń.

– Porucznik Eve Dallas i detektyw Delia Peabody wchodzą do mieszkania Carlee MacKensie. Mamy ważny nakaz rewizji.

Jeszcze raz z całych sił walnęła w drzwi.

– Carlee MacKensie, tu policja. Wchodzimy do środka.

Otworzyły drzwi i rozejrzały się dookoła.

Eve opuściła broń.

– Wyniosła się z mieszkania i nie zamierza do niego wrócić.

– Meble zostały.

– Uprzątnęła biurko. Zabrała sprzęt elektroniczny. Przejdźmy się i sprawdźmy, ale myślę, że zabrała się stąd.

Łóżko było starannie zasłane, w łazience i kuchni panował idealny porządek. Nie można powiedzieć, żeby Carlee MacKensie była bałaganiarą.

– Mam wrażenie, że wzięła trochę ubrań – powiedziała Delia – sądząc po tym, jak są rozmieszczone. Ale bardzo dużo rzeczy zostawiła.

– Uznała, że nie są ważne. Ważne jest zadanie. Wzięła to, co chciała, i nie zostawiła sprzętu elektronicznego. Nic, co moglibyśmy wykorzystać, żeby ustalić jej miejsce pobytu, żeby móc potwierdzić, że się z nimi kontaktowała.

Eve okrążyła małe, nieciekawe pomieszczenie dzienne.

– Wszystkie prawdopodobnie mają aparaty, które wykorzystują tylko do rozmów między sobą. Jeśli korzystają z komputera, posługują się szyfrem. Ale wolały nie ryzykować. Miała nic nie zostawić w domu. Ale czy pamiętała, żeby zabrać wszystko? Każdy drobiazg? Przewróćmy to mieszkanie do góry nogami i się przekonamy.

– Nie znalazły kluczy Betza – powiedziała Peabody, kiedy przeszukiwały mieszkanie.

– Kluczy Betza nie. Może Wymann miał taki sam komplet. Albo senator. Mamy do czynienia z bractwem, więc moim zdaniem każdy z nich miał klucze. Tak, jak po tej stronie mamy do czynienia z grupą kobiecą. Wspólny cel, lojalność.

Eve przystanąła, zamknęła szufladę, rozejrzała się wkoło.

– Żadnego śladu, że uprawiała seks w tym mieszkaniu. Żadnych zabawek czy też wspomagaczy, żadnej erotycznej bielizny.

– Mogła to wszystko zabrać ze sobą.

– Po co? To nie ma związku z ich misją. Zostawiła ubrania, biżuterię, zdjęcia, audiobooki, wszystkie rupiecie, jakie gromadzimy przez lata. Ale zabrała sprzęt elektroniczny, wszystkie dyski, przypominajki, wydruki artykułów. W lodówce i autokucharzu jest jedzenie. Sąsiadka twierdzi, że nie wtyka nosa w nie swoje sprawy, jednak nie jest głucha ani ślepa.

Eve krążyła po mieszkaniu, doszukując się logiki. I doszła do wniosku, że to było mieszkanie samotniczki. Wiedziała to, bo je rozpoznała. Kiedyś sama w takim mieszkała.

W miejscu, którego wierną kopię urządził dla niej Roarke.

Tam, gdzie mogła być sama, bo w życiu nie miała właściwie nic poza swoją misją, swoją pracą.

Znam MacKensie, pomyślała. Wiem, jaka jest w środku.

– Założę się, że sąsiadka by zauważyła, gdyby MacKensie miała kochanka bądź kochankę, regularnie składających jej wizyty. W tym mieszkaniu nie ma miejsca na miłość, tutaj się tylko pracuje i śpi. Sąsiadka zapamiętała Charity Downing, bo wpadły na siebie, a Downing płakała. Takie rzeczy zapadają nam w pamięć. Pamiętałaby, gdyby widziała ją wcześniej. Czyli albo tamta wcześniej nie przychodziła tutaj, albo pojawiała się bardzo rzadko i dyskretnie.

– Uważasz, że MacKensie i Downing są kochankami?

– Nie. Nie sądzę, by kogoś miała. Są siostrami, tylko to się liczy. To, co wszystkie kiedyś przeżyły – Su również. I wspólny cel.

– Co robisz, kiedy przychodzi do ciebie zapłakana siostra?

– Ach. Wysłuchujesz jej, okazujesz współczucie.

– Częstojesz ją alkoholem, dajesz na pocieszenie coś do jedzenia. Sprawdźmy kuchnię. Znalazły prawie pustą butelkę białego wina, pół butelki bourbona.

– Wezwijmy tu techników, niech po swojemu sprawdzą mieszkanie. – Eve podeszła do autokucharza, sprawdziła, co w nim jest. – Całkiem dobrze zaopatrzone, samo zdrowe żarcie.

– W zamrażalniku ma lody... Prawdziwe. Czekoladowe. Cudowne. Nie są napoczęte, Dallas.

– Kupiła je, bo poprzednie zjadła Downing, kiedy przyszła do niej zapłakana. Co powiesz na to: wyznaczyły Downing, żeby spotykała się z senatorem. Została jego kochanką. Ale nie wie, jak długo jeszcze da radę. Su nie wyglądała mi na taką, która poczęstowałaby kogoś winem czy lodami. Więc przyszła tutaj, szukając współczucia. Przyszła tutaj, bo MacKensie wcześniej była kochanką senatora i doskonale ją rozumiała, mogła jej współczuć. A ponieważ Downing nie mogła już dłużej tego ciągnąć, postanowiły rozpocząć swą misję.

– Jedna z nich udawała agentkę w handlu nieruchomościami – powiedziała Peabody. – Tak, jak podszyły się pod autorkę biografii i jak... Nie uważasz, że prawdopodobnie to MacKensie zaprowadziła Edwarda Mirę do galerii „Eclectia”, żeby mogła go przekazać w ręce Downing?

– Tak, właśnie tak sądzę. Po kolei się z nim spotykały.

– Czyli młoda, seksowna pośredniczka w handlu nieruchomościami, która tak naprawdę nie jest żadną pośredniczką, zamierza pomóc senatorowi wykręcić się od obietnicy, złożonej dziadkowi na łożu śmierci.

– Pasuje. Chyba, że jest ich cztery.

– Kurde.

– Albo więcej.

W następnej kolejności udały się do mieszkania Charity Downing i spotkały znacznie bardziej gadatliwą sąsiadkę. Laurel Esty mieszkała w lokalu przylegającym do mieszkania malarki i już zaprosiła do siebie mundurowych, poczęstowała ich kawą i ciasteczkami.

– Mówi, że od paru dni nie widziała Downing, ale to nic niezwykłego, bo pracuje na noc. Ale jej współlokator wspomniał, że widział dziś rano, jak tamta z dwiema walizkami wychodzi z budynku.

– Gdzie współlokator?

– Teraz w pracy, pani porucznik. Mamy jego nazwisko i numer telefonu.

– Przekażcie te informacje mojej partnerce i, na litość boską, strzepnijcie okruchy ciasteczek z munduru, funkcjonariuszu.

Dallas minęła go i skierowała się ku zadziornej blondynce siedzącej na małej, niebieskiej kanapie pośrodku wygodnego pomieszczenia dziennego, gdzie panował sympatyczny rozgardiasz. Kiedy Eve zbliżyła się do niej, kobieta zerwała się, jakby była na sprężynach. Mało nie rozlała napoju gazowanego, który trzymała w ręku.

– Rety! Właśnie zadzwoniłam do mojego współlokatora – funkcjonariusz Tanker mi pozwolił – i powiedziałam Rebowi, czyli współlokatorowi, że słyszałam, jak funkcjonariusz Tanker mówi do funkcjonariusza Messinga, że porucznik Dallas jest już w drodze. A Reb powiedział: „Bzdura, Laurie, wykluczone”. A ja na to: „Naprawdę, Reb”. Ale mi nie uwierzył. A oto i pani we własnej osobie. Widzieliśmy film. Julian był po prostu niesamowity. Po obejrzeniu filmu Reb powiedział, że załatwiłby panią jednym ciosem, a ja... Jej, to chyba niegrzeczne. Przepraszam. Mogę do niego zadzwonić i udowodnić mu, że tu pani jest?

– Nie. Zna pani Charity Downing?

– No jasne, mieszka tuż obok. Nieczęsto ją widuję, ponieważ pracuję na noc w „Silverado”, miejskim barze dla kowbojów, chociaż czasami zaglądają tam prawdziwi kowboje i...

– Kiedy ostatni raz widziała pani panią Downing albo z nią pani rozmawiała?

– Och... Hmm. Chyba kilka dni temu. Na ogół wracam do domu koło trzeciej nad ranem, a ona wychodzi o dziewiątej, czasami o dziesiątej. O tej porze zwykle śpię jak zabita. Ale trochę rozmawiamy, kiedy się spotkamy – jak ja albo ona mamy wolne albo w pralni. Jest bardzo miła. Reb mówi, że to lesba, ale to facet i jeśli dziewczyna nie ulega jego... – zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – Urokowi, uważa ją za lesbę. Ja się nie liczę, bo znamy się od zawsze i nie pieprzymy się, nawet, kiedy nie mamy nikogo innego. Tak się umówiliśmy.

– Świetnie. Zdjęcia, Peabody.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że pani umarła. – Laurel zwróciła się do Peabody. – Znaczy się, aktorka, która grała panią w filmie. Była bardzo do pani podobna. Czy to dziwne uczucie?

– Trochę tak. Czy zna pani którąś z tych kobiet?

– Och. – Jakby sobie przypomniała, że trzyma w ręku napój, Laurel odstawiała go na stół.

– Może panie usiądą. Mogę panie poczęstować kawą albo czymś zimnym albo...

– Nie ma potrzeby. Proszę się przyjrzyć zdjęciom.

Laurel siedziała ze zdjęciami i przyglądała im się uważnie, przygryzając dolną wargę.

– Nie spotkałam ich. Może dlatego, że pracuję na noc, nigdy ich tu nie widziałam. Ale te dwie znam.

Wskazała zdjęcia Su i MacKensie.

– Gdzie je pani widziała? – spytała Eve.

– W mieszkaniu Charity.

– Dopiero co pani powiedziała, że nie widziała pani, by kręciły się w pobliżu.

– Nie je żywe. Widziałam je na obrazie. W mieszkaniu Charity. Namalowała je i siebie, i chyba jeszcze jakieś dwie kobiety. Wszystkie wydają się naprawdę bardzo smutne, ale silne. Powiedziałam to Charity.

– Peabody, sprawdź to. Pozostałych kobiet nie ma na tym obrazie?

– Nie. Jedna jest stara... Znaczy się, starsza, ma chyba z pięćdziesiąt lat. A druga wygląda na bardzo młodą i jest bardzo smutna. I bardzo ładna. Wszystkie są bardzo ładne. Tak czy owak... Och!

Klasnęła w dłonie, jakby oklaskiwała samą siebie.

– To było ostatnim razem. Teraz sobie przypomniałam. Wstałam i szykowałam się do pracy, a Reb nie uzupełnił zapasów w autokucharzu. Nie było kawy. Przynajmniej nie było jej dość. No a bardzo chciało mi się kawy, więc poszłam do Charity, żeby ją spytać, czy może mi trochę pożyczyć, a ona na to: „No pewnie, nie ma sprawy”. Potem zachciało mi się siusiu. Poszłam pożyczyć od niej kawę, zanim zrobiłam, więc powiedziałam jej, że chce mi się siusiu, a ona odparła, że mogę skorzystać z jej łazienki. Ma mieszkanie z dwiema sypialniami, jak nasze, a drugą wykorzystuje w charakterze pracowni malarskiej. I zobaczyłam ten obraz kobiet. I jeszcze jeden. Budził strach.

– Strach?

– Chyba zakryła obraz, ale materiał się zsunął i zobaczyłam budzący grozę obraz mężczyzn. Wyglądali, jakby wszyscy krzyczeli, wpadali do ognistego dołu przed takim dużym, ponurym domem, jaki się ogląda na horrorach. Dom też płonął. Przypominało to piekło. Mieli na twarzach maski diabłów i nic poza tym. Jakby się przebrali za diabły. Ale widziałam ten obraz tylko przez sekundę, nim Charity wyszła z kuchni z kawą. Podeszła i zamknęła drzwi.

Laurel zgarbiła się i poczerwieniała.

– Przysięgam, że nie myszkowałam po jej mieszkaniu. Po prostu drzwi były otwarte, więc zobaczyłam... To nie myszkowanie. Więc przeprosiłam ją, powiedziałam, że tylko zerknęłam. Chyba nie była zła, ale miałam wrażenie, że wolałaby, żebym nic nie mówiła o obrazie, więc nie ciągnęłam tematu. Podziękowałam za kawę, powiedziałam, że uratowała mi życie, i wyszłam. To było przed kilkoma dniami. Nie wczoraj ani

przedwczoraj, ale mniej niż tydzień temu. Może Reb będzie pamiętał, bo mu o tym wspomniałam. Wysłałam do niego SMS, bo naprawdę było to osobliwe i budziło lęk.

– Czy potrafi pani dokładniej opisać oba obrazy, a także twarze kobiet, których nie ma na tych zdjęciach, rysownikowi portretów pamięciowych?

– Och. – Znów przygryzła dolną wargę. – Nie wiem.

– Detektywowi Yancy’emu. – Wróciła Peabody i uśmiechając się, położyła rękę na sercu.

– Naprawdę? – Laurel zatrzepotała rzesami, w jej oczach rozbłysły iskiarki zainteresowania. – Cóż, może. No dobrze.

– Świetnie. Zawieziemy panią do komendy, gdzie będzie pani mogła popracować z detektywem Yancym. Z góry dziękujemy za pomoc – dodała Eve.

– Mogę zadzwonić do Reba? Będzie chciał się urwać z pracy, jak to usłyszy. I szczerze mówiąc, będę się lepiej czuła, jeśli pojedzie ze mną, albo spotka się ze mną na miejscu. Traktuję go jak brata. Jak członka rodziny.

– Jasne, nie ma sprawy.

– No dobrze. Muszę się ubrać. Funkcjonariusz Tanker mnie obudził. Pani porucznik Dallas, nie rozumiem, jak Charity mogłaby zrobić coś naprawdę złego, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem?

– Tamtego obrazu, który namalowała. Tych mężczyzn-diabłów. Widziałam go tylko przez chwilę, ale i tak śnił mi się po nocach.

Eve i Peabody udały się do sąsiedniego mieszkania.

– Żadnego obrazu kobiet ani mężczyzn-diabłów. Mężczyzn-diabłów?

– Mężczyzn, wyglądających jak diabły, krzyczących, gdy spadali do piekła... Z płonącym domem w tle.

– To okropne. Zdaje się, że malowała to, co jej nie dawało spokoju.

Weszły do środka. Podobnie, jak w mieszkaniu MacKensie, Eve odniosła wrażenie, że to mieszkanie też zostało opuszczone. Znajdowały się tu meble, a także kwitnące rośliny doniczkowe na parapecie, ale nie było żadnego sprzętu elektronicznego. Zostało kilka płócien i trochę materiałów malarskich. Ale żaden obraz nie przypominał tego, który opisała Laurel. Nie było też szkiców żadnej z kobiet.

– Bielizna erotyczna. – Eve podniosła w górę majtki z rozcięciem w kroku. – Sporo tego. Nie wzięła jej, bo z tym skończyła.

– Zabrała większość przyborów toaletowych, ale zostawiła trochę starych rzeczy. I założę się, że będzie jej brakowało tego. – Peabody wyszła z małą buteleczką. – Była między kremami. To tabletki nasenne, są mocne, zwalają człowieka z nóg.

– Jak sprawdzimy jej autokucharza, założę się, że znajdziemy tam środki uspokajające, sprzedawane bez recepty. To ona była w okopach, że się tak wyrażę, podczas batalii z senatorem Mirą. Bliska wyczerpania – powiedziała. – Tabletki nasenne i budzące strach obrazy. Załamie się, kiedy ją znajdziemy.

Na koniec zostawiły sobie mieszkanie Lydii Su. Nie natknęły się na zniecierpliwioną ani towarzyską sąsiadkę, ale wszystko wskazywało na to, że właścicielka zapadła się pod ziemię razem z tym, co uważała za najważniejsze.

– Idź do ochrony budynku – zwróciła się Eve do swojej partnerki. – Niech ci dadzą

nagrania z dwóch ostatnich dni. Obejrzymy sobie, jak przychodzi i wychodzi, co ma ze sobą. To jej furgonetka, więc zacznijmy i to sprawdzać.

– Nie znalazłam żadnego pojazdu, zarejestrowanego na jej nazwisko.

– Ale ma samochód. Sprawdźmy, czy nie zarejestrowała go na jednego z rodziców. Jeśli się okaże, że nie, zwrócę się do naszego cywilnego konsultanta, żeby poszukał pseudonimów. Ona jest właścicielką furgonetki, któraś z nich jest właścicielką domu albo wynajmuje dom.

Kiedy Peabody udała się do biura ochrony budynku, Eve kontynuowała oględziny mieszkania. Stwierdziła, że pani doktor lubi ładne wnętrza w eleganckim budynku. Meble sprawiały wrażenie starannie dobranych. Lydia Su zostawiła dużo ubrań dobrej jakości... Nie zamierzała tu wrócić.

Pochodziła z dobrej rodziny – przynajmniej na to wyglądało, uznała Eve. Otrzymała pierwszorzędną wykształcenie, robiła karierę naukową.

Dużo czasu spędzała w laboratorium, myślała Eve, i prawdopodobnie często pracowała samotnie. Nie znalazła nic, co by świadczyło, że ta kobieta jest z kimś związana.

Coś się wydarzyło w Yale. Coś, co kazało Lydii Su wkroczyć na ścieżkę zemsty. A na tej ścieżce spotkała Downing i MacKensie. Oraz jeszcze dwie kobiety, na razie niezidentyfikowane, jeśli obraz Downing miał znaczenie, jakie mu przypisywała Eve.

Najprawdopodobniej poznała je w grupie wsparcia lub w ośrodku pomocy.

Eve gotowa była się założyć o wszystkie pieniądze, że chodziło o gwałt.

I tu pojawiło się bractwo gwałcicieli.

Ponownie przeszła się po mieszkaniu, tym razem wypatrując ukrytych szuflad albo tajnych skrytek.

Kiedy wróciła Peabody, Dallas na czworakach oglądała podłogę w garderobie.

– Miałam nadzieję, że znajdę jakąś skrytkę, ale nie widać tu nic takiego.

– Mam nagrania.

– Obejrzymy je na ekranie telewizora w sypialni.

Eve podniosła się, wyszła z garderoby do pedantycznie sprzątniętej sypialni, gdzie stało proste, eleganckie łóżko z wysokim, ciemnoszarym, miękkim zagłówkiem, szarą kołdrą i kilkoma niebieskimi poduszkami.

Postukała w zagłówek, zajrzała za niego.

– Jeśli miała skrytkę, i tak zabrałaby ze sobą to, co tam trzymała – powiedziała w równym stopniu do siebie, co do Peabody.

Delia skinęła głową, wyjęła dyskietki i zaczęła je odtwarzać.

– Pełne czterdzieści osiem godzin?

– Na razie zacznijmy od tego, jak przyszliśmy z nią porozmawiać. Resztę obejrzymy w komendzie.

Peabody przewinęła dyskietkę, potem zwolniła odtwarzanie.

Eve przyglądała się, jak razem ze swoją partnerką podchodzą do wejścia, znajdują się w zasięgu kamery, rozmawiają z ochroną przy drzwiach. Potem były w holu i w obiektywie tutejszych kamer zmierzały do windy, gdzie też zainstalowano kamery, a później przeszły korytarzem do drzwi do mieszkania Su.

– Przyspiesz trochę odtwarzanie. Podziel ekran na obraz z kamery przy wejściu i widok

na jej piętrze.

Zobaczyła, jak wychodzą z mieszkania.

– Uważam, że mój magiczny różowy płaszcz mnie wyszczupla.

– Zamknij się, Peabody.

Eve patrzyła, jak zjawił się kurier, niosący duży wazon czerwonych i niebieskich kwiatów; kobieta w zielonym płaszczu i szaliku w kratkę wyprowadziła białego psa na smyczy. Kolejna wychodząca osoba – jakiś mężczyzna z teczką pognał gdzieś z udręczoną miną. A potem...

– Zatrzymaj. Spójrz na nią. Ukrywa twarz przed kamerą.

– Być może. – Peabody zasznurowała usta. – Ale było cholernie zimno. Prawie wszyscy chodzili okutani.

– Włosy ma schowane pod czapkę, idzie z pochyloną głową. Szalikiem tak okręciła szyję, że dolna część twarzy jest niewidoczna. Rękawiczki, długi płaszcz. Włącz odtwarzanie z normalną prędkością. Widzisz, ona nie jest lokatorką budynku. Nacisnęła guzik domofonu, ktoś jej otworzył drzwi. Ale wie, gdzie są kamery. Ile czasu minęło od naszego wyjścia? Dwadzieścia minut?

– Ach... Dwadzieścia trzy.

– Przez hol idzie ze spuszczoną głową albo odwraca się... W windzie też stoi tyłem. Trochę za wysoka na MacKensie. Nie porusza się jak Downing. Może to jedna z tych pozostałych. Może... A oto i piętro Su. Kieruje się do jej mieszkania. I wchodzi do środka. Su zadzwoniła do kogoś po naszym wyjściu. Zdenerwowałyśmy ją, zadzwoniła po jedną ze współpracownic. Może ściągnęła pozostałe. Możesz przyspieszyć odtwarzanie nagrania z kamer na jej piętrze?

– McNab by umiał. Daj mi chwilkę.

Kiedy Peabody zmagala się z urządzeniem, zniecierpliwiona Eve chodziła tam i z powrotem.

– Odgadły, że je powiązałyśmy. Dlatego postanowiły się zapaść pod ziemię. Te dwie omawiają to teraz, planują, dzwonią do pozostałych. Mogę się założyć, że Su się pakuje.

– Udało się! Ej, ale jestem zdolna! Spójrz, Dallas, wychodzą. Czterdzieści sześć minut spędziła w środku.

– Su niesie walizkę i dużą torbę, jej przyjaciółka ma drugą walizkę. I ta kobieta wciąż jest na tyle opanowana, że uważa, by nie pokazywać twarzy do kamery. To nie MacKensie. I nie sądzę, że to Downing. Jedna z pozostałych. Przekażemy to ludziom z wydziału przestępstw komputerowych, niech nad tym popracują. Może uzyskają wystarczająco dużo.

– Jeśli Yancy'emu uda się odświeżyć pamięć o obrazie... – Peabody skinęła głową. – Być może.

– Spójrz, jak jest ubrana Su. Wysokie buty – raczej do pracy niż eleganckie, sportowe spodnie, płaszcz. Duża, czarna torba i walizka. Zatrzymaj... Spójrz na jej twarz. Patrzy prosto w obiektyw kamery. Nie na kamerę – podkreśliła Eve. – Na nas. Wie, że wcześniej czy później to obejrzymy. Spójrz na jej minę.

– Gniewna, ale... Zadowolona z siebie.

– No właśnie.

– Wybiera się na spotkanie z pozostałymi – powiedziała cicho Peabody. – Jedzie po

pozostałe.

– Żeby znów torturować Betza. Muszą się zmieniać. Ostatecznie muszą pracować, zarabiać na życie. Więc się zmieniają. Ale robią swoje. Będą próbowały dopaść Easterdaya. Ponieważ tak się ubrała, to nie ona ma go zwabić. Tym razem to zadanie przypadło MacKensie.

– Jej samochód, jak powiedziałaś.

– Tak, najprawdopodobniej. Cofnij, cofnij do wczorajszego dnia, zacznij odtwarzać zapisy od około piętnastej zero zero.

Patrzyły, jak o piętnastej dziesięć Lydia Su wychodzi z mieszkania. Ubrana była na czarno, z dużą, czarną torbą. Włosy miała ściągnięte do tyłu, okulary przeciwsłoneczne na nosie. W windzie włożyła rękawiczki, zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie traci czasu – mruknęła Eve. – Przekonajmy się, o której godzinie wróciła.

Obserwowały życie budynku – ludzi, wychodzących gdzieś wieczorem – na imprezę, kolację, nocną zmianę. Ludzi wracających – po pracy do późna w biurze, z zakupów lub drinków z przyjaciółmi. Jakaś para, która, sądząc po mowie ciała, pokłóciła się wieczorem, wróciła do domu z kamiennymi twarzami. Inna para, która, sądząc po mowie ciała, najwyraźniej się nie pokłóciła, ale porządnie sobie popiła, chwiejnym krokiem weszła do środka roześmiana.

Jedni mają szczęście, inni nie.

– To ona. Tuż po czwartej. Nie wygląda teraz na zadowoloną z siebie – powiedziała Eve, kiedy przyglądały się, jak Lydia Su idzie przez hol, a potem wjeżdża na swoje piętro.

– Nie, wygląda na naprawdę zmęczoną. Nie współczuję jej, bo niemal mamy pewność, że dopiero co zabiła Wymanna i prawdopodobnie trochę się poznęcała nad Betzem. Ale to coś więcej niż zmęczenie, Dallas.

Z trudem powstrzymuje płacz, pomyślała Eve. Chociaż kobieta rzuciła wyzywające spojrzenie do kamery, szukając w torbie klucza do mieszkania, oczy miała błyszczące od łez.

– Jest poruszona, może nawet żołądek podszedł jej do gardła, bo zabójstwo, drugie zabójstwo, nie dało jej tego, czego potrzebuje bardziej niż cegokolwiek.

– A czego potrzebuje?

– Spokoju. Cholerne wewnętrznego spokoju.

Tylko tego się pragnie, kiedy zaczynają się koszmary, pomyślała Eve. I jest to jedyne, czego nie można znaleźć.

– Sprawiedliwość, której rzekomo stało się zadość, jak napisały na kartce, to za mało. Chce móc spać w nocy. Chce, żeby to się skończyło. A najbardziej marzy o tym, żeby to nigdy się nie wydarzyło. Zabójstwa jej tego nie zapewnią. Jeśli wcześniej o tym nie wiedziała, teraz zaczyna to do niej docierać. Bez względu na to, jak będzie się szorowała, nadal będzie miała krew na rękach.

– Bo wciąż więżą Betza.

– Tak. Ta kobieta zdaje sobie sprawę, że ani ona, ani pozostałe na nim nie poprzestaną. Łudzi się, że może kiedy zakończą swoją misję, znajdzie to, czego szuka. Może będzie mogła spać. Ale się myli.

– Wydaje mi się, że wygląda na zrezygnowaną, poza tym, że jest zmęczona.

– Zrezygnowana, zdeterminowana – mała różnica. Dokończą swoje dzieło. A przynajmniej spróbują dokończyć. Już żadna z nich nie może się wycofać. Po porannej rozmowie z nami wsiądzie do furgonetki, zabierze pozostałe i wszystkie razem pojedą tam, gdzie przetrzymują Betza. Nie odwiozą go do domu. Są wystarczająco inteligentne, by wiedzieć, że obserwujemy jego dom.

Eve nagle poczuła się wyczerpana. Przysiadła na skraju łóżka.

– Powiem Baxterowi i Trueheartowi, żeby przestali obserwować dom, zlecę to komuś innemu. Źle by było, gdyby się okazało, że jednak się mylę. Klucze, klucze Betza. Może te klucze nam coś powiedzą. Chodźmy ponękać wydział przestępstw komputerowych.

– Muszę coś powiedzieć.

Eve odgarnęła włosy do tyłu i wstała.

– Co?

– Ta sprawa i motyw, którym kierują się sprawczynie... To się odbija na tobie. Wracasz myślami do tego, co spotkało ciebie. Ale to nie to samo, Dallas. To nie to samo.

– Masz rację. Moje zabójstwo było usprawiedliwione. On albo ja, a byłam dzieckiem. To nie to samo. Gwałcił mnie, złamał mi rękę... – Podniosła rękę, niemal znów czując ból trzaskającej kości. – Kiedy złamał mi rękę, tamten szok, tamten ból były nie do zniesienia. Jedynym sposobem, żeby to powstrzymać, żeby przeżyć, było zabicie go. Czyli to nie było to samo, co one teraz robią.

Wypuściła powietrze z płuc, lecz żołądek nadal miała ściśnięty.

– Ale cała reszta? Strach, tamten ból i przemoc tkwi w tobie głęboko i nigdy tego nie zapomnisz. Pod tym względem to jest to samo. Dlatego wiem, że nie znajdą spokoju ani, jak to sobie wmawiają, nie wymierzą sprawiedliwości, dopuszczając się krwawych czynów. Ja z pewnością tego nie znalazłam.

– A w jaki sposób znalazłaś spokój?

– Powiem ci, kiedy go znajdę.

Gdy Delia skinęła głową i pochyliła się, żeby wziąć swój zestaw, Eve wsunęła rękę do kieszeni.

– To nie fair i nie do końca prawda.

– Nie musisz o tym mówić. Nie zamierzałam cię nakłaniać do zwierzeń. Po prostu musiałam to powiedzieć.

Pieprzyć mdłości i tępe pulsowanie z tyłu głowy, pomyślała Eve.

Nie wygrają.

– Lepiej rozumiem sprawczynie i myślę, że częściowo dzięki temu namierzyłyśmy je szybciej, niż się tego spodziewały. Jesteś moją partnerką i... Jesteś moją partnerką – powtórzyła, bo to wszystko wyjaśniało. – Są lekarze, psychiatry, terapeuci i gliniarze. Specjalne służby, opiekujące się dziećmi. Mogą zająć się obrażeniami fizycznymi, gwałtami, połamanymi kośćmi, maltretowaniem. Ale cała reszta? Ukryłam tamte sprawy tak głęboko w zakamarkach mózgu, że sama ledwo mogę je znaleźć. Dzięki temu przetrwałam, jak i dzięki temu nożykowi, którym ugodziłam Richarda Troya.

Stojąc, wsunęła rękę do kieszeni, zacisnęła palce na odznace. Czymś bardzo konkretnym.

– Poradziłam sobie. Jasne, że chwilami staje mi to przed oczami i dręczą mnie koszmary, ale wszystko to stanowi już zamknięty rozdział. Jeśli mnie nie uda się ich dorwać, to nie

uda się to nikomu. I nikt nie może mnie już zranić tym wszystkim. Już nie. No i był w tym jakiś cel. Wiem, że już kiedy się ocknęłam w tamtym szpitalu w Dallas, zrozumiałam, że muszę zostać policjantką. Wszystko to, co mnie spotkało złego i dobrego, doprowadziło mnie do takiego wniosku. I kiedy dostałam odznakę, poczułam się... Silna, skierowana na właściwą drogę. Taki miałam cel, jak ich celem jest odebranie życia tym mężczyznom. Odznaka, służba, chronić i służyć, stać po stronie ofiar. Musiałam to zrobić, żeby przetrwać. Potem pojawili się Mavis i Feeney. Mając ich i pracę, czułam się, jakbym zyskała rodzinę, nawet, jeśli wtedy tego nie rozumiałam. I codziennie, kiedy brałam do ręki odznakę...

Wyjęła ją z kieszeni, przyjrzała się jej uważnie.

– Codziennie miałam cel. Wiedziałam, co robić. Ofiary przestępstw były najważniejsze, Peabody, kimkolwiek były, cokolwiek zrobiły. Reprezentowałam ich racje.

– Wiem o tym. Nauczyłaś mnie tego.

– Może myślisz, że nie wiem, co czułaś tamtego dnia, kiedy dostałaś złotą odznakę, co czułaś przedwczoraj Trueheart. Ale ja wiem. Dokładnie pamiętam, co sama wtedy czułam. Detektyw Dallas. O tak, pamiętam podniecenie i lęk, połączone z dumą. A kiedy zostałam porucznikiem? Chryste, znów to samo podniecenie i lęk, i duma oraz poczucie, że mam cel. Najważniejsze były ofiary przestępstw i moi podwładni. Staralam się być jak najlepsza dla ofiar przestępstw i dla moich gliniarzy.

Zważyła odznakę w dłoni i wsunęła ją z powrotem do kieszeni.

– A teraz belki kapitańskie. Kapitan Dallas... Jak to ładnie brzmi. Będę walczyła z tym, co zepchnęłam w najdalszy zakamarek umysłu, aż to pokonam. Aż skończą się te przebłyски wspomnień, które przyprowadzają mnie do mdłości, wywołują przerażenie, te koszmary, które chwytają mnie za gardło w środku nocy. Mam cel w życiu, do jasnej cholery, i już nigdy nie będę ofiarą. Ale... Chodźmy stąd – powiedziała niespodziewanie. – Tylko tracimy tu czas.

Peabody bez słowa wzięła swój płaszcz i go włożyła, a Eve skierowała się do wyjścia. Gdy szły przez hol, przez szacunek milczała, chociaż przepełniała ją troska.

– Oddelegujmy cztery osoby do obserwowania domu Betza. Mundurowy Carmichael jako dowódca i jeszcze troje. Weźmiemy dwoje z naszego wydziału i sprawdzimy, czy Shelby może do nich dołączyć.

– Shelby?

– Z pięćdziesiątego drugiego komisariatu. Ona była pierwsza na miejscu zabójstwa Catiany Dubois.

– Ach, tak, przypominam ją sobie.

– Przyglądam się jej. Jeśli jest taka, jak sądzę, i o ile zechce, ściągnę ją do naszego wydziału. Potrzebny nam ktoś nowy.

Kiedy szły do samochodu, Eve wyjęła swój telefon, zadzwoniła do Baxtera, powiedziała mu, jak się przedstawia sytuacja.

– Czyli gdy tylko zostanieie zmienieni, wracajcie do komendy. Jak tylko wydział przestępstw komputerowych upora się z kartami, ruszamy. I może w laboratorium dokonają cudu ze starymi kluczami. A na razie zaczniemy zbierać więcej informacji o trzech kobietach, które są podejrzane. Ty z Trueheartem sprawdzicie MacKensie. Chcę wiedzieć, jakie pierwsze słowo powiedziała, będąc dzieckiem, co jej matka je na śniadanie, gdzie

robi zakupy, w którym banku ma konto, gdzie się bawi. Gdzie mieszkała od dnia narodzin.

– Rozumiem, pani porucznik. Przekażemy obserwację domu mundurowym i bierzemy się do pracy.

Eve się rozłączyła. Kiedy wsiadły do samochodu, wywołały nową falę niezadowolenia u pozostałych kierowców. Eve w wyobraźni pokazała im środkowy palec, zgasiła napis „Na służbie”, włączyła się do ruchu.

– Ale – odezwała się, jakby nie przerwały rozmowy – to nie wystarczyło. Musiałam wierzyć, że tak, ale wszystko to było za mało, żebym mogła się z tym uporać. Mira dostrzegła, co ze mną jest i... Boże, miałam wtedy do niej ogromną pretensję, bo zauważyła to, czego nie chciałam, żeby zobaczyła. Czego sama nie chciałam widzieć. Zostaw mnie w spokoju, nic mi nie jest, myślałam. A potem był ten wypadek z dupkiem, nafaszerowanym zeusem, i dzieciakiem, jeszcze brzdącem. Nie dotarłam na czas. Nie zdążyłam go powstrzymać. Nie wiem, dlaczego właśnie wtedy byłam taka bliska załamania, ale stało się. Może dotarłam do jakiegoś miejsca, może tamto, jak to się mówi, kumulowało się we mnie, ale mocno mną to wstrząsnęło. I akurat wtedy dostałam sprawę DeBlass. Nic mi nie jest, dam sobie radę. Nie szkodzi, że widziałam, jak pokroił to dziecko na kawałki, przejdę testy po tym, gdy musiałam zabić drania, który pokroił dzieciaka na kawałki, dam sobie radę ze sprawą DeBlass, której nadano klauzulę poufności.

Zatrzymała się na światłach, przesunęła dłońmi po twarzy, żałując, że w ten sposób nie może oddalić zmęczenia i wewnętrznej złości.

– I wtedy pojawił się Roarke. Wciąż pamiętam, jak zbierałam o nim informacje i na ekranie pojawiła się jego twarz. Pomyślałam sobie: No, no, tylko spójrz na niego. Bogaty facet, koszmarnie bogaty. Pan Tajemniczy, bez imienia, o twarzy, która zapiera dech. Nie powinnam była się nim zainteresować. Ale nic nie mogłam na to poradzić – od pierwszej chwili coś mnie w nim pociągało. I wcale nie chodzi o pociąg fizyczny.

Roześmiała się i ruszyła, kiedy zapaliło się zielone światło.

– Jasne, że pociągał mnie jako mężczyzna, ale nie o to chodziło.

– Wiem, co masz na myśli. Rozumiem cię.

– Zupełnie jakby ktoś powiedział: a, do diabła, dajmy tej dwójce szansę. Pora, żeby się nawzajem znaleźli. I wtedy mogłam dopuścić do siebie to, co wyparłam. Mogłam stawić temu czoło, bo ufałam, że on mnie obroni. Nie było nawet mowy, żebym ukryła to, co do niego czuję. Nie mogłam tego przerwać, nie mogłam cofnąć czasu, a któregoś dnia się okazało, że wcale tego nie chcę. Myślę, że bez tego przegrałabym. Nadeszłaby chwila, kiedy ofiary przestałyby być dla mnie najważniejsze, po prostu wykonywałabym swoje obowiązki. Może wcześniej dostałabym belki kapitańskie, kto to wie, ale nie byłabym taką policjantką, jaką muszę być.

A to, nie miała ani cienia wątpliwości, oznaczałoby jej koniec.

– Zginęłabym, nie dopuszczając tego do siebie, gdy miałam Roarke'a u swego boku. Dzięki temu mogłam dalej być sobą. Może przyjąłabym cię do swojego wydziału, jak być może przyjmę Shelby, ale nie byłybyśmy partnerkami. Nie nadawałabym się do tego.

Skręciła do garażu pod budynkiem komendy.

– Czyli znalazłam ten spokój. Ale takie śledztwa mogą go zburzyć. Czasami go tracę,

przecieka przez palce jak woda. Ale wiem, gdzie go szukać i z kim. A ty stanowisz część tego „gdzie i z kim”.

Zaparkowała na swoim miejscu i spojrzała na Delię.

– Przestań! – poleciła, widząc, jak po policzkach jej partnerki płyną łzy. – Żadnego mazania się. Jesteśmy w garażu pod budynkiem komendy. Glinom nie wolno się mazać w miejscu pracy.

– Wcale się nie mażę – odparła Peabody, szukając w kieszeni chusteczek. – I nie obejmuję cię z całych sił, chociaż mam na to wielką ochotę. Chcę ci tylko powiedzieć, że zawsze, kiedy coś ci zaburzy ten spokój, możesz na mnie liczyć. Możesz na mnie liczyć – powtórzyła i wydmuchawszy nos, wygramoliła się z samochodu.

Eve została jeszcze przez chwilę w aucie.

– Wiem o tym – mruknęła i wysiadła, żeby znów zająć się pracą.

Udały się prosto do wydziału przestępstw komputerowych; Eve miała nadzieję, że informatycy powiedzą jej coś konkretnego.

W laboratorium komputerowym było od nich aż gęsto.

McNab stał, poruszając biodrami w neonowych spodniach, w uchu błyszcząły mu kolczyki. Stał przy jakiejś stacji roboczej i patrzył przez mikroskop. Feeney z włosami sterczącymi, jakby ktoś poraził go prądem, siedział w pomiętym, brązowym garniturze i pracował na dwóch komputerach jednocześnie.

Mającą czym oddychać Callender zdawała się tańczyć między dwiema stacjami roboczymi, poruszając ramionami, co z kolei sprawiało, że jej wydatny biust, nie wiedzieć czemu okryty czerwoną bluzką, ozdobioną cekinami, z małpą jadącą na motocyklu, też podrygiwał.

Jeszcze jeden informatyk, którego Eve niewyraźnie sobie przypominała, podskakiwał na stołku, walcząc z bebechami komputera rozłożonymi na stacji roboczej. Czerwone jak bluzka Callender włosy splótł w długie dredy, które u dołu były żółte jak eksplodujące słońce. Spodnie dopasował do koloru końcówek włosów.

Eve pożałowała, że nie włożyła okularów przeciwsłonecznych, zanim weszła do pracowni.

Na widok ich obu McNab mrugnął do Peabody.

- Ej, panie kapitanie, przybył szwadron śmierci.
- Trochę mamy, trochę nie mamy – zakomunikował Feeney.
- Zacznij od tego, co macie.
- Udało nam się zeskanować jedną kartę, odczytaliśmy numer i nazwisko. To karta bankowa Liberty National Bank of New York. Po wykonaniu krótkiego tańca ustaliliśmy, o który oddział chodzi. Cokolwiek facet ukrył w tym banku, ukrył to w oddziale w Bronksie. Właśnie miałem ci wysłać adres.
- Zrób to. Pojadę tam i przekonamy się, co znajdzie. I dzięki. A czego nie macie?
- Chodzi o drugą kartę. Jest kod, jak najbardziej, ale brak nazwiska, jak w przypadku karty do skrytki bankowej. Jeszcze nad tym główkujemy, ale przypuszczamy, że to karta do jakiegoś mieszkania. Nie wygląda nam na kartę do biura. To niewykluczone, ale skłaniamy się ku przypuszczeniu, że raczej otwiera drzwi do mieszkania.
- To więcej, niż miałam. A co zdradziły komputery ofiary?
- W tych, z których korzystał w Instytucie Miry, są tylko pliki, dotyczące spraw służbowych i polityki. Ale jeszcze raz się im przyjrzę. Callender zajmuje się komputerami Wymanna. A Juju – sprzętem Betza.
- Juju?

Osobnik z czerwonymi dreadami uśmiechnął się do Eve.

Pomyślała, że gość wygląda, jakby ktoś ochlapał jego białą, okrągłą twarz czerwoną farbą i nazwał cętki piegami.

– Jeśli chodzi o Betza – powiedział, stukając w podłogę stopami w niebieskich jak błyskawica, sznurowanych butach do kolan – facet jest przy forsie. Miałyby jej więcej, gdyby nie stawiał na wolne koniki. Właściciel dwóch kwadratów, jednego w Jabłku, drugiego tam, skąd rum i cygara. Dużo wkłada, mało wyjmuje. Jak na takiego matuzala, ma spore stadko sikorek. Ma je na fiszkach, tasuje je. Lubi bryki, ma trzy, i całą kolekcję kwitów za temperaturę.

– Starczy. – Eve podniosła rękę, kiedy zaczęło ją łupać w głowie. – Czy ten facet mówi po angielsku?

– Jestem dwujęzyczny – oświadczył Juju, uśmiechając się szeroko. – Znam amerykański i komputerowy. Wolę komputerowy.

Uśmiechnął się do Callender.

– Coś do picia?

– Absolutnie. Bąbelki wiśniowe.

– Robi się. Czarna śmierć, kapitanie?

– Nie, coś słodkiego. To samo, co Callender.

– Rozumiem. McNab?

– Niech będzie trzy razy to samo.

Gdy wstał, okazało się, że mierzy dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Nawet ponad metr dziewięćdziesiąt, uznała Eve. Może trochę za sprawą butów na grubej podeszwie, niebieskich w srebrne gwiazdki.

– Dopisać?

– Nie, cokolwiek to znaczy.

– Tak, dzięki – powiedziała Peabody, kiedy wskazał ją palcem.

– Załatwione. – Wyszedł tanecznym krokiem.

– Rozboliła mnie głowa – mruknęła Eve.

Callender wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niej.

– Lubi mówić żargonem maniaków komputerowych, ale ma wszystkich w domu. Powiedział, że Betz ma pieniądze, i to sporo, ale regularnie je traci na wyścigach. Stawia na konie, które nie wygrywają. Oficjalnie jest właścicielem dwóch nieruchomości – jednej w Nowym Jorku, drugiej na Kubie.

– Chcę otrzymać dokładne dane. Sprawdzimy tę na Kubie.

– Dostaniesz je. Powiedział też, że Betz jest... Jak to się mówi... Kobięciarzem. Na faceta w jego wieku ma dużo przyjaciółek. I trzyma pod ręką ich listę, żeby mieć ich nazwiska i w razie potrzeby móc się umówić z jedną z nich.

– Chryste. Chcę dostać wszystkie te informacje.

– Załatwione. Facet ma trzy samochody i dużo mandatów za przekraczanie dozwolonej prędkości.

– To też mnie interesuje. Przekonamy się, czy uda nam się ustalić, dokąd było mu tak spieszno. Dobry początek.

– Juju uzyskał dużo informacji – powiedziała Callender. – Mnie się trafiła elektronika

gościa od ekonomii. I udało mi się ustalić na tej podstawie, że nie uprawia... Nie uprawiał hazardu, a przynajmniej nie ma żadnych dowodów na to w sprzęcie komputerowym. W przeciwieństwie do tamtego – Juju powiedział, że Betz wypłacał sobie spore wynagrodzenie z rodzinnej firmy, a mało z siebie dawał – mój ekonomista to mrówa. Poświęcał dużo czasu na pracę i bardzo się do niej przykładał. I ma dużo wolnego czasu. Wakacje, wyjazdy. Trzyma w komputerze dużo zdjęć, ustaliłam tożsamość krewnych. Gromadzi recenzje sztuk teatralnych, w których gra wnuk. Wysyła dużo mejli do niego, do rodziny, przyjaciół. Nie prowadzi listy swoich „sikerek”, ale znalazłam sporo nazwisk i kontaktów do kobiet. Liczne nieruchomości – niektóre to inwestycje, ale ma również mieszkanie w Londynie i dom w East Hampton.

– No dobrze, jeśli dorwały klucze, mogą korzystać z domu w East Hampton albo jednego z domów innych ofiar. Ale...

Zbyt oczywiste, pomyślała Eve. Po prostu zbyt nieskomplikowane.

– Mają coś swojego. Nie mogły tego wszystkiego przygotować w biegu. Sprawdźmy drugie miejsca zamieszkania, nawet nieruchomości, będące inwestycjami. Musimy je wykreślić.

Sprawdziła, która godzina. Czas mijał, szanse Betza malały z każdą minutą.

– Prześlijcie mi wszystko, co macie, i co jeszcze ustalicie. Zajrzę do Yancy’ego, zobaczę, jak mu idzie praca przy portrecie pamięciowym, a potem będę u siebie. Muszę pomyśleć.

Wyszła, kiedy Juju wrócił z tacą pełną napojów. Rzucił Peabody rozradowany uśmiech.

– Dla ciebie – powiedział i podał jej jedną z puszek.

– Dzięki.

Kiedy zaczęła szukać kredytów, poruszył palcem w powietrzu.

– Ja stawiam.

Przybili żółwika, a potem, podrygując, poszedł dalej.

– Jest dobry – powiedziała Peabody i wypła łyk. – Kilka razy spotkałam się z nim.

– Feeney przydzielił go do tej pracy, mnie to wystarczy. Ruszaj do siebie, zacznij szukać informacji o Downing. Pokop głęboko.

– Pozdrów Yancy’ego ode mnie.

Rozdzieliły się. Eve poszła do wydziału Yancy’ego, zastała go przy biurku, jak patrzył ze zmarszczonym czołem w ekran komputera. Policyjny rysownik miał masę ciemnych, kręconych włosów wokół urodziwej i bezsprzecznie seksownej twarzy. Uniósł wzrok, spojrzął na nią z roztargnieniem.

– Cześć.

– Cześć. I pozdrowienia od Peabody. Udało ci się nawiązać kontakt z Laurel Esty?

– Dopiero co wyszła razem ze swoim przyjacielem Rebem. Nawiązać kontakt? Owszem, można tak powiedzieć. Po pracy mam randkę.

– Z Esty?

– Tak jakoś wyszło. – Roześmiał się zaskoczony i spojrzął z roztargnieniem. – Powiedziała, że mógłbym ją zaprosić na drinka, a ja odrzekłem: „czemu nie”. Wtedy powiedziała: Świetnie, może o siódmej? Więc...

– Więc – powtórzyła Eve, unosząc brwi. – Rozumiem, że nie była zdenerwowana, kiedy tu przyszła.

– Nie wyglądała na zdenerwowaną. Jak wielu osobom, wydawało jej się, że nie pamięta ani nie widziała tego, co pamięta i widziała. Trzeba jedynie wiedzieć, jak to wydobyć na wierzch. Hm. Po prostu. I nawet nie dlatego, że nie była świadkiem przestępstwa, tylko rzuciła okiem na jakiś obraz, który ma związek ze sprawą.

– Zgadza się. – Eve przysiadła na skraju jego biurka. – Jeśli o to pytasz, nie przekroczyłeś granic etyki zawodowej, zapraszając ją na drinka. Ile udało ci się od niej wyciągnąć?

– Poza numerem telefonu i informacją, że aktualnie z nikim się nie spotyka? – Uśmiechnął się. – Chyba udało mi się zrobić kopię obrazu możliwie najwierniej, nie widząc go. W szkicowniku. Właśnie miałem to przenieść do komputera i wysłać do ciebie.

– Dobrze, ale pozwól, że rzucę na niego okiem.

Otworzył szkicownik, przerzucił kartkę.

– Zacząłem od całego obrazu, bo tak go widziała. Pięć kobiet razem.

– Tworzą jedność, prawda? – Eve przyjrzała się uważnie portretowi kobiet, stojących ramię przy ramieniu. – Downing... Świadek ją znała. A to bardzo przyzwoite szkice MacKensie i Su... A ich nie widziała. Myślę, że uda nam się zidentyfikować pozostałe, wykorzystując program identyfikacji na podstawie wyglądu.

– Należy uwzględnić fakt, że to przybliżenie interpretacji artystki. Dwie niezidentyfikowane... Ta jest młoda. Według mnie ma dwadzieścia kilka lat. Druga bardziej dojrzała. Po czterdziestce, może starsza.

– Najmłodsza jest w środku... Jakby... Jakby ją wspierały.

– Być może. – Zmarszczył czoło, przyglądając się swojemu dziełu. – Być może – powtórzył. – Sądząc na podstawie tego, że jest w środku. Zrobiłem osobne rysunki twarzy, ale Laurie najlepiej pamiętała Downing. Jak powiedziałaś, znała ją, widywała, rozmawiała z nią. Pozostałe mogę spróbować zidentyfikować na podstawie wyglądu.

Eve chciała powiedzieć, że sama to zrobi, ale się rozmyśliła. Im więcej osób tym się zajmie, tym szybciej pójdzie praca.

– Będę wdzięczna.

– Drobiazg. A ten drugi obraz...

Przerzucił kartki ze szkicami twarzy, aż dotarł do studium wpadających do morza ognia sześciu męskich postaci z maskami diabłów na twarzach. Więcej płomieni wydobywało się z domu w głębi.

– Ponury obraz – powiedział Yancy.

Eve wzięła od niego szkicownik, przyjrzała się z bliska rysunkowi. Zauważyła, że udało mu się wydobyć od Laurel Esty więcej szczegółów. Dom miał trzy kondygnacje, był dość rozłożysty. Płomienie, wydobywające się przez okna, oświetlały ceglany mur. Budynek nie sprawiał wrażenia współczesnego, tylko starego, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Bogatego domu.

Pomyślała, że poznałaby go, gdyby go zobaczyła.

Tak jak rozpoznała mężczyzn w maskach diabłów.

– Edward Mira, Jonas Wymann, William Stevenson – ci trzej nie żyją, chociaż Stevenson już od jakiegoś czasu. Uznano, że popełnił samobójstwo, ale przyjrzymy się temu. Frederick Betz, zaginiony. Marshall Easterday, trzęsący się ze strachu we własnym domu,

i Etan MacNamee, dotąd cały i zdrow w Glasgow, gdzie pilnuje go lokalna policja. Dobra robota, Yancy.

– Staramy się, jak możemy. Laurie powiedziała, że trafnie to oddałem. Nie sądzę, że tylko dlatego, że chciała mnie poderwać.

Eve wzięła kartki, obejrzała portrety poszczególnych kobiet i pomyślała, że są duże szanse na ustalenie ich tożsamości na podstawie wyglądu. Więcej niż pięćdziesiąt procent.

– Prześlij mi to wszystko. Jak uda ci się zidentyfikować kobiety, natychmiast mnie informuj.

– Jasne.

Wróciła do wydziału zabójstw. Przyszła akurat wtedy, kiedy Baxter krytykował Jenkinsona za wybór krawata.

– Jak możesz nosić fiolet i złoto do garnituru w tym odcieniu brązu?

– Krawat mówi wszystko.

– Twój mówi „zostawiłem dobry smak w domu”. Mógłbyś chociaż pamiętać o rodzinach kolorów i właściwym kontraście.

– Trzeba trochę ryzykować z modą – powiedział Jenkinson, żeby się odgryźć. – Ej, Trueheart, mam dobre źródło krawatów. Dostaniesz korzystne ceny, jeśli chcesz ubarwić swoją garderobę detektywa.

– Dziękuję, Jenkinson, mam jeden, który dostałem od twojej żony wczoraj w prezencie.

– Myślisz, że możesz się teraz wymądrzać. Ej, szefowo, co sądzisz o moim krawacie?

– Jenkinson, staram się nie myśleć o twoim nowym fetyszu krawatowym.

– Tylko ubarwiam ponury świat. Reineke, pokaż pani porucznik swoje skarpetki.

– Nie chcę oglądać... – Urwała, bo Reineke zadarł w górę nogę i odsłonił czerwone skarpetki w niebieskie błyskawice.

Przypomniały jej się buty Juju.

– Nie ma miłosiernego Boga – mruknęła.

– Muszę dopasować się do swojego partnera – oświadczył Reineke. – Uznałem, że skupię się na nogach, a buty są za drogie.

Najlepsi gliniarze, pomyślała Eve, uciekając do swojego gabinetu. W jej wydziale pracowali najlepsi gliniarze, jakich znała.

Ale czasami...

Znów zadzwoniła do Cher Reo, żeby poprosić ją o nakaz sprawdzenia skrytki bankowej Betza.

Nalała sobie kawy, uaktualniła tablicę i książkę śledztwa. Potem zaś zrobiła to, co chciała zrobić od kilku godzin. Położyła nogi na biurku, by pomyśleć.

Pięć kobiet, ukrywających tę samą tajemnicę, mających wspólny cel. Te dwa obrazy nie przypadkiem wisiały w pracowni Charity Downing.

Poprzez malowanie chciała się uporać ze swoimi problemami. Ukazać, co czuje.

Miłość i nienawiść? Tak, można to tak odebrać.

Pięć kobiet, pomyślała Eve. Zachowanie tajemnicy wymagało ogromnej lojalności i determinacji.

Jeśli portret dobrze oddawał ich wygląd, miały od dwudziestu kilku do czterdziestu kilku lat. Dwadzieścia lat różnicy. Wiek eliminował starszą kobietę z grona tych, na które zwykle

polowali dwaj mężczyźni, leżący teraz w kostnicy.

Sześciu mężczyzn. Połowa z nich nie żyła, żaden nie zginął z przyczyn naturalnych albo w wyniku wypadku. Sześciu mężczyzn, mieszkających w jednym domu podczas studiów na tej samej uczelni. Ale była pewna, że nie tylko to ich łączyło. Wpływowi mężczyźni, bogaci. Dwaj zamordowani cudzołóżnicy lubili młode kobiety.

Coś ich zbliżyło, kiedy studiowali, pomyślała. Sześciu młodych mężczyzn z uprzywilejowanych rodzin. Młodzieńców z wyższych sfer.

Co zbliża młodych mężczyzn?

Młode kobiety – interesowanie się nimi, chęć ich zdobycia.

Na takiej uczelni, jak Yale, musieli pracować, studiować, mieć dobre wyniki, w przeciwnym razie – bogaci czy biedni – zostaliby wylani. Wielki stres, szczególnie, że zanosilo się na wojnę. Wojnę, którą zrodził gniew i niezadowolenie, skierowane przeciwko wszystkim uprzywilejowanym.

Większy nacisk, doszła do wniosku, na bezpieczeństwo.

Czego pragnęli ci młodzi mężczyźni – poza kobietami – co zapewniała im uczelnia? Wolności od ograniczeń, narzucanych przez rodziców. Rodzice nie rozliczali ich z każdej minuty, nie kontrolowali, czym się zajmują synowie. A teraz nacisk na bezpieczeństwo znów ograniczył tę swobodę.

Seks, narkotyki, alkohol. Czy nie w taki sposób świętuje się uwolnienie spod rodzicielskiej kurateli? Żeby pokazać środkowy palec zasadom? Udowodnić, że jest się mężczyzną? Dorosłym?

Ale kiedy za murami uczelni stanęli buntownicy, wymachujący pięściami, rzucający kamieniami, zamknięto bramy. I co teraz?

W ich kartotekach nie było nic na temat narkotyków, wykroczeń, popełnionych po pijanemu. Może zostały wymazane – zadziałały pieniądze i wojna – ale tak czy owak pozostał seks.

I seks stanowi klucz.

Sześciu młodych mężczyzn. Czy wszystko się zaczęło jeszcze wtedy?

Stare klucze w skrytce. Stary, elegancki dom w ogniu – symbolicznie czy dosłownie.

I sześciu mężczyzn w drodze do piekła.

Spojrzała na monitor, kiedy rozległ się sygnał, że przyszła nowa wiadomość. I zdjęła nogi z biurka, widząc, że to od Morrisa.

Zbadałem tatuaże u obu ofiar. Pełny raport naukowy w załączeniu. W skrócie: tatuaże mają czterdzieści–pięćdziesiąt lat, skłaniam się ku pięćdziesięciu. Wysłałem próbki do laboratorium do dalszych analiz i sprawdzenia, ale dowody świadczą, że twoi zamordowani byli młodymi ludźmi, kiedy kazali się wytatuować.

Sześciu młodych mężczyzn, znów pomyślała, którzy założyli bractwo.

I pięć kobiet, które coś łączy.

Otworzyła drugą wiadomość, z rysunkami Yancy'ego.

– Komputer, poszukaj w promieniu czterdziestu kilometrów od Uniwersytetu Yale nieruchomości, które przynajmniej w ośmiu procentach pokrywają się z domem z rysunku numer dwa, i liczą sobie przynajmniej pięćdziesiąt lat. Sprawdź, czy dom nadal stoi czy

nie. Prześlij wyniki na mój domowy komputer.

Potwierdzam kryteria poszukiwań. Przystępuję do pracy...

– Ja też.

Akurat masowała zeszywniały kark, kiedy zadzwonił telefon.

– Eve – powiedziała doktor Mira – przykro mi, że nie mogę ci przekazać więcej informacji.

– Masz na myśli „Wewnętrzny Spokój”?

– Tak. Przepisy o poufności, nawet jeśli informacji szuka lekarz, są bardzo restrykcyjne i jasne. Ale ponieważ już mogłam potwierdzić, że Lydia Su i Carlee MacKensie były gośćmi ośrodka, trochę mi to ułatwiło zadanie. Ich terapeuci i prowadzący grupy wsparcia nie mogli mi przekazać szczegółów, jednak solidarność zawodowa trochę się liczy. Powiedzmy, że zrobili kilka aluzji albo nie zaprzeczyli moim konkluzjom. Obie kobiety szukały pomocy, bo dręczyły je koszmary senne. Pełne przemocy. I obie wzięły udział w terapii, uwalniającej wyparte wspomnienia. Te szczegóły potwierdzają badania nad bezsennością, w których brały udział Su i Downing.

– No dobrze. Każdy szczegół się liczy.

– Mogę ci jeszcze powiedzieć, że obie kobiety zapisały się na sesje tylko dla kobiet i dotyczące spraw kobiet. Z moich ustaleń wynika, że na te zajęcia głównie zgłaszają się ofiary przemocy fizycznej i seksualnej. Trochę zajmują się tam podnoszeniem samooceny, trochę poszukiwaniami duchowymi. Ale ośrodek dużo uwagi poświęca ofiarom przemocy. Ofiarom gwałtów.

– Zapadły się pod ziemię.

– Słucham?

– Trzy z nich i przynajmniej jeszcze jedna zapadły się pod ziemię.

– Jeszcze jedna.

– Jest ich pięć. Su, MacKensie i Downing spakowały trochę rzeczy i dziś rano opuściły swoje mieszkania. Znalazłam jeszcze jedną kobietę o nieustalonej tożsamości – na razie – na zapisach kamer w budynku Su. I mam pięć szkiców, sporządzonych na podstawie portretu, który był w mieszkaniu Downing. Wiek od czterdziestu kilku do dwudziestu kilku lat.

Mira przez chwilę milczała.

– Na podstawie tego, co wiemy, wyciągnęłabym wniosek, że te zabójstwa to zemsta za wykorzystywanie seksualne, gwałty, których dopuszczano się przez wiele lat i których ofiarą padło wiele kobiet.

– Zgadza się. Muszę wracać do pracy. Jeśli jeszcze czegoś się dowiesz, informuj mnie.

– Masz ich pięć, Eve. I jest między nimi duża różnica wieku. Wystarczy wypełnić luki, żeby zobaczyć prawdopodobieństwo.

– Tak. Jest ich znacznie więcej niż pięć. Będę w kontakcie – powiedziała Eve i się rozłączyła.

Wstała, wzięła płaszcz i skierowała się do wyjścia.

– Baxter, Trueheart, wszystko, czego się dowiecie, przekazujcie na moje komputery

w pracy i w domu. Peabody, ty tak samo. Może nie zdążę wrócić.

– Ale...

– Jadę do Bronxu, gdzie Betz miał skrytkę w banku, i jeśli nie będę musiała, nie wrócę do komendy. Yancy na podstawie rysów twarzy ustala tożsamość dwóch nieznanym nam kobiet z obrazu Downing, ja zleciłam komputerowi szukanie domu z drugiego obrazu. Jak będą jakieś wyniki, ściągnę cię, jeśli zajdzie taka potrzeba. A na razie chcę, żebyś zebrała wszelkie informacje, do których uda się dotrzeć. Drogi tych pięciu kobiet gdzieś się przecięły – a na razie mamy tylko trzy z pięciu. Chcę wiedzieć, gdzie i kiedy wszystkie się poznały – poleciała swojej partnerce.

Skierowała się do ruchomych schodów – tym razem nie wyobrażała sobie jazdy windą do garażu. Wtedy zadzwonił jej telefon.

– Dallas. Chcę usłyszeć, że masz nakaz.

– Będę miała, nim po mnie przyjedziesz – zapewniła Cher Reo.

– Co? Dlaczego?

– Ponieważ banki zwykle robią kłopoty. Przyda ci się prawnik. Poza tym, skoro w ciągu jednego dnia załatwiłam ci tyle nakazów, zasłużyłam sobie na wyjazd w teren.

– To w Bronksie. – Zniecierpliwiona Eve przeciskała się między ludźmi, zadowolonymi, że mogą stać, zjeżdżając na dół.

– Czekam na ciebie przed gmachem sądu.

Nim Eve zdążyła zaproponować, tamta się rozłączyła.

Dallas przepychała się między ludźmi stojącymi na schodach, mruczając pod nosem. Zamierzała wykorzystać czas jazdy na zastanawianie się i poganianie innych. Pracowników laboratorium, wydziału przestępstw komputerowych, Yancy'ego. I nie wykluczała, że zadzwoni do Roarke'a po pomoc.

Nim dotarła do garażu, pogodziła się z tym, że będzie miała towarzyszkę. Rzeczywiście, czasami prawnik się przydaje.

Reo przynajmniej była słowna i czekała przed budynkiem. Spod jej eleganckiego, czerwonego beretu widać było blond włosy. Tego samego koloru płaszcz sięgał do połowy łydek, na nogach miała czarne botki na wysokim obcasie.

– Jak możesz w tym chodzić? – spytała Eve, kiedy zastępczyni prokuratora wsiadła do samochodu.

– Z wdziękiem i seksapilem. – Cher postawiła teczkę i ogromną torebkę na podłodze i, jak Peabody, włączyła ogrzewanie fotela. – Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek się przyzwyczaję do nowojorskich zim.

– Są co roku.

– Jesteś zła, że z tobą jadę. Ile ci dziś załatwiłam nakazów?

– Dobrze już, dobrze.

– Ta sama drużyna, Dallas. Zakładam, że Frank Betz się nie odnalazł.

– O ile nie postanowiły zakończyć działalności i uciec – a nie wydaje mi się, by tak zrobiły – nadal żyje. Ale bardzo cierpi i już niewiele życia mu zostało.

– Cóż za optymizm. – Kiedy zadzwonił jej telefon, Cher wyjęła go, spojrzęła na wyświetlacz i nacisnęła klawisz „odrzuć połączenie”.

– Nie musisz odebrać?

– Nie. Jestem do twojej wyłącznej dyspozycji – oznajmiła radośnie. – Znam część szczegółów. Może zdradzisz mi resztę?

Eve opowiedziała jej wszystko. Nigdy nie zaszkodzi jeszcze raz wszystko powtórzyć, zarówno sobie, jak Reo.

– Jesteś przekonana, że ci mężczyźni, dwie ofiary zabójstw i ta trójka, nie, z samobójcą czwórka, zgwałcili te kobiety.

– Tak. A ponieważ jedna z nich jest o dwadzieścia lat starsza od tych, którymi zwykle się interesują, uważam, że przynajmniej od tak dawna to robili. Może trochę dłużej.

– Z uwagi na tatuaże.

Przynajmniej Eve nie musiała tłumaczyć jej każdego szczegółu.

– Jeśli kobieta, prowadząca ośrodek pomocy, rozpoznała według ciebie trzy z nich – dodała Cher – może cała piątka tam się poznała.

– Trudno mi uwierzyć, że pięć ofiar tej samej grupy przestępczej zwróciło się do jednego ośrodka pomocy. I żadna z nich nie powiadomiła policji, że padła ofiarą gwałtu.

– Nic takiego nie znaleźliśmy.

– Czyli grupa wsparcia, terapia, a może było coś innego, co je połączyło.

– Może to wszystko, a niezależnie od tego jeszcze coś. To naciągane, ale tyle mam. Easterday jest wstrząśnięty. Jeśli nie znajdę Betza, wezwę Easterdaya na przesłuchanie. Muszę groźbą to z niego wyciągnąć.

Spojrzała na Reo – drobniutką, ładniutką, ale bezwzględna zastępczynię prokuratora.

– Mogę wykorzystać swoje wpływy.

– Jest prawnikiem, wielu kolegów będzie radziło, żeby skorzystał z przysługującego mu prawa do zachowania milczenia.

– Jeśli uda mi się go przekonać, że zagrożone jest jego życie, złamie się. Bo rzeczywiście jest zagrożone. Druga sprawa to wejście do mieszkania Edwarda Miry, obejrzenie rzeczy zmarłego bez zgody jego żony. Będzie się starała przeszkodzić mi w tym na wszelkie możliwe sposoby.

– Czyli prawnicy się przydają. Kiedy się do niej wybierasz?

– Dziś, najpóźniej jutro. – Przesunęła dłonią po twarzy. – Uwzględniając to, co mam do zrobienia, raczej jutro. Rano. Wcześniej. Syn i córka zamordowanego mnie poprą. Może nawet mi pomogą. Załatwię to, jak dasz mi nakaz. Chcę zarekwirować jego sprzęt elektroniczny. Chcę zabrać wszystko, co może się okazać istotne.

Reo wyjęła palmtop i coś w nim zapisała.

– Myślisz, że ona wie? Jeśli jest tak, jak myślisz, i senator był jednym z gwałcicieli, sądzisz, że ona o tym wiedziała?

– Sądzę, że jest tego typu osobą, która wie, ale potrafi sobie wmówić, że nie wie. Uważam, że jeśli wszystko wyjdzie na jaw, Mandy Mira jest tego typu osobą, która powie, że same się o to prosiły, że tego chciały.

– Znam takie jak ona. Spotykamy się z nimi w naszej pracy równie często, jak wy. A co z żoną Easterdaya?

– O niczym nie wie. Nie sprawiła na mnie wrażenia kobiety, która ma klapki na oczach albo ma w nosie wszystko, co nie koliduje z jej życiem towarzyskim. I wykorzystam to, kiedy go aresztuję. Nieważne, jak tego dokonam.

- Zawsze tak jeździsz?
- To znaczy jak?
- Jakbyśmy musiały uciekać przed trzęsieniem ziemi.
- Nie mamy czasu. Prawdę mówiąc... – Włączyła syrenę i wzniosła się pionowo w górę.
- Jeśli chcesz wiedzieć, tak się ucieka przed trzęsieniem ziemi.

Przejechała z Manhattanu do Bronxu w rekordowo krótkim czasie i dała Reo punkt za to, że tylko raz zapiszczała.

Ale tamten przeklęty taksówkarz nie powinien ignorować syreny.

Eve wcisnęła się na miejsce, gdzie stał znak zakazu parkowania i włączyła napis „Na służbie”.

Reo przejrzała się w lusterku.

– Upewniam się, czy nie mam wytrzeszczu oczu. – Wyjęła z torebki czerwoną szminkę. – To oznaka siły – wyjaśniła. – Ty masz odznakę i złe nastawienie, ja mam kruczki prawne i czerwoną szminkę.

Reo schowała szminkę do torby i rozciągnęła pomalowane na czerwono usta w drapieżnym uśmiechu.

– Jestem gotowa.

W drzwiach zatrzymał je umundurowany strażnik.

– Proszę pani, proszę natychmiast oddać broń.

– Porucznik policji nowojorskiej – powiedziała Eve i wyjęła swoją odznakę.

Zeskanował ją, a potem uważnie im się przyjrzał.

– Zgodnie z regulaminem banku proszę zdeponować broń przed wejściem do pomieszczeń banku – zwrócił się do Eve.

– Jestem tutaj służbowo, moja broń nikomu nie zagrazi. Reo?

– Tak jest. Zastępca prokuratora Cher Reo. – Rzuciła mu uśmiech i otworzyła teczkę. – Nakaz – powiedziała, podając mu dokument. – Mamy upoważnienie, żeby wejść do budynku, a ponieważ jesteśmy tutaj służbowo, pani porucznik nie musi oddawać broni, żeby otworzyć skrytkę bankową, wyraźnie opisaną w nakazie.

– Proszę tu zaczekać na kierownika. Takie są przepisy banku.

– Chociaż ten nakaz ma większą moc niż wasze regulaminy, chętnie tu zaczekamy dokładnie jedną minutę. – Cher spojrzała na zegarek. – Licząc od teraz.

Spojrzał na nią hardo, ale oddalił się pospiesznie.

– Ładnie – pochwaliła ją Eve. – Jedna minuta. Zadziała?

– Zawsze możemy urządzić scenę.

W banku było cicho jak w kościele i okazało się jak w muzeum. Kolumny ze sztucznego marmuru udawały, że podpierają sufit ze świetlikiem. Urzędniczki siedziały za szybami pancernymi i przyciszonymi głosami rozmawiały z klientami.

Eve doszła do wniosku, że chętnie urządziłaby tu scenę.

Przez szeroki hol przeszła szybkim krokiem ciemnowłosa kobieta w czarnych szpilkach. Miała poważną minę.

– O co chodzi, pani władzo?

– Porucznik. – Eve postukała w swoją odznakę. – Wszystko będzie w porządku, jeśli zaakceptuje pani nakaz, który pokaże pani zastępca prokuratora Reo, i zaprowadzi nas do

skrytki bankowej, wyszczególnionej w tym dokumencie.

– Dyskrecja, jaką zapewniamy naszym klientom na mocy zarówno regulaminu bankowego, jak i przepisów prawa federalnego...

– Ten nakaz, wystawiony zgodnie z przepisami, ma od nich większą moc – przerwała jej Reo. – I w pełni zdaje sobie pani z tego sprawę, będąc kierowniczką banku. A jeśli spróbuje pani uniemożliwić nam wykonywanie obowiązków, na jakie zezwala ten nakaz, porucznik Dallas aresztuje panią za utrudnianie pracy policji.

– Jako kierowniczka tego banku mam obowiązek zadzwonić do pana Betza i poinformować go o zaistniałej sytuacji.

– Powodzenia. – Eve poruszyła ramionami. – Może to pani zrobić po tym, gdy zaprowadzi nas pani do skrytki i ją otworzy. Ustaliłaś zasadę jednej minuty, prawda, Reo? Ma pani minutę na zdecydowanie, jak chce to pani rozegrać. Zaczynając od teraz.

– Skontaktowanie się z panem Betzem i poinformowanie go zajmie mi więcej niż minutę.

– Kiedy upłynie minuta, założę pani kajdanki i będzie miała pani prawo skontaktować się wyłącznie ze swoim adwokatem. Zostało czterdzieści pięć sekund.

– Zamelduję o tym przełożonym obu pań.

Ale odwróciła się na pięcie i znów przemaszerowała przez hol zamaszystym krokiem. Eve i Reo szły tuż za nią. Kierowniczka wczytała kartę, wstukała kod.

Podwójne stalowe drzwi rozsunęły się, ukazując szereg małych pomieszczeń z metalowymi skrytkami.

– Muszą się panie wylegitymować i wpisać się do rejestru. Obie panie.

Kiedy to robiły, kierowniczka wzięła nakaz i dokładnie go przestudiowała.

– Nie dały mi panie wyboru, ale robię to wbrew własnej woli. Zapewnienie dyskrecji naszym klientom...

– Tak, tak. – Eve minęła ją i odszukała skrytkę Betza. – Proszę wyjść.

Kobieta prychnęła i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą mniejsze, stalowe drzwi.

Eve wyjęła torbę na dowody rzeczowe, wyciągnęła z niej kartę. Zanim się nią posłużyła, włączyła rekorder, podała wszystkie szczegóły.

Ze ściany wysunęła się skrytka, więc mogła ją wyjąć i postawić na stole. Otworzyła wieko.

– O rany – mruknęła Reo. – Niezły zbiór banknotów.

– O których urząd skarbowy z całą pewnością nic nie wie.

– Ile według ciebie?

– W granicach pół miliona.

– Nieźle. Będzie nam potrzebna torba.

– Znajdzie się. – Eve wyjęła pliki banknotów studolarowych. Znalazła pod nimi kilka małych, zapieczetowanych torebek.

– Czy to... To kosmyki włosów.

– Tak. – Eve poczuła, jak zaciska jej się żołądek. – Pamiątki. Posłużą do ustalenia DNA kobiet, które najprawdopodobniej wszyscy zgwałcili.

– Chryste, zmiłuj się. Dallas, są ich dziesiątki. I nawet opatrzone imionami.

Eve szybko je przeliczyła.

– Czterdzieści dziewięć. Czterdzieści dziewięć pamiątek. Wielu gwałcicieli nie może się

powstrzymać, żeby nie wziąć czegoś na pamiątkę. Mamy tu jedną Charity, dwie Lydie, ale tylko jedna Carlee jest pisana tak, jak Carlee MacKensie. Same imiona, ale też nam pomogą.

Zmarszczyła czoło, patrząc na dużą płytę w przezroczystym, plastikowym pudełku.

– Spójrz, jaka wielka. Nigdy nie widziałam tak dużej płyty.

Eve obróciła ją w dłoni.

– Przypuszczam, że jest stara. Pewnie ma czterdzieści dziewięć lat. Odręcznie podpisana.

Odwróciła płytę, żeby zastępczyni prokuratora mogła przeczytać.

– Bractwo: rok pierwszy.

– Reo, bądź tak dobra i przynieś torby na dowody.

Kiedy Cher wyszła, zamykając za sobą drzwi, Eve zadzwoniła do Roarke'a.

– Przepraszam, wiem, że jesteś zajęty.

– Teraz już trochę mniej. O co chodzi?

– Przydałaby mi się pomoc. Widzisz to? – Podniosła płytę tak, żeby Roarke mógł ją zobaczyć na wyświetlaczu swojego telefonu.

– Ach, zabytek.

– Tak, ze skrytki bankowej Betza w oddziale w Bronksie.

– Powiedz to szybko pięć razy. – Ale się nie uśmiechał; nie spuszczał z niej wzroku. Czy to widać? – zastanowiła się. Czy na jej twarzy widać mdłości, które poczuła?

On to widzi, pomyślała.

– Posłuchaj...

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Nie, nie. Tylko... Możesz coś skombinować, żeby to odtworzyć?

– Jasne, że mogę. Jedziesz teraz do domu?

– Po drodze muszę jeszcze wstąpić w dwa miejsca. Chyba wiem, co tu jest, i... Wolałabym to obejrzeć w domu niż prosić o pomoc Feeneya.

– Mogę być w domu za półtorej godziny. Chyba, że chcesz, żebym wrócił wcześniej.

– Półtorej godziny będzie w sam raz. Jestem z Reo, mamy do załatwienia parę spraw.

Wszystko ci opowiem, kiedy się spotkamy.

– Dbaj o moją policjantkę, o jej ciało i duszę.

– Staram się. Do zobaczenia za półtorej godziny.

Rozłączyła się i stała, patrząc na małe, zapieczętowane torebki z pasemkami włosów. Stała, patrzyła i walczyła z falami obrzydzenia.

Nie wracam do centrum – powiedziała Eve do Reo.

– Podwieź mnie tam, gdzie możesz, a potem wezmę taksówkę. – Zastępczyni prokuratora szybko coś sobie notowała, kiedy jechały przez miasto po wizycie w banku. – Czterdzieści dziewięć, Dallas. Czy oni wszyscy brali coś sobie na pamiątkę?

– Nie wiem. Nie mogę powiedzieć.

– Muszę zobaczyć, co jest na tej starej płycie.

– Przekopuję jej zawartość i prześlę ci ją. Zabieram to wszystko, razem z pieniędzmi, do domu. Przeliczę je i zabezpieczę, opiszę całość jak należy, ale dopiero jutro przekażę je do magazynu. Najprawdopodobniej jutro rano.

Cher skończyła robić notatki i schowała palmtop.

– Dallas, nic a nic mnie nie obchodzi, że będziesz przechowywać dowody rzeczowe w domu, bo twój dom to forteca, która jest równie dobrze zabezpieczona, jak komenda.

– Cieszę się. Ale zamierzam cię poprosić, żebyś zawiozła włosy do laboratorium. Do Harvo. To nie może czekać. Musimy zacząć ustalać tożsamość tych kobiet.

– Nie ma sprawy. Zajmę się tym. Dobrze się czujesz?

– Czterdzieści dziewięć. Człowiek zawsze sądzi, że już go nie zaskoczy to, co ludzie sobie nawzajem robią. A potem coś takiego.

– Jeśli zaczęli tak dawno temu, pierwsza ofiara jest po sześćdziesiątce. I to dobrze po sześćdziesiątce. Prawie pięćdziesiąt lat. Przepisy o przedawnieniu... Zapomniała o tym. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Starła się o tym zapomnieć, pomyślała Eve, ale to zawsze człowiekowi towarzyszy. W kącie w ciemnościach. Czyha, gotowe złapać za gardło.

– Najpierw porozmawiam z Easterdayem. Powiem mu, co ustaliliśmy. Może uda mi się coś więcej z niego wydusić. – Eve zacisnęła zęby. – Jeśli zajdzie taka konieczność, wykorzystam jego żonę. Potem, zanim wrócę do domu i wezmę się do tego, będę musiała porozmawiać z panem Mirą.

– Mogę tutaj złapać taksówkę. Chcesz, żebym poszła z tobą, postraszyła Easterdaya prokuratorem, nim podrzucę te próbki do Harvo?

Eve się zastanowiła.

– Właściwie czemu nie?

Znów zaparkowała na drugiego, nie zwracając uwagi na innych kierowców, i skierowała się prosto do wejścia.

Otworzyła jej ta sama kobieta.

– Porucznik... Dallas, prawda?

– Zgadza się. I zastępca prokuratora Reo. Musimy porozmawiać z panem Easterdayem.

– Proszę wejść. Zaraz powiadomię panią Easterday. Jest w salonie. Pan Easterday odpoczywa na górze. Napiją się panie kawy albo herbaty? – spytała, wprowadzając je do holu.

– Nie, dziękujemy.

– Śliczny dom – powiedziała Reo, kiedy zostały same. – Elegancki i radosny. Ogień na kominku to dobra rzecz w taki dzień, jak dziś. Więc... – Zdjęła rękawiczki. – Jak chcesz to rozegrać? Z ponurą miną czy pocieszająco?

– Z ponurą miną. Sprawa jest zbyt poważna.

Odwróciły się, kiedy weszła Petra Easterday.

– Pani porucznik, czy ma pani jakieś wiadomości? Znaleźliście zabójcę Edwarda i Jonasa?

– Sprawdzamy nowe tropy. Jest ze mną zastępczyni prokuratora Cher Reo.

– Proszę usiąść. Czym mogę służyć?

– Musimy porozmawiać z pani mężem.

– Wiem, że to ważne. Jest bardzo zdenerwowany, jak mogą sobie panie wyobrazić.

O tak, pomyślała Eve. Potrafiła sobie to wyobrazić.

– Zabroniłam mu spotkać się z Mandy, by pomóc jej w przygotowaniach do pogrzebu Edwarda. Jest na mnie zły z tego powodu. Ale wzięłam sobie do serca pani przestrożę.

– Powinien pani podziękować. Ale musimy z nim porozmawiać. Niezwłocznie.

– Dobrze. Dobrze. Pójdę na górę i mu powiem. Proszę dać mi kilka minut, dobrze? Jak powiedziałam, jest na mnie zły, zostawiłam go samego, żeby odpoczął.

Pospiesznie skierowała się do schodów. Eve przyglądała się, jak kobieta idzie po schodach, w każdym jej ruchu wyczuwało się niepokój.

– Kiedy powiedziałaś, że według ciebie o niczym nie wie, nie kupiłam tego. – Cher Reo usiadła w fotelu. – Teraz wierzę. Nie boi się, nie jest rozgoryczona. Martwi się o niego.

– Kocha go i mu ufa. Kiedy się dowie, w czym brał udział, załamie się. Będzie kolejną ofiarą. Można powiedzieć, pięćdziesiątą.

Eve chodziła tam i z powrotem, nie mogła usiedzieć na miejscu. Dwa razy spojrzała w kierunku schodów, już prawie chciała wejść na górę, kiedy Petra zbiegła na dół.

– Wyszedł. Nie ma go na górze. Próbowalam się dodzwonić do Mandy, ale nie odbiera. Zostawił mi wiadomość.

Drżącą dłonią podała Eve karteczkę. Było na niej napisane jedynie: „Wybacz mi”.

– Nie rozumiem. Co on sobie myślał? Czy może go pani odszukać? Jeśli ten szaleniak zabija jego przyjaciół...

Wymknął się, chociaż dom obserwowała policja, pomyślała Eve, wściekła na siebie. Powinna była umieścić mundurowych w samym domu, od frontu i z tyłu.

– Chcę zobaczyć jego pokój.

– Nie... Nie wierzy mi pani?

– Wierzę pani, pani Easterday. Chciałabym obejrzeć górne piętro. Proszę, żeby poszła pani ze mną. Żeby się pani rozejrzała, powiedziała mi, czy mąż coś zabrał.

– Dobrze, o ile to pomoże. Proszę się pospieszyć. Spytałam domowy komputer, gdzie jest mąż. Poinformował mnie, że nie ma go w domu, że wyszedł ponad dwie godziny temu. Wiem, że chciał pomóc... Chodzi o jego przyjaciół – ciągnęła, kiedy szły na górę. – Ale

powinien być tutaj, gdzie jest bezpieczny. Powinien wypoczywać.

Minęła pospiesznie inne pokoje – gościnne, jakiś salonik – i weszła do przestronnej sypialni.

Kremowa kołdra była zmięta, brązowoczokoladowa narzuta skotłowana, jakby ktoś próbował usnąć na łóżku. W kominku trzaskał ogień.

– Powinna była siedzieć przy nim. Powinna była do niego zaglądać.

– Proszę sprawdzić, czy spakował jakieś rzeczy.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Proszę sprawdzić – powtórzyła Eve.

Poirytowana i zaniepokojona, Petra podeszła do garderoby, otworzyła podwójne drzwi. Eve stanęła za nią, przyglądając się, jak kobieta otwiera drzwiczki w głębi szafy.

– Nie miał powodu, żeby...

– Tutaj trzymacie państwo walizki. – Eve podeszła bliżej. – Co zabrał?

– Swoją walizkę. Nie rozumiem. – Przerażona, otworzyła jedną z szuflad szafki. – Boże. Sweter, który dostał na Gwiazdkę od wnuczki. Sama go zrobiła. Bardzo go lubił. I... Boże, nie jestem pewna, kilka koszul, chyba. I kilka par spodni. Spakował ubrania i wyszedł. Nie rozumiem.

– Czy trzymał w domu gotówkę?

– Co? Tak, tak. Oboje trzymamy w domu gotówkę. Tutaj jest sejf...

Obróciła toaletkę, posługując się jakimś mechanizmem. Za nią w ścianie był sejf. Niezamknięty na klucz.

Petra otworzyła drzwiczki.

– Jest pusty. Wiem... Wiem, że trzymał tu trochę gotówki, tak jak ja. Bizuteria jest gdzie indziej.

– Czy znała pani szyfr do tego sejfu? Czy wiedziała pani, co mąż w nim trzyma?

– Nie. To jego sejf. Ja mam swój. Szanujemy swoją... O Boże, spakował się i wyszedł, bo bał się, że mogą tu przyjść, coś mi zrobić. – Z twarzą pobladłą z troski, przycisnęła do piersi ręce, zaciśnięte w pięści. – Musicie go odszukać. Proszę.

– Gabinet?

– Tak, tak, proszę tędy. Czy mogą panie rozesać informacje? Zrobić to, co robicie w takich przypadkach? Czy muszę oficjalnie zgłosić jego zaginięcie?

– Poszukamy go – zapewniła ją Eve. – Chcę mieć pani pozwolenie na ściągnięcie tutaj ekipy poszukiwawczej i zgodę dla pracowników naszego wydziału przestępstw komputerowych na zabranie jego sprzętu komputerowego, zbadanie zawartości twardych dysków.

– Zgadza się na wszystko. Jestem żoną prawnika, wiem, że nie powinnam się zgodzić, ale zgadzam się na wszystko, co pomoże go odnaleźć. Spróbuję zadzwonić do krewnych Jonasa. Może...

Wybiegła, zostawiając Dallas i Reo same w gabinecie.

– Uciekł.

– Spróbuj uciec.

Eve wyjęła komunikator.

– Dyspozytor, mówi porucznik Eve Dallas. Proszę rozesać list gończy za Marshalllem

Easterdayem... – zaczęła.

Prawie godzinę zajęło jej sformowanie ekipy poszukiwawczej, szczegółowe wypytanie gliniarzy, obserwujących dom. Zorganizowała przewiezienie sprzętu elektronicznego do komendy, przesłuchała Petrę, służbę.

Obejrzała na zapisie kamery, jak Easterday wymyka się tylnymi drzwiami, niosąc walizkę. Na jego twarzy widać było strach i poczucie winy.

Nie był taki głupi, żeby zamówić taksówkę – Eve już to sprawdziła. Może zatrzymał jakąś kilka przecznic dalej albo zamówił samochód z kierowcą – nie w tej agencji, co zwykle, bo to też już sprawdziła. Albo może poszedł pieszo tak daleko, jak dał radę, i zgubił się w gąszczu ulic miasta.

– Nie ma nad nami tak dużej przewagi – powiedziała Reo, czekając na swoją taksówkę. – Poinformowałam publiczne i prywatne centra transportu.

– Na jego miejscu wynajęłabym samochód z New Jersey i kazałabym się wywieźć z miasta. Może do New Jersey, może na północ stanu, może do Pensylwanii. Potem wynajęłabym inny samochód, żeby mnie zawiózł gdzie indziej. Wyjechałabym jak najdalej od Nowego Jorku, a potem, mając przy sobie paszport, wsiadłabym do wahadłowca i poleciałabym do kraju, który nie ma podpisanej ze Stanami Zjednoczonymi umowy o ekstradycję. Zmieniłabym nazwisko, włosy, twarz i rozpląnęłabym się.

– Jesteś gliną, prawdopodobnie udałoby ci się to. On nie rozumuje tak logicznie. O, jest moja taksówka. Jeśli będę ci potrzebna, dzwoń.

Eve wsiadła do samochodu i z ciężkim sercem pojechała znów przesłuchać Dennisa Mirę.

Nie spodziewała się, że osobiście otworzy jej drzwi. Nawet myślała z lekką nadzieją, że jeszcze nie wrócił z uniwersytetu i zostanie jej oszczędzone przepytywanie go. Ale oto stał przed nią w krzywo zapiętym swetrze, patrząc na nią swoimi dobrymi, zielonymi oczami i uśmiechając się do niej.

– Jak miło. Gilly właśnie wyszła, żeby spędzić trochę czasu z koleżankami, a ja teraz też będę miał towarzystwo. Wejdz, bo na dworze jest ziąb.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, panie Mira.

– Wcale mi nie przeszkadzasz. Dziś miałem zajęcia tylko przed południem, pozwoliłem krążyć myślom po ciemnych zakamarkach.

Zanim zdołała go powstrzymać, wziął od niej płaszcz, a potem stał, trzymając go, jakby zapomniał, co zamierzał z nim zrobić.

– To nie potrwa długo. Proszę go położyć na fotelu.

– Naturalnie, przecież jesteś jak członek rodziny. Co mam ci przygotować?

– Nic. Naprawdę. Panie Mira, przepraszam, ale będę musiała razem z panem zajrzeć do tych ciemnych zakamarków.

– Naturalnie – powiedział swobodnie i delikatnie pchnął ją w kierunku fotela. – Lepiej iść tam prosto niż na okrągło. Dowiedziałaś się czegoś.

– Zna pan Fredericka Betza?

– Nie żyje?

– Nie sądzę. Przynajmniej jeszcze nie. Jestem pewna, że go dopadły. I podczas śledztwa znaleźliśmy... Znalazłam kilka kluczy. Dwa stare, tradycyjne i dwa klucze-karty

magnetyczne. Jedna z tych kart zaprowadziła mnie do skrytki bankowej. Było w niej sporo pieniędzy.

– Tak, to podobne do Freda. Chomikował pieniądze.

– Znalazłam też czterdzieści dziewięć małych, zamkniętych torebek.

– Narkotyki. – Jego dobre oczy zrobiły się okrągłe. – Nigdy bym tego nie pomyślał. Przecież jako chemik mógł zwyczajnie zmieszać, co trzeba, kiedy chciał, prawda?

– Nie narkotyki. W każdej torebce był kosmyk włosów, każda była podpisana innym imieniem. Imieniem żeńskim.

Zobaczyła, że lekko się zgarbił. Na ten widok zabolęło ją serce.

– Nie sądzisz, że te kobiety z własnej woli dały mu kosmyki swoich włosów.

– Panie Mira, według mnie Betz razem z Wymannem, pańskim kuzynem, Marshalllem Easterdayem, Ethanem MacNamee i Williamem Stevensonem stworzyli swego rodzaju klub. Coś, co nazwali bractwem. I sądzę, że już za czasów studenckich wybierali sobie kobiety i je gwałcili.

– Edward – mruknął i utkwiał wzrok w ogniu na kominku. – Znałem ich. Niezbyt dobrze. Niezbyt dobrze, a teraz sądzę, że w ogóle ich nie znałem. William Stevenson... Willy? Czy wołali na niego Willy?

– Billy.

– Tak, naturalnie, Billy. Zmarł kilka lat temu, prawda? Niezbyt dobrze pamiętam.

– Tak.

– A Ethan... W tamtych odległych czasach lubiłem go bardziej od innych. Graliśmy w piłkę nożną. Graliśmy w piłkę nożną w drużynie Yale, więc znałem go trochę lepiej niż pozostali. Zdaje mi się, że mieszka w Europie.

Utkwił w niej smutne spojrzenie.

– Chcesz mnie zapytać, czy o tym wiedziałem?

– Nie. Wiem, że pan o tym nie wiedział.

– Czy nie powinienem był wiedzieć? Wiedziałem, że mają jakieś tajemnice, i myślałem... Szczerze mówiąc, nie wiem ani nie pamiętam, co myślałem. Tylko to, że mnie wykluczyli. Początkowo czułem się dotknięty, że Edward mnie odtrącił. Nie miał dla mnie czasu. Rzadko go widywałem.

– Mieli dom, własny dom.

– Tak, mieszkali razem, stworzyli coś jakby własne stowarzyszenie. Ach – mruknął smutno. – Bractwo.

– Wie pan, gdzie? Wie pan, gdzie się znajdował ten dom?

– Niestety nie. Edward... Dał mi jasno do zrozumienia, że nie zostanę dopuszczony do ich tajemnicy. Sądzę, że często się tam zbierali, urządzali imprezy, ale mnie nigdy nie zapraszali. Już wtedy campus był bardzo rozległy i wyjątkowo pilnie strzeżony z powodu wojen miejskich, lecz nigdy ich tam nie odwiedziłem.

Znów odwrócił wzrok, utkwiał spojrzenie w płomieniach.

– Uważasz, że tam to się zaczęło, w tamtym domu. Rozumiem. Rozumiem teraz, dlaczego Edward tak mnie potraktował. Dlaczego dał mi jasno do zrozumienia, że nie należę do tego... Stowarzyszenia. Tego bractwa. Chciałbym wierzyć, że mnie chronił, ale chronił tylko siebie. Kochałem go, lecz powstrzymałbym go, znalazłbym jakiś sposób.

- Wiedział o tym.
- Powiedziałaś, ile? Ile imion?
- Czterdzieści dziewięć. – Zawahała się. – Niektóre są niewątpliwie dużo starsze, inne... Nie.

Znów spojrział na nią z przerażeniem.

- Sądzisz, że nadal... Że robili to przez te wszystkie lata?
- Dlaczego mieliby przestać, skoro uchodziło im to na sucho?
- Nie dlatego, że się upili, naćpali, stracili kontrolę nad sobą. Nie, żebym chciał ich usprawiedliwiać, ale to takie... Wyrachowane. Z tego, co mówisz, wynika, że wszystko było zaplanowane i wykonane, jakby stanowili stado. Jak wściekłe zwierzęta. Nie. Nie. Nie. Wcale nie jak zwierzęta.

Na chwilę przycisnął palce do powiek, a potem opuścił ręce na kolana. Był wyraźnie zdruzgotany, aż ścisnęło jej się serce.

- Jak ludzie, którzy uważają, że mają do tego prawo. Gorzej, znacznie gorzej niż zwierzęta.

Po chwili szok ustąpił miejsca złości.

- Edward miał córkę. Jak mógł robić coś takiego i nie pomyśleć, co by czuł, gdyby ktoś zrobił coś takiego jego własnemu dziecku? Jego córka też ma córeczkę. Boże litościwy! I stracił przez to życie, przez własne okrucieństwo, arogancję.

- Przykro mi. Chyba nie uda mi się ocalić życia Betzowi, panie Mira. Przysięgam, że próbowałam, ale obawiam się, że nie znajdziemy go w porę. Easterday zniknął. Postaram się go odszukać nie tylko, żeby dopilnować, by poniósł karę za to, co zrobił. Ale jeśli one pierwsze go dopadną, zginie. Lecz zabijanie gwałcicieli to nie wymierzanie sprawiedliwości. To, co zrobiono z pańskim kuzynem, nie było słuszne. Rozumiem, że pewnie pan pomyśli, iż z powodu tego, co mnie spotkało, mogę to tak widzieć, ale...

Zobaczyła, że z jego oczu zniknął smutek i złość, ustępując miejsca szokowi, a potem tak ogromnemu współczuciu, że Eve zatrzęsała się w środku.

- Sądziłam... Sądziłam, że doktor Mira panu powiedziała.
- Nie. Och nie, Charlotte nigdy nie zawiodłaby zaufania swoich pacjentów. Moje słodkie dziewczę... – pocieszył ją. – Tak mi przykro. To, co robisz codziennie, wymaga wielkiej odwagi i jest bardzo niebezpieczne.
- To nie stało się w pracy. – Chciała wstać, wyjść, uciec przed tym pełnym zrozumienia współczuciem. Ale nogi miała jak z waty. – Byłam dzieckiem – usłyszała swój głos. – Zrobił to mój ojciec.

To Mira pierwszy się poruszył. Wstał, podszedł do niej, ujął jej zimne dłonie. Bez słowa przyciągnął ją i przytulił. Obejmował ją tak delikatnie, że bała się, że się załamie.

- Nic mi nie jest. Naprawdę – udało jej się powiedzieć, chociaż zaczęła dygotać.
- Już dobrze. Już dobrze. Jesteś tutaj bezpieczna. Jesteś teraz bezpieczna.
- To było dawno temu.
- Czas nie leczy ran, bez względu na to, co mówią ludzie. Leczyć może to, w jaki sposób wykorzystamy ten czas. – Kiedy pogłaskał ją po plecach, jak to często robił Roarke, poczuła, że gardło piecze ją od łez.
- Usiądź teraz i zaczekaj. Zaraz wracam.

– Powinam już iść.

Posadził ją w fotelu i na moment dotknął jej policzka.

– Nigdzie się stąd nie ruszaj.

Więc zrobiła, co jej kazał, starając się odzyskać równowagę, kiedy Dennis Mira wyszedł z pokoju. Naprawdę sądziła, że żona mu powiedziała. Charlotte rozumiała, co to dyskrecja, ale byli małżeństwem od zawsze. Czyż to nie znaczy, że... Naturalnie, że nie.

Zamknęła oczy, zmusiła się do wolnych oddechów.

Oboje państwo Mira rozumieją to i szanują.

Teraz zwierzyła się człowiekowi, pogrążonemu w żalu. Musi wszystko naprawić i wracać do pracy.

Wszedł, w krzywo zapiętym swetrze, w kapciach, niosąc dwie delikatne filiżanki na równie delikatnych spodeczkach. Od samego patrzenia na niego Eve niemal się rozpłakała.

– Napijemy się tej bardzo smacznej herbaty z odrobiną brandy. Pomaga.

Nie miała serca, żeby mu powiedzieć, że nie lubi ani herbaty, ani brandy, więc wzięła filiżankę.

– Napij się.

Posłuchała i okazało się, że to, co nalał do filiżanki, rzeczywiście podnosi na duchu. Napiła się jeszcze trochę.

– Przepraszam, panie Mira. Tu nie chodzi o mnie. Chciałam tylko pana zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć kobiety, które zabiły pańskiego kuzyna.

– Nigdy w to nie wątpił. Nie musisz mi nic tłumaczyć i nie musisz mi mówić nic, co cię krępuje. Chciałem tylko zapytać, jeśli możesz mi odpowiedzieć: gdzie była twoja matka?

– Była nie lepsza od niego. Może nawet gorsza. Nienawidziła mnie. Odeszła. Nie żyje. Nie zabiłam jej. Zabiłam go, ale nie ją. – Zamknęła oczy. – Chryste.

– Myślisz, że cię osądzam? Moje dzielne dziewczę, uważam, że jesteś wobec siebie zbyt surowa.

– Nie... Zrobiłam to, co musiałam zrobić, wiem.

– Ale to śledztwo znów ci o tamtym przypomniało, bo dotąd nie zapomniałaś.

– Gdyby tak się stało, wygrałby. Gdyby tak się stało, nie zasługiwałabym na odznakę.

– Jesteś wobec siebie zbyt surowa – powtórzył cicho Dennis. – Powiesz mi, ile miałaś wtedy lat?

– Podobno osiem. Kiedy mnie później znaleźli, powiedzieli, że mam osiem lat. Nie wiedzieli, kto mnie zgwałcił ani kto mi złamał rękę, nie wiedzieli, że go zabiłam. Cóż, Departament Spraw Wewnętrznych wiedział... To skomplikowana historia... Ale policja, lekarze nie wiedzieli. A ja chciałam o tym zapomnieć. Wyparłam to z pamięci.

Ani na chwilę nie odrywał wzroku od jej twarzy.

– Uważam, że to właściwa odpowiedź. Byłaś jeszcze dzieckiem. Dziecko nie powinno nigdy być zmuszone, by bronić się przed własnym ojcem. Ojciec nie powinien nigdy krzywdzić własnego dziecka. Biologia to nauka, prawda? Ale świat to coś więcej niż nauka, człowiek to nie tylko DNA i geny. On nigdy nie był twoim ojcem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Pomyślała, że dostrzegł sedno. Tak po prostu dostrzegł sedno.

– Trochę czasu mi to zajęło. – Skończ tę rozmowę, nakazała sobie, i bierz się do pracy. – Zamykał mnie na klucz... Nie nadali mi imienia, byłam dla nich jak rzecz. Zamykał mnie na klucz, kiedy gdzieś wychodził. Nie pamiętam, kiedy mnie zgwałcił po raz pierwszy. Wszystkie te gwałty zwały się w jedno. Z wyjątkiem tego ostatniego. Wrócił do pokoju... Mieszkaliśmy w hotelu w Dallas, dlatego pracownicy opieki społecznej nadali mi takie imię. Był pijany, ale za mało wypił. Uderzył mnie, aż się przewróciłam. Stawiałam opór, a wtedy zawsze było gorzej. Złamał mi rękę. Wciąż czuję ten ból. Obok leżał nożyk, który upuściłam. Podczas jego nieobecności szukałam czegoś do jedzenia, byłam bardzo głodna. Poczułam pod palcami rękę. Zadałam pierwszy cios, a potem kolejne, aż cała byłam we krwi. Aż przestał oddychać. To był mały nóż, chyba miałam szczęście i przecięłam mu jakąś tętnicę. Mniejsza z tym. – Odetchnęła głęboko i znów napiła się herbaty. – Znaleźli mnie w jakimś zaułku. Wyszłam z pokoju i błąkałam się po mieście. Niczego nie pamiętałam.

– Ale teraz pamiętasz?

– Przypomniałam sobie wszystko kilka lat temu. Już wcześniej męczyły mnie koszmary senne, miałam jakieś niewyraźne wspomnienia, ale dawałam sobie z tym radę. A kilka lat temu wszystko powróciło z całą mocą. Doktor Mira... Pomogła mi. Chociaż wcale tego nie chciałam.

– Ależ naturalnie. Jest zdolna, piękna i bardzo się o ciebie troszczy. A Roarke? Powiedziałaś mu?

– Przypuszczam, że on to wszystko wywołał. Tak, powiedziałam mu wszystko.

– Dobrze, bardzo dobrze. To wyjątkowy młody człowiek, który kocha cię bezgranicznie. Znalezienie swojej drugiej połówki to rzadkość i ogromne szczęście.

I najcenniejsze w życiu, pomyślała. On też ją znalazł.

– Nie wiem, jak to jest, ale nawet kiedy mnie wyprowadza z równowagi, jestem wdzięczna za każdy dzień z nim.

– Najlepszy opis dobrego małżeństwa.

– Nie zamierzałam przyjść tutaj, żeby o tym mówić, tylko... Jest pan dla mnie ważny, panie Mira. Rozumiem, że bez względu na to, co zrobił pański kuzyn, w okrutny sposób stracił pan członka rodziny. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odszukać i aresztować osoby, które odebrały mu życie. Przysięgam panu.

– Złożyłaś przysięgę, wstępując do pracy w policji. Od jak dawna jesteś policjantką? Nie pamiętam.

– Od kilkunastu lat.

– Jesteś wciąż taka młoda. – Uśmiechnął się do niej tym swoim słodkim, lekko rozmarzonym uśmiechem, od którego topniało serce. – Dużo wcześniej złożyłaś przysięgę i z tego, co wiem, co widzę, dotrzymujesz słowa. Spójrz na kobietę, jaką się stałaś. Porucznik Eve Dallas, silna, inteligentna, odważna. Wybacz, że to powiem, ale uważam, że Edward sobie nie zasłużył na ciebie. W głębi serca wiem, że nie zasłużył na ciebie. Lecz jego dzieci tak, więc przez wzgląd na nie jestem wdzięczny, że nie złamiesz danej przysięgi.

– Gliniarz chroni i służy, każdy na to zasługuje. Ale według mnie nie zasłużył sobie na pana. Muszę wracać do pracy.

Wstał razem z nią, znów do niej podszedł i objął ją.
– Jestem z ciebie dumny.
– O Boże, panie Mira. – Łzy napłynęły jej do oczu, gardła, mało jej nie udusiły. W tej chwili całą ją przepełniały łzy.
– Już dobrze. – Puścił ją, żeby przeszukać kieszenie swetra, spodni. – Nigdy nie mam przy sobie chusteczki, kiedy jest potrzebna.
– Nie szkodzi. – Otarła łzy ręką. – Dziękuję. Dziękuję za wszystko. – Złapała płaszcz, bojąc się, że za chwilę zupełnie się rozklei. – Da sobie pan radę sam?
– Tak. Charlie niedługo wróci do domu. Dam sobie radę.
Ale kiedy wyszła, długo siedział przed kominkiem i opłakiwał śmierć człowieka, o którym myślał, że go zna. I opłakiwał małą dziewczynkę, której nigdy nie znał i której nikt nie chronił.

Eve wyjęła z zestawu bibułki i posłużyła się nimi jak chusteczką, znalazła w schowku okulary przeciwsłoneczne. Roarke się zorientuje, jeśli wcześniej od niej wrócił do domu, ale może Summerset niczego się nie domyśli.

Chciała wrócić do domu, zanurzyć twarz w misce z lodowatą wodą, a potem wziąć się do pracy.

Była szczerą, kiedy powiedziała Dennisowi Mirze, że szanse na uratowanie życia Fredericka Betza są bliskie zeru. O ile się nie myliła w ocenie tego... kobiecego stowarzyszenia, nie zabiją go w jego własnym domu. Nie tym razem. Nie, skoro już wiedzą, że jest na ich tropie.

Musiła odszukać dom z obrazu, o ile przeczucie jej nie myliło i ten dom istnieje albo istniał naprawdę. Musi znaleźć dom, który otwiera karta Betza.

I obejrzeć nagranie.

Na razie odsunęła te myśli na bok.

Easterday, pomyślała, jadąc. Wpadł w panikę i rozpaczliwie starał się ocalić życie i uciec.

„Wybacz mi”.

Według Eve wiadomość, którą zostawił żonie, świadczyła, że wiedział, iż to, co zrobił, co oni wszyscy zrobili, wyjdzie na jaw.

Dokąd postanowił uciec?

Reo się nie myliła – nie miał nad nimi dużej przewagi. O ile od razu nie wyjechał z Nowego Jorku, trudno mu będzie się wydostać z miasta, dysponując tylko taką kwotą pieniędzy, jaką zabrał z sejfu. Nie mógł płacić kartą bankową, bo od razu by go namierzono.

I nie skorzystał z karty, żeby zarezerwować miejsce w wahadłowcu, pociągu, żeby wynająć samochód lub jakiś inny środek transportu.

Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ukryje się w jakiejś norze. Może w hotelu, ale to nie zapewniało mu pełnej dyskrecji. Kazała obserwować wszystkie domy i mieszkania, należące do tych mężczyzn. Jeśli miał dom, o którym ona, Eve, nie wie, Petra z pewnością by jej o tym powiedziała.

Ta kobieta była przerażona, chciała jedynie, żeby jej mąż wrócił i był bezpieczny.

Czy mu wybaczy, jak się dowie, dlaczego uciekł?

Nie moja sprawa, powiedziała sobie Eve, i niemal znów się rozpląkała z ulgi, kiedy przejechała przez bramę do swojego domu.

Postanowiła wziąć się w garść. Musi stawić czoło Summersetowi i iść na górę. I nie chciała się rozkleić przy Roarke'u.

Nie ma teraz czasu na rozczulanie się nad sobą.

Wysiadła z samochodu, wzięła z bagażnika torbę z pieniędzmi, znów zapytała samą siebie, czy nie powinna była sama zawieźć do laboratorium torebki z włosami, zamiast poprosić o to Reo.

Ale tak było szybciej, a liczyła się każda minuta.

Ruszyła w stronę drzwi i powiedziała sobie, że przejdzie przez hol, nie zatrzymując się.

Ulga, jaką poczuła, kiedy nie zobaczyła na dole Summerseta, sprawiła, iż przestała się bać, że się rozplące. Pokonując po dwa stopnie naraz, prędko skierowała się prosto do swojego gabinetu.

Potem zwolniła i zatrzymała się, słysząc głos Summerseta.

– Ostatni raz widziałem coś takiego trzydzieści lat temu, może więcej.

– Zwędziłem coś takiego, kiedy byłem chłopcem... Zanim poznałem ciebie. Już wtedy był to starość, ale nigdy nie było wiadomo, na czym da się zarobić kilka funtów. Więc zabrałem ten odtwarzacz, a razem z nim stertę kaset. Okazało się, że były to bardzo stare filmy porno, dzięki którym ja i chłopaki sporo się nauczyliśmy. Kilka lat później wymieniłem to urządzenie z Mickiem... Nie, nie, źle mówię, z Brianem. Może nadal je ma.

– Rozumiem, że teraz nie będziesz oglądał filmów porno.

– Niestety nie.

– Jak coś takiego znalazłeś?

– Jeden z moich ludzi z działu badań i rozwoju znany jest z tego, że gromadzi wszystko – wyjaśnił mu Roarke. – Przysięga, że sprzęt działa, że jest jak nowy. Ale jest kłopot, jak widzisz, z jego podłączeniem.

– Jakoś prowizorycznie podłącz go do komputera, a potem zaprogramuj, żeby pokazywał obraz na ekranie.

– Taki mam zamiar. Szlag by to trafił. Podaj mi mały śrubokręt. Wtyczka jest inna, ale chyba uda mi się ją wymienić.

Eve rozważała, czy nie zawrócić do łazienki, żeby zanurzyć twarz w zimnej wodzie. Ale już za dużo czasu zmarnowała na siebie.

Wyprostowała się i weszła do gabinetu. Zobaczyła Roarke'a, który stał za biurkiem, pochylony nad jej komputerem i jakąś czarną skrzynką. Summerset spoglądał mu przez ramię.

– Jesteś – powiedział Roarke, nie podnosząc wzroku. – Właśnie kombinuję, jak połączyć zabytek z nowoczesnym sprzętem. Prawie mi się udało.

– Świetnie.

Summerset spojrział na nią i uświadomiła sobie, że okulary przeciwsłoneczne nikogo nie zwiodą. Zobaczyła, jak kładzie dłoń na ramieniu Roarke'a i lekko je ściska, prostując się.

– Zostawię to tobie – powiedział, kiedy Roarke uniósł głowę i spojrział na Eve.

Uznała, że jest jego dłużniczką, gdyż wyszedł z pokoju, by nie poczuła się zażenowana.

- Co się stało? – spytał Roarke.
 - Całe mnóstwo rzeczy.
 - Płakałaś.
 - Chyba trochę się rozkleiłam. Słuchaj, to, co tutaj robisz, jest bardzo ważne. Wszystko ci opowiem, łącznie z tym, jak się rozkleiłam, ale nie przerywaj tego, co robisz. Przyniosę kawę.
 - Powinnaś się przespać.
 - Być może, ale teraz to niemożliwe. Grunt pod moimi nogami wciąż jest trochę niepewny. Daj mi szansę na odzyskanie równowagi.
 - Dobrze.
- Sięgnął po kolejne narzędzie, kiedy przeszła do kuchni, żeby zaprogramować dzbanek czarnej kawy.

Opowiedziała mu wszystko, co się wydarzyło, od chwili, gdy rozstali się dziś rano, do chwili, kiedy pożegnała się z Dennisem Mirą.

– Naprawdę sądziłam, że doktor Mira mu powiedziała... Że regulamin małżeński ma większą moc niż wszystko inne, po... Ilu? Trzydziestu latach. Nie... – Pokręciła głową. – Chyba chciałam go zapewnić, że bez względu na wszystko, zrobię, co do mnie należy. No i skończyło się na zwierzeniach. Przedstawiłam mu mocno skróconą wersję, lecz nie pominęłam niczego, co istotne.

– Według mnie nie znalazłabyś lepszego ramienia do wypłakania się.

– Nie poszłam tam, żeby się wypłakać. Ale tak się stało. – Oczy znów ją zaszczypały od łez. – Niezwykle dobry z niego człowiek. Był smutny, dodatkowo zmartwiłam go swoją historią, a on okazał mi tyle dobroci. Jeszcze bardziej go zasmucę, bo kiedy zakończy się śledztwo, wszystko wyjdzie na jaw. A przecież noszą to samo nazwisko.

– Człowiek to nie tylko nazwisko. Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek. To właściciel nazwiska nadaje mu sens. Dlatego nie martwię się o Dennisa Mirę. Ty też nie powinnaś.

– Masz rację. – Poczwała ulgę. – Masz rację – powtórzyła, ujmując jego twarz w obie dłonie. – Jesteś wspaniałym młodym człowiekiem i kochasz mnie bezgranicznie.

– Cóż, „wspaniały” może oznaczać różne rzeczy, ale jeśli chodzi o to drugie, to najczystsza prawda.

– Jesteś wspaniałym młodym człowiekiem – powtórzyła. – Wiem to z dobrego źródła, więc... Myślisz, że to będzie działać?

Roarke spojrział na stary odtwarzacz płyt kompaktowych i prowizoryczny kabel.

– Tak.

Wyjęła z torby płytę w przezroczystym pudełku.

Umieścił ją w szufladzie, która wysunęła się ze zgrzytem, co nie budziło zaufania. Potem nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze komputera Eve i zaklął pod nosem.

– Muszę tylko...

Wstukał coś innego, sprawdził połączenia, jeszcze coś wstukał. Rozległa się seria bipnięć.

– W porządku.

– Naprawdę?

– Tak. Nie bądź taka niecierpliwa.

Eve spojrzała na ekran i zmarszczyła czoło. Jeszcze bardziej się zasepiła, kiedy ekran zrobił się ciemnoniebieski.

– Co...

– Jeszcze chwilkę – powiedział, a potem z zadowoleniem skinął głową, kiedy w górnym

prawym rogu ekranu pojawił się napis „Odtwarzanie”.

– Widzisz, wszystko w porządku. – Jednocześnie nacisnął dwa klawisze.

Pojawili się na ekranie. Sześciu młodych mężczyzn stało w kółku w jakimś pokoju. Migotliwe światło kilkunastu świec odbijało się od ich nagich ciał.

Jeden z nich – przypuszczała, że William Stevenson – zachichotał, wyraźnie podpity.

– Ej, Billy, przestań.

Eve zauważyła, że Ethan MacNamee próbował zachować powagę, lecz też nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Przepraszam, ale, Jezusie, żaden z was nie uważa, że to dziwaczne? Stoimy tu nadzy, a ona zemdląca. – Obejrzał się za siebie. – Straciła przytomność.

– Ocknie się. – Oczy młodego Edwarda Miry błyszczały nie tylko z powodu tego, co wypili. – I będzie błagała o więcej.

– Naprawdę to zrobimy? – MacNamee otarł usta dłonią. – Wszyscy? Przy włączonej kamerze?

– Należymy do bractwa. – Betz szturchnął MacNameego w tors. – W taki sposób raz na zawsze przypieczętujemy naszą umowę. Tak, jak uzgodniliśmy. Wszystko gotowe, mamy dziewczynę.

– Zaczynamy. – Easterday też odwrócił wzrok od kamery. – Ej, sama się do mnie kleiła na imprezie, no nie? Dostanie teraz to, czego chciała. Czy kamera już nagrywa?

– Tak, sam ją włączyłem. – Betz spojrzał prosto w obiektyw. – Przestańmy się opieprzać i zaczynamy.

– Zróbmy to, jak należy. – Wymann zniknął z pola widzenia kamery. Rozległa się muzyka – cicha, dudniąca. – Jesteśmy bractwem...

– Tak, chłopaki, zróbmy to jak należy. To pierwsza coroczna feta na cześć bractwa. Dwunasty kwietnia dwa tysiące jedenastego roku.

Kiedy skinął głową, wszyscy powiedzieli chórem:

– Jesteśmy bractwem. Bierzemy to, co chcemy. Bierzemy, kogo chcemy. Począwszy od dziś. Jesteśmy związani, tworzymy jedność. Czego jeden z braci potrzebuje, pozostali bracia mu dadzą. Czego jeden z braci pożąda, wszyscy pożądamy. Wszyscy nam zazdroszczą tego, kim jesteśmy, co mamy, co robimy. Nikt poza naszą szóstką nie będzie wiedział o naszym bractwie. Złamanie przysięgi milczenia oznacza śmierć. Dziś wieczorem przypieczętujemy nasz związek, naszą przysięgę, dzieląc się wybraną. Zrobimy z nią to, co zechcemy. Kobieta jest tylko środkiem do zaspokajania potrzeb bractwa.

– Czy jesteśmy jednogłośni? – spytał Edward Mira.

– Tak! – odpowiedzieli pozostali, chociaż Stevenson na koniec zachichotał.

– Jest nawalony – powiedziała Eve. – Spójrz na jego oczy. Pozostali też czymś się nafaszerowali, ale on albo wziął tego więcej, albo jest mniej odporny na działanie tego środka.

– Trudno to uznać za usprawiedliwienie tego, co najwyraźniej zamierzają zrobić.

– Zgadza się. Ale potrzebna im była fałszywa odwaga, przynajmniej tym razem, żeby to zrobić.

– Ciągnęliśmy losy – oznajmił przyszły senator. – Ja jestem pierwszy w kolejce.

– Zaczekaj! – Betz podbiegł do kamery. – Ustawię ją odpowiednio.

– Tylko się pospiesz.

Obraz się poruszył, Eve zobaczyła pomieszczenie, całkiem spore. Kanapy, fotele, kilka stolików, barek.

– Jak salon gier albo poczekalnia. Nie widzę okien. Są na dole? Może w suterenie i to obszernej.

Potem na ekranie pojawiła się dziewczyna – młoda, miała może osiemnaście, dziewiętnaście lat. Długie blond włosy, ładna buzia z okrągłym podbródkiem, szeroko rozstawione oczy, teraz zamknięte.

Ona też była naga. I związana, z rozpostartymi nogami i rękami. Leżała na materacu.

– Rozkładana kanapa? Nogi ma związane skórzanymi pasami. Paznokcie u rąk i nóg pomalowane na różowo. To jeszcze podłotek. Ma w uszach błyszczące kolczyki. Makijaż trochę jej się rozmazał. Kobieta rasy białej, wiek około osiemnastu lat, wzrost metr sześćdziesiąt pięć, waga z pięćdziesiąt pięć kilogramów.

Edward Mira podszedł do niej, nachylił się i wymierzył dziewczynie siarczysty policzek. Jeden z mężczyzn zawołał „Ej! Uspokój się, Ed”, ale ten nie zważając na protest kolegi, znów ją uderzył.

Miał duże dłonie. Eve wiedziała, jakie to uczucie zostać obudzoną uderzeniami dużej dłoni.

– Obudź się, suko!

Jej powieki się poruszyły. Eve zauważyła, że dziewczyna ma niebieskie oczy. Patrzyła nimi nieprzytomnie.

– Co? – Jęknęła i odwróciła głowę. – Nie czuję się dobrze. Co... – W jej oczach pojawił się strach, kiedy próbowała się poruszyć i stwierdziła, że jest związana. W jednej chwili oprzytomniała, na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

Bo zobaczyła sześciu mężczyzn, pomyślała Eve. A jednego z nich pochylonego nad sobą.

– Nie... Proszę! Co to ma znaczyć?

– Tworzymy bractwo.

Kiedy usiadł na niej okrakiem, zaczęła płakać i błagać.

– Edwardzie, pozwól, że jej dam ten środek. Jak zacznie działać, będzie chętna.

– Obojętne mi, czy tego chce, czy nie. Biorę to, co chcę.

– Proszę! Proszę!

Płakała, kiedy Betz niewprawnie wbił jej w ramię igłę strzykawki.

– Oczekaj ze dwie minuty.

Mira, nie zwracając uwagi na słowa Betza, rzucił się na dziewczynę.

Krzyknęła.

Kiedy skończył, odwróciła głowę i powiedziała „Proszę”. Zaczęła w kółko powtarzać jedynie „Proszę”.

– Kolej na Freda.

– Tak jest. – Betz się pogłaskał. – Ale mi stoi. Przekonajmy się, jak działa magiczny środek.

Usiadł na niej okrakiem i pieszczotliwie uszczypnął ją w sutek.

– Ej, mała!

– Co? Co? Gorąco... Gorąco mi.

– Tak, to magiczny środek. Zrobi cię się jeszcze bardziej gorąco.

Zacząła się szamotać, próbowała się podnieść. Ale teraz w jej oczach nie było widać strachu ani szoku, tylko furie.

– Dawna wersja whore albo rabbit. Studiował chemię, żeby przejąć rodzinny interes – odezwała się Eve.

Roarke nic nie powiedział, tylko wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na małym, szarym guziku, z którym się nigdy nie rozstawał.

Kiedy Betz gwałcił dziewczynę, Eve słyszała odgłosy rozmowy, śmiech, brzęk szkła. Piją, żeby jeszcze bardziej się podniecić, pomyślała. Rajcuje ich to, kiedy czekają na swoją kolejkę.

Kiedy Betz ryknął triumfująco, zaczęli głośno wiwatować.

– Kurde! Jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze.

– Odsuń się, Fred. – Wymann go odepchnął. – Teraz moja kolej.

– Wystarczy – powiedział Roarke i wyłączył odtwarzacz.

– Nie. Chcę to zobaczyć do końca.

Zemdliło ją, spociła się, ale obejrzała do końca. Patrzyła, jak po kolei gwałcili dziewczynę nawet, kiedy zemdlą.

– Chyba ma dość. – Easterday rozwalił się obok niej. Leżała teraz twarzą do dołu, była zupełnie bezwładna. – To żadna frajda, kiedy leży jak trup.

– Umyjmy ją i zabierzmy stąd. Przyda jej się irygacja. – Betz zarechotał ze swojego marnego dowcipu.

– Nie będzie nic pamiętała? – spytał Edward Mira.

– Możesz być spokojny. – Betz prychnął. – Będzie niewyraźnie pamiętała imprezę, ale po pierwszej pigułce gwałtu już nic. Zaraz porządnie ją wyszorujemy, żeby usunąć wszelkie ślady DNA. Potem ubierzemy ją i zawieziemy z powrotem do kampusu. Tak, jak to sobie zaplanowaliśmy. Może i zgłosi, że została zgwałcona, bo będzie obolała, ale niczego nam nie udowodni. Nawzajem zapewniamy sobie alibi.

– Bractwo – powiedział Wymann.

– Jasne, brachu.

Stał przodem do kamery i uśmiechnął się szeroko.

– Na tym zakończyliśmy pierwsze doroczne Jebanalia naszego bractwa. Dziękujemy państwu i dobranoc.

Ekran znów zrobił się niebieski.

Po długiej chwili milczenia Roarke wyjął płytę i umieścił ją z powrotem w pudełku.

– Dla tych drani zaharowujesz się na śmierć? Reprezentujesz tych chorych popaprańców, gorszych od zwierząt?

– Nie mam wyboru. – Głos jej drżał. Starła się opanować. – Nie mam wyboru – powtórzyła. – Muszę... Boże, zaraz się porzygam.

Wybiegła i padła na kolana w najbliższej łazience. Wymiotowała żółcią, aż nic już jej nie pozostało w żołądku.

– Eve... – Roarke delikatnie położył jej na karku ręcznik, zmoczony w zimnej wodzie, a drugim wytarł bladą, rozpaloną twarz żony. – Przepraszam. Przepraszam za moje słowa, najdroższa.

Tylko pokręciła głową.

– Nie. To nawet nie zwierzęta. Będę harowała jak wół, żeby ci, którzy jeszcze żyją, trafili za kratki. I postaram się, by nigdy, przenigdy nie ujrzeli światła słonecznego. Cierpisz, widząc, jak ktoś kogoś tak traktuje, szczególnie, że patrząc na to, myślisz o mnie. O tym, co mnie spotkało.

Roarke nic nie powiedział, tylko sięgnął po szklanę, którą odstawił, kiedy szykował ręcznik.

– Wypij to.

– Nie mogę.

– Zaufaj mi. Tylko jeden albo dwa łyki. Pomoże ci odzyskać spokój.

– Uspokoilibym się, gdybym mogła z nich zrobić krwawą miazgę.

Równie delikatnie, jak Dennis Mira, ujął ją pod brodę.

– Moja Eve. Tylko łyczek.

Wypiła trochę.

– A wiesz, że nie mogę tego zrobić. Wiesz.

– Moja dzielna policjantka. Kocham was obie do szaleństwa. Jeszcze jeden łyczek.

Jak przedtem brandy, którą profesor Mira dodał do herbaty, to, co Roarke wlał do szklanki, rzeczywiście ją uspokoiło. A może to miłość czyniła takie cuda.

– Cierpisz – powtórzyła.

Westchnął i przycisnął usta do jej czoła. Było chłodniejsze, stwierdził, ale policzki nadal miała blade.

– Masz rację. I zgadza się, oglądając to, myślałem o tobie.

– Cierpisz – powiedziała po raz trzeci – ale i tak mi pomagasz.

– *A ghrá.* – Wmusił w nią kolejny łyk. – Jestem z tobą.

Wtuliła twarz w jego ramię, uroniła kilka łez, kiedy objął ją z całej siły.

– Codziennie – wymamrotała. – Bez względu na to, jak doszło do tego, że jesteśmy razem i dlaczego jesteś ze mną, codziennie jestem za to wdzięczna.

Odsunęła się, ale przedtem musnęła ustami jego policzek.

– Przepraszam, że musimy to robić.

– Nie masz za co przepraszać. Znajdźmy chociaż jednego z nich żywego, żebyśmy mieli satysfakcję, gdy wsadzimy go za kratki.

– Zgoda. – Otarła łzy wierzchem dłoni. – Bierzmy się do roboty.

Objął ją w pasie i wrócili do gabinetu.

– Powinnaś coś zjeść... Może zupę...

– Obawiam się, że w tej chwili mój żołądek nie przyjmie żadnego jedzenia. Później, dobrze?

– No dobrze. Jeszcze raz obejrzyj to plugastwo?

– Tak, muszę. Ale potem. – Zatrzymała się, spojrzała na tablicę. Trzeba ją uaktualnić, podobnie jak książkę sprawy, porobić notatki. I sprawdzić pocztę. Może Harvo, królowa od włosów i włókien, zdołała już coś ustalić. Może Yancy'emu się poszczęściło.

– Mam trzy nazwiska. Kobiet jest pięć, nie znam tożsamości dwóch z nich. Jeśli jedna z tych trzech ma jakiś drugi dom – skłaniam się ku domowi, staremu budynkowi, magazynowi, miejscu, gdzie mogą... To robić – muszę go znaleźć. I muszę odszukać drugi

dom Betza. Jedyne, co mam, to, jak sądzę, numer nieruchomości. I przypuszczam, że powinniśmy szukać w Bronksie.

– Miał skrytkę bankową w oddziale banku w tej dzielnicy. – Roarke skinął głową. – Dlaczego akurat tam, jeśliby nic innego go tam nie trzymało? Mogę się tym zająć, ale takie poszukiwania na dużą skalę szybciej przyniosą wyniki, jak będę pracował na niezarejestrowanym sprzęcie. Możemy zaoszczędzić trochę czasu, jeśli CompuGuard nie będzie nam patrzeć na ręce albo nie będziemy musieli kombinować, żeby do tego nie dopuścić.

Jeżeli się na to zgodzi, zyska trochę czasu.

Pomyślała o dziewczynie, o zbiorowym gwałcie w suterenie jakiegoś domu, o czterdziestu ośmiu ofiarach, które spotkało to samo. Czasami, uznała, trzeba iść na skróty.

– Dobrze. Gdybyś był tak dobry i tym się zajął, ja załatwię kilka innych spraw, a potem przyjdę do ciebie.

– Zgoda. – Przesunął palcem po dołączku w jej brodzie. – Żadnej kawy.

– Co? – Nie wyobrażała sobie, by tego dnia coś mogło ją bardziej oburzyć. – Straciłeś rozum, idąc tutaj z łazienki?

– A ty straciłaś obiad czy to, czym raczyłaś się pokrzepić w ciągu dnia – przypomniał jej.

– Jeśli potrzebna ci dawka kofeiny, napij się pepsi. Lepszy byłby napój imbirowy, ale przypuszczam, że na to się nie zgodzisz.

– Mój umysł nie funkcjonuje, napędzany napojem imbirowym. Nawet nie wiem, co to takiego!

– W takim razie pepsi... Wiesz, co zawiera. I bulion, kiedy już będziesz mogła go przełknąć.

– Tak, mamusiu.

Pocałował ją w czoło, jak matka.

– Bądź grzeczna, to może w nagrodę dostaniesz cukierka. Biorę się do pracy.

– Mogę ci przesłać wszystkie potrzebne dane, zapisane na dysku.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Daj spokój! Szybciej się włamię do twojego komputera i sam ściągnę to, co mi potrzebne.

Kiedy została sama, musiała przyznać, że chyba miał rację. Potem przycisnęła rękę do brzucha. Jej mózg błagał o kawę. Ale i tu Roarke miał rację, niech to diabli. Jej organizm mówił: Tylko spróbuj, a się zbuntuję.

Wzięła więc puszkę pepsi, otworzyła ją i usiadła, żeby sprawdzić pocztę.

Syknęła widząc, ile przyszło nowych wiadomości; w pierwszej kolejności otworzyła mejl od Yancy'ego.

Dallas, jest duże prawdopodobieństwo, że tą młodszą jest jedna z tych dwóch kobiet. Wysyłam ci informacje o obu, ale chcę dodać, że raczej skłaniam się ku tej drugiej. Elsi Lee Adderman, lat dwadzieścia... W chwili śmierci. Dziewiętego września zeszłego roku odebrała sobie życie. Szczegóły w dołączonym artykule. Śledztwo prowadzili twoi ludzie: Reineke i Jenkinson, więc możesz uzyskać informacje bezpośrednio od nich. Tylko ona z nich dwóch studiowała w Yale.

Nadal próbuję ustalić tożsamość drugiej kobiety. Wezmę na tę randkę szkicownik, może dowiem się czegoś

– Dobra robota. Cholernie dobra robota. – Obejrzała na ekranie zdjęcie, które dołączył. Młoda, pomyślała, i bardzo, ale to bardzo ładna: duże, zielone oczy, długie, falujące brązowe włosy.

Szybko zapoznała się z jej danymi. Urodzona w Crawford w stanie Ohio, oboje rodzice żyją i nadal są małżeństwem. Dwoje młodszego rodzeństwa, brat i siostra. Wzorowa uczennica, dostała stypendium w Yale. Chciała poświęcić się medycynie – robiła projekty, chodziła na zajęcia dodatkowe. Na pierwszym roku i prawie do końca drugiego dobrze sobie radziła.

Nawet lepiej niż dobrze – aż do poprzedniej wiosny, kiedy nagle zaczęła dostawać złe oceny.

– Jak MacKensie – mruknęła Eve.

Rzuciła studia, przeprowadziła się na Manhattan, pracowała jako pomoc w szpitalu nowojorskim.

– Nigdy nie zgłosiła, że została zgwałcona, ale...

Eve wyjęła komunikator, zadzwoniła do Reinekego.

– Cześć, szefowo.

– We wrześniu prowadziłeś śledztwo w sprawie samobójstwa Elsi Lee Adderman. Dwadzieścia kilka lat, rasy mieszanej, zielone oczy, brązowe włosy. East Fourth, w bok od Lex.

– Chwileczkę... Tak, tak. Już pamiętam. Śmierć w wannie. Podcięła sobie żyły. Leżała w wannie dwadzieścia cztery godziny, o ile sobie dobrze przypominam, nim jedna z kobiet, z którymi pracowała w szpitalu, nakłoniła administratora, żeby otworzył jej mieszkanie. Dziewczyna opuściła dwie zmiany, nie odbierała telefonów, nie otwierała drzwi. Przydzielono nam tę sprawę. Nie stwierdziliśmy niczego podejrzanego, Dallas. Zwyczajne samobójstwo.

– Zostawiła list?

– Tak. Napisała, że nie może dłużej stawiać czoła demonom... Nie chodziło o narkotyki, bo nie ćpała, w jej mieszkaniu nic nie znaleźliśmy. I że bardzo jej przykro. Lekarz sądowy wykluczył zabójstwo, więc nie mieliśmy przy tym dużo pracy.

– Potrzebna mi książka sprawy i wszystko, co macie.

– Kurde. Co przeoczyliśmy?

– Nic. Sądzę, że jest powiązana ze śledztwem, które teraz prowadzę. Możesz mi wszystko przesłać?

– Jasna sprawa. Po pracy wybrałem się ze swoim partnerem i jeszcze kilkoma kumplami na piwo. Wróć do komendy i prześlę ci to, co zebraliśmy.

– Z góry dziękuję.

Przeczytała pobieżnie artykuł – bardziej przypominał nekrolog, pomyślała. Pogrzeb odbędzie się dwudziestego pierwszego września w rodzinnej miejscowości zmarłej.

– Komputer, sprawdź, czy osoby o poniższych nazwiskach gdzieś wyjeżdżały

dwudziestego i dwudziestego pierwszego września dwa tysiące sześćdziesiątego roku.

Wstukała nazwiska, a potem wstała. Miała okropną ochotę na kawę. Napiała się pepsi, chodząc tam i z powrotem.

Zrobili z Elsi Lee Adderman to samo, co zrobili z tą kobietą z nagrania na płycie. Między zbiorowym gwałtem w kwietniu a wrześniem dwa tysiące sześćdziesiątego roku spotkała się z pozostałymi kobietami. Wystarczająco dużo zapamiętała.

Grupa wsparcia. Tak, to musi być to.

Elsi nie potrafiła z tym żyć, nie mogła sobie poradzić. Wołała umrzeć.

We wrześniu ubiegłego roku pozostałe postanowiły w pełni się odegrać.

Pasowało jak ulał.

Ale nie pomogło jej to w szukaniu Betza i Easterdaya.

Zadanie wykonane. 20 września 2060 roku Carlee MacKensie, Lydia Su, Charity Downing wyleciały z Laguardia do Columbus w Ohio, wróciły 21 września 2060 roku.

– Jak daleko jest Crawford w stanie Ohio od Columbus?

Sprawdzam... Z Crawford jest piętnaście kilometrów do Columbus, to kwitnąca miejscowość-sypialnia.

– Komputer, odzyskaj listę pasażerów tego lotu wahadłowcem. Podaj nazwiska pasażerek w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Zaczynaj od tych, które siedziały za jedną z trzech poprzednich kobiet, przed nimi albo obok nich. Sprawdź loty w obie strony.

Przystępuję do pracy...

Klub kobiet, pomyślała. Poleciały na pogrzeb. Poleciały pożegnać jedną z nich, opłakać ją, przyrzec sobie, że pomszczą jej śmierć. Pojechały wszystkie.

Zadanie ukończone.

– Wyświetl wyniki na ekranie. Nazwisko, zdjęcie. Po kolei. Start.

Pracuję... Marcia Baumberg, lat czterdzieści dwa.

– Nie – powiedziała Eve, kiedy zobaczyła zdjęcie. – Następna.

Grace Carter Blake, lat czterdzieści cztery.

– Stop. Mam cię. To ona. Pokaż wszystkie informacje o Blake. Kurde. Kurde.

Obraz – i szkic Yancy’ego, sporządzony na podstawie tego, co zapamiętała sąsiadka – niewiele się różniły od zdjęcia. Może miała szczuplejszą twarz, może trochę pełniejsze

usta. Ale to z pewnością była piąta kobieta.

– Komputer, przerwij na chwilę szukanie informacji. Podaj, kiedy Blake studiowała w Yale. – Bo studiowała tam. Było to wielce prawdopodobne. Albo w jakiś inny sposób była związana z Yale.

Grace Carter Blake studiowała na Uniwersytecie Yale od września dwa tysiące trzydziestego piątego roku do maja dwa tysiące czterdziestego trzeciego roku, wliczając studia podyplomowe. Ukończyła z wyróżnieniem prawo.

– Kiedy zabrali cię do tamtego pokoju, Grace? Do tej sutereny?

Zbyt mało danych.

– Tak, na razie. Kontynuuj zbieranie informacji.

Wróciła do poczty, otworzyła wiadomość od Harvo.

Cześć, Dallas! Czterdzieści dziewięć próbek. Ale frajda. Zostanę dłużej w laboratorium, żeby się pobawić. Już znalazłam trzy pasujące DNA. Łatwizna. Dane kobiet w załączniku. Będę ci przysyłała kolejne w miarę postępu prac. Harvo – KodWiW

Eve szybko otworzyła załącznik. Nowe nazwiska, trzy kobiety w wieku pięćdziesięciu dwóch, trzydziestu czterech i dwudziestu trzech lat.

Zadzwoiła do Harvo.

Wyświetlacz wypełniło coś jakby morze płynnej lawy. Potem tamta się odwróciła twarzą w stronę kamery i Eve uświadomiła sobie, że to, co wzięła za obraz kataklizmu, to były włosy Harvo.

– Cześć, Dallas. Dzwonisz w samą porę. Właśnie ustaliłam tożsamość kolejnej. Będę je porządkowała według alfabetu i wysyłała ci po kilka naraz.

– Harvo, jesteś moją nową najlepszą przyjaciółką.

– Absolutnie. Chodźmy się upić i poderwać jakiegoś mięśniaka.

– Później. Masz tam włosy, podpisane imieniem Grace?

– Niech sprawdzę. Tak, mam dwie Grace – brunetkę, chyba naturalną, i rudą, z całą pewnością farbowaną.

– Szukam urodzonej prawdopodobnie między rokiem dwa tysiące trzydziestym piątym i dwa tysiące czterdziestym trzecim. Sprawdź obie i natychmiast wyślij mi ich dane. Mam niejaką Grace Carter Blake, chcę potwierdzić, czy jest wśród tej czterdziestki dziewiątki. Z góry dziękuję.

– Nie ma za co. – Malutki zielony kolczyk pośrodku lewej brwi błysnął, kiedy Harvo odwróciła głowę, żeby coś sprawdzić w jakimś dziwnym urządzeniu.

– I gdybyś mogła wziąć na tapetę tę, opatrzoną imieniem Elsi... Szukam Elsi Lee Adderman.

– Nie ma sprawy, moja najlepsza przyjaciółko.

– Tamte dwie jeszcze dziś wieczorem, jak dasz radę. A ta trzecia może być na jutro. I czy mogłabyś zbadać najstarszą próbkę?

– Musiałabym przerwać sprawdzanie innych, ale jasne, mogę spróbować. Ostatecznie

jestem królową od włosów i włókien, no nie? Czyli mogę przeanalizować pięć, sześć najstarszych próbek.

– Sama najlepiej wiesz, co robić. Jak będziesz miała dane osoby, do której należy kosmyk z najstarszej próbki, przekaż mi je. Czy potrzebna ci będzie moja pomoc, żeby szef ci podpisał nadgodziny?

– Ej, D. – Harvo zakręciła palcem kółko w powietrzu, a potem postukała się w piersi. – Jestem królową. Barani Łeb nigdy się nie sprzeciwia królowej. Aha, i widzę, że to ofiary gwałtu. To poważna sprawa, ale jak zbyttno się przejmuję, źle to wpływa na jakość mojej pracy.

– Harvo, pracuj w taki sposób, jaki ci odpowiada. Liczą się wyniki.

– Kiedy tylko coś ustalę, będziesz to wiedziała.

– Dzięki. Jak nazywasz te włosy, które masz na głowie?

Harvo błysnęła zębami w uśmiechu.

– To moja korona.

– Chodzi mi o kolor.

– Płynna Lawa. Niezły, co?

– Zdecydowanie tak. Informuj mnie na bieżąco.

Uaktualnienie tablicy i książki sprawy może zaczekać, uznała Eve. Wzięła napoczętą puszkę pepsi i poszła sprawdzić, jak sobie radzi Roarke.

Pokazał jej swój prywatny gabinet i niezarejestrowany sprzęt zaraz na początku ich znajomości. Kwestia zaufania, pomyślała. I należała do nielicznych, którzy mieli wstęp do jego prywatnego królestwa.

Przyłożyła rękę do czytnika linii papilarnych.

Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyła go – związał włosy do tyłu, zdjął marynarkę, rękawy podwinął do łokci – siedzącego za szerokim czarnym pulpitem w kształcie litery U, z błyszczącymi przyciskami.

Światła Nowego Jorku migotały za wielkimi oknami, co jej uświadomiło, że zapadł zmierzch.

Jedną ręką obsługiwał ekran dotykowy, a drugą – klawiaturę. Na chwilę oderwał się od pracy i popatrzył na Eve.

– Trochę odzyskałaś rumieńce. A twoje spojrzenie mówi mi, że miałaś więcej szczęścia niż ja do tej pory.

– Znam nazwiska dwóch pozostałych kobiet z obrazu. Obu. Młodsza jesienią odebrała sobie życie. Trochę pokopałam i okazało się, że pozostała czwórka poleciała na przedmieścia Columbus, żeby wziąć udział w pogrzebie. Harvo właśnie sprawdza, czy ich włosy znajdują się wśród trofeów Betza.

– Gratuluję. Podaj mi nazwisko tej, która wciąż żyje, przekonam się, co znajdę.

– Grace Carter Blake, prawnik, studiowała prawo na Yale. Sześć lat temu zrezygnowała z doskonale płatnej pracy w kancelarii prawnej, gdzie miała duże szanse na zostanie wspólnikiem. Teraz prowadzi własne małe biuro, specjalizuje się w reprezentowaniu ofiar gwałtów, a także maltretowanych kobiet, udziela porad prawnych w trzech ośrodkach pomocy.

– Widzę, że nie marnowałaś czasu.

– Nie wymagało to zbyt wielkiego trudu z mojej strony. Ale ani na krok nie przybliżyłam się do Betza i Easterdaya czy kobiet, pragnących ich śmierci. Znam ich nazwiska i adresy zamieszkania. Zamierzam wysłać kogoś do mieszkania Blake i do jej biura, ale jej tam nie będzie. Przez dłuższy czas dobrze zarabiała, Roarke. Ma dość, by część pieniędzy odłożyć, dość, żeby kupić sobie dom, gdzie można torturować ludzi, nie przejmując się sąsiadami i alarmami.

– Sprawdzę to. A ty powinnaś coś zjeść.

– Masz rację, bo burczy mi w brzuchu, co świadczy o tym, że mam pusty żołądek. Ale nie chcę żadnego bulionu. Musi to być coś, co mogłabym jeść, nie odrywając się od pracy.

– Z całą pewnością nie pizza.

– To nie fair. Co to, więzienie? Ani kawy, ani pizzy.

– Potrawka drobiowa z kluskami.

Chciała się sprzeciwić, jednak nie miała czasu. Poza tym...

– Lubię kurczaka i kluski.

– Właśnie. I dlatego to zjemy. Może zamów dwie porcje dla nas obojga, a ja w tym czasie zlecę nowe poszukiwania.

– A ja muszę polecić, żeby przychodziła tu moja poczta. Czekam na kolejne wiadomości.

Roarke odwrócił się w fotelu i nacisnął kilka guzików, połyskujących jak klejnoty.

– Załatwione. Możesz robić, co tylko zechcesz, na drugim komputerze. Nawet jeść przy nim.

Eve zaprogramowała dwie porcje potrawy, wybrała butelkę wina – uznała, że Roarke sobie na to zasłużył, nawet jeśli ona na razie pozostanie przy wodzie albo pepsi. Ponieważ bez reszty był pogrążony w pracy, postawiła przed nim talerz z jedzeniem i wino i odwróciła się do komputera, gdyż rozległ się sygnał, że ma nową wiadomość.

Raport od Reinekego – zobaczyła i zaczęła czytać.

Byli skrupulatni, stwierdziła, chociaż nie ulegało wątpliwości, że to samobójstwo. Zapoznała się z opiniami sąsiadów, znajomych z pracy, członków rodziny. I lekarza, który przepisał tamtej kobiecie tabletki na sen.

Cierpiała na bezsenność. Zwróciła się do terapeuty, bo dręczyły ją koszmary, i do grupy wsparcia, bo sny obudziły w niej strach przed mężczyznami, seksem, przed zgwałceniem przez demony.

Zaczęła chodzić do kościoła.

Eve przeczytała kopię jej listu pożegnalnego.

Bardzo przepraszam za ból, jaki sprawię. Ale nie jestem wystarczająco silna, wystarczająco odważna. Już nie mogę dłużej stawiać czoła demonom, walczyć z tym, co zrobiły z moim umysłem, ciałem, duszą. Muszę położyć temu kres, a to jedyny sposób, jaki znam. Wybaczcie, że zachowałam się jak tchórz. Kocham swoich bliskich, wiem, że sprawię im ból. Jestem bardzo wdzięczna moim przyjaciółkom, moim siostrzanym duszom za ich wsparcie, zrozumienie, za pomoc w wy tłumaczeniu moich wizji. Ale te obrazy są zbyt trudne, zbyt mroczne. Muszę w końcu zamknąć oczy, zamknąć oczy i odpocząć. Czuję wielki spokój, wiedząc, że mogę to zrobić. I zrobię. Nie oplakujcie mnie zbyt mocno ani zbyt długo, bo naprawdę udaję się do lepszego miejsca. Niech to da wam pocieszenie tak samo, jak mnie.

Nie była gotowa, żeby o tym pamiętać, pomyślała Eve, więc nie była gotowa, żeby przetrwać.

Właściwie tych sześciu zabiło ją tamtego wieczoru, kiedy ją zgwałcili. I ci, których odnajdzie, zapłacą za to. Jeśli trzeba będzie, uczyni z tego dzieło swego życia.

Przesłała Yancy'emu nazwisko ostatniej kobiety, potwierdziła, że jeśli chodzi o młodszą, nie pomylił się.

Porozmawiała z mundurowymi, których wysłała do mieszkania Blake i do jej biura, a potem znów zadzwoniła do Cher Reo z prośbą o nakazy przeszukania obu miejsc.

Zjadła, pracując, i teraz jej żołądek się nie zbuntował. Czyli na razie z tym się uporała. Kiedy drugi raz będzie oglądała plugastwa, nagrane na płycie, już się nie załamie.

Spojrzała na Roarke'a i pomyślała, jaką jest szczęściarą, że nie musiała sobie tego wszystkiego przypomnieć, zanim nie była gotowa, jaką jest szczęściarą, że znajduje się tutaj, właśnie tutaj, gdzie teraz jest. Nie podcięłaby sobie żył, leżąc w wannie, to nie było w jej stylu. Ale są inne sposoby skończenia ze sobą. Mogłaby się zdecydować na któryś z nich, nie mając pełnej świadomości, na co się zdecydowała.

Więc będzie teraz reprezentować Elsi Lee Adderson, jak reprezentowała zamordowanych mężczyzn, którzy ją zgwałcili.

Otworzyła kolejną wiadomość od Harvo, utrzymaną w lekkim tonie, potwierdzającą, że próbki włosów Grace Carter Blake i Elsi też były w torebkach.

Wstała, żeby wziąć sobie szklankę mineralnej. Roarke, musiała to przyznać kolejny raz, miał rację. Lepiej żeby na razie ograniczyła się do wody.

– To ty, popaprańcu – powiedział z taką satysfakcją w głosie, że znieruchomiała.

– Który z nich?

– Mam tutaj listę nieruchomości w Bronksie, próbowałem na wszelkie możliwe sposoby powiązać którąś z nich z tym popaprańcem Betzem. Trzeba przyznać, że jest cwany, jednak okazałem się lepszy od niego. Mam tu nieruchomość, zarejestrowaną na Elisa Fratera.

– Skąd wzięłeś takie imię i nazwisko? Wcale nie jest podobne do jego prawdziwego.

– Elis to przezwisko studentów Yale, od imienia patrona uniwersytetu, Elihu Yale'a. Frater to po łacinie „brat”. Sprawdziłem słowa „brat” i „bractwo” we wszystkich możliwych językach.

– Nie żartujesz? – Pomyślała, że kiedyś też wpadłaby na taki pomysł. – Będziesz musiał się pogodzić z tą zniewagą, asie, ale byłbyś doskonałym gliniarzem.

– Nie w tym życiu. Ma również konto w raju podatkowym na to nazwisko, opiewa na zgrabną sumkę trzech milionów czterystu tysięcy z groszami.

– Muszę tam jechać. Może coś tam znajdę. Więcej nagrań albo coś innego.

– W takim razie jedziemy.

– Potrzebne mi są też pozostałe informacje, których szukasz.

– Komputer będzie je zbierał podczas mojej nieobecności. Jeśli polecimy śmigłowcem, szybko obrócimy tam i z powrotem.

– Śmigłowcem?

Roarke tylko się uśmiechnął.

– Wspomniałaś wcześniej, że może będzie ci potrzebny.

– To prawda. – Boże, jakże nienawidziła latać. – Tak, polecimy tam. Muszę przekierować

wiadomości, żeby mogła je odbierać na smartfon.

Roarke westchnął, wstając.

– Dopiero co podałem ci na tacy pieprzonego Elisa Fratera i znowu jakieś wymagania?

Trzeba przyznać, że miał rację.

20

Naprawdę nienawidziła latać; lot nad Manhattanem, lawirowanie między wieżowcami, wymijanie ledwo sunącego podniebnego tramwaju nie pozwoliły kurczakowi z kluskami ułożyć się spokojnie w jej żołądku.

Powtarzała samej sobie, że lot do Bronxu trwa krótko i prawie przez cały czas jego trwania rozmawiała przez telefon.

Jej partnerka będzie trochę zawiedziona – Delia uwielbiała latać. Bądź tu mądry. I jeszcze trzeba było uprzedzić lokalną policję, że się pojawi.

– Dostałam wiadomość od Cher Reo. Mamy nakaz, a na razie w drugim mieszkaniu Betza nic się nie dzieje. Natomiast policja z Glasgow dotarła do Ethana MacNameego i go zatrzymała.

– Dzięki temu pozostanie przy życiu. Ściągniesz go tutaj?

– Możesz być tego pewien. Jak tylko porozmawiam z komendantem, prześlę ten obrzydliwy film do Szkocji.

Ponieważ miała wrażenie, że helikopter się zatrząsł, popełniła błąd i wyjrzała przez okno. Widok jadących w dole samochodów i zapalonych latarni sprawił, że zakreśliło jej się w głowie. To lepsze niż torsje, powiedziała sobie w duchu, i z trudem przełknęła ślinę.

– Jeśli uda nam się ustalić, jaki dom przedstawiono na obrazie, a pracuję nad tym, przeglądam stare rejestry, szukając adresów tych łobuzów z okresu ich studiów, może będziemy musieli znów się przelecieć tym przeklętym helikopterem.

– Lot nad Connecticut w świetle księżycy. Ach, jakie to romantyczne.

Eve syknęła, kiedy śmigłowiec zaczął się zniżać.

– Gdzie zamierzasz wylądować? Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Dlaczego to cholerstwo tak się trzęsie? Chryste, nienawidzę tego! Gdzie wylądujesz?

– Bezpiecznie jak w domu – powiedział, zmagając się z ostrymi podmuchami wiatru.

– Złodzieje nieprzerwanie włamują się do domów. Wybuchają pożary. Więc niby czemu w domu miałyby być bezpiecznie? – spytała. – Gdzie wylądujesz tą latającą trumną?

– Na dachu budynku, w którym znajduje się interesujące nas mieszkanie.

– O ile ten cholerny wiatr najpierw nie ciśnie nami o ścianę.

– Bliżej nie dam rady.

Racja, ale teraz jak na jej gust widziała za szybą zbyt dużo budynków, wznoszących się zbyt blisko śmigłowca.

Roarke wylądował na wąskim, ale płaskim dachu tuż obok czegoś, co uznała za pomieszczenie techniczne. Ale odetchnęła głębiej, dopiero kiedy wyłączył zasilanie i silnik umilkł.

– Dzięki Ci, Boże. – Odpięła pasy i wyskoczyła na beton, dając takie wspaniałe

poczucie bezpieczeństwa. Uderzył w nią silny podmuch wiatru. – Wejście do budynku! – zawołała, wskazując stalowe drzwi. – Będziemy postępować tak, jakby podejrzane były w środku. Sprawdzimy piętro po piętrze. Wiem, że jesteś uzbrojony.

– Naturalnie, że tak. Chcesz, żebym otworzył zamki wytrychem?

Wyciągnęła swój klucz uniwersalny, włączyła nagrywarkę.

– Porucznik Eve Dallas i cywilny konsultant-rzeczoznawca Roarke wchodzą do domu Fredericka Betza. Posiadamy nakaz.

Posłużyła się swoim kluczem uniwersalnym i skinęła do Roarke'a.

Wpadli do środka i rozejrzeli się wokół.

– Policja nowojorska! – zawołała Eve. – Weszliśmy do domu, jesteśmy uzbrojeni!

Ruszyli po kilku stopniach do kolejnych drzwi, otworzyli je w taki sam sposób, uprzedzili o swojej obecności.

Eve wyjęła latarkę i omiotła pomieszczenie snopem światła.

– Chyba nikogo tu nie ma – powiedziała cicho. – Ale sprawdzimy. – Wskazała mu jedną stronę, sama skierowała się w przeciwną.

Pokoje były pełne mebli, ale raczej przypominały magazyn niż wnętrza do zamieszkania. Zobaczyli czyściutką łazienkę i schody, prowadzące na dół.

– Nikogo tu nie ma! – zawołała.

– Tutaj też nie, ale powinnaś przyjść i to zobaczyć.

Chciała zejść na dół, sprawdzić kolejne piętro, a także niższe, ale skierowała się tam, skąd dobiegał głos Roarke'a.

Znalazła się w małym, dobrze wyposażonym laboratorium.

– Ośmielę się twierdzić, że znajdę jeszcze jedno konto bankowe albo dwa – powiedział Roarke. – Wygląda mi na to, że Betz prowadzi tu małą wytwórnię narkotyków. I założę się, że w wolnym czasie produkuje pigułki gwałtu.

Podeszła do lodówki z przeszklonymi drzwiczkami, przyjrzała się uważnie pudełkom pełnym fiolek.

– Odziedziczył majątek, dostał rodzinną firmę, chociaż z tego, co ustaliłam, niezbyt dużo czasu spędza w pracy. Lubi grać na wyścigach. Czyli na boku produkuje narkotyki, żeby mieć pieniądze na hazard, by móc więcej odłożyć. Traktuje to jak hobby – powiedziała Eve i się odwróciła. – Sprawdźmy pozostałe pomieszczenia.

Zeszli na niższe piętro i znów się rozdzielili.

Tym razem to ona zawołała Roarke'a.

– Walizka w pokoju gościnnym. Łóżko wygląda, jakby ktoś na nim leżał. Butelka alkoholu, kieliszek – mówiła cicho, otwierając walizkę.

Na wierzchu były jak wrzuconych ubrań znajdował się sweter, zrobiony na drutach – przypominał te, które dziergała Peabody. Obok niego leżało oprawione w ramki zdjęcie Petry Easterday.

– To Easterday – powiedziała Roarke'owi. – Przyjechał tutaj, żeby się ukryć. Brat mógł mieć dostęp do domu innego brata, prawda?

– Nie rozpakował się albo pospiesznie się spakował.

– Według mnie jeszcze się nie rozpakował. Przyniósł walizkę na górę, wyjął butelkę z barku, napił się i położył.

– Użała się nad sobą – doszedł do wniosku Roarke.
– Tak, biedny, zdołowany seryjny gwałcieł miał cholernie zły dzień. Zejdźmy niżej. Może spróbować uciec, jak będziemy chcieli go zatrzymać. Może nawet będzie stawiał opór, ale z łatwością damy sobie z nim radę.

Wyszli z pokoju, ruszyli ku schodom. I zatrzymali się w połowie ich wysokości na widok Betza.

Na parterze i w holu było ciemno, nie licząc promienia latarki. W jej świetle zobaczyli mężczyznę, powieszzonego na żyrandolu w holu.

Eve wiedziała, że były niewielkie szanse na to, że znajdzie go żywego, aresztuje i będzie się nad nim pastwić, aż zrobi zeń trzęsącą się galaretę, za to, co już o nim wiedziała. Ale miała nadzieję. Po obejrzeniu nagrania miała głęboką nadzieję, że dana jej będzie szansa, by móc się z nim rozprawić.

– Czwartą z szóstki – powiedziała. – Nie zwlekały z załatwieniem go, zaryzykowały i przywiozły go tutaj, zabiły go znacznie szybciej niż poprzednich. Sprawdźmy jeszcze wszystkie pomieszczenia na tym piętrze. Nie ma ich tu, ale może jest Easterday.

Kiedy skierowali się w głąb domu, Eve znalazła przewrócony stolik i stłuczony kieliszek. A potem zobaczyła krew – krople i smugi krwi.

Ominęła je, obejrzała kolejne pomieszczenia, a tam dostrzegła ślady świadczące, że kogoś ciągnięto po podłodze.

– Dom jest pusty – powiedziała do Roarke'a. – Dopadły Easterdaya. Wygląda na to, że kiedy tu przyszedł, był na dole, prawdopodobnie trochę pijany. Może pomyślał, że to jego brat Betz. Na ich widok próbował uciec. Dogoniły go, potraktowały paralizatorem. Upadł, przewracając stolik, uderzył głową o podłogę. Zaciągnęły go w głąb domu. Założę się, że chcieli, żeby wszystko widział. Tak, jak się przyglądał, kiedy Betz je gwałcił. Teraz mógł patrzeć, jak one odbierały życie Betzowi.

Schowała broń, kazała włączyć oświetlenie.

– Muszę poinformować miejscową policję, co tu zastaliśmy, ale to nasze śledztwo. Ściągnę tu Peabody.

– Jeśli zaproponujesz, żebym wrócił do domu, bardzo się rozłoszczę.

– Powinam, ale tego nie zrobię. Bo nie chcę – przyznała. – Mogę się tym zająć i zajmę się, ale chcę, żebyś był ze mną. Twoja obecność mi pomaga.

– Zawsze do usług.

– Świadomość tego też mi pomaga. Sądzę, że, o ile nie są głupie, a do tej pory nic o tym nie świadczy, wiedzą, że mają niewielkie szanse, by dopaść ostatniego z nich, MacNameego. Mogą poświęcić więcej czasu Easterdayowi. Mogą, bo to ostatni, którego dorwały w swoje ręce. W przeciwnym razie już nie żyje, a one zniknęły w sianej dali.

Ponieważ ją znał, przesunął dłonią po jej włosach.

– Gdybym był na ich miejscu i zaszedłbym tak daleko, był taki zdeterminowany, wybrałbym to pierwsze. Chciałbym... Wymierzyć sprawiedliwość ostatniemu.

Eve skinęła głową i wyjęła telefon, żeby zadzwonić na miejscowy posterunek policji.

– Mówi porucznik Eve Dallas z komendy głównej policji nowojorskiej. Znalazłam trupa. Potem zawiadomiła Whitneya, zostawiając mu negocjacje z szefostwem policji z Bronxu, o ile zajdzie taka potrzeba. Wezwała swoich techników, odbyła rozmowę z dwoma

tutejszymi detektywami, którzy zostali przysłani.

Nim Peabody i McNab dotarli policyjnym radiowozem, zwłoki Betza już leżały na podłodze, a Eve zdążyła ustalić godzinę śmierci.

– Dwudziesta piętnaście. Niespełna godzinę temu. Musiały wyciągnąć ten adres od Betza albo od którejś z wcześniejszych ofiar. Przyjechały tutaj i znów go torturowały. Krócej się nad nim znęcały, ale bardziej brutalnie.

– To on podawał im narkotyki – powiedział Roarke.

– Podawał narkotyki? – zdziwiła się Peabody.

Eve spojrzała na swoją partnerkę.

– Jest to nagrane na płycie, która była w skrytce bankowej. Znam całą szóstkę. Zbiorowy gwałt, każdy po kolei, jakby rywalizowali w jakichś zawodach sportowych. Ten wstrzyknął ofierze – wszystko wskazuje na to, że ich pierwszej – coś, co sprawiło, że najpierw krzyczała, stawiała opór, błagała, żeby przestali, a potem prosiła o więcej.

– Coś jej wstrzyknęli? – Spojrzenie zielonych oczu McNaba pod kolorowym daszkiem czapki zrobiło się zimne i twarde. – Coś w rodzaju whore?

– Coś w tym rodzaju. Ten tutaj sam to coś wyprodukował. Na górze jest laboratorium, w którym się tym zajmował.

Dostrzegła na twarzy McNaba coś, co kazało jej przemówić ostrym tonem:

– Detektywie, wszystko jest rejestrowane.

Odwrócił się bez słowa i poszedł sprawdzić zamki w drzwiach wejściowych.

– Jak wcześniejsze ofiary – ciągnęła Eve – mężczyzna też ma tatuaż w okolicy pachwiny. Lekarz sądowy potwierdzi, czy również przytknięto mu paralizator w tych okolicach, bo obrażenia tutaj są szczególnie poważne. Najprawdopodobniej bito go pałkami. Ale widać też ślady poparzeń, może spowodowanych tym samym narzędziem, którym zgwałcono ofiarę. Widać też ślady oparzeń i siniaki na tułowiu, których nie stwierdziliśmy u dwóch wcześniejszych zamordowanych. I poważne obrażenia twarzy. Zadrapania na szyi najprawdopodobniej spowodowała sama ofiara, próbując się uwolnić od stryczka. Pod paznokciami palców u obu rąk widać fragmenty naskórka i krew.

Pomasowała czoło, bo rozbolała ją głowa.

– Do torby go. Już poinformowałam Morrisa. McNab?

Odwrócił się; nadal miał kamienną minę.

– Tak jest, pani porucznik?

– Trzeba zabrać cały sprzęt elektroniczny. Rzecznawca już ustalił, że z komputera systemu alarmowego zabrano twarde dyski. Tak samo, jak to stwierdziliśmy poprzednio. Chcę, żebyście sprawdzili wszystkie komputery i aparaty telefoniczne, jakie znajdziecie. Wezwijcie kogoś do pomocy.

Wyprostowała się i wypuściła powietrze z płuc.

– Nasi technicy zbadają miejsce przestępstwa, miejscowa policja je zabezpieczy. Peabody, sprawdzimy, co miał z sobą Easterday. Jego walizka jest na drugim piętrze. Zobaczmy, czy jest tam coś, co może nas zaprowadzić do miejsca, gdzie go zabrały.

Kiedy poszła na górę, Roarke podszedł do McNaba.

– Nie myśl, że ona tego nie czuje, że nie czuje takiej samej wściekłości, jak ty.

– Wiem. Tylko... – Zdjął zimową czapkę i wcisnął ją do jednej z kieszeni. – Widziałem

wiele okropnych rzeczy, kiedy byłem krawężnikiem. Gwałt to coś obrzydliwego. Nie mówiąc o zbiorowym gwałcie. Ale żeby jeszcze faszerować dziewczynę whore? Jakby było im za mało, że ją gwałcą. Chcieli jeszcze, żeby brała w tym czynny udział. I wiesz, że może to źle wpłynąć na ofiarę? Jeśli przedawkują, może mieć nawroty, chcieć, żeby ktoś ją natychmiast przeleciał. Dużo się na to napatrzyłem. Zbyt dużo.

– Ona też. – Roarke ścisnął go za ramię.

McNab stał przez chwilę bez ruchu, jakby chciał się uspokoić, daszek czapki wystawał mu z kieszeni jaskrawozielonego płaszcza, w uchu błyszcząły kolczyki. Od dawna nieżyjący Elvis tańczył na przodzie jego swetra.

Patrzył jak policjant swoimi ciemnozielonymi oczami w urodziwej twarzy.

– Nie twierdzę, że to, co mu zrobiły, jest słuszne. Nie miały do tego prawa. Ale trudno też postrzegać to jak coś złego. Łatwiej powiedzieć, że to niewłaściwe niż że złe.

– No właśnie. Może nie wierzę w to tak mocno, jak Eve, ty czy Peabody, ale rozumiem, że mocno wierzycie, iż byłoby lepiej, gdybyście go dorwali żywego, żeby mógł cierpieć poniżenie i utratę wolności do końca życia, niż widzieć go martwego na podłodze. Bez względu na to, jak wiele wycierpiał przed śmiercią.

– Czasami trudno w to wierzyć, ale tak, wierzę. Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

– Nie ma za co. Pomogę ci, póki nie pojawi się wsparcie albo pani porucznik nie będzie mnie potrzebowała.

Czekając na nią, Roarke zajął się sprzętem elektronicznym. Rozumiał, że martwienie się o stan jej umysłu jest bez sensu, ale nie mógł przestać się martwić.

Wiedział, że Eve teraz już nie spocznie, póki nie dopadnie winowajczyni, nieważne, ile ją to będzie kosztować.

Kiedy zeszła, wzrok miała równie obojętny, jak McNab, a cienie pod oczami jeszcze podkreślały bladość jej twarzy. Roarke z trudem się pohamował, żeby nie zażądać, by zrobiła sobie przerwę, trochę odpoczęła. Oboje przyglądali się, jak ekipa z kostnicy zabiera worek z ciałem.

– Jeśli Easterday zabrał ze sobą coś ważnego, mają to. I zniknęła gotówka, którą, jak wiem, wziął z domu. W walizce jest paszport, czyli szykował się do wyjazdu za granicę.

Odsunęła się, żeby zrobić przejście dla techników, którzy przystąpili do pracy.

– Jasno widać, że postanowił wyjechać, porzucić żonę, dotychczasowe życie. Wolał tak zrobić, niż stawić czoło temu, co mu groziło.

– Ponieważ od początku do końca – powiedział Roarke – był śmierdzącym tchórzem.

– Tak. Tak, od początku do końca. Wiedział, że go odwiedzę. Przyjechał tutaj, bo uznał, że tu będzie bezpieczniejszy, nim uda mu się zorganizować wyjazd z kraju. Prawdopodobnie trochę się nad sobą użalał przy kieliszku, jak powiedziałaś... Jaki jestem nieszczęśliwy... Może po jakimś czasie zszedł na dół. Po więcej alkoholu, może po coś do jedzenia.

Obejrzała ślady krwi na podłodze, przewrócony stolik, zbity kieliszek.

– Kiedy się pojawiły, nie był przygotowany, może trochę pijany. Przytaszczyły do środka Betza. Przynajmniej dwie z nich musiały go tu wnieść, ale było ich cztery. Młodsze, szybsze i owiele bardziej zdeterminowane. Łatwo dogonić faceta pod siedemdziesiątkę,

do tego pijanego. Próbował uciec, ale rzuciły się na niego – wet za wet, prawda? Cokolwiek to znaczy. Podczas walki przewrócili stół, stłukli szklany wazon, który na nim stał. Easterday zwał się ciężko na podłogę. Prawdopodobnie uderzył głową w podłogę, może trochę się pokaleczył stłuczonym wazonem. Był oszołomiony albo nieprzytomny, kiedy go stąd zabierały.

Spojrzała na techników, badających sznur i żyrandol.

– Bez trudu go skrępowwały, nawet poczekały, aż oprzytomnieje, nim nałożyły Betzowi stryczek na szyję. Miały dwóch naraz i zmusiły Easterdaya, żeby się przyglądał, jak podciągają żyrandol, jak pętla się zaciska, jak Betz własnymi paznokciami rani sobie szyję, jak wierzga nogami, a jego ciałem wstrząsają konwulsje.

Wzięła głęboki oddech.

– Pomyślały sobie: Przyglądałeś się, kiedy twoi bracia nas gwałcili. A oni patrzyli, jak ty gwałciłeś nas. Teraz będziesz świadkiem śmierci swojego brata, wiedząc, że czeka cię to samo.

– Mogły tutaj go załatwić. – Peabody się zgarbiła, słuchając, jak Eve plastycznie opisywała, co tu się wydarzyło. – Zabić ich obu, a potem zniknąć.

– Nie taki miały plan. Easterday najpierw musi pocierpieć. Mają mu dużo do powiedzenia, już wiedzą, co mu robią. Będzie musiał je błagać, tak jak one błagały. Będzie musiał zrozumieć, tak jak one rozumiały, że błagania nie uratują go przed nieuchronnym.

– Zaczekaj tu chwilkę.

Podeszła do mundurowego Carmichaela, który wszedł do środka.

– Przepraszam, że was ściągnęłam... – zaczęła.

– Taką już mamy robotę, pani porucznik.

– No właśnie. Chcę, żebyście nadzorowali przepytывanie sąsiadów. Musimy obudzić wszystkich, którzy mieszkają w tym kwartale, Carmichael, wyciągnąć z nich wszystko, co wiedzą. Miały środek transportu, prawdopodobnie furgonetkę, ciemną, prawie nową. Zadbajcie o to, żeby wszyscy mundurowi mieli kopie rysunków Yancy'ego, przedstawiających podejrzane. Będziecie musieli współpracować z miejscową policją i koordynować z nią swoje działania.

– Nie ma sprawy. Moja kuzynka pracuje w tutejszej policji. Już do niej dzwoniłem, poinformowałem ją. Pomoże mi, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Dobrze. Niech miejscowa policja zabezpieczy miejsce przestępstwa. Ale bądźcie czujni. Nie znam ich.

Wróciła do Roarke'a, Peabody i McNaba.

– Wstępnie sprawdziliśmy sprzęt elektroniczny – powiedział McNab. – Nic na ten temat. Ludzie z wydziału przestępstw komputerowych zabiorą resztę. Chcesz, żebym też się tym zajął?

– Nie. Udamy się do mieszkania Blake i do jej biura. Ty i Peabody pojedziecie do biura, a ja z Roarkiem do mieszkania. Dzięki temu obie będziemy miały do pomocy informatyka. Można wylądować tym przeklętym helikopterem gdzieś w pobliżu biura Blake?

Ponieważ byłaby bardzo niezadowolona i może nie ograniczyłaby się jedynie do zrugania go, gdyby poklepał ją po pupie, Roarke poklepał ją po ramieniu.

– Zawsze znajdzie się jakieś miejsce.
– W takim razie polecicie z nami i udacie się do jej biura z miejsca, gdzie wylądujemy.
– Lot helikopterem! Hura! – Peabody wzruszyła ramionami, widząc minę Eve. – Wiedziałaś, że tak zareaguję.
– Reo przygotowuje nakaz zarekwirowania sprzętu komputerowego. To trudniejsze, gdy chodzi o kancelarię prawniczą, ale teraz już mamy aż za wiele, żeby uzyskać nakaz. Do tego czasu przewróćcie biuro do góry nogami, tylko nie zbliżajcie się do sprzętu elektronicznego ani do akt.
– Rozumiem.
– Tutaj na razie nie mamy nic więcej do roboty. – Ostatni raz rozejrzała się po holu. – Zmywamy się stąd.
Podczas krótkiego lotu z powrotem na Manhattan Eve pozostawała cały czas w kontakcie z zastępczynią prokuratora, wymieniając z nią SMS-y. Przeczytała też tyle, ile zdołała, co Baxter z Trueheartem i Peabody ustalili na temat MacKensie i Downing.
– Teraz, kiedy wiemy, czego szukamy, jest znacznie łatwiej. Wszystkie poleciały tym samym wahadłowcem na pogrzeb Elsi Adderman tam i z powrotem. Wszystkie co roku wpłacały pewne kwoty na ośrodki pomocy dla kobiet czy ofiar gwałtu. Różne kwoty, różne ośrodki, lecz każda z nich coś wpłacała. Żadna z nich nie jest w stałym związku. Wszystkie z wyjątkiem Downing studiowały w Yale, ale jeszcze się dowiemy, co Downing wiąże z tą uczelnią. Wszystkie poza Blake albo rzuciły studia, albo przez jakiś czas miały trudności z nauką. Według mnie Blake później dopadł kryzys.
– Suzanne Lipski w ośrodku pomocy dla kobiet rozpoznała Su, Downing i MacKensie – zauważyła Peabody.
– I wiemy teraz, że Blake udzielała tam porad prawnych. Jak pokażemy kierownicze rysunek, przedstawiający Adderman, też ją rozpozna. Wszystkie się tam spotkały albo były uczestniczkami zajęć grupy wsparcia przed bądź po tym, gdy zaczęły je prześladować wspomnienia tego, co się wydarzyło.
Odwróciła się, bo Roarke wylądował na dachu jakiegoś budynku.
– To tylko jedna lub dwie przecznice od jej biura i dwie od jej mieszkania.
– Może być. – Wysiadła, pocieszając się, że jeszcze tylko raz będzie musiała wsiąść do helikoptera.
Kiedy Roarke obchodził zabezpieczenia w drzwiach na dachu, prowadzących do środka budynku, zwróciła się do Peabody i McNaba.
– Zaczekajcie na nakaz, nim zajmiecie się sprzętem elektronicznym. Wszystko musi być zgodnie z przepisami. Bez względu na to, co czujecie, te kobiety są seryjnymi morderczyniami i mają w rękach ostatnią ofiarę, do której mogły dotrzeć.
– Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie... – zaczął McNab.
– Jakie zachowanie? – spytała Eve.
Słyszając to, McNab lekko się uśmiechnął. Weszli do środka i ruszyli na dół.
– Znajdziemy wszystko, co należy znaleźć. I będziemy się o tym nawzajem informowali.
Kiedy się rozdzielili na ulicy, skuliła się przed wiatrem i potarła zmęczone oczy.
– Nie wiem, czy szybko się z nim rozprawią, czy będą to przeciągały w czasie. Nie myślały, że tu się na niego natkną. Poszczęściło im się. Czy zabiją go szybko czy będą się

tym delektować? Jeśli zechcą to zrobić szybko, nie zdążymy im przeszkodzić.

– Gdyby chciały go załatwić szybko, znalazłabyś jego zwłoki obok zwłok Betza.

– Tak, też to sobie powtarzam. Ale potem myślę, co bym zrobiła na ich miejscu. Zaczęłabym kalkulować, ile mam czasu, jak duże jest ryzyko. Jeśli chcą uniknąć kary, powinny rozprawić się z nim raz-dwa i zniknąć.

– Czy myślałaś o tym, że wcale im nie zależy, żeby cokolwiek uszło im na sucho?

– Tak. Tak, myślałam. I jest to bardziej skomplikowane.

Przyjrzała się uważnie budynkowi, kiedy się do niego zbliżyli. Nic nadzwyczajnego, ale solidny. Bez portiera, jednak był porządny alarm z tego, co się orientowała. Na parterze tajska restauracja i dyskont z obuwiami.

Eve podeszła do drzwi wejściowych i pozwoliła Roarke'owi otworzyć zamki wytrychem. Dopiero wtedy włączyła nagrywarke.

– Póki nie otrzymam zmienionego nakazu, standardowe przeszukanie mieszkania. Chyba że jest w domu, je frytki sojowe i ogląda telewizję.

Nie skorzystała z windy, tylko ruszyła w stronę schodów.

– Mieszka na trzecim piętrze.

– Wiem. To ona ma jakieś drugie mieszkanie, a w nim salę tortur. Nie tutaj, tutaj nie ma po temu warunków, ale coś gdzieś ma. Musimy tu głębiej pokopać. Żadna z pozostałych nie ma dość pieniędzy, żeby wynajmować albo kupić drugie mieszkanie. Nie znalazłam nic, co by świadczyło, że któraś z nich odziedziczyła jakieś mieszkanie albo pieniądze, by móc coś wynająć lub kupić.

Czysta, dobrze oświetlona klatka schodowa, pomyślała. I dość cichy budynek. Niezupełnie wyciszony, bo dobiegły ją stłumione odgłosy rozmowy, prowadzonej w mieszkaniu na pierwszym piętrze. I dźwięki muzyki, gdyż w jakimś mieszkaniu na drugim piętrze akurat trwała impreza.

Na trzecim zapukała do drzwi do mieszkania Grace Blake. Odczekała minutę i znów zapukała, zawołała:

– Grace Carter Blake, jesteśmy z policji.

Ktoś uchylił drzwi do mieszkania naprzeciwko.

– Nie ma jej w domu.

Eve się odwróciła, zobaczyła ciemną twarz i ciemne, podejrzliwe oczy. Pokazała kobiecie odznakę.

– Wie pani, gdzie jest Grace Blake?

– Nie, ale przez cały dzień jej nie było. Myślę, że ostatnią noc też spędziła poza domem. Może gdzieś wyjechała.

– Wyjechała?

– Wczoraj widziałam ją z walizkami, dwa dni temu coś wyniosła z domu. Może trzy dni temu. Pani Kolo mówiła, że zamknęła biuro. Mieszka na pierwszym piętrze, powiedziała, że biuro było wczoraj nieczynne. Dzisiaj też. Czy ma jakieś kłopoty?

– Muszę z nią porozmawiać.

– Cóż, przez ostatnie dwa tygodnie rzadko bywała w domu.

Eve wyjęła portrety pamięciowe.

– A była tu któraś z tych kobiet?

Kobieta zmrużyła ciemne oczy i uchyliła drzwi trochę szerzej.

– Widziałam ją z tą. – Wysunęła rękę przez szparę i kościstym palcem pokazała Lydię Su.

– Tutaj?

– Nie, w sklepie. U Ginaro. Dwie przecznice stąd.

– Kiedy?

– Nie wiem, może w zeszłym tygodniu. Prawdopodobnie w zeszłym tygodniu, bo robiłam zakupy, jutro znów muszę się wybrać na zakupy. Kupowały sporo rzeczy, ale nie przyniosły ich do domu, tylko poszły ulicą i skręciły za róg.

– Poszły na południe, a potem skręciły na zachód?

– Zgadza się. Jeśli ma jakieś kłopoty, nic o tym nie wspomniała. Jest skryta. Nie imprezuje, jak ci z dołu. Słyszę, jak wrzeszczą i się śmieją.

– Pani...

– Jackson.

– Pani Jackson, mam nakaz rewizji mieszkania pani Blake. Wejdziemy teraz do środka. Jeśli pani chce, może pani to sprawdzić, dzwoniąc do dyspozytora w komendzie głównej.

– Ma pani odznakę – odrzekła kobieta. – Też potrafię być dyskretna. – Powiedziawszy to, zamknęła drzwi.

Eve posłużyła się swoim kluczem uniwersalnym, by otworzyć trzy zamki – jeden standardowy, dwa dodatkowe, z atestem.

– Potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, będąc w domu – mruknęła. – Policja – powtórzyła. – Wchodzimy do środka.

Dla porządku wyjęła broń i rozejrzała się, kiedy Roarke polecił, by włączyło się światło.

Skromne, taka była pierwsza myśl Eve. Niezagracone, kilka ładnych mebli, w tym skórzana kanapa, z pewnością kupiona, kiedy kobieta pracowała w korporacji.

Ale tak, wyniosła trochę rzeczy.

– Zabrała obraz, który wisiał tam na ścianie. Widać, że farba ma inny odcień. I został haczyk. Jestem gotowa się założyć, że było to dzieło Downing. A tam powinien być stolik, prawda? Po co stawiać tam fotel, skoro nie ma stolika? Nie ma gdzie odstawić tego, co się pije, nie ma lampy.

– Kobiecie łatwiej wynieść stolik niż fotel.

– To prawda. Żadnych zdjęć, dobry ekran ścienny, porządek. Rozejrzyjmy się.

Rozdzielili się, Eve sprawdziła sypialnię i łazienkę, sąsiadujące z pokojem dziennym.

Pracowali systematycznie; obejrzeli wnękę kuchenną, a potem mniejszy pokój, gdzie znajdował się gabinet, z którego zabrano komputer i telefon.

– Zabrała ubrania – powiedziała Eve, chowając broń. – Widać w garderobie puste wieszaki. I wzięła prawie wszystko z łazienki – nie ma przyborów toaletowych ani kosmetyków.

Machinalnie otworzyła szufladę szafki nocnej w sypialni.

– Pusta.

Roarke zrobił to samo po drugiej stronie szerokiego łóżka, nakrytego zwykłą, białą kołdrą.

– To samo. Podobnie jak autokucharz w kuchni. Nie został nawet jeden bajgiel.

– Miała czas, żeby wszystko zaplanować, i miejsce, gdzie mogła stopniowo przewozić

to, co chciała. Więc kiedy opuściła mieszkanie na dobre, wzięła tylko to, co jeszcze zostało. Założę się, że tak samo wygląda jej biuro. Zabrała cały sprzęt elektroniczny. Wolała nie ryzykować. Kiedy się robi coś takiego, nie popełnia się błędów.

– Jeśli ma drugie mieszkanie, znajdziemy je.

Eve skinęła głową i zaczęła przeszukiwać sypialnię.

Przyszędł nakaz na zabranie komputerów, chociaż nie na wiele im się przydał. Kiedy wyszli, skierowali się na południe, na rogu skręcili na zachód.

– Jest tam parking. Nie taki, który przez cały tydzień przechowuje zapisy kamer, ale i tak sprawdzimy.

Ślepe zaułki, pomyślała, jeden po drugim. Zadzwoiła do swojej partnerki.

– Żadnego sprzętu elektronicznego w biurze. Żadnych akt – oświadczyła Peabody.

– Wracaj do domu – poleciła jej Eve. – Prześpij się trochę. Niech McNab poszuka samochodu Su. Może pokombinować z różnymi wariantami imion tych pięciu kobiet. I z różnymi wariantami ich nazwisk. Niech do mnie zadzwoni, jak tylko coś znajdzie.

– Nie udaję mamusi. – Roarke objął ją ramieniem, kiedy wracali do helikoptera. – Ale zdrowy rozsądek podpowiada, że potrzebny ci sen.

– Chcę kawy i odrobiny szczęścia, żebym ruszyła z martwego punktu. Może kiedy byliśmy w terenie, komputer coś znalazł.

– Sprawdziałem. Na razie nic. Czasami trwa to dłużej.

Ale Eve nie miała czasu. Easterday też nie.

W kabinie zamknęła oczy. Gdyby mogła oczyścić umysł, pomyślała, może doznałaby olśnienia, dostrzegła coś, co przeoczyła lub co jej umknęło.

Ocknęła się, kiedy Roarke odpinał jej pas bezpieczeństwa.

– Zdrzemnęłam się na minutkę.

– Ponieważ bez względu na wszystko chcesz się tym zajmować. Ale twój organizm domaga się snu. One też muszą spać – przypomniał jej, obejmując ją ramieniem w pasie.

– One mogą się zmieniać. Ale racja, muszą spać, jeść, rozmawiać.

Czuła się, jakby szła przez wodę. Kiedy przekroczyła próg domu, otoczyło ją ciepło.

– Nie zabijają go dziś w nocy, powinnam to wiedzieć. Miałaś rację. Gdyby chciały szybko załatwić Easterdaya, zrobiłyby to tam i zostawiłyby drugie ciało. Zabrały go ze sobą, ale muszą spać, rozmawiać, postarać się, żeby zapłacił za to, co zrobił. Samo odebranie mu życia jest łatwe. Sprawienie, by zapłacił za to, co uczynił, wymaga czasu.

Roarke zaprowadził ją do windy i poszli prosto do sypialni.

– Weźmiesz coś na uspokojenie, żeby mi oszczędzić trosk?

– Od wielu godzin nie piłam kawy, jestem wystarczająco spokojna. Rozumiem, że muszę się wyspać, w przeciwnym razie musiałabym wziąć jakiś wspomagacz, a nie chcę tego robić. Pośpię do piątej. Gdzie kot?

– Przypuszczam, że z Summersetem, skoro nas nie było w domu. Brakuje ci go?

Wiedziała, że to głupie, ale brakowało jej Galahada. Jednak nie na tyle, żeby kazać Roarke'owi przynieść kocura.

– Tak tylko się zastanawiałam.

Zdjęła ubranie, wciąż czując się, jakby była pod wodą. Od ilu godzin jest na nogach? Nie

wiedziała. Zresztą nieważne. Pośpi teraz i zacznij od nowa przed świtem. Tylko tyle mogła zrobić.

Położyła się do łóżka, zamierzając usnąć, ale gdy tylko zamknęła oczy, nawet czując, jak Roarke ją obejmuje, znów zobaczyła sceny zbiorowego gwałtu.

– Stevenson... Billy... Nie mógł z tym żyć, więc popełnił samobójstwo.

– Nic nie mów. Nie myśl o tym.

– Wciąż widzę jej oczy i malujące się w nich przerażenie. – Przekręciła się na bok, wtuliła twarz w jego ramię. – I tamtą chwilę, kiedy przerażenie jest zbyt wielkie, więc człowiek musi odejść. Schować się w środku siebie, pójść sobie dokądś. Wiem, jak to jest, kiedy przydarza się coś ponad nasze siły. Kiedy ból, strach i świadomość, że nie można tego powstrzymać, są nie do zniesienia. A oni jeszcze... Napawali się jej przerażeniem. Pragnęli je oglądać. Chcieli tego, więc wciąż to robili, szukali nowych ofiar, żeby mogli znów poczuć się młodzi. Bo na tym to polega, prawda? Kiedy spotykamy się po latach i wspominamy, jak królowaliśmy na boisku albo szpanowaliśmy w kampusie.

– Najdroższa, oni nie kierowali się logiką ani rozsądkiem. Zachowywali się jak nieludzie.

Był taki ciepły, było jej tak dobrze, kiedy głaskał ją po plecach, jakby chciał odpędzić jej wszystkie mroczne myśli. Poczwała, jak zaczyna się trząść w środku, jak pod jej powiekami zbierają się gorące łzy, które niczego nie rozwiążą.

Boże. Boże. Nie chciała znów się załamać.

Więc odwróciła twarz w jego stronę.

– Pokaż mi, dobrze? Przypomnij mi, jak to jest. Jak to zawsze powinno być.

– Jesteś taka zmęczona – wymamrotał.

– Bądź moim środkiem uspokajającym. – Uniosła głowę i dotknęła ustami jego warg. – Będę twoja.

Należała do niego i cud bycia jego zawsze rozpraszał mrok.

Wiedziała, co może znaczyć ten akt fizyczny, kiedy jego źródłem jest przemoc i żądza władzy, a kiedy – potrzeba, pasja i pożądanie. I dzięki Roarke’owi wiedziała, co może znaczyć, kiedy jego źródłem jest miłość.

To ją uratowało.

Był wobec niej delikatny, tak jak i ona wobec niego, bo oboje wiedzieli, że potrzebują delikatności. Długie, czułe pocałunki były niczym balsam na ranę, opatrunek na obolałe, krwawiące dusze.

Zmęczenie, jakby po pływaniu, ustąpiło miejsca zdumieniu. On będzie dawał, ona będzie dawała i oboje znajdą pocieszenie.

Cierpliwe dłonie na jej skórze, ogrzewające ją tam, gdzie zimno tkwiło tak głęboko, że nigdy nie udało się do niego dotrzeć. Jego usta, bez słów mówiące jej, że jest kochana, bezcenna.

Potem słowa, mamrotane po irlandzku jak miękka pieszczota kojąca niewypowiedziany ból.

Eve oddawała mu się cała, przesuając palcami po jego jedwabistych włosach, po silnych ramionach. Dotykanie, samo dotykanie tego cudu, który ją spotkał w życiu, przynosiło jej spokój.

Czując ciepło i bliskość Roarke’a w ciemnościach, zorientowała się, że ten zachwyt powoli zaczyna się przemieniać w podniecenie.

Poddała mu się – wiedział to w chwili, kiedy to zrobiła, w chwili, kiedy opuściły ją mroczne myśli. I w jej sercu, w jej umyśle, pozostało tylko ich dwoje.

Kiedy tak leżała spleciona z nim, oddając mu siebie, prosząc, by ją wziął, uległ jej. Liczyła się tylko ona. Tylko miłość.

Tylko miłość, jej serce bijące mocno pod jego wargami, jej szczupłe ciało poruszające się pod nim. I jej dłonie, takie silne, takie pewne, przesuujące się po jego skórze.

Była wojowniczką i zawsze nią pozostanie. Ale nawet wojowniczka potrzebuje kogoś, kto się o nią zatroszczy.

Wniknął w nią delikatnie, wypełniając ją i szepcząc słowa, płynące prosto z serca. Poruszali się wolno, jakby unoszeni na spokojnych falach.

Kiedy te fale się załamały, zanurzyli się w pięknie i wzajemnym oddaniu, których żadne z nich nie zaznało z nikim innym.

– Będziesz teraz mogła usnąć?

Eve westchnęła przeciągle.

– Chyba tak. Ale... Chcę, żebyś nie przestawał mnie obejmować. Dobrze?

– Nawzajem będziemy się obejmować.

Czuł, jak Eve zapada w sen. Przez jakiś czas leżał bez ruchu, upewniając się, czy nie ovladnęły ją koszmary. Potem sam usnął, nie przestając jej tulić.

Obudziła się w ciemnościach, serce waliło jej jak młot. Ktoś krzyczał, bała się, że to ona.

– Już dobrze. Już dobrze. – Roarke objął ją mocno, nie przestając jej uspokajać. – To tylko komputer.

– Co? Już piąta?

– Nie, nawet jeszcze nie czwarta. Ustawiłem alarm w komputerze, gdyby coś znalazł. Daj mi chwilę, sprawdzę, co to takiego.

– Mamy coś! Światło na dwadzieścia procent. Mamy coś!

– Pozwól, że sprawdzę, dobrze?

Zniknął czuły kochanek, jego miejsce zajął bardzo poirytowany, bardzo zmęczony mężczyzna. Złapał palmtop, który położył na szafce nocnej i spojrzał gniewnie na wyświetlacz.

– Zaparz kawę – warknął. – Dla nas obojga. Najpierw muszę się napić kawy. I owszem, jest coś. Pozwól, że sprawdzę na tym cholerstwie, czy to warte, by nas wyrwać ze snu.

Nie oponowała. Chętnie by to zrobiła, ale większą ochotę miała na kawę. I tak rzadko jej się zdarzało widzieć go zmęczonym i nie w sosie, że postanowiła dać mu tę minutę, nim zacznie go naciskać.

– Jest coś. Och, nie można jej odmówić sprytu. Założę się, że ktoś jej pomógł. Ale znalazłem to.

– Co? Powiedz, bo upuszczę tę cholerną kawę.

– Adres. Daj mi kawę. – Złapał kubek z gorącą, czarną jak smoła kawą, wypił połowę. – Adres. O ile się nie mylę, to nie dalej niż dwie przecznice od komendy. Kawa i prysznic... Tylko nie za gorący. Helikopter wciąż jest przed domem, możemy dotrzeć na miejsce w parę minut.

– Muszę wszystko przygotować.

– Rób, co trzeba. Ja wezmę prysznic wystarczająco chłodny, żeby móc jasno myśleć.

– Daj mi to. – Wyrwała mu palmtop z ręki. – Idź.

Odczytała adres. Miał rację. Wystarczająco blisko komendy, by gliniarz o silnym ramieniu mógł wrzucić kamień przez okno.

Już zaczęła wybierać numer Peabody, ale przypomniała sobie, że siedzi nago, więc zablokowała wyświetlacz.

– Peabody – rozległ się niewyraźny, zaspany głos.

– Mamy adres. Jedź do komendy, będę tam najdalej za kwadrans. Powiadom Baxtera. Niech ściągnie Truehearta. I mundurowego Carmichaela. Zapamiętasz wszystko?

– Tak. Tak, zapamiętam.

– Możesz zabrać ze sobą McNaba, jeśli będzie miał ochotę. A Carmichael musi zadzwonić do jeszcze trzech mundurowych. Do roboty, Peabody.

– Już nie śpię. Zaraz do wszystkich zadzwonię.

Eve się rozłączyła – resztę załatwi w drodze na komendę. Pobiegnęła do łazienki i weszła

do kabiny prysznicowej.

Tym razem krzyk, który usłyszała, naprawdę wydobył się z jej gardła.

– Do diabła, ta woda jest lodowata.

– Ma dokładnie trzydzieści dwa stopnie.

Ponieważ Roarke powiedział to swoim zwykłym tonem, nieco rozbawionym, spojrzała na niego chmurnie.

– Wyskakuj, bo nastawiam temperaturę na trzydzieści osiem stopni.

Złapał ręcznik, a kiedy już wyszedł z kabiny, usłyszał jęk ulgi, gdy z dysz poleciała woda o sześć stopni cieplejsza.

Dokładnie po dwóch minutach Eve wpadła z powrotem do sypialni, sucha, ale wciąż naga, i zniknęła w garderobie.

Nim się z niej wyłoniła, wciągając spodnie, Roarke już miał na sobie spodnie, czarny sweter i akurat wkładał pistolet do kabury.

– Nie chcę widzieć tej broni, o ile ktoś nie wyceluje w ciebie.

Też złapała czarny sweter, bo był pod ręką, i przypięła broń. Włożyła buty.

– Potrzebne mi plany budynku, żeby przygotować akcję. Nie ma ani chwili do stracenia.

– Mogę albo ściągać plany budynku, albo pilotować helikopter. Co wolisz?

– Kurde. Powiedz mi, jak mam ściągnąć plany... Jak najszybciej. – Złapała swój płaszcz i rzuciła mu jego. – Magiczne płaszcze, kolego. Te kobiety będą uzbrojone i bardzo niezadowolone z naszej niezapowiedzianej wizyty.

Dla zaoszczędzenia czasu skierowała się do windy.

– Ilu ludzi ściągniesz? – spytał ją.

– Peabody, McNaba, Baxtera, Truehearta, Carmichaela i trzech mundurowych, których sam wybierze. W razie potrzeby ściągnę więcej ludzi, ale najpierw muszę obejrzeć budynek, zorientować się, co i jak. Możesz pomóc przy zakładaniu podsłuchu i podglądu. Nie chcę wyciągać Feeneya z łóżka.

– On z pewnością chciałby tego i słusznie będzie wkurzony, jeśli go nie weźmiesz.

– Kurde. – Wybiegając z domu, wyjęła komunikator. Nie telefon, tylko komunikator – tak będzie bardziej oficjalnie. Jeśli Feeney się nie obudzi, to nie jej wina.

Zostawiła wiadomość głosową i szybko się rozłączyła. Zapięła pasy w przeklętym odrzutowym helikopterze.

– O tej porze równie szybko dotarliśmy na miejsce samochodem.

– Ale śmigłowiec stoi przed domem, gotowy do lotu.

Wzniósł maszynę pionowo w górę z taką szybkością, że żołądek Eve pozostał na ziemi. Ale zacisnęła zęby i zadzwoniła do oficera dyżurnego, by go poinformować, że przyleci do komendy helikopterem, pilotowanym przez cywila. Nim się rozłączyła, rozległ się sygnał, że przyszła nowa wiadomość.

Od Feeneya – „Jestem w drodze”.

– Jak mam ściągnąć plany budynku?

Poprzez ryk silników, sunąc nad budynkami, Roarke przekazał jej dokładne instrukcje, posługując się najprostszym językiem.

– Nie wydaje mi się, żeby to było do końca zgodne z prawem.

– To szara strefa.

Eve chrząknęła i zaczęła postępować zgodnie z jego wskazówkami. Po chwili ujrzała plany piętrowego domu z podpiwniczeniem.

– Tam go przetrzymują – mruknęła i zaczęła sprawdzać dostęp do budynku, przygotowywać plan operacji.

Helikopter opadł ciężko na lądowisko, Eve wyskoczyła na zimny, porywisty wiatr. Weszli do gmachu i skierowali się do windy.

– Drzwi od frontu, od tyłu, z boku. Budynek narożny. Pierwszorzędna nieruchomość. Podpiwniczony. Założę się, że tam urządziły salę tortur. Z zewnątrz nie ma drzwi do piwnicy, więc będziemy musieli wejść przez parter.

– Usłyszają was.

– Być może, ale gdybym miała salę tortur... Nie mam, prawda?

– Nie masz. Może Charmaine mogłaby ci ją zaprojektować.

– Cha, cha. Gdybym miała salę tortur, byłaby absolutnie dźwiękoszczelna. – Wysiedli z windy. – Idę zająć salę konferencyjną. Chcesz być bohaterem?

– Twoim, najdroższa? Codziennie.

– Ha. Pomóż mi przenieść do sali tablicę z mojego gabinetu. I zaprogramuj wiadro prawdziwej kawy. Muszę wyświetlić plany budynku na ekranie, żeby wyraźnie wszystko widzieć. Peabody powinna być w miarę szybko, ale niewystarczająco szybko.

– Czy w sali konferencyjnej nie ma tablicy, podłączonej do komputera?

– Nienawidzę takich urządzeń – syknęła. – Ale masz rację, tak będzie szybciej.

– Ach, nowoczesna technika. – Tym razem klepnął ją po pupie. – Ty zaprogramuj wiadro kawy, a ja przeniosę wszystkie dane. Potem będziesz je mogła rozmieścić według swojego uznania. Która sala?

Pchnęła drzwi, zobaczyła, że w środku nie ma nikogo.

– Ta.

W swoim gabinecie od razu podeszła do autokucharza, a Roarke usiadł za jej biurkiem. Ponieważ nie miała żadnego większego naczynia, zaprogramowała trzy duże dzbanki kawy. Uznała, że tyle powinno wystarczyć.

– Elektroniczna tablica czy nie – mruknęła, wkładając do teczki portrety pamięciowe, zrobione przez Yancy'ego – zaczynam przygotowania. Mógłbyś przynieść resztę kawy? – Wyszła, nie czekając na odpowiedź.

W sali konferencyjnej spojrzała ponuro na komputer.

– Włączyć tablicę elektroniczną.

Brak zgody na korzystanie ze sprzętu w tej sali o tej porze.

– Ugryź mnie. Porucznik Eve Dallas. Wydaj zgodę, do jasnej cholery.

Używanie przekleństw jest...

– Zatłukę cię młotkiem na śmierć, a to, co z ciebie pozostanie, zetrę na proch. I podpalę. Przydziel tę salę i sprzęt na tę godzinę porucznik Eve Dallas. – Rzuciła odznakę na czytnik.

– Zeskanuj to albo przysięgam, że za dwie minuty trafisz do recyklera.

Potwierdzam tożsamość. Przydzielam tę salę i sprzęt porucznik Eve Dallas.

– I bardzo słusznie. Uruchomić pieprzoną tablicę elektroniczną.

Tablica uruchomiona. Używanie przekleństw jest niezgodne z przepisami i zostanie zgłoszone.

– Tym razem możesz mnie wydmuchać. Wyświetlić wszystkie dane, przesłane z komputera w moim gabinecie.

Na ekranie mignęły zdjęcia. Nie zwracając uwagi na protesty komputera, informującego o naruszeniu przez nią przepisów, zaczęła rozmieszczać informacje tak, jak jej to odpowiadało.

– Włączyć ekran ścienny. – Zmarszczyła czoło, patrząc na swój palmtop, na komputer i ekran, a potem przystąpiła do trudnego dla niej zadania przenoszenia danych, kiedy wszedł Roarke z dwoma dużymi dzbankami. – Uratuj płytę główną tego komputera i przenieś plany budynku na ekran ścienny. Ja należę ci kawy.

Ledwo zdążyła wziąć dzbanek, a wszystko było gotowe. Więc oddała mu dzbanek.

– Muszę to zobaczyć.

Nalał im kawy, a Eve podeszła bliżej do ekranu, wcisnęła ręce do kieszeni płaszcza, którego jeszcze nie zdjęła, i w milczeniu przyglądała się planom.

Jak generał, pomyślał Roarke, przyglądający się polu walki. Nic nie powiedział, tylko wręczył jej kubek z kawą. Po jakimś czasie skinęła głową.

– No dobrze – powiedziała, odwracając się, i akurat wtedy usłyszała stukot butów Peabody oraz podskoki McNaba.

Zauważyła, że oboje mają sińce pod oczami, ale wciągnęli powietrze nosem jak ogary, które zwęszyły trop.

– Czy to zapach prawdziwej kawy? – spytała Peabody.

– Należ sobie. To ten budynek. Dwie przecznice stąd.

– Kurczę blade. – McNab przechylił głowę w czapce w zielono-niebieskie paski. – Jak ją znaleźliście?

– Rachunki za usługi komunalne – powiedział Roarke. – A samą nieruchomość? Prawo własności, podwójnie zakamuflowane, sporządzone na prababkę Grace Blake, przy czym posłużono się jej nazwiskiem panińskim. Ponieważ kobieta nie żyje, ustanowiono zarząd powierniczy. A zarząd powierniczy...

– Później to wyjaśnisz – przerwała mu Eve.

– Cóż, to było sprytne posunięcie, warte czasu, który mu poświęciłem, ale zdradziły ją wpłaty za ogrzewanie i tak dalej. Też nie wystawiane na jej nazwisko, bo znalazłbym je wcześniej, tylko na prababkę, niejaką Elizabeth Haversham z domu Pawter, a usługi rozliczano na Beth Pawter, więc też trochę potrwało, nim to powiązałem.

Spojrzał na Eve, która wróciła do studiowania ekranu.

– Jeśli cię to interesuje, ma rachunek na to nazwisko w domu maklerskim w Iowa, gdzie mieszkała Elizabeth Pawter Haversham. Na rachunku nie brakuje pieniędzy, chociaż pokrywane są z niego koszty utrzymania budynku. Rok temu zmarła pani Pawter wynajęła ten budynek za stałą, przyzwoitą kwotę.

– Bo Blake zaczęła sobie planować, jak chce wykorzystać dom – powiedziała Eve, nie przestając przyglądać się uważnie tablicy. – Poznała przynajmniej jedną z pozostałych kobiet, odkryła, że w przeszłości spotkało je to samo, i tak to się zaczęło.

Pojawił się Carmichael z trójką pozostałych mundurowych. Za nimi weszli Baxter i Trueheart.

Kiedy nalewali sobie kawy, wszedł Feeney.

– Lepiej, jak zostanie coś dla mnie. – Zabrał McNabowi kubek z kawą, na wypadek, gdyby się okazało, że jednak więcej już nie ma. – To nasz cel?

– To nasz cel, a oto, jak do niego wejdziemy.

Uda się, pomyślała Eve, podając godziny, uwzględniając różne nieprzewidziane ewentualności. Wkraczając do budynku przed świtem, wezmą kobiety z zaskoczenia... I najprawdopodobniej nieprzygotowane.

Zmarszczyła czoło, zobaczywszy, że Roarke wyszedł, kiedy z Baxterem i Trueheartem omawiała, kto ma gdzie zająć pozycje. Po jakimś czasie wrócił, niosąc stos kartonów z cukierni.

Wszyscy obecni w sali gliniarze wyczuli zapach drożdży i cukru.

Powinna była się domyślić.

– Pączki to może nic oryginalnego, ale sprawdzają się, prawda? – Roarke postawił pudełka na stole konferencyjnym. – Będzie wam się lepiej pracowało.

Rzucił Eve szybki uśmiech, kiedy wszyscy wyciągnęli ręce po pączki: z galaretką, w kształcie obwarzanka, niedźwiedzich pazurów, z polewą miodową.

– Poczęstujcie się i do roboty. Feeney, król pączków, jest z wami. Peabody, Baxter i Trueheart ze mną. Mundurowy Carmichael, zabierzcie swoich ludzi na wyznaczone miejsce zbiórki. Musimy zachować ciszę.

Rzuciła Roarke'owi przeciągłe, obojętne spojrzenie, kiedy poczęstował ją pączkiem.

– Z kremem bawarskim i posypką. Ciesz się, że przygotowanie owsianki potrwałoby zbyt długo i nie można jej jeść w biegu.

Miał rację. Wzięła pączek i wyszła razem z pozostałymi. Zjadła go i włożyła kamizelkę kuloodporną.

W Nowym Jorku rzadko panował spokój, ale kilka minut po piątej rano akurat zdarzyła się chwila ciszy. Zatrudnieni na noc jeszcze nie skończyli pracy, a ci z dziennej zmiany wtulali twarze w poduszki. Licencjonowane prostytutki, działające na ulicy, uznały, że pora wracać do domu, a te, które znajdowały się wyżej w hierarchii, spały we własnych łóżkach albo w łóżkach klientów, w zależności od umowy.

Wystawy sklepowe były jeszcze ciemne, nawet w sklepach całodobowych panowała senna atmosfera.

Zabarykadowanie ulic wokół jednego kwartału można było przeprowadzić szybko i cicho, niemal nie poruszając lodowatego powietrza.

A w interesującym ich domu okna były ciemne.

Eve starannie rozważyła porę, rozmieszczenie sił, podział na ekipy. Teraz jej ludzie poruszali się w ciemnościach cicho jak cienie.

Baxter i Trueheart przy drzwiach z boku, McNab i Peabody – koło frontowych. Ona

razem z Roarkiem podeszła do tych od tyłu, najbliżej zejścia do piwnicy.

W słuchawce rozległ się głos Feeneya.

– Jest podsłuch i podgląd.

Obok niej Roarke zaczął coś robić na swoim palmtopie, McNab dał znak, że też uruchomił przenośny komputer. Eve nie zwracała uwagi na ciche uwagi całej trójki, wypowiedane żargonem komputerowców, myśląc tylko o jednym:

Pokażcie mi, gdzie są. Tylko mi pokażcie.

– Mamy obraz, ukazujący źródła promieniowania podczerwonego.

Eve zmrużyła oczy, bo była pewna, że Feeney ma usta pełne pączka, kiedy informował:

– Dwie osoby na piętrze, trzy – w piwnicy. Widzisz je?

– Tak – potwierdził Roarke, kiedy McNab potakująco skinął głową.

Roarke wsunął przez szparę pod drzwiami cienki jak włos przewód i zrobił jakąś sztuczkę magiczną na swoim laptopie.

– Absolutna cisza.

– W piwnicy jakiś ruch – zameldował McNab.

– Zrozumiałem – powiedział Feeney. – Jedna osoba stoi przodem do drugiej. Trzecia na tym poziomie kieruje się na wschód. Zatrzymała się.

– Zmieniają się. – Eve skinęła głową. – Dwie na górze odpoczywają. Dwie na dole zabawiają się z Easterdayem. Wciąż żyje. Peabody, McNab, na mój znak idźcie na górę po schodach. Baxter, Trueheart, w środku macie się rozdzielić, jak ustaliliśmy. Carmichael?

– Na swojej pozycji, pani porucznik.

Skinęła głową do Roarke'a, który wziął się do zamków i podłączonego do nich alarmu; jego ruchy były szybkie, precyzyjne. Pozostałe ekipy posłużą się taranami, robiąc dużo hałasu. Ale nim podejrzanę się zorientują, co się dzieje, ona już będzie w piwnicy.

– Droga wolna – powiedział jej Roarke.

– Zaczynamy. Wszyscy na swoje pozycje.

Kiedy uchylił drzwi, wsunęła się do środka, poświeciła sobie latarką, w drugiej ręce trzymając broń.

Duża kuchnia, stwierdziła. Pusta i ciemna. A tuż przed nią drzwi do piwnicy. Zamknięte.

– Jesteśmy w środku. Feeney?

– Na pierwszym piętrze nikt się nie porusza. Trójka w piwnicy pośrodku pomieszczenia. Stoisz bezpośrednio nad nimi.

Podeszła do drzwi i wolno przekręciła gałkę. Kiedy się otworzyły, usłyszała krzyki, łkania, głosy.

– Wszystkie zespoły wkraczają. Raz, raz.

Zbiegła na dół, trzymając przed sobą broń, kierując się tam, gdzie krzyki Easterdaya przecinały powietrze.

Powiesiły go za ręce na haku w suficie, wykorzystując kołowrotek. Jego ciało pokrywały sińce, ślady oparzeń, pot, krew.

Charity Downing, w samej koszulce i spodenkach gimnastycznych, trzymała w ręce pałkę. Lydia Su krzyczała:

– Mocniej! Niech porządnie poczuje.

– Policja! Ręce do góry. Już! Już!

Kiedy Eve wydała polecenie, na górze rozległy się jakieś trzaski i okrzyki.

Na schodach było ciemno, ale w piwnicy paliły się światła. Su zrobiła obrót, wykorzystując ciało Easterdaya jak tarczę.

– Jeszcze nie skończyliśmy! Jeszcze nie skończyliśmy!

Eve uchyliła się przed błyskawicą paralizatora. Sama też wystrzeliła, nastawiwszy broń na małą moc, i jednym susem pokonała pozostałe stopnie.

– Jesteście otoczone. To już koniec.

– Nie. – Su, płacząc, skierowała paralizator w kierunku Easterdaya, nie zostawiając Eve wyboru.

Ogłuszyła ją, a wtedy Downing upuściła pałkę, która z głuchym stukotem upadła na podłogę, i podniosła ręce do góry.

– Proszę, nie. Proszę! Nie róbcie jej krzywdy. Lydia. Lydia! – Downing padła na kolana, objęła swoją towarzyszkę. – Przestań. Przestań. Pamiętaj, co nam powiedziała Grace.

Tamta wzdrygnęła się, wciąż miała nieprzytomny wzrok.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Potrzebna karetka pogotowia i radiowóz. Baxter, skuj te dwie.

Baxter zbiegł po schodach.

– Zrobione, szefowo.

– Peabody!

– Mamy Blake i MacKensie. Wszystko zabezpieczone.

Eve odwróciła się do Easterdaya, z którego gardła wydobywał się urywany szloch.

– Pomóżcie mi. Pomóżcie mi.

– Założę się, że one też to mówiły – mruknęła Eve, ale schowała broń do kabury. – Roarke, pomóż mi go opuścić.

– Znęcały się nade mną.

– Żyjesz – powiedziała bez odrobiny współczucia.

Żyje, pomyślała, kiedy położyli go na podłodze. Spełniła swój obowiązek.

– Zabrać je – poleciła Baxterowi. – I umieścić je w osobnych celach.

Lydia Su, wciąż oszołomiona paralizatorem, rzuciła Eve spojrzenie pełne nienawiści.

– Zasłużył sobie na śmierć. Wszyscy oni zasłużyli sobie na śmierć.

– Nie pani o tym decyduje. Wyprowadź je, Baxter.

Spojrzała na Easterdaya, leżącego na podłodze i jęczącego.

– Pomoc lekarska już jest w drodze.

– Zabiły Freda. Kazały mi się temu przyglądać.

Nic nie powiedziała, kiedy Roarke wziął z kanapy koc i rzucił go dygoczącemu mężczyźnie. Ale pomyślała: Lubisz sobie patrzeć.

Nachyliła się, spojrzała mu prosto w spuchnięte, podbite oczy.

– Wysłucham pańskich zeznań po tym, jak udzielona zostanie panu pomoc lekarska, ale oświadczam, Marshallu Easterdayu, że jest pan aresztowany pod zarzutem wielokrotnego przetrzymywania osób wbrew ich woli, za gwałt, za napaść na tle seksualnym, za współudział w przygotowaniu gwałtów.

– Nie może pani... Nie może pani...

– Właśnie to zrobiłam. – Odsunęła się, kiedy wbiegli ratownicy medyczni, i złapała

jednego za ramię. – Ten człowiek jest aresztowany. Kiedy będziecie go wieźli do szpitala, musi być w kajdankach. Funkcjonariusz policji pojedzie ambulansiem razem z nim i ani na chwilę nie spuści go z oka. Jasne?

– Tak, zrozumiałem. Proszę pozwolić, żebyśmy się nim zajęli, na tyle ustabilizowali jego stan, żeby można go było przewieźć do szpitala. Wygląda kiepsko.

– Bierzcie się do pracy – powiedziała mu Eve, a kiedy Easterdayowi udzielano pierwszej pomocy, odczytała przysługujące mu prawa.

– Nasze dwie są już w drodze do aresztu – powiedział Baxter do Eve, kiedy wrócił na dół. – Pozostałe dwie wkrótce też tam trafią. Ich zatrzymanie przebiegło gładko. Co z nim?

– Odczytałam mu jego prawa. Każę Carmichaelowi oddelegować jednego mundurowego, który nie będzie odstępował aresztowanego ani na krok. – Wręczyła Baxterowi kajdanki. – Przykuj go do noszy, kiedy go na nich położą. Muszę sprawdzić, co u reszty ekipy.

– Jasne. Niezłe miejsce – dodał, kiedy się odwróciła.

– Tak. – Była to replika pomieszczenia z nagrania. Trochę unowocześniona, dodały to i owo, ale członkowie bractwa prawdopodobnie też to zrobili. Sprowadzały gwałcicieli tam, gdzie kiedyś przeżywały koszmar, i teraz to one kazały im go przeżywać.

Ciągle tkwiły w przeszłości, pomyślała Eve.

Poszła na górę, a tam zobaczyła Peabody z MacKensie oraz kobietą, którą rozpoznała z portretu pamięciowego: Grace Carter Blake.

– Nie wiecie, co nam zrobili. – Głos MacKensie drżał. – Nie wiecie, co z nas uczynili.

– Nic nie mów – starała się ją uspokoić Blake. Była w płaszczu, który miała na sobie na nagraniu z kamer w domu Su, narzuconym na zwykłą, białą piżamę. Wyprostowała się i spojrzała na Eve zmęczonym wzrokiem.

– Powinna to wiedzieć. Zniszczyli nas. Odebrali nam życie – mówiła MacKensie.

– Będziecie miały okazję mi o tym opowiedzieć – odparła Eve. – Peabody, odczytałaś zatrzymanym przysługujące im prawa?

– Tak. Mogę je zabrać.

– Nie, potrzebna mi będziesz gdzie indziej. Każ je odwieźć. Porozmawiamy później – zwróciła się do obu kobiet.

– Wszystkie będziemy się domagały adwokatów – powiedziała Blake.

– Proszę bardzo.

– Nie rozumie pani... – zaczęła MacKensie, ale tamta jej przerwała.

– Carlee, nie teraz. Jestem prawnikiem. – Spojrzała gdzieś przez Eve. – Nic nie powiemy bez naszych pełnomocników. I jako prawnik będę reprezentowała nas wszystkie, póki nie będziemy się mogły skontaktować z adwokatem.

– Nie. Jeśli jest pani prawnikiem i nie jest pani głupia, rozumie pani, że jest pani aresztowana między innymi pod zarzutem współudziału w przygotowaniu morderstwa razem z pozostałymi podejrzanymi. Konflikt interesów nie zezwala, żeby wystąpiła pani w roli adwokata, chyba, że własnego. Każ je odwieźć, Peabody.

Potarła oczy i wyjęła swój telefon.

– Nic nie musisz mówić. – Zwinięta w kłębek na łóżku, zastępczyni prokuratora Reo nawet nie otworzyła oczu. – Kolejny nakaz.

– Właśnie rozbiłam gang zabójczyń i bractwo gwałcicieli, aresztowałam pięć osób.

Cher Reo otworzyła oczy.

– Poinformuj o tym swojego szefa. Spotkamy się w St. Alban's, gdzie przesłucham Marshalla Easterdaya.

Rozłączywszy się, niemal wpadła na Roarke'a.

– Nie pytaj – powiedziała, uprzedzając go. – Odpowiedź brzmi: czuję się dobrze. Muszę to skończyć, to zajmie trochę czasu. Ale... Później mogę wykorzystać ciebie i ten przeklęty helikopter. Nie spocznę, póki nie zobaczę domu bractwa. Teraz bez trudu go znajdziemy.

– Z całą pewnością. Komputer zlokalizował dom podczas naszej akcji. A komputer McNaba odnalazł furgonetkę.

– W samą porę. Więc... Czy mogę zadzwonić do ciebie później w sprawie lotu?

– Naturalnie. Wystartujemy, jak tylko będziesz gotowa.

– Nie wąż się mnie objąć. – To też wyczuła. – Oboje sobie wyobrazimy, że to zrobiłeś. A kiedy będzie po wszystkim, chyba naprawdę poczuję się szczęśliwa, jak mnie obejmiesz.

– Na to też znajdę czas. – Więc tylko przesunął palcem po dołeczku w jej brodzie. – A teraz nie będę ci już przeszkadzał, moja pani porucznik.

– Dziękuję za pomoc. – Na chwilę zapomniała o tym, że jest policjantką na służbie, i ujęła jego dłoń. – We wszystkim.

Kiedy wyszedł, potrzebowała chwili, żeby ochłonąć, a potem wróciła do swoich obowiązków.

Niespełna godzinę później razem z Peabody i Reo weszła do sali szpitalnej, w której umieszczono Easterdaya. Według Eve Easterday wyglądał lepiej, niż powinien.

– Jak mogła pani to zrobić? – Uniósł rękę, przykutą do łóżka. – Te kobiety zamordowały moich przyjaciół, torturowały ich, a potem mnie. Zmusiły... Zmusiły mnie do przyglądania się, kiedy... Kiedy wieszali Freddy'ego.

– Poniosą tego konsekwencje. Ale jesteśmy tutaj, żeby porozmawiać o panu i waszym bractwie. Jesteśmy tutaj, żeby porozmawiać o tym, co pan i pańscy towarzysze zaczęli robić czterdzieści dziewięć lat temu.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Te kobiety...

– Mamy nagranie pierwszego gwałtu. Ofiara nazywa się Tara Daniels. – Niech Bóg błogosławi Harvo. – Pamięta ją pan?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Nie znam żadnej Tary Daniels.

– A mówią, że zawsze się pamięta pierwszy raz. – W jej głosie słychać było najwyższe obrzydzenie. – Betz to nagrał i przechowywał starą, oryginalną płytę w sejfie bankowym w Bronksie. I pamiątkę po każdej ofierze.

Nie wiedział o skrytce bankowej, pomyślała Eve, dostrzegając zaskoczenie w oczach Easterdaya.

– Właśnie teraz laboratorium ustala tożsamość wszystkich ofiar na podstawie DNA. Żyje pan, Easterday, ponieważ udało nam się dotrzeć na czas, chociaż wolał pan uciec, niż stawić czoło temu, co pan zrobił.

– Myli się pani. Zwyczajnie się pani myli. Chcę...

– Mam dowody. – Nachyliła się do jego posiniaczonej twarzy. – Obejrzałam nagranie, widziałam, jak gwałcił pan Tarę Daniels, jak przyglądał się pan, śmiał i pił, kiedy gwałcili

ją pańscy przyjaciele. Widziałam, jak Frederick Betz wbił igłę w jej ramię, żebyście mogli oszukiwać samych siebie, że dziewczyna tego pragnie. Chce pan to obejrzeć? Mogę się postarać, żeby to panu pokazano tutaj, na szpitalnym telewizorze.

– Nie. Nie. Nic pani nie rozumie.

– Proszę mnie oświecić.

– Byliśmy... Byliśmy młodzi i znajdowaliśmy się pod ogromną presją. Musieliśmy się chociażby częściowo wyładować... Nie wolno nam było bez pozwolenia opuszczać terenu kampusu. A ona... Ona... Ona zachowywała się prowokująco, zaczepnie. Była pijana, podrywała Edwarda. A potem zaczęła podrywać mnie.

– Czyli prosiła się o to?

– Powiedział... To były inne czasy.

– Inne czasy, kiedy wolno było związać kobietę, pobić ją, dopuścić się zbiorowego gwałtu, podawać jej jakieś substancje oszałamiające wbrew jej woli? A potem... Kiedy skończyliście, kiedy wszyscy po kolei ją zgwałciliście, posiadliście tak, jak tego chcieliście, wolno było „zrobić jej irygację”, porzucić ofiarę gdzieś na terenie kampusu?

– Za dużo wypiliśmy – zaczął. – Żyliśmy pod wielką presją. Ona niczego nie pamiętała. Właściwie nie zrobiliśmy nic złego.

– Ale inne pamiętały. – Tym razem Peabody pochyliła się ku niemu. – Elsi Lee Adderman tak dobrze pamiętała, że w końcu odebrała sobie życie.

– Kto? Nie wiem, co to za jedna.

– Jedna z czterdziestu dziewięciu – powiedziała Eve. – Wy, nędzne namiastki ludzi! Co wam dało do tego prawo?

– To była tradycja! Jeden niewinny wieczór w roku. Nigdy nie zrobiliśmy im krzywdy. Chodziło tylko o seks. Swego rodzaju więź, rozumie pani? Coś, co wspólnie dzieliliśmy.

– Zdaje mi się, że Billy przestał tak to postrzegać. Tak jak Elsi nie mógł dłużej z tym żyć.

– To... To nas związało. I przyniosło nam szczęście. Każdy z nas odniósł sukces. Każdy z nas odcisnął swoje piętno na świecie, przetrwał tamte okropne czasy i jakoś się wyróżnił. To był tylko jeden wieczór w roku.

– Zgwałciliście czterdzieści dziewięć kobiet.

– To nie był gwałt! To był tylko seks, tradycja. To...

– Podawaliście im narkotyki?

– To była tylko...

– Czy podawaliście im narkotyki, do jasnej cholery?

– Tak, tak, ale tylko dlatego, żeby... Było im łatwiej. Im – powtórzył.

– Wiązaliście je?

– Tak, ale... Żeby było bardziej podniecająco... Również dla nich.

– Czy te kobiety mówiły „przestańcie”? Mówiły „nie”?

– Tylko na początku... To był swego rodzaju rytuał. I starannie je wybieraliśmy. To był zaszczyt zostać wybraną.

Dostrzegła w jego oczach panikę, kiedy słuchał własnych słów.

– Gwałt to zaszczyt?

– To był seks.

– Proszę to sobie powtarzać. Dawaliście swoim ofiarom narkotyków, wiązaliście je, nie

przestawaliście się z nimi zabawiać, kiedy was błagały, żebyście je zostawili w spokoju. Może pan się znaleźć w takim samym położeniu – do końca życia w więzieniu. I zobaczymy, czy wtedy też uzna pan to tylko za seks.

– Nie możecie mnie wsadzić do więzienia. Wiecie, kim jestem?

– Dokładnie wiem, kim pan jest.

– Służycie mi! – Rozsierdzony próbował się podnieść, aż zadzwoniły kajdanki. – Ludziom takim jak ja.

– Pracuję dla miasta Nowy Jork i wsadzam za kratki takich ludzi, jak pan. Kocham swoją pracę, a dziś w nocy, w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek.

– Te kobiety to przestępczynie. Morderczynie. Są szalone. Biły mnie, przypalały mi skórę!

– Och, pozwolimy, żeby lekarze doprowadzili pana do idealnego stanu zdrowia, nim trafi pan do więzienia. Pan i ostatni z pańskich braci, Ethan MacNamee, który w tej chwili leci do Nowego Jorku po ekstradycji z Wielkiej Brytanii, będziecie mieli dużo czasu na rozmyślanie o waszych tradycjach. Masz dość, Reo?

– Aż nadto. Panie Easterday, przyznał się pan, wysłuchawszy swoich praw, do dokonania wielokrotnych gwałtów. Pana zeznania zostały nagrane.

– Nie! To nie był gwałt. Tylko tłumaczyłem... – Łzy popłynęły mu po policzkach. – Nie chcę dłużej z paniami rozmawiać. Doznałem obrażeń! Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Ma pan takie prawo – odparła bez troski Reo. – Natomiast pan MacNamee ma wiele do powiedzenia. I kiedy będzie wszystko wyznawał porucznik Dallas, zaproponuję mu ugode, którą zamierzałam zaproponować panu.

– Jaką ugode? – spytała Eve jak na zawołanie, udając oburzenie.

– Taką mam pracę, pani porucznik. I jednym z moich obowiązków jest oszczędzanie miastu czasu i pieniędzy na długie, ohydne procesy sądowe. Ale ponieważ pan Easterday powołał się na swoje prawo do zachowania milczenia...

– Chcę poznać warunki.

Reo spojrzała na niego, skinęła głową.

– W porządku. Pani porucznik, pani detektyw, proszę nas zostawić samych.

– To skandal! – Ale Eve wymaszerowała z sali. Jak tylko znalazła się na korytarzu, zwolniła kroku.

– Co to za ugoda? – spytała Peabody. – Wiem, że razem z Reo nad czymś dyskutowałyście.

– Dożywocie bez prawa do przedterminowego zwolnienia, ale w więzieniu na Ziemi. Najprawdopodobniej i tak sąd by na to poszedł. Reo nastraszy Easterdaya, żeby się na to zgodził. Jest załatwiony. MacNamee też – powiedział już mnóstwo Scotland Yardowi, a my wyciągniemy z niego resztę.

Przesunęła dłonią po włosach, bo dla niej ta sprawa jeszcze się nie zakończyła.

– Jedźmy porozmawiać z tymi kobietami.

Na żądanie Grace Blake Eve przesłuchiwała ją w pierwszej kolejności. Usiadła naprzeciwko niej w celi.

Aresztowana miała już na sobie pomarańczowy więzienny drelach.

– Czy rezygnuje pani z obecności adwokata?

– Na razie tak. Jak sama pani powiedziała, mogę być swoim obrońcą. I chociaż radziłabym swojej klientce, żeby zachowała milczenie, moja klientka czuje głęboką wewnętrzną potrzebę złożenia oświadczenia. Czyniąc to, ma nadzieję, że pomoże trzem kobietom, które wkrótce będzie tu pani przesłuchiwać. To ofiary, pani porucznik.

– Słucham, proszę mówić.

– Byłam studentką Uniwersytetu Yale. Pracowałam bardzo ciężko, żeby się dostać do Yale, bardzo ciężko, żeby być wyróżniającą się studentką. Pragnęłam się poświęcić prawu, prawu przedsiębiorstw. Chciałam zajmować odpowiedzialne stanowisko, zamierzałam zostać wspólniczką przed ukończeniem czterdziestego roku życia. Marzyłam o dużym, eleganckim mieszkaniu, o kręgu eleganckich znajomych. Wszystko to osiągnęłam i byłam zadowolona z życia. Wmówiłam sobie, że jestem zadowolona z życia, że koszmary, które mnie nawiedzają we śnie, to efekt stresu. Bo nic takiego mnie nie spotkało w prawdziwym życiu. W tych koszmarach byłam przywiązana do łóżka w pokoju z kolorowymi światłami. Wirującymi, kolorowymi światłami i głośną muzyką. W pokoju wypełnionym męskim śmiechem. Gdzie płakałam i miałam napady wściekłości, gdzie raz po raz na nowo przeżywałam ten szok, ból, poniżenie. Mężczyźni pozbawieni twarzy gwałcili mnie. Zmuszali mnie do wypicia czegoś, po czym, kiedy każdy z nich raz mnie posiadł, przemieniałam się w zwierzę i błagałam ich, żeby znów to zrobili. I znów, kiedy mnie odwiązali, powiesili za ręce w samym środku tych wirujących świateł i gwałcili mnie po dwóch naraz.

Urwała, napiła się wody, którą Peabody postawiła na stole. Chociaż dłoń jej nie drżała, kobieta wzdrygnęła się, nim znów zaczęła mówić.

– Wyobrażałam sobie mężczyzn – odpowiednich, zabawnych mężczyzn. Spośród nich chciałam wybrać partnera, z którym zbudowałabym piękne życie. Ale po tych nocnych koszmarach, kiedy próbowałam się związać z jakimś mężczyzną, ogarniała mnie panika. Dostawałam strasznych mdłości. Pomyślałam, że może to jakaś choroba, i zaczęłam chodzić na psychoterapię.

Urwała na moment, żeby się opanować.

– Myślałam, że może wolę kobiety, ale bez względu na to, jak delikatną kochankę sobie wybierałam, ta panika mnie nie opuszczała. Na jakiś czas pogodziłam się z tym, że nie potrafię się z nikim związać, nie potrafię być z nikim blisko, skupiłam się na swojej pracy,

na karierze zawodowej. Ale tamte koszmary nadal mnie prześladowały. Zaczęła na tym cierpieć moja praca, a one nie dawały mi spokoju, jak mężczyźni z moich koszmarów. Zaczęłam sobie coś przypominać, więcej widzieć. Ich twarze. Z jednej strony nie chciałam uwierzyć, że to się wydarzyło naprawdę. Jak mogło mnie spotkać coś tak strasznego? Jak mogłam żyć i pracować po czymś tak okropnym? Lecz zaczęłam rozumieć, że to się wydarzyło. Nie mogłam pracować, nie mogłam spać ani jeść. Rozważałam samobójstwo, żeby położyć temu kres. Brałam leki, przepisane przez lekarza, ale mi nie pomagały. Pewnego razu poszłam na spotkanie grupy wsparcia dla ofiar gwałtów. Poznałam CeCe Anson, najlepszą kobietę, jaką kiedykolwiek znałam, a przez nią Lydię Su.

– Su miała takie same koszmary, takie same wspomnienia.

– Tak. Zaprzyjaźniłyśmy się i pomyślałam sobie, że razem z nią... Ale nawet jej dotyku nie mogłam znieść. I okazało się, że ona ma takie same sny i wspomnienia, jak ja. Siedziałyśmy po ciemku, obejmując się, wspominając, aż wszystko zaczęło się układać w całość. Początkowo wydawało się to niedorzeczne, potem jednak...

– Zbyt wiele szczegółów się zgadzało.

– Tak. Zrezygnowałam z pracy, sprzedałam swoje eleganckie mieszkanie. Kupiłam dom, w którym nas znaleźliście, myśląc, że kiedyś otworzę tam ośrodek pomocy albo szkołę, albo... Sama jeszcze nie wiedziałam. Zaproponowałam bezpłatne porady prawne kobietom z grupy, a także ośrodkowi pomocy. Nadal chodziłam na spotkania grupy wsparcia. To mnie uratowało. Zaczęłam pracować społecznie dla ośrodka „Wewnętrzny Spokój”, ponieważ to tam Lydia znalazła pomoc.

– I w taki sposób poznała pani Carlee MacKensie.

– Tak.

– I uświadomiła sobie pani, że ona przeżyła to samo.

– Minęły tygodnie, miesiące, a w końcu zostałyśmy, jak to nazywamy, zranionymi przyjaciółkami. Po spotkaniach grupy piłyśmy kawę, rozmawiałyśmy. I wtedy odkryłyśmy, że wszystkie trzy mamy takie same sny, i że w tym, co spotkało nas trzy, jest zbyt wiele podobieństw, żeby to był zwykły zbieg okoliczności.

Grace pochyliła się ku Eve.

– Czy wierzy pani w przeznaczenie?

– Co ma z tym wspólnego przeznaczenie?

– Spotkałyśmy się, Lydia i ja, potem poznałam Carlee i było nas już trzy. Pewnego razu poproszono mnie o pomoc dla kobiety, która miała kłopoty z prawem. Chodziło o Charity. Uczęszczała na spotkania innej grupy, a podczas sesji doznała załamania nerwowego. Rzuciła się na inną kobietę, chcąc ją zgwałcić. CeCe zadzwoniła do mnie z prośbą, żebym jej pomogła. Opowiedziała mi, że kiedy przyszła jej kolejka i zaczęła mówić, nagle ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie. Zrobiło jej się gorąco, poczuła pożądanie... Już wcześniej przytrafiło jej się to raz czy dwa. Załamała się w moim gabinecie, opowiedziała mi o koszmarach, które ją prześladowają.

– Zatem było was już cztery.

– Tak i wykluczone, żeby to był czysty przypadek. Zaczęłam szukać w aktach, chociaż to niezgodne z prawem, ale koniecznie chciałyśmy sprawdzić, czy jest więcej takich, jak my. I wtedy znalazłam Elsi. Ujawnię pani wszystkie szczegóły, kiedy, gdzie, jak, ale teraz chcę

podać najważniejsze fakty.

– Proszę mówić.

– Elsi była bardzo młoda, a jej rany, można powiedzieć, świeższe i bardziej dotkliwe. Może coś pokręcili z dawką, może eksperymentowali, trudno stwierdzić. Ale miała takie nawroty i budziła się rano z jakimś nieznanym w łóżku. Miała tak silne koszmary senne, że kaleczyła się we śnie. Zaczęła... Zaczęła się ciąć.

Kobieta urwała, żeby ponownie napić się wody.

– Spotkało ją to ostatniej wiosny, więc wyraźnie widziała ich twarze... Widziała ich takich, jacy są teraz.

– I kazała pani wtedy Charity, żeby ich namalowała.

– Tak. Rozpoznałam Edwarda Mirę, a on doprowadził nas do pozostałych. I doprowadził nas do Yale, jak już wcześniej podejrzewałyśmy. Tylko Charity nie studiowała w Yale, ale spotykała się ze studentem Yale, czasami uczestniczyła w organizowanych tam imprezach. Chodziła na wykłady. Podczas jednej z takich wizyt stwierdziła, że błąka się przed świtem po kampusie, zupełnie nie pamiętając, co się wydarzyło. Początkowo uwierzyła, że za dużo wypija i urwał jej się film. A może ktoś jej dał pigułkę gwałtu i zgwałcił. Ale nic nie pamiętała. Żadna z nas nie pamiętała wszystkiego, dopóki wszystkie razem nie posklejałyśmy sobie naszych wspomnień.

– Więc zaplanowałyście zemstę.

– Nie od razu. Widywałyśmy się w domu, gdzie nas zatrzymaliście, bo stał się on miejscem naszych spotkań. Czuliśmy się tam bezpiecznie, więc można powiedzieć, że był to swego rodzaju ośrodek pomocy. Rozmawiałyśmy o tym, jak możemy udowodnić to, co się stało, czy ktoś w ogóle nam uwierzy, kiedy zgłosimy się na policję. Czy mogę prosić o więcej wody?

Peabody wstała i wyszła po wodę.

– Pięć kobiet, których życie legło w gruzach. Chciałyśmy znaleźć dowód. Musiałyśmy wymierzyć sprawiedliwość.

– Szukanie dowodów należy do obowiązków policji. A wymierzaniem sprawiedliwości zajmują się sądy.

– Musiałyśmy coś zrobić po tym, jak Elsi... Nie mogę o tym mówić. To zbyt bolesne.

Znów urwała, kiedy wróciła Peabody z wodą.

– Dziękuję. Wertowałam przepisy. Zajmowałam się prawem przedsiębiorstw, a teraz zaczęłam zgłębiać prawo kryminalne. Okazało się, że z wyjątkiem przypadków Elsi i Charity nastąpiło przedawnienie. Nigdy nie zgłosiłyśmy popełnienia przestępstwa, bo nie wiedziałyśmy, że padłyśmy jego ofiarą ... A potem było za późno na szukanie sprawiedliwości. Charity zostało już niewiele czasu.

Zacisnęła usta.

– Widzę teraz i powinnam to dostrzec wtedy, że zbyt mocno naciskałyśmy na Elsi. Tylko ona i Charity mogły złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. My wszystkie też byśmy opowiedziały, co nas spotkało, co z pewnością pomogłoby udowodnić, że oni to zrobili, i sprawa by się zakończyła. Wiedziałyśmy, że ta sprawa nie dotyczy tylko nas pięciu. Że jest więcej takich jak my, że więcej kobiet przypomni to sobie, kiedy wszystko wyjdzie na jaw, ale...

– Dla Elsi okazało się to ponad siły.
– Była taka delikatna i w końcu się załamała. – Łzy napłynęły jej do oczu, potoczyły się po twarzy. – Zwyczajnie się rozsypała, a my będziemy żyły ze świadomością, że to z naszej winy. Zgwałcili ją, zniszczyli jej życie, ale to przez nas się załamała, kiedy próbowałyśmy zebrać się wszystkie razem. I wtedy, właśnie wtedy, zaczęłyśmy się zastanawiać, jak oddać sprawiedliwość jej i nam. Na początku postanowiłyśmy znaleźć jakiś dowód, ale nam się nie udało. Carlee i Charity bardzo się starały, lecz nie znalazłyśmy dowodu.

– I kazałyście Carlee przespać się z Edwardem Mirą.

– Była silna, chciała to zrobić. Miałyśmy nadzieję, że znajdzie coś, co go obciąży, nazwiska innych ofiar, tych z ostatnich lat, jak nasza Elsi. Ale był wyjątkowo ostrożny. Potem jej miejsce zajęła Charity. Carlee nie mogła tego dłużej robić, więc zastąpiła ją Charity. Niestety, nic nie znalazłyśmy. A później, przyznając, zaczęłyśmy się zastanawiać, jak upomnieć się o sprawiedliwość. Dla Elsi. Dla nas wszystkich.

Blake odstawiła wodę, otarła łzy.

– Podszylałam się pod pośredniczkę w handlu nieruchomościami i umówiłam się z Edwardem Mirą w domu, który chciał sprzedać. Charity poszła ze mną. Ogłuszyłyśmy go paralizatorem, pobiłyśmy go. Chciałyśmy, żeby wiedział, kim jesteśmy i co go czeka. Wtedy przyszedł ten drugi mężczyzna. W pierwszej chwili spanikowałyśmy. Uderzyłyśmy go w głowę i stracił przytomność. Ja go uderzyłam. Nie był jednym z nich, nie chciałyśmy ani nie miałyśmy powodu, by robić mu krzywdę. Wepchnęłyśmy Edwarda Mirę do furgonetki Lydii i przywiozłyśmy go tutaj.

– Zaprowadziłyście więźnia do piwnicy, którą urządziłyście tak, jak pomieszczenie, w którym zostałyście zgwałcone.

– Tak. To, co zrobiliśmy, było niezgodne z prawem, poniesiemy tego konsekwencje. Chociaż Bóg wie, że już zapłaciliśmy wysoką cenę. A oni wszyscy zasłużyli sobie na to, co im zrobiliśmy, postąpiłyśmy słusznie, bo prawo ich chroni.

– Myli się pani. Nikomu nie wolno torturować innych i wykonywać wyroków śmierci. Nie do nas należy decyzja, kto na jaką zasłużył karę. A prawo wcale ich nie chroni.

– Przedawnienie.

– Zawiązali stowarzyszenie, a to zmienia postać rzeczy, pani adwokat. Powinna pani dalej zajmować się prawem spółek. Uknuli spisek, żeby podać narkotyki, obezwładnić, porwać, przetrzymywać ofiary wbrew woli, zgwałcić i spowodować szkody na ciele i umyśle oraz szkody emocjonalne. Każdego z nich wsadziłabym do więzienia, gdybyście dały mi szansę. Tak, jak zamierzam wsadzić do więzienia Marshalla Easterdaya i Ethana MacNameego.

– Są bogaci, wpływowi, przepisy prawa są pełne luk. Nie...

– Proszę na mnie spojrzeć! – Eve uderzyła pięścią w stół. – Zamknęłabym ich w więzieniu, gdzie długie lata płaciliby za to, co zrobili. Proszę o tym pomyśleć. Płaciliby całymi latami, nie przez jedną noc. A wy postanowiłyście wziąć na siebie rolę sędziego, ławy przysięgłych i kata. Więc teraz też zapłacicie. Stałabym po waszej stronie, prawo też byłoby po waszej stronie. A jednak muszę stanąć po stronie tych, którzy was zgwałcili. Muszę stanąć po stronie ludzi, których zabiłyście.

– Nie mogliśmy już tego dłużej znieść. – Znowu w jej oczach błysnęły łzy. – Nie mogliśmy tego znieść po śmierci Elsi. To potwory. Potwory. Proszę sobie wyobrazić, jak gwałci panią potwór. Proszę sobie wyobrazić, jak co noc przeżywa pani to na nowo w snach. Nie mogliśmy tego dłużej znosić.

Otarła mokre policzki.

– Każda z nas powie pani to samo. Ale będą zeznawały w obecności prawnika. To wszystko, co miałam do powiedzenia, nim poproszę o adwokata.

Eve skinęła głową, wstała.

– Podejrzana zażyczyła sobie obecności adwokata. Koniec przesłuchania. Peabody, zaprowadź panią Blake do aresztu, gdzie wolno jej będzie zadzwonić do wybranego przez siebie prawnika.

– Tak jest. Pani Blake...

Grace wstała.

– Każda z nas była na początku drogi życiowej, każdą czekała kariera zawodowa, może miłość i rodzina. Może dzieci. Kto wie? Każdą z nas porwano z tej drogi i wrzucono do ciemnicy, gdzie zawsze będą nas dręczyć koszmary. Zabili nas, pani porucznik. Zabili te, którymi mogliśmy zostać. Jak prawo za to karze?

– Dwaj, którzy żyją, nigdy nie opuszczą murów więzienia. Trafiają do klatki jak zwierzęta. Wy miałyście wybór, mogliście zostać tym, kim chciałyście. I dokonałyście wyboru.

– Elsi była dziewicą. Gwałt to było jej jedyne doświadczenie seksualne. Ona nigdy nie miała szansy.

Kiedy Peabody wyprowadziła aresztowaną, Eve przycisnęła palce do powiek. W gardle ją piekło, serce jej waliło.

Opuściła ręce, kiedy do sali weszła Charlotte Mira.

– No i co? – Eve wzruszyła ramionami. – Ograniczona poczytalność? Mimo premedytacji?

– Możliwe, że trafią na wiele lat do ośrodka, zostaną poddane terapii, leczeniu. Lecz porozumiały się, żeby dokonać morderstwa, udało im się zabić trzy osoby.

– Ale prawo jest pełne luk i można je naginać.

– Tak. Jednak ty zrobiłaś to, co do ciebie należało. A nawet więcej. Stanęłaś po stronie tych kobiet, Eve, i staniesz po stronie pozostałych, kiedy uda się ustalić ich tożsamość.

– Harvo dostarcza mi kolejne nazwiska. Czy powinnam się skontaktować ze wszystkimi ofiarami? A co, jeśli nic nie pamiętają i żyją sobie spokojnie? Co dobrego to da?

Mira położyła dłonie na jej ramionach, pomasaowała napięte mięśnie, spojrzała Eve w oczy, odbijające się w szerokim lustrze.

– Trzeba pamiętać, bo inaczej nie można żyć normalnie, pełnią życia, tak, jak się miało żyć. Możesz zrezygnować z poinformowania ich i to nie powód do wstydu.

– Byłoby mi wstyd.

Doktor Mira odwróciła Eve przodem do siebie i ujęła jej twarz w obie dłonie.

– Zdecydowałaś się stawić czoło okropnościom, które były twoim udziałem, i dzięki temu stałaś się tym, kim jesteś. Obie współczujemy Grace Blake i im wszystkim. Ale to, co jej powiedziałaś, to prawda. Miałaś rację, Eve. Pomogę ci przy powiadamianiu ofiar. Zaproponuję pomoc psychologiczną każdej, którą odnajdziesz, jeśli będą chciały z niej

skorzystać.

– Zaslługujecie na siebie.

– Słucham?

– Ty i profesor Mira. Naprawdę zasługujecie na siebie. To prawdziwe szczęście, kiedy tak jest. Powiedz mu, że już po wszystkim.

– Dobrze.

– Domyślam się, że mówił ci, że mu opowiedziałam o sobie, bo myślałam, że już wcześniej się dowiedział o tym od ciebie.

Doskonale ją rozumiejąc, Mira skinęła głową.

– Tak, rozmawialiśmy. Będzie twoim orędownikiem. Jest cichym bohaterem, Eve, ale jest niezłomny i nigdy nie kłamie. Nigdy nie zawiedzie twojego zaufania i zawsze możesz zwrócić się do niego o pomoc.

Eve znów przycisnęła palce do powiek, tym razem, żeby powstrzymać łzy.

– Muszę to dokończyć. A potem chcę pojechać do domu i spać przez dwa dni.

– Jedź do domu. Prześpij się trochę.

– Nie, muszę przesłuchać pozostałe.

– W takim razie będę się temu przyglądała.

– A potem muszę polecieć tam, gdzie to wszystko się wydarzyło. Muszę zobaczyć to miejsce, udokumentować, zabezpieczyć. Będą inne nagrania. Przekłęta tradycja.

– Chcesz, żebym ci towarzyszyła?

– Nie. Nie. Powinnaś wrócić do domu. Wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie spała, nie obraż się.

– Nie zamierzam się obrażać, bo mam lusterko. Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne, o ile tylko będę mogła.

– Kiedy to się skończy i obie będziemy mogły się wyspać, przyjdziecie do nas na kolację? Ty z Roarkiem? Zapraszam was na kolację. Dennis przyrządzi czekoladowy trifle. Nie żyłaś naprawdę, dopóki go nie spróbujesz.

– Nie jestem pewna, co to takiego.

– Coś niesamowitego. – Mira pocałowała Eve w policzek. Potem, może dlatego, że też tego potrzebowała, przytuliła policzek do jej policzka. – Przygotuję coś pysznego dla ciebie i Roarke'a, a potem zjemy niesamowity deser Dennisa. I nie będziemy rozmawiać o pracy. – Odsunęła się od niej. – Zrobisz to dla mnie?

– Tak. Tak, nieźle się zapowiada.

– A teraz idź i to dokończ, skoro musisz.

Eve podeszła do Peabody, czekającej dyskretnie za drzwiami.

– Następną przesłuchajmy Downing, jak tylko pojawi się jej adwokat. Ona jest w najgorszym stanie.

– Już zadzwoniła po adwokata. Czeka w celi. Powinny były nam zaufać. Powinny zaufać takim glinom, jak my, że znajdziemy dowody, upomnimy się o sprawiedliwość.

– Tak, ale nie zrobiły tego.

Parę godzin później, chociaż Eve miała wrażenie, że minęło kilka dni, wsiadła do kabiny helikoptera, który skierował się do Connecticut.

– Właściwie wszystkie opowiedziały tę samą historię, ale nie na tyle identycznie, by się czuło, że sobie to przygotowały. Owszem, myślę, że rozmawiały o tym już wcześniej. W razie wpadki musimy mówić tak i tak. Ale nie kłamią.

– A Easterday?

– Poszedł na ugodę. Zadzwoił do żony. Wiem, że przyjechała do szpitala, a po trzydziestu minutach wyszła z jego sali, nie zatrzymując się.

– A ten ostatni?

– MacNamee? Też poszedł na ugodę, zaproponowaną przez Reo. Obaj są wystarczająco inteligentni, by wiedzieć, że proces zupełnie by ich zniszczył. Nagrania – których jest jeszcze czterdzieści osiem, zamkniętych w sejfie w suterenie domu – zniszczyłyby ich całkowicie. Nie chcą upokorzenia na oczach całego świata. Nie wiedzą, co to prawdziwe upokorzenie. Potrafią tylko upokarzać innych.

Położył rękę na jej dłoni.

– A ty?

– Trzymam się. Musiałam porozmawiać z synem i córką Edwarda Miry. Załamali się. Ale nie miałam innego wyjścia. Tak samo, jak w przypadku krewnych Wymanna.

Eve zamknęła oczy.

– Harvo ustaliła już tożsamość ponad połowy kobiet. Sprawdziłam je. Dwie nie żyją, popełniły samobójstwo. Jedna poniosła śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Dwie są licencjonowanymi prostytutkami, pracują na ulicy. Jedna odsiaduje wyrok za napaść, jest ćpunką. Dwie kolejne co rusz trafiają do ośrodka resocjalizacji. Ale wydaje się, że kilka z nich jakoś ułożyło sobie życie. Mira mówi, że powinny się o tym dowiedzieć.

– Podświadomie o tym wiedzą, tak jak ty zawsze wiedziałaś. Ujawnienie tego może im pomóc, chociaż nie wiesz, jak wpłynie na ich życie.

– Być może. Boże, mam taką nadzieję. Widzisz tę szosę tam w dole? To tam Betz dostawał mandaty za przekroczenie dopuszczalnej szybkości. Ciekawa jestem, ile razy tamtędy jeździł, żeby oglądać te nagrania. To campus?

Spojrzała w dół na pokryte śniegiem eleganckie budynki z wieżyczkami, pełne dostojeństwa.

– Potwory można spotkać wszędzie – powiedział Roarke. – Oboje o tym wiemy. Tu nie chodzi o czas ani o miejsce, tylko o ludzi.

– Dennis Mira w tym samym okresie studiował na tym samym uniwersytecie. To mi wystarczy.

Kiedy Roarke wylądował, wzbijając w górę chmurę śniegu, Eva nadal siedziała jakiś czas w kabinie, przyglądając się uważnie domowi.

Duży, stary, szacowny, pięknie utrzymany. Nawet teraz z chodników odgarnięto śnieg, drzewa połyskiwały od szronu.

Zobaczyła celtycki symbol braterstwa, wyryty pośrodku głównych drzwi wejściowych.

Aż ją zemdliło.

– Su powiedziała mi, że znalazły ten dom. Zastanawiały się, czy go nie podpalić, bo nie mogły pokonać zabezpieczeń. Ale bały się, że w środku są jakieś dowody, a nie chciały ryzykować ich zniszczenia.

– Nie wiedziały o nagraniach.

– Nie. Nim tu trafiły, pieprzeni bracia już nie korzystali z kamer wideo, trzymanyh w ręku albo stawianych na statywie, tylko zainstalowali kamery w całym pokoju. Wiem to od MacNameego.

– Jesteś gotowa?

Czy była? Posiedziała jeszcze chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. I znalazła ją.

– Tak. Bez ciebie nie mogłabym tam wejść. Byłoby tak, jakbym wchodziła do tamtego pokoju w Dallas. Zmusiłabym się, żeby wejść, ale bez ciebie nie mogłabym zrobić tego, co powinnam, i zrobić jak należy.

Znów zalała ją fala gorąca.

– Muszę o tym zapomnieć, zanim tam wejdziemy.

Roarke odwrócił się do niej, ujął jej dłonie.

– Co?

– Rozumiem, co doprowadziło te kobiety do tego czynu, rozumiem, jak mogły to zrobić. Rozumiem to, co powiedziałaś podczas przesłuchań, kiedy wszystko było nagrywane.

– Jak miałybyś tego nie rozumieć? Czy jakkolwiek człowiek mógłby tego nie zrozumieć? Bez względu na prawo, na zasady, Eve, jak mogłabyś im nie współczuć?

– Żałuję, że ich nie powstrzymałam, nim zabiły Edwarda Mirę. Zanim dokonały wyboru, przez który tracą wolność. Ale... Otrzymają pomoc. Stracą wolność, lecz prawo, zasady mogą uratować im życie. Rozmawiałam z nimi, Roarke, z nimi wszystkimi. I Elsi Adderman może nie jest jedyną spośród nich, która odebrała sobie życie, żeby to zakończyć. Uważam, że prawo, które zlekceważyły, prawo, w które nie wierzą, może je uratować. I to pomoże mi spać w nocy.

– Nie muszą wiedzieć, ile wysiłku włożyłaś w to, żeby je uratować. Bo je uratowałaś. Wiesz o tym. – Pocałował ją w rękę. – Moja policjantka.

– Twoja policjantka musi tam wejść, uporać się z tym. A potem naprawdę chce wrócić do domu. Z tobą.

– W takim razie zróbmy to. Miejmy już ten dzień za sobą, a noc będzie należała do nas.

Mogę to zrobić, pomyślała Eve, kiedy wysiadła z helikoptera i znalazła się w śniegu po kostki. Już wkrótce będzie mogła zakończyć ten dzień i mieć wszystkie jego nieszczęścia za sobą. A potem spędzić noc z Roarkiem, zaznajając nieco spokoju.

Uświadomiła sobie, że potrafi zapomnieć o tym, co było kiedyś. O starym biurku, starym fotelu – przedmiotach, stanowiących część jej dawnego życia.

Bo miała teraz nowe. Wzięła Roarke'a za rękę i uścisnęła z całych sił. Miała prawdziwe życie, zbudowane wspólnie z nim.

– Pozbędziemy się tamtego biurka.

Zbliżali się do drzwi domu, gdzie zbyt długo odbywały się brutalne sceny.

– Naprawdę? – Uniósł brew.

– Tak. A wiesz, dlaczego?

– Bardzo chciałbym to wiedzieć.

– Ponieważ zasługujemy na siebie.

Roarke roześmiał się i uniósł jej rękę do ust, żeby ją pocałować.

– Masz absolutną rację.

Spis treści

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22